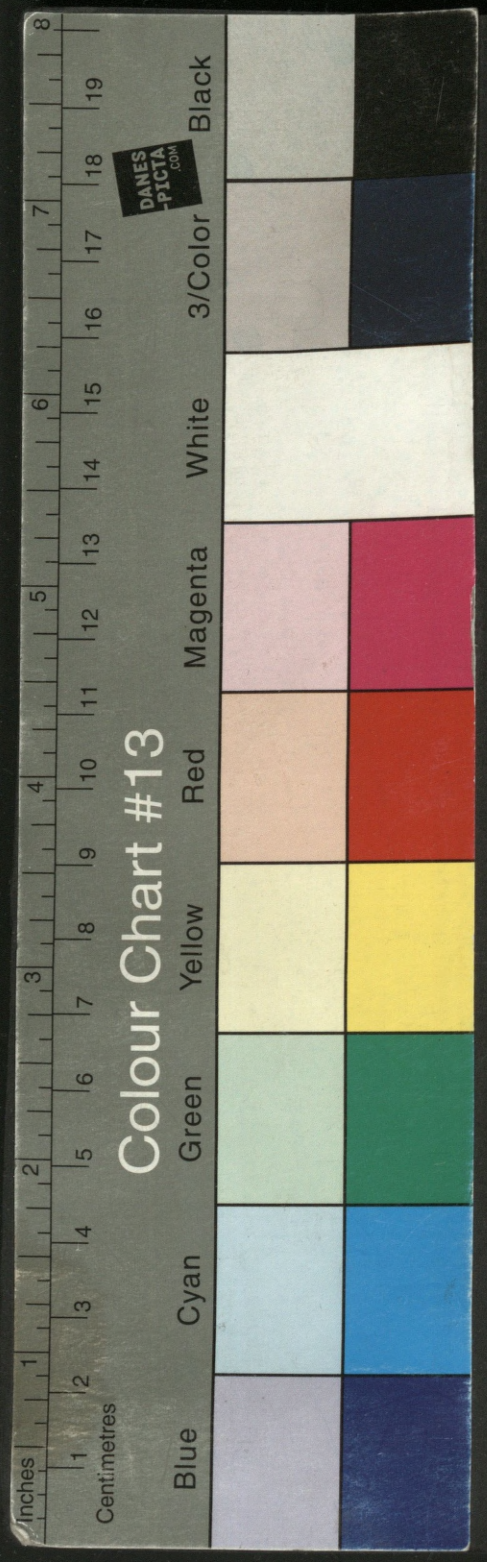
R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES-PICTA.COM

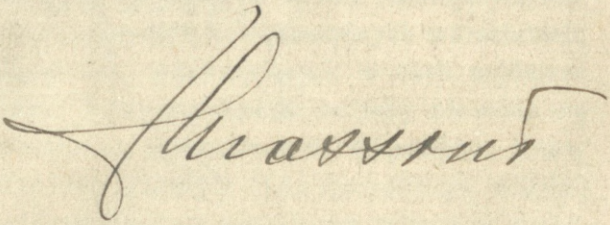
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



WŁADYSŁAWA DANIŁOWSKIEGO NOTATKI DO PAMIĘTNIKÓW

WYDAŁ

JAN CZUBEK



KRAKÓW
NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
1908.

29220/2

Drukarnia Uniwersytetu Jagiell. w Krakowie pod zarządem J. Filipowskiego.

WSTĘP.

O ruchach lat 1861—1862 i o powstaniu styczniowem posiadamy już sporą liczbę opowiadań naocznych świadków i pamiętników. Są to jednak przeważnie same urywki, ustępy epizodyczne, najczęściej opisy wypraw i wyprawek, albo też, jak np. Pamiętniki Jeziorańskiego, notatki dorywcze, zabarwione mocno stronniczym poglądem na rzeczy i ludzi. Horyzont tych pamiętnikarzy, z natury rzeczy poziomy i ciasny, nie pozwala im objąć całości ani też wniknąć w tajemne sprężyny, poruszające całą machinę konspiracyjną i powstańczą w pamiętnych latach 1861—1864. Dla historyka mają i te cząstkowe i z nizkiego punktu widzenia pisane świadectwa niezaprzeczoną wartość; ciekawsze jednak i ważniejsze byłyby wspomnienia i pamiętniki ludzi, wyższe lub naczelne w spisku zajmujących stanowiska, pracujących w samychże konspiracyjnych warsztatach, tych ośrodkach mózgowych, wprawiających w ruch najdalsze kończyny sprzysiężenia. Takie pamiętniki możeby niewiele się przyczyniły do wyświetlenia zewnętrznych wypadków, bitew i utarczek, gdyż jednostka wszędzie być i wszystkiego widzieć nie może, lecz zato odsłoniłyby nam zakulisowe zabiegi główniejszych działaczy i kierujące ich krokami pobudki, wtajemniczając nas w całą tę osobliwą psychologię aktorów dziejowej tragedyi, tak nam czasowo jeszcze blizkich, a tak już dalekich. Żaden jednak z głównych działaczy lat 1861—1864, żaden z tych nieodpowiedzialnych ministrów rządów rewolucyjnych nie zostawił, o ile wiemy, wyczerpującego pamiętnika wypadków, których był świadkiem a zarazem w pewnej części sprężyną i prawcą[1].

[1] Wyjątek stanowiłby autor Manifestu Rządu Narodowego z dnia

Przyczyn mogło być wiele. Przedewszystkiem znaczna, może przeważna część członków Rządu Narodowego nie przeżyła powstania, a podczas urzędowania gorączkowa czynność nie zostawiała czasu na jakiekolwiek zapiski, rzecz zresztą i dla piszących i dla innych uczestników spisku nader niebezpieczną. Z tych, co ocaleli, brak talentu pisarskiego a może i ból i pewien wstyd tego, co się stało i jak się stało, odstraszały od pisania. Jeżeli kto z ówczesnych ludzi, to Giller był może najbardziej powołany do przekazania potomności opisu tego, co widział i czego sam *magna pars fuit*. Poprzestał na kilku małych przyczynkach [1]. A jednak mnóstwo cennych (choć nie zawsze pewnych) szczegółów, rozsianych w pierwszych dwu tomach »Historyi powstania narodu polskiego w 1861—1864 r.«, daje nam miarę tego, czego się po nim można było spodziewać.

Pamiętniki Daniłowskiego, które właśnie wydajemy, wypełniają choć w części tę dotkliwą próżnię w historyografii styczniowego powstania. Autor nie miał wprawdzie (z wyjątkiem kilku dni) udziału w Rządzie, lecz zajmował przodownicze stanowiska w bardzo ważnych chwilach przed wybuchem i w chwili wybuchu, a i później, choć nie był członkiem Rządu, spełniał niekiedy ważne polecenia i co ciekawsze, należał do tej podziemnej, tak mało znanej w szczegółach opozycyi, dla której każdy Rząd był za mało czerwony i czynny i która kręcąc się ustawicznie koło wielkiego ołtarza rewolucyi, kopała pod nim z różnem powodzeniem dołki; wybitny przytem talent pisarski, bystry zmysł spostrzegawczy i trafny zazwyczaj

---

22 stycznia 1863, Majkowski, którego »Pamiętnik« (Nr. 1328, 34·5×21 *cm*. k. 12) przechowuje Polskie Muzeum Narodowe w Raperswylu. Niestety, nie jest to pamiętnik w właściwem tego słowa znaczeniu, a tylko pewna liczba (16) zwięzłych odpowiedzi na zadane pytania, spisanych, jak widać z treści, dość późno po zaszłych wypadkaah.

[1] »Dzieje Delegacyi warszawskiej« w tomie wstępnym »Wydawnictwa materyałów do historyi powstania 1863—1864 r.« i dalszy ciąg, wydany przez Justyna Sokulskiego p. t. »Manifestacye Warszawy 1861 r.« Stanisławów 1908, nadto dwa krótkie artykuliki w książce »W czterdziestoletnią rocznicę powstania styczniowego 1863—1903« Lwów 1903 p. t. »Przedwczesny wybuch powstania« i »Sołowijówka i uwłaszczenie«.

sąd o ludziach uzdalniały go, jak mało kogo, do napisania wyczerpującego dzieła o wypadkach, w których brał udział niemały. »Notatki do pamiętników«, jak autor skromnie nazwał swój pamiętnik, nie zupełnie odpowiadają naszym oczekiwaniom. Autor ograniczył się do samych niemal spraw osobistych, wyraźnie uprzedzając, że »pisze tylko swoje pamiętniki, a nie historyę konspiracyi i powstania, wspominając tylko o niem o tyle, o ile ono jego życia dotyka i o ile sam był działaczem w tych pełnych zamieszek czasach« (str. 95). Ale że nasz autor był jednym z działaczy, i to nie ostatnim, więc mimo nałożonego z góry ograniczenia podaje nam w tych »Notatkach« dość bogaty zasób częścią nowych, częścią różniących się znacznie od znanych skądinąd wiadomości. Pomijając przedrewolucyjne związki młodzieży, o których autor »Notatek« jako przywódca najlepiej i najdokładniej mógł być powiadomiony, do historyi późniejszych nawet wypadków są »Notatki« źródłem ważnem, dotąd nieznanem i niewyzyskanem. O ważnej np. chwili wybuchu i dni następnych w Warszawie, kiedy Rząd Tymczasowy błąkał się między obozami powstańczymi, o czem nawet źródłowy Przyborowski ma wcale bałamutne wiadomości, a po części sam się przyznaje do swej niewiadomości w tej mierze[1], opowiada nam autor z pożądaną szczegółowością i dokładnością naocznego świadka i owych chwil uczestnika; również »Komitet Reprezentacyjny«, jego działania i cele, szatańska intryga Trepowa i zdrada Zwierzchowskiego, a przedewszystkiem

[1] Przyborowski, Historya 1863 r. I, 51 »Tym więc sposobem w chwili wybuchu władzy najwyższej w stolicy kraju nie było prócz Stefana Bobrowskiego, który jako naczelnik miasta był na teraz jedynym reprezentantem spisku i jedynym władcą powstania« i II, 13 (przypisek) »Coby to była za komisya (wykonawcza), nie wiemy«. Rzecz rozjaśnia Daniłowski w ten sposób, że pierwotnie, tj. zaraz po oddaleniu się Rządu Tymczasowego z Warszawy »najwyższa (tj. zastępcza) Komisya, zarządzająca w imieniu Komitetu i Rządu całą organizacyą« składała się z trzech członków: z Bobrowskiego, W. Marczewskiego i Daniłowskiego (str. 198); wróciwszy jednak z Paryża, gdzie zawiózł dyktaturę Mierosławskiemu, zastał ową Komisyę zwiększoną »przyjęciem Gillera, Wernickiego i jeszcze innych« (str. 219); »liczba jej członków wzrosła (później) do 15 czy więcej osób« (str. 266).

cała Mierosławszczyzna i jej zarówno jawne, jako też zakulisowe działania występują tu jeżeli nie po raz pierwszy na jaw, to przynajmniej w całkiem nowem oświetleniu. Ale ważniejszą może i ciekawszą od tych historycznych szczegółów jest osobistość samegoż autora, który tu z całego swego życia spowiada się przed nami otwarcie i szczerze, odsłaniając najtajniejsze swe pobudki i myśli. Wątłe, nerwowe, zagrożone chorobą sercową dziecko, zdradzające już wcześnie skłonności marzycielskie, nadmiernie później rozwinięte czytaniem niezdrowych pod względem wychowawczym powieści Kraszewskiego, młodzieniec z chorobliwą fantazyą i przeczuloną wrażliwością, gotowy wszystko poświęcić dla »ukochanej«, z którą ani jednego nie zamienił słówka, i która »później spotkana, już prawie żadnego nań wrażenia nie wywarła«, idealista »budujący nie zamki, lecz szczęście kraju całego na skrzydłach młodzieńczej fantazyi, z głową nabitą planami konspiracyi i przygotowań rewolucyjnych« — owoc czytania Mochnackiego »Historyi powstania« — z ambicyą odegrania wielkiej roli w sprzysiężeniu, hamowaną jednak z początku przez wrodzoną nieśmiałość — oto przyszły 21-letni (w r. 1862) spiskowiec, naczelnik Czerwonej młodzieży a przez niejaki czas nawet członek Komitetu Centralnego, a więc minister niejako i przewodnik narodu, którego losami w $^1/_5$ części kierował (Komitet Centralny składał się z pięciu członków). Że nasz polityczny romantyk, rzuciwszy się w odmęt konspiracyi, nie obliczał sił i środków i nie pomyślał nawet, na czem na cała robota skończyć się może, rzecz łatwo zrozumiała; tem bardziej zastanawiać musi, że w chwilach stanowczych odczuwa ciężkie brzemię odpowiedzialności i w jednym przynajmniej wypadku stara się temu, co uważał za wielkie nieszczęście, w części zapobiedz. Mamy tu na myśli uchwałę Komitetu Centralnego, naznaczającą na wniosek Dąbrowskiego powstanie na 26 czerwca 1862 r. Zapalony młodzieniec ulega wprawdzie chwilowo ognistej wymowie Dąbrowskiego i głosuje nawet za jego wnioskiem; po spokojnej jednak rozwadze sam przyczynia się głównie do obalenia Komitetu, który powstanie tak nierozważnie

uchwalił. Postępek ten, acz roztropny i patryotyczny, był, jak się zdaje, powodem, że Daniłowskiemu odtąd w organizacyi nie zupełnie dowierzano i że go wreszcie, bodaj czy nie za sprawą Gillera[1], pod zarzutem dwulicowości wysunięto za nawias. Szukano oczywiście pozoru, a ten łatwo się znalazł, kiedy Mierosławski zapomocą swych zwolenników na przekór Komitetowi Centralnemu utworzył w Warszawie jakiś nikły Komitet Rewolucyjny. Ponieważ zaś nasz autor był znanym Mierosławczykiem, przeto posądzono go o siedzenie na dwóch stołkach, tj. o należenie w tymże samym czasie do obu wrogich sobie Komitetów — posądzono i uwierzono, gdyż te dwa pojęcia w owych gorących czasach miały aż nazbyt często to samo znaczenie. Za Gillerem[2] powtarza ten ciężki zarzut nawet ostrożny zazwyczaj Przyborowski[3]. Nasz autor opowiada całą tę sprawę zupełnie inaczej, wyjaśniając rzecz całkiem naturalnie swymi stosunkami z Mierosławczykami, których mimo należenia do Komitetu Centralnego nie zerwał, spodziewając się do jakiegoś między obu stronami doprowadzić porozumienia. Bo że był z przekonania i usposobienia Mierosławczykiem, tego się wcale nie zapiera; wątpliwość mogłaby jedynie zachodzić co do tego, czy »zapalonym«[4], za jakiego uchodził, »zaciekłym«, jak twierdzi Przyborowski[5], czy też umiarkowanym, mierzącym wartość jenerała pożytkiem i korzyściami, jakie ten sławny wówczas rewolucyonista mógł przynieść sprawie narodowej, jak twierdzi oskarżony przed historyą Daniłowski. Nie wydając stanowczego sądu w tej sprawie, na co może jeszcze nie pora, mamy jednak wrażenie, że słuszność jest po stronie autora »Historyi 1863 r.« Rozumiemy, że młodzieńcza wyobraźnia, upojona szumnymi frazesami i pewnym rozgłosem, jakim się cieszył wówczas »bóg rewolucyi«, mogła w nim wi-

[1] Giller oprócz pubudek politycznych (był politycznym przeciwnikiem Mierosławskiego) mógł mieć i powód osobisty: zadraśniętą miłość własną; por. str. 169.

[2] Giller, Historya powstania I, 41 i 221.

[3] Przyborowski Historya 2 lat, V, 265, 302, Historya roku 1863 I, 36.

[4] Por. str. 169.

[5] Przyborowski, Historya r. 1863, I, 370.

dzieć ideał rewolucyjnego wodza; ale już bliższe zetknięcie z nim w Paryżu, następnie pierwszy, tak niefortunny występ w roli dyktatora, a wreszcie warcholska już wprost rola, jaką odegrał w Krakowie, powinna była naszemu patryocie otworzyć oczy, gdyby nie były zasłonięte blachmalem uprzedzenia i fanatyzmu. Daniłowski jednak potępia ostro zachowanie się jenerała podczas rokowań z członkiem Rządu Narodowego w Krakowie (bodaj czy nie pod kątem późniejszego widzenia rzeczy), a mimo to po nieudałych próbach obalenia Rządu (w lipcu 1863) wyjeżdża prosto do Liège, »aby dowiedzieć się, jakie są jego (Mierosławskiego) nadal zamiary i o ile może mu być pomocny« (str. 323). Dopiero dłuższy pobyt w Liège i »bezsensowa nietaktyczność« (str. 327) jenerała wyleczyła naszego autora z tej kurzej ślepoty, na którą z tylu innymi tak długo chorował, i przekonała ostatecznie, że to uwielbiane bożyszcze jest naprawdę zwyczajnem próchnem. Tu zaczyna się jednak epoka w życiu politycznem Daniłowskiego najmniej zrozumiała. »Tylko wielcy optymiści, lub ludzie zaślepieni gorączkowym patryotyzmem mogli w owym czasie, tj. w końcu 1863 roku spodziewać się szczęśliwego rezultatu konającej już walki narodowej« wyznaje nasz autor, trzeźwo osądzając położenie. Wynikałoby stąd, że sam należał do pesymistów, tj. do tych, co nie wierzyli w szczęśliwy koniec powstania. Mimo to zamiast łączyć siły i działać zgodnie z istniejącym Rządem, tworzy razem z innymi w bezpiecznem miejscu za granicą (w Dreźnie) na przekór warszawskiemu Rządowi Narodowemu jakiś nowy rząd czy raczej nową Komisyę do obalenia Rządu pod dziwacznem mianem »Związku patryotów polskich«, jak gdyby nie należący do Związku nie byli patryotami. Cała ta jednak sprawa, ciemna i zagadkowa, nie została i w tych pamiętnikach głównego działacza wyjaśniona, gdyż właśnie dwie karty, jej poświęcone, zostały, niewiadomo przez kogo, usunięte i zniszczone[1] —

[1] Że to zrobiła inna ręka, świadczyłaby okoliczność, iż w podobnym wypadku, tj. po wytarganiu całej karty (po str. 522 rękopisu) autor sam, chcąc uzyskać ciągłość w opowiadaniu, dodał słów kilkanaście na karcie następnej, czego tu właśnie nie widzimy; czyżby zapomniał?

dla autora pamiętników prawdziwie niedźwiedzia przysługa! Zresztą uwięzienie Daniłowskiego udaremniło całą tę robotę, a kiedy się wreszcie znalazł na wolności, już »Związek patryotów« nie miał co robić. Kilkomiesięczny, przymusowy pobyt na obczyźnie wywrzeć musiał swój wpływ szkodliwy i na naszego wygnańca: »nie może się oswoić z myślą, że mu tutaj długo, może całe życie przyjdzie pozostać; nie chce wierzyć, aby to powstanie, z takiemi nadziejami rozpoczęte, miało się tak skończyć bez rozgłosu, bez sławy, bez korzyści (str. 381), że wszystko, wszystko, co było najgorętszego w naszych pragnieniach młodzieńczych, miało zniknąć i upaść bezpowrotnie« (str. 382). Ten stan umysłu Daniłowskiego a zapewne i wielu innych emigrantów tłómaczy nam dostatecznie narodziny chorobliwych, dla trzeźwego umysłu nieprawdopodobnych nadziei, że po świeżym pogromie, na kurzących się jeszcze zgliszczach można będzie rozbudzić wojnę ludową. Łatwo też pojąć, że taka przewaga fantazyi i uczucia nad chłodnym rozsądkiem połączy podobnie myślących w stowarzyszenie tajne, z którego powstanie następnie jawny już, lecz równie niefortunny »Komitet Reprezentacyjny«. Jaki miał udział w tych emigracyjnych robotach nasz autor i na czem się te rozpaczliwe wysiłki szalonej nadziei skończyły, pouczają nas szczegółowo pamiętniki. Autor kończy swoje opowiadanie pożegnaniem Europy i smutnym, beznadziejnym widokiem pobytu na Syberyi. Na szczęście miał w tem doznać pomyślnego zawodu i po kilku latach wygnania powrócić do Europy a nawet, choć nie na długo, oglądać znowu ukochaną Warszawę. Ale o dalszych losach naszego bohatera powiadomi nas najlepiej własnoręczna notatka[1] wdowy po autorze »Notatek«, śp. Julii z Cyrynów Daniłowskiej, której wymowne swoją prostotą słowa tu przytaczamy:

»*Rok 1895, Karabczyjówka*[2].

»Mąż mój, Władysław Daniłowski za wstawieniem się Mi»lutyna został w r. 1866[3] wywieziony z osobistego rozkazu ce-

[1] Zawdzięczamy ją drowi Augustowi Sokołowskiemu.

[2] Na Podolu w pow. kamienieckim. *(P. w.)*

[3] W notatce zapewne przez pomyłkę podany r. 1864. *(P. w.)*

»sarza do gubernii jenisejskiej, miasta Minusińska. Tam po dwóch »latach oczekiwania na przyjazd księdza odbył się ślub nasz. »Po czterech latach pobytu w Syberyi kazano nam w drodze »łaski przenieść się do gubernii kazańskiej, gdzie naznaczono »nam na miejsce zamieszkania osadę Cywilsk. Osada owa skła»dała się z kilku kupców, a reszta Czuwasze i Czeremisy za»mieszkiwali ową okolicę. Ponieważ nie wolno było mężowi »wydalać się z miejsca, nie mógł mieć praktyki. Żyliśmy z pen»syi 12 rb. miesięcznie, wypłacanej nam od rządu jako szla»chcie; byliśmy prawie w nędzy — i tam przyszli na świat dwaj »starsi synowie[1]. W roku 1872 na mocy manifestu gubernator »kazański wydawał zesłanym pozwolenia powrotu do miejsc »urodzenia i myśmy wrócili do Warszawy. Lecz po trzech mie»siącach Berg kazał mężowi wyjeżdżać w przeciągu 24 u go»dzin, twierdząc, że jako zesłany na osobisty rozkaz cesarza »przez pomyłkę wrócony został, gdyż żaden manifest stosować »się do niego nie może. Tą razą wolno nam było wybierać »miejsce pobytu. Wybraliśmy miasteczko Mceńsk w orłowskiej »gubernii, ponieważ jeden ze współwygnańców doradzał nam »to jako dobry punkt dla lekarza. Pod względem materyalnym »było nam dobrze. Mąż mój, bardzo zdolny i bezinteresowny, »zdobył wielkie uznanie mieszkańców. Na nieszczęście mieliśmy »proces z rządem o majątek mego ojca, który powinien był być »uwolniony od konfiskaty przez manifest, a tylko przez omyłkę »został obiecany jenerałowi Krasnokuckiemu. W roku 1878 »mąż mój wezwany został do Petersburga przez adwokata »w tym interesie. Tam zapewne zaziębił się i zachorował na »gwałtowną chorobę mózgową i po 12 dniach, wróciwszy do »przytomności, umarł na mojem ręku w kwiecie wieku, bo »miał dopiero 36 lat«.

»Notatki do pamiętników« napisał Daniłowski w czasie pobytu na Syberyi w Minusińsku w latach 1867—1872, jak

---

[1] T. j. zmarły przed trzema laty Bronisław, lekarz zakładu hydropatycznego w Ojcowie, i Gustaw, znany powieściopisarz. *(P. w.)*

świadczą własne słowa autora na pierwszej zaraz stronicy opowiadania a zdaje się potwierdzać ten sam na pierwszym i czterech ostatnich zeszytach szary papier z wytłoczoną na sucho firmą fabryczną ФАБРИКИ ГОВАРДЬ И К° Nr 7[1]. Jestto autograf 35·2×22·2 *cm.*, pisany drobnem, niezbyt wyraźnem pismem po obu stronach z pozostawieniem marginesu 5·4 *cm*, zapełnionego niekiedy dodatkami i poprawkami. Arkusze, zszyte po kilka razem, tworzą zeszyty, których jest 24; stronic liczy rękopis 616. Poprawki piórem i (rzadziej) ołówkiem, mazania i przeróbki całych ustępów spotykają się dość często; tu i ówdzie opuszczone litery a nawet całe wyrazy, składnia niekiedy, choć rzadko, niemożliwa. Ze wszystkiego widać, że rękopis jest pierwszym rzutem myśli na papier, brulionem, którego autor nie miał czasu czy też ochoty ostatecznie wygładzić i na czysto przepisać. Wobec tego stanu rękopisu zadanie wydawcy nie było łatwe. Z jednej strony nie wypadało narzucać autorowi własnych, choćby poprawniejszych wyrażeń i zwrotów, z drugiej znów nie podobna było zostawiać wyraźnych błędów, zaniedbań i braków. Ograniczono się do zmian koniecznych: okres np. przydługi, zbudowany wadliwie (brak zdania głównego), przerobiono z jak najmniejszą zmianą na prawidłowy, wyraźne błędy językowe, jak np. czwarty przypadek po przeczeniu, poprawiono milcząco, uzupełnione zaś części wyrazów i całe słowa, jak wogóle wszelkie dodatki wydawcy oznaczono nawiasem prostokątnym []. Podział na ustępy, jako też podanie treści na czele rozdziałów również od wydawcy pochodzą.

Inne, ważniejsze jeszcze nasuwało się pytanie: czy wydać cały pamiętnik, bez żadnych zgoła opuszczeń i kreśleń, czy też wyłączyć ustępy pod względem historycznym obojętne, te, w których autor opowiada o swych doświadczeniach magnetycznych

[1] Zeszyty mają wytoczone na sucho następujące firmy fabryczne ФАБРИКИ ГОВАРДЬ И К° Nr. 7 (zesz. I i XXI—XXIV), ФАБРИКИ НАСЛѢДНИКОВЪ СУМКИНА Nr. 4 (zesz. II—V), КОМПАНІИ УГЛИЧСКОЙ ФАБРИКИ (zesz. VI i VIII), КОСИНСКОЙ ФАБРИКИ РАЗАНЦЕВЫХЪ Nr. 7 (zesz. VII—VIII) ФАБРИКА СЕРГѢЕВА Nr. 7 (zesz. XIV—XVII); zeszyty XIX i XX nie mają żadnego znaku.

lub sprawach sercowych. Co do magnetyzmu, to sprawa przedstawiała się jasno: autor nie tylko opowiada, ale stara się nawet w długich wywodach objaśnić i uzasadniać owe objawy; te więc ustępy nadawały się zdaniem wydawcy do opuszczenia. Inaczej nieco rzecz się ma z dziejami pierwszej i drugiej miłości. Zajmują one (zwłaszcza druga) sporo miejsca w życiu a więc i w pamiętnikach naszego autora, a właściwego materyału historycznego nie przedstawiają; z drugiej jednak strony, przyjąwszy zasadę wyłączania spraw czysto osobistych i prywatnych, musielibyśmy oprócz spraw sercowych opuścić chyba i całą młodość, podróże i wyjazdy, o ile autor kreśli osobiste wrażenia, a może i trzykrotne więzienia i niewiadomo, coby jeszcze musiało paść ofiarą nieubłaganych nożyc wydawcy. Jakby taki przetrzebiony pamiętnik wyglądał, wystawić sobie nie trudno: byłyby to ułamki, mechanicznie sklecone, jakieś bezkształtne ruiny pięknego kiedyś gmachu. Ale pominąwszy trudność, a raczej niemożliwość odłączenia ustępów treści czysto osobistej bez szkody dla całości, to nawet sam wzgląd historyczny zabraniał opuszczać epizody sercowe. Historyka obchodzą nie tylko czyny, wydarzenia i wypadki zewnętrzne, ale i głębsze, wewnętrzne pobudki, usposobienie, charakter działaczy historycznych — słowem cała psychologiczna strona historycznego materyału. A jeżeli u kogo, to u naszego 21-letniego dygnitarza rewolucyjnego pobudki patryotyczne z czysto osobistemi, mówiąc wyraźnie, sercowemi, działają obok siebie, plątają się i krzyżują, a niekiedy nawet drugie biorą górę nad pierwszemi, żeby tu wspomnieć tylko ową romantyczną wycieczkę pod Pułtusk, upozorowaną »jakimś niby organizacyjnym interesem« (str. 143), albo owo umyślne z przyczyny »osobistej« nakładanie drogi przez województwo płockie w powrocie po klęsce nowowiejskiej do Warszawy, do czego się sam autor »ze wstydem« przyznaje (str. 253). Tym razem nawet »osobista« przyczyna pociągnęła za sobę skutek fatalny, bo kiedy nasz autor doświadcza osobiście niewierności kochanki, w Warszawie tymczasem dopuszcza się w jego nieobecności Komisya zastępcza niewierności względem uwielbianego przezeń Mie-

rosławskiego, odsądzając go, w sposób warunkowy, co prawda, od dyktatury. Z tych tedy powodów nie zdało się nam — oprócz opuszczonych ustępów o magnetyzmie — dalej okrawać tych tak ciekawych właśnie pod względem psychologicznym »Notatek do pamiętników«. Rzecz zrobiła się przez to może przydłuższa; ale jeżeli nasz autor grzeszy tu i owdzie zbyt rozlewną szczegółowością, to wynagradza zato barwnym, płynnym i nader plastycznym sposobem opowiadania i zajęcie czytelnika nie tylko nie słabnie, lecz owszem z każdym rozdziałem się wzmaga; »Notatki« Daniłowskiego możnaby śmiało nazwać pamiętnikarską powieścią, gdyby nie to, że treść nie jest wcale zmyślona.

J. C.

I.

Dzieciństwo. — Smierć matki. — Na ławie szkolnej. — Poetyczna gorączka. — Kraszewski. — »Beduin«. — Ukończenie gimnazyum. — Całoroczne wakacye.

Przeszłość moja — tak niedawna, a jednak tak burzliwa, tak pełna wrażliwych dla mnie zdarzeń, jak gdybym wiele już lat walczył z przeciwnościami świata, jak gdybym życia mego dobiegał już kresu. Kiedy myślą w głąb duszy mej sięgam i ubiegłe wywołuję wspomnienia, to zdaje mi się, że wszystko snem tylko było i że się wkrótce przebudzę; ale lata mijają, a sen się nie kończy. Nadeszło, nastąpiło wreszcie przebudzenie bolesne, zdala od swoich, zdala od ziemi rodzinnej.

Przed mojem okiem rozwija się piękna, choć dzika kraina: wyniosłe, skaliste wzgórza, szeroka rzeka, lasy nieprzebyte, a za nimi ciemnieją w dali łańcuchy gór Sajańskich, dotykających się swymi wiecznie śnieżnymi szczytami chmurnych obłoków. To Syberya, ziemia wygnania.

Po tylu gwałtownych przejściach, po tylu burzach życia — spokój; lecz nie ten spokój szczęśliwy — wytchnienie po pracy na łonie familii, wśród przyjaciół i gwaru ziemi rodzinnej. Tu spokój cmentarza, pośród grobowców ubiegłej przeszłości, wśród mogił i trumien zgasłych nadziei i ułud szczęścia. W tej pustyni, trawiącej swoją jednostajnością i tęsknotą, żyje się tylko wspomnieniami. I ja też pragnę wrócić myślą do lat ubiegłych, aby zostawić familii mojej w spuściźnie choć te kilka kart, pisanych zdala od nich na syberyjskiem wygnaniu. Przynajmniej w tych chwilach, kiedy myślą w przeszłość zalecę i wywoływać będę żywe obrazy minionych lat moich, zapomnę może choć na chwilę o tej śnieżnej krainie, w jaką mnie losy zagnały.

Nie chcąc iść ubitą i tak już nazbyt wydeptaną drogą pamiętników, zaczynających zwykle dzieje opowiadacza od jego urodzenia i lat niemowlęcych prawie, drobnostkowo opisując dziecinne fakta, tak mało obchodzące bliższych nawet, a cóż dopiero obcych ludzi, pobieżnie tylko dotknę młodocianych lat moich. Przyjemnie zapewne jest wspominać te słodkie, pierwsze lata życia, pełne spokoju i szczęścia dziecinnego, spędzone przy boku matki. I mnie takoż z radością w sercu przedstawia się obraz małego domku w Sandomierzu, gdzie wraz z bratem, starszym odemnie o lat 2, spędzałem wiek dziecinny, i przypominam sobie z lat młodocianych, jak raz późno wieczorem, przypatrywaliśmy się dalekim, ledwo dającym się rozróżnić łunom za Wisłą. Nie mogłem pojąć smutku starszych, rozpowiadających coś w cichości i ukazujących na te krwawe smugi światła. Dziwiłem się łzom i modłom matki, gdyż wszystko koło nas spokojnem się zdawało, a dalej poza dom nie sięgała moja dziecinna wyobraźnia. Wytłómaczono mi, że te łuny przyświecają rzezi naszych braci w Galicyi.

Wkrótce potem opuściliśmy Sandomierz, udając się do Radomia, gdzie ojca przenieśli na wyższy urząd. Mało byłem zasmucony wyjazdem z rodzinnego miasta, unosząc z niego tylko wspomnienie miejsc górzystych i tak zwanej dolinki, słynnej krwawą a zwycięską utarczką Polaków z Austryakami, gdzieśmy dzieci, igrając na bujnej trawie, znajdywali jeszcze czasem kule i resztki zardzewiałe uzbrojenia poległych bojowników. Drugą rzeczą, co mi się wbiła w pamięć, były obrazy w kościele katedralnym, przedstawiające wyrznięcie kilkudziesięciu księży przez Tatarów i mordowanie dziecka w niewielkiej, kolcami żelaznymi wybitej beczce przez Żydów.

Jakże mi maleńkim wydał się ten Sandomierz, gdym go w kilkanaście lat później odwiedził. Przyjazdu mego do Radomia i wstąpienia do szkół nie będę opisywał, jako rzeczy nie mających żadnego interesu. Muszę jednak wspomnieć o bolesnej i niczem niepowetowanej stracie, jakąśmy ponieśli przez śmierć tak zacnej i prawie świętej kobiety, jaką była nasza matka.

Kończyłem już 4-tą klasę, kiedy ojca na wyższe urzędowanie przenieśli do Lublina, gdzie naturalnie matka i ja z starszym bratem Juliuszem (najstarszy, Jan, był już urzędnikiem w Warszawie) wyjechaliśmy dokończyć edukacyi. Matka moja

oddawna już niedomagała na zdrowiu, nigdy jednak nie przypuszczałem, że tak niedługo rozstać się z nią będę musiał. Napróżno były wszelkie starania nasze, napróżno rady i lekarstwa doktorów: nieubłagana i nieuleczona choroba, suchoty piersiowe, zabiły ją w 43 r. życia. Długo nie wierzyłem temu okropnemu nieszczęściu; byłem już w takich latach, żem dobrze mógł pojąć całą wielkość tej bolesnej i niepowetowanej straty. Teraz jeszcze żywo przed mym okiem stoi ten pokój, zacieniony firankami, to łoże, wysoko wysłane, w którem spoczywała moja umierająca matka — widzę ją jeszcze, jak swemi gorączkowemi oczami szukała nas wkoło siebie, by błogosławić przyszłemu życiu, jak się zmieniła, jak bladła i usta w końcu mówić przestały. Zdawała mi się niepodobieństwem ta śmierć, choć oddawna przewidywana, a jednak tak okropna. Czułem, że zostaję sam prawie na świecie, bo nikt już jak matka kochać mnie nie mógł. Powoli jednak, powoli zwykłym biegiem rzeczy na tym świecie boleść moja przemieniała się na smutne wspomnienie.

Byłem wówczas w 5-ej klasie; prace przeto szkolne wiele pomagały ku uspokojeniu mojemu. Przyznać się jednak muszę, iż więcej, niż naukami, zajmowałem się czytaniem książek wcale nieszkolnych, lecz powieści i romansów tak swoich, jak i cudzoziemskich autorów. Czytanie było prawdziwą namiętnością moją. Dnie i noce całe gotów byłem przesiedzieć nad zajmującą powieścią, podzielając wszelkie przygody bohatera. Czytałem bez wyboru, co mi pod rękę podpadło, co gdzie wydostać mogłem; więc naturalnie ziarna i plewy połykałem jednakowo.

Czytanie to zbyt namiętne książek rozogniało moją wyobraźnię, nadawało memu charakterowi jakiejś nerwowej wrażliwości, nie zawsze właściwej młodemu wiekowi. Pierwszym wpływem tych powieści i romansów, jakie tak chciwie pożerałem moim umysłem, była chęć pisania wrażeń osobistych, nadzieja zostania kiedyś sławnym poetą lub wielkim pisarzem, jak gdyby do tego dość było tylko chęci. Ale młodość nie chce znać żadnych przeszkód, żadnych trudności, nie wie, ile to trzeba przecierpieć, przeżyć i przeboleć, nim się pozna serce ludzkie o tyle, aby je w żywym obrazie choć słabą i bladą kopią oryginału przedstawić. Zacząłem więc pisać w cichości i ta-

nie będę mógł udowodnić mojego powołania ku piśmiennictwu, choć zresztą ojciec mój nie był tym żelaznym starym Szarskim, jak go maluje Kraszewski, lecz zostawił mi wolny wybór stanu; jednakże gdybym ośmielił się wspomnieć o literaturze, robiłby zapewne swoje przedstawienia praktyczne, że literatura chleba nie daje. Co mi tam chleb, myślałem, kiedy ja będę miał sławę! Nie wiem jednak, czybym się był odważył wspomnieć o moich zamiarach, bo młodzieńcza skromność wzbraniała mi powiedzieć tak po prostu: »Ja chcę być poetą,« tak, jak się mówi: »Będę doktorem lub prawnikiem«. Zostawując przeto do czasu skończenia szkół ostateczne rozstrzygnięcie mych życzeń, pisałem tymczasem nie już proste wiersze, ale cały poemat pod tytułem »Beduin«, który na szczęście nigdy nie ujrzał światła dziennego.

Zbliżał się czas ostatecznego egzaminu z 7-iu klas i nawał pracy oderwał mnie na czas jakiś od gorączki poetycznej. Z jakąż to radością czekaliśmy na ów akt uroczysty, w którym nam miano doręczyć patenta ukończonych nauk gimnazyalnych, patenta dojrzałości. Zdawało się każdemu, że już przed nim otwiera się swobodne i szczęśliwe życie, pozbawione kontroli inspektorskiej, że się skończy ta despotyczna władza zwierzchności szkolnej, śledząca każde kroki naszego życia. Teraz my to dopiero odetchniemy piersiami całemi i pokażemy światu, jakich to ludzi więziły mury szkolne! Niestety rozczarowanie prędzej przyszło, niż się spodziewać było można.

Ukończywszy szkoły, śpieszyłem się wraz z kilkoma moimi kolegami do uniwersytetu, do tego ostatniego u nas krańca wykształcenia młodzieży. Wybrałem wydział prawny, ażeby być razem z bratem w Petersburgu, który tam już od dwóch lat na kursa takoż prawne uczęszczał. Wszystko już było przygotowane, papiery potrzebne miałem w ręku, nawet bilet na kuryerkę kupiony, gdy nagle choroba moja wszelkie te zamiary w niwecz obróciła. Doktorzy, wybadawszy, wysłuchawszy i obstukawszy mnie dokładnie, oświadczyli, że mam osłabione piersi i serce bardzo zdenerwowane, a zatem skłonne do choroby sercowej i przeto takiego klimatu, jak petersburski, znieśćbym nie mógł. Radzili przeto zostać na rok w domu, a później wyjechać. Zostałem więc, choć ze smutkiem, w Lublinie.

II.

W Warszawie. — Wojna włoska. — Początki tajemnych kółek i stowarzyszeń. — Przyśpieszenie egzaminów; pierwszy występ towarzystw tajnych. — Listopadowa rocznica w 1859 r. — Zjazd monarchów w Warszawie. — Pierwsza manifestacya. — Pierwsza myśl powstania zbrojnego.

W tymże roku (1858) otworzono Akademię medyczną w Warszawie i były nadzieje, że w krótkim czasie doczekamy się i całego uniwersytetu. Nie miałem ja żadnej ochoty, a tem bardziej powołania do wydziału lekarskiego, gdy jednak zaproponował mi ojciec, czybym, zamiast siedzieć w domu i czekać na otwarcie wydziału prawnego, nie wolał zapisać się na wydział lekarski i zawsze coś skorzystać z nauk przyrodniczych, a jak się otworzy zapewne w przyszłym roku wydział prawny, przejść na prawo, myśl wyjazdu do stolicy zanadto mi się uśmiechała, ażebym nie miał przyjąć tej propozycyi. Wyjechałem przeto do Warszawy i zapisałem się w poczet studentów nowo otworzonej Akademii.

Inne zupełnie życie odemknęło się przed mymi oczami, gdym przywdział ten pełen szacunku mundur z niebieskim kołnierzem. Nie było wprawdzie jeszcze wyrobionego koleżeństwa w tej nowej instytucyi, ale młodzież widziała jego potrzebę, przeczuwała stanowisko, jakie zająć powinna w gronie prawdziwej polskiej młodzieży. Pierwsze zbliżenie się koleżeńskie było wywołane przyjazdem cesarza do Warszawy. Stosownie do rozporządzenia władzy zgromadziliśmy się dość licznie blisko pałacu Łazienkowskiego, gdzie nam wyznaczono miejsce oddzielne. Cesarz jechał konno przy karecie swéj żony, rzucając na nas częste spojrzenia, dziwiąc się zapewne, że w parę tygodni po założeniu Akademii już go witało przeszło 200 akademików. Zaraz po przejeździe cesarskim prawieśmy wszyscy poszli do poblizkiej Doliny Szwajcarskiej, gdzie podburzeni tro-

szkę winem, zaczęły się mowy głośne o jedności młodzieży, o koleżeństwie, o stanowisku narodowem i t. p. Przy rozejściu naznaczyliśmy sobie *rendez-vous* w nowej Arkadyi, aby swą obecnością poprzeć orkiestrę krajową Lewandowskiego, której trudno było rywalizować z Bilsem w Dolinie Szwajcarskiej. Te, aczkolwiek małe fakta, zaczęły jednak ustanawiać solidarność i łączność, oraz zaznajamiać nas między sobą, zaprzyjaźniać i grupować stosownie do usposobień każdego.

Nowe życie koleżeńskie nie uśmierzyło jednak we mnie owej gorączki poetycznej; pisałem ciągle, próbując sił swoich i w prozie, układając powieści i romanse, które szczęściem dla mnie i dla publiczności pozostały między papierami, nieznane światu.

Rok tak upłynął w spokoju, gdy na horyzoncie Europy zaległy chmury, z których wybuchła owa wojna włoska, mająca takie współczucie i taki odgłos w sercach Polaków. Naród niewoli patrzał z tajemną zazdrością na szczęśliwą choć krwawą walkę swoich współbraci w dalekiej Italii. Legiony nasze, jakie się tam utworzyły, budziły żywe zajęcie i wiele nadziei. Gazety były rozchwytywane po cukierniach i z gorączkowem natężeniem czytano o oznakach choć biernej, lecz nieustającej opozycyi Wenecyan przeciw niewoli austryackiej. Zaczęto i u nas, choć z cicha i lękliwie, przebąkiwać, iż czasby było i nam nareszcie pokazać światu, że choć długa niewola przygniotła nas ku ziemi, ale nie zabiła jeszcze.

Pierwsze hasło, jak zwykle, wyszło z grona młodzieży. Poczęto się gromadzić w tajemne koła, nader ostrożnie wybierając towarzyszy swoich, aby się jaki zdrajca nie wcisnął. Celem tych stowarzyszeń, bardzo jeszcze w ciasnem kółku zamkniętych, było rozbudzać w narodzie przez dostarczanie zabronionych książek i broszur ducha niepodległości i pragnienia oswobodzenia się z pod jarzma nieprzyjaciół. Koła takie stowarzyszonych, istniejące oddzielnie, nie złączone z sobą, a nawet nie wiedzące o osobie i o wspólnem istnieniu, tworzyły się już oddawna, lecz dopiero po wojnie włoskiej silniej i energiczniej zaczęły działać. W Akademii medycznej kilku młodzieży, bliżej z sobą żyjących, jak Kurzyna, Jaś[niewski], Asnyk, Majewski i inni utworzyli takie towarzystwo tajemne, wprowadzając z wielką ostrożnością nowych członków li tylko ze studentów Akademii.

Towarzystwo to miało swoją kasę ze składek miesięcznych i swój zarząd z wybranych 5 członków, komitet stanowiących, który przedstawiał swoje sprawozdania i rozporządzał pieniędzmi większością głosów. Pieniądze obracano głównie na książki zakazane a czasem i na wsparcia niezamożnych członków towarzystwa. O istnieniu towarzystwa żaden z nienależących studentów nie wiedział. Powoli przeto zaczęło się rozwijać to tajemne życie konspiracyjne, które tak szybko takie przyjęło rozmiary, że kraj prawie cały ogarnęło.

W tym drugim roku akademickim ważny przynajmniej dla nas, a obchodzący całą Warszawę fakt się zdarzył. Było to jakoś w początkach czerwca 1860 r. Pamiętam, powróciliśmy z ekskursyi botanicznej poza Warszawę. Dwa ogromne sześciokonne omnibusy, każdy zawierający po 60 blizko studentów, zajechało przed wieczorem przed gmach Towarzystwa przyjaciół nauk, gdzie się odbywały kursa akademickie. Wszyscy w jak najlepszych humorach po takim pięknym spacerze, wesoło zeskakiwaliśmy z omnibusów, chcąc się dowiedzieć, czy niema do kogo jakich listów u szwajcara Akademii. Wtem kilku kolegów, co pierwsi wbiegli do przedsionka, zawołali donośnie:

— Chodźcie no, chodźcie wszyscy! Przyjemna nowina jest tu dla nas.

— Co to, co to? — spytało się naraz kilka głosów.

— A co? Egzamina z dwóch kursów naznaczono na pojutrze tak z lekarskich, jak i naturalnych nauk.

— Nie może być! Wszakże mamy ustawę i zresztą nie można ni stąd ni zowąd ogłaszać egzaminów na dzień jeden przedtem.

— Naturalnie, że nie można — ozwał się któryś — ale czytajcie ogłoszenie od prezydenta Akademii.

Ogłoszenie rzeczywiście jak wół wisiało za kratkami

— Tak nie może być! — krzyknęło kilku — My mamy swoją ustawę, przez cesarza potwierdzoną; egzaminów nie może być po dwóch latach, a jeszcze, jak na śmiech, jeden dzień zostawiają na przygotowanie się ze wszystkich przedmiotów.

— Na samą anatomię trza dwa miesiące. To jakaś łapka! Za nic na to się nie zgodzimy!

— Za nic! za nic! — zawołali wszyscy.

— Panowie koledzy! zejdźmy się jutro przed 10-ą w au-

dytoryum głównem i poradzimy, co mamy przedsięwziąć — poradził któryś.

— Zgoda, więc jutro przed 10-ą, przed 10-ą wszyscy!

I rozeszliśmy się, rozprawiając i komentując ten fakt w rozmaity sposób.

Nazajutrz, tłumnie zebrani w Akademii, zaczęliśmy radzić. Po wielu dyskusyach stanęło na tem, że wysłaną zostanie deputacya do prezydenta Akademii, Cecuryna, która przedstawi mu, iż my wstępowaliśmy na innych prawach i nikt nie może wydawać ustawy, któraby wstecz obowiązywała, że, jeżeli nowa ustawa jest (à rzeczywiście wydaną została nowa), to ona może obowiązywać nowo wstępujących, którzy ją przeczytawszy, mogą już wiedzieć, do czego są obowiązani, że my na zmianę ustawy i na takie absolutne egzamina zgodzić się nie możemy i t. p. Jeżeliby zaś deputacya nic nie wskórała, obowiązaliśmy się wszyscy słowem podać do uwolnienia.

Deputacya powróciła z niczem, gdyż Cecuryn zasłaniał się rozporządzeniem ministra, którego nie mocen był przemienić; zachęcał tylko do uspokojenia, uręczając wszelkie możliwe ulgi nam porobić, lecz ustawy nowej naruszać nie miał prawa.

Po zdaniu sprawy przez deputacyę, powstał taki krzyk, szum i wrzawa, że ledwie w pół godziny można było spokojność ustanowić. Głowy nasze, zagrzane odmową, tysiące gwałtownych planów proponowały, aż nareszcie zgodzono się na to, aby jutro wszystkim bez wyjątku zebrać się za Wisłą, na piaszczystych wzgórzach, gdzie nikt nie będzie mógł z policyi temu zebraniu przeszkodzić. Każden miał z sobą przynieść własnoręcznie napisaną prośbę o uwolnienie i złożyć ją w ręce wybranej deputacyi.

Nazajutrz, mimo rozstawionych policyantów, którzy nie siłą, ale oszukaństwem, mówiąc, że nikogo z akademików na wzgórzach niema, że się gdzieindziej zbierają i t. p., chcieli zebranie to w niwecz obrócić, zeszli się prawie wszyscy. Po przeczytaniu listy obecnych, odebrano od każdego prośbę i ponowiwszy słowo honoru, rozeszliśmy się do domu, aby nazajutrz, zebrawszy się w Akademii, plan swój co do podania próśb wykonać.

Całem tem działaniem kierowało owo tajemne towarzystwo, bardzo małe w liczbie, lecz energiczne. Chciało ono tym

pierwszym, choć drobnym krokiem rozpocząć opozycyę z rządem i pokazać mu, że nareszcie nie dozwolimy wywracać wszystkiego, co nam dano jak z łaski, a odbierają z kaprysu. Nie chodziło tu temu towarzystwu o tę lub owę ustawę, gdyż obie były zarówno dobre, ale chciało pokazać i spróbować, czy młodzież nasza zdolna jest w danym razie wystąpić solidarnie z jawną, choć w granicach prawa zamkniętą opozycyą.

Nazajutrz, gdy się wszyscy zebrali, zaczęto po kolei rozdawać prośby i każden miał je osobiście zanieść do kancelaryi. Inspektor, zobaczywszy to, uciekł ze strachu. Złapano jednak podinspektora Zajączkowskiego i zmuszono go, że pozostał w kancelaryi, aby być obecnym przy wnoszeniu próśb o uwolnienie. Widzę jeszcze tę postać, bladą i zmieszaną, subinspektora, stojącego z założonemi rękami przy biurku, na które sypały się gradem owe prośby. Prezydent, który mieszkał na górze, wypadł z gołą głową, napół ubrany, na dziedziniec, gdzie nas dość było, perorując i zaklinając i grożąc po rusku (po polsku nie umiał), aby zmusić do cofnięcia uwolnień. Widząc jednak, że to napróżno, wsiadł do karety i pojechał do namiestnika, uwiadomić go o buncie studentów.

W kilka godzin cała Warszawa o tem już tylko rozmawiała. Jedni ganili zarozumiałość młodzieńczą, krzyczeli, że gubią instytucyę i siebie, gniewają cesarza, który zamknie Akademię i t. d. Drudzy znowu pochwalali ten postępek i podtrzymywali nasze postanowienie, ręcząc, iż bylebyśmy wytrwali, rząd ustąpi. Byliśmy słowem bohaterami dnia owego, chodząc z ożywionemi i podniesionemi głowami po Saskim ogrodzie, zarzucani przez znajomych i nieznajomych tysiącem zapytań.

W nocy władza, myśląc, że represyą zdoła nas przerazić, pochwyciła 12 akademików i osadziła w areszcie w Ordynanshauzie i Cytadeli. Pomiędzy temi 12-oma było i 4-ech deputatów, którzy chodzili do prezydenta. Jeszcze większy krzyk powstał na prezydenta, że śmiał świętą osobę posłów znieważać.

W mieście zaczęły się robić partye między Warszawianami, jedni za akademikami, drudzy przeciw nim. Różni ludzie, obiecujący sobie wpływ na młodzież, przychodzili z namowami, z perswazyami. Zaczęto rozpuszczać pogłoski, że kilku cofnęło prośby, aby słabszych stałość przełamać. Pogłoski te zaczęły się sprawdzać w rzeczywistości; kilku, którzy najwięcej

z początku krzyczeli, cofnęło się, nie chcąc tracić pracy dwuletniej, za ich wiarołomnym przykładem poszło do 20 innych, cała zaś sprawa tem się zakończyła, że więcej niż 180 kolegów albo rozpierzchło się po innych uniwersytetach, w Kijowie mianowicie, a druga część pozostała za karę na tym samym kursie, podczas gdy tak zwani »zdrajcy« przeszli na kurs III-ci.

Odtąd powstało rozdwojenie między kolegami i kursowi III-emu żaden z nas ani ręki nie podawał, ani się nie kłaniał. Rozdzielono się na dwie partye: tych, co cofnęli prośby i przeszli na kurs III-ci, zwano białymi, a tych co pozostali, nie chcąc się cofać, czerwonymi. Zaciętość była taka, że dopiero pamiętne wypadki 61 roku zlały te dwie partye przy zgodzie ogólnej w jedno ciało.

Z aresztowanych kolegów wszystkich wypuścili, prócz Kurzyny i Jaśniewskiego, z których pierwszy wywieziony został na mieszkanie do Lublina, a drugi do jakiegoś innego małego miasteczka. Częste miewaliśmy dyskusye w Lublinie z J. Kurzyną, którego zimny rewolucyonizm nie zupełnie przypadał do mego egzaltowanego, poetycznego trochę usposobienia. W miesiąc coś po przywiezieniu do Lublina Kurzyna, jak to się mówi, jednego pięknego poranku drapnął za granicę i opisał całą tę akademicką sprawę w »Przeglądzie rzeczy polskich«. Później Kurzyna został głównym współpracownikiem Mierosławskiego, lecz o tem później nam jeszcze wypadnie mówić.

Uszczuplone grono kolegów po tej katastrofie akademickiej połączyło się ściślejszym węzłem. Towarzystwo owo tajemne, na czele którego stanął K. Majewski, silniej wzięło się do dzieła, rozszerzając zakres swych działań i nie ograniczając się już jedynie rozszerzaniem książek, rozbudzających ducha narodowego. Któż nie przypomni sobie z tych, co byli członkami towarzystwa, obchodu w 1859 r. rocznicy rewolucyi listopadowej, kiedy to w dzień ten zgromadzone całe towarzystwo w dość obszernym pokoju na 4 piętrze u Zamojskiego obchodziło patryotycznymi śpiewami rocznicę listopadową? Piosnki te, pobudzające i tak już rozgorączkowane dusze nasze, przeniosły mnie na skrzydłach fantazyi w owe oczekiwane dnie swobody i szczęścia. Stoją mi jeszcze przed oczami owe wieczorki »czwartaków« (studentów i młodzieży, co na 4 piętrze

u Zamojskiego mieszkali), na których śpiewał rozogniony Władzio Wolski z kilku kolegami, deklamował początkujący poeta T. Komar, grał swoją fantazyę Dulken, a wszystko to w pokoju, natłoczonym słuchaczami i ciemnym od kłębów dymu tytoniowego. Najbogatsze jednak magnackie reuniony pozazdrościłyby nam wesołości i zabawy. Po każdym takim wieczorku powracałem do siebie, upojony wrażeniami i muzyką, odurzony marzeniami, budujący nie zamki, lecz szczęście kraju całego na skrzydłach młodzieńczej wyobraźni. Tak jak prawie każdy młodzian, któremu czytanie Mochnackiego »Historyi powstania«, nabiło głowę planami konspiracyi i przygotowań rewolucyjnych, tak i ja cały tylko zaprzątniony byłem myślą zdobycia wpływu w naszem tajnem towarzystwie i zreformowania go na czysto rewolucyjne sprzysiężenie. Ale nieśmiałość moja długo stawiała tamę moim zamysłom. Napróżno kilka razy pisałem mowy i uczyłem się ich na pamięć, napróżno przygotowywałem pojedynczo kolegów do reform, jakie należałoby uczynić w stowarzyszeniu; kiedy przyszło na ogólnem zebraniu wystąpić, cywilnej odwagi brakło. Miałem wprawdzie tylko lat 20, dość zatem czasu do zahartowania umysłu.

Stowarzyszenie akademickie, choć znacznie więcej dobrało członków, nie rozszerzało się jednak poza obręb studencki. Jeden tylko K. M[ajewski], moralny niejako naczelnik tego stowarzyszenia, miewał stosunki z uczniami Szkoły sztuk pięknych, również stowarzyszonymi, i z naczelnikami kilku oddzielnie istniejących kółek cywilnej młodzieży. Przez niego więc tylko kierowało się to stowarzyszenie do ogólnego niejako działania, jakie w przyszłości miało wyniknąć[1]. W następnym 1860 r., choć je-

[1] W 1860 roku, choć w małym fakcie, zaczął przejawiać się ten żywioł malkontencki, rozbudzony tajnemi towarzystwami; bo choć zawsze on istniał w naszym narodzie, lecz nie miał odwagi wydobycia się na jaw. Cała Warszawa pamięta, kiedy przyjechał cesarz, aby przyjmować koronowanych gości, cesarzowi Austryi i królowi Prus okazywano lodowate przyjęcie, zaś ks. Napoleona witały radosne okrzyki ludu. Kółka tajemne młodzieży, szczególnie Szkoły sztuk pięknych, przeprowadziły swój program niechętnego przyjęcia cesarza, zabraniając chodzenia na iluminacye i polewając kwasem siarczanym suknie niewypełniających rozkazu, jak również w czasie spodziewanej bytności cesarza i jego gości w teatrze rozlano w sali taką masę siarkowodoru, który rzucono z paradyzu, że widowisko musiało zacząć się koło 10 wieczór.

szcze tajone wzburzenie rozprzestrzeniało się i rosło co chwila. Wszyscy czegoś oczekiwali, wszędzie czuć się już dawał jakiś stan nienormalny, gorączkowy — czekano tylko hasła; lecz nikt go wydać nie śmiał: taki tam jeszcze strach przebytego teroryzmu panował. Młodzież Szkoły sztuk pięknych paliła się z niecierpliwości, pragnąc jawnie z manifestacyą wystąpić; postanowiono nadchodzącą rocznicę listopadową uroczyściej i jawniej obchodzić. Postanowiono wezwać miasto do udziału. W tym też celu Szkoła sztuk pięknych w porozumieniu z naczelnikami naszego stowarzyszenia zamówiła nabożeństwo żałobne u Karmelitów na Lesznie za poległych w tym dniu bohaterów, na którem mieliśmy się wszyscy znajdować.

Z pewnem wrażeniem szedłem na to nabożeństwo, czując, jakby nowe jakieś, nieznane jeszcze wstrząśnienie miotało mem sercem. W kościele zebrało się niewiele młodzieży z różnych stanów; nie wiem, czy liczba ich przenosiła 200, w większej części uczniowie Szkoły sztuk pięknych i Akademia. Kilka dewotek i starych ludzi siedziało w ławkach, ze zdziwieniem patrząc na te szeregi młodzieży, szykujące się przy ołtarzu. Niektórzy z pobożnych, przewidując może, że tu się na coś niebezpiecznego zanosi, wynieśli się szybko z kościoła. My tymczasem czekaliśmy w skupieniu ducha na zapowiedziane nabożeństwo. Czekamy pół godziny, godzinę: księdza żadnego ani widać; zakrystyan pogasił świece, wszyscy wyszli z kościoła prócz nas, młodzieży. Zaczął się szmer w kościele, różne przypuszczenia, niespokojności. Kilku pobiegło do zakrystyi — księdza niema, tylko zakrystyan, który oświadczył, że policya zabroniła odprawiać żałobnego nabożeństwa, pod jakimby to nie było pozorem. Uczniowie Szkoły sztuk pięknych, skupiwszy się razem, poszeptali coś między sobą i jakby za danym znakiem posunęli się ku wielkiemu ołtarzowi, uklękli i jeden z nich zaintonował »Święty Boże!«, przemieniając słowa »Wybaw nas od wojny!« na »Wybaw od niewoli!«.

Dzisiaj, po tylu krwawych scenach, po tylu szalonych czynach odwagi, mały ten fakcik nie zasługiwałby na żadne wspomnienie. Ale wówczas był to pierwszy głos nie kryjomo, nie wśród nocy, ale jasno i otwarcie, jak grom, z piersi młodzieży dobyty i wzywający niebo o oswobodzenie z niewoli.

Kiedy pieśń już przebrzmiała, wyszliśmy z kościoła. By-

łem przekonany, że u bram świątyni czeka już na nas szpiegująca policya. Na ulicach jednak było pusto. Rozeszliśmy się w milczeniu, otrzymawszy od uczniów Szkoły sztuk pięknych zaproszenia na wieczorne zebranie przed tymże samym kościołem. Wieczorne zebranie było jeszcze liczniejsze; młodzież, ośmielona pierwszem powodzeniem, olbrzymio postępowała w odwadze. Fronton kościoła, figura Matki Boskiej oświecona była lampami rzęsiście. Tłum ciągle się powiększał publicznością uliczną. Kiedy zgromadzenie dość się już liczne pokazało dla przewódców owej schadzki, zaintonowano po raz pierwszy ową pieśń »Boże, coś Polskę«, która później cały kraj miała obiedz, zapalając serca płomieniem patryotyzmu. Za tą pieśnią, jawnie na ulicy śpiewaną, zanucono nieznany nam jeszcze prześliczny, pełen dzikiej energii chorał Ujejskiego »Z dymem pożarów«. Po skończeniu śpiewów zaczęto rozdawać przygotowane umyślnie przez Szkołę sztuk pięknych portrety Kościuszki i Kilińskiego, owego prawdziwego trybuna ludu warszawskiego, i modlitwy, drukowane po raz pierwszy na jakiejś tajemnej drukarence ręką widać niewprawną i lękliwą. Zapał i rozgorączkowanie młodzieży doszło do tego stopnia, że uszykowawszy się w szeregi, puścili się ku środkowi miasta, śpiewając całemi piersiami ów tak drogi sercu polskiemu śpiew: »Jeszcze Polska nie zginęła«.

Kiedy na ulicach Warszawy rozległ się donośnym echem ów śpiew, wstrząsający duszą do głębi, przestrach objął spokojniejszych mieszkańców Warszawy. Zaczęto zamykać okiennice, sklepy, cukiernie, policya pouciekała z postów, gdzie orszak przechodził — zdawało się, że krok tylko jeszcze, i rewolucya wybuchnie. Śpiew jednak ucichł spokojnie, zostawiając tylko długie i wrażliwe wspomnienie w sercach młodzieży, które miało niedługo wybuchnąć czynem i rozlać się po kraju całym krwi potokami.

Wszyscy rozeszli się do domów prócz akademików, którzy pośpieszyli do jednego z kolegów, gdzie jak corocznie, obchodzono jeszcze rocznicę dnia listopadowego. Obchód ten naturalnie był więcej ożywiony epizodami dnia tego. Wiele nadziei, życzeń i toastów zostały wypowiedziane, zakończając się, jak zwykle, pieśniami narodowemi.

Nazajutrz cała Warszawa tylko o wczorajszym dniu opo-

wiadała, tworząc tysiące przypuszczeń i planów. W parę tygodni jednak i rozmowy ucichły, a miasto pozornie wróciło do swego zwykłego spokoju. Mówię: pozornie, bo skryte działania towarzystw tajemnych nabrały nowej siły i energii po tym pierwszym, pełnym powodzenia występie. Zaczęto ściślej zawiązywać stosunki tak w kraju, jak i za granicą. Uczniowie Szkoły sztuk pięknych zaczęli w swojem stowarzyszeniu budować już nawet plany powstania. Nasze zaś towarzystwo z małym tylko wyjątkiem bardzo jeszcze umiarkowanie zapatrywało się w przyszłość, w dość jeszcze dalekiej stosunkowo do Szkoły sztuk pięknych perspektywie widząc ostateczny kres pracy powstanie, nie myśląc jeszcze o żadnych materyalnych przygotowaniach do niego. Gorętsi członkowie naszego stowarzyszenia, do których i ja należałem, pragnęliby do energiczniejszych czynów je popchnąć, ale głosy nasze były tylko pojedynczymi głosami, ginącymi w ogólnym nastroju umiarkowania, w jakiem stowarzyszenie utrzymywał K. M[ajewski]. Zdawało im się, iż po tak głośnem wystąpieniu można już zakres stowarzyszenia rozszerzyć. Ale inaczej się stało. Po owym dniu listopadowym wszystko wróciło do swego zwykłego stanu; Szkoła tylko sztuk pięknych rzuciła się gwałtownie do pracy konspiracyjnej, wciągając powoli i klasę rzemieślniczą do swych zamiarów. Z czem, kiedy i jak mieli wystąpić, kryło się to w głębokiej tajemnicy, o której zapewne tylko naczelnicy wiedzieli.

Ja tymczasem, rozgorączkowany tymi nowymi wypadkami i przymusowem wyczekiwaniem, zapadłem na zdrowiu tak, że przy nadchodzących świętach Bożego Narodzenia wyjechałem na odpoczynek do ojca do Lublina.

III.

W Lublinie. — Choroba. — Pierwsza miłość. — Echa dnia 25 lutego 1861 w Lublinie. — Wyjazd do Warszawy.

Głównie dokuczało mi osłabienie ogólne i choroba serca, jak się później pokazało, czysto nerwowa, dosyć mnie mordowała, tak, że czas jakiś byłem przekonany, że chwile moje są już policzone. Nieraz, pamiętam, w nocy, gdym dostawał silnego ataku bicia serca, siadałem na łóżku, czekając śmierci od pęknięcia serca lub zalania mózgu krwią z jakiej rozerwanej arteryi. Życia jakoś niebardzo żałowałem, żal mi tylko było, że żadnego wspomnienia, żadnego śladu po sobie zostawić nie mogę. W chwilach takich zwątpienia o wyzdrowieniu gorączkowo przeglądałem papiery, czy między memi pismami nie znajdzie się choć jeden urywek poetyczny, któryby rzucił choć iskrę żalu i wspomnienia po zawcześnie zgasłym młodzieńcu. Teraz jednak, kiedy uczucie patryotyzmu rozbudzone żywiej zaczęło grać w moich piersiach, zapragnąłem się leczyć, aby krajowi w przyszłej jego walce choć jako żołnierz prosty być pożytecznym. Wyobraźnia moja w owym czasie doszła szczytu swego rozgorączkowania; wiele na to musiało wpływać i osłabienie sił fizycznych i całego organizmu. Nieraz, korzystając z nieobecności ojca, przepędzałem noce prawie całe na pisaniu i wykończaniu różnych prac poetyckich, osłabiając się tem bardziej, lecz uczuwając zarazem jakieś nieokreślone szczęście tego stanu zdenerwowanego, całego w marzeniach ułudnych i snach niebiańskich. Ten stan rozdrażnienia pociągał mię do tysiącznych pragnień, a najbardziej do tego wiecznego pragnienia młodzieńczego wieku, do miłości czystej, świętej i wiecznej. Och! chciwym byłem ukochania jakiejś istoty pięknej, wzniosłej i szlachetnej, którąby pojąć mogła moje gorączkowe serce

i rozmarzoną duszę; chciałbym jej złożyć u stóp całą poezyę młodego życia i tylko w jej oczach szukać nagrody i szczęścia. Tyle się już naczytałem, namarzyłem i napisałem o kochankach ciemnowłosych z pięknemi jak niebo oczami, z anielskim uśmiechem i twarzą smętną, żem pragnął choć jedną taką spotkać na tym ziemskim padole.

Raz tak zadumany w piękny, choć lutowy poranek, przechadzając się po pustym spacerowym ogrodzie Lublina i przyglądając się bezwiednie obnażonym z liści drzewom, napotkałem nagle na zawrocie alei młodą, piętnastoletnią zaledwie panienkę, która wyprzedziwszy dwie, podeszłe już, towarzyszące jej panie, szła powolnie ku mej stronie ze spuszczonemi ku ziemi oczami. Spojrzałem na nią prawie mimo chęci. Pod małym, zgrabnym kapelusikiem opuszczały się ciemne włosy w puklach, gładko zaczesanych, i ocieniały białe czoło, twarz przyjemna, matowo blada, pokryta jakąś gazą nieznanej smętności; oczy spuszczone, dawały się przyjrzeć niezwyczajnie długim, ciemnym i pięknym rzęsom. Gdy się zbliżała ku mnie, podniosła oczy — och! oczy wielkie, ciemnoszafirowe, głęboko patrzące jakiemś łagodnem, pełnem tęsknoty światłem. Ujrzawszy mnie, zatrzymała się na swe towarzyszki, opuściwszy oczy, zmieszana troszeczkę, a ja rzuciłem się, nie wiem dlaczego, w boczną aleję, cały zapłoniony. Przeleciawszy kilka ścieżek, skierowałem się znów tak, aby ową nieznajomą spotkać. Ukryty za gęstym klombem, który mimo braku liści nie pozwalał mię dostrzedz, przypatrywałem się jej, gdy przechodziła. Och! pomyślałem sobie, jakże piękna i ile tam w tych oczach nie zatlonego jeszcze uczucia się mieści: gdybym to ja był tak szczęśliwy i ogień tych oczów ku sobie mógł rozpalić!

Wróciwszy do domu, o niej tylko myślałem. Całą noc we snach jej postać pływała nademną. Widzę, szepnąłem, obudziwszy się rankiem, że ona jest tą, którą w marzeniach mych widziałem; czy tylko odpowie temu uczuciu, jakie czułem, że się w mem sercu gwałtownie rozwija? Następnych dni starałem się ciągle spotykać z swoją młodą i piękną nieznajomą. Dowiedziałem się o jej mieszkaniu i zaczęła się zwykła peregrynacya pod oknami kochanki. Dzisiaj zabawnem mi się wydaje owo nagłe uczucie i całe wrażenie, jakie mnie przejmowały, ale wówczas było to tylko naturalne i szczęśliwe. Przez kilka

tygodni wciąż tak śledziłem moją ukochaną, spotykając ją to w ogrodzie, to na ulicy, to w kościele, a często w oknie, koło którego jak planeta koło słońca krążyłem. Dowiedziałem się już jej imienia a nawet jeden z moich znajomych, U., proponował mi wprowadzenie do tego domu, ale mi brakło jeszcze odwagi zobaczenia się z nią tak blizko i odkładałem to na później. Uważałem, że panienka spostrzegła moje ustawiczne jak cień chodzenia za nią i nie okazywała na to zbyt rozgniewanej miny. Ja tymczasem idealizowałem ją w swych marzeniach i wierszach, zapalając swe serce coraz to gwałtowniejszym płomieniem. Pragnąłem jednak jakimkolwiek sposobem dać jej poznać swoje uczucia. Pisanie listu zdało mi się za śmiałe, bo mogła go nie przyjąć, lub przyjąć dla żartowania ze mnie, a śmieszności bałem się więcej, niż wszystkiego. Po długim nareszcie namyśle postanowiłem jeden z napisanych do niej sonetów przesłać do dziennika »Magazyn Mód«, jaki wiedziałem, że jej krewni utrzymują, aby tam, przeczytawszy go, dowiedziała się o mych uczuciach. Ponieważ wiersz oznaczony pierwszemi głoskami i takiemiż podpisany, w krytycznym przeto jakim wypadku mogłem się autorstwa wymówić. O ile pamiętam ów wierszyk, przytaczam go tutaj.

Do W. F.

Powiedz mi, Pani, czy chociaż przez chwilę
W snach się Twych czystych postać ma zjawiła,
Za cierpień tyle, za uczucia tyle
Czyś choć raz w życiu o mnie zamarzyła?
Czy gdym ośmielił spojrzeć się w Twe oczy,
Uczułaś serca przyśpieszone bicie?
O raz, pamiętam, miałem sen uroczy:
Śniłem, żeś za mną Ty westchnęła skrycie.

W. D.

Posławszy wierszyk do »Magazynu Mód«, rachowałem z niecierpliwością dnie i godziny, w których on mógł się ukazać w dzienniku i być czytanym przez moją ukochaną.

Z Warszawy tymczasem odebrałem list od jednego z moich kolegów, który pod wielką tajemnicą donosił mi o przygotowaniach, czynionych przez Szkołę sztuk pięknych a w części i nasze tajemne towarzystwo do obchodu, o ile pamięć mnie nie zwodzi, rocznicy bitwy grochowskiej, wzywając mnie,

abym przyjechał do Warszawy, jeżeli jako członek Towarzystwa pragnę przyjmować udział w tym obchodzie. Wahałem się długo, co począć, lecz miłość przemogła, a co głównie, to to, że nie przypuszczałem, żeby obchód ten zamienił się w tak głośną i wielką manifestacyę, której rozgłos po całym kraju przeleciał, bo wtedy, mówiąc szczerze, nie wiem, czyby mnie co mogło w Lublinie zatrzymać. Zostałem więc, obiecując jednak na sam 25 lutego być w Warszawie.

Nadszedł nareszcie dzień, w którym wedle mego wyrachowania, powinna była pani mego serca otrzymać dziennik z wydrukowanym do niej wierszykiem. Dnia tego byłem bardziej rozdrażniony, niż zwykle; tysiące myśli przelatywało mi po głowie, najrozmaitsze plany układałem na tle mojej miłości. Po południu, jak zwykle, wyszedłem na miasto, kierując się ku jej domowi, wiedząc, że w owej godzinie zwykle ją siedzącą u okna widziałem. Dość daleko jeszcze od domu ujrzałem ją a raczej domyśleć się tylko mogłem, że to ona, bo rysów jeszcze dojrzeć nie było można. Dzień był tak piękny, że lufcik, przy którym siedziała, był otwarty. Och, myślałem sobie, czeka mnie; mój Boże, musiała już czytać i na jej tęsknem czole ujrzę promień miłości, a przynajmniej gwiazdę nadziei. Zbliżałem się powoli, chcąc wybadać w jej oczach wyrok mój ostateczny. Zdawało mi się, że gdy się pod samo okno zbliżę, ona cicho szepnie mi jakieś słówko pociechy, miłości może, lub choć spojrzeniem nagrodzi męczarnie tak długiego i niespokojnego oczekiwania. Kiedym nakoniec zbliżył się i przechodził pod samem oknem, ona podniosła oczy, spojrzała przelotnie na mnie i — o rozpaczy! — głośnym i przeciągłym zachichotała śmiechem. Jak piorunem rażony, przeleciałem mimo okna, zagłębiłem się w jakąś boczną ulicę, uciekając coraz dalej od jej domu, a śmiech ten wesoły gonił mnie bez ustanku jak syczenie piekielnego gadu. Przebiegłszy kilka ulic i ochłonąwszy nieco, wróciłem do siebie, rzucając na nielitościwą tysiące przekleństw. Zacząłem się zaraz wybierać do Warszawy, co nader zdziwiło ojca, który kilka razy mi już wspominał, że czas jechać do Akademii, a ja zawsze niezdrowiem się wymawiałem. Ułożyłem się nakoniec z ojcem, że za kilka dni wyjeżdżam. Po nocy jednak bezsennej, którąbym długo musiał opisywać, chcąc ją dokładnie przedstawić, zacząłem chłodniej całą rzecz rozważać. A może ona

nie ze mnie się śmiała? Może tylko to szczególnym wypadkiem się zdarzyło i t. p.; a zwłaszcza, gdy jeszcze dostałem »Magazyn Mód« i zobaczyłem, że odmówiono umieszczenia mego wiersza jako zbyt egotycznego, jak się wyraziła redakcya, uspokoiłem się zupełnie, zwracając swój gniew na redakcyę, która mego wiersza, nie gorszego wcale od tych, jakie się często na szpaltach »Magazynu« pojawiają, odmówiła umieścić, przez jakąś osobistość lub intrygę i t. p. Żeby jednak nie narażać się na podobne od mej panny przyjęcie, jak wczorajsze, postanowiłem ukarać ją i przez parę dni pod jej oknem nie spacerować. Nie wiem jednak, czybym tę karę, gorszą bez kwestyi dla mnie, niż dla niej, wypełnił, gdyby nie ból zębów gwałtowny, a głównie ich leczenie mnie w domu nie uwięziło. Bo jako student medycyny, chcąc się sam wyleczyć, zacząłem tak często przykładać chloroform i bezwiednie nocą, rozespany, wąchać go, a nawet połykać, że gdym się rano podniósł, to zaledwie mogłem zrobić kilka kroków, jak głowa mi się zawróciła, podłoga jakby wysunęła z pod nóg i padłem zemdlony. Ocucono mnie, zaprowadzono do łóżka, lecz nim doszedłem do niego, powtórnie zemdlałem. Posłano po doktorów, którzy, poznawszy przyczynę choroby, zaczęli mnie różnymi środkami przyprowadzać do siebie, a ponieważ zatrucie chloroformem nie było silne, w kilkanaście godzin przyszedłem zupełnie do siebie; tak jednak byłem osłabiony, żem nie mógł już tego dnia krokiem się z domu ruszyć. Nazajutrz osłabienie znacznie się zmniejszyło, a nawet prawie zupełnie ustało, pozostało tylko nerwowe rozdrażnienie w wysokim stopniu. Podróży jednak mej nie odkładałem, tracąc nadzieję uzyskania jakiego znaku, któryby mnie o wzajemności mojej najdroższej przekonał, a zaznajamiać się już osobiście było późno.

Wiadomości także z Warszawy szeptały głuche wieści o jakiemś starciu ludu z wojskiem, o rannych i poległych z obu stron, ścierających się z sobą. Było to 26 lutego 1861 r. Poczta jeszcze nie przyszła i żadnych pewnych wieści nie można było otrzymać, czuć jednak było w powietrzu jakieś groźne chmury, które tam daleko nad stolicą kraju miały się rozpaść gromami. Wieczorem otrzymaliśmy gazety i ustne nowiny o wypadkach, zaszłych 25 lutego w Warszawie. Całe miasto, poruszone i niespokojne, rozprawiało i opowiadało nowe szczegóły o tym dniu krwawym.

Młodzież kupiła się w tajemnicze grupy, czekając, jakie dalej hasło wyda Warszawa. W gazetach ogłaszano urzędowe obwieszczenie, że garść młodzieży, zebrana w kościele Augustyanów[1], wyszła z niego wieczorem z chorągiewkami i pochodniami i śpiewając buntownicze pieśni, ruszyła ku placu zamkowemu. Policya z pomocą żandarmów rozprószyła ten tłum niespokojny i uspokoiła miasto. Dalej ogłaszano od policmajstra zabronienie podobnych zebrań i t. p.

Inaczej trochę działo się w rzeczywistości. Nie garść, ale kilkuset młodzieży, do której przyłączyło się parę tysięcy rzemieślników Starego Miasta, zebrało się wieczór w kościele. Policya wiedziała o tem zebraniu, lecz nie miała rozkazu przeszkadzania, jeżeliby zebranie po modlitwach spokojnie się rozeszło; miała tylko rozkaz aresztowania wszystkich tych, którzyby z jakiemikolwiek godłami, znaczkami rewolucyjnymi lub pochodniami się pokazali. Nikt w tłumie nie miał żadnych oznak, policyanci przeto nie brali się czynnie do rozpraszania zgromadzonych. Nigdzie nie zdawało się być żadnych przygotowań do tryumfalnego marszu, jaki był w tajemnych plakatach w wilię dnia owego zapowiedziany. Ulica była pusta, wóz tylko jakiś, naładowany staremi rzeczami, stał niedaleko kościoła. Nagle młodzież tłumnie wyszła z kościoła, rzuciła się ku owemu wozowi i w jednej chwili przed zdziwionemi oczami ogłupionej policyi zabłysły chorągwie z Białymi Orłami, i Pogonią, przywitane szalonym i przeciągłym okrzykiem zgromadzonych. W parę minut pozapalano pochodnie, wyjęte z wozu, i oświecono transparent z Orłem Białym i Pogonią, który miał jeden ze Szkoły sztuk pięknych, i orszak cały ze śpiewami ruszył ku placowi zamkowemu. Ruszyła się i policya z oberpolicmajstrem na czele, wstrzymując, rozpraszając i aresztując, ale tłum postępował zwolna, choć słaby zaprawdę dając opór policyi i broniąc się tylko, a nie naciskając. Policmajster T[repow] z dziwną zaprawdę odwagą sam jeden rzucił się w tłum, to grożąc, to prosząc o rozejście się, pokazując, że silny oddział żandarmów konnych z podniesionymi pałaszami gotów do szarży. Tłum jednak się nie rozchodził, rosnąc w siłę i odwagę. Nareszcie dano znak żandarmom, zatętniały kopyta, zabłysły pałasze i oddział żandarmów ze swymi błyszczącymi kaskami w całym pędzie rzucił się

[1] O. O. Paulinów *(P. w.)*.

na zgromadzonych. Młodzież wytrzymała pierwszy atak, rzucając rozpalone pochodnie w oczy koniom i broniąc się chorągwiami. Opór naturalnie był krótki; po małej chwili tłum zaczął się rozpraszać, zostawiając kilku rannych, tak mężczyzn jak i kobiet, na placu.

Taki mniej więcej był obraz owej pierwszej rzeczywistej już manifestacyi. Szczegółów tych jednak nie mieliśmy jeszcze w Lublinie, najrozmaitsze przeto pogłoski krążyły o warszawskich wypadkach. Lotem ptaka chciałbym się tam znajdować, zapominając, lecz tylko na chwilę, o torturach sercowych. Pogłoski te burzące na mój organizm podziałały jak narkotyk odurzający, wpędzając mnie w stan egzaltowanego marzycielstwa, pełnego słodkich, patryotycznych nadziei.

Nazajutrz zacząłem się przygotowywać do drogi, bilet na kuryerkę jutrzejszą był już kupiony, ostatni przeto już dzień miałem przepędzić w Lublinie. Na miasto jeszcze nie wyszedłem od owej chwili, myśli moje znów zwróciły się do mego miłosnego przedmiotu. »Muszę ją już opuścić — myślałem — czyż ujrzę ją kiedy w życiu?« a zadumawszy się nad losem mego uczucia, »Czy też ona choć trochę uczuła moją kilkudniową nieobecność?« wyszeptałem i powoli, coraz bardziej zagłębiając się w marzenia, widzę ją jakby we śnie, choć nie spałem, jak biedna, blada, niespokojna, z okiem gorączkowo ognistem, wlepionem w stronę, z której ja przychodziłem, czeka, szepcząc niezrozumiałe wyrazy; później jak gdyby niby dzień jeszcze jeden przeminął, i znów ją widzę przy temże samem oknie, zmienioną, z rozpuszczonymi włosami i okiem, nieruchomo wlepionem, w szaleństwie rzucającą się w rękach trzymających ją osób, wymawiającą jakieś słowa, a w tych słowach oderwanych zdawało mi się słyszeć wymawiane moje imię. Obraz ten takie na mnie wywarł wrażenie, że zerwawszy się z fotelu na równe nogi, wrzuciłem mundur na siebie i wybiegłem na ulicę. Zaledwie kilkanaście kroków przeszedłem po ulicy, spotkał mnie mój przyjaciel U. T.

— Cóż ty taki blady? — zapytał.

— Byłem chory i nie wychodziłem nigdzie — odrzekłem, nie zatrzymując się wcale.

— Ale zaczekajno — zawołał U., wstrzymując mnie za

rękę — wiesz, co się stało w mieście? A to nieszczęście, taka młoda panienka...

— Co takiego? — zawołałem, zwracając się nagle ku niemu.

— Jak to? Nie wiesz? Panna W. F. dostała pomięszania zmysłów.

O mało nie padłem na ziemię.

— Kiedy? Jak? Mów przez litość!

— Dziś przed paru godzinami siedziała przy oknie, zaczęła coś krzyczeć, śpiewać i zwaryowała.

— Nie może być! — szepnąłem.

— Och! Ty niby nie wiesz, a wszak wiadomo wszystkim, żeś chodził, jak cień, za nią; musiała i ona się w tobie rozkochać. Wyznaj, możeście się poróżnili i ona...

— Wszak dobrze wiesz, że ja tam nie bywam — przerwałem mu — i nigdy z nią i dwóch słów nie mówiłem.

— Prawda i to; dziwny wypadek. A słyszałeś o Warszawie? Kiedyż jedziesz?

— Słyszałem. Jadę jutro — odrzekłem machinalnie i ścisnąwszy go za rękę, ruszyłem szybko ku jej domowi.

Zmierzchało się już. Okno, w którem ją widywałem, zapuszczone było firanką białą, poza którą można było rozróżnić migający się blask świecy. Przeszedłem się kilka razy, a nie chcąc zwracać na siebie uwagi mieszkańców, udałem się niby z pożegnaniem do kilku znajomych mi domów, a głównie dla zebrania szczegółowszych wieści o tym smutnym wypadku. Wszędzie jednakowe mi dawano szczegóły, że nagle, siedząc przy oknie, dostała obłąkania; powodów nie wiedziano, choć gdzieniegdzie rzucano na mnie za moje gwałtowne dopytywanie się ciekawe i domyślne spojrzenia.

Wieczorem wróciłem znów pod owo nieszczęśliwe okno. Było już ciemno i pustki na ulicy. Poza oświeconą firanką widać było błąkające się cienie, usługujących widać chorej. Przysunąłem się blizko do ściany, przykładając prawie ucho do okna, chciwy każdego szmeru, i nagle usłyszałem tęskny, choć dziki i urywany głos mojej obłąkanej, nucącej jakąś piosenkę, której słów nie mogłem dosłyszeć. Głos ten jak sztyletem uderzył mnie w serce; odskoczyłem od okna i pobiegłem ku bramie domu, chcąc wejść do mieszkania i słowami mojemi wró-

cić ją do zdrowia. Na szczęście wiatr chłodny owionął moją rozgorączkowaną głowę i rozwaga przyszła do umysłu. »Z jakiejże racyi — pomyślałem zimniej — mogę być tyle i tak dziwnie zarozumiałym, aby przypuszczać, że ta młoda i piękna panienka, z którą i słowa nie mówiłem, która nawet nazwiska mego może nie zna, dostała pomięszania zmysłów z rozpaczy, że ja od kilku dni pod jej oknem się nie pokazuję? Zaprawdę, trzeba mieć dużą dozę fantazyi młodzieńczej i zarozumiałości, aby rzeczom takim wiarę dawać«. I wróciłem się do domu, choć tłómaczenie to niezupełnie mnie zadawalniało, bo taki dziwny zbieg wypadków, to obłąkanie, prawie przewidziane przezemnie, ten napad szaleństwa przy temże samem [oknie] mogły mi wówczas przy moim stanie jeszcze przewrócić trochę w głowie, zwłaszcza, że i nie ja jeden tak myślałem. I dziś jednak, choć przyznaję to wszystko za szczególny zbieg wypadków, nie mający z memi ówczesnemi przypuszczeniami żadnego związku, nie składałbym jednak przysięgi, czy wszystkie przypuszczenia moje były bez żadnej podstawy. Zawsze to zresztą pozostanie dla mnie niemałą wątpliwością, choć w tem widzę tylko zbieg wypadków.

Całą noc następną przepędziłem w snach gorączkowych, widząc to powstanie Warszawy, to obłąkaną moją kochankę na łożu śmierci, pogrzeb jej nawet, jak ja ją potem z grobu wykopuję, przywracam do życia i uciekam z nią w świat daleki — tysiące słowem widziadeł. Wstawszy jednak, chłodniej rozpatrzyłem się w tej rzeczy; nie czułem nic na sumieniu, cobym sobie mógł wyrzucać. Żal jej było jednak bardzo i postanowiłem podróż moją odwlec jeszcze, jeżeli można, choć na dni parę. Nie wiedziałem jednak, jakimby to sposobem bez zwrócenia na siebie uwagi zrobić: sam przedtem gwałtem już chciałem wyjeżdżać, kursa dawno się już rozpoczęły, zdrowie się poprawiło, bilet kupiony. Miałem znów tyle jeszcze zdrowego rozsądku, że ani myślałem powiedzieć, że p. F. dostała z miłości ku mnie obłąkania i muszę czekać, aż wyzdrowieje. Pozostawał jeden środek — spóźnić się niby niechcący na pocztę: kuryerka odejdzie, zostanę się jeden dzień, a później — zobaczymy.

Wyszedłszy na miasto, niby jeszcze z pożegnaniami, wróciłem dopiero przed pierwszą do domu (a kuryerka odchodziła

punkt o pierwszej) niby pakować rzeczy; wszystko jednak, zastałem już upakowane i ojciec niecierpliwie mnie oczekiwał od kwadransa prawie. Kazałem rzeczy odnieść na pocztę, a sam siadłem do obiadu, obiecując sobie długo przy nim się zabawić. Ojciec wyszedł za rzeczami, aby ułatwić formalności pocztowe, a ja miałem zaraz pośpieszyć. Po jakiej dobrej półgodzinie, kiedy już przypuszczałem, że kuryerka z milę oddaliła się od Lublina, wyszedłem z domu szybkim krokiem, śpiesząc się ku poczcie. Niedaleko poczty był dom mej ukochanej; szedłem przeto, nie patrząc przed siebie, zadumany, z oczami wlepionemi w owo okno, zasłonione firankami, któremi z dala błyszczało, gdy nagle zatrzymał mnie głos ojca zagniewany:

— A też guzdrzesz się i guzdrzesz z tem wybraniem! Pół godziny już kuryerkę przetrzymaliśmy dla ciebie; podziękuj oto temu panu, bobyś dziś nie wyjechał.

Podniosłem oczy i — o nieba! — kuryerka stała przedemną; pasażerowie siedzieli na miejscach, pocztylion klął na opóźnienie, a jakiś młody urzędniczek kłaniał mi się grzecznie szepcząc, że tylko dla mnie, jako dla akademika, wiedząc, że mogę być potrzebnym w Warszawie w tych wypadkach (widać należał do jakiegoś kółka tajemnego), zatrzymał tak długo dyliżans.

— Dziękuję Panu — szepnąłem przez zęby, rzucając na niego niebardzo przyjazne spojrzenie, i siadłem do dyliżansu, poprosiwszy jednak obecnego tam U. T., aby mi doniósł na drugą pocztę o chorobie p. W. F., gdyż wyznałem mu nakoniec, że mnie ona mocno obchodzi.

Trąbka się odezwała, klaśnięto z bicza i szybko pojechaliśmy ku rogatkom. Przejeżdżając koło okna nieszczęśliwej dziewicy, rzuciłem bolesne i badawcze spojrzenie, ale prócz firanki białej nic dostrzedz nie mogłem.

W kilka minut byliśmy już za miastem.

IV.

Pięć ofiar. — Wybór Delegacyi. — Arcichiewicz. — Wygląd miasta. — Delegacya. — Nastrój Warszawy. — Sąd autora o Delegacyi. — Pogrzeb pięciu poległych.

Zacząłem machinalnie przypatrywać się towarzyszom mej podróży. Naprzeciw mnie siedziało jakieś podeszłe już małżeństwo z zasmuconemi twarzami, rozmawiając ciągle o chorobie nagłej syna i czy go jeszcze żywego zastaną; obok był jakiś kupiec mojżeszowego wyznania, przeglądający notatki handlowe. Zbliżaliśmy się do pierwszej stacyi za Lublinem. »Czyby się tu nie zostać — pomyślałem — i kryjomo wróciwszy do Lublina, czekać rezultatu choroby mej ulubionej?« Zajęty temi myślami, wszedłem na stacyę, gdzie zastałem jakiegoś niemłodego obywatela, rozpowiadającego coś z żywością o Warszawie moim kompanionom podróży.

— Tak, Panowie — kończył narrator — Warszawa w tej chwili jest w rewolucyi. Wojsko ustąpiło. Lud się rzucił na zamek i ratusz. Słyszałem strzały armatnie, wyjeżdżając z Warszawy, gdyż mnie śmiertelna choroba żony powołuje na wieś — dodał nawiasowo. — Utworzyła się delegacya z obywateli miasta, która wszystkiem zarządza. Namiestnik oddał jej całą władzę w ręce.

— Nie może być, co Pan mówisz? — zawołałem, odurzony temi wiadomościami.

— Słowo honoru daję — odrzekł pośpiesznie, obracając się ku mnie, a ujrzawszy mój mundur studencki, wykrzyknął:

— Ach! Pan jesteś akademik! Jedź pan, jedź do Warszawy, tam akademicy główną rolę grają. W ich rękach cała policya i straż miasta, dzień i noc patrole, złożone z akademików i uczniów Szkoły sztuk pięknych, przebiegają ulice miasta dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa.

— A cytadela, czy wzięta, czy nasza?

— Nie, do cytadeli cofnęło się wojsko i moskiewscy czynownicy. Namiestnik tylko został na zamku, a Delegacya...

— Jakże to wszystko się stało i kiedy? — przerwałem mu.

Zaczął mi opowiadać, jak 27 lutego koło godziny 1 z południa na pogrzeb zgromadził się tłum ludzi do OO. Bernardynów na Krakowskiem Przedmieściu, jak kozacy zaczęli zebranych nahajkami rozpędzać. Wielu skryło się do kościoła, a część wpadła na trotuary pod dom Orgelbranda i stała spokojnie, przypatrując się gonitwom kozackim. Tymczasem z zamku wyszły dwie kompanie piechoty i uszykowały się w szeregach o kilkanaście kroków od zebranego niewielkiego tłumu, który coraz się powiększał przybyszami z poblizkich uliczek. Jenerał Zabołocki, komenderujący ową piechotą, zaczął krzyczeć po rosyjsku o rozejście się. W takim chaosie, jaki zawsze panuje w ulicznem zebraniu, niewielu go słyszało, a jak niektórzy mówią, nie wzywał nawet do rozejścia. Publiczność stała spokojnie nawprost wojska, tylko ulicznicy, jak zwykle, stroili swoje żarty. Nagle żołnierze opuścili karabiny i zaczęli nabijać broń.

— Co to jest? Co to się znaczy? — zaszeptano w tłumie.

— Eh! to nic — odparł ktoś w tłumie — chcą widać strzelać ślepymi ładunkami, aby nas hukiem przestraszyć.

Wojsko tymczasem w cichości wypełniło rozkaz. Tłum się uciszył na jedną sekundę tak, że można było bliżej stojącym słyszeć głuchy odgłos żelaznych stempli, przybijających ładunki. Nagle wojsko cofnęło się kilka kroków, wyleciał krótki jakiś, niedosłyszany rozkaz od dowódcy, złożono się miarowo z chrzęstem karabinami i rozległ się donośny huk wystrzałów. Na chwilę cisza grobowa zaległa, a potem kilka jęków jakby z pod ziemi dało się słyszeć, a w ślad nich długi krzyk i wrzawa wzburzonego tłumu.

— Zabici! zabici! — odezwały się tysiące głosów i blade, zakrwawione trupy wynurzyły się z tłumu, niesione na rękach współbraci.

Wojsko po tym krwawym czynie stało jak osłupiałe, nie przeszkadzając podnoszenia rannych i zabitych. Młodzież podniesione z ziemi zamordowane ofiary poniosła na swoich barkach do hotelu Europejskiego. Przed hotelem stał oddział konnicy, tamując drogę, ale rozsrożony tłum, krzycząc: »Miejsca

dla poległych! miejsca dla pomordowanych!«, rzucił się między szeregi; konnica rozstąpiła się na dwie strony, przepuszczając krwawe ciała zabitych, które złożono w wielkiej górnej sali hotelu Europejskiego. Miasto całe wrzało z oburzenia, gromadnie odwiedzano ciała poległych, wydając okrzyki skargi i zemsty. Trudno wyobrazić sobie, co za wzburzenie owładnęło całem miastem. Na ulicach i placach porobiły się zbiorowiska ludzi, rozprawiających z zapałem i z grozą o tym krwawym wypadku; ze wszystkich stron ciśniono się do hotelu Europejskiego, aby własnemi oczami ujrzeć pięć nieszczęsnych ofiar, które wpół obnażone dla pokazania krwawych miejsc, gdzie ich kule raziły, leżały jako wymowne swą grobową majestatyczną ciszą świadki ucisku.

Namiestnik tymczasem, czy mało mając wojska, czy chcąc załagodzić ten niespodziewany, niewłaściwy, teroryczny postępek, wezwał do siebie kilku więcej wpływowych ludzi, jak Z., K.[1], z propozycyą, aby miasto wybrało delegacyę i taż Delegacya, której on czasowo daje całą władzę, zajęła się uspokojeniem miasta, jak i urządzeniem uroczystego pogrzebu poległym. Jakie tam chęci i powody kierowały namiestnikiem, trudno odgadnąć i nie nam to wypada skarżyć się na owe rozporządzenia.

Taki był stan rzeczywisty Warszawy, choć go nam ów obywatel w innej nieco i pożądańszej formie opowiadał. Musieliśmy się żegnać i siadać do dyliżansu, gdyż pocztylion oddawna już nas przyzywał. Wiadomości te odrazu prawie wybiły mi z głowy miłosne moje afery. Wspomnę tu tylko dla ciekawości, że obłąkanie owej panienki skończyło się we dwa ty-

---

[1] Zbyteczna może dodawać, że autor w opowiadaniu d. 27 lutego 1861 jest tylko mniej lub więcej wiernem echem nieprawdziwych w znacznej części pogłosek, obiegających wówczas Warszawę. Owymi Z. i K. mogliby być tylko Andrzej Zamojski i Leopold Kronenberg lub wreszcie Józef Kenig. Otóż stwierdzić trzeba, że naprzód Gorczakow nikogo wogóle z »wpływowych ludzi« dnia tego do siebie nie wzywał, następnie, że Zamojski był wprawdzie i to dwukrotnie późnym wieczorem u namiestnika, ale z własnego popędu, a raczej wskutek uchwały szlachty, u niego zgromadzonej, po 3-cie, że ani Kronenberg ani Kenig udziału w deputacyi do Gorczakowa nie mieli, po 4-te namiestnik nie mógł i nie uczynił »propozycyi«, »aby miasto wybrało delegacyę«, gdyż sami deputaci byli wysłańcami istniejącej już delegacyi, której zresztą Gorczakow żadnej władzy nie dał, gdyż skończyło się na obopólnem wygadaniu się. *(P. w.)*

godnie najkompletniejszem wyzdrowieniem i że ją później spotkałem w Warszawie, lecz już prawie żadnego na mnie wrażenia nie zrobiła. Pokazuje się, że miłość moja nie była prawdziwem uczuciem serca, a tylko egzaltacyą wzburzonego i chorobliwego umysłu.

Jechaliśmy tak czas jakiś w milczeniu, zajęci słyszanemi wieściami, gdy mój towarzysz podróży, przysunąwszy się do mnie, zapytał:

— Nie zna Pan czasem w Warszawie syna mojego, Arciszewskiego[1], ucznia z gimnazyum?

— Nie, Panie, nie mam tej przyjemności.

— A może Pan ma jakie wiadomości, kto tam — zawahał się chwilę niespokojny — kto tam jest ranny?

— Nic nie wiem, pierwszy raz słyszę o wypadkach warszawskich!

— Bo to widzi Pan, otrzymałem dzisiaj rano sztafetę z Warszawy, w której mi piszą, że syn mój nagle zachorował niebezpiecznie i abyśmy z żoną przyjeżdżali natychmiast, jeżeli go jeszcze chcemy zastać przy życiu! Coby się mu stać mogło, kiedy na dzień przed sztafetą otrzymaliśmy list od niego, gdzie nic o chorobie nie wspomina, owszem zdrów jak najbardziej? Czy on czasem może... może nie ranny? — szepnął ciszej, mieniąc się na twarzy. — Może Pan co słyszał?

— Przysięgam Panu, że nic a nic! — przerwałem. — Ale cóż w sztafecie piszą?

— Czytaj Pan — i podał mi list, przywieziony przez kuryera. — W sztafecie nic więcej nie było nad to, co wspominał.

— E! niech się Państwo nie martwią — rzekłem, pocieszając ich, zwłaszcza, że żona tego pana zalała się łzami — syn Państwa nie musi być tak słaby, kiedy w wilię sztafety sam pisał.

— Tak — szepnęła matka — ale te zabójstwa w Warszawie... może on... — i nie mogła dokończyć, łkając gwałtownie. — To nasz jedyny syn — zajęczała przez łzy.

— Ależ on żyje — rzekłem — przecieżby nie pisali w prze-

---

[1] Wedle Przyborowskiego (Historya dwóch lat, II, 47) nazywał się Michał Arcichiewicz i był uczniem klasy czwartej gimnazyum realnego (*P. w.*).

ciwnym razie; może ranny i to nie ciężko ranny, koledzy jego się przestraszyli, wysłali sztafetę — i zacząłem ich uspakajać.

Dojeżdżaliśmy do stacyi. Tam znów nowe wiadomości, powiększone olbrzymio, jak zwykle w takich razach. Zabitych liczono do kilkuset, wojsko opuściło Warszawę, na ulicach barykady, słowem na każdej stacyi nowe spotykaliśmy wieści, jedne zbijające się przez drugie. Z gorączkową niecierpliwością oczekiwałem tej chwili, w której naocznie zobaczę to oswobodzone miasto. Siedziałem ciągle u okna, patrząc, czy nie ujrzę kuryerów z narodowemi kokardami, ogłaszających o powstaniu Warszawy i wzywających lud do wzięcia za broń. Tak przejechaliśmy noc. Byliśmy już tylko o jakie kilka mil od Warszawy, wtem nagle kuryerka zatrzymała się i pocztylion zaczął kogoś rozpytywać się o wypadki. Wyskoczyłem zaraz na ziemię, a za mną p. Arciszewski. Przed nami stał wóz pocztowy, z którego woźnicą rozmawiał pocztylion; my przysunęliśmy się do powozu. Wysiadł zaraz z niego wysokiego wzrostu mężczyzna.

— Pan z Warszawy? — zapytałem. — Cóż się tam dzieje? Czy to prawda, że wojsko ustąpiło? — i tysiące zapytań rzuciłem mu odrazu.

— Prawda, prawda po większej części; ot masz Pan rozkaz od Delegacyi, który dziś na wszystkich rogach ulic poprzybijano — i podał mi niewielki plakat drukowany, z podpisami 7-iu członków Delegacyi, wzywający mieszkańców do spokojnego zachowania się.

— Namiestnik do niczego się nie miesza; policya ustąpiła zupełnie. Koledzy Pana, akademicy, utrzymują porządek miasta — i zaczął nam opowiadać mniej więcej znane już fakta.

— A dużo osób zginęło? — zapytał p. Arciszewski. — Podobno kilkuset?

— Och, nie, pięciu tylko.

— Nie wie Pan czasem ich nazwisk? — spytał niespokojnie.

— Wiem niektóre; oto został zabity obywatel Karczewski, młody Rutkowski, dwóch jakichś rzemieślników i piąty, młodziutki chłopaczek, uczeń z gimnazyum, jakiś Arcichowicz czy Arciszewski.

— O Boże! to mój syn — szepnął, zachwiawszy się tak silnie, że aż go podtrzymałem, by nie upadł.

— To syn Pański? — wyrzekł nieznajomy z politowaniem — och, nie byłbym mówił, gdybym wiedział.

— Domyślałem się tego — wyrzekł Arciszewski, blady, jak ściana. — Nie mów Pan nic matce — dodał, zwracając się ku mnie — bo się jeszcze rozchoruje przed przybyciem na miejsce.

Ochłonąwszy nieco, poszliśmy do kuryerki, gdzie oczekiwała nas nieszczęśliwa matka. Nic jej o tej bolesnej stracie nie wspomnieliśmy aż do samego przyjazdu.

Wieże i gmachy Warszawy pokazywały się już w oddali. Badawczem okiem szukałem na nich sztandarów lub godeł rewolucyjnych, nic jednak dostrzedz nie mogłem. Z daleka miasto miało zwyczajny swój charakter. Wjechaliśmy już w rogatki; na odwachu nie było żołnierzy, lecz rewizorowie ze swymi zielonymi kołnierzami wyszli, jak zwykle, ku dyliżansowi; każden jednak miał czarną kokardę przy furażerce. Zażądano paszportów; trochę mnie to zdziwiło. Mego jednak paszportu nie oglądano.

— Pańskiego paszportu nam nie trzeba — wyrzekł jakiś urzędnik rogatkowy — my teraz od Panów zależymy, policya w rękach panów akademików. A niech Pan kokardę żałobną przypnie, inaczej nie można chodzić po mieście.

Przebyliśmy most nareszcie, wjeżdżając w miasto. Spojrzawszy tylko na ulice miasta, odrazu można było poznać, że coś niezwykłego porusza mieszkańców. Tłumy ludu ożywione snuły się po placu Zygmunta i Krakowskiem Przedmieściu. Kobiety w żałobie grubej, mężczyźni z krepą na kapeluszach lub kokardami czarnemi przy czapkach.

Ani jednego policyanta na ulicy.

Rzuciłem wzrok ku odwachowi przy Bernardynach: niestety, wojsko tam stało; więc to nie rewolucya jeszcze. Kilka jednak kroków dalej rozweselił moje oczy widok patrolu akademickiego. Nie mogłem wysiedzieć w dyliżansie, wyskoczyłem na ulicę przywitać się z kolegami. Na ulicach w kilku otwartych na oścież magazynach panny sklepowe rozdawały darmo szarfy i kokardy żałobne. Czapka moja w jednej chwili okrytą została czarną krepą z kokardą i ruszyłem dalej

z naszym patrolem na Warszawę przy ożywionej rozmowie o dniach ubiegłych.

Oto, com się dowiedział:

Delegacya, wybrana naprędce z obywateli miasta w liczbie 7-iu, ma naczelny zarząd nad całą Warszawą. Porozumiewa się ona z namiestnikiem przez jen.-policmajstra Pauluccego. Posiedzenia delegacyi odbywają się w Resursie wielkiej, gdzie jest i nieustające zebranie w dolnych apartamentach akademików i uczniów Szkoły sztuk pięknych, którym głównie wraz z pomocą wielu innej młodzieży oddano patrolowanie i strzeżenie miasta. Delegacya zajmuje się uorganizowaniem konstabli z obywateli miasta, nad którymi z ramienia Delegacyi ustanowiony będzie odrębny komitet. Pogrzeb uroczysty 5-ciu poległych za kilka dni miał się odbyć. Zbieraniem składek na pomnik zajął się oddzielny komitet pomnikowy, także z ramienia Delegacyi ustanowiony. Najważniejszą jednak nowiną było zbieranie podpisów na adres do cesarza, zredagowany przez jednego z członków Towarzystwa rolniczego, upominający się w skromnych, lecz pełnych godności wyrazach o prawa dla narodowości naszej.

Nachwytawszy się tych nowin po drodze i mając naznaczone zebranie na południe w Resursie, gdzie miano wyznaczać patrole nocne na miasto, pobiegłem do kościoła św-go Krzyża, gdzie były złożone ciała poległych. Straż przed kościołem trzymali młodziutcy uczniowie, nie przepuszczając wielkiego tłumu dla obawy ścisku, lecz ja dzięki mundurowi wszedłem bez zwłoki do tej wspaniałej świątyni. Pięć trumien, ubranych wspaniale kwiatami i krzewami, stało poważnie rozłożone w zaciemnionym żałobnymi kirami kościele. Tłum ciągły przechodniów napełniał świątynię, z religijnem skupieniem przypatrując się ciałom poległych. Zbierano składki na pomnik dla tych ofiar tak w kościele, jak i w różnych publicznych miejscach Warszawy. Entuzyazm patryotyzmu na każdym kroku wytryskał ze wszystkich serc polskich. Kto nie miał pieniędzy, rzucał pierścionki, krzyżyki lub inne ozdoby złote i srebrne. W parę dni zebrano na ulicach do 100.000 zł. polskich. Serca tak były przepełnione żalem i nadzieją, tak skłonne do czynów poświęcenia i miłości, że każden projekt zbawienny, każden plan szlachetny przyjmowano jednozgodnie i bez namysłu prawie.

Wówczas to nastąpiła owa zgoda z wyznawcami Mojżesza, których od tej pory zaczęto zwać Polakami wyznania mojżeszowego. Wówczas to Towarzystwo rolnicze głosowało braterskie projekta dla włościan, nie przyjęte, niestety, przez władzę rządową.

Posłuszeństwo dla Delegacyi i wszystkiego, co nosiło charakter władzy narodowej, było niesłychane. Tysiączne tłumy ustępowały na rozkaz młodziutkiego ucznia Sztuk pięknych lub akademika, którzy za całą powagę i siłę mieli zawieszoną szarfę na ramieniu lub kartę konstablowską na czapce. Tegoż dnia wieczorem byłem na zebraniu w Resursie kupieckiej, otoczonej strażą młodzieży, gdzie tylko wolne wejście mieli prócz Delegacyi, stanowiącej naczelną władzę, konstablowie, akademicy, uczniowie Szkoły sztuk pięknych, Marymontu i t. p., oraz ludzie, wprowadzeni tam za zaręczeniem zaufanych. W dolnych salach zebrana, chciwa nowin publiczność czekała nieraz po kilka i więcej godzin na protokół z czynności Delegacyi, który co dnia wieczorem był ogłaszany. W dużej sali na lewo było zebranie nasze akademików i Szkoły sztuk pięknych jako wydział straży miejskiej i ulicznego porządku.

Tegoż dnia wieczorem przeznaczony wraz z kilku innymi kolegami na dyżurnego w Resursie, siedząc w niej coś do 2-ej z rana, napatrzyłem się na całą gorliwość patroli konstablowskich, posuniętą, prawdę mówiąc, aż do śmieszności. Każdy bowiem z naczelników patrolu, przebiegając ulice, każdego prawie późno wracającego człowieka zatrzymywał, badał, skąd wraca i gdzie bywał, a przy najlżejszem jakiemś podejrzeniu, najczęściej tylko w głowie konstabla wylęgłem, odprowadzał do Resursy, gdzie naturalnie rzecz się natychmiast wyjaśniała i aresztowanego odprowadzano z przeproszeniem do domu. Te jednak przesady gorliwości, te egzageracye służbowe łatwo wytłómaczyć w młodzieży, której pierwszy raz rzucono na barki bezpieczeństwo stolicy. Patryotyzm, rozbudzony po tak długiem uśpieniu, musiał się przejawiać często w zbyt przesadnych wyskokach, nieszkodliwych zresztą nikomu.

Czego jednak tak gorliwie szukały patrole i czego się obawiała Delegacya, trudnoby zaprawdę teraz odgadnąć; wolimy powiedzieć przeto: Oto patrole szukały broni, oręża, lękano się, czy kto czasem tajemnie nie uzbraja ludu warszaw-

skiego, gdyż Delegacya bała się powstania przedwczesnego. Ciż sami młodzieńcy, którzy w rok później sprowadzali z narażeniem życia oręż wszelkiego rodzaju i przygotowywali lud Warszawy do przyszłej walki, wówczas z zajadłą gorliwością odbierali nawet noże rzeźnickie i aresztowali ludzi, którzy śmieli się głośniej odezwać o przyjaznej chwili do powstania i o ataku na Cytadelę. Jednego nawet z tych gorętszych ludzi, który wyszedł na ulicę z pistoletami, jako ajenta-prowokatora, sprzedanego Rosyi, odesłano do Cytadeli. Niestety ajent ten prowokator wysłany został na Syberyę.

Że Delegacya, wybrana naprędce z ludzi, jacy pierwsi podpadli na oko, złożona z żywiołów nie tylko nie rewolucyjnych, ale wprost umiarkowanych, justmilierów, półśrodkowców, jako to z bankierów, literatów, starych obywateli, nie umiała zupełnie skorzystać ze swego położenia i że jej jedynem hasłem było *bon mot* Rozena: »Wszystko przyjmować, ale z niczego nie kwitować«, to się i czemu dziwić nie wypada. Ale że młodzież, ten najgorętszy żywioł kraju, dał się tak długo powodować temu wbrew przeciwnemu jej kierunkowi, to trzeba tylko tłómaczyć tem zaślepieniem w posłuszeństwie tej po raz pierwszy wynikłej władzy narodowej, posłuszeństwem tak silnem, że w wielu z młodzieży na zawsze prawie przytłumiło ono ten ogień, popychający do szalonej energii i czynu.

Delegacya po krwawych wypadkach 27 lutego, złożona z członków, pośpiesznie wybranych w Resursie kupieckiej przez niewielką ilość zgromadzonych, złożona była z ludzi, z których żaden w wilię owych wypadków nie wiedział, czy istnieją jakieś towarzystwa, które pracują nad przebudzeniem kraju. Ludzie ci, mało z sobą związani, nie mogli sobie zdać sprawy z położenia kraju i z tego, co oni to mianowicie mają czynić. Nie chcemy tutaj rozbierać wszystkich czynności Delegacyi, a tem mniej srodze ją krytykować, bo wiadomo, jak snadno jest wykazywać błędy faktów ubiegłych; chcemy owszem wytłómaczyć Delegacyę przed zarzutami partyi t. zw. ruchu, do której i sam należałem.

Delegacya nie stawiała się i nie mogła się stawić jako komitet rewolucyjny powstającego narodu, a tylko jako chwilowa władza pośrednicza między między ludem a namiestni-

kiem. Jako dobrzy patryoci, gdyż nikt, myślę, nie odmówi patryotyzmu i poświęcenia Delegacyi, starali się skorzystać ze swego położenia i wymódz jak największe ustępstwa dla kraju w zarządzie administracyjnym. Ustępstwa administracyjne dla kraju były jedyną dążnością Delegacyi. Nie czując się na siłach do otwartej walki z namiestnikiem, dyplomatyzowała z nim, udawała uległość jego życzeniom i wystawiała się jako niezbędna pomocnicza władza do uspokojenia wzburzonego ludu. Ile tylko razy namiestnik nie chciał spełnić przedstawień Delegacyi, Delegacya groziła rozwiązaniem; w odpowiedzi na to Paulucci, pośrednik między Delegacyą i namiestnikiem, przywoził potwierdzenie projektów Delegacyi. Był czas, kiedy każdy prawie protokół kończył się tym zwrotem: »Ks. namiestnik z uwag takich i takich odrzucił projekta Delegacyi. — Delegacya, zważywszy, że i t. d. podała się o zwolnienie. — Ks. namiestnik przyjął projekta. — Delegacya cofnęła swoje rozwiązanie“. Widać było z tego, jak Gorczakow lękał się Warszawy, jak mu chodziło o utrzymanie Delegacyi. Delegacya wprawdzie niewiele wymagała i była dość dobrem narzędziem do uspokojenia niebardzo już później wzburzonego miasta.

Gdyby na miejscu ówczesnych delegatów stanęli ludzie energiczni, zdecydowani na wszystko, wytrawni rewolucyoniści i mający jeszcze powagę kraju, czyby rzeczy te tak samo się skończyły, jak przy tej Delegacyi? Trudnoby na to z wszelką pewnością odpowiedzieć, że wypadki manifestacyjne przemieniłyby się w rewolucyę. Bo jakże mało było rewolucyjnego żywiołu w Warszawie! Większa część młodzieży była prawą ręką Delegacyi. Część jej tylko nieliczna stała w opozycyi, i to w opozycyi niemej, nie wychylającej swej głowy poza obręb swych towarzystw, chyba w nagłych i krzyczących wypadkach. Gdyby na Delegacyę wywierała parcie młodzież rewolucyjna, domagająca się żywszego działania, grożąca śmiało tej umiarkowanej kuryi, obradującej z jenerał-policmajstrem, i popychała ją naprzód płomiennym wirem swego patryotyzmu, to i ta delegacya alboby zmieniła się w inną, albo, co pewne, ustąpiła swego miejsca żywiołowi rewolucyjnemu. Ale żywiołu rewolucyjnego nadzwyczaj jeszcze mało było w Warszawie. Wiele serc pragnęło czegoś więcej

nad to, co Delegacya obiecywała, wiele głów gorętszych występowało czasem z żywszym okrzykiem, lecz wszystko to nikło w ogólnym duchu biernego oporu i cierpliwego wyczekiwania łask cesarskich. Co głównie można zarzucić Delegacyi, to wyrobienie tego nieszczęśliwego przekonania, że oporem biernym wszystkiego dokażemy, że moralna rewolucya przywiedzie nas z czasem do niepodległości. Ten opór bierny, ta manifestująca się tylko ciągle postawa narodu odbiła się nieszczęśliwie i w samem już powstaniu, które niektórzy nazywali krwawą także manifestacyą. Lecz czy nawet i ten zarzut na jednej tylko Delegacyi spoczywa?

W usposobieniu więc, w przekonaniach i pojęciach, jakie unosiły się wówczas nad Warszawą, sądzimy, że niewiele co więcej zrobiliby i ludzie rewolucyjni, chybaby wystąpiły na scenę jakieś wielkie zdolności, które potrafiłyby te masy do reszty rozbudzić, uszykować, a później rzucić do czynu. Pisząc to, nie mamy na myśli natychmiastowego powstania, ale tylko roboty przygotowawcze do wybuchu.

Poświęciwszy tych kilka słów Delegacyi, wracamy do dalszych wypadków.

Wieczorem, a było to w wilię pogrzebu 5-ciu poległych, kiedyśmy już byli zmieniani przez nowych dyżurnych, wpadł nagle jeden z wysłańców Delegacyi, niosąc tylko co wydrukowane proklamacye, w których Delegacya zabraniała pokazywać się na ulicach z bronią w ręku. Każdy, co był przeciwny temu ogłoszeniu, miał być uważany za zdrajcę kraju. Powodem tej proklamacyi miało być jakieś tajemne doniesienie o podwiezieniu Wisłą kilkunastu beczek z bronią, którą natychmiast rozdano ludowi. Proklamacye te, polecono natychmiast, abyśmy rozdali do rozlepienia po ulicach. Proklamacya ta dość dobre zrobiła wrażenie na części gorętszej młodzieży, dając do myślenia, że kiedy broń tajemnie przywożą i rozdają, to się na coś ważnego zabiera. Jak się pokazało potem, pogłoska ta była całkiem fałszywą.

Nazajutrz od samego już ranka wielki ruch na ulicach Warszawy pokazywał, że miasto przygotowuje się do czegoś niezwykłego i pełnego uroczystej wielkości. Był to dzień owego pamiętnego pogrzebu poległych. Kto nie był wówczas w Warszawie, kto nie widział tego tryumfalnego, pełnego wzniosłej powagi pogrzebu, jakim naród oddawał cześć ofiarom

lutowym, ten tylko bardzo słabe może mieć wyobrażenie z opisów, w pismach peryodycznych umieszczonych. Od samego ranka liczne patrole narodowe i straż bezpieczeństwa miasta, z żałobnemi szarfami, pilnowali porządku na natłoczonych ludem ulicach. Główniejsze gmachy i domy, koło których miał przechodzić orszak pogrzebowy, obite były czarnem suknem z białymi krzyżami. Żadnego żołnierza, żadnego policyanta nie było ni śladu na ulicach. Jeden tylko jen.-policmajster z 6-iu strażakami ogniowymi otwierał pochód. Jen.-policmajster, jak i 6-ciu owych żołnierzy straży ogniowej, mieli okryte kaski krepą czarną, a przy ramionach kokardy żałobne. Dziwne zaiste było patrzeć na władzę naczelną policyi rządowej, okrytą żałobą narodową.

Czy rząd rzeczywiście żałował tego, co zrobił? czy się lękał narodu? Mówiono nawet, że jen. Zabołockiego, który strzelał, oddano niby pod sąd. Poza policmajstrem wszystkie korporacye, zakony, instytucye naukowe, cechy rzemieślnicze, księża katoliccy i protestanccy, rabini żydowscy w swych śmiertelnych koszulach i duchownych strojach — słowem wszystkie stowarzyszenia w grubej żałobie, na właściwych im miejscach ustawieni, postępowali wolnym krokiem. Za nimi niesiono na barkach pięć czarnych trumien, na których leżały wielkie palmy i cierniowe korony, znaki męczeństwa. Na każdej trumnie wybite było srebrnymi gwoździkami nazwisko poległej ofiary. Na żałobnej poduszce za trumnami niesiono takie same palmy. Stutysięczny tłum ludu towarzyszył w porządku temu orszakowi. Porządek był niesłychany w tak wielkiem zgromadzeniu. Wrażenie, jakie ten pogrzeb robił na każdego, niepodobne jest do opisania. Ja byłem dyżurnym w Resursie podczas pogrzebu, ale zostawiwszy za siebie zastępcę, wyszedłem przyjrzyć się tej pamiętnej uroczystości. Mundur mój i karta na czapce jako dyżurnego rozsuwała przedemną tłumy ludzi i szeregi konstablów; cały przeto orszak pogrzebowy przed mojem przechodził okiem. Te tysiączne tłumy ludzi, okryte żałobą i przejęte wrażeniem tej wielkiej uroczystości, przejmowały do głębi serca jakiemś nieznanem uczuciem.

Porządek na pogrzebie był wzorowy, gdyż władze rządowe, jak już wspomniałem, nie mieszały się do utrzymania porządku.

V.

Wzmocniona Delegacya. — Konstable narodowi. — Młodzież akademicka. — Karol Majewski. — Kocie muzyki. — Święcone dla rzemieślników.

Na drugi dzień po pogrzebie, czy trochę później[1], Delegacya, czując się niewystarczającą do spełniania obowiązków, przybrała jeszcze do swego składu 16, o ile mi się zdaje, członków, wybranych ze wszystkich warstw społeczeństwa. Pomiędzy dobranymi znajdował się i jeden z akademików, jako jej reprezentant, H. Kuszkowski, który nie był przedstawicielem ogółu akademickiego i wezwanie jego nie pochodziło z ogólnego wyboru Akademii, a tylko w braku innego na prędce, ponieważ był naówczas w Resursie, więc go delegaci zawezwali na swego kolegę. Kuszkowski ten, dobry zresztą koleżka i porządny człowiek w towarzyskiem znaczeniu, nie był nawet członkiem naszego tajemnego towarzystwa i w czasie późniejszych konspiracyi do niczego nie należał.

Tak odnowiona Delegacya rozpoczęła dalej swoje działania, układając projekta do spodziewanych rad miejskich i oczekując odpowiedzi na adres mieszkańców, opatrzony kilkudziesięcioma tysiącami podpisów i podany cesarzowi przez namiestnika.

Towarzystwo rolnicze, z którego łona wyszedł ten adres, obradowało dalej nad kwestyą włościańską, nie wiedząc, jaki mu cios przygotowuje margrabia Wielopolski, który już zaczął był wychylać swą głowę z poza niezdecydowanego namiestnika jako główny jego doradca i przyszły naczelnik cywilny kraju.

Delegacya z Resursy przeniosła swe posiedzenia stosownie do życzeń namiestnika do Ratusza. Nie zasiadała już

[1] Dnia 6 marca przybrała Delegacya, licząca pierwotnie członków 14, jeszcze 10, tak, że liczyła odtąd członków 24. Przyborowski, Historya 2 lat II, 134. (*P. w.*).

w komplecie, a tylko po 6-iu czy 8-iu członków[1], którzy się zmieniali kolejno; wprawdzie tajemnie widywali się Delegaci codziennie i decydowali ogólnie o projektach, jakie mają być na sesyach przedstawione.

Organizacya konstablów dość energicznie postępowała i liczba ich wzrosła coś do 2.000 czy 3.000 członków. Do konstableryi przyjmowano ostrożnie, tylko dobrych patryotów, za poręczeniem znanych osób. Każdy konstabl miał wydaną kartę z wyobrażeniem dwóch rąk, ściskających się bratnio; z drugiej strony było nazwisko konstabla. Wszyscy studenci akademiccy byli konstablami i dla odróżnienia od cywilnych karty ich z drugiej strony podpisane były czerwonym atramentem.

Mieszkańcy Warszawy oddawali się radosnemu upojeniu, kosztując tej półswobody i ciesząc się przyszłemi nadziejami, które się tak zdawały pewnemi.

Muszę tu wspomnieć, że wypadki lutowe sprowadziły kompletną zgodę między rozdzielonymi na dwie partye studentami Akademii. Towarzystwo nasze tajemne rozwiązało się, jako już nie na czasie będące, gdyż cała bez wyjątku Akademia, przyjąwszy czynny udział w manifestacyach, stała się niejako politycznem stowarzyszeniem. Codziennie prócz schadzek w Resursie były zebrania akademickie w Amfiteatrze anatomicznym, na którem wybrany większością głosów komitet wykonawczy przewodniczył dyskusyom, wywołanym bieżącymi wypadkami. Na czele komitetu, a tem samem i na czele Akademii, stał Karol Majewski.

Na tych to zebraniach, na które w chwilach ważniejszych wzywani byli i deputowani ze Szkoły sztuk pięknych, roztrząsano potrzebę dalszych manifestacyi, propozycye, jakie nasz deputat miał podać Delegacyi i t. p. Każden akademik miał głos wolny w obradach; decydowano większością głosów, lubo w nagłych razach zostawiano komitetowi prawo decyzyi. Akademicy mieli wówczas takie zaufanie i taką powagę u ludu rzemieślniczego, że głos ich w ówczesnych wypadkach nie był głosem wołającego na puszczy.

Studenci Akademii, większość ich przynajmniej podzielała

---

[1] Komplet wynosił 8 osób. Przyborowski, Historya 2 lat, II, 134 (*P. w.*).

czynności Delegacyi, opozycya jednak zaczęła się już wyrabiać w Akademii i jawniej występować, w małych jeszcze nader działając rozmiarach. Odzywały się już słabe głosy na publicznych zebraniach Akademii o zmuszenie Delegacyi do energiczniejszego działania i ogłoszenia się za nieustającą. Czytano mowy, dążące do rewolucyjnego wystąpienia i organizacyi czysto narodowej. Ale choć mowy te okrywano oklaskami, choć aprobowano energiczne projekta, wszystko to jednak nie wychodziło poza obręb koła studenckiego i poza nim na ulicach miasta Akademia w większej części wiernie służyła Delegacyi. Młodzież tak już się przejęła tym biernym oporem, że mimo podżegań i zachęcań, jakie się czasem od gorętszych umysłów pojawiały, nie dała się wciągnąć do energiczniejszego wystąpienia.

Karol Majewski, a za nim i większość komitetu, była za Delegacyą, za umiarkowaniem; nikt więc nie myślał jeszcze o organizacyi stałej i potężnej, którąby mogła być rzeczywistą opozycyą rządowi.

Nie myślę tu wystawiać Akademii jako wszechmocnej w Warszawie; ale nikt także, kto się dotykał bliżej tych początkowych wypadków, zaprzeczyć nie może, że młodzież akademicka przez ten czas kilkotygodniowy miała ogromne zaufanie u rzemieślników, młodzieży i całego wogóle, jaki był wówczas, żywiołu goręcej myślącego (nie chcę go jeszcze nazwać rewolucyjnym). Częste deputacye od młodzieży, od rzemieślników, a nawet od obywateli, przychodziły z przedstawieniami, zapytaniami i prośbami. Pamiętam jakiegoś młodego obywatela, wysłanego z Czerskiego czy Rawskiego od swoich współtowarzyszy z prośbą do zgromadzenia akademickiego i z listem wspólnym, abyśmy wysłali swoich delegowanych do tegoż powiatu w celu sądu i pogodzenia niesnasek politycznych między powiatowcami. Nie pamiętam już, o co to chodziło, ale zawsze z tego widać, jak głos Akademii był szacowany. Rzemieślnicy zaś czy przez jakieś tradycyjne wspomnienia o akademikach, czy widząc ich ciągle na czele manifestacyi ulicznych, jak i odbierając z ich rąk wsparcia, wydawane przez Delegacyę, oddali się akademikom całem sercem.

Młodzież zatem akademicka mogła była skorzystać ze swego położenia i silny wpływ wywierać na Delegacyę, mając w swych rękach klasę rzemieślniczą i opinię gorętszych ludzi.

Cóż ona mogła robić? Mogła między młodzieżą i ludem tworzyć organizacyę rewolucyjną, grupować koło siebie partyę ruchu, silnie połączona, rozszerzyć się po kraju, t. j., słowem to zrobić, co zrobiło potem, jak zobaczymy, kilkunastu młodzieży w połączeniu ze Szkołą sztuk pięknych, którzy położyli pierwsze podstawy organizacyi partyi ruchu, rozwiniętej tak olbrzymio pod Komitetem Centralnym.

Tak jednak mało było żywiołu rewolucyjnego między młodzieżą, że ze wszystkich tych przyjaznych okoliczności nic a nic nie skorzystano. Karol Majewski, który miał główny i jedyny wówczas wpływ na młodzież akademicką, utrzymywał i kierował wszelkie czynności Akademii ku pomocy Delegacyi i zaczynającej się już tworzyć partyi Białej. Sam on znosił się z kółkami tajnemi młodzieży Szkoły sztuk pięknych i innemi, oraz z głównymi działaczami Towarzystwa rolniczego, lecz pragnął, żeby Akademia była zamknięta ściśle towarzystwem studenckiem, samodzielnie nie występowała nigdy, a tylko pomagała do celów Delegacyi i partyi Białej. Wszędzie występując jako moralny reprezentant Akademii i młodzieży Szkoły sztuk pięknych, jakim przez czas pewien był rzeczywiście, stał się on tak wpływową osobistością w początkowych ruchach, że przy formowaniu się Dyrekcyi obywatelskiej, czyli tak zwanej partyi Białej, partyi, złożonej z najwięcej poważanych w kraju ludzi, odznaczających się i wpływem i nauką i majątkiem między posiadaczami ziemskimi, Karol Majewski, chociaż był tylko studentem Akademii, wezwany został na członka tejże Dyrekcyi i miał znaczny wpływ w całej tej partyi obywatelskiej jako reprezentant młodzieży. Miał on tam reprezentować żywioł rewolucyjny i dodawać energii i życia zbyt umiarkowanym tendencyom Dyrekcyi Białej; przez ciągłe jednak obcowanie z Białymi i sam powoli zaczął przesiąkać ich przekonaniami. Długo jednak młodzież była pod jego wpływem, nie wiedząc, że przeszedł on już do partyi przeciwnej.

Żeby wytłómaczyć, skąd urósł wpływ Majewskiego na żywioł rewolucyjny, muszę tu dodać, że prócz niezaprzeczonych zdolności, zimnej krwi i rozwagi, był on w tajemnym związku przez swego przyjaciela i kolegę, J. Kurzynę, z Mierosławskim, którego imię w owym czasie miało wielki, magnetyczny wpływ na młode umysły; później to dopiero opinia odwróciła się od

niego. Majewski był tajemnie naznaczonym głównym i jedynym ajentem Mierosławskiego na cały kraj (tak przynajmniej i Mierosławski i Kurzyna mi opowiadali) w celu tworzenia organizacyi rewolucyjnej i utrzymywania stosunków z zagranicą. Przez jego ręce przechodziły wszelkie korespondencye i odezwy Mierosławskiego. Mierosławski wszystkim patryotom, których znaczna liczba przyjeżdżała do Paryża, dawał adres Majewskiego jako głównego ajenta, od którego wszyscy mają odbierać instrukcye, rozporządzenia i t. p. Mnóstwo przeto ludzi ze wszystkich stron kraju, powracając z Paryża, udawali się do niego po instrukcye i rozporządzenia, na jego ręce składając zbiory pieniędzy i t. p. Imię przeto jego nabrało rozgłosu, a słowa powagi.

Umyślnie rozszerzyłem się tu nad tymi stosunkami, aby ich później nie powtarzać i aby opowiadane dalej wypadki łatwiej zrozumieć można.

Powracam do dalszego ciągu opowiadania mych pamiętników.

Warszawa, jak już wspomniałem, upojona swoim tryumfem, cieszyła się szaloną radością. Młodzież, jakby za rozkazem jakim, zaczęła się przestrajać w narodowe czamarki i konfederatki różnokolorowe. Codziennie tłumy ludu zbierały się przed statuami Matki Boskiej, śpiewając »Boże coś Polskę« i »Z dymem pożarów«. W kościołach z ambon rozlegał się wymowny głos patryotycznych kapłanów, zachęcający do zgody i wzywający do miłości kraju i poświęcenia. W bóżnicach wymowni kaznodzieje, jak Kramsztyk i Jastrów, wzywali swych jednowierców do ścisłego połączenia się z nami i umiłowania kraju tego, jak własną ojczyznę. W znak zgody Żydzi, czyli Polacy mojżeszowego wyznania, ofiarowali nam monstrancye do kościoła, a my im w zamian siedmioramienne świeczniki do bóżnicy.

Niespokojniejszy duch młodzieży, wyrwawszy się z pierwszego wrażenia, zaczął karać nienawidzonych lub złą mających opinię ludzi tak rozpowszechnionemi później kociemi muzykami. Pierwsza taka kocia muzyka dostała się jenerałowi Abramowiczowi. Wracając z Delegacyi po południu, zastałem dość liczny tłum zebranej młodzieży, w którym byli i akademicy przed teatrem Wielkim.

— Co to się znaczy? — spytałem kolegów.

— Idziemy do Abramowicza z serenadą; chodź z nami!

Przeszedłszy jakieś ciemne korytarze, dostaliśmy się na dziedziniec przed okna Abramowicza. Wszyscy się uciszyli na chwilę, powyjmowali z kieszeni piszczałki, dzwonki, blachy i t. p. i zagrzmiała harmonia, rozdzierająca uszy, a w ślad niej poleciał grad kamieni w okna nienawidzonego jenerała. Widać było przez lecące szyby, jak zbierano szkła ze stołów i zapuszczano rolety, aby kamienie mniej szkody uczyniły. Od Abramowicza tłum poszedł do Namiestnikowskiego pałacu, gdzie mieszkał Enoch, i mimo oporu konstablów wyprawił mu takąż muzykę. Ten ostatni niezasłużenie doczekał się koncertu. Były to jednak małe tylko wyskoki tłumu, nie zachmurzające wesołego nieba.

Chcąc przy nadchodzących świętach Wielkanocnych silniej jeszcze połączyć wszystkie stany braterską miłością, zrobiono projekt, aby zamożniejsze domy wyprawiły święcone dla rzemieślników; na wicegospodarzy wybrani zostali akademicy. Ja także byłem jednym z wicegospodarzy i ugaszczałem w nieznanym mi dotąd domu kilkunastu poczciwych rzemieślników, którzy naturalnie na stopie równej wszystkim innym, tytułowanym gościom byli traktowani. Szczęśliwe przeto życie rozwijało się w tem tak niedawno przygniecionem mieście.

VI.

Zniesienie Towarzystwa rolniczego. — Manifestacya przed zamkiem (7 kwietnia). — Pogrzeb Stobnickiego. Krwawe sceny przed zamkiem (8 kwietnia). — Wielopolski. — Widok miasta wieczorem. — Nastrój umysłów w dniach następnych.

Tymczasem do Warszawy ściągano ze wszystkich stron wojska i gotowano represyę, powstrzymaną na chwilę niedostateczną ilością bagnetów. Pierwszym krokiem do tego było zniesienie Towarzystwa rolniczego za podszeptem Wielopolskiego, który już jawnie jako członek ówczesnej władzy rządowej zaczął występować. Zniesienie Towarzystwa rolniczego przyjęte było w Warszawie wielkiem oburzeniem.

Dla pokazania żalu i oddania hołdu tej jedynej narodowej instytucyi zapowiedziano wielką nazajutrz manifestacyę. Wielkie tłumy narodu zebrały się z wieńcami i kwiatami przed gmachem Towarzystwa rolniczego. Cały balkon i drzwi główne zarzucono kwiatami i uplecionymi wiankami. Orła dwugłowego przykryto białym orłem Królestwa. Z przed Towarzystwa rolniczego cały ten tłum udał się do pałacu hr. Andrzeja Zamojskiego, przywołał go na balkon okrzykami jako naczelnika Towarzystwa rolniczego i kiedy hrabia zaczął dziękować, zarzucił go kwiatami. Manifestacya ta skończyła się spokojnie, choć silne patrole i nawet całe kolumny piechoty, krążące po ulicach, pokazywały, że rząd przedsięwziął rzucić się do terroru wojennego dla uspokojenia umysłów.

Przewidując zmianę rządu i nie chcąc narażać ludu na krwawe a niebezpieczne starcia, wszystkie umiarkowańsze stowarzyszenia, jak Delegacya, akademicy i inni, z wyjątkiem Szkoły sztuk pięknych, postanowiły wpłynąć na lud warszawski, aby zbiegowiskom ulicznym koniec już położyć, a wziąć

się do innej, wewnętrznie organicznej pracy. Zwołane było w tym celu ogólne zebranie w Teatrze anatomicznym. Wszyscy prawie jednozgodnie, nawet część opozycyi akademików zgodziła się na ten projekt, jedni tylko deputowani Szkoły sztuk pięknych odmówili przyjęcia projektu, dowodząc, że manifestacye są koniecznie potrzebne, że oni już na jutro zapowiedzieli manifestacyę z powodu pogrzebu jakiegoś wygnańca, wróconego z Sybiru, której nie odwołają, a później to może i oni przystąpią do naszego projektu. Rozeszliśmy się więc w niezgodzie ze Szkołą sztuk pięknych, postanowiwszy od jutra przeszkadzać wszelkim manifestacyom, jako odrywającym rzemieślników od pracy powszedniej, narażającym ich na nieszczęście i już po tylu manifestowaniach opozycyi narodowej zbytecznym.

Nie było to jednak łatwem zadaniem, bo lud warszawski tak był wzburzony ciągłemi temi zbiegowiskami ulicznemi, że najmniejszy jakiś powód, najmniejszy krzyk jakiś na ulicy zgromadzał tysiączne tłumy, jakby z podziemi wyrosłe. Po zniesieniu Towarzystwa rolniczego prąd ten manifestacyjny z jeszcze większą wybuchł siłą i z jakąś niespokojnością, pełną wyczekiwania czegoś nieokreślonego. Liczne gromady w konfederatkach, czamarkach a nawet i kontuszach snuły się po mieście, zapytując: gdzie się zebrać wieczorem, gdzie jutro śpiewać będziemy, kiedy pójdziem przed zamek? i t. p.

W tenże sam dzień manifestacyi dla Towarzystwa rolniczego późnym wieczorem, a raczej nocą, bo już około jedenastej godziny było, zebrał się tłum ludu znów przed pałacem Zamojskiego, niby zawezwany przez kogoś. Wracałem wówczas do domu, kiedy mnie zatrzymało kilku kolegów, aby pójść razem i namówić ten tłum do rozejścia. Po wielu namowach z naszej strony rozeszli się nareszcie, dając sobie *rendez-vous* na jutro przed zamkiem. Kto ich tam przysłał i poco, sami nie wiedzieli; były przypuszczenia, że to umyślnie urządzono prowokacyę ze strony policyi, aby Andrzeja Zamojskiego skompromitować w oczach rządu.

Na drugi dzień, czy też tego samego dnia, a było to 7-go kwietnia, dzień, zdaje się, świąteczny[1], tłumy ludu w narodowych strojach snuły się po ulicach. Patrole przez dzień cały

[1] Była niedziela (*P. w.*).

przechadzały się z nabitymi karabinami. Policyi mnóstwo po ulicach. Wszystko jednak odbywało się dość spokojnie aż do 5-ej czy 6-ej godziny popołudniu. O tej porze przez niezwykłą jakąś ostrożność wysłano kilka kolumn z zamku ku Krakowskiemu Przedmieściu, Nowemu w Światu i w innych kierunkach. Kolumny te z marsowatą postawą maszerowały po ulicach, bijąc w bębny.

— Bębnią do ataku — zawołał ktoś z tłumu — bo barabańszczyki za wojskiem i pewno wrócą do zamku.

— Chodźmy przed zamek! — krzyknął inny.

— Przed zamek! Przed zamek! — zawołało naraz kilkadziesiąt głosów i tłum cały posunął się ku placowi Zygmunta.

Wiedziony ciekawością, poszedłem za innymi. Przed zamkiem stały silne patrole, ale na widok przybywającego tłumu cofnęły się w bramy zamku; lecz na ich miejsce wystąpiło kilka kompanii piechoty, szykując się w trzy szeregi i otaczając gmach zamkowy. Tłum przybliżał się, napełniając prawie cały ten wielki plac Zygmuntowski aż do kamienicy Orgelbranda. W pierwszych szeregach stała młodzież konfederatkowa, uszykowana jak do marszu. Wojsko zaczęło bić w barabany i kilku oficerów, wystąpiwszy z szeregów, zaczęli wzywać do rozejścia się. Lud jednak zbliżał się ciągle, tak, że pierwsze szeregi tłumu zetknęły się pierś z piersią z żołnierzami ruskimi i dopiero zatrzymali się, zetknąwszy twarz w twarz z wojskiem. Z poblizkich ulic i ze Starego Miasta coraz to nowi ochotnicy przypływali do tego kilkonastotysięcznego zgromadzenia. Lud jednak stał spokojnie, rozmawiając z oficerami, częstując żołnierzy papierosami, lecz rozejść się nie chciał. Nagle rozszedł się szmer głośny między tłumem:

— Namiestnik! Namiestnik jedzie!

I rzeczywiście wyjechał Gorczakow, otoczony sztabem jenerałów, zaczął się przejeżdżać między tłumem a wojskiem i zachęcać, prosić i grozić, aby się rozeszli do domów.

Stojąc w pierwszych szeregach, słyszałem te wszystkie groźby.

— To nasz dom tutaj! — odpowiadali z tłumu — Wy idźcie sobie do domu, do Moskwy!

— My w domu u siebie, a wy u cudzych; my stąd nie pójdziemy!

Nic nie pomogły groźby, że strzelać każe, że ma rozkaz od cesarza i t. p.: lud został nieporuszony.

Namiestnik, widząc, że nic nie pomoże, odjechał do zamku i tylko przez okno krzyczał:

— *Budu strelať! Budu strelať!* — Na co z tłumu odpowiadali szyderstwem i śmiechem.

Po wielu nareszcie parlamentowaniach lud przyrzekł, że jak wojsko pierwsze cofnie się do zamku, to się rozejdą spokojnie. Długo jeszcze stano, grożono, zaklinano, aż nareszcie wojsko cofnęło się do zamku, a lud, wydawszy okrzyki tryumfu, rozszedł się, ucieszony ustępstwem wojska, po domach; pierwej jednak przedefilował w ścieśnionych kolumnach koło zamku i po Krakowskiem Przedmieściu.

Nazajutrz, jako w dzień powszedni, miasto spokojniejszą przybrało postać; mieliśmy nadzieję, że to już ostatnia wczoraj była manifestacya i że lud Warszawy powróci do zajęć zwykłych, aż póki nie dadzą mu hasła do ważniejszych czynów. Po południu, jak to już zapowiedziała Szkoła sztuk pięknych, odbył się pogrzeb jakiegoś nieszczęśliwego sybiraka[1], który wrócony z wygnania, niedługo się cieszył oglądaniem rodzinnego kraju. Na trumnie prócz cierniowego wieńca leżała szarfa trójkolorowa. Kilkotysięczny tłum odprowadzał zwłoki nieszczęśliwego tułacza.

Wracaliśmy z pogrzebu, chociaż cały jeszcze orszak został się dla mów i śpiewów, które miały z godzinę jaką się przeciągnąć, gdy nas schwytało kilku niespokojnych obywateli, prosząc, abyśmy pośpieszyli przed zamek i pomogli im do rozprószenia tłumu, gdyż wojsko wystąpiło już na plac zamkowy. Pobiegliśmy tam natychmiast; zgromadzenie było bardzo nieliczne, które na nasze wezwanie w części się rozeszło, a mała tylko liczba na trotoarach pozostała przez prostą ciekawość. Koło statuy Matki Boskiej przed Orgelbrandem klęczała także nieliczna garść ludzi, śpiewając nabożne pieśni. Ja, spotkawszy w tem zgromadzeniu ojca z braćmi i bratową, poszedłem z nimi na Miodową ulicę do jednego ze znajomych, nie spodziewając się żadnego już z wojskiem zajścia — i to mnie ocaliło.

---

[1] Był nim obywatel ziemski, Ksawery Stobnicki (*P. w.*).

Przeciw jednak takiej małej liczbie ludu wystąpiły trzy kompanie wojska, uszykowane jak do boju, otaczając zamek potrójnym szeregiem bagnetów, tak rozłożone, że na wszystkie ulice, idące ku placowi, mogli rozpocząć morderczy ogień; na boku stał oddział żandarmów konnych.

Na widok wojska, jak zwykle przez samą ciekawość, zaczęto stawać, wstrzymywać się na ulicach gromadnie. Część, powracająca z pogrzebu (gdyż większość zostało jesze na cmentarzu) z krzyżem na czele, została nagle zaatakowana przez oddział żandarmów, który cwałem rzucił się ku nim. Młodzież, niespodzianie zaatakowana — chociaż podobno ogłaszali przy bębnie, aby się rozejść, lecz tłum, czy nie słyszał, czy nie chciał — i bezbronna, zachwiała się; nastąpiło zamięszanie, krzyk podniósł się wielki, zasłaniano się od cięć pałaszów laskami i gołemi rękami; krzyż, rozrąbany, padł na ziemię, cofnięto się ku domowi Orgelbranda. Żandarmi po drugi raz rzucili się na bezbronnych; nie mając czem odeprzeć ataku, wyrwano kamienie z bruku i grad ich poleciał w ściśnioną kolumnę żandarmów. Na krzyk. »Naszych mordują!« zbiegło się wielu z poblizkich ulic i wówczas to ozwały się głuchym głosem barabany, wojsko posunęło się, zmierzyło i rozległ się rotowy ogień sztucerów.

Od pierwszego wystrzału, w tłum gęsty wymierzonego, kilkudziesięciu zabitych i rannych zaległo skrwawione bruki placu Zygmuntowskiego. Na huk wystrzałów wszystko, co było na ulicach, dotykających placu zamkowego, zbiegło się ku zamkowi prawie na oślep, bezwiednie lecąc na śmierć niechybną. W tymże czasie reszta powracających z pogrzebu, niosąc krzyż kościelny, wbiegła na plac i przywitana została dwoma, szybko po sobie następującymi wystrzałami; szeregi młodzieży jak kwiaty, podcięte kosą, kładły się, wydając ostatnie jęki konania. Tłum jednak mimo tylu rannych i zabitych nie ustępował, czekał na miejscu, jak gdyby pragnąc niewinnej śmierci; wielu nawet odkrywało swe piersi, krzycząc do wojska, o kilkanaście tylko kroków odległego: »Strzelajcie, mordujcie bezbronnych!« I wojsko strzelało, a strzał każdy przecinał życie szlachetnych ofiar. Kiedy upadł niosący krzyż, wówczas jakiś stary z siwą brodą Izraelita podniósł go i trzymał dopóty, aż kula karabinowa wytrąciła mu go z ręki. Nareszcie, gdy rzucono się na bagnety, lud, doprowadzony do ostateczności, porzucił postawę

biernego oporu i zaczął odpierać bagnety rękami. Kilku silniejszych, zdoławszy wyrwać karabiny, raziło wokoło siebie, zasłaniając współbraci.

Od strony ulicy Podwal, chcąc wstrzymać nacisk żołnierzy, zaczęto gromadzić doróżki, aby rodzaj barykady uformować. Widząc to, Rosyanie zmierzyli tam rotowy swój ogień, a później znów rzucili się, rażąc bagnetami bezbronnych. Z tłumu zaczęto bronić się, czem kto mógł: kijami, dłutami, kamieniami, wyjętymi z bruku; przed figurą zaś Matki Boskiej brzmiała nieprzerwanie pieśń nabożna, choć żandarmi tratowali końmi klęczących. Rannych i konających, których nie zdołano unieść, żołnierze ciągnęli za nogi po bruku, dobijając kolbami. Za każdym strzałem widać było padające zakrwiawone ciała kobiet, mężczyzn a nawet i dzieci, wydających rozdzierające serce jęki.

Zabitych, których zdołano wyrwać z rąk wojska, roznoszono to po cukierniach, to po domach prywatnych, rannych po szpitalach. Nie wiadomo, jak długoby trwała ta rzeź bezbronnych, bo lud jeden się rozpraszał, a drugi następował, gdyby nie perswazye i zaklinania rozważnych obywateli kraju, proszących o rozejście się.

Cofający się tłum napotkał karetę Wielopolskiego, którego uważano za sprawcę tego mordu. Kto wie, coby się stało z margrabią, gdyby go nie ocalił jeden z byłych delegatów, dr. Ch[ałubiński], siedzący na koźle i broniący go swoją powagą; rozsrożony tłum bowiem, poznawszy karetę Wielopolskiego, rzucił się ku niej, obrzucając ją przekleństwami i błotem. Skończyło się jednak tylko na wybiciu szyb. Wielopolski, uproszony od byłych delegatów, jechał do namiestnika z przedstawieniami, aby strzelać i mordować już zabronił.

Z Cytadeli tymczasem zaczęto bić z armat i puszczać rakiety na sygnał wojsku, aby śpieszyło na oznaczone punkta w Warszawie. Z obozu, z koszar i z różnych punktów zaczęły się sypać oddziały wojska, dążąc ku zamkowi. Lud zaczął się rozpraszać. Widać było tylko latające doróżki z rannymi i biegające niespokojne kobiety lub strwożonych starców, dopytujących się o synów, mężów lub ojców, których już nawet ciał widzieć nie mieli. Ulice koło zamku opustoszały zupełnie; sklepy i miejsca publiczne i bramy domów zamknięto. Kie-

dyśmy z Miodowej ulicy chcieli wrcacać z rodzeństwem do domu, to kilka razy musieliśmy czekać w bramie, aby dać przechód silnym kompaniom wojska, lecącym cwałem po pustych ulicach, a za nimi tętniały wiezione armaty. Zdołaliśmy wyjść nareszcie na ulicę. Pusto i cicho jak w grobie. Droga wypadła nam przez plac zamkowy; było to już koło 9-ej wieczorem. Rozpalone na placu ogniska rzucały krwawy połysk na mury zamku; przed ogniskami ciemne szeregi wojska, przygotowane jakby do odparcia ataku, stały w ścieśnionych kolumnach, odbijając się groźnie na oświeconych kłębach dymu, buchającego z ognisk. Bagnety, zbroczone krwią naszych, błyszczały nad ich ramionami. Co kilkanaście kroków spotykały nas konne patrole kozackie, jedne z podniesionemi jak do ataku pikami, drugie z gwintówkami jak do strzału w rękach, pytając groźnie: *Kto idiot?* Na rogach ulic pikiety stały w milczeniu. Na Krakowskiem dopiero Przedmieściu spotkaliśmy kilku przechodniów, cicho szepczących z sobą, lub dopytywających się, ilu zginęło.

Liczba zabitych dokładnie nie może być obliczona; wedle rządowych ogłoszeń poległo z naszej strony 18 tylko, a ze strony wojska 5-ciu. Lecz długi szereg mogił na Powązkach i ogólne przekonanie Warszawian tę liczbę na przeszło 200 ofiar powiększało.

Nazajutrz Warszawa przedstawiała pozór miasta, tylko co szturmem zdobytego. Na wszystkich placach obozowały wojska; patrole ciągłe dzień i noc przebiegały ulice. Przed zamkiem zatoczono armaty, przy których stali kanonierowie jakby w pogotowiu do wystrzału. Wszystkich okrytych żałobą zatrzymywano na ulicach, prowadzono do zamku i tam obdzierano krepy i czarne kokardy, co się nie obchodziło bez przekleństw, grubiaństw i szturchańców. Ze sklepów także pozdzierano godła żałoby. Rannym zabroniono pokazywać się na ulicach.

Tysiączne wieści o okropnościach, popełnionych przez wojsko, przelatywały z ust do ust, rosnąc co chwila. To tam widziano kilkunastu trupów, pływających po Wiśle, to znów kozak, chcąc zdjąć jakąś żałobną kokardę z dziecka, trzymanego na ręku, przebił go na wylot, to jakiegoś akademika w żałobie przybito do ściany bagnetami i t. p.; wieczorem rozeszła się pogłoska, że ma być rzeź całej Warszawy nocą — słowem,

miasto było w nerwowej niespokojności. Wielopolski tymczasem w mowie swej, ogłoszonej w gazetach, cieszył się, że »porządek publiczny ocalony nareszcie został w krwawem, niestety, starciu«.

Lud jednak tylko na chwilę ucichł, przerażony; powoli zaczęto znów podnosić głowy, rozpoczynając, jak dawniej, zabronione śpiewy po świątyniach pańskich. W miesiąc coś po tych krwawych scenach pojawiły się znów czamarki, a gdy tych wzbroniono, zaczęto się przystrajać w czarne bluzy, przepasane sznurkiem lub pasem z wielkiemi godłami wiary, nadziei i miłości, orłami białymi lub złamanymi krzyżami i t. p. Kobiety nie zrzucały żałoby, powiększyły ją owszem po wypadkach 8 kwietnia. Teatra dla braku spektatorów były zamknięte.

VII.

Stronnictwo Białych i Czerwonych. — Stan umysłów na prowincyi. — Nowy Komitet akademicki. — Sprzysiężenie, dążące do zbrojnego powstania.

Na ulicach wprawdzie ustały już jawne manifestacye, nie było zbiegowisk ani tłumu, ale kryjomo zato rozwijało się daleko groźniejsze życie polityczne, przygotowujące zbrojne powstanie. Zaczęły się już wówczas grupować dwa stronnictwa, a raczej dwa odcienia, dwie partye: Biała czyli szlachecka, jak ją zwano i Czerwona czyli ruchu. Obie te partye jeden i tenże sam cel miały: oswobodzenie i niepodległość Polski, różniły się tylko w drogach, jakie prowadziły do tego celu. Partya Białych czyli umiarkowanych postanowiła się zająć najpierw przygotowaniem, oświatą wiejskiego ludu t., j., zapewnieniem sobie niechybnej pomocy od włościan w walce, jaka wybuchnąć miała. Nie spodziewając się, aby bez poprzedniego przysposobienia proste darowanie ziemi poruszyło ten lud do broni dla utrzymania swoich swobód, nie mieli zamiaru czynić jakichby to nie było przygotowań do walki, jak n. p. zbierania stowarzyszonych, zakupywania i robienia składu broni i t. p., gdyż sam wybuch odkładali na czas dalszy. Teraz zaś pragnęli tylko przez uorganizowane z inteligencyi ścisłe i silne stowarzyszenia być ciągłą opozycyą przeciw rządowi i swą postawą uzyskiwać coraz większy rozwój autonomii krajowej w sensie naturalnie czysto administracyjnym, jako to, przyjmując i rozwijając nadane rady miejskie, gubernialne i powiatowe. Dobijali się oni obsadzenia wszystkich wyższych urzędów dobrymi Polakami, zachwyceniem słowem, w swe ręce całej władzy administracyjnej, oświaty, handlu, przemysłu i t. p., a dopiero taką mając podstawę i będąc pewni przychylności wiejskiego ludu,

mieli przy zdarzonej sposobności politycznej, t. j., jakiejś wojny w Europie, a nawet i bez niej podnieść sztandar powstania. Ostateczny cel jednak tych przygotowań, t. j., powstanie ukrywany był jaknajściślej nawet przed stowarzyszonymi partyi Białej i niejako tkwił on tylko w sercach samej Dyrekcyi, nie będąc wypowiadany prawie głośno w programie stowarzyszenia, gdzie tylko o przygotowawczych robotach, t. j., oświacie ludu, głównie mówiono. Stąd też powstała silna wątpliwość, czy i kiedy nareszcie partya Biała uzna za stosowne walkę rozpocząć.

Naprzeciw tej partyi, dość silnie już zorganizowanej, mającej znaczne fundusze, ciągle rosnące ze składek po powiatach, trzymającej niejako w swych rękach opinię klasy wyższej co do stosunków towarzyskich i majątkowego położenia, stała partya Czerwona, jako nieugięta opozycya. Partya Czerwona, nader słabo jeszcze wówczas zorganizowana, a raczej niezorganizowana, składająca się z oddzielnych kółek młodzieży, często nie wiedzących o wzajemnem istnieniu, złożona [była] z młodzieży gorętszego serca, bez funduszów i wpływu, ale mająca zato nieugaszony ogień miłości i poświęcenia, energię młodzieńczego życia i niezmierny zapał w pracy na polu narodowem. Programem tej partyi było natychmiastowe przysposabianie materyałów do wybuchu i przygotowywanie umysłów ludu miejskiego i wiejskiego do niedługo mającej wybuchnąć walki za niepodległość. W tym celu postanowiła ta mało jeszcze zorganizowana partya rozszerzać koło swoich stosunków pomiędzy rzemieślnikami jako przyszłymi żołnierzami wolności, nie wyjmując naturalnie i innych warstw społeczeństwa, zbierać składki na zakupienie broni, amunicyi, oraz na utrzymanie szkoły wojennej za granicą, a gdy będzie dostateczna ilość oręża i stowarzyszonych, rozpoczynać powstanie własnemi siłami, nie oglądając się na obcą pomoc ani na stan Europy, chociaż w głębi serca i ta partya wierzyła w pomoc niechybną Francyi. Wiejską ludność miała pociągnąć do powstania darowizna ziemi bez żadnych czynszów i indemnizacyi. Taki był mniej więcej program partyi ruchu, czyli Czerwonej, chociaż i on, t. j., program ten jasno został ułożony i wymotywowany dopiero w końcu 1861 roku przez zorganizowaną już w części ową partyę, gdyż do tego czasu leżał on tylko w głowach

naczelników kółek i nie wchodził w wykonanie. Kółka te młodzieży, oddzielnie istniejące, jakkolwiek połączone przekonaniami, nie miały jednak między sobą związku. Całem ich zajęciem z małym wyjątkiem było urządzanie manifestacyi tak w Warszawie jak i na prowincyi, aby coraz dalej rozbudzać uczucie narodowe, z czego miano później korzystać.

Z początku nie było ścisłego rozdziału między partyą Białą i Czerwoną, zlewały się one prawie w jedną partyę narodową; później dopiero, kiedy partya ruchu czyli Czerwona zorganizowała się ostatecznie, granica między nią a Białą jasno się odznaczyła. Wybitniejszemi osobistościami między partyą Białą, o jakich przynajmniej głównie wówczas mówiono, byli Jurgens, Gołemberski, Ruprecht i K. Majewski[1], chociaż ten ostatni uchodził prawie za Czerwonego między nimi; takie przynajmniej chodziły pogłoski, później jednak rzecz się wyjaśniła.

W partyi Czerwonej nie było jeszcze żadnych więcej wpływowych nazwisk oprócz Apolla Korzeniowskiego, któremu do pomocy służyli Frankowscy, Szachowski, Cielecki i inni. Szkoła jednak sztuk pięknych początkowo główny tam rej wodziła; mam na myśli, mówiąc to, manifestacyjne czynności. Akademicy, idąc za Majewskim, stali przy organizacyi Białej.

Taki to mniej więcej był stan Warszawy i kraju, nurtowanego przez dwa prądy i pociąganego do ważnych, tak okropnych przy nieszczęśliwym skutku działań.

W parę tygodni po krwawych scenach 8 kwietnia miasto zaczęło przybierać znów, jak wspomniałem, swój narodowy i opozycyjny charakter. Ucisk wojskowy ustawał powoli, wojsko nawet, o ile przypominam sobie, cofnięto z placów.

Jakoś w maju wyjechałem ja z Warszawy na prowincyę w Sandomierskie i mogłem się naocznie przekonać, jak cały kraj krok za krokiem naśladował Warszawę. Wszędzie żałoba, manifestacye, śpiewy narodowe, a nawet delegacye były ustanawiane, słowem, każde drgnienie życia narodowego w Warszawie odbijało się z szybkością błyskawicy w całym kraju.

Powróciwszy coś w czerwcu do Warszawy, mało już zastałem kolegów, gdyż się już po prowincyach na czas wakacyjny rozjechali. Komitet nasz akademicki takoż wyjechał, nie

---

[1] Na boku dodano ołówkiem: *Zamojski i K.* (*P. w.*).

zostawiając żadnego zastępstwa na ten czas paromiesięczny, chociaż do stu akademików pozostało w mieście. Korzystając przeto z jego zapomnienia i z usposobienia pozostałych kolegów, którzy stanowili żywioł gorętszy w Akademii, postanowiłem z pomocą kilku kolegów podburzyć jeszcze tak już usposobione umysły, zwołać zebranie do audytoryum akademickiego i wybrać nowy, niby zastępczy komitet, któryby kierował postępowaniem pozostałych w Warszawie akademików w coraz to znów burzliwszych wypadkach, zwłaszcza że wiele kółek tajemnych często udawało się do nas z zapytaniami i różnemi propozycyami, na które nie mogliśmy w imieniu wszystkich odpowiadać. Umówiwszy się przeto z podzielającymi me zdanie kolegami Unszlichtem, Janczewskim i kilku innymi, zawezwaliśmy zebranie, na którem, wytłómaczywszy w niedługiej mowie, jakie położenie akademicy jako część wykształceńsza młodzieży krajowej powinni zająć, jak niewłaściwie postępował dawny komitet, zamykając się w obrębie tylko swojej korporacyi, kiedy my powinniśmy połączyć się z innemi stowarzyszeniami i wspólnie z niemi działać, mając taki wpływ u ludu warszawskiego i t. p., wzywamy przeto zebranych tu kolegów o utworzenie z pomiędzy siebie nowego komitetu, który prace swoje na nowych podstawach rozpocznie. Po niewielkich dyskusyach propozycye przyjęto i natychmiast przez głosowanie komitet wybrano. Do komitetu tego powołani zostali: Unszlicht, Biernacki, Janczewski, ja, Sypniewski i kilku innych, których już nazwisk nie pomnę. Zebrawszy się w nowym komplecie, zaczęliśmy nasze prace od porozumienia się i połączenia z kółkami studentów uniwersytetu petersburskiego, moskiewskiego i kijowskiego, bawiącymi podówczas w Warszawie, i kółkiem Szkoły sztuk pięknych. Podzieliliśmy nowych stowarzyszonych na dziesiątkowe koła, naznaczywszy co tydzień zebrania, na których zwykle przewodniczył jeden z członków komitetu.

Połączywszy się z kilkoma temi małemi towarzystwami, przyjęliśmy od nich po jednym deputowanym do komitetu. Działalność komitetu rozciągała się tylko do układania manifestacyi, wydawania odezw i zbierania składek, które posyłane były za granicę, a w części użyte na odbijanie plakatów i zakupienie drukarni tajemnej, którą komitet z Wrocławia sprowa-

dził. Kontrolowaliśmy również niektórych zbierających składki na swoje ręce, które niby gdzieś do innych tajemnych towarzystw oddawali, i niejedno odkryło się nadużycie.

Kiedy tak nasz połączony z deputowanymi naszych towarzystw Komitet rozszerzał swój zakres działania, nie myśląc jednak jeszcze o utworzeniu czysto już konspiracyjnego stowarzyszenia, przygotowującego wybuch powstania, między Szkołą sztuk pięknych i zapaleńszą młodzieżą warszawską zaczęło się tworzyć sprzysiężenie, mające za cel przygotowywanie właśnie wybuchu i środków, niezbędnych do powstania. Jako pewny środek do tego celu postanowiło ono wszystkie te pojedyncze stowarzyszenia połączyć w jedną silną organizacyę, która, rozszerzona na kraj cały, miała rekrutować się we wszystkich warstwach społeczeństwa gotowymi na wszystko stowarzyszonymi, zbierać składki, skupować i sprowadzać broń do kraju, a gdy broni i stowarzyszonych będzie dostateczna już liczba, podnieść sztandar powstania. Stowarzyszenie bardzo jeszcze nieliczne, lecz pełne energii, działalność szła nieustannie oraz w nakreślonym z góry kierunku, tworząc właśnie ową organizacyę ruchu, czyli, jak ją zwano, partyę Czerwoną, o której już wyżej wspomniałem.

O istnieniu tego stowarzyszenia nic jeszcześmy wówczas nie wiedzieli i choć wprawdzie raz na posiedzeniu naszego komitetu była wprowadzona deputacya, złożona z dwóch członków tego sprzysiężenia, chcąca nas skłonić do przyłączenia się do nich, lecz ponieważ nie mieli dostatecznych upoważnień, propozycye te na niczem się skończyły, a tylko na moje przedstawienie (gdyż pragnąłem tego połączenia) komitet zażądał drugiego widzenia się z nimi. Drugie jednak to widzenie znacznie już później i w innych okolicznościach zaszło, o czem na swojem miejscu wspomnieć nie omieszkam.

VIII.

Nowy namiestnik. Wielopolski naczelnikiem cywilnego rządu. — Obchód rocznicy unii Litwy z Koroną. — Imieniny Napoleona. — Dziękczynna manifestacya przed angielskim konsulatem. — Śmierć ks. A. Czartoryskiego. — Arcybiskup Fijałkowski. — Szał manifestacyjny. — Kocie muzyki. — »Strażnica«. — Walka Białych z Czerwonymi. — Wybory do rad miejskich i prowincyonalnych. — Zwycięstwo Białych.

W Warszawie przy nowym namiestniku, gdyż Gorczakow umarł, a miejsce jego, o ile pamiętam, zajął Suchozanet, swobodniej znów zaczęto oddychać. Wielopolski, stawszy się naczelnikiem cywilnego rządu, był zwykłą kwestyą sporną w rozmowach, gdyż jedni wynosili go pod obłoki jako rozumnego człowieka i dobrego patryotę, drudzy zaś potępiali ostatecznie jako dumnego despotę, zasadzającego szczęście Polski na autonomii administracyjnej kraju, lecz zawsze w połączeniu z Rosyą, inni wprost jako zdrajcę uważali.

Nadchodził sierpień 1861 r., w którym ułożono projekt uroczystego obchodzenia rocznicy połączenia Litwy z Polską. Projekt ten, wyszedłszy z jakiegoś tajemnego koła, t. j., z owego stowarzyszenia, które Szkoła sztuk pięknych wytworzyła w połączeniu z młodzieżą cywilną, został przyjęty na nowym komitecie, ułożono program tego obchodu, zasadzający się na zdjęciu żałoby na ten dzień jeden, uroczystych nabożeństwach, zamknięciu wszystkich sklepów przez cały dzień i iluminacyi wieczorem całego miasta. Program ten, rozdrukowany i rozlitografowany na tysiącznych plakatach, porozlepiano nocą po rogach ulic, rozdawano po kościołach, a oprócz tego wysłano na prowincyę, aby i tam jednocześnie go obchodzono. Do niektórych nawet miast, gdzie nie mieliśmy stowarzyszonych, wysłani zostali oddzielni ajenci, aby uroczystość ta stosownie do programu się odbyła. Inne towarzystwa także ze swej strony pracowały.

Policya naturalnie dowiedziała się o tym programie z rozwieszonych plakatów i doniosła namiestnikowi, który postanowił wszystkich użyć środków, celem przeszkodzenia tej tak jawnie ogłoszonej manifestacyi. W wilię dnia tego już nad wieczorem poprzylepiane zostały od namiestnika i poroznoszone przez policyę po domach i miejscach publicznych srogie rozkazy, aby nikt w ogłoszonej manifestacyi udziału przyjmować się nie odważał pod surową odpowiedzialnością; każden właściciel sklepu, któryby jutro ośmielił się sklepu nie otwierać, podlegnie sztrafowi 100 r. i osobistej odpowiedzialności; za iluminowanie okien i inne objawy manifestacyjne także różne ogłaszano tam kary i t. p., a wszystko to nader groźnym zakazem było zakończone.

Gdyśmy przeczytali to ogłoszenie namiestnika, nastąpiła wątpliwość, czy manifestacya może dojść do skutku i czy nie lepiej byłoby ją odwołać. Wieczorem jednak zebraliśmy się niespodzianie prawie w komplecie u Kontego, gdzie również byli i naczelnicy innych kółek, i postanowiliśmy nie tylko manifestacyi nie odkładać, lecz owszem wszystkich starań dołożyć, aby ona jak najlepiej się udała. W tym celu zaproponowałem Komitetowi, abyśmy się zebrali jutro o 6-ej rano na posiedzenie, a nasze koła zawezwali na 7-ą, gdzie im ostateczne wydamy rozporządzenia.

Nazajutrz o 6-ej, idąc na posiedzenie Komitetu, zobaczyłem ze zdziwieniem na placach zgromadzone wojsko, z armatami, tak, jak po 8-ym kwietnia, patrole podwojone, a prócz nich konne oddziały, przebiegające miasto. »Ha — pomyślałem sobie — nie myślą widać żartować, ale i my nie ustąpimy: zobaczymy, o ile duch narodowy jest rozbudzony i czy się nie ulęknie gróźb wojennych«. Kiedym przyszedł do Unszlichta, gdzie się odbywały posiedzenia, prawie wszyscy członkowie byli już zebrani. Po niedługiej naradzie, nie zważając na wystąpienie wojska, postanowiliśmy manifestacyi nie odwoływać, wydać natychmiast polecenie zebranym kółkom, aby każdy stowarzyszony od samego rana był na ulicach Warszawy i przypominał przechodniom o przywdzianiu kolorowych sukien, a tchórzliwym kupcom, którzyby otwierali swoje sklepy, natychmiast rozkazywał zamykać.

Kiedyśmy opuszczali zebranie, idąc każdy swe koło o rozporządzeniach zawiadomić, parę sklepów zaczynali już otwie-

rać, aleśmy je natychmiast zamknąć kazali, co i uskuteczniono. Przyszedłszy na posiedzenia kółek, wydaliśmy im ostateczne rozporządzenia, a sami wyszliśmy na miasto, aby pilnować i dozorować rozpierzchłych po różnych ulicach ajentów stowarzyszenia. Naturalnie, że w doprowadzeniu do skutku tej manifestacyi nader wiele oprócz Szkoły sztuk pięknych przyczyniły się i inne koła młodzieży, które, choć nie zostające w związku z nami ściśle, jednak pomagały wypełnieniu programu, jaki w plakatach był naznaczony.

Na ulicach, kiedyśmy wyszli, zaczęły snuć się już tłumy ludu, w świąteczne szaty odzianego, żałoba była zrzucona, ani jednej ciemnej sukni nie można było dostrzedz na ulicy, miasto zrzuciło jakby za dotknięciem czarnoksięskiej laski swój poważny, żałobny charakter. Sklepy co do jednego były zamknięte. Nabożeństwa odbywały się we wszystkich kościołach. Wojska, po placach miasta rozłożone na ten dzień umyślnie, przypatrywały się śmiejącym się, wesołym tłumom narodu. Patrole co kilka prawie kroków postępowały za sobą, nie niepokojąc jednak publiczności. Policya latała od sklepu do sklepu, nakazując otwarcie, ale napróżno. Wówczas to posłano silne kolumny wojska, bo do 150 żołnierzy liczące, pod dowództwem oficera, aby siłą drzwi od sklepów otwierali lub odbijali w razie potrzeby. Zaczął się przeto szturm do sklepów. Kilka zdołano siłą otworzyć; ale zaledwo wojsko kilka kroków odeszło drugie odbijać, już te zostały zamknięte. Widząc, że całe usiłowania spełzły na niczem, odstąpiono od sklepów. Wieczorem całe miasto zajaśniało rzęsistą iluminacyą, tak jednak urządzoną, że się policya za nic do mieszkańców przyczepić nie mogła, bo nie stawiano światła w oknach, lecz koło okien na umyślnie urządzonych stolikach. W wielu domach urządzono nakształt ołtarzy w oknach, rzęsiście oświeconych, przy których klęczały dziewice, w białe odziane szaty. Na Starem Mieście pokazały się nawet i transparenta z białymi orłami — cała słowem manifestacya przeszła nasze oczekiwanie, gdyż zgromadzone po placach wojsko z armatami i liczne patrole, krążące po ulicach, dodawały jej jakiejś niezwykłej uroczystości, pod bagnetami przez naród święconej.

Na prowincyach i w Litwie również solennie ten dzień obchodzono.

Nazajutrz znów powróciła żałoba.

W jakiś czas potem[1] przychodziły imieniny Napoleona, które jedni chcieli obchodzić uroczyście, drudzy zaś, my mianowicie, sprzeciwialiśmy się temu, aby nie poniżać godności narodowej schlebianiem obcemu władcy. Zaniesiono jednak konsulowi francuskiemu wieńce z napisami, które on posłał do Paryża.

W tymże jakoś czasie[2] w parlamencie angielskim szlachetny lord Hennessy[3] i kilku innych przyjaciół Polski odezwali się przychylnie o naszym ruchu i naszych prawach; postanowiono przeto urządzić dziękczynną manifestacyę dla narodu angielskiego. W tym celu zebrał się nadzwyczaj liczny tłum przed mieszkaniem konsula angielskiego, wydając okrzyki w cześć Anglii; gdy konsul wyszedł podziękować, wręczono mu przez deputacyę piśmienne podziękowanie i zarzucono wieńcami i kwiatami. Konsul, na którego angielskiej twarzy widać było silne wzruszenie, pozbierał wieńce i kwiaty i przez umyślnego kuryera, jak przynajmniej mówiono, odesłał do Londynu. Mnóstwo biletów wizytowych złożono nazajutrz w jego mieszkaniu.

Za granicą ruch nasz manifestacyjny wielki znajdował rozgłos. Gazety liberalne pisały sympatyczne o nas artykuły. Emigracya pogodziła się, choć tylko na chwilę. Szkoła genueńska pod przewodnictwem Mierosławskiego i Wysockiego napełniała się młodzieżą naszą. Pieniądze na jej utrzymanie posyłano z kraju, a rząd włoski udzielał także łaskawie swej pomocy.

Organizacya Biała rozwijała się szeroko po kraju, zapuszczając gałęzie swoje aż poza granicę kraju. Za granicą jej przedstawicielem był ks. A[dam] Czartoryski. Stary ten jednak i rozumny arystokrata niedługo cieszył się nadziejami dni szczęśliwszych. Śmierć przecięła to zacne życie. Gdy wiadomość o tem przyszła, urządzono żałobne nabożeństwa. W katedrze sam arcybiskup Fijałkowski celebrował[4]. Po odprawieniu nabożeństwa młodzież, chcąc uczcić cnoty i patryotyzm tego za-

---

[1] 15 sierpnia (*P. w.*).

[2] Było to jeszcze w lipcu (*P. w.*).

[3] Nie lord, tylko zwyczajny pan Pope Hennessy, członek Izby niższej (*P. w.*).

[4] 22 lipca nabożeństwo odprawił biskup Plater, a Fijałkowski był

cnego kapłana, odprzęgła od karety konie i własnemi rękami powiozła go do pałacu arcybiskupów. Tłumy ludu otaczały karetę, powiększając się co chwila. Gdzie tylko kareta, ciągniona przez młodzież, przechodziła, odkrywano głowy i wydawano okrzyki na cześć zacnego arcypasterza. Kiedy zajechano przed pałac, wszyscy zgromadzeni uklękli, a sędziwy arcybiskup, wyszedłszy na ganek, udzielił im swoje kapłańskie błogosławieństwo. Poczem lud spokojnie się rozszedł.

Szał jednak manifestacyjny nie ustawał; codzień prawie pojawiały się plakaty, zapraszające na nabożeństwo o wyswobodzenie ojczyzny to od kowali, to krawców, to zegarmistrzów i t. d., wszystkich słowem po kolei cechów, a potem ich czeladników, a potem ich chłopców, tak, że klasa rzemieślnicza zaczęła opuszczać się w pracy. Postanowiliśmy tamę temu położyć, ale napróżne były wszelkie nasze usiłowania; prądu tego manifestacyi kościelnej nie mogliśmy powstrzymać.

Do tych nabożeństw przyłączył się jeszcze nowy objaw życia politycznego, w ulicznem rozumieniu tego słowa, t. j., kocie muzyki, których codzień po parę wyprawiano, często za bardzo małoważny powód. Czyniono nawet nadużycia i usiłowano czynić oszustwa, ale te w samym zarodzie silnem wdaniem się akademików i młodzieży powstrzymane wreszcie zostały.

W tymże celu pomagała i pierwsza tajemna gazetka »Strażnica«, drukowana i wydawana przez koło byłych Sybiraków, mianowicie przez J. Sz.[1]. Pismo to, uważane za organ partyi ruchu, dość znaczny z początku wpływ wywierało. Drugiem pismem był »Sternik«, wychodzący niby od partyi Białej. »Sternik« jednak nie był długotrwały, gdyż wydawca aresztowany, czy też tylko bojąc się aresztowania, zbiegł podobno zagranicę i pismo wychodzić przestało.

Coraz to bardziej miasto przyjmowało charakter gorączkowej niespokojności; manifestacye choć ciągle trzymały umysł w natężeniu, nie wystarczały już jednak dla wzburzonych namiętności politycznych.

---

tylko obecnym, siedząc na tronie arcybiskupim. Przyborowski, Hist. 2 lat, III, 114. (*P. w.*).

[1] Urządzeniem tajnej drukarni zajmowali się Frankowscy i Sochaczewski, gazetkę odbijał szczotką zecer Józef Szumański. Przyborowski, Hist. 2 lat, III, 139 (*P. w.*).

Walka między dwoma stronnictwami, Białem i Czerwonem (o których szczegółowo wyżej wspomniałem), zaczęła coraz jawniej występować, mianowicie, gdy rozbierano projekt wyborów do rad miejskich, powiatowych i t. p. Partya umiarkowana czyli Biała była za przyjęciem rad, aby władzę administracyjną skupiać o ile możności w swoich rękach; tak samo myślała i część partyi ruchu czyli Czerwonej, lecz z niektóremi zastrzeżeniami, zapaleńsi jednak odrzucali je zupełnie, nie chcąc nic przyjmować od rządu. Przed samymi wyborami zebraliśmy ogólne posiedzenie do Amfiteatru anatomicznego, aby ostatecznie uradzić, jaką przyjąć postawę w dniu jutrzejszym, i po wielu debatach zdołaliśmy nareszcie i Szkołę sztuk pięknych, żywioł najzapaleńszy, skłonić do zgody (choć jak się pokazało później, nieszczera była zgoda), aby wybory przyszły do skutku, wyborcom jednak i wybranym miał być dołączony »Mandat od ludu«, w którym wyrażono warunki, na jakich te rady istnieć mogą, głównie zaś, aby Litwa, Wołyń, Podole i wogóle prowincye zabrane miały też same udzielone koncesye.

Nazajutrz zebrano się licznie w kościele św. Krzyża i przed gmachem Akademii, w salach której wybory miały się odbyć. Zauważyliśmy, że Szkoła sztuk pięknych oraz inni młodzi i niemłodzi, należący do krańcowego odcienia w partyi ruchu, między którymi zauważyliśmy Ap. Korzeniowskiego, zacnego, lecz zbyt zapalonego patryotę, wciąż przebiegając tłumy zebrane wyborców, oddają im jakieś karteczki, szepczą, namawiają, słowem przygotowują coś, czego nie było w programie. Udało się jednemu z naszych pochwycić karteczkę, na prędce drukowaną, i ze zdziwieniem ujrzeliśmy, wbrew zgodzie wczorajszej, wezwanie, aby do wyborów nie przystępować. Napróżno przypominano Szkole sztuk pięknych i temu stronnictwu krańcowemu wczorajsze ich obietnice, że nie będą przeszkadzać wyborom, napróżno starano się uspokoić wzburzone namiętności: propaganda głośna na ulicach i przed samym gmachem Akademii nie ustawała. Umiarkowana partya, a głównie akademicy zmuszeni byli jawnie wystąpić i nastąpiło smutne starcie przed salą wyborów tych dwóch partyi, które nie odbyło się i bez scen skandalicznych. Zwycięstwo zostało na stronie umiarkowanych, opozycya, chcąca się wedrzeć do sali, była siłą prawie odepchnięta i ograniczyła się już tylko na wręczeniu »Man-

datu« owego, o którym wyżej wspomnieliśmy, hr. Andrzejowi Zamojskiemu.

Krzyki na akademików były wielkie ze strony zapaleńców, za co nawet jeden z nich, A[pollo] K[orzeniowski], osobistość bardzo znana, pełna czystego patryotyzmu i będąca na czele krańcowych, była zmuszona do cofnięcia swoich słów publicznie, przy zebranych akademikach.

Do rady miejskiej wybrani zostali kandydaci, dawno już wybrani i naznaczeni przez organizacyę szlachecką.

IX.

Czerwony komitet akademicki. — Jego organizacya i działanie. — Stosunki z Komitetem miejskim. — Doraźne sądy na szpiegów. — Wojsko ulega naciskowi tłumu. — Śmierć i pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego. — Przyjęcie i częstowanie chłopów.

To starcie się stronnictwa krańcowo Czerwonego z partyą Białą i umiarkowanym odcieniem Czerwonych usunęło prawie zupełnie związek słaby, jaki istniał między niemi. Partya Czerwonych zaczęła się oddzielnie już organizować. Ponieważ w Akademii nie było, ściśle mówiąc, żadnej organizacyi rewolucyjnej, ani nawet towarzystwa konspirującego, zagorzalsi przeto z pomiędzy nas łączyli się choć w małej liczbie do obcych stowarzyszeń. Od dawna w mej głowie tkwił projekt utworzenia tajemnego stowarzyszenia, mającego za cel przygotowanie wybuchu powstańczego w kraju. Czekałem długo ze zwierzeniem się z moim zamysłem, sądząc, że znajdą się inni, zdolniejsi, którzy myśl tego stowarzyszenia w czyn zamienią, lub też, że do istniejącego już z takim celem stowarzyszenia przypuszczonym zostanę. Komuż z młodych serc i głów gorących nie roiły się te plany stowarzyszenia tajemnego, które rozszerzone na kraj cały, rośnie w potężną organizacyę i sprowadziwszy broń, wydaje hasło stowarzyszonym do krwawego wybuchu?

Żadne ze stowarzyszeń, z jakiemiśmy mieli stosunki, nie było spiskiem, dążącym wprost do powstania, lecz tylko towarzystwem pomocniczem do rozbudzenia ducha narodowego przez manifestacye i rozprzestrzenianie książek zabronionych. Jeden tylko związek, zwany »Organizacyą miejską«, był takiem stowarzyszeniem, ale o jego istnieniu jeszcze wówczas nie wiedziałem, o pracach organizacyi zaś Białej wspomniałem już dawniej.

Rozbudzone przeto do najwyższego stopnia uczucia patryotyczne popchnęły mnie nareszcie samego do zawiązania

takiego spisku. Zebrawszy przeto w tym celu J. Z., S. M. i W. K.[1], kolegów, którzy najbardziej mi się zdawali usposobieni do podzielenia mych zamiarów, przedstawiłem im moje myśli i plany. Wszyscy oni jednogłośnie przyjęli zamiar utworzenia tajnego spisku, który miał pod przysięgą przyjmować do swego łona stowarzyszonych nie tylko z grona akademików, ale ze wszystkich warstw społeczeństwa. Związek ten miał się w dalszym rozwoju rozciągać nad całym krajem, zbierać składki, skupować broń i gdy przygotowania będą uskutecznione, na dane hasło wybuch miał nastąpić na wszystkich punktach prowincyi polskich. Program olbrzymio zuchwały na nasze siły, ale czyż młodość zna granicę, oddzielającą fantazyjne ułudy serca od rzeczywistości? W programie naszym bardzo ładnie wyglądało i niby nawet prawdopodobnie się zdawało, jak to stowarzyszeni, uzbrojeni od stóp do głów, zbiorą się w nocy na każdym punkcie prowincyi naszych, gdzie tylko jest załoga wojska, uderzą na nieprzygotowanych i snem ujętych żołnierzy i pewnego pięknego poranku Polska obudzi się po krwawej nocy wolna od swoich najezdców. Nie liczyliśmy naturalnie, po głębszej rozwadze, żeby się na każdym punkcie powstanie udało, ale braliśmy już na połowę, co i tak pięknie brzmiało: pół Polski przez jedną noc oswobodzone od wojsk rosyjskich i organizujące u siebie armie narodowe dla odzyskania całkowitej niepodległości!

Upoiwszy i siebie i mych towarzyszy tymi ułudnymi a tak pięknymi planami, przystąpiliśmy do rozpoczęcia wykonania owych planów, wykonawszy przysięgę nieodstępowania na krok od wypełnienia programatu i organizując się w tajemny komitet. Po skończeniu przysięgi obrano mnie jako twórcę tego stowarzyszenia na prezydującego niejako moralnie stowarzyszeniu, oddając w moje ręce przyszłą kasę i polecając redakcyę form organizacyi stowarzyszenia. Na drugiem posiedzeniu przyniosłem zredagowaną przysięgę, podzielenie na dziesiątki stowarzyszonych, ostrożności, zachować się mające przy wprowadzaniu nowych członków i t. p. Skład komitetu naszego dla większej jego powagi miał zostawać tajemnicą dla wszystkich, nawet dla najbliższych stowarzyszonych; my mieliśmy wystę-

[1] Zapewne Janczewski, Maleszewski i Kamiński. Por. Przyborowski, Hist. dwóch lat, IV, 254 (*P. w.*).

pować jako tylko naczelnicy kół dziesiątkowych, jako dalsza nić stowarzyszenia, już oddawna istniejącego i mającego szerokie rozgałęzienie, którzy sami nawet nie wiemy o nazwiskach członków komitetu, a tylko odbieramy polecenia od jednego z ajentów komitetu, ajenta mnie jednemu tylko znanego. Tak się urządziwszy, rozpoczęliśmy swą pracę od wciągania do związku lepiej nam znanych kolegów akademickich, a później i innej młodzieży różnych stanów. Praca nader szybko postępowała; w ciągu miesiąca mieliśmy do 100 przysięgłych i gotowych na wszystko spiskowców. Wyznaczyliśmy miesięczne składki, które każdy stowarzyszony miał wnosić na potrzeby organizacyjne.

Rekrutując stowarzyszonych, natrafiliśmy na kilka istniejących już kółek odrębnych, które się do nas przyłączyły, powiększając znacznie liczbę konspiratorów. Ponieważ między stowarzyszonymi rzemieślnikami okazało się kilku nożowników i fabrykantów broni siecznej, kazaliśmy przeto robić im za wynagrodzeniem z kasy naszej ostrza do lanc i sztylety. Później nawet w jednym najętym umyślnie domu pod pozorem niby kuźni urządziliśmy maleńki warsztat siecznej broni. Cóż to za radość była między stowarzyszonymi, gdyśmy na posiedzenia dziesiątek przynieśli na pokazanie kilkadziesiąt sztyletów i ostrzów do lanc, pokazując je jako wyroby naszej tajemnej fabryki broni, gdyż taki tytuł szumny nadaliśmy temu małemu warsztacikowi, gdzie dwóch tylko ludzi pracowało.

Sprzysiężenie nasze rosło ciągle. Na prowincyi nawet po niektórych miastach mieliśmy swoich ajentów i swoje koła dziesiątkowe. Najtrudniej jednak nam było wynajdywać zajęcie dla członków dziesiątek, którzy co tydzień mieli zebrania i ciągle pragnęli nowin od komitetu. Zapełnialiśmy te posiedzenia czytaniem »Strażnicy«, a później innych tajemnych gazet, jak »Kosyniera«, »Męczennika« i t. p., w końcu zaś wydaliśmy polecenie niby od komitetu, aby koła dziesiątkowe uczyły się musztry. W tym celu zakupiliśmy za granicą regulamina wojskowe Mierosławskiego, rozdali na kołach, naznaczyli kilku znających musztrę instruktorami i koła w pokoju w cichości odbywały pierwsze manewra żołnierskie w miniaturze, my zaś jako komitet zbieraliśmy się prawie codzień, radząc nad rozszerzeniem stowarzyszenia i wydobyciem funduszów na zakup broni.

Sprzysiężenie nasze, rozrastając się i tworząc nowe koła stowarzyszonych między ludnością warszawską, krzyżowało się nieraz z drugiem stowarzyszeniem, dawniej już istniejącem i potężniejszem od naszego, z Organizacyą miejską, o której już wspomniałem. Naczelnicy tej organizacyi, chcący wszystkie jednakowo myślące stowarzyszenia rewolucyjne połączyć w jedną całość, zaprosili mnie niby z początku nieurzędownie na swoje zebranie dla poznajomienia się z nimi. Muszę tu wspomnieć, że pod słowem »stowarzyszenie rewolucyjne« nie rozumieliśmy wówczas stowarzyszenia, mającego na celu wywracać porządek społeczny, utwarzać republiki, rozsiewać idee socyalne i t. p., a tylko ten przydomek »rewolucyjny« nadawany był patryotycznym sprzysiężeniom, idącym wprost i szybkim krokiem do oswobodzenia kraju i do powstania, nie mając żadnych myśli lub zasad towarzystw rewolucyjnych europejskich, francuskich mianowicie.

Udałem się na zaproszenie do L[eona] K[rólikowskiego], dyr[ektora] ż[eglugi] p[arowej], gdzie zastałem liczne grono młodych i dojrzałych nawet już ludzi; rozmowa toczyła się o sprawach bieżących, o manifestacyach, o przyszłym ruchu, ale oficyalnie żadnych propozycyi nie było; zapraszał mnie tylko gospodarz, aby co tydzień nie zapominać, że mnie czeka u siebie. Bywałem tam przeto co tydzień, gdzie rzeczywiście zapoznałem się z głównymi naczelnikami owej organizacyi miejskiej, jak L[eon] K[rólikowski], W[itold] M[arczewski], Ch[mieleński] I[gnacy], G[łowacki?] T., W[ereszczyński Julian?] i t. d. i gdzieśmy o różnych rzeczach debatowali, obiecując sobie przedebatowane kwestye, n. p. o ukróceniu zbyt licznych manifestacyi, w czyn za pośrednictwem swoich stosunków wprowadzić.

W mieście tymczasem nowy nastał znów namiestnik Lambert, odznaczający się, jak mówiono, osobiście łagodnym charakterem, po Suchozanecie.

Manifestacye po kościołach warszawskich ciągle nie ustawały mimo perswazyi i namów ze strony umiarkowańszych i rozsądniejszych patryotów. Władza rządowa nie kładła im tamy jawnie, a tylko posyłała do kościołów szpiegów i policyantów przebranych, aby notować tych, co rozpoczynają śpiewy i później pociągać ich do odpowiedzialności. Zdołano odkryć kilku z takich fałszywych patryotów i niemiłosiernie ich po

wyjściu z kościoła zbito, ledwie że nie do śmierci. Sam byłem raz świadkiem, jak przed kościołem Kapucynów na Miodowej ulicy, kiedy lud rozchodził się z jakiegoś nabożeństwa, rozległ się krzyk:

— Szpieg! Szpieg! notował śpiewających! — i ujrzałem uciekającego jakiegoś już niemłogo, niepozornej postawy policyanta. Nie zdołał jednak kilkunastu zrobić kroków, jak został otoczony przed samym kościołem.

— A szpiegu, łajdaku nikczemny! — odezwało się kilka głosów — to ty braci własnych sprzedajesz Moskalom!

— Jam niewinny, Panowie! — szeptał drżący i blady policyant.

— Notowałeś w kościele śpiewających!

— Przysięgam na Boga — zawołał drżącym głosem — nic nie notowałem; to nie ja, to może jaki inny... inny... jam niewinny — i zaczął się rejterować w zaułek.

— To on! — krzyknął ktoś z tłumu — widziałem, jak notował nazwiska śpiewających; wróć się tu: masz kartkę w kieszeni! Gońcie go!

I w jednej chwili już byli przy nim; lecz nikt jeszcze nie śmiał go ruszyć, czekano przykładu, a milicyant tymczasem trząsł się ze strachu, cofając się ku kamienicom.

— To on! on! ten sam szpieg! — krzyknął głos jakiś — bić go, Panowie bracia! — i jakaś laska spadła na głowę oskarżonego.

W jednej chwili, jakby z pod ziemi, wyskoczyło kilkadziesiąt lasek i wszystkie zmierzyły w nieszczęśliwego. Rozległ się tylko stukot kijów o kości i krzyk bolesny upadającego na ziemię policyanta. Jakiś czas leżał bez ruchu, potem zerwał się nagle i wpadł do sklepu, ale go stamtąd subjekci sklepowi znów wyrzucili na bruk pod grad kijów.

Jakaś kobieta, zobaczywszy mój mundur w tłumie, rzuciła się ku mnie i zaczęła całować mnie po rękach, zanosząc się od płaczu i coś mówiąc, czego nie mogłem zrozumieć; domyślając się jednak, że prosi o wstawienie się za owym sługą policyjnym, którego tymczasem ciągle okładano kijmi, rzuciłem się między bijących i delikwenta, gdyż przyznam się, że pierwszy raz będąc przy takiej scenie, żal mnie wziął tego człowieka, i zawołałem, co mi tylko głosu stało:

— Wstrzymajcie się, Panowie! Dosyć już tej kary, może nawet niewinny!

Na głos mój laski spuściły się ku ziemi; mundur miał jeszcze powagę na klasę rzemieślniczą.

— Może on niewinny; puście go — wołałem.

— O nie! nie! To szpieg: my go znamy.

Zacząłem tłómaczyć i przekładać wzburzonemu tłumowi; lecz niewielebym wskórał na rozognione umysły, gdyby mi oddział wojska szybkim krokiem zmierzający w naszą stronę nie dopomógł do odwrócenia uwagi od napół już żywego policyanta.

— Wojsko! Wojsko idzie! Cofnijmy się — zawołano z tłumu i usunięto się na trotoary, zostawiając pokrwawionego i omdlałego policyanta na brukach ulicy.

Wojsko przystąpiło do samego miejsca katastrofy; podjęto i zawieziono do szpitala pobitego milicyanta, gdzie i podobno wkrótce umarł. Oficer, komenderujący oddziałem, zawezwał lud do rozejścia się, a nie mogąc uzyskać przychylnej odpowiedzi od rozognionego tłumu, zaaresztował kilku bliżej stojących i umieściwszy w środku oddziału, ruszył ku zamkowi. Po tym czynie tłum powiększył się jeszcze, otoczył cały oddział i krok w krok postępował za wojskiem, domagając się zwrócenia aresztowanych. Oficer, mając widać bardzo łagodne instrukcye od Lamberta, nie chciał widać za daleko doprowadzać tej awantury; zwrócił się przeto do mnie, widząc mnie w pierwszych szeregach tłumu i mając za przywódcę z przedstawieniami, abym wpływał na rozejście się zebranych. Oświadczyłem mu, że jeżeli wypuści aresztowanych, to ja zaręczam mu za rozejście tłumu; inaczej nie mogę nawet proponować opuszczenia uwięzionych niewinnie. Po wielu nareszcie dysputach, wciąż postępując z wojskiem, wypuszczono wreszcie przed samym już zamkiem aresztowanych i tłum się rozprószył do domów.

Ciągłe słowem na jesieni 1861 roku niespokojności burzyły Warszawę. Jeżeli na ulicach wzbronione były manifestacye, to lud chował się po świątyniach, gdzie nieustannie grzmiały pieśni zakazane. Duchowieństwo bardzo było przychylne ruchowi narodowemu, co głównie może zawdzięczać trzeba arcybiskupowi Fijałkowskiemu. Zacny i cnotliwy ten

starzec dogorywał już na łożu boleści, kończąc swój poświęcony kościołowi i krajowi żywot. Na kilka dni przed śmiercią — było to w pierwszej połowie października 1861 r. — wezwał znaczniejsze duchowieństwo do siebie i wobec nich czynił głośną z całego życia pokutę[1]. Po przyjęciu najświętszej hostyi i namaszczeniu olejami miał długą przemowę do zebranych osób duchownych, zalecając im, żeby zawsze szli z narodem, aby byli obrońcami nie tylko religii, ale i narodowości tego nieszczęśliwego ludu; wkrótce po tej mowie skonał, modląc się do Boga o pomyślność kraju. Mowa tego zgrzybiałego i szanownego arcybiskupa wielkie wywarła wrażenie na całe, a szczególnie młodsze duchowieństwo, posuwając go do udziału w sprawach narodowych.

Wiadomość o śmierci i ostatnich chwilach arcybiskupa lotem błyskawicy obiegła Warszawę. Postanowiono uczcić pamięć zacnego arcypasterza wspaniałym narodowym pogrzebem, który, jak wszystkie uroczystości, zamienił się w olbrzymią manifestacyę. Urządzono z dozwolenia władzy komitet pogrzebowy i straż pogrzebową z obywateli, którzy mieli pilnować porządku podczas tej uroczystości; policya do niczego nie miała się mieszać. Pogrzeb ten pod względem ostentacyi, na oko, był jeszcze uroczystszy od pogrzebu pięciu poległych, lecz nie miał już tego jakiegoś tajemnego uroku, jaki widniał w pogrzebie 5-ciu poległych. Te pięć ofiar, niesionych na barkach współbraci, dawały jakiś niezwyczajny i głęboki efekt pogrzebowi, zdawało się, że dusze ich niewinne unoszą się nad orszakiem, niosąc przed tron Boga na białych skrzydłach krew, wylaną za swój naród jako skargę, prośbę i ofiarę. Pogrzeb zaś arcybiskupa był już czysto narodową manifestacyą, korzystającą tylko z okazyi śmierci szacowanego dostojnika kościoła. Lecz zaprawdę piękniejszej manifestacyi uczuć nigdyśmy już i przedtem i później nie widzieli. W pogrzebie pięciu poległych była tylko żałoba po stracie niepodległości bez jawnych pragnień, tu zaś już życzenia narodu dobitnie wystąpiły. Dla

[1] Arcybiskup Fijałkowski umarł 5 października; »głośna pokuta« — to zapewne słowa do biskupów, powszechnie powtarzane: »Umierającym proszę i zaklinam was głosem, trzymajcie zawsze z narodem; starajcie się jako pasterze ludu bronić sprawy wspólnej ojczyzny i nie zapominajcie nigdy, że jesteście Polakami«. Przyborowski, Hist. 2 lat, III, 306. (*P. w.*).

dodania większego rozgłosu temu pogrzebowi posłano do wsi okolicznych, aby się zgromadzili wieśniacy ze swymi proboszczami dla przyjęcia udziału w tej uroczystości. Z samego już ranka w dzień naznaczony przybywały koleją i pieszo gromady włościan, witane przez Warszawian na wstępie do miasta i prowadzeni do przygotowanej zakąski, skąd ich z chorągwiami i przy śpiewie »Boże, coś Polskę«, »Z dymem pożarów« i t. p. prowadzono przez główne ulicy Warszawy do przygotowanych dla nich mieszkań. Wieśniacy mianowicie z księstwa Łowickiego bardzo dobrym duchem byli ożywieni; sam, będąc przy częstowaniu ich przekąskami i przeprowadzając ich przez miasto, mogłem się o tem naocznie przekonać.

Od samego już południa zaczęto urządzać przygotowania do pogrzebu. Znaczniejsze gmachy, przez które pogrzeb miał przechodzić, obite były kirem. Każdej korporacyi naznaczone było miejsce, jakie miała zająć. Ogromny orszak, zaczynając od pałacu arcybiskupów, rozciągał się przez wiele ulic i placów ku kościołowi katedralnemu. Straż obywatelska przestrzegała porządku. Około 3-iej czy 4-ej rozpoczął się pochód ten uroczysty. Po duchowieństwie wszystkich zakonów i reguł, po pastorach protestanckich i rabinach żydowskich następowało kilkadziesiąt korporacyi, każda poprzedzana sztandarem z kolorów narodowych z wyszytymi Orłami Białymi i Pogonią litewską, jak i orłem srebrnym na drzewcu, okrytym krepą żałobną. Za trumną, wiezioną na wspaniałym karawanie z baldachimem, niesiono na aksamitych amarantowych poduszkach koronę królewską, Orła srebrnego i Pogoń litewską, jako oznaki godności królewskiej za najwyższym dostojnikiem kościoła, chcąc pokazać, że go jako prymasa w bezkrólewie uważano; dalej postępowali konsulowie zagraniczni w galowych mundurach, za nimi niezliczone tłumy ludu. Orszak ten cały ze swymi kilkudziesięcioma sztandarami narodowymi, z Orłami i Pogonią w żałobie, przeciągał uroczyście przed oknami zamku królewskiego, gdzie mieszkał namiestnik i przypatrywał się z całym swym sztabem tym buntowniczym dla nich oznakom. Orkiestry i chóry śpiewaków i śpiewaczek wykonywały marsz żałobny Szopena. Pogrzeb trwał do samego zmierzchu, upajając Warszawian swoją patryotyczną uroczystością.

Nazajutrz w hotelu Europejskim wyprawiono obiad dla

chłopów, na którym spełniano toasta zgody i oswobodzenia i szczęścia kraju. Liczne mowy o braterstwie ludu z panami, wzywające do wspólnej pomocy, brzmiały nieustannie. Ze strony wieśniaków niejednokrotnie występował z mową dzielny jakiś i sędziwy wieśniak, napominając, aby te przyrzeczenia nie poszły tak z niczem, jak w 30-ym roku, kiedy to dużo mówiono, a nic nie zrobiono. Po obiedzie sami panowie rozwozili w karetach chłopów i chłopki do kolei żelaznej. Omnibusy, wiozące liczniejsze towarzystwa, ozdobione były chorągwiami z orłami białymi. Na dworcu kolei oczekiwał już ekstracugowy pociąg z kilkudziesięciu wagonów, na który wsadzono braci naszych wieśniaków, my zaś wsiedliśmy obok nich także dla odprowadzenia i rozwinąwszy znów narodowe, umyślnie przygotowane chorągwie i zanuciwszy »Z dymem pożarów«, ruszyliśmy ku Łowiczowi. Na wszystkich stacyach kolei żelaznej oczekiwały nas tłumy ludu z chorągwiami i śpiewami (gdyż telegrafem zawiadamiano je o naszem przybyciu).

Wielkie wrażenie na chłopach robiło to uroczyste przyjęcie; sam mogłem przysłuchać się ich rozmowom, siedząc z nimi na jednej ławce w wagonie. Darzono ich przytem orłami białymi na szpilkach, obrazkami, przedstawiającymi wypadki warszawskie i t. p. Kiedy się już zmierzchać zaczęło, oświecono lampami wagon, na którym wieziono chorągiew, i ruszono w dalszą drogę. Pociąg, wracający z zagranicy, spotkawszy się z naszym w Skierniewicach, sądził, że już rewolucya wybuchła w Warszawie, widząc sztandary narodowe i słysząc grzmiącą pieśń »Jeszcze Polska nie zginęła«. Na wszystkich prawie stacyach grzmiały śpiewy, muzyki i mowy patryotyczne, na które i chłopi sympatycznie odpowiadali. Ja ze Skierniewic wróciłem się już do Warszawy, rozmarzony nadziejami połączenia ludu wiejskiego z nami ku wspólnej walce, pociąg zaś ruszył ku Łowiczowi, gdzie chłopów serdecznie pożegnano.

X.

Obchód pamiątkowy w Horodle. — Ogłoszenie stanu wojennego w Warszawie. — Dzień 15 października 1861 r. w kościele św. Jana. — Aresztowania. — W Cytadeli. — Samobójstwo Gerstenzweiga. — Uwolnienie.

W tymże prawie czasie[1] w oddalonem od Warszawy małem, lecz drogiem wspomnieniami mieście Horodle zgromadzone tłumy, wezwane odezwą wyszłą z Warszawy, obchodziły uroczyście pamiątkę unii Litwy z Polską. Chociaż nie dopuszczono ich do miasta, otoczywszy go w koło wojskiem, na poblizkiej jednak łące kilkotysięczny orszak ludu, rozwinąwszy sztandary ze wspólnymi herbami Litwy i Polski, odbyto nabożeństwo i wypowiedziano mowy pełne patryotyzmu i poświęcenia dla wspólnej sprawy.

Te głośne manifestacye wyprowadziły rząd z cierpliwości i postanowił silną represyą koniec im położyć. Na drugi czy trzeci dzień[2] po pogrzebie arcybiskupa ogłoszono stan wojenny w Warszawie. Rozlepiono po rogach ulic plakaty, obwieszczające prawidła stanu oblężenia, zapowiadające między innemi, że w razie buntowniczych śpiewów w kościołach, kościoły otoczone zostaną wojskiem, zgromadzeni wszyscy aresztowani i oddani sądowi polowemu dla ukarania winnych i t. p.

Więcej zdziwienia, niż przestrachu ogłoszenie stanu wojennego wywarło na Warszawianach. Z ciekawością kupiono się po rogach ulic, gdzie były przybite te ogłoszenia, czytano je i komentowano każdy według swego widzenia rzeczy. Wojska zajęły place miasta, po ulicach silne patrole krążyły, nie zaczepiając jednak ludności. Manifestacye naturalnie pod najsroż-

---

[1] 10 października (*P. w.*).

[2] Pogrzeb odbył się 10-go, a stan wojenny ogłoszono 14-go października (*P. w.*).

szą odpowiedzialnością stanu wojennego były wzbronione. My sami już byliśmy przeciwni tym nieustannym nabożeństwom i śpiewom po kościołach i pragnęliśmy położyć koniec tym bez celu śpiewaniom, ale na dzień następny po ogłoszeniu stanu wojennego, czy też nawet w ten sam dzień, naznaczone było żałobne nabożeństwo za Tadeusza Kościuszkę, jako w rocznicę zgonu tego znakomitego obrońcy niepodległości polskiej. Nabożeństwo to odbyłoby się bardzo skromnie, lecz przy ogłoszonym zakazie chcieliśmy umyślnie nadać jak najuroczystszy charakter, aby i uczcić pamięć bohatera i pokazać, że na zakazy władzy nie zwracamy uwagi w rzeczach. dotyczących się celów narodowych. Wydaliśmy przeto polecenie wszystkim naszym kołom, aby jak najliczniej zebrano się w kościołach na ten obchód żałobny, którym miano i zakończyć manifestacye kościelne. W naszej drukarni odbić kazaliśmy krótki życiorys T. Kościuszki i odlitografować jego popiersie dla rozdawania obecnym w kościele na pamiątkę tego obchodu.

Około 10-ej rano wyszedłem z domu, udając się na te egzekwie do kościoła św. Jana. Na placach wojska były jeszcze powiększone, po ulicach co kilkanaście prawie kroków mijało się silne patrole. W kościele czekały już tłumy ludu na rozpoczęcie nabożeństwa. Wielki katafalk z karmazynowym namiotem, urządzony tam jeszcze na uroczystość pogrzebową dla arcybiskupa, pozostawiono jakby umyślnie dla dodania ostentacyi temu nabożeństwu. Porozdawawszy podczas nabożeństwa życiorysy i portrety Kościuszki, widząc, że jeszcze masa było żądających tych pamiątek, wyszedłem przeto z Unszlichtem do jego mieszkania, aby więcej tych życiorysów przynieść i rozdać uczestniczącym w obchodzie. Kiedyśmy wracali, przed samym już kościołem zauważyliśmy ruch wojska na placu zamkowym i jeden oddział, zmierzający jakby ku kościołowi; nie zastanawiając się jednak nad tem, weszliśmy z naszymi plakatami do świątyni. Nabożeństwo już się rozpoczęło, a celebrował je, o ile sobie przypominam, biskup Benjamin. Rozdawszy przyniesione plakaty, wziąłem przygotowany portret Kościuszki i wszedłszy na katafalk, przybiłem u góry na miejscu zdjętego przezemnie wizerunku arcybiskupa. Czyniłem to nie bez pewnego wrażenia, gdyż przebrani policyanci, tak czujni, zwłaszcza po tylko co ogłoszonym stanie wojennym, mogli mnie

łatwo zauważyć; ale zrobiłem to dla podniesienia odwagi w zebranych, na twarzach których widać było jakieś zamieszanie, nikt nawet śpiewów nie zaczynał, choć nabożeństwo już się miało ku końcowi. Zeszedłszy z katafalku, dałem znak wszystkim należącym do stowarzyszenia i śpiew, choć cichy i drżący z początku, rozległ się po kościele, rosnąc powoli w siłę. Zaledwo kilka strof prześpiewano, gdy nagle pieśń zaczęła cichnąć, jakieś zamieszanie wkradło się do kościoła; szmer głośny poszedł od strony drzwi, aż nagle w okrzyk się zamienił:

— Wojsko! wojsko otacza kościół!

Trwożliwsi zaczęli wołać, by śpiewów zaprzestano. Ale młodzież, nie zwróciwszy uwagi na krzyki, ciągnęła dalej śpiew, choć mało już głosów jej towarzyszyło. Po ukończeniu śpiewów cichość chwilowa zaległa świątynię, a później znów szepty głośne przebiegały między obecnymi:

— Wojsko! Wojsko otoczyło kościół ze wszystkich stron!

Wszyscy rzucili się ku drzwiom. Przed drzwiami błyszczały bagnety i ścisłe szeregi wojska opasywały bramy świątyni. Cofnąwszy się od głównych drzwi, rzuciliśmy się z tłumem do bocznych wyjść — i tam bagnety; idziemy ku zakrystyi — i tam szeregi wojska.

— Otoczeni jesteśmy ze wszystkich stron — odezwały się liczne głosy.

— Potrzymają nas z godzinę i odejdą — rzekło kilku z tłumu.

Wojsko jednak nie odchodziło, a godziny mijały powoli. Przed wszystkiemi wyjściami z kościoła tłoczyły się ciekawe głowy zamkniętych, zarzucając pytaniami oficerów, komenderujących wojskiem: »Czego chcą, poco nie puszczają z kościoła modlących się i t. p.« Odpowiadano, że wszystkim wolny jest wychód, pojedynczo jednak, lecz z zastrzeżeniem, że każdego zaprowadzą do protokołu i jeżeli się okaże niewinny, puszczony zostanie wolno do domu.

— Nie wyjdziemy, tylko razem wszyscy, albo siedzieć tu będziemy aż do dnia sądnego — odpowiadano z tłumu.

My tymczasem, akademicy, oraz inna młodzież obchodziliśmy gorliwie wszystkie wyjścia z kościoła, wszystkie korytarze, czy czasem które nie zostało wolne i czy nie będzie można ludu wyprowadzić, ale wszystko na próżno: wojsko ota-

czało dokoła. Kilka godzin już tak przeszło nam w zamknięciu, parlamentując przez drzwi uchylone z oficerami i żołnierzami. Niektórzy, chcąc skorzystać z pozwolenia, jakie niby dano do wyjścia, byle pojedynczo, a właściwie przez ciekawość, co się tam dzieje na ulicy, wysunęli się niebaczni za drzwi kościoła: w jednej chwili pochwyceni przez żołnierzy, mimo oporu porwani zostali do zamku; dwóch nawet, którzy broniąc się, rzucili się na ziemię, ciągniono po brukach za nogi przy krzykach oburzenia całego tłumu. Chcąc nadal tym wypadkom zaradzić, ustanowiona została straż z akademików i innej młodzieży przy drzwiach, aby czuwać nad bezpieczeństwem otoczonych i o każdym niezwykłym ruchu wojska zebranych w kościele zawiadamiać. Obchodząc i szukając przejść tajemnych, wyszliśmy aż na dzwonnicę kościoła, przypatrując się ciekawie miastu. Na ulicach, o ile okiem sięgnąć zdołaliśmy, uwijały się patrole i wojsko; rozpuszczone kozactwo napadało na pojedynczo nawet idących przechodniów i biło niemiłosiernie nahajkami. Zdawało się wówczas, że rząd chciał w całej mocy pokazać rozbujałą siłę swych żołdaków, dozwalając im czynić bezprawia na mieszkańcach Warszawy. Wielu znakomitszych urzędników i starców szanownych zostało napadnięte przez te tłuszcze kozactwa i znieważone nahajkami. Kobiety nawet i dzieci nie wolne były od tego traktamentu. Ulice opustoszały, domy i sklepy zamknięto, tylko czasami brama jaka, ukradkiem otwarta, przepuściła kilka ciekawych głów, które słysząc nieregularny tentent koni kozackich, chowały się ciągle, rzucając przekleństwa i złorzeczenia. Gdyby nie te chwilowe oznaki życia, zdawałoby się, że w mieście wszystko wymarło prócz patroli wojska i uganiającego się kozactwa.

Było już koło 2-iej po południu; głód zaczynał nam już dokuczać w kościele, a tu z nikąd nadziei jakiegoś pożywienia. Wszystką wodę święconą, jaka była w kościele, wypito, część jej tylko zostawiwszy dla ocucenia mdlejących ze znużenia kobiet. Kobiety mimo swobodnego i niczem im nie grożącego wyjścia z kościoła za nic nas opuścić nie chciały, podtrzymując nas w wytrwałości i dodając ducha i nadziei. Kilka z pań, wyszedłszy do swych domów, powróciło znów do kościoła niby po swe dzieci, zostawione w świątyni, przynosząc ukrytą pod sukniami żywność, ale było to kroplą w morzu dla

zgłodniałej, przeszło 2.000-ej ludności. Kilku z młodzieży, odkrywszy wąziutki jak korytarz dziedziniec, oddzielający kościół katedralny od kościoła Pijarów, na który wychodziło parę okratowanych okien z cel księży, urządziło z nimi komunikacyę i na sznurku zaczęły się spuszczać ku nam woda, chleb, bułki i t. p. zapasy; na widok tych niespodziewanych darów tłum, jak zwykle, nieostrożny, zaczął wydawać okrzyki radości i głośne wiwaty na cześć Pijarów. Usłyszeli to komenderujący wojskiem i odbiwszy małe drzwiczki, wpadli nagle między krzyczących. Zamieszanie i gwałt wielki powstał między tłumem, zaczęto się cisnąć do kościoła, broniąc przed wojskiem. Część zapasów dostała się w ich ręce. Jednemu młodemu człowiekowi, który po drabinie dostał się do okna Pijarów i nie mogąc wleźć przez kratę, rozmawiał z księżmi, wyrwali żołnierze drabinę zpod nóg i ten nieszczęśliwy długo rękami zawieszony na kratach, błagał słabnącym z wysilenia głosem pomocy, aż wpół zemdlony runął na bruki, skąd go żołnierze wynieśli zemdlałego. Co się z nim stało, nie wiadomo. I ta więc ostatnia droga została nam odcięta, sam już tylko kościół ze swoimi korytarzami i salami posiedzeń kanoników, któreśmy odbili, został w naszem posiadaniu.

Tymczasem słońce już zaszło i cienie nocy pokrywać zaczęły dookoła gotyckie wnętrze świątyni. Niepokój zaczynał się wkradać do niektórych trwożliwszych umysłów, głód także i pragnienie zaczęło dokuczliwiej trapić. Ogół jednakże nie tracił wytrwałości i rezygnacyjna odwaga na każdem prawie czole błyszczała. Około 7-ej czy 8-ej wieczorem przybył jakiś wyższy oficer jako parlamentarz od namiestnika i zażądał, aby go wpuszczono do kościoła, gdyż ma ważne propozycye od hr. Lamberta przedstawić. Gdy wpuszczono, oświadczył, że namiestnik pragnie jak najłagodniej postąpić i dozwala nie pojedynczo, lecz po 4-ech wychodzić z kościoła.

— A ci, co wyjdą, cóż z nimi zrobią? — zapytano.

— Będą odprowadzeni do zamku i zapiszą tam ich nazwiska, a później puszczą wolno do domów — odrzekł parlamentarz.

— Nikogo nie zatrzymają? — zapytał ktoś z tłumu, patrząc niedowierzająco w oczy oficerowi.

— Nikogo prócz podżegających do śpiewów buntowniczych — odparł oficer.

— Tu nie było podżegających; my wszyscy jednakowo winni, my wszyscy tylko modlić się tu przyszli — zakrzyczeli zgromadzeni. — Nie wyjdziemy tylko wszyscy razem, gdy wojsko ustąpi i dadzą zaręczenie, że nie będziemy napastowani po ulicach!

Naprożne były namowy parlamentarza, musiał odejść z niczem. Pozapalaliśmy w kościele, jak i bocznych kaplicach, lampy i świeczniki na ołtarzach, aby nie błąkać się w ciemności. Część ludności, uklęknąwszy przed wielkim ołtarzem, zaczęła śpiewać i modlić się do Boga o pomoc w nieszczęściu.

Parlamentarz znów się zjawił z nowemi propozycyami, powiększając liczbę, jaka naraz może wyjść, do 6-iu i obiecując nawet dla winnych, jeżeli się przyznają do winy, wielką względność namiestnika.

— Tu niema winnych! — wołano do parlamentarza przez drzwi kratowe, gdyż do kościoła nie chcieliśmy go wpuszczać, bojąc się jakiego podstępu; mogli bowiem drzwi opanować, tylko więc przez kratową żelazną bramę rozmawiano z wysłańcami namiestnika.

— Panowie akademicy surowo będziecie odpowiadać — zawołał, zwracając się do nas kilku, gdyż w owym czasie ja z kilkoma straż przy drzwiach żelaznych trzymałem — gdyż to wy podburzacie i wstrzymujecie lud, a mianowicie kobiety, od wyjścia z kościoła.

— Nikogo nie wstrzymujemy — odrzekliśmy — każdy ma wolną wolę, tylko nie chce się narażać na przechodzenie przez szeregi pijanego żołdactwa. Widzimy dobrze, że wojsko częstowane jest wódką.

— Wojsko nic nie pije — zawołał parlamentarz. — Pozwólcie mi, Panowie, odezwać się do ludu samemu, a ręczę, że wielu, a szczególnie kobiety, wyjdą z kościoła.

— Mów Pan, mów! — odrzekliśmy — Prosimy tu bliżej Panie — zawołaliśmy do bliżej stojących kobiet.

Kilkadziesiąt kobiet zbliżyło się do krat żelaznych.

— Panie! — rzekł oficer — namiestnik przysłał mnie, abym oświadczył, że wszystkie kobiety mogą bezpiecznie udać się domów z kościoła, do domów bez żadnej odpowiedzialności,

pod słowem honoru namiestnika, inaczej mogą być panie narażone na nieprzyjemności ze strony rozjątrzonych żołnierzy, których my nawet wstrzymać nie będziemy mogli. Niech Panie dobry przykład dla mniej upartych pokażą, a to tylko nieszczęście sprowadzicie tym uporem — słowem, zachęcał i prosił w jak najwyszukańszy sposób.

— Idź Pan i powiedz namiestnikowi — odpowiedziała jedna z kobiet — że my naszych mężów, synów i ojców nie opuścimy w nieszczęściu. Wyjdziemy tylko razem z nimi, albo z nimi zostaniemy.

— Tak! Tak! — zawołały zebrane panie — same nie opuścimy kościoła. Nie chcemy, nie chcemy łaski dla nas jednych tylko!

I znów posłaniec odszedł z odpowiedzią nieprzychylną. Nie przestawano jednak traktować, zwracając się już ze stanowiska religijnego, że my kościół znieważamy przez nieporządek, jaki w nim zamknięci musimy czynić w tak świętem miejscu. Na ten argument już zabrakło cierpliwości jakiemuś rzemieślnikowi, trzymającemu straż przy bramie.

— My znieważamy kościół! — zawołał oburzony. — My tu przyszliśmy się modlić do Boga, aby nas z nieszczęścia wybawił, a wy heretyki okrążyliście dom Boży sołdatami i trzymacie nas od rana do nocy o głodzie za nasze modlitwy. Wy to Panu Bogu odpowiecie na tamtym świecie.

— I rzeczywiście na tamtym chyba świecie odpowiedzą, bo tu na nich niema sądu — podszepnął któryś.

Noc już nastała głęboka i ciemna, światła w oknach przeciwległych domów pogasły, gdyż tak kazano, lecz za czarnemi tłami okien rozróżnić mogliśmy ciekawe i niespokojne głowy mieszkańców, rysujące się niejasno poza szybami, które ciekawie wpatrywały się w gmach ten wielki katedralnego kościoła, otoczonego dokoła płomieniem rozpalonych ognisk, koło których rozłożyli się oblegający nas żołnierze. Mogliśmy z okien wieżyczek kościelnych rozpoznać, że wszyscy prawie mieszkańcy na całej Świętojańskiej ulicy i Starem Mieście czuwają jeszcze, bo co chwila to okno, lekko odemknięte, rzucało ku nam z ust nieznajomych jakieś niedosłyszane słowa pociechy czy wytrwałości, to postać jakaś kobieca zabielała w oknie, dając nam jakieś niewytłómaczone i ledwie dojrzane znaki.

Światła tylko nigdzie już nie było, bo najmniejszy błysk budził zaraz okrzyki gęsto rozprószonej policyi, rozkazującej gasić ogień, a nieposłusznych wyrywano z domu, prowadząc do więzienia. Ileż to rodzin w tej nocy, burz pełnej, oczekiwało swoich synów, mężów lub ojców? Ileż to matek, przez całą noc skurczonych przy oknie, chwytało każden szelest uliczny, ciesząc się nadzieją lub w jeszcze większą wpadając rozpacz! Wiele bowiem różnych przypuszczeń przewijało się przez głowy nieszczęśliwych, oczekujących na blizkie sercu osoby, więzione od rana w kościele, a między temi i rzeź w kościele przy jakim oporze ze strony zamkniętych nie zdawała się nieprawdopodobną po scenach, jakie się w dzień działy po ulicach Warszawy.

Północ już się zbliżała; znużenie i głód na wielu już twarzach posępną bladością się malował. Kobiety niektóre upadały zemdlone na stopnie ołtarza, żadna z nich jednak nie myślała korzystać z udzielonej łaski i opuszczać nas na pastwę przemocy. Widząc, że już żadnej niema nadziei, aby wojsko odstąpiło kościoła i że w najlepszym razie przyjdzie nam do rana w murach świątyni pozostać, urządziliśmy straże zmieniane przy wszystkich wyjściach, aby reszta odpocząć w bezpieczeństwie mogła. Dla kobiet, dla pań naszych wyznaczyliśmy prezbyteryum i dwie boczne kaplice na sypialnie, a raczej miejsce spoczynku po całodziennem znużeniu, mężczyźni zaś w reszcie kościoła mieli się mieścić i układać, jak kto mógł i gdzie miejsce znalazł, prócz naturalnie dyżurnych, aby nieprzyjaciel nie wdarł się i na śpiących nie napadł. Uwolniwszy się koło samej północy z dyżuru, poszedłem szukać sobie w kościele miejsca dla spoczynku. Dziwny i fantastyczny jakiś zarazem przedstawił mi się widok. Ten gmach olbrzymi, na wzór gotycki sklepiony, z ostrołukami i filarami, na których stały rzeźbione posągi, oświecone mdławem światłem lamp i świeczników, skąpo po kościele porozrzucanych, ten wielki, czerwonem suknem okryty katafalk z karmazynowym nad nim namiotem, którego wierzchołek ginął tam gdzieś u szczytu sklepienia, rzucając jakiś krwawy i groźny odblask dookoła; te pomniki i statuy nadgrobne z kararyjskiego marmuru, które zdawały się życia nabierać i dziwnie spoglądać na nowy dla siebie widok, a wokoło snujące się parami, pojedynczo i w grupach postacie

uwięzionych, gdy inne znów, podłożywszy płaszcze i okrycia pod głowy, wpół leżący na stopniach ołtarzy i przy grobowcach odpoczywały; kobiety, pozdejmowawszy kapelusze z głów, niektóre z rozplecionymi włosami, zasypiały, oparte o kolana starszych swoich towarzyszek, a wszystkiemu temu towarzyszył jakiś szmer cichy, pełen oczekiwania i niepewności, mieszając się z groźniejszym szczękiem broni, który przez drzwi świątyni dolatywał — wszystko to rzucało umysł w krainę średniowiecznej fantastyczności, nasuwając podania o zaklętych duchach, zebranych o północy w starożytnej świątyni na jakiś obchód z drugiego świata. Położywszy głowę na stopniach owego czerwonem suknem okrytego katafalka, przypatrywałem się temu dziwnie oryginalnemu widokowi z jakiemś niepojętem i nigdy niezapomnianem wrażeniem.

Tymczasem przy drzwiach parlamentowania i namowy odbywały się bez przerwy; grożono wkońcu, że szturmem będą kościół zdobywać. Sprowadzono jakąś deputacyę obywateli z kościoła OO. Bernardynów, gdzie również publiczność modląca się była zamkniętą, aby ta deputacya zaświadczyła nam, iż siłą wojsko weszło do kościoła i wszystkich zabrano. Widząc jednak, że to nic nie pomaga, dano już pokój namowom i udano się po stanowcze rozkazy do zamku.

Po odejściu parlamentarzy uciszyło się wszystko i sen zaczął kleić już moje powieki, kołysząc umysł najdziwaczniejszemi fantazyami — a wtem huk nagły i krzyk zebranych na równe nogi podniósł mnie ze stopni katafalka; nie mogłem jednak chwilowo kroku postąpić, bo wyżej leżący towarzysze, podnosząc się również, jak i ja gwałtownie, zrzucili na mnie jakiś kawał obicia i mnóstwo ciężkich świeczników.

— Drzwi odbijają! Wojsko kościół zdobywa! Rzeź będzie! Bronić się, bronić do upadłego! — krzyczano dokoła mnie.

Wydostawszy się na wierzch z pod tych okryć [i świeczników] ołowianych, ujrzałem dopiero, że drzwi od ulicy zostały zajęte i wojsko stało już poza ażurową z żelaza bramą, najeżone swymi bagnetami; dalej jednak nie postępowało ni krokiem i brama ta kratowa oddzieliła ich od ludności. Po takim gwarze nastąpiła nagle cichość grobowa; każdy czuł, że ważna jakaś, może krwawa nawet chwila jego żywota przybliża się wolnym, lecz nieubłaganym krokiem. Umysły do tego

stopnia były rozdrażnione, i poruszone, że nawet przypuszczano, iż wojsko rzeź zrobi w kościele.

Po tej chwilowej ciszy krzyknęło naraz kilka głosów: »Bronić się, bronić!« i wielu młodzieży uchwyciwszy kije, krzyże i wielkie, metalowe świeczniki, posunęło się ku bramie żelaznej, poza którą błyszczały bagnety. Wojsko jednak nie ruszało się z swojej pozycyi, patrzyło tylko z pewną obawą choć i nie bez złości na tłum zgromadzonych. Rozsądniejsza część publiczności zaklinała, aby nie stawić oporu i nie spowodować rzezi, która wówczas mogła być prawdopodobną. Wielu jednak młodzieży nie rzuciło owych słabych oręży, przyrzekając jednak używać ich tylko do obrony życia, a nie do zaczepki. Kobiety przestraszone latały między nami, błagając o spokój i cierpliwość. Zamieszanie jednak to chwilowe uspokoiło się znowu, nie na długo jednak. Niewielu trwożliwszych biegało w różne strony, szukając ukrycia po korytarzach i chórach kościoła. Ja z kilku akademikami i inną młodzieżą stanęliśmy przy wielkim ołtarzu, uspakajając bardziej wrażliwe kobiety. Naraz rozległ się znów łoskot gwałtowny, a w ślad niego krzyk stłumiony:

— Bramę wybijają, bramę ostatnią wybijają!

— Bronić się, bronić! — wołali gorętsi.

— Spokojności! Czekajmy — mitygowali starsi.

Zamieszało się coś przy owej bramie żelaznej i nagle z ogromnym łoskotem rozwarły się rozbite oskardami wrota żelazne. Po tym łoskocie nastała cisza chwilowa, pełna przerażającego oczekiwania, a po niej zaszczękały karabiny i krzyk znów wielki podniósł się u samego wchodu. Widzieć zaledwie mogłem zprzed wielkiego ołtarza, jak coś zakotłowało się, jak w burzy, przy bramie, zmieszało razem, podnosząc kłęby kurzu, a w ślad ich jęki przeciągłe i głosy kobiece: »Zabijają, ranią naszych!« i kilka z pań z rozwianym włosem wbiegło na katafalk, powiewając skrwawionemi chustkami, a za niemi ustępujący tłum wywracał świeczniki katafalkowe, tłocząc się ku nam.

— W dzwony na gwałt uderzyć! — odezwały się jakieś głosy i kilka rąk pochwyciło za sznur od dzwonu. — Dzwonić, to z miasta pomoc nam przyjdzie — i głuchy przeraźliwy jęk dzwonu się rozległ.

— Nie dzwonić! Nie dzwonić! — odezwali się starsi — bo się miasto tu zbiegnie i rzeź wielką wywołamy!

Kilka stojących kobiet rzuciło się ku sznurowi i przecięło go u góry i dzwon zamilkł. Gdyby nie ten rozsądny postępek, kto wie, czyby mnóstwo rzemieślników z Starego Miasta nie przybiegło na ratunek swych braci i czy rzeczywista rzeź by nie wynikła.

— Księdza! Księdza z krzyżem wyprowadzić do wojska: może się wstrzymają żołnierze — i w jednej chwili wyprowadzony ksiądz z zakrystyi, odziany w komżę i stułę, szedł, blady, drżącym krokiem, podtrzymywany przez dwie jakieś kobiety, trzymając krzyż oburącz naprzeciw wojsku.

Ja, stojąc przy wielkim ołtarzu z kilkoma, pochwyciliśmy z niego wielkie ołowiane świeczniki, pragnąc przynajmniej drogo sprzedać swoje życie. Kilku rzemieślników, otaczających nas, zaczęło coś na karteczkach zapisywać.

— Co panowie robicie? — spytałem.

— Zapisujemy swoje nazwiska, aby wiedziano, kto tu zginął.

Przyznam się, że niebardzo przyjemne wrażenie wywarła na nas ta odpowiedź. Rzecz się tymczasem wyjaśniła. Nikogo nie zabito, a tylko żołnierze, idąc naprzód ze spuszczonymi jak do ataku bagnetami, ranili kilkunastu stawiających opór, za co też byli poczęstowani tęgiemi uderzeniami metalowych świeczników.

Uspokojeni przynajmniej na chwilę co do swego losu, oczekiwaliśmy zbliżenia wojska ku ołtarzowi. Przestrzeń już niewielka rozdzielała nas od nich.

— Idą już — zawołały stojące przy nas kobiety.

— Mój syn! Mój syn! — szepnęła niemłoda już, stojąca przy mnie pani i zsunęła się zemdlona na stopnie ołtarza.

Nie miałem jednak czasu ją ratować, bo nagle schwycony [zostałem] przez jakąś kobietę, która zarzuciła mi swoją chustkę, szepcząc mi do ucha:

— Ukryj Pan swój kołnierz! Akademików przedewszystkiem wyszukują w tłumie.

— Zrzuć Pan mundur! Mundur Pan zrzuć! — szepnęła druga.

A nim się obejrzałem, już wraz z dwoma drugimi kolegami

byłem bez munduru, a kołnierz paltota okryty był jakąś ciemną chustką. Schowawszy czapkę do kieszeni, czekałem w niepewności dalszego losu. Wojsko było już tylko o kilka kroków; nas jednak jeszcze nie widziano, bo otoczeni byliśmy wkoło podwójnym szeregiem kobiet.

— Niech się Panie rozsuną; tam w środku są mężczyźni, a może nawet akademiki — zawołał jakiś oficer po polsku.

— Tu niema akademików, to nasi synowie, młodzi, my ich nie damy! — krzyczały odważnie kobiety, ściskając się silniejszem kołem wokrąg nas.

— Niech Panie się rozstąpią, bo każę wojsku iść naprzód — zawołał oficer.

Nie chcąc narażać nasze szlachetne damy na gburowatość żołnierzy, wystąpiliśmy sami, oddając się w ręce oficera. Otoczył nas szereg wojska, popychając ku wyjściu i łącząc z innymi aresztowanymi. Co kilka kroków przypadał jakiś adjutant, szukając między szeregami prowadzonych, czy niema gdzie akademików. Ale dzięki przebraniu nie byliśmy jeszcze poznani. Postępowaliśmy tak wolnym krokiem ku drzwiom kościoła, podzieleni na małe grupy aresztowanych, z których każda oddzielnym szeregiem żołnierzy była pilnowaną. Po wszystkich zaułkach tymczasem kościoła rozbiegło się wojsko i policya, szukając ukrytych po chórach i korytarzach, sprowadzając ich do kościoła, co nie obeszło się bez bicia. Kilkunastu jednak bądź lepiej ukrytych, lub też poprzebieranych w kobiece okrycia uszło oczu policyi.

Zbliżaliśmy się ku drzwiom głównym kościoła. Szczęśliwy, że przebranie tak mi się udało, postępowałem spokojnie między bagnetami, a wtem, gdym już próg kościoła przestępował, wiatr silny, na przestrzał wiejący, zerwał mi niedobrze zawiązaną chustkę, okrywającą kołnierz mundurowego paltotu:

— *Wot akadjemik, akadjemik!* — wrzasnął jakiś głos za mną — *chwatať jewo, chwatať, a to ujdiot* — i w jednej chwili kilka rąk sołdackich schwyciło mnie za ramiona, za kołnierz i piersi i wyprowadzono mnie z grona towarzyszy, którzy, szczęśliwi, nie zostali poznani. Niesiony prawie w powietrzu, gdyż bardzo się obawiano, abym w tłumie nie zniknął, postawiony zostałem w kruchcie kościoła za potrójnym szeregiem

wojska, gdzie już trzech kolegów, także na nieszczęście odkrytych w tłumie, oczekiwało.

— I ciebie też odkryli! — rzekł S. — Źle nam się pewnie dostanie, bo nas tu za podżegaczy uważają.

— Ej, cóż nam mogą zrobić za modlenie się w kościele? — odrzekłem, uspakajając ich, choć sam nie byłem spokojny.

— Gdzie akademiki? — odezwał się jakiś głos groźnie.

— *Wot zdjeś* — pokazano na nas.

— Ach, to wy, buntowniki? — zawołał zapieniony od złości.

Podnieśliśmy oczy, stał przed nami jakiś jenerał; jak się dowiedzieliśmy, był to jen. Chrulew.

— *Znajetie wojennoje położenie? Wam wsiem 4-om kak zaczinszczikam* (podżegaczom) *puleju w łob pierед cerkowju, siejczas rozstrelajut miatieżnikow* — i wyleciał, krzycząc, z kościoła.

Popatrzyliśmy na siebie, w milczeniu rozważając, wierząc i nie wierząc jego słowom.

— Niepodobna — rzekłem do posmutniałych troszkę kolegów — aby za śpiewy w kościele mieli nas rozstrzeliwać.

— Ale czas wojenny i oni mówią, żeśmy kamieniami ranili żołnierzy, że był opór.

— To kłamstwo, niczego nam nie dowiodą i dowieść nie mogą.

— Czyż im trzeba dowodów? — szepnął któryś.

— Nie, to nie może być; rozstrzelać nie rozstrzelają, ale mogą gdzie wysłać daleko.

I zamyśliliśmy się głęboko. Żołnierze tymczasem pocieszali nas, żeby się nie obawiać, bo nas nie rozstrzelają, a tylko przez rózgi przepędzą i do wojska w sołdaty oddadzą — pocieszenie niebardzo pocieszające. Przed naszemi tymczasem oczami przeciągały powoli szeregi aresztowanych, wybladłych i znękanych nocą bezsenną i niepewnością położenia. Wkońcu i nas wyprowadzono przed kościół.

Było już koło 3-ciej po północy; ogień z biwaków żołnierskich oświecał słabo ciemne mury kamienic ulicy św. Jana, rzucając na nich krwawy odblask; okna wszystkie, choć ciemne, bielały jednak natłoczonemi za niemi postaciami, ciekawie przypatrujących [się] tym nocnym wypadkom. Główna, a raczej

prawie cała liczba aresztowanych popędzona została, umyślnie używam tego wyrazu »popędzona« do cytadeli, zmuszona stosować swe kroki do lekkiego kłusu koni kozackich. Opieszałym lub osłabionym dodawano energii i siły nahajkami lub drzewcami pik kozackich. Przy segregowaniu na partye kolby od karabinów żołnierskich grały takoż swoją rolę, jak to wszystko od samychże okolbowanych i znahajkowanych słyszałem.

Nas zwrócono ku zamkowi. Kilkanaście zaledwie uszliśmy kroków, jak szereg stojących przed zamkiem żołnierzy rozwarł się i wprowadzono nas do grona kilkudziesięciu kolegów, również przy rewizyi ściślejszej rozpoznanych. Ujrzawszy się w tak licznem gronie, inny zaraz duch wstąpił we mnie. Jakoś raźniej nieszczęście przenosić w wesołej kompanii. O rozstrzelaniu naturalnie już nie myśleliśmy, lecz oddanie w sołdaty drażniło naszą wyobraźnię jako prawdopodobna przyszłość. Umieszczeni zostaliśmy wszyscy akademicy i inni, uważani za podżegaczy, w zamku królewskim w jakiejś niewielkiej izbie z okratowanem oknem, w drugiej zaś izbie stała nasza straż, złożona coś ze 40 żołnierzy. Było nas wszystkich około 50 czy 60, znaczną większość stanowili akademicy.

Zaraz po naszem zainstalowaniu w zamku wpadło kilku wojskowych dla spisania naszych nazwisk, zapowiadając, że oddani zostaniemy pod sąd wojenny, i grożąc ciężkiemi karami, a nawet rozstrzelaniem winniejszym; ale niewiele już uwagi zwracaliśmy na te groźby. Jeden tylko między nami, oficer w czynnej służbie, Polak do tego, który z narzeczoną przyszedłszy do kościoła, został tamże złapany i mimo przebrania poznany, pogrążony był w czarnych myślach nad swym losem. I jemu rzeczywiście rozstrzelanie, a najmniej już degradacya w sołdaty groziła. O ile jednak przypominam sobie, to podobno zdołał zemknąć, będąc puszczonym na porękę, i walczył później w powstaniu. Kilka razy przychodzili ze spisywaniem nazwisk i rachowaniem, ilu nas jest, i zawsze takie popełniali omyłki panowie oficerowie, w czem im szczerze dopomagaliśmy, że za każdym razem to kilku więcej, to znów kilku mniej się okazywało, od czego w głowę zachodzili, bo uciekać otoczonym murami i wojskiem było niepodobna. Co parę godzin nas rachowano i zawsze inna liczba wypadała, tak, że ledwie

w końcu drugiego dnia zdołali to wszystko skombinować i ostatecznie w nocy już nas policzyć. Tegoż dnia rano przyprowadzili do nas paru aresztowanych z ulicy za jakieś drobiazgi; między innymi jakiegoś podeszłego już człowieka, urzędnika z poczty, który spodziewając się natychmiastowego puszczenia, pobrał od nas karteczki do domu z zawiadomieniem, gdzie jesteśmy, i prośbą o przysłanie nam ciepłej odzieży, co wszystko sumiennie uskutecznił.

W Warszawie tymczasem jak najrozmaitsze wieści krążyły o losie, jaki nas, akademików, spotkał, gdyż nie wiedziano, gdzie się znajdujemy. Wszystkich bowiem aresztowanych odesłano do Cytadeli i pozwolono z nimi się widywać; gdzie zaś myśmy zostali zaprowadzeni, nikt nie wiedział i dopytać się od władzy nie mogli.

Na drugi dzień po północy wyprowadzono nas z zamku i otoczonych podwójnym szeregiem wojsk i kozaków poprowadzono do Cytadeli. Pomimo tajemnicy, z jaką robiono nasze przeprowadzenie, w wielu jednak oknach widzieliśmy białe postacie kobiet, przypatrujące się nam i czyniące nad nami znaki krzyża. Wprowadziwszy nas do Cytadeli, ustawiono na placu, gdzie przez całą noc do samego rana musieliśmy czekać na chłodzie październikowym, aż się pan komendant zechce obudzić. Szczęśliwi, co otrzymali ciepłe ubranie z domu, lecz tych było niewielu; większa część dygotała, szczękając zębami od zimna. Nareszcie pan komendant obudził się i zostaliśmy wprowadzeni do jakiejś wielkiej izby koszarowej z powybijanemi oknami, w których tylko kraty wstrzymywały pęd wiatru. Jeść nam ogromnie długo nie dawano, bo na parę tysięcy aresztowanych, niespodziewanie wprowadzonych do Cytadeli, nie mogli nastarczyć gotować. Przyniesiono nareszcie obiad (śniadania niema zwyczaju dawać) w szaflikach, składający się z jakiejś mętnej wody, zasypanej trochą kaszy ze słomą, obficie pływającą, i na patykach pozasadzane mięsa, które żołnierz swemi łapkami bez talerzy rozdawał. Choć głód nie jest wybredny, jednakże szaflikowe danie pozostało prawie nietknięte i rzucono się do mięsa dla zaspokojenia olbrzymiego apetytu. Nikomu z nas przez parę dni nie pozwolono się widywać; byliśmy pod jak najściślejszą strażą. Po kilku dniach jednak rygor ten zwolniał znacznie, a później i ustał zupełnie.

Zaczęły się odwiedzania szlachetnych naszych Polek, które tłumnie, karetami i pieszo, ciągnęły do Cytadeli jak na odpust jaki, zasilając nas pocieszającemi nowinami i wiktuałami, które nam o stole więziennym kazały kompletnie zapomnieć. Dowiedzieliśmy się od pań nas odwiedzających, którym dozwolono, stojąc o kilkanaście kroków od okna, rozmawiać z nami, że kościoły w całej Warszawie zostały zamknięte z rozkazu administratora archidyecezyi warszawskiej, prałata Białobrzeskiego, aby nie narażać domów Bożych na powtórne ich znieważenie przez wojska, że nas wszystkich wkrótce uwolnią, bo taki przyszedł rozkaz z Petersburga i t. p. Oficerowie, asystujący przy tych rozmowach, byli w ciągłych opałach, bo z jednej strony zabronione mieli od swej władzy jak najsurowiej, [aby] o wiadomościach z miasta nie mówiono, a tu znów nie chcieli się pokazać w roli surowych i nieubłaganych argusów przed pięknemi Warszawiankami, które zręcznie umiały powiedzieć, co chciały, używając czasem dziecinnej niby naiwności dla oszukania baczności, jak np. jedna z młodych pań, której zabronił [oficer] wspominać o wypadkach miejskich, zaczęła, podnosząc głos, wypytywać go się:

— A czy można powiedzieć, panie oficerze, że kościoły wszystkie zamknięte?

— A nie, nie! Czego pani to mówi?

Zaczęła przeto rozmawiać z nami o potocznych rzeczach, a po chwili znów do oficera:

— A czy można powiedzieć, panie oficerze, że jen. Gerstenzweig w łeb sobie strzelił wczoraj z rozpaczy, że namiestnik kazał wypuszczać z Cytadeli? i t. p.

O śmierci jen. Gerstenzweiga, gubernatora wojskowego Warszawy, różne chodziły pogłoski; że sobie odebrał życie, to nie ulega żadnej wątpliwości, o powodach zaś dużo było pogłosek; najprawdopodobniejszą, a przynajmniej najczęściej powtarzaną jest następująca: Miała być kłótnia żywa między namiestnikiem a Gerstenzweigiem o zamknięcie kościołów, któremu przeciwny był Lambert, i tylko przez niego podburzony, krok ten uczynił, a następnie o surowe postępowanie z więźniami, które Lambert łagodził mimo przyjętych niby zobowiązań na radzie wojennej, aby całego rygoru stanu wojennego użyć na wziętych w kościele. A gdy jeszcze Ger-

stenzweig, jadąc do Cytadeli, zobaczył tłumy wypuszczonych więźniów, wracających swobodnie do Warszawy, z rozkazu namiestnika, wpadł do zamku, przemówił za ostro do Lamberta, z czego miał wyniknąć pojedynek angielski[1] przez wybranie losów, kto się sam zastrzeli, gdyż takie osoby pojedynku zwykłego, w owych szczególnie czasach, odbywać nie mogły. Los przyniósł śmierć Gerstenzwiegowi. Taka chodziła pogłoska po Warszawie, ale trudno się prawdy dowiedzieć; piszę tylko to, co najsilniej po Warszawie kursowało, nie ręcząc wcale za autentyczność lub nawet prawdopodobność tego tajemniczego faktu. Takie to mniej więcej rzeczy działy się w Warszawie, gdy nas trzymano w więzieniu.

W kilka dni po przyprowadzeniu nas do Cytadeli zabrano z grona naszego 9-iu czy 10-iu akademików, po większej części mojżeszowego, a przynajmniej niekatolickiego wyznania i osadzono ich w X pawilonie jako niby najwinniejszych. Na jakiej podstawie uznano ich za więcej winnych od nas, tegoby i najbieglejszy prokurator nie objaśnił; dość na tem, że ich badano, sądzono i skazano w sołdaty w Sybir. Odprowadzałem ich wraz z kilku innemi osobami aż do Łomży. Wszędzie po drodze byli przyjmowani jak niewinne i szlachetne ofiary przemocy wspólnej sprawy, poświęcające się za współbraci. Za przyjazdem jednak na namiestnikowstwo w. księcia Konstantego zostali zwróceni z drogi, nie doszedłszy do Sybiru; kilku jednak, nie spodziewając się tak prędkiego zmiłowania, uciekło z Kazania przez Konstantynopol do Francyi.

My tymczasem siedzieliśmy parę tygodni, odwiedzani przez niezmordowane i pełne poświęcenia Warszawianki, aż nareszcie po zdjęciu z nas protokołu i przyrzeczeniu, że do żadnych manifestacyi należeć nie będziemy, puszczono nas do domu.

---

[1] Raczej amerykański. Przyborowski, Historya dwóch lat, III, 384 (*P. w.*).

XI.

Warszawa w stanie wojennym. — Połączenie się Komitetu akademickiego z Komitetem miejskim. — Nowy skład i stosunki wewnętrzne Komitetu miejskiego. — Młodzież Czerwona i Biała. — Miłość i stosunki towarzyskie autora.

Wyrwaliśmy się nareszcie na ulice Warszawy, witani przyjazną ludnością rzemieślniczą z okien swych warsztatów, bo na ulicach zbiegowiska były srogo zabraniane stanem wojennym i jeżeli więcej nad 3 osoby choćby wypadkiem zatrzymało się na ulicy, zostali natychmiast aresztowani przez stojących co kilka kroków milicyantów. Jeden nawet z tych milicyantów, stojący przy hotelu Europejskim, nabył głośności w Warszawie za swoją niezmordowaną gorliwość w aresztowaniu po ulicach za najmniejszem podejrzeniem tak, że liczba przez niego aresztowanych dochodziła czasem do 100 osób dziennie. Naturalnie, że na drugi dzień tych winowajców, którym albo latarka zgasła, albo wyszli z za grubą laską na ulicę i t. p., wypuszczano z Ratusza. Ogólna jednak postać Warszawy, mimo wojsk rozłożonych po placach i częstych patroli, niewiele straciła na swym pełnym życia i patryotyzmu kolorze, tylko kościoły zamknięte nadawały niezwykły jakiś charakter miastu. Na zewnątrz oznaki mniej się stały jawne, ale zato w głębi gorzał wulkan podziemny, rosnąc olbrzymio w siłę.

Towarzystwa tajemne, oddzielnie dotąd istniejące, zaczęły łączyć się i skupiać w jedną całość pod zarząd owego stowarzyszenia, o którem już wspomniałem, nadając mu tytuł »miejskiej Organizacyi«. Robiło ono kroki o złączenie się, a raczej o wcielenie naszego stowarzyszenia, ale były to jeszcze tylko kroki uboczne. Nasze stowarzyszenie tymczasem powiększało liczbę swych członków między młodzieżą warszawską różnych stanów, rozszerzając swoje gałęzie nawet i do prowincyi. Fun-

dusze, choć powoli, wpływały jednak ze składek od stowarzyszonych. Kasę powierzono mnie do przechowania i dyspozycyi na potrzeby stowarzyszenia.

Przy nadchodzących świętach Bożego Narodzenia, korzystając z parotygodniowych feryi, wygotowaliśmy instrukcye dla wyjeżdżających na prowincyę akademików, aby tam rekrutowali stowarzyszonych, tworzyli z nich dziesiątkowe koła, zależące naturalnie od naszego komitetu.

Na tych mniej więcej przygotowaniach zakończyliśmy 1861 rok i rozpoczęli 1862, tak pełen w wypadki i przepowiednie przyszłych krwawych scen w naszym kraju.

Na początku 1862-go roku, kiedy nasze stowarzyszenie dosyć już podniosło liczbę swych członków, otrzymaliśmy zaproszenie przez owo tyle razy już wspomniane stowarzyszenie miejskie, najsilniejsze ze stowarzyszeń partyi ruchu i niejako prawie stanowiące główne kierownictwo żywiołu rewolucyjnego w takiem znaczeniu, jakiem my rozumieliśmy dążenia rewolucyjne, t. j., wyswobodzenie jak najszybsze kraju. Po wielu umowach i traktowaniach ze mną z początku jako z delegowanym od naszego stowarzyszenia, a następnie i z całym naszym komitetem, który już wówczas był powiększony do 7-iu członków, zaczęliśmy przystępować do zgody. Zamiary, cele i drogi były zupełnie prawie jednakowe obu stowarzyszeń, chodziło tylko, na jakich prawach ma się nasze stowarzyszenie zlać z organizacyą miejską. Otóż ułożono wspólnie, że z naszego grona jeden z nas, większością głosów wybrany, wejdzie jako członek do komitetu Organizacyi miejskiej, dwóch zaś z naszych wejdzie do koła komitetowego, istniejącego przy komitecie, które stanowiło niejako radę przyboczną komitetu i pełniło obowiązki głównych ajentów. Ja zostałem jednogłośnie wybrany przez nasze stowarzyszenie na członka do komitetu tej organizacyi, a Z[dzisław] J[anczewski] i K[amiński] W[incenty] na członków koła. Na tych więc tylko warunkach stowarzyszenie to tajemne zlewało się do organizacyi miejskiej.

Pomimo jednak przyrzeczeń i przyjęcia warunków, abym ja jako reprezentant stowarzyszenia zasiadał w komitecie miejskim, dość długo jednak one nie wchodziły w czyn. Przyczyną tego była z jednej strony niewiara w nasze rewolucyjne zamiary, gdyż akademicy mianowicie z początku na-

leżeli do partyi umiarkowanej; przypuszczali więc, że może to jest fortel partyi Białej, chcącej przez nasze tam wejście mieć swoje kreacye dla oddziaływania na stowarzyszonych lub też zniszczyć ją; a drugą przyczyną była zapewne moja młodość i stąd obawa czy o dyskrecyę i utrzymanie tajemnicy, czy też wreszcie, i co najwięcej, ambicya starszych z koła, że ja mam należeć do przewodniczących nimi i t. d. Pomimo przeto, że byłem wprowadzony na posiedzenie komitetu i niby brałem udział w jego czynnościach, nie było jednak tego zaufania i jedności, jaka w takiej mianowicie organizacyi istnieć była powinna. Byłem tam tylko jako deputowany od silnego stowarzyszenia, którego muszą znosić, aby nie zrobić sobie z niego przeciwnika lub nie rozerwać słabych wiązań nowych stowarzyszonych.

Cały jednak ten komitet początkowo składał się raczej z odrębnych naczelników tajnych stowarzyszeń, z których niektórzy nawet (paru przynajmniej takich było) trzymali przywiązanych tajemnie do siebie stowarzyszonych, ukrywających ich jak najszczelniej przed drugimi z obawy, aby im ich widać nie odebrano i jako już bezsilnego z komitetu nie wyrzucono; a ambicya zasiadania w komitecie była wielka. Taki stan naturalnie nie mógł trwać długo.

Po bliższem poznaniu się zobaczyłem, że najlepszą osobistością i najwięcej też szanowaną jest W[itold] M[arczewski]; starałem się tedy z nim bliżej porozumieć, ale jakoś mi to się nie udawało, co rzeczywiście przypisuję swojej młodzieńczej niewytrawności. Drugi członek, Ignacy Chmieleński, człowiek nadzwyczaj zagorzały, namiętny zapaleniec, był dość wpływowy w komitecie, lecz głównie przez swe liczne legie stowarzyszonych, z któremi sam tylko się komunikował, trzymając ich w swym ręku jako broń przeciw innym członkom, którzyby mu się sprzeciwiali; ambicya jego o wiele przewyższała małe zdolności. Dwaj drudzy, jak S[tanisław] M[atuszewicz], który przy gorliwej pracy grzeszył tylko kłamaniem o swych stosunkach i powadze w organizacyi, oraz J[arosław] D[ąbrowski], oficer jeneralnego sztabu, jedna ze zdolniejszych osobistości w tem stowarzyszeniu, wielkiej jednak egzaltacyi i krańcowy zapaleniec. Po niejakim jednak czasie zdołałem choć trochę wejść do zaufania członków i nastąpiło drugie, uroczyste już

połączenie się nasze z komitetem, na którem to zostałem oficyalnie już przyjęty na członka komitetu, z zastrzeżeniem, że mnie zmieniać w razie przewrotu komitetu mogą tylko w porozumieniu z akademikami. Koło też komitetowe, jako nie na czasie już będące, zostało rozwiązane. Władzą przeto główną całej organizacyi został komitet, złożony z 5 członków: z W[itolda] M[arczewskiego], J[arosława] D[ąbrowskiego], S[tanisława] M[atuszewicza], I[gnacego] C[hmieleńskiego] i ze mnie. Komitet porozumiewał się z miastem za pomocą wydziałowych, których było 4-ech. Nad wydziałowymi ustanowiony był naczelnik miasta, jeden z członków komitetu, J[arosław] D[ąbrowski]. Każdy z wydziałowych miał 3-ech okręgowych, ci zaś okręgowi znosili się już z setnikami i dziesiętnikami organizacyi. Wszystko to jednak później nieco dopiero zostało ściślej urządzone przez Komitet Cetralny. Na prowincyach komunikował się komitet z organizacyą przez swych ajentów.

Organem komitetu było pismo p. t. »Głos z Warszawy«, którego redaktorem był S. M. Rozporządzenia komitetu pisane były na blankietach, opatrzonych pieczątką, przedstawiającą dwie ręce trzymające się, z napisem, jeśli się nie mylę »równość, wolność i niepodległość« i podpisem liter, oznaczających pierwsze cyfry członków komitetu t. j. M. C. D., razem związanych, formujących jeden hieroglif; później dla ułatwienia zrobiono odlew tego podpisu i tak go do blankietów przykładano.

Fundusze komitetu nader były małe i prawie zawsze kasa drobne tylko sumki zawierała.

Towarzystwo nasze, chociaż połączyło się z Organizacyą miejską, nie rozwiązywało się jednak, lecz pozostawało zawsze, czas jakiś przynajmniej, odrębną całością. Komitet nasz akademicki zbierał się także, gdyż o to prosiłem, aby się nie rozwiązywał; bo choć oddali mi władzę nad całem stowarzyszeniem, nie chciałem jednak bez ich rady i wzajemnego przedebatowania czynić zmian w stowarzyszeniu lub wnosić projekta na komitet miejski bez ułożenia się z nimi, wyjąwszy w rzeczach ściśłej jakiejś tajemnicy komitetowej.

Po połączeniu się naszem z organizacyą miejską nie zostało już prawie żadnego kółka młodzieży, odrębnie stojącego. Wszystkie one prawie w bardzo prędkim czasie zjednoczyły się pod jednym zarządem, z którego, jak wkrótce zoba-

czymy, uorganizował się Komitet Centralny. Od tej przeto chwili partya ruchu, czyli, jak ją zwali, Czerwona, śmiałe stawiła czoło partyi Białej, czyli szlacheckiej, walcząc z nią bez ustanku, wyrywając z jej łona cały żywioł gorętszy, i zmusiwszy ją w końcu do rozwiązania się zupełnego, objęła naczelny zarząd nad jednem już tylko, cały kraj okrywającem sprzysiężeniem.

Zanim jednak przystąpię do dalszego opowiadania konspiracyi i jej losów, muszę jeszcze tu wspomnieć o chociaż mniej ważnych wypadkach, ale jako ściśle wiążących się z mem życiem, ominąć ich niepodobna, zwłaszcza, że piszę tylko moje pamiętniki, a nie historyę konspiracyi i powstania, wspominając tylko o niej o tyle, o ile ono życia mego dotyka i o ile sam byłem działaczem w tych pełnych zamieszek czasach. Jak na pamiętniki osobiste i tak dość w nich miejsca poświęcam ogólniejszym wypadkom, głównie jednak dla tego, że życie me ściśle w te wypadki było wplątane.

Nie chcę tu wspominać wcale o naszych akademickich zebraniach i sporach naszej partyi z umiarkowanymi, pod dyrekcyą Majewskiego zostającymi, o sposobach, jakich używali, aby tajemną organizacyę naszą, o której wiadomość się rozeszła i między umiarkowanymi, zniszczyć. Między innemi n. p. rozpuszczono pogłoskę, jakoby policya tajna wiedziała o całym związku miejskim i naszym i miała nawet kilku stowarzyszonych w gronie organizacyi, bodaj czy nie w samym nawet komitecie, przez których to zbiera wiadomości o działaniach i imionach stowarzyszonych, aby pewnej ciemnej nocy zaaresztować wszystkich. Wielce to zatrwożyło niektórych bojaźliwszego serca i dużo bardzo miałem kłopotu, zanim te zawistne i pełne kłamstwa pogłoski uciszyć, a naszych stowarzyszonych uspokoić zdołałem. Musiałem aż odwoływać się do Majewskiego (który, choć tym wieściom nie wierzył, jednak dozwalał im się rozchodzić, a nawet sam je rad rozpuszczał), aby stanowczo ich zaprzeczył, lub jeżeli ma jakie dowody, jawnie mnie ich okazał. Nastąpiło zobopólne wyjaśnienie, przy którem Karol Majewski wynurzał tylko żal, że ja nie idę ręka w rękę z nim, a rzucam się do innych jakiś związków i t. p., pogłoskom zaś najuroczyściej zaprzeczył. Mogłem już przeto na zebraniach naszych kółek słowami jego uspokoić je, co niemało mnie koszto-

wało czasu, bo na każdem kole oddzielnie trzeba było przekonywać i zaufanie zachwiane utrwalać.

Powracając więc do właściwego przedmiotu tych notatek do pamiętników mego życia, muszę mówić o osobistych moich wypadkach. Zajęty ciągłą pracą w konspiracyi, coraz się szerzej rozwijającej, i zmuszony walczyć z przeciwną partyą kolegów, oraz utrzymywać się na właściwem stanowisku w komitecie miejskim, zdawało mi się, że przed temi zajęciami wszystko już inne ustępować musi. Nie rachowałem jednak na to, że mając 22 lat, to choćby dnie i noce zajmować się pracą, zawsze tam zostanie jakaś swobodna chwilka, w której serce, niby zapomniane, odzywać się zacznie. A gdy się raz prawdziwy głos jego posłyszy, to już żadne huragany życiowe zagłuszyć go nie zdołają, chybaby ręka, co go ze strun serca wydobyła, sama stłumić go zechciała na długo, a często i na zawsze.

Jeszcze przed mojem aresztowaniem w kościele św. Jana zapoznałem się z panią X. i jej córką Z[ofią], która chwilowo bawiła z matką u swej babki, mieszkającej w tejże samej, co i ja, kamienicy. Mały tylko korytarzyk rozdzielał nasze mieszkania. Nie zwracałem z początku uwagi na to sąsiedztwo, choć często spotykałem tak starsze panie, jak młodą panienkę we wspólnej nam sieni, lub na ulicach Warszawy. Później nawet już, zaznajomiwszy się z niemi, nie przypuszczałem, że ta młoda, 16-letnia blondynka tyle miejsca w mem burzliwem zajmie życiu. Odwiedzałem ich bardzo rzadko z początku, zajęty manifestacyami ówczesnemi, a gdy pani X. wyprowadziła się od swej matki na nowe mieszkanie z córką, moje wizyty jeszcze rzadszemi się stały. Po mojem dopiero aresztowaniu w kościele i oswobodzeniu z Cytadeli odnowiłem swoją znajomość i bliżej zacząłem panience się przypatrywać, znajdując coraz to nowe w niej przymioty.

Mówią zwykle, że miłość rozpoczyna się nagle, niespodzianie od pierwszego spotkania się wzroku przyszłych kochanków, że pierwsze niewinne, nieumyślne spotkanie rzuca iskrę do serca i rozpala w niem płomień uczucia. Być może, że często zdarzają się takie wypadki; ja sam miałem przykład na sobie w tej fantastycznej, chorobliwej jakiejś miłości, choć trudno to widzenie pierwsze, a raczej spotkanie, nawet miłością na-

zwać, jaką nosiłem dla owej młodziutkiej osoby w Lublinie; ale czyż to było prawdziwe uczucie? Rozwiało się ono tak szybko, jak i szybko przyszło, zostawiając tylko taki ślad za sobą, jaki zostawia wrażliwa i mocno interesująca powieść ulubionego autora. Tutaj wcale było inaczej. Gdym pierwszy raz zobaczył córkę p. X., Zofię, nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia, zauważyłem nawet, że nie jest ładną i po tem pierwszem widzeniu żadnego nie zostało wspomnienia. Później, bliżej się poznawszy, zacząłem znajdywać jakiś urok przyjemny w jej towarzystwie, coś mnie ciągnęło do jej domu. I zacząłem częściej i częściej bywać i starać się ją spotykać na ulicy i przechadzkach i pragnąłem chociaż trochę uwagi zwrócić na siebie; lecz kiedy poczułem, że serce mi bije, gdy o niej wspominam, że ze drżeniem słucham jej głosu, tego trudnoby mi określić. Prawdę jednak piszą, że miłość jest lękliwą i nieśmiałą, bo im więcej czułem uczucia, tem mniej miałem odwagi okazać go, gdy byłem przy niej. Ukrywałem go jak najstaranniej, bojąc się, żeby nawet najmniejszy promyczek nie wypadł ze skrytości serca mego. Sam jeszcze z początku nie zdawałem sobie dokładnego rachunku z tego nowego stanu mej duszy; sądziłem, że wyobraźnia moja tylko jest poruszona i spokój za chwilę powróci. Ale im więcej dni upływało, tem silniej ogień w sercu się rozszerzał i anim się mógł spostrzedz, kiedy i jak całe moje serce ogarnął.

Pomimo chęci i pragnień musiałem dla niezwracania uwagi na siebie bywać tylko raz na tydzień, i to jeszcze w dzień, w którym zwykle liczniejsze bywało towarzystwo. Inne dni tygodnia przepędzałem na zajęciach i pracach konspiracyjnych, czekając dnia widzenia, jako dnia wytchnienia i radości.

Mało wogóle uczęszczałem do towarzystw warszawskich, wyjąwszy zebrań, mających politycznych charakter. Drugi dom, gdzie (oprócz rodzeństwa i krewnych) częściej bywałem, był dom pp. D. Sama pani D., znana z patryotyzmu i przychylności do partyi Czerwonej, chociaż przez rodzinne związki należała w części do arystokracyi, nader gościnna kobieta, często zapraszała mnie na swe wieczory, aby się o nowych pismach i broszurach zabronionych dowiedzieć i mieć podtrzymanie w bronieniu naszej partyi przeciw umiarkowanym. Wiele oka-

zywała ona pomocy wedle swej możności dla naszej sprawy. Stosunki nasze silniej się jeszcze utrwaliły jej wielką usłużnością i staraniem się o mnie, gdym siedział w Cytadeli po wzięciu z kościoła. Co dzień przyjeżdżała ona do Cytadeli w swojej karecie, zabierając czasem i mego brata, i przywoziła mnóstwo drobiazgów, jak konfitur, win i t. p. dla uprzyjemnienia chwil więziennych. Wieczory przeto swobodniejsze od zajęć przepędzałem w tych domach lub u swoich krewnych[1].

[1] Tu następuje w rękopisie długi ustęp o próbach magnetycznych (str. 111—141), który opuszczamy (*P. w.*).

XII.

Stanowisko autora w Komitecie miejskim. — Plan Dąbrowskiego. — Naznaczenie wybuchu na 26 czerwca 1862. — Wątpliwości. — Obalenie Komitetu. — Nowy Komitet Czerwono-biały, wkrótce obalony. — Komitet Centralny Narodowy i jego działanie.

Oddawanie się jednak próbom magnetycznym nie odciągnęło mnie od brania czynnego i coraz szerszego udziału w pracach konspiracyjnych, które to prace zupełnie mój czas pochłaniały, odrzucając magnetyzm na drugi plan jako rzecz zabawy i wytchnienia.

Po połączeniu się naszego tajemnego towarzystwa z Organizacyą miejską (o czem już dawniej wspomniałem), pragnąłem zbliżyć się, o ile to było możebnem, z nowymi towarzyszami, aby ich ufność pozyskać. Zdawało mi się, że jako członek Komitetu, mogłem od swoich kolegów komitetowych żądać szczerości wzajemnej, tak koniecznej między naczelnikami stowarzyszenia. Nie było to jednak tak łatwem, jak mi z początku zdawać się mogło. Przyjęty do łona zarządzającego Komitetu nie z wielką ochotą a prawie z musu, gdyż inaczej nasze stowarzyszenie nie byłoby się połączyło z Organizacyą miejską, byłem ciągle traktowany jak gość nieproszony, którego delikatność nie pozwala za drzwi wyrzucić, lecz który wielce żenuje towarzystwo swoją obecnością. Paru nawet członków, a szczególniej I[gnacy] C[hmieleński], uważało sobie, naturalnie w skrytości ducha, za pewien rodzaj ubliżenia, że zaledwie pełnoletniego młodzieńca (gdyż wówczas miałem tylko co skończonych lat 21) przypuścić musiano do obrad i kierownictwa organizacyą, mającą o losach kraju stanowić, i w tym też kierunku starał się przerobić opinię innych. Porównywując swoje zasługi i zdolności i swoją potęgę, bardzo niechętnem okiem spoglądać musieli na mnie ze swych wysokich stanowisk.

Wszelkie propozycye moje z lekkością były traktowane jako utwór zbyt młodocianego umysłu, chociaż w oczy nie śmianoby mi tego oświadczyć. Naprożno były wszelkie starania moje o wywalczenie sobie jakiegokolwiek uznania i równości wobec Organizacyi; wszędzie spotykała mnie oziębła i niechętna zawiść czy obojętność, bo trudno nawet wyrazów na to znaleźć. Czy przypuszczano, że traktowania takiego nie zrozumiem, lub za złe nie wezmę, lub też liczono na mą naiwność, nie mogę sobie dosyć jasno tego wytłómaczyć.

Przyznać jednak potrzeba, że nie wszyscy członkowie trzymali się tego kierunku, gdyż W[itold] M[arczewski], najbardziej poważany w organizacyi, zaczął zbliżać się ze mną potrosze. Jeden tylko I[gnacy] C[hmieleński], jakby przeczuwając niebezpieczeństwo z mej strony, krzywem nader okiem na mnie spoglądał. Stary zaś Mat[uszewicz] tajemniczością swoją i zarozumieniem myślał, że silny wpływ wywrze na niedoświadczonym młodzieńcu; gdy się jednak to nie udało, mocno wewnętrznie był oburzony na moje zuchwalstwo. Ten ostatni jednak w gruncie dobry był człowiek, choć lubił, jak to wówczas mówiono, blagować. Wkrótce zmuszeni byli stosunek do mnie znacznie zmienić; zawsze to jednak zostawiło w mem sercu przykre wrażenie, rodząc w niem zarody nieufności i chwilowego zniechęcenia. Bo chociaż później na oko starano się wszelkie ze mną zachowywać *decorum*, ale raz zadrażniona ambicya nie łatwo już da się uspokoić, chybaby otwartą szczerością te rany niezagojone starano się wyleczyć, a o tem wcale nie myślano.

Najbardziej jednak oburzała mnie jakaś dziwna apatya w doprowadzeniu do ściślejszego porządku całej naszej organizacyi. Nie było jednolitego połączenia między związkowymi. Każdy członek Komitetu, a było nas pięciu, miał jakby oddzielną swoją organizacyę, swój związek, łączący się z całością przez niego tylko i przez niego odbierający rozporządzenia. Naturalnie, że taki stan długo potrwać nie mógł. Ogólne dążenie było do zlania się w jednolity związek i porządniejszego uorganizowania; przy istniejącym jednakże Komitecie, wzrosłym na chaosie i nienormalności, było to niepodobnem. Niższa nawet organizacya czuła potrzebę zmodyfikowania składu

Komitetu i nowszego jakiegoś urządzenia. Czekano tylko okazyi i czekano niedługo.

Jednym z najenergiczniejszych i najzapaleńszych członków Komitetu, który był zarazem naczelnikiem miasta i reprezentantem oficerskiego związku, był Jarosław Dąbrowski. Młody, skończywszy świetnie kurs Akademii wojennej, rzucił się z całą siłą do związku, widząc wszystko w złotych kolorach i przez swój umysł optymistyczny pociągając Organizacyę miejską do wiary w swoje wymarzone projekta. Miał on wyższe ukształcenie i przyrodzone zdolności, lecz w głowie i sercu wulkan, wiecznie wybuchający. Było to, o ile sobie przypominam, w marcu 1862 r., w kilka tygodni po wymuszonem przyjęciu mnie do Komitetu. Zaledwie, że mogłem choć w części zapoznać się z Organizacyę i jej ilością, gdyż sam nawet Komitet nie miał jasnego pojęcia o sile swego wpływu i liczbie stowarzyszonych, co zresztą przy takiem urządzeniu, o jakiem wyżej wspomniałem, było prawie niepodobieństwem. Stosunki moje z członkami Komitetu zaczęły się jednak później polepszać; nie patrzano już na mnie niechętnej oziębłości okiem i zaczęto przyznawać mnie nareszcie za członka Komitetu i nie obawiać się braku we mnie rewolucyjności, zbytecznego umiarkowania, gdyż zapomniałem wspomnieć, że jako akademika uważano mnie za stronnika partyi Białej, chociaż znający mnie bliżej koledzy chyba zbytnią gorącość mogliby mi zarzucić. W takiem to położeniu rzeczy zawezwany zostałem na nadzwyczajne posiedzenie Komitetu dla zadecydowania i dyskusyi projektu, jaki miał przedstawił Jarosław Dąbrowski. Na posiedzeniu tem obecni byli wszyscy członkowie Komitetu, t. j.: Mar[czewski], Dąbr[owski], Chmieleń[ski], Matu[szewicz] i ja, a oprócz członków był jeszcze dopuszczony G[ustaw] W[asilewski][1] jako przedstawiciel ajentów wysłanych na prowincyę, który miał na zapytania nasze udzielać wiadomości o stanie organizacyi na prowincyi, głosu jednak w decyzyi i naszych rozprawach nie miał prawa zabierać. Na tem tedy posiedzeniu wystąpił J[arosław] D[ąbrowski] z propozycyą treści następującej: Organizacya nasza, rozszerzywszy działa-

[1] Był komisarzem wojewódzkim kaliskim. Por. A. Giller, Historya powstania, II, 15. *(P. w.)*

nia swe na kraj cały, liczy przypuszczalnie w chwili obecnej do 7.000 członków, z których 2.500 w samej Warszawie. Pierwsi członkowie, zawiązujący organizacyę, położyli sobie za zasadę przyprowadzić jej rozwój do największych możebnych rozmiarów, ażeby przez nią usposobić kraj do powstania, przygotować potrzebne środki do walki i, korzystając z przyjaznych okoliczności naznaczyć chwilę wybuchu.

— Wiadomo Komitetowi — mówił Dąbrowski — że jednocześnie prawie z Organizacyą miejską, zawiązała się i organizacya wojskowa, t. j., związek oficerów, tak Polaków w służbie rosyjskiej zostających, jak i Rosyan, republikanów, którzy z nami się złączyli celem wspólnego zrzucenia jarzma, jakie nas i ich ugniata. Do tego związku należy już kilkudziesięciu oficerów sprzysięgłych i wiele jeszcze, którzy choć nie złożyli jeszcze przysięgi, lecz są już usposobieni do wstąpienia w stowarzyszenie. Komitet oficerski, pragnąc stałą znaleźć podstawę dla swych działań i rozszerzyć wpływ swój na armię, zaczął rozkrzewiać idee rewolucyjne i między prostymi żołnierzami, gdzie w kole żołnierzy potrafiono wielu już żołnierzy na swoją przeciągnąć stronę. Różnymi starano się sposobami rozkrzewiać niechęć w wojsku do władzy, przedstawiając im ich nędzną płacę za krew i życie, jakie dla rządu poświęcają, obchodzenie się z nimi jak z niewolnikami, żywienie ich i odziewanie nie jak obrońców ojczyzny, lecz jak zgraję psów, trzymanych na smyczy. Wystawiano im szczęście i pomyślność, jakiej będą doznawali przy innym, z łona narodu wybranym rządzie. W takim to guście rozrzucone odezwy po rusku, w tajemnej drukarni Komitetu odbijane, i osobiste namowy rosyjskich oficerów głęboko miały wpłynąć na usposobienie żołnierzy. Wielu podoficerów, lepiej pojmujących cele związku, przypuszczono do przysięgi. Niektórzy z oficerów, dowodzący oddzielnemi kompaniami, o tyle zdołali wpłynąć na swych podkomendnych, że na znak dany podniosą sztandar buntu i połączą się z powstaniem naszem. W twierdzy Modlińskiej cała szkoła junkrów, jak i część garnizonu, tam konsystującego, należy już do związku i na znak dany otworzy bramy fortecy i wyda tym sposobem prócz najobronniejszego miejsca w Królestwie jeszcze broń tam złożoną w ilości 70.000 karabinów i stosowną ilość amunicyi. W Cyta-

deli warszawskiej związek takoż liczy sprzysięgłych oficerów i żołnierzy, którzy jedną z bram tej forteczki oddadzą powstańcom.

Taki to mniej więcej obraz przedstawiwszy o związku oficerskim czyli wojskowym, oświadczył w konkluzyi, że cała nadzieja Komitetu na tak ważną pomoc tak w ludziach, jak i w wydaniu miejsc obronnych i zapasów wojennych, jaką nam dać może ów związek, którego on był reprezentantem, kompletnie może być znihilowaną i zwichniętą przez niespodziewany rozkaz władzy wojskowej rosyjskiej, która poleciła dyslokacyę garnizonów Modlina i Cytadeli, jak również i wojsk, w obozie powązkowskim konsystujących, które mają być zamienione bądź nowemi z Rosyi, bądź innemi z Królestwa wojskami. Dyslokacya ta garnizonów miała być rozpoczęta w końcu czerwca n. s. 1862 r., jak to J. Dąbr[owski], będący oficerem jeneralnego sztabu, sam się naocznie z papierów urzędowych przekonał. Zważywszy przeto na niepowetowane straty, jakieby z tej przemiany garnizonów dla naszego przyszłego powstania wynikły, na wielkie osłabienie Organizacyi miejskiej przez utracenie takiej silnej podpory, jaką w razie wybuchu dałoby stowarzyszenie wojskowe, zważywszy nakoniec dość znaczną już liczbę stowarzyszonych Organizacyi miejskiej, która jeszcze energiczniejszem działaniem może być podwojoną, i widząc, jak ludność miejska silnie jest podburzoną i rozgorączkowaną manifestacyami Warszawy, zaproponował, aby, uprzedzając zmiany garnizonu, Komitet naznaczył dzień powstania na 26-go czerwca 1862 r., t. j., na kilka dni przed mającą nastąpić przemianą wojsk i tym sposobem ocalić te siły stowarzyszonych wojskowych, które inaczej zginęłyby dla nas może bezpowrotnie.

Sam zaś plan powstania, a raczej pierwszej chwili wybuchu był następujący: W noc naznaczoną spiskowi miejscy, uzbrojeni w sztylety i rewolwery, oraz wszelką broń, jaką będzie w możności Komitet rozporządzać, zgromadzą się w liczbie 2.000 w domach poblizkich Cytadeli i na znak dany podsuną się w cichości pod naznaczone bramy Cytadeli, które wojskowi spiskowi mieli im otworzyć, a tam już w połączeniu ze sprzysiężonymi oficerami i żołnierzami, których oznaczać miały szarfy na ramionach, rzucić się na uśpiony garnizon i bądź wyciąć go, bądź też rozbroić. Druga połowa spiskowych War-

szawy, rozdzieliwszy się na kilka części, pod oddzielnymi naczelnikami w tymże samym czasie miała uderzyć na zamek i mieszkania jenerałów celem aresztowania namiestnika i wyższych wojskowych, jako też zaatakować odwachy rosyjskie i arsenał, bijąc we wszystkie dzwony, powołując naród do walki i rozdając broń z arsenału. Tejże samej nocy 2.000 lub i więcej spiskowych miało być ukryte w blizkości Modlina i przez otwartą bramę przez szkołę junkrów i tamtejszych sprzysiężonych wpaść do Modlina i takowy nagłym i niespodziewanym napadem opanować. Na innych punktach Królestwa (gdyż o prowincyach zabranych, jako zbyt mało jeszcze przygotowanych do ruchu nie było mowy, zostawując ich dalszym wypadkom), mianowicie w miastach gubernialnych i większych powiatowych, miano również uczynić napady; bo chociaż związkowych w tych miastach było jeszcze mało, ale zważywszy na trzymiesięczny jeszcze termin, jaki nas oddzielał od projektowanego wybuchu, można było, rozesławszy energicznych ajentów, organizacyę szybko rozprowadzić i liczbę stowarzyszonych w dziesięćkroć powiększyć.

Ważne było pytanie, jak też podczas tej burzliwej i krwawej nocy zachowywać się będzie kilkonastotysięczny obóz na Powązkach. Otóż miał się on zachowywać w następujący sposób: Sprzysiężeni oficerowie i żołnierze, których największa część była w tym obozie, mieli zgromadzić się w pełnem uzbrojeniu w kilku namiotach i na znak dany otoczyć namioty wyższych oficerów, nie należących do związku, i zaproponować im przyłączenie się do buntu, w razie odmowy zaaresztować, lub w razie oporu zabić, wojsku całemu odczytać buntownicze odezwy w celu pociągnięcia go do rokoszu; jeżeliby zaś postawa wojska i poprzednie przygotowawcze roboty nie dawały wielkiej nadziei wciągnięcia do jawnego buntu żołnierzy (co wedle nawet Dąbr[owskiego] było prawdopodobniejszem), to oddzieliwszy część sprzysiężonych, udać się z nimi do Warszawy, a resztę wojska pod pozorem otrzymanych niby rozkazów ze sztabu odprowadzić nocą kilkanaście mil od miasta, na jakiś naznaczony niby punkt zborny, aby nie mogły być natych. miast użyte przeciw powstaniu warszawskiemu.

Spiskowi rosyjscy, obiecujący nam tak wielką pomoc, żądali od nas w zamian zapewnienia, że po rozszerzeniu się po-

wstania na kraj cały dozwolimy im formować wolne rosyjskie drużyny republikańskie, które będą wkraczać w głąb Rosyi i tam podnosić sztandar rewolucyi, oraz że początkowo przynajmniej udzielimy im pomocy tak w funduszach, jak i broni ku ich wyżej wspomnianym celom rewolucyjnym.

Taki to był plan początkowego wybuchu, projektowany przez J. Dąbrowskiego. Na zapytanie o broń i pieniądze, oświadczył, że przy usilnej pracy przez 3 miesiące można będzie dostateczną ilość na pierwsze potrzeby, na pierwszą noc wybuchu sprowadzić.

Po tej jego propozycyi długie nastąpiło milczenie; wszyscy członkowie w swych myślach rozbierali ważność tak wielkiej decyzyi i prawdopodobieństwo jej pomyślnego skutku. Część jednak członków, którym zapewne pierwej jeszcze Dąbrowski propozycye swe przedstawiał, gotowa była bez wielkiej dyskusyi projekta jego zatwierdzić. Poczęły się jednak rozprawy, opozycye, choć małe co prawda, i chęci zwłoki do silniejszego zorganizowania się. Na te jednak przedstawienia Dąbrowski, przygotowany widać na wszystko, byle plan jego szalony został przyjęty, odpowiedział:

— Muszę tu jeszcze nadmienić komitetowi, że projekt mój powstania przedstawiłem już na posiedzeniu wydziałowych miasta i wydziałowi go uznali za tak koniecznie potrzebny, iż przygotowani są, nawet w razie niezatwierdzenia komitetu, w wykonanie go mimo waszego *veto* wprowadzić.

Słowem było to powiedziane, choć w grzeczniejszy sposób: »Jak sobie chcecie: gódźcie się lub nie gódźcie, bo ja mam organizacyę za sobą i co zechcę, to zrobię.« Choć rzeczywiście wówczas Komitet mógł był opór mu stawić i pokazać, że nie jest wszechwładnym, ale 2-ch członków, I. Ch[mieleński] i Mat[uszewicz], byli już widać na jego stronę skłonieni i we 3-ech naturalnie byli większością. Po niewielkich przeto dyskusyach przystąpiono do głosowania tajemnego na kartkach.

Propozycya Dąbrowskiego wielkie naturalnie wywarła na mnie wrażenie. Nie przypuszczałem nigdy, aby ten ostateczny cel naszej organizacyi tak nagle i niespodziewanie w czyn się zamienił. Nie znając dostatecznie sił, jakiemi rozrządza stowarzyszenie, i czując ogromną ważność tej decyzyi, jaką Komitet miał głosowaniem swojem zatwierdzić, staczałem gwałtowną

walkę w umyśle, chąc sobie wyrobić jasny pogląd na ten krok tak wielkiej wagi. Zaufanie jednak, zapał i pewność, z jaką mówił Dąbrowski, i potwierdzenie słów jego przez drugich członków Komitetu, przełamały w młodym umyśle wahanie przed odpowiedzialnością i skłoniły mnie do głosowania za jego projektem. Po rozwinięciu kartek, na którą to czynność z zatamowanym oddechem patrzałem, okazało się, że cztery głosy są za powstaniem, a jeden tylko przeciw temu; ten głos opozycyjny podał Witold Marczewski. Większość zatem projekt zatwierdziła i od tej chwili powstanie było zadecydowane.

W dalszym ciągu tego posiedzenia zarządzono wypuszczenie kwitów kasy Komitetu na zbieranie składek i natychmiastowe wysłanie ajentów na prowincyę dla energiczniejszego posuwania prac organizacyjnych. Kiedy przystąpiono do obrachowania kasy komitetu, okazało się, że w niej jest tylko kilkadziesiąt rubli, nie wystarczające nawet na wysyłkę ajentów a cóż dopiero na zakup broni i inne potrzeby! Ochłodziło to trochę pełne nadziei serca głosujących, a mnie oblało zimną wodą, wracając do smutnej rzeczywistości. Ale zwolennicy raz postanowionej decyzyi nie wielce tem się zrazili, ufając w przeciąg 3-ch miesięcy czasu, przez który i kasę napełnić i broń sprowadzić się spodziewali.

Wróciwszy do domu po owem, pełnem gorączkowych projektów posiedzeniu, głęboko się zadumałem nad zbyt nieoględną decyzyą. Brak szczególniej funduszów, tego motora wojny, wiele mi dał do myślenia. Wyobraźnia wprawdzie młodzieńcza unosiła się w złotych marzeniach, biegając po przyszłych polach zwycięskich walk narodu; ale i chłodny rozum zaczął powoli w swoją wstępować rolę. Po długim kilkodniowym namyśle postanowiłem kilku moim kolegom, stanowiącym niejako koło mej rady, wyjawić tajemną decyzyę Komitetu i jej nader niepewne i okropne skutki, zwłaszcza, jeżeli rachuby Dąbrowskiego na związek wojskowy zawiodą, co zresztą było bardzo prawdopodobnem. Zebrawszy zatem najwierniejszych mi towarzyszy, przedstawiłem im wszystko w jasnem świetle, pytając się, czy nie koniecznem jest upewnienie się o siłach, jakiemi rozrządza Organizacya, i o rzeczywistej pomocy, jaką może dać stowarzyszenie wojskowe, a jeżeliby przypuszczenia nasze okazały się prawdziwemi, wówczas wszel-

kiemi siłami starać się o odłożenie terminu powstania na czas późniejszy. Propozycyę moją przyjęto i koledzy moi puścili się na zwiady między wydziałowymi i okręgowymi miasta dla powzięcia wiadomości, jak oni zapatrują się na decyzyę komitetu.

Większa część, ślepo wierząc Dąbrowskiemu, przystawała na wszystko; ale znaleźli się i ludzie, których decyzya ta przeraziła i pragnęliby detalicznego zbadania sił Organizacyi i owej, jaką miało udzielić stowarzyszenie wojskowych. Na tajemnem zebraniu, zwołanem przez mych towarzyszy (na którem nie byłem obecny), zadecydowano, aby wszelkiemi siłami starać się powstrzymać termin powstania aż do chwili ukończenia przygotowań powstańczych, które ledwie że były zaczęte, a zarazem do sprawdzenia, o ile słowa i zapewnienia Dąbrowskiego na pomoc wojskową są rzeczywiste. Ta ostatnia decyzya była głównie uczynioną dla zapaleńszych, którzy, nawpół wierząc zaręczeniom Dąbrowskiego, żądali sprawdzenia słów jego i w takim razie nieodkładania powstania.

Jedyną drogą do wstrzymania wybuchu było zmienienie Komitetu i po długiej dyskusyi postanowiono zrobić ten zamach stanu i obalić Komitet, tworząc inny, właściwszy. Delegowani od tego spisku w spisku zażądali odemnie pomocy w swych zamiarach, mając nadzieję przeciągnąć na swą stronę i W. Marcz[ewskiego], jako przeciwnego projektowi Dąbrowskiego, a tym sposobem, mając dwóch członków Komitetu za sobą, z łatwością mogli przedsięwzięcie swoje do skutku doprowadzić. Ja naturalnie, jako tajemny czynnik tego zamachu, pomoc im i zgodę jak najuroczyściej zapewniłem, choć przyznać należy, przykry mi był ten mus działania skrytego przeciw komitetowym moim kolegom. Chcąc przy tej zmianie Komitetu osiągnąć zarazem jak najwięcej korzyści, postanowiono do nowotworzącego się komitetu zawezwać paru członków z Białej dyrekcyi, aby tym sposobem dwie te organizacye w jedno zespolić. W tym celu wybrano do nowego komitetu K. Majewskiego i Paszkiewicza, jako wpływowych w organizacyi Białej, dalej powołano Gillera, mającego wzięcie w kółku Sybiraków i należącego do redakcyi »Strażnicy«, z dawnego zaś komitetu Marczewskiego i mnie, a prócz tego jeszcze deputacya miasta naznaczyła wydziałowego Koskowskiego, jako głównego autora

tego zamiaru i nieznanego wcale Okęckiego, mającego niby funduszu dostarczać. Ten ostatni członek, poczciwy zresztą człowiek, sam nie wiedział, czego chcą od niego i poco go na kandydata podają. Jarosław Dąbrowski miał zaś, jak i przedtem, pozostać naczelnikiem miasta i reprezentantem wojskowego stronnictwa.

W dzień naznaczony do wykonania zamachu spiskowi, wybrawszy deputacyę z kilku osób złożoną i otoczywszy dom, w którym odbywało się posiedzenie Komitetu, oczekiwali z niespokojnością wprowadzenia ich na posiedzenie. W. Marcz[ewski] oświadczył zaraz po zebraniu się wszystkich członków (prócz Dąbrowskiego), że deputacya od Organizacyi miasta żąda być wprowadzoną na posiedzenie Komitetu celem przedstawienia swych żądań. Wszyscy byli zdziwieni tym niespodziewanym wypadkiem, prócz mnie naturalnie i W. Marczewskiego. Gdy udzielono dozwolenie wejścia, delegaci od miasta, między którymi był Kr., Kow., J. i inni, oświadczyli natychmiast, że stowarzyszeni, niezadowoleni z działań Komitetu i straciwszy do niego wszelkie zaufanie, wzywają Komitet do złożenia swego mandatu i ustąpienia miejsc swych innym, przez całą organizacyę wybranym członkom. Wszystkie papiery, fundusze, rejestra i t. p. mają być złożone na ręce W. M[arczewskiego] i Wł. Dani[łowskiego], którzy nowemu komitetowi je złożą. Wszelki opór ze strony komitetu Organizacya poczytywać będzie za zdradę stanu i wszelkie zresztą środki przeciw oporowi przedsięwzięte naprzód już zostały. Wypowiedziawszy mniej więcej tej treści przemowę, złożono nam na piśmie też same żądania, uznając od tej chwili Komitet za rozwiązany.

Niewtajemniczeni w cały ten zamach członkowie byli jak piorunem rażeni. Po chwilowem jednak milczeniu, przyszedłszy nieco do siebie, zaczęto żywą dyskusyę nad decyzyą, jaką Komitet powinien przedsięwziąć; po wielu jednak hałasach postanowiono rozwiązać się i to postanowienie delegacyi oświadczono, która też, zostawiwszy tylko swoje memorandum, posiedzenie opuściła. Po jej odejściu dopiero I. Chm[ieleński] wybuchł wściekłym gniewem, rzucał się na wszystkie strony, podejrzywając o zdradę to J. Dąbr[owskiego], to mnie, oświadczając, że to się tak skończyć nie może.

Nazajutrz nowy komitet, złożony z osób, o których wyżej

wspomniałem, zebrał się u K. M[ajewskiego], rozpatrując się i między sobą i w chaosie czynności, które nagle na niego spadły.

Ign. Chm[ieleński] tymczasem zbierał swych stronników, krzycząc na zdradę i nieprawność nowego komitetu, złożonego z Białych, i pragnącego zgubić partyę Czerwonych i t. p. Dość znaczna część zapaleńców i jego stronników odłączyła się od organizacyi, nie chcąc uznawać nowego komitetu.

Nowy jednakże komitet nie rokował długiego istnienia, gdyż na drugiem już posiedzeniu jasno oddzieliła się Biała i Czerwona strona z propozycyami, jak dzień i noc przeciwnemi. Wysłano delegacyę z M[arczewskiego], G[illera] i jeszcze kogoś trzeciego[1] do komitetu wojskowego celem sprawdzenia stosunków i pomocy, jaką mogą dać oficerowie. Okazało się przeto, że z kilkunastu zebranych oficerów, dwóch tylko ręczyło za swe kompanie, że one w posłuszeństwie zostaną i z powstańcami bić się nie będą; lecz czy będą w stanie wymódz na nich połączenie się z powstaniem i uderzenie na swych pobratymców, to jeszcze było bardzo wątpliwe. Inni zaś wszyscy, ręcząc tylko za siebie, niewielką dawali nadzieję na swych podkomendnych, lub też nie dawali jej wcale. Przy takich przeto wiadomościach powstanie w czerwcu było niepodobieństwem. Jarosław jednak Dąbrowski nie był to człowiek, łatwo od swego zamiaru, któremu duszą całą wierzył, odstępujący. Mimo sprawdzań i relacyi delegatów wciąż trwał w swem przedsięwzięciu, coraz to więcej do niego się zapalając i coraz to niechętniejszem okiem zapatrując się na zbyt umiarkowany komitet. Widząc, że wszystkie jego przekonywania żadnego na Komitecie nie czynią wrażenia, złączywszy się z wydziałowymi i partyą Chmieleńskiego, przedstawił na 3-em czy 4-em posiedzeniu żądania niby wydziałowych, aby Komitet nic bez ich porady nie decydował, i inne jakieś jeszcze warunki, równające się odbiorowi wszelkiej władzy komitetowi. Gdy to K. M[ajewski] usłyszał, podał się natychmiast z Pasz-[kiewiczem] do uwolnienia z obowiązków, zwłaszcza, że jeszcze

---

[1] Tym trzecim był zapewne wymieniony przez Gillera (Hist. powst., II, 95) Koskowski. Według Gillera wysłano jednak tylko 2 delegatów: jego i Koskowskiego (*P. w.*).

przed posiedzeniem, gdy byłem u niego, oświadczył mi chęć swoją do wystąpienia z komitetu, czując, jak przeciwne jego zamiarom są nasze działania, i nawzajem, jak on jest nie na miejscu w naszem kole z radością przeto skorzystał z nadarzonej sposobności. Straciwszy przeto 2-ch członków, Komitet ten trzydniowy znowu był jak w rozwiązaniu.

Zaczęto układy z wydziałowymi i partyą Chmieleńskiego, oraz z Dąbrowskim, tłómacząc mu niemożebność jego projektu i odłożenie go do troszkę dalszego terminu, póki przygotowania nasze dalej nie postąpią. Po wielu znów zebraniach z wydziałowymi i deputowanymi od stronników Chmieleńskiego, utworzono nareszcie nowy komitet z następujących 5-ciu osób: z W[itolda] Mar[czewskiego], J. Dąbr[owskiego], Gillera, Szwarcego i mnie. Jakiś czas jeszcze Ch[mieleński] i jego stronnicy wichrzyli, domagając się koniecznego wydalenia mojego jako stronnika Białych i t. p., aż nakoniec wypadek, przymuszający go wyjeżdżać nagle z Warszawy, pogodził go z Komitetem. Wypadkiem tym był ów nieszczęśliwy zamach na Wielkiego księcia, przez niego bez woli i wiedzy Komitetu urządzony. Przedsięwziął ten zamach, chcąc zapewne tym czynem pokazać swoją energię czy siłę swej partyi i przeciągnąć organizacyę na swą stronę. Ale rachuby go omyliły. Opinia powszechna głęboko była oburzona tym szalonym i niewytłómaczonym zbrodniczym czynem; musiał Ch[mieleński] ukrywać się i uciekać z Warszawy, co wszelkie zawichrzenia przecięło.

Nowy stały nareszcie komitet energicznie zabrał się do dzieła. Pragnąc uporządkować i w ścisły ład urządzić organizacyę, polecono Gillerowi napisać statut czyli plan organizacyjny, aby stowarzyszenie według tego urządzić. Wszystkie paragrafy tego planu organizacyi były na posiedzeniach Komitetu szczegółowo rozbierane i po dyskusyi zatwierdzane.

Miasto Warszawa, jak i przedtem, podzielone zostało na 4 wydziały. Każdy wydział miał pod sobą 3 okręgi, zarządzane przez okręgowych, których tym sposobem było 12-tu. Stowarzyszeni byli podzieleni na dziesiątki, zarządzane przez dziesiętników, a ci przez setników komunikowali się z okręgowymi. Naznaczona była przysięga dla wszystkich wstępujących i składki miesięczne. Wydziałowi przez naczelnika miasta znosili się z Komitetem.

Na prowincyi byli naczelnicy województw, powiatów i miast, oraz komisarze i ajenci, przez komitet wysyłani. Litwa i Ruś, oraz Galicya i Poznańskie zarządzane były przez oddzielne Komiteta, podległe komitetowi naszemu. Poza granicami kraju miał być utworzony komitet do zarządu emigracyą i do znoszenia się z zagranicznemi stowarzyszeniami rewolucyjnemi.

Komitet nasz, jako głównie wszystkiem zarządzający, przybrał nazwę Centralnego Narodowego Komitetu. Rozporządzenia wydawane były na blankietach drukowanych i opatrzone dawnymi znakami komitetu miejskiego i nową dużą pieczęcią Centralnego Komitetu z Orłem i Pogonią i napisem dokoła »Centralny Narodowy Komitet«. Wyda[wa]ć zaczął komitet pismo swoje urzędowe p. t.: »Ruch«, odbijane na tajemnej drukarni w Warszawie. Urządzono przytem wydział policyi, którym zarządzał oddzielny naczelnik, zdający codzień raporty Komitetowi.

Wszystkie te projekta w dość prędkim czasie weszły w wykonanie i organizacya silnie rozwijać się zaczęła. Składki, po całym kraju na kwity komitetowe zbierane, zaczęły pomnażać szczupłe komitetu fundusze. Opinia ogólna coraz więcej odsuwała się od Białej organizacyi, przechodząc na naszą stronę. Liczba stowarzyszonych rosła co chwila. Koła dziesiątkowe polecone miały uczyć się musztry w tajemnicy, aby mieć stosowną ilość jakichkolwiek instruktorów dla przyszłego powstania. Rozdano dziesiątkom znaczną ilość regulaminów wojennych do nauki. Usilnie pracowano nad wyuczeniem się musztry. Zbierano się czasami w poblizkich lasach Warszawy na tak zwane rewie, gdzie do 200 zgromadzonej młodzieży popisywało się swymi wojskowymi manewrami.

Warszawa pozornie zdawała się uspokojoną, manifestacye codzienne ucichły, tylko żałoba i zamknięte widowiska i zabawy niezwykły nadawały charakter miastu. W tej pozornej ciszy gorliwie rozszerzała się działalność Centralnego Komitetu, rzucającego sieci swej organizacyi po wszystkich ziemiach, należących niegdyś do Rzeczypospolitej. Dąbrowski zaprzestał nareszcie w nowym komitecie marzyć o swym szalonym planie, zajmując się tylko zarządem miasta i rozszerzeniem stosunków wojskowych. Podzieliliśmy się w Komitecie pracami w taki spo-

sób, że Giller miał wydział stosunków zagranicznych z emigracyą i kierownictwo prasy tajemnej, Szwarce zajmował się prowincyami zabranemi, jak Litwą, Wołyniem i Rusią, Marczewski i ja Królestwem Kongresowem, oraz Poznańskiem i Galicyą, a Dąbrowski miastem i wojskowemi stowarzyszeniami. Naturalnie, że ten rozdział nie odrazu wszedł w ścisłe wykonanie.

Ja oprócz wyżej wzmiankowanych zajęć miałem jeszcze na swych barkach tajemne akademickie stowarzyszenie i jego związki. Nie chcąc zwracać podejrzenia policyi na zbyt liczne odwiedziny licznych interesantów, jacy do mnie przychodzili, nająłem sobie pod obcem nazwiskiem drugie mieszkanie na Szpitalnej ulicy, gdzie już wyłącznie tylko bywały posiedzenia i załatwianie różnych czynności stowarzyszenia, a na noc przychodziłem do własnego mego mieszkania do ojca. W temże nowem mieszkaniu bywały czasem i posiedzenia Komitetu. Większa prawie część [dnia] spływała na różnych niespodziewanych zajęciach, odbieraniu mnóstwa listów z prowincyi od ajentów, przyjmowaniu przyjezdnych stowarzyszonych, dawaniu im instrukcyi i t. p. Po południu zwykle bywały posiedzenia Komitetu, na których przedstawiano ważniejsze jakieś wypadki, zaszłe w organizacyi, przedstawiano projekta co do różnych urządzeń stowarzyszenia, potwierdzano nominacye na prowincyonalne urzęda organizacyjne, czytano artykuły, mające się pomieścić w »Ruchu« i t. p. Wieczory były wolne od zajęć. Tak przeszło kilka miesięcy w tej gorączkowej pracy konspiracyjnej.

XIII.

Sprawy sercowe.

Lecz nie jedna tylko konspiracya była nieustannem zajęciem mego umysłu. Młodość ma zawsze swe niezłomne prawa, których nic w zupełności zagłuszyć nie może. Opisując przedewszystkiem pamiętniki mego życia, nie mogę opuścić tego ważnego wypadku w mem życiu, jakiem było odezwanie się w sercu uczucia miłości.

Wspomniałem już dawniej o owej młodej panience, mieszkającej chwilowo u swej babki przez sień tylko odemnie, i o wrażeniu, jakie na mnie z początku wywarła, i o uczuciu, jakie się rozwinęło w mem sercu. Uczucie to z dniem prawie każdym rosło i zwiększało się. Z początku nie mogłem sobie zdać jasnego rachunku ze stanu mej duszy ani oznaczyć byłem w stanie, kiedy mianowicie uczucie miłości zapaliło się w mem sercu; spostrzegłem się już, gdy ono objęło całą moją istność wielkim płomieniem. Bywałem często w tym domu, gdzie, jak mi się zdawało, nie byłem niechętnie przyjmowany Panienka, której nie chcąc właściwem nazywać imieniem, nazwę tu Karoliną, była to młoda, zaledwie siedmnasty rok licząca blondynka niewielkiego wzrostu, zręcznej, choć nie wiotkiej kibici, z twarzą białą, okrytą przyjemnym rumieńcem, z włosami jasno blond, zwieszającymi się nad niewielkiem czołem, i z pięknemi, łagodnie błyszczącemi, szafirowemi oczami. Nie była piękną, nawet surowi estetycy odmówiliby jej miana przystojnej dziewicy; ale rysy twarzy jej tak były ujmujące, oczy niebieskie tak mile, a czasem i filuternie patrzały, że każdy, zwłaszcza po bliższem poznaniu, nazywał ją zawsze milutką dziewczyną. Wychowanie jej, jako dość majętnej dziedziczki, było bardzo staranne: oczytana, rozmowna, dowcipna, tylko że

dowcip ten był często napojony jakby odcieniem żółci, dziwiącej w tak młodej panience, szczególnie, jeżeli żartować zaczęła z niesympatycznych dla niej pretendentów; pochodziło to, o ile myślę, z przekonania, iż wszyscy starają się o jej dostatni posag, a nie o serce. Często nawet w rozmowie otwarcie wypowiadała w poufalszem kółku, że piękne lasy jej wioski wiele bardzo wpływają na starających się o nią pretendentów, dodając jej znacznie powabów. Charakter jej zresztą lepiej da się poznać z dalszych wypadków.

Widząc, jakie ona ma przekonanie o swych wielbicielach, w części może i słuszne, postanowiłem sobie, pobudzony uczuciem własnej godności, nie narażać się na jej żarty i mej, chociaż najbezinteresowniejszej miłości nigdy jej nie wyjawiać, chybaby nader jawne oznaki wzajemności z jej strony moje postanowienie przełamały. Cóżby ona — mówiłem — pomyślała o mnie, nie mającym żadnego jeszcze stanowiska, nie posiadającym majątku, gdybym jej miłość swoją wyjawił? Czyż nie mogłaby słusznie zarzucić mi interesowności, żądzy majątku i t. p.? Czyż nie mogłaby, czyż nie sądziłaby się w prawie obrzucić moje wyznanie tysiącem kolących żartów? Nie, nie! — zawołałem — nie mogę jej wyznać mego uczucia, chyba jakimś cudownym wypadkiem (a młodość wierzy wszystkiemu) dorobię się majątku lub znaczenia i wówczas śmiało będę mógł powiedzieć: »Patrz, jestem bogatszy od ciebie i pragnę tylko twojego serca«. Chciałem nawet zaprzestać tam bywać, ale nie miałem dość mocy do wykonania tego zamiaru. Bywałem przeto dość często, napawając się jej widokiem i przysłuchując się żartom nad nieszczęśliwą dolą majętnych panien. Zdawało mi się jednak, że panna Karolina przyjaźniej mnie traktuje, wyróżniając od innej młodzieży. Ile razy przyszedłem, starała się zawiązywać ze mną otwartszą rozmowę, zdawała się zadowoloną, gdy mogłem miejsce przy niej zabrać; były to wprawdzie drobne objawy, bez celu może pokazywane, ale rodziły we mnie nadzieje wzajemności. Pamiętam, jak pewnego wieczora, stojąc przy oknie oboje, odosobnieni od reszty towarzystwa, prowadziliśmy półcichą rozmowę. Rozmowa ta, z różnych przechodząc tematów, zaczepiła się i o miłość i dała jej sposobność oświadczyć, jak trudno teraz o prawdziwe uczucie, jak mężczyźni prawie tylko za majątkiem gonią i t. p.

— Masz Pani po części słuszność — odrzekłem — jednakże i teraz nie tak trudno o prawdziwe uczucie, tylko że nie zawsze jest ono uznane, zwłaszcza przy nierówności stosunków stron interesowanych.

— Niech się Pan jaśniej wytłómaczy.

— Miałem na myśli nierówność majątkową; jeżeli ubogi młodzieniec miałby nieszczęście zakochać się w bogatej pannie, czyż jego miłość, choćby najczystsza i bezinteresowna, mogłaby być przyjętą z prawdziwą wiarą tak przez jego bogdankę, jak i przez ogół, przez opinię, któraby w jego uczuciu widziała tylko wyrachowanie? Dlatego też, według mnie — rzekłem, nabierając śmiałości — miłość prawdziwa może pozostać bez skazy, bez podejrzeń, tylko między równemi pod każdym względem osobami.

— Więc sądzisz Pan — przerwała mi p. K., patrząc mi się dziwnie w oczy — że bogata panna nie może wzbudzić uczucia w uboższym od niej młodzieńcu?

— Nie przeczę temu — rzekłem, cokolwiek zmieszany — ale ten młodzieniec powinien być o tyle szlachetnym, żeby tę miłość ukryć w głębi swojego serca i nie narażać się na nader hańbiące podejrzenia opinii ogólnej. Ja przynajmniej — dodałem — gdybym miał nieszczęście zakochania się w bogatej pannie, sądzę, że nie wyznałbym jej nigdy swojej miłości, lękając się podejrzeń.

— Ach, więc czemuż bogate panny mają być tak nieszczęśliwe? — szepnęła cicho, patrząc się na mnie swemi dużemi oczyma, w których zdawało mi się promień żalu spostrzegać.

Na tem rozmowę naszą przerwano, ale dała mi ona powód do tysiącznych marzeń, pełnych słodkiej nadziei i szczęścia. Od tej rozmowy była dla mnie jeszcze przyjaźniejszą, a ja jeszcze bardziej lgnąłem ku niej. Gdyby nie jej charakter żartobliwy, gdyby nie jej przekonania, że wszyscy ubiegają się tylko o jej posag, kto wie, czybym mógł się wstrzymać od objawienia swej miłości. Ale gdym pomyślał, że wszystkie te jej oznaki sympatyi, te półsłówka znaczące i te jeszcze wymowniejsze spojrzenia są tylko zręcznem udaniem, aby później, gdy ja, uwiedziony niemi, odkryję tajniki serca, usłyszeć w zamian żart sarkastyczny o żądzy jej majątku i być przedmiotem uty-

skiwań nad materyalizmem młodzieży i t. p. w poufałej rozmowie z jaką przyjaciółką — na myśl tego rozwaga wracała mi do głowy i wyznanie, często już blizkie ust, wracało się do serca.

Mimo jednak milczenia mego odgadła zapewne, co się dzieje w mej duszy. Któraż to kobieta nie odgadnie w tych rzeczach prędzej, niż my sami dostrzeżemy uczucie, tlejące w naszych piersiach? Dziwiło ją, a może i w części gniewało, że mimo oznak niekłamanej sympatyi, ja pozostaję tak na pozór zimny i zamknięty w sobie. Z dniem prawie każdym, z każdem widzeniem jawniej dawała mi postrzegać i domyślać się, że serce jej nie jest dla mnie obojętnem, ośmielała mnie coraz więcej do wyznania, zachęcała prawie do niego; ja jednak milczałem, nie dowierzając i jej i swemu szczęściu. Nawet młodzież, częściej w jej domu przebywająca, zaczęła spostrzegać z żalem, źle tajonym, że jestem jawnie wyżej od nich ceniony i obdarzany względami młodej gospodyni. Jeżeli czasami nie mogłem miejsca zabrać przy niej, to tak starała się manewrować, aby przy mnie usiąść mogła, lub mnie ku sobie przywabić, tak, że to nawet widocznem było i dla mniej badawczych ócz, niż oczy konkurentów. Im jednak objawy jej względów były widoczniejsze, tem mniej obudzały we mnie wiary, tem mocniej podejrzywałem w nich udanie i trzymałem się w rezerwie.

Pewnego wieczoru jeden ze starających się przyniósł jej prześliczny bukiet kwiatów, co, zważając na zimową porę, było miłą niespodzianką; przyjęła je też od niego z wdzięcznym uśmiechem. Czoło moje zachmurzyło się i nie mogłem wstrzymać się od zazdrosnego spojrzenia na ofiarodawcę. Uczucie żalu silnie musiało [się] wybić na mej twarzy; spostrzegła go i ona i odwracając się ku mnie, cisnęła z niechęcią kwiaty na poblizką konsolę.

— Włóżże do wody bukiet, bo zwiędnie — zawołała matka.

— Ach, zapomniałam o tem — wyrzekła obojętnie, i wziąwszy bukiet do ręki, szepnęła:

— Panie Władysławie, proszę pójść ze mną i pomódz mi ułożyć te kwiaty.

Pośpieszyłem za nią do drugiego pokoju. Idąc, myślałem, jak rozpocząć rozmowę, aby dowiedzieć się, czy zauważyła

moje wrażenie; czułem, że tu na osobności powinno było nastąpić jakieś tłómaczenie naszego stanowiska względem siebie, że nareszcie już pora, abym przełamał udaną swą obojętność i starał się przynajmniej poznać, czy w sercu jej tli choć mała iskierka uczucia. Tak powtarzałem sobie w duszy, podczas gdy ona powolnie nalewała wodę do kryształowej szklanki, czekając na moje słowa. Muszę dowiedzieć się dzisiaj o moim losie, choćby wiadomość ta miała być grobem wszystkich nadziei, i zbliżywszy się do niej z przygotowaną przemową, wyszeptałem drżący:

— Pani!...

Lecz gdy ona podniosła swą głowę i spojrzała na mnie, straciłem całą odwagę, całą przytomność i ledwie zdobyłem się na powiedzenie: »Jakie piękne kwiaty!«, przeklinając w duchu swą dziwną nieśmiałość.

— Piękne kwiaty — powtórzyła, patrząc na mnie zdziwionemi oczyma, jak gdyby chciała powiedzieć: »Nie to powinienbyś był mi mówić«, i odrywając z bukietu kamelię, rzekła:

— Kiedy się tak podobają Panu te kwiaty, proszę ją przyjąć odemnie.

Wyciągnąłem rękę po ten kwiatek, sam nie wiedząc, co czynię, i nagle, nabierając wielkiej odwagi, na jaką mnie stać było, wyjąknąłem, mocno zarumieniony:

— O jaki piękny kwiatek w twych włosach, Pani! Gdybym o niego śmiał prosić!

Lecz ledwie wyrzekłem te zuchwałe słowa, chciałem je cofnąć, lękając się obrazić śmiałością. Ona nic nie odrzekła, tylko wyjąwszy kwiatek z swych włosów, przypięła mi go na piersiach swemi małemi rączkami. Zdawało mi się, że niebieski promyk szczęścia spłynął mi nagle do serca. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, co zrobić z tym kwiatkiem, gdyż mimo takich oznak, tak jawnego prawie okazywania mi, iż sercu jej nie jestem obcy, raz jednak wszczepiona niewiara rzucała ciągłe zwątpienia w mą duszę: »A jeżeli to wszystko tylko zręczna komedya?« Nie chcąc zatem dawać poznać, że dar owego kwiatu uważam za coś więcej nad prostą grzeczność, zostawiłem go przypięty na piersiach i tak chciałem wejść do salonu.

— Ach, schowajże Pan mój kwiat! — zawołała, lekko rumieniąc się.

Więc mnie może i kocha — pomyślałem — chowając kwiatek, i weszliśmy razem do salonu.

Wróciwszy do domu, nie mogłem zasnąć noc całą; marzenia o niej zapełniały noc tę bezsenną. Zacząłem nareszcie wierzyć, przypuszczać przynajmniej, że to, co uważałem za niepodobieństwo, zaczyna się spełniać. Lecz jeżeli nawet prawda, że uczucie moje otworzyło mi drogę do jej serca, czy mogę korzystać ze zwycięstwa i, oświadczając jawnie jej miłość, obudzić uśpione w niej teraz podejrzenia co do szczerości mych uczuć? Nie, muszę czekać, muszę mieć pewniejsze jeszcze dowody jej sympatyi. Teraz, kiedy już promień niekłamanej nadziei błysnął mi światłem szczęścia, oczekiwanie nie będzie tak bolesnem.

W kilka dni, późno już wieczorem przyszedłem znów do pp. K. Parę osób piło przy stoliku herbatę, lecz córki gospodyni, lecz jej nie było; dowiedziałem się, że jest trochę słabą. Goście niedługo po mojem przyjściu wyszli; zostałem ja tylko i gospodyni domu. Porozmawiawszy kilka chwil o zdrowiu jej córki, chciałem już wychodzić, nie chcąc być niedelikatnym i żenować gospodynię mą obecnością, gdy wtem w drugim pokoju pokazała się postać troszkę zbladłej skutkiem choroby p. Karoliny. Pobiegłem na jej powitanie, mówiąc:

— Więc Pani nie jest tak słabą, kiedy łóżko wolno opuszczać?

— Jestem trochę cierpiącą — wyrzekła — nie chciało mi się wychodzić do gości; ale teraz, gdyś Pan tylko pozostał... — i nie dokończyła, patrząc się łagodnemi oczyma na mnie, jak gdyby żądała podziękowania.

Miałem na ustach tysiączne dzięki, lecz nie wiem, co za dziwna nieśmiałość, czy owa ciągła niewiara zamiast słów dziękczynnych podsunęła mi tę dziwnie troskliwą odpowiedź:

— Jeżeli Pani cierpiąca, to pocóż było opuszczać swój pokój i narażać się?

— Masz Pan słuszność, trzeba było zostać w pokoju — szepnęła zarumieniona panienka i tak oboje niezadowoleni weszliśmy do salonu.

Zaczęliśmy jakąś obojętną rozmowę, która się kompletnie

nie kleiła. Wyrzucałem sobie w myśli dziwne moje postępowanie. Chciałem naprawić swoją nierozwagę, lecz nie mogłem znaleźć na to sposobu. Zatrzymano mnie na herbatę. Matka wyszła wydać rozporządzenia służbie, a my zostaliśmy sami. Ja, milcząc, siedziałem przy niej, zajęty niby przypatrywaniem się albumowi i fotografiom, które ona powolnie przerzucała.

— Jak doskonale uchwycone są rysy Pani na tej fotografii! — rzekłem dla przerwania ciszy. — Jak to przyjemnie mieć album swoich przyjaciół i znajomych.

— I przyjaciółek! — dodała z filuternym uśmiechem. — Panowie zwłaszcza lubicie układać w swych albumach fotografie kobiet, zakupione u fotografów, chwaląc się potem niemi jako podarkami, w dowód sympatyi ofiarowanymi.

— Czyż Pani nie przypuszcza, aby znajoma kobieta miała prawo ofiarowania swego portretu fotograficznego mężczyźnie?

— Ja myślę tylko, że panna, ofiarująca swoją fotografię, wiele daje do myślenia.

— Czyż przyjaźń lub po prostu sympatya nie mogą być powodem podarku, zwłaszcza że teraz fotografie tak są rozpowszechnione?

— Ja jednak obawiałabym się swoją fotografię ofiarować, chybabym... chyba... — i zamyśliwszy się, dodała — wielce wierzyła, że mój wizerunek nie będzie powodem samochwalstwa, jak to u Panów często się zdarza.

— Dlaczegoż Pani ma tak złe o nas wyobrażenie? A zresztą, czyż nie można nabyć tegoż samego egzemplarza fotografii Pani w zakładzie fotograficznym?

— O nie, gdyż prosiłam fotografa, aby więcej nie odbijał i szkło zniszczył.

— Więc fotografii Pani — rzekłem, ośmielając się co chwila — żadnym już, widzę, sposobem nie można wydobyć, gdyż prosić nie miałbym odwagi, czując, że prośba moja pozostanie bez skutku?

— Och, jak Pan mało liczysz na siebie! — rzekła półżartem. — A zresztą co Panu przyjdzie z mej fotografii?

— O, jakże byłbym szczęśliwym, gdybym mógł mieć nadzieję otrzymania kiedyś od Pani... — i zatrzymałem się, przerażony swoją śmiałością, aż wreszcie po chwili, widząc, że twarz jej nie okrywa się gniewem, dodałem: — Jeżeli mogę

bez obrażenia Cię, Pani, prosić o fotografię, to będę bardzo szczęśliwym.

— Nikomu jeszcze nie ofiarowałam mej fotografii — rzekła, rumieniąc się lekko — Panu jednak nie odmówię jego prośbie — i podała mi wyjętą z albumu fotografię.

Wziąłem ją w swe ręce, zarumieniony szczęściem, wymówiwszy tylko: »Dziękuję«, gdyż w takich chwilach, gdzie najwięcej może należałoby wypowiadać swe uczucia, ja zawsze milczałem, powstrzymywany dziwną nieśmiałością.

— Tak obojętnie mi Pan dziękujesz? — szepnęła, patrząc na mnie figlarnemi i jakby pokrytemi żalem oczyma.

Nie odpowiedziałem na to ani słowa, tylko schwyciwszy jej rękę, przyłożyłem do swych ust drżących wzruszeniem i miłością. Nie wyrwała mi swej ręki, która długo pozostała przy mych ustach. Czyż podobna, aby mnie ona kochała? — pomyślałem sobie w duszy. Dalszą rozmowę przerwało przybycie matki.

Powróciłem do domu, upojony słodką nadzieją: to, o czem marzyłem, zaczęło się urzeczywistniać. Zakorzeniona jednak niewiara, myśl, przypuszczająca, że wszystkie te oznaki mogą być ułudnemi sidłami lubiącej żartować z cudzych cierpień kobiety, unosiła się nademną jak czarny obłok, zaciemniający promienie słoneczne. Fotografię jej ukryłem głęboko między książkami, ażeby ciekawe oko obcych ludzi nie wykryło mej tajemnicy, a kwiat z jej włosów nosiłem w małym medalionie na piersiach. Medalion ten był mi ofiarowany przez p. D., o której wspomniałem, jako niby talizman, broniący od nieszczęść; tak przynajmniej upewniała pani D., prosząc, abym go zawsze nosił przy sobie. Z powodu tego talizmanu nastąpiło prawie jawne odkrycie uczucia mego do Karoliny. Gdy bowiem żartowałem sobie z nieszczęść, które nie mogą mnie już dotknąć, jako posiadacza amuletu, otrzymanego z rąk przyjaznych p. D., panna Karolina zażądała, abym jej pokazał medalion.

— Nie mogę teraz go pokazać — wyrzekłem zarumieniony, wspomniawszy, że kwiat, znajdujący się w nim, wydałby moją tajemnicę.

— Ach, rozumiem, dlaczego Pan odmawiasz mej prośbie! — rzekła z odcieniem, jak mi się zdawało, zazdrości w gło-

sie. — Przyznaję, że prośba moja była nader niedyskretną — i odwróciła się odemnie, zagniewana.

— Jeżeli Pani żądasz koniecznie — zawołałem z pośpiechem — to proszę: oto medalion — rzekłem, zdejmując go z piersi.

Wzięła go do rąk swych i otworzyła. Z niespokojnością i zmieszaniem śledziłem na jej twarzy wrażenie, jakiego dozna na widok umieszczonego w medalionie jej kwiatu, gdyż kwiat ten, z jej włosów wyjęty i noszony na mych piersiach, nie mógł nie dać poznać, co się w mem sercu dzieje. Było to nieme wyznanie miłości; nie chciałem go już jednak dłużej wstrzymywać, korzystając z wypadku, który mej nieśmiałości tak szczęśliwie usłużył. Nich wie nareszcie, że kocham ją, choć wyjawić słowami i może wzbudzić znów podejrzenie, że interes mną powoduje, nie chciałem za nic na świecie. Kiedy zobaczyła znajomy jej kwiat oleandru w medalionie, lica jej okryły się purpurowym rumieńcem, lecz w oczach nie widziałem gniewu.

— Pocoś Pan włożył mój kwiat do cudzego medalionu? — rzekła po chwili. — Ja nie dałam go Panu na to — i wyjąwszy kwiat, rzekła: — Odbieram go Panu.

— Pani — szepnąłem — czyż można pozbawiać mnie tej jedynej pamiątki? — I schwyciwszy jej rączkę, przyłożyłem do ust swoich.

Nic nie odpowiedziała mi, stojąc tak przy mnie, zamyślona przez chwilę, aż wreszcie liście oleandru wpadły znów na moją rękę i zniknęły w medalionie. Tego wieczora była więcej zamyślona, niż zwykle, a ja szczęśliwszy, choć jeszcze niepewny swojego losu.

Piękne te jednak dni moje wkrótce zachmurzone zostały niespodziewanym wcale wypadkiem. Kiedy w czasie świąt Wielkiej Nocy przyszedłem do p. Z., babki p. Karoliny, z powinszowaniem, zastałem i ją wraz z matką. Po zwykłych przywitaniach, usunęliśmy się na bok, gdzie, jak mniemałem, zawiążemy słodką dla mnie rozmowę i zawsze tak upragnioną i oczekiwaną. Tymczasem, jak zimną wodą, zostałem oblany słowami gorzkiej ironii i ukrytego żalu, w których, niby żartując, wypytywała mię się, czy się nie lękam o zdrowie pewnej młodej panienki, która z miłości ku mnie usycha widocznie, jak o tem miałem sam niby w licznem towarzystwie opowiadać. Zadzi-

wiony i zmieszany tem oskarżeniem potwarczem, zaprzeczyłem temu oszczerstwu, przez jakiegoś chyba wroga rzuconego na mnie.

— Czyż Pani możesz przypuszczać — rzekłem oburzony — abym ja dopuścił się takiej podłości? Czyż jabym mógł tak nikczemnie kompromitować kobietę? Niechże wiem przynajmniej, o kim to ja tak miałem mówić? Mój oskarżyciel musiał przynajmniej powiedzieć nazwisko tej niby mojej ofiary.

— Tą panną, tak zakochaną bez wzajemności, tą nieszczęśliwą ofiarą, to ja nią jestem — rzekła, starając się uśmiechnąć, choć oczy jej były pełne łez i oburzenia.

Jak piorunem rażony byłem jej odpowiedzią.

— To Pani — wyrzekłem, zbladłszy jak ściana — to ja miałem mówić o Tobie, Pani? — i czułem, iż krew cała na twarz mi wypłynęła; nie mogłem mówić dalej z żalu i gniewu na to oszczerstwo,

Na nieszczęście dalszego tłómaczenia musieliśmy zaprzestać, gdyż matka zawołała ją do siebie. Nie wiem, jak pożegnałem się i jak wyszedłem z tego domu. Wybiegłszy na ulicę, ochłonąłem troszkę i zacząłem rozmyślać. Wszystko już stracone; jeżeli nawet serce jej nie było mi obojętne, to teraz musi mnie nienawidzić za zniewagę, jaką przypuszcza, że jej wyrządziłem. Jak ona mogła temu wierzyć? Czem ją przekonać, że to kłamstwo, że to potwarz haniebna? A tak byłem już szczęśliwy! Nie mogę już bywać u nich po tem, co się stało. Gdybym mógł przynajmniej wiedzieć nazwisko autora tego oszczerstwa! Zacząłem w myśli przebierać bywające u nich osoby, ażeby odgadnąć, kto mógł mi się tak przysłużyć. Pomiędzy najczęściej tam goszczącymi, byli Koskowski, Matuszewicz i młody Mod. Koskowski i Modrz. byli także zakochani w p. Karolinie. Koskowski był mi na pozór bardzo przyjazny; z Modrz. nie żyłem znów zupełnie. Stary zaś Matuszewicz, mój kolega komitetowy, zdawał się nawet pomagać moim uczuciom. Nic, słowem, z moich rozmyślań nie mogłem wyprowadzić. Postanowiłem przeto być raz ostatni jeszcze w jej domu, poprosić o powiedzenie nazwiska mego oszczercy, zmusić go do odwołania, lub wyzwać na pojedynek i walką oczyścić się z podejrzenia.

W kilka dni po owej scenie poszedłem z bijącem sercem

na ostatnią przypuszczalnie wizytę. Starałem się być obojętnie-poważny. Przyjęto mnie dosyć serdecznie. Złapawszy dogodną chwilę, powiedziałem stanowczo p. Karolinie cel mojej, może już niespodziewanej wizyty.

— Jeżeli mi, Pani, nie zechcesz — rzekłem, zakończając moje wyjaśnienia — powiedzieć nazwiska mego potwarcy, abym go mógł zmusić wobec Pani do odwołania swego bezczelnego kłamstwa, lub w przeciwnym razie, gdyby nie chciał uczynić mi tej słusznej satysfakcyi, wyzwę go na pojedynek.

Lekki cień uśmiechu zarysował się na jej twarzy, gdym wspomniał o pojedynku; uśmiech ten do głębi mnie poruszył.

— Tak jest, na pojedynek! — dodałem z poważną stanowczością. — Nie żartuj sobie, Pani, ze słów, bo taka obraza, i to wobec osoby, o której szacunek więcej mi idzie, niż o życie, nie może inaczej się zakończyć. Wiem o tem, że pojedynek, choćby w największej tajemnicy odbyty, niedługo utrzyma się w sekrecie, i że dlatego nie będę mógł bywać w domu Pani; ale wolę przenieść tę ciężką konieczność, niż być pozbawionym twego szacunku, Pani!

Sam nie wiem, jak odważyłem się tak długo i tak stanowczo mówić w jej obecności, która mnie zawsze w dziwną popychała nieśmiałość. Słowa moje wywarły, jak mogłem zauważyć, dość silne na niej wrażenie. Po chwili milczenia przemówiła do mnie najsłodszym, jak mogła, głosem, upewniając, że ani na chwilę nie przypuszczała, abym ja się mógł dopuścić takiego czynu, że, jeżeli wspomniała mi o tym wypadku, to właśnie, aby pokazać, jak ma wielkie zaufanie w mojej szlachetności i t. p., przekonywała mnie, słowem, wszelkimi sposobami w niezachwianie dobrą opinię, jaką zawsze o mnie piastuje w swem sercu; lecz nazwiska potwarcy, jak go już sama nazywała, wzbraniała się wymienić, przysięgając, że dała tak uroczyste słowo na dochowanie tajemnicy, że go złamać jej niepodobna. Nie chciałem przyjąć tych tłómaczeń i pożegnałem ją milczący i zasmucony, starając się boleść moją pokryć lodowatą obojętnością.

Przez cały tydzień nie byłem w jej domu, postanawiając sobie oddać tylko kilka jeszcze wizyt w odległych odstępach, aby nagłem zerwaniem stosunków nie dać urość jakim plotkom.

Pierwszy raz po tej rozmowie zobaczyliśmy się w domu jej babki. Na twarzy jej zdawało mi się dostrzegać ślady smutku, a oczy patrzały na mnie z wyrzutem żalu. Postanowiłem nie zważać na te drogie sercu memu oznaki. Przywitałem się z nią z zimną grzecznością, choć zapewne moje oczy i drżące usta co innego mówiły. Byliśmy tylko sami u babki, gdyż matki jej nie było, a babka poszła zająć się herbatą. Ja siedziałem dość daleko od niej, starając się zawiązać jakąś obojętną rozmowę, ale co chwila wyrazu mi brakło i myśl gdzieindziej ulatywała. Ona także odpowiadała mi z roztargnieniem. Czuć było, jak ciemne chmury przykrych myśli unosiły się nad nami. Widząc, że niezdolny jestem zmusić się do kłamanej obojętnością rozmowy, zamilkłem, utonąwszy w głębokich dumaniach o niedawnej przeszłości. Zostawałem tak niedługą chwilkę, nie wiedząc prawie, gdzie jestem, gdy lekkie dotknięcie do moich ramion rozbudziło mię z ciężkiej zadumy. Podniósłszy oczy, ujrzałem dwie maleńkie rączki Karoliny, oparte na mych ramionach, główka jej, smutnie nachylona ku mnie, patrzała załzawionemi na mnie oczami, a koralowe usta szeptały:

— Gniewasz się Pan na mnie, p. Władysławie?

— Nie, nie gniewam się; czyż ja mógłbym się gniewać na Panią? Tylko mnie tak boli, tak smutno, że Pani nie masz do mnie zaufania.

Chciałem dalej jeszcze coś mówić, ale nie mogłem, czując, że w głosie mym łzy było słychać, a nie chcąc, aby one ukazały się i na mej twarzy.

— Więc Pan chcesz, ażebym złamała najświętszą przysięgę, jaką wykonałam, mimo że mówię, iż jednej chwilki nie było wątpliwości w mem sercu?

Patrzałem się na nią z radością, lecz milczałem.

— Nic Pan mi nie odpowiadasz? Nie przeprosisz mnie za te gniewy niesłuszne? — mówiła dalej, rzucając niebieskie, magnetyczne światło z łagodnych oczów. — Więc ja Pana przepraszam — i odjąwszy z mych ramion swe ręce, podała mi je na znak zgody.

Przycisnąłem je do serca, a później do ust i wszystko było zapomniane.

Zacząłem znów bywać, unikając jednak wykazywania

swego uczucia, gdyż mimo ciągłych później z jej strony objawów nie mogłem wierzyć, czy te oznaki są tylko chwilowo przemijającym kaprysem, czy stałą i rzeczywistą miłością, jaką ja w swem sercu żywiłem. Wiele jednak czasu upłynęłoby zapewne, nimbym odważył się wyznanie jawnej już prawie miłości uczynić, gdyby nie losy, zawsze mi pomagające, i w tym razie nie ułatwiły, a niejako nawet zmusiły mimo nieśmiałości do wyznania tak długo tajonego uczucia.

Jak już wspomniałem, w domu matki Karoliny bywali między innymi dwaj bliżej mi znajomi: Kosk[owski] i Mat[uszewicz]; ten ostatni był razem zemną członkiem Komitetu, Kosko[wski] zaś był wydziałowym i przytem starającym się o rękę p. Karoliny, w której zdawał się być na zabój zakochanym. Panna wcale nie odpowiadała jego gorącym uczuciom i nader często nawet w obecności jego samego nielitościwe z niego stroiła żarty. Mimo to jednak pozostał niezmiennym jej wielbicielem. Podejrzywał on mnie z początku o zajęcie się p. Karoliną; ale umiałem taką obojętną minę zrobić na jego podejrzenia, że zdawało się, iż zupełnie porzucił swe przypuszczenia, i zaczął się nawet zwierzać przedemną z uczuć, jakiemi serce jego gorzało. Mat[uszewicz], człowiek już niemłody i przytem żonaty, bywał tam naturalnie tylko jako przyjaciel domu. Obadwaj oni niechcący i mimowolnie pomagali moim interesom sercowym, przez dające dużo do zrozumienia półsłówka o swojem, a tem samem i o mojem znaczeniu w organizacyi narodowej. Szczególniej zaś Mat[uszewicz], człowiek zresztą bardzo poczciwy i prawy patryota, miał niesłychaną słabość okrywania się poważną i wiele znaczącą tajemniczością, tak jednak, że ta tajemniczość pozwalała dojrzeć i domyśleć wielkiego znaczenia, jakie posiadał jako jeden z przypuszczalnych naczelników sprzysiężenia. Zawsze nosił przy sobie różne tajemne papiery i raporta, przedstawiając mi nieraz w domu mej ukochanej różne, otrzymane z zagranicy depesze i interesa, lub wyprowadzając mnie do drugiego pokoju, przeprosiwszy panie, że nagły interes zmusza nas do powiedzenia kilku słów p. Władysławowi i t. p., co wszystko, aczkolwiek mocno mnie żenowało za poczciwego Mat[uszewicza], ale zawsze i wielce podchlebiało mi, że przedmiot mych wzdy-

chań poweźmie wysokie wyobrażenie o mem znaczeniu w organizacyi, której kraj cały miał być podległy. W patryotycznym nastroju, jaki panował wówczas w Warszawie, niemałą zaiste było dumą dla kobiety widzieć, jak jej wielbiciel jest całkiem oddany sprawie narodowej i jakie wysokie w związku zajmuje miejsce.

XIV.

Atmosfera spiskowa w Warszawie r. 1862. — Wielopolski sprzymierzeńcem Komitetu Centralnego. — Sprawy sercowe. — Zamach na w. ks. Konstantego. — Dwa zamachy na Wielopolskiego. — Sąd i egzekucya. — Sprawy sercowe i romantyczna wyprawa pod Pułtusk.

W owe czasy, w 1862 roku, zdawało się, że powietrze całe napojone jest tajemniczą, pełną spisków i sprzysiężeń atmosferą. Na zebraniach prywatnych rozmowy przepełnione były tylko organizacyą Komitetu i nowymi rozkazami władzy tajemnej, przylepianymi na rogach ulic lub rozdawanymi po domach. Zwłaszcza gdy Wielopolski kazał w »Dzienniku powszechnym« ogłosić złapane przy jednym z aresztowanych program organizacyi i ustawę Komitetu Centralnego, cała Warszawa tylko o Komitecie Centralnym przez czas jakiś rozprawiała. Margrabia, ani się domyślając, oddał wielką usługę Komitetowi, bo tem ogłoszeniem przysporzył niesłychaną liczbę zwolenników organizacyi, którzy, czytając ustawę stowarzyszenia i cały systemat organizacyi, nie znajdywali pochwał, unosząc się nad mądrością Komitetu, który w tajemnicy potrafił cały kraj, jak i stosunki zagraniczne urządzić; przyjmowali bowiem za fakt dokonany wszystko, co dopiero było w projekcie, i przewyższając nawet siłę i powagę komitetu.

Ułatwiło to również i uorganizowanie prowincyi, gdyż nie mogąc mieć drukowanego programu organizacyi, musiano przepisywać i przesyłać statuta związku, co było połączone z niejakiem niebezpieczeństwem przy częstych rewizyach, jakie się wówczas zdarzały; teraz zaś, po ogłoszeniu w urzędowym dzienniku, rzecz ta została ułatwiona, gdyż, zakupiwszy kilkaset egzemplarzy, porozsyłaliśmy po prowincyach ajentom do wiadomości, jak się mają urządzać. Nikogo również już nie kompromitowało posiadanie statutu organizacyi, gdyż trudno

było aresztować kogoś za posiadanie jednego egzemplarza »Dziennika powszechnego«. Komitet również, występujący nader oględnie w swych odezwach i nie podpisujący się na publicznych plakatach, teraz już otwarcie wystąpił jako Centralny Narodowy Komitet; słowem, ogłoszenie programu organizacyi, nie tylko, że nam nie zaszkodziło, ale jeszcze podniosło w oczach narodu.

W takim to nastroju opinii, jaki panował w Warszawie. postępowanie, choć samochwalcze, Mat[uszewicza], bardzo mi było na rękę. On jednak zapłacił za swą nietaktowność i przybieranie poz tajemniczo wielkich nazwiskiem politycznego szarlatana i wydaleniem z Komitetu, o czem już dawniej wspomniałem.

Przy takich przeto okolicznościach z radością zauważyłem, że oznaki uczucia, jakie podchlebiałem sobie, że potrafię wzbudzić w sercu p. Karoliny, stawały się coraz widoczniejsze. Miłość jednak prawdziwa jest wiecznie lękliwą i niedowierzającą; mimo pragnienia i nadziei, zawsze sądziłem, że niegodny jestem tak wielkiego szczęścia, jakiemby dla mnie było uczucie, zakwitłe w jej sercu. Byłem więc ciągle lękliwy i nieśmiały, nigdy nie starający się wyjawiać tego, co się w mem sercu działo, z obawy, aby zbyteczne zuchwalstwo moje nie było przyczyną utraty wszelkiej nadziei, jaką teraz niezłomnie przynajmniej posiadałem. Takie postępowanie byłoby może zniechęciło inną kobietę; dla niej przeciwnie, jak teraz, zimniej rozważając, mogę spostrzegać, było przeciwnie bodźcem do coraz silniejszego uczucia. Ta pozorna moja niby obojętność drażniła ją i coraz silniej rozpalała jej serce.

Nie wiem, jak długo jeszcze byłbym w tej niepewności pozostawał, gdyby nie następujący wypadek przyśpieszył rozwiązanie. Czynności moje konspiracyjne, zmuszając mnie do częstego komunikowania się z różnymi, często mało znanymi ludźmi, oraz odbieranie licznej korespondencyi zwróciło na mnie oko policyi. Przyznać również należy, że byliśmy bardzo nieostrożni, za nadto dowierzający w swe szczęście i w głupotę policyi ówczesnej, tak, że nazwisko ludzi bardziej wpływowych w organizacyi, a przynajmniej więcej się zajmujących, znane były wielu i swobodnie powtarzane, co nareszcie musiało na nich zwrócić uwagę władzy. Otóż i moje nazwisko

doszło jakoś do wiedzy policyi i zaczęto śledzić moje postępowanie, oddawszy mnie pod tajemny nadzór. Wiadomość o tem doszła mnie natychmiast z dodatkiem jeszcze, sformowanym zapewne już przez gorliwych przyjaciół, że wiadomo, iż jestem członkiem Komitetu i że wkrótce mają mnie aresztować. Nie dowierzałem z początku tym wieściom, ale jak zaczęły one ze wszystkich stron mnie dochodzić, nawet od osób nieznajomych, postanowiłem przedsięwziąść niektóre środki ostrożności, jako to nie nocowanie w domu, aby w razie, gdy przyjdą mnie aresztować, można było już wtedy, mając pewność w prawdziwość pogłosek, uciekać za granicę. Ojciec mój przelękniony, jak i familia, chciał, abym natychmiast uciekał; ale za zbyt wiele powodów zatrzymywało mnie w Warszawie, abym tak prędko i nie widząc jeszcze koniecznej potrzeby, miał ją opuszczać. Przyrzekłem jednak w razie sprawdzenia się tych niepokojących pogłosek wyjechać za granicę i dlatego też całymi dniami zajęty byłem urządzaniem tajemnych stowarzyszeń i stosunków na wypadek mego wyjazdu.

Zajęcia te, oraz różne bieżące czynności tyle mi zajmowały czasu, że już blizko od tygodnia nie mogłem być u pp. K., mimo że serce tak mnie gwałtownie do ich domu ciągnęło. Wiedziałem od mojej ciotki, bywającej u nich, że wiadomość o mem przypuszczalnem nieszczęściu doszła już do ich uszu i że życzonoby mnie tam widzieć. Przeklinałem nieraz w duchu interesantów, którzy dla byle jakiej drobnostki odciągali mnie już prawie od progu domu, gdzie tyle moich pragnień i nadziei przemieszkiwało; ale obowiązek zmuszał mnie odkładać na później osobiste me sprawy.

Piątego czy coś szóstego dnia po rozszerzonych pogłoskach mej aresztacyi, kiedy właśnie wybierałem się wyjść z domu na jakieś zebranie, wszedł lokaj od p. K. z zaproszeod niem pani i panny Karoliny, abym zechciał być u nich. Przyrzekłszy z jak największą radością spełnić to słodkie ich życzenie, wyszedłem z domu, postanowiwszy bądź co bądź wieczór dzisiejszy u nich przepędzić.

Powróciwszy do domu na obiad, zostałem przywitany słowami naszej służącej, zawiadamiającej mnie, że p. Karolina była tu przed godziną, prosząc, abym, jak tylko wrócę, natychmiast przyszedł do nich.

— Panna Karolina sama tu była? — zapytałem z niedowierzającem zdziwieniem.

— Tak jest, proszę Pana — odrzekła służąca — była z matką u babki i wpadła tu do kuchni, mówiąc do mnie: »Powiedz panu Władysławowi, aby koniecznie natychmiast do nas przyszedł«.

Byłbym ucałował służącą z radości za jej dobrą nowinę, gdyby nie rozwaga, wstrzymująca mnie od tego czynu. »Ona sama przychodziła prosić mnie; więc nie jestem jej obojętny, kiedy aż tu przybiegła, aby tylko widzieć się ze mną. I czyż jeszcze mam wątpić o jej uczuciu?« — pomyślałem sobie w duszy.

Natychmiast po obiedzie, którego prawie jeść nie mogłem ze wzruszenia i niecierpliwości, pobiegłem na upragnioną wizytę. Przez drogę w myśli mej przebiegały wszystkie jej słowa, wszystkie jej czyny, które świadczyły jasno, iż jakieś, chociaż małe miejsce w jej sercu zajmuję. Stanąłem nareszcie przy drzwiach i zadzwoniłem. Panna Karolina sama otworzyła mi drzwi i zobaczyliśmy się naprzeciw siebie. Była blada i zmieniona, nad jej białem czołem unosiła się chmura niekłamanego smutku. Nie miałem czasu jeszcze słowa powiedzieć na wytłómaczenie mej tak długiej nieobecności, gdy ona, podając mi obie ręce, zawołała głosem, pełnym radosnego wzruszenia:

— Tak długo nie przychodzisz, zostawiając mnie w niespokojności i smutku! Och, niedobry chłopcze! — i twarz jej zalała się strumieniem łez bolesnych.

Ujrzawszy jej łzy, tchu mi w piersiach zabrakło; nic nie mogłem odpowiedzieć, tylko ręce jej schwyciwszy, do ust swych przycisnąłem, szepcząc:

— Przepraszam cię, Pani!

— Idź tam — rzekła, wyrywając mi ręce i wskazując na salon, a sama pobiegła do drugiego pokoju.

Wszedłem do sali, nie mogąc jeszcze ocucić się z wrażenia, jakie na mnie wywarły jej słowa, i ta twarz ukochana, zawsze tak spokojna i wesoła, teraz wybladła smutkiem i zroszona łzami. W salonie zastałem samą panią wraz z jej niedawno ze wsi przybyłym bratem. Zarzucono mnie pytaniami, tyczącemi się mego spodziewanego uwięzienia i co myślę ze sobą dalej zrobić, aby się od niego uchronić. Ochłonąwszy trochę ze wzruszenia, zacząłem, o ile zdołałem, jak najspokojniej

zadawalniać ich ciekawość. Po małej chwili weszła do salonu p. Karolina, otarłszy łzy i przybrawszy spokojnę postawę, choć drżące lekko usta i oczy czerwone zdradzały, przy bladej twarzy, wewnętrzną walkę uczuć. Jak tylko ona pokazała się w salonie, matka wraz z bratem wyszli do drugiego pokoju kończyć rozpoczęty jakiś interes, a my zostaliśmy sami.

Czułem, że nadeszła chwila, w której już dłużej ukrywać swojej miłości nie mogłem. Oboje wiedzieliśmy, że serca nasze przejęte jednem uczuciem, oddawna już sobie zostały oddane. W jej oczach, w jej twarzy, w każdem jej słowie, jakiem mnie dzisiaj powitała, widać było odbicie serca i duszy. Kiedy matka z jej stryjem opuścili salon, ona zbliżyła się i usiadła przy mnie, rzucając na mnie łzawe i pytające spojrzenia. Wzburzony i szczęściem i nieśmiałością, nie mogłem słowa wydobyć ze ściśniętych piersi, tylko ściskając jej ręce, patrzałem śmiało i z uczuciem nie tajonem już w jej duże, niebieskie oczy. Długą tak chwilę trwało to błogie i wymowne milczenie, aż ona pierwsza przerwała go, nachylając swą główkę ku mnie i mówiąc cicho-pieszczotliwym swym głosem:

— Szukają cię, panie Władysławie, chcą cię aresztować — i głos jej zadrżał. — Wiem, że jesteś niebezpiecznie oskarżony; musisz mi Pan przyrzec, że wyjedziesz stąd za granicę, że uciekniesz, aby uchronić się tego wielkiego nieszczęścia. Wszak przyrzekniesz mi, wypełnisz moją prośbę? — i prosząco patrzała na mnie.

— Pani — odrzekłem, tłumiąc westchnienie — czyż ja mogę opuścić Warszawę? Nie żądaj Pani tego odemnie. Wyjeżdżać stąd — dodałem po chwili — to nad moje siły, nie, nie, nie żądaj tego.

— Więc Pan nie chcesz wysłuchać mojej pierwszej prośby — rzekła, przerywając mi nagle — więc Pana nic nie obchodzi ciągła obawa i niespokojność osób... — tu zatrzymała się chwilkę i lekki rumieniec okrył jej lica — osób — rzekła drżącym od wzruszenia głosem — których los Pana więcej może obchodzi, niż ich własny?

— Pani! Och, Pani! — zawołałem, nie mogąc się już powstrzymać — czyż nie wiesz, że stokroć wolałbym więzienie, niż rozłączenie się z tymi, którzy są mi najdroższi w życiu? — i gorączkowo przycisnąłem rękę jej do mego serca.

— Więc ty mnie kochasz choć troszkę? — wyszeptała, rumieniąc się i skłaniając głowę na me piersi.

— Czyż się pytać potrzebujesz Pani? — zawołałem, drżąc cały — dawno, dawno już kocham, tylko mówić się lękałem — odrzekłem przerywanym głosem — bo myślałem, że cię obrażę, Pani, moją miłością, bo nie wiedziałem, czy ty mnie możesz kochać. Och, czy mogę mieć nadzieję, że ty, Pani — i nie śmiejąc dokończyć, spojrzałem w jej oczy; oczy jej jaśniały szczęściem i radością.

— O ty, niedobry! — wyszeptała płynącym z serca głosem — Pytasz jeszcze, czy cię kocham? Ileż to razy, choć nie słowami, mówiłam to; o tak, kocham, kocham! — zawołała, kładąc mą rękę na swem sercu, abym mógł uczuć gwałtowne jego bicie.

— Boże mój, Boże mój! Czyż ja mogę być tak szczęśliwy? — szepnąłem — O moja droga, czy ty zawsze będziesz taką, jak dzisiaj, czy ty, o Pani moja, nie zmienisz się nigdy?

— Nie, nie! — szepnęła i znów zamilkliśmy oboje, patrząc tylko na siebie i trzymając się za ręce.

— Ja się lękam o Pana — wyszeptała po chwili — zaaresztują cię, uwięzą; proszę cię, proszę, wyjedź za granicę, ja tam z matką przyjadę.

Widząc, że nic nie odpowiadam, rzekła po chwili, starając się swój głos jak najbardziej proszącym uczynić.

— Wszak kochasz mnie; więc nie obrazisz [się] tem, co ci powiem, bo to z serca dla ciebie uczynię?

— Mów! mów Pani!

— Może dla tego nie chcesz wyjeżdżać, że obecnie... — i zawahała się, patrząc niespokojnemi oczami — że nie masz tyle funduszu? — wyjąkała, ściskając mi ręce. — Ja mam swoje oddzielne od matki pieniądze; weź je odemnie. Wszak weźmiesz od tej, co cię kocha — wyrzekła, patrząc na twarz moją, która, czułem, jak się okrywa krwawym rumieńcem.

— Obraziłeś się, więc nie kochasz mnie, gdy moja prośba cię obraża; wszak wszystko, co moje, do ciebie należy. Nie kochasz mnie — i wyrwała swe ręce, odsuwając się odemnie.

— Kocham, kocham! — zawołałem, całując jej białe rączki. — Tylko tak mi żal cię opuszczać, Pani! Pozwól mi zostać jeszcze, może to wszystko tylko próżne strachy. Jeżeli jaka

pewność okaże się w tych pogłoskach, to wówczas uczynię, co rozkażesz; jestem twoim, o Pani! Rozkazuj mi, lecz nie oddalaj jeszcze od siebie!

— Pamiętaj, pamiętaj, coś mi przyrzekł; ochraniaj się dla mnie! Och, gdyby cię złapali, gdyby cię uwięzili... — i twarz jej okryła się bladością.

Nie mogłem już nic jej odpowiedzieć, bo matka wraz ze swym bratem wróciła do salonu. Zmrok wieczorny ukrył nasze zmieszanie. Usunęliśmy się ku oknu, prowadząc dalej tę nigdy nie wyczerpaną i zawsze błogą rozmowę kochanków, ograniczającą się na półsłówkach, spojrzeniach i tajemnych rąk uściskach. Bo czyż można z wezbranego uczuciem serca wiele słów próżnych wyrzucać, gdy się czuje, że żadne słowo i w części nie odpowie temu, co się w głębi nas dzieje? Ileż to ja razy, później już, gdym miał się z nią widzieć, układałem w swej głowie piękne i serdeczne słowa, jakiemi ją przywitać miałem! Ileż to ułożonych mów miałem w zapasie, które mą miłość miały wypowiedzieć! A jednak, gdym się znalazł z nią sam na sam, wszystko niknęło mi z myśli, zapominałem o najpiękniej ułożonych słowach, pamiętając tylko, że jestem przy niej, że widzę ją i że jestem szczęśliwy. Nie byłbym w stanie powtórzyć naszej rozmowy, wiem tylko, że nigdy piękniejszej nie zdało mi się usłyszeć.

— Czemu mnie nazywasz »panią« — szeptała, spuszczając oczy — mów mi »ty«, wszak jestem twoją.

I od tej chwili, choć z trudem z początku, mówiliśmy sobie »ty«, lub nazywali się po imieniu. Jakie to wszystko drobnostki, a jednak słodkie dla zakochanych!

Cały ten wieczór zostałem już u nich. Nadeszła później jej babka i Kos[kowski], mój rywal nieszczęśliwy. Siedzieliśmy z nią przy sobie; ręce nasze, jakby mimowolnie, znalazły się razem i pozostały w uścisku. Nie widziano tego, gdyż siedzieliśmy wszyscy naokoło stołu. Jeden K[oskowski] tylko swem bystrem okiem zazdrosnego kochanka zauważył jakieś niezwykłe zbliżenie, jakiś stan nienormalny i ciągły ogień w naszych spojrzeniach, ale cóż nas to mogło obchodzić? Nigdy nie wydała mi się ona tak piękną, jak dnia tego. Twarz jej rozjaśniona szczęściem, oczy, błyszczące jakiemś tęsknem, łagodnem światłem, ciągle prawie zwrócone na mnie; była mniej

rozmowną jak zwykle i ta zaduma, pełna niezwykłego uroku, rozlewała niewysłowioną szlachetność na jej licach.

Późno już, bo około północy opuścić musiałem dom pp. K., aby odprowadzić jej babkę do domu. Zaledwie kilka uszliśmy kroków, gdy usłyszawszy silny tentent koni, ujrzeliśmy liczny oddział czerkiesów, eskortujących cwałem pędzącą karetę. Nie mogliśmy się domyśleć, ktoby to jechał i co znaczy taka liczna i tak galopem pędząca eskorta. Nazajurz dopiero dowiedziałem się, że to powracał z teatru w. ks. Konstanty, gdzie już przy wsiadaniu do karety Jaroszyński, młody litograf, wystrzelił z rewolweru, lekko raniąc w. księcia w ramię, gdyż kula szczęściem zatrzymała się o szlifę i straciła impet. Jak już wspomniałem dawniej, zamach ten zrobiony był bez woli i wiedzy Komitetu, który najenergiczniej przeciw niemu powstawał. Był on, jak to śledztwo okazało, czynem kilkunastu zapaleńców, pod wpływem Chmieleńskiego zostających, którzy za jego radą i namową ułożyli ten zbrodniczy zamiar, ażeby nie pozwolić W. księciu swymi łagodnymi rządami uspokoić wzburzony naród i tym sposobem wstrzymać wybuch powstania, jak gdyby wówczas mogły jakiekolwiek półśrodki podziałać na umysły, znurtowane do gruntu myślą o niepodległości kraju. Zaraz przy wjeździe W. księcia, jak to ze śledztw rządowych się pokazało, czatowano na jego życie; ale że jechał z żoną i dziećmi, więc spiskowcy wstrzymali się z wykonaniem zamiaru, choć podobno Jaroszyński miał lecieć za powozem W. księcia w tłumie nielicznym, otaczającym powóz.

Jaroszyński w parę tygodni sądzony był sądem wojennym publicznie i skazany na karę śmierci przez powieszenie, która to kara w parę dni po wyroku na stoku Cytadeli była wykonana. Tłumy ludu towarzyszyły tej egzekucyi; wzburzenie było wielkie, gdyż pierwsza to od dawna już polityczna egzekucya, którą wykonano w Warszawie.

Jakkolwiek nie podzielano ogólnie czynu Jaroszyńskiego, jednak uznawano w nim nieszczęśliwego fanatyka, zaślepionego miłością do kraju i podburzonego przez zręcznych intrygantów, którzy wmówili w niego i przekonali, że podjęciem się tego zamachu wielką odda usługę krajowi. Nieszczęśliwy ten przeto zginął ofiarą swego zaślepienia z bolesnem przekonaniem, że kraj potępił czyn jego, jako bezpożyteczną zbrodnię. Były po-

głoski w Warszawie, że W. książe chciał koniecznie ułaskawić Jaroszyńskiego, czego nawet się spodziewano, lecz Wielopolski gwałtownie był temu przeciwny i nawet groził podaniem się do dymisyi w razie złagodzenia przez W. księcia wyroku; to też niepopularność Wielopolskiego wzrosła olbrzymio, zamieniając się wkrótce w głęboką nienawiść.

Toż samo stowarzyszenie Chmieleńszczyków uczyniło w kilka dni po powieszeniu Jaroszyńskiego dwa zamachy na Wielopolskiego, w parę dni jeden po drugim następujące. Pierwszy zamach wykonał Ryll, zaczaiwszy się w gmachu komisyi, gdzie Wielopolski bywał codziennie na sesyach, i wystrzelił do niego, gdy on szedł po schodach, dwa razy z rewolweru, lecz oba razy chybił. Na krzyk margrabiego zbiegła się służba i urzędnicy, co widząc Ryll, zaczął uciekać, lecz został przytrzymany. W pół godziny po aresztowaniu pokazały się (jak mówi śledztwo) na nim znaki otrucia. Widać, że podżegacze tego uczynku dali mu trucizny, aby w razie schwytania nie wydał spólników.

W parę dni później niejaki Rzońca rzucił się w Alejach Ujazdowskich na jadącego powozem Wielopolskiego, chcąc go zabić sztyletem; uderzył go raz, zamierzywszy się w głowę, lecz sztylet zsunął się i rozerwał kapelusz, drugi zaś raz już nie zdołał zadać ciosu, bo na krzyk Wielopolskiego furman zaciął konie i Rzońca spadł ze stopnia powozu. Złoczyńca został również schwytany. Sztylet, jak się okazało, był zatruty. Sąd wojenny, który również publicznie odbywał w pałacu Paca[1] posiedzenia, skazał obu przestępców na karę śmierci.

Opinia publiczna, a szczególniej partyi ruchu, nienawidząca Wielopolskiego, nie powstawała przeciw tym zamachom, uważając margrabiego za zdrajcę sprawy narodowej, chociaż i te oba zamachy były uskutecznione bez wiedzy i woli Komitetu.

Na placu przed Cytadelą zebrało się kilkanaście tysięcy ludu, aby okazać sympatyę ludziom, chcącym ukarać z poświęceniem własnego życia zdrajcę kraju, gdyż już inaczej nie

---

[1] Autora zawiodła pamięć: tylko Rzońca był sądzony publicznie w pałacu Paca; natomiast rozprawa przeciw Ryllowi odbyła się w Komisyi wojennej w Cytadeli. Przyborowski, Hist. dwóch lat, IV, 163 (*P. w.*).

uważano Wielopolskiego, chociaż głos ten nie był jednak głosem większości, a tylko głosem ulicznego tłumu i klasy rzemieślniczej. Wielkie wrażenie wywarło na tłumy ukazanie się dwóch tych młodzieńców w białych płaszczach, wiezionych na wozie do widniejącej w dali szubienicy. Gdy się zbliżali już na miejsce kary, głuchy odgłos bębnów, bębniących jak przy pogrzebie, boleśnie wpadał do serca; a gdy po chwili ukazały się dwie blade, w bieli odziane postacie na schodkach rusztowania, prowadzących do stryczka, płacz rozległ się w tłumie, wielu zemdlało, a kobiety padły na kolana. W tejże samej chwili, dziwnym zbiegiem okoliczności pokazało się na niebie nad samą szubienicą, na której kołysały się już dwa trupy, koło ogniste, jasno i wyraźnie rysujące się na ciemnych obłokach; koło to przeszło godzinę widocznem było. Różne z powodu tego chodziły przypuszczenia i pogłoski między prostym ludem Warszawy.

Od tej chwili margrabia jeździł otoczony sześciu żandarmami, i to zawsze galopem, aby nikt nie mógł się zbliżyć do karety. Rozpowiadano później różne anegdoty o ostrożnościach Wielopolskiego; bojąc się, aby nie został otruty, miał jeść tylko jajka i mleko od krowy, znajdującej się ciągle w jego ogrodzie i którą doiła jego żona. Cały dom otoczony był żandarmami, a nawet miał jeden z żandarmów sypiać z nim w jednym pokoju. To też puszczono anegdotę, że jego żona, także bojąc się, prosiła, aby i jej pozwolił sypiać z żandarmem.

O Wielkim zaś księciu przeciwne wcale chodziły pogłoski, wystawując go jako zawsze dla nas dobrze usposobionego, sympatyzującego z uczuciami narodu, a kiedy jeszcze nowonarodzonemu w Warszawie dziecięciu nadał książę imię Wacława i przyjął mamkę Polkę, opinia, w najmniejszym fakcie szukająca politycznego znaczenia, utrzymywała, że mają zamiar wychować go po polsku w nadziei, że kiedyś koronę królewską włoży na swoją głowę. A że do wszystkiego w Warszawie muszą zaraz przyczepić i jakąś anegdotkę, rozpowiadano więc, że mamka młodego Wacława, jak tylko zacznie on grymasić i płakać, zaraz go straszy Moskalem, mówiąc: »Cicho, nie płacz, Waciu, bo cię Moskal weźmie« i tem podobne różne rozpowiadano powiastki.

Stronnictwo Wielopolskiego od chwili tych dwóch zamachów wielu straciło zwolenników, widząc, że zamiary margra-

biego są w zupełnej sprzeczności z pragnieniami ogółu. Wielopolski zresztą swoją niesłychaną dumą i zarozumiałością odpychał od siebie nawet najgłębszych zwolenników swego rozumu. Nie wiedziano w końcu, czego on pragnie, bo nawet z partyą Białą nie był w zgodzie, uważając ją czy za nazbyt rewolucyjną, czy też nie czując potrzeby szukania pomocy w jakiemby to nie było stronnictwie, gdyż on sam, wielki mąż stanu, wszystko potrafi przeprowadzić swoim tylko rozumem i z pomocą jedynie władzy rządowej. Dziwna, że tak rozumny człowiek zapomniał, że w tak wzburzonym i podnieconym politycznemi namiętnościami narodzie żadna osobistość, choćby najmędrsza nawet, jeżeli nie miała miłości i uznania narodu, jeżeli była do ostatnich granic zdepopularyzowaną, nie mogła nigdy swego jednego głosu kłaść na szali przeciw całemu narodowi i sądzić, że ten głos jego pojedynczy przeważy, zwłaszcza w takich warunkach, w jakich my byliśmy, jęcząc pod obcą przemocą i mogąc tylko w skrytości działać. Do takiego stopnia pomiatał opinią publiczną i opiniami stronnictw, stanowiących wówczas czoło narodu, że gdy po ogłoszeniu jego programu wychowania publicznego i ustawy Szkoły głównej, które to ogłoszenie wbrew woli namiestnika i przemocą uczynił, co naturalnie wywarło, jak każda opozycya rządowi, zwłaszcza jeszcze z tak rozumnym projektem, zwrócenie chwilowe opinii na jego stronę, gdy jego zwolennicy winszowali mu tego zwrotu opinii na jego korzyść, miał się odezwać: »Och, musiałem jakieś głupstwo zrobić, kiedy mnie tak ogół chwali!« Zapomniał widać, że ludzie, wyżej od niego nieporównanie stojący, jak np. Thiers, powiedzieli, iż ponad rozumem najmędrszego polityka i męża stanu jest jeszcze ktoś wyższy od niego, decydujący zawsze słusznie i już w ostatniej instancyi, a tym jest opinia ogółu, opinia publiczna.

Takie przeto postępowanie margrabiego umniejszało liczbę jego stronników, a zato nam ich przysparzało co chwila. Organizacya Komitetu rozszerzała się i rosła po całym kraju, licząc w to również i prowincye polskie, pod zaborem austryackim i pruskim zostające. Prace przeto nasze komitetowe coraz to więcej zabierały mi czasu, nie tyle jednakże, abym co dzień prawie choć parę godzin nie poświęcił upragnionym i pełnym rozkoszy odwiedzinom mej, już teraz ukochanej i kochającej Karolci. Nazajutrz po naszem wyznaniu, korzystając z nowin

o zamachu na W. księcia, przyszedłem tam nad wieczorem. Przywitany zostałem radosnem spojrzeniem p. Karoliny i słowami cicho wyszeptanemi: »Przeczuwałam, że dziś przyjdziesz«. Matki nie było w pokoju, mogliśmy więc puścić wodze nieprzymuszonej rozmowie. Cała rozmowa składała się z przysiąg i przyrzeczeń, z ciągłych zapytań, których odpowiedź dawno już była wiadoma, jak np.: »Więc kochasz mnie?« »Nie zmienisz się nigdy?« i t. p. i z przeciągłych spojrzeń i uściśnień dłoni. Staliśmy w zagłębieniu okna, była tak blizko przy mnie, że dotykałem się prawie ustami jej włosów. Mimo mej nieśmiałości, nie mogłem się wstrzymać od żądzy złożenia pocałunku na jej świeżem licu; objąwszy przeto jej zgrabną kibić, przytuliłem ją do siebie i zbliżyłem swe usta do jej twarzy. Lecz ona usunęła się odemnie, okrywszy się purpurowym rumieńcem, spojrzała na mnie zawstydzonemi, pełnemi łez oczyma i odeszła do drugiego pokoju. Stałem jak przykuty do miejsca, czując, jak niebacznie ją obraziłem swą zbyteczną zuchwałością. »Czyż mi się nie da już przeprosić?« myślałem zasmucony, przeklinając powieściopisarzy, którzy pocałunek między kochankami za tak zwyczajną, konieczną nawet rzecz w miłości przedstawiają. Wróciła jednak za chwilę i stanęła przy mnie. Zaledwie ośmieliłem się wziąść jej rękę i do ust podnieść, wybąknąwszy ze zmieszaniem przeprosiny. Rumieniec znikł jej już z czoła i w oczach nie było wyrzutu.

— Nie gniewam się już na ciebie — wyrzekła i podała mi drugą swą rączkę; za chwilę był znów pokój i harmonia między nami.

Zaczęliśmy dalej prowadzić nieukończoną naszą rozmowę, w której już ni cienia gniewu, lecz tylko ufność i szczęście panowało. Naradzaliśmy się, gdzie jutro losy pozwolą się nam znów widzieć, gdyż codzienne moje wizyty za nadto mogłyby zwrócić uwagę, zwłaszcza, że matka zdziwiona trochę była wczorajszem niezwykłem naszem zachowaniem się względem siebie. Mieliśmy się więc mieć trochę na baczności, aby nie zdradzić swej tajemnicy. Ponieważ babka jej piła w ogrodzie Saskim wody mineralne, ona przeto miała jej towarzyszyć; naturalnie, że postanowiłem nie zaniedbywać korzystania z tej sposobności. Pobawiwszy niedługą chwilkę, wyszedłem opro-

mieniony szczęściem, że jutro będę mógł dłużej ją widzieć na wodach.

Jak tylko mogłem najraniej wybrałem się do ogrodu i miałem przyjemność przybyć pierwszy. Niedługo jednak czekałem, gdyż wkrótce pokazał się jej czarny węgierski kapelusik na zakręcie alei. Po przywitaniu się, gdy babka poszła do zakładu wypić naznaczony kubek wody, mogliśmy sami, przechadzając się po cienistej alei, prowadzić dalej swe marzenia, do jednego wiecznie zmierzające celu i jednakiej prawie treści, gdy nagle ona, zmieniając sentymentalny ton rozmowy, zagadnęła:

— Kiedyż zdecydowałeś się jechać, abym nareszcie ochłonęła z niepokoju; każden policyant, przechodzący po ogrodzie, przeraża mnie.

— O, nie mów o moim wyjeździe teraz, kiedy nareszcie zacząłem doznawać, co to jest szczęście, co to jest mieć serce, oddane sobie; mamże to wszystko opuszczać dla wątpliwej, niepewnej jakiejś obawy więzienia? Wszak nie będziesz wymagać tego odemnie? — rzekłem, biorąc ją za rękę.

Nic mi nie odpowiedziała na to; popatrzyła się tylko jakoś dziwnie i nagle usunąwszy swą rękę, rzekła:

— Panie Władysławie, muszę wytłumaczyć się Panu. Wiesz Pan, że ja lubię żartować; otóż wybacz mi Pan, ale ja żartowałam, wyznając, że kocham Pana: chciałam zobaczyć, jakie to na Panu zrobi wrażenie, a Pan wziąłeś to na seryo i zakochałeś się we mnie; wybacz mi!

Nie dosłyszałem już końca; w głowie mi coś zaszumiało, zaciężyło, jak gdyby drzewo olbrzymie, pod którem staliśmy, przygniotło mnie swym ciężarem, w piersi tchu mi zabrakło, czułem tylko, że coś gwałtownie kołacze się w mych piersiach; było to zapewne serce, bólem wzburzone. Stanęły mi przed oczy wszystkie me dawne z nią rozmowy, cały jej charakter, lubiący bolesne czasem żarty, i powiedziałem sobie, przerażony: »Tak, ona żartowała«. Nogi się zachwiały podemną, usiadłem na ławce, stojącej koło mnie, i zwróciłem z boleścią załzawione na nią oczy.

— Władku mój! — zawołała, opierając swą rękę o me ramię — Jam twoja! Czyż ty mogłeś wierzyć, żebym ja miała udawać przed tobą? Ja cię kocham, kocham... przebacz memu

złemu charakterowi, ale nie wiedziałam, że ty ten żart mój, żart taki widoczny, przyjmiesz za prawdę. Czyż gniewasz się, mój najdroższy?

— Nie, nie, o mój aniele! Tylko tak mi się serce ścisnęło, jakeś mówiła; och, jakiż ciężar spadł mi z serca! Okropny to był żart; ale moja wina, że ja uwierzyć mu mogłem — i zapomniawszy o wszystkiem, całowałem jej ręce, upojony radością, szczęśliwy jak człowiek, co się zbudzi po śnie jakimś okropnym.

— Wstań, wstań z ławki; babcia nadejdzie — o, już nadchodzi!

Wstałem i poszliśmy razem, a ona jeszcze przez drogę robiła mi słodkie wyrzuty nad moją łatwowiernością, mówiąc, że to kara za niespokojność, jaką ona doznaje o moją osobę. Cały ten dzień zdawało się, że nieba chce mi przychylić, jakby w nagrodę za żart ów nielitościwy. Umówiliśmy się znów, jak i gdzie się zobaczymy. Już to kobiety więcej mają zmyślności od nas w wynalezieniu sposobów widzenia się bez zwrócenia uwagi: to kiedyśmy spotykali się w kościele, dawała mi książkę swą do nabożeństwa, którą niby zapomniawszy zwrócić, odnosiłem później do domu, to wynajdywała coś ciekawego do pokazania w swym domu i t. p. Nigdy niczem nie była zmieszana, nie straciła w żadnym wypadku pewności siebie, gdy nas za blizko siebie czasem zeszła niespodzianie matka, podczas gdy ja w takich razach odchodziłem od siebie i bez jej przytomności zdradziłbym się ze swojem zmieszaniem.

Korzystaliśmy z każdej sposobności widzenia się, zwłaszcza że już tylko parę tygodni miały bawić w Warszawie; zaraz bowiem po św. Janie, przeniósłszy się tylko na nowe mieszkanie, miała wraz z matką wyjechać na wieś, gdzie do dwóch miesięcy zamierzały pogościć. Postanowiliśmy skorzystać z przeprowadzin i schwycić sposobną chwilkę do miłego sam na sam spotkania. W dzień naznaczony z bijącem sercem pobiegłem na nowe ich mieszkanie; bojąc się jednak wejść, póki jej nie obaczę, czekałem w zagłębieniu okna, ukryty na schodach. Jakiś rzemieślnik, reperujący coś tam w pokojach, otworzył drzwi na oścież: ujrzałem ją, poprawiającą sobie warkocze przed lustrem. Ona zobaczyła mnie takoż odbitego

w zwierciadle i dała znak rączką, że mogę wejść; za chwilę byłem już przy niej.

— Do wieczora nikt tu nie przyjdzie — rzekła, siadając na kozetce i robiąc mi miejsce przy sobie — możemy długo, długo być sami.

Siedząc obok siebie i trzymając się za ręce, utonęliśmy w rozkosznej gawędce i zapomnieli o całym świecie, tak, że aniśmy spostrzegli gospodarza domu, który już od kilku chwil stał przed nami. Ujrzawszy go, odsunęliśmy się nagle od siebie, okrywszy się oboje rumieńcem.

— Państwo się już tu urządzili? — zaczął gospodarz, chcąc przerwać ambarasujące milczenie — A, i pan Władysław pomaga — rzekł, uśmiechając się do mnie (gdyż byliśmy sobie znajomi).

Chciałem coś odpowiedzieć, tłómacząc się zręcznie z mojej tu obecności; lecz tak byłem zmieszany, że ledwie zdołałem wybąkać:

— Ja, widzi Pan... tak... tu zaszedłem... chciałem nająć dla siebie mieszkanie... podobno jest.

— Ależ to mieszkanie przecie już najęte!

Czułem, że wielkie powiedziałem głupstwo i chcąc go naprawić, zawołałem z prędkością:

— Ja wiem, że to najęte; ale Pan może swoje odstąpi?

— A gdzież ja będę mieszkał? — zapytał zdziwiony gospodarz.

Nic mu już na to nie odpowiedziałem, widząc, że coraz bardziej się kompromituję, brnąc w dziwaczne pytania. Szczęściem, że ona, w jednej chwili ochłonąwszy ze zmieszania, wybawiła mnie jakiemś zręcznem kłamstwem z kłopotu. Gdy nas opuścił gospodarz, zaczęła nielitościwie żartować sobie z braku mej przytomności. Nie na tem jednak skończyły się wypadki dnia tego. Bo gdy my, usunąwszy się do dalszych pokoi, szeptali znów miłośnie, i gdy ja nareszcie po drugiem, nieszczęśliwem usiłowaniu schwytania pocałunku, stałem zasmucony, że mi odmawia tej rozkoszy, a ona nareszcie, zlitowawszy się nademną, nachyliła swą główkę, mówiąc:

— Pocałuj mnie, ty mój Władku drogi! — i usta moje spoczęły na jej, ku mnie nachylonej twarzy, pojąc się słodyczą pierwszego pocałunku miłości — od tej już chwili nie były mi

one wzbronione — kiedy upojony szczęściem, mówiłem do niej, jak jest piękną i jak dobrą dla mnie, ona nagle, spojrzawszy na mnie ze znaczeniem, którego pojąć w tej chwili nie mogłem, zawołała głośno:

— Panie Władysławie! Dziękuję za odwiedziny, ale pomocy żadnej przyjąć nie mogę w urządzaniu mieszkania, bo jestem tylko samą — i znowu, mrugając na mnie, dała mi szybko znak ręką, abym się odwrócił.

Odwróciwszy się, ujrzałem w lustrze postać babki, która już wstępowała na próg naszego pokoju. Jeżeli zmieszało mnie zejście nas przez gospodarza, to pokazanie się babki zupełnie mi odebrało przytomność. »Wszystko stracone!« pomyślałem sobie, miłość nasza nie będzie już tajemnicą.

Babka tymczasem wszedłszy, zimny mi oddała ukłon i rzuciwszy gniewne spojrzenie na nas oboje, zapytała wnuczkę, dlaczego przyjmuje gości sama i w nieurządzonem mieszkaniu. Niezmieszana jednak Karolina odparła, iż tylko co wszedłem przed chwilą, myśląc, żeśmy się już urządzili i że nie jestem samą, i że zobaczywszy, że wizyty przyjąć nie mogę, właśnie się z nią żegnałem. Zdołałem na tyle przemódz swe zmieszanie, że udało mi się wyjąkać kilka słów na potwierdzenie jej mowy, poczem na dawane znaki przez Karolcię, abym wyszedł, opuściłem ich pośpiesznie, przepraszając za me nie na czasie odwiedziny.

»Wszystko wydało się już« — pomyślałem — »nie wiem, czy będę mógł tam przychodzić po takiem odkryciu?« myślałem sobie w duszy, rozpaczając nad swą przeklętą nieśmiałością. Smutne moje przeczucia na szczęście nie sprawdziły się, gdyż Karolcia wszystko tak babci pięknie wytłómaczyła, że i cień podejrzenia w jej umyśle nie został. Te przeszkody i niebezpieczeństwa nie przeszkodziły nam nawet widzieć się znów przed jej odjazdem w pustem mieszkaniu, gdzie, niby szukając sukien na drogę, naznaczyła mi schadzkę, schadzkę pełną radosnych wspomnień, która jednak była również przerwana podejrzliwością jej stryja. W chwili bowiem najczulszych pożegnań, zaczął gwałtownie dzwonić do drzwi, gdzieśmy byli zamknięci. Przestraszeni, zerwaliśmy się z siedzenia i ja gubiąc po drodze z przestrachu rękawiczki i czapkę, wybiegłem przez kuchnię, podczas gdy ona drzwi mu od przedpokoju

otwierała. Tą razą jednak nie byłem, o ile mi się zdaje, spostrzeżony.

Nadszedł nareszcie dzień wyjazdu. Nie będę już opisywał chwil pożegnania, zapewnień i przysiąg; ofiarowała mi na pamiątkę pukiel swych włosów i odemnie moich zażądała, które jej wraz z sonetem mych uczuć wręczyłem. Umówiliśmy się, jeżeli będzie można, pisywać do siebie. Postanowiłem dać jej sympatyczny atrament, jakim mogłaby nawet w listach matki do mnie swoje dopiski czynić. Lecz mimo, iż przy pożegnaniu miałem ten atrament w kieszeni, nie śmiałem go jej doręczyć, bojąc się, aby jej nie skompromitować, gdyby to zobaczyli. Przyrzekłem jej również, że za dwa tygodnie, w niedzielę, przyjadę do tej wsi, gdzie ona z matką jeździ na nabożeństwo i że zobaczymy się w kościele. Nieśmiałość moja tak była dziwna z obawy, aby nie spostrzegli naszego stosunku, że wszystkiego prawie się lękałem, zapominając, że kobiety nie bardzo gustują w lękliwych i nieprzedsiębiorczych sercach.

Trudno mi było oswoić się z myślą, iż jej tak długo nie będę mógł widzieć. Z niecierpliwością też oczekiwałem terminu, w którym miałem się widzieć z nią w kościele wedle przyrzeczenia. W wilię dnia naznaczonego, t. j., w sobotę, wymyśliwszy sobie jakiś niby organizacyjny interes, wyjechałem z Warszawy do Pułtuska ekstrapocztą, skąd już tylko nie więcej mili nazajutrz miałem przebyć do wioski X, gdzie się znajdował parafialny kościółek. Nazajutrz raniutko, nie mogąc dostać ekstrapoczty, gdyż tam pocztowego traktu nie było, nająłem żydowską furmankę i w godzinę znalazłem się w upragnionem miejscu. Błąkałem się dość długo po wsi, czekając rozpoczęcia nabożeństwa. Nareszcie usłyszałem dzwony, wzywające wiernych do modlitwy; pośpieszyłem wraz z innymi, choć niestety, nie religijne prowadziły mnie tam myśli. Stanąwszy koło filaru, abym mógł się ukryć w razie potrzeby, rzuciłem badające spojrzenie na blizko ołtarza stojące ławki i z radością spostrzegłem w jednej z nich siedzącą Karolcię z matką i babką. Tak długo trzymałem wzrok mój, wpojony w jej postać, aż zmusiłem ją do obejrzenia się: lekki rumieniec szczęścia i słodki uśmiech dał mi poznać, że zostałem dostrzeżony. Tak jednak często zaczęła się ku mnie obracać, że aż zwróciło to uwagę matki, która również swą głowę od

książki odwróciła; co widząc, rzuciłem się w bok za filar i nie byłem przez nią dostrzeżony. Nabożeństwo miało się już ku końcowi; czułem zbliżającą się chwilę, której tak pragnąłem, dla której tyle mil przyjechałem, marząc o słodkiej nagrodzie mojej słowności, chwili przemówienia do niej, przedstawienia mego znajdywania się tu pod jakimkolwiek pozorem matce, która naturalnie, przez samą grzeczność, zaprosiłaby mnie do siebie. Wszystko to było bardzo właściwe i naturalne, ale nie z moją nieśmiałością można to było uczynić. Lękałem się skompromitować Karolinę moim przyjazdem. Myślałem sobie, że taki mój postępek narazi ją na wyrzuty matki, że zanadto jawnie dam poznać moje uczucia i t. p.; a przytem jeszcze wstydziłem się mego nie eleganckiego ekwipażu. Gdyby mi byli dali ekstrapocztę, no, to jeszczeby uszło; ale w jakimś żydowskim wasągu — niepodobna. Zaczęto tymczasem wychodzić z kościoła. Karolcia spojrzała się na mnie i zdawało mi się, że kiwnęła rączką, aby się do nich przybliżyć; ale ja cofnąłem się bardziej jeszcze za filar, aby jej matka i babka nie mogły mnie spostrzedz. Gdy znikli za drzwiami kościelnemi, zacząłem wyrzucać sobie moją dziwną nieśmiałość i zbyteczne skrupuły, zacząłem przedstawiać sobie wszystko w innem świetle, czego wynikiem było, iż trzeba pójść i przywitać się z niemi. Wybiegłem przeto szybko z kościoła, lękając się, czy ich jeszcze będę mógł zastać przed wyjazdem. Zaledwie przestąpiłem progi świątyni, ujrzałem moje panie, klęczące przed statuą Matki Boskiej, stojącą na cmentarzu; Karolcia oglądała się nieznacznie, szukając zapewne, gdzie ja się podziałem. Ujrzawszy ich, odwaga znów mnie opuściła i cofnąłem się do kościoła. Gdy drugi raz wyszedłem, już siadały do powozu. Pobiegłem z całych sił ku nim, ale już tylko ukłonem mogłem powitać siedzącą na przodzie Karolcię, smutnie na mnie spoglądającą, jakby wyrzucając moje niewytłómaczone dla niej postępowanie. Ile tylko jest przekleństw w polskim języku, tyle wyrzuciłem na siebie i mój nieszczęśliwy charakter. Czyż to wszyscy zakochani są takimi niezdarami przy swych ulubionych?

Namyślałem się, jakby to powetować i zobaczyć ją przed wyjazdem. Dopytawszy się, ile wiorst odległą jest wioska, w której ona przebywała, pojechałem do najbliższej, bo tylko coś pół wiorsty odległej od ich dworu karczemki, przy jakimś

młynie zbudowanej, spodziewając się, że los nastręczy mi sposobność zobaczenia jej choć przez chwilkę. Posiliwszy się skromnym obiadkiem, wyszedłem do poblizkiego lasku, skąd już dokładnie dwór, w którym przemieszkiwała moja ulubiona, mogłem widzieć. Przez parę godzin, z różnych stron zachodząc, przypatrywałem się oknom i balkonowi dość pięknego wiejskiego mieszkania, ale nigdzie jej nie mogłem ujrzeć. Znudzony nareszcie oczekiwaniem, postanowiłem pójść do wsi samej i dostawszy się do ogrodu, który z jednej strony otaczał ich mieszkanie, tam czekać przyjaznej pory. Zaledwie jednak wstąpiłem w ulicę, złożoną z chat włościańskich, przekradając się, jak mogłem, najciszej, aby nie być przez kogo z dworskich spostrzeżonym, gdy zgraja psów opadała mnie ze wszystkich stron, szczekając i wyjąc w przeraźliwy sposób. Zacząłem jak najśpieszniej cofać się do lasku, odprowadzany wciąż zajadłem szczekaniem przeklętych kundysów. Do ciemnej nocy przepędziłem pod drzewami, czekając, lecz nie doczekawszy się nikogo. Jak później dowiedziałem się od Karolci, jej służąca, usłyszawszy szczekanie psów, wybiegła z domu, a ujrzawszy mnie, zwierzyła jej pod sekretem, że jakiś panicz jest we wsi; złapawszy przeto dogodną porę, wyszła Karolcia na wieś do ogrodu i dalej w pola, lecz na nieszczęście w inną widać stronę los pokierował jej kroki i ja musiałem późną już nocą odjechać z niczem z tej romantycznej wyprawy, narzekając tylko na siebie i swą dziecinną nieśmiałość.

XV.

Komitet Centralny i jego stosunki z Mierosławskim. — Powstanie Komitetu Rewolucyjnego i stosunek do niego autora. — Wyjazd i podróż do Paryża przez Wrocław, Drezno, Moguncyę. Wycieczka do Wiesbaden. — Kolonia. Wiadomość o aresztowaniach na ulicy Chmielnej.

Powróciwszy do Warszawy i uspokoiwszy się po nieudanem przedsięwzięciu, oddałem się cały zajęciom konspiracyjnym, które wówczas coraz to mocniej i coraz to potężniej się rozwijały. Komitet Centralny zyskiwał z dniem każdym na powadze i zaufaniu narodu; organizacya Biała widocznie zaczęła chylić się do upadku, opuszczana przez gorętszych swych członków. Posiedzenia Komitetu codzień się odbywały, zwłaszcza, że rozszerzające się stosunki poza granicami kraju częstej wymagały dyskusyi nad urządzeniem młodzieży polskiej, za obrębem kraju bawiącej, po rozwiązaniu szkoły wojskowej genueńskiej. W tymże czasie ciężką poniósł stratę Komitet przez aresztowanie J. Dąbrowskiego, na którego policya już od dawna zwrócone miała oko. Po jego aresztowaniu zostało więc tylko nas czterech w Komitecie, t. j.: M[arczewski], G[iller], S[zwarce] i ja[1], na miejsce zaś Jarosława Dąbrowskiego wezwany był z Paryża Padlewski Zygmunt, oficer jeneralnego sztabu z akademii wojennej. Aby czynności Komitetu nie ustawały w razie choroby, wyjazdu lub aresztowania którego z członków, wyznaczono zastępców stałych dla każdego z członków Komitetu. Co się tyczy pogłosek o mojem aresztowaniu, to okazało się, iż te były płonne, gdyż ustanowiony był tylko tajemny nademną dozór policyi.

Jedną z ważniejszych czynności Komitetu, a przynajmniej najwięcej zajmującą organizacyę było traktowanie z jen. Mierosławskim, jako przedstawicielem rewolucyjnego żywiołu

[1] Przyborowski (Hist. 2 lat, V, 229) podaje za Gillerem (Hist. powst. I, 68) obok wymienionych tu członków jeszcze Władysława Koskowskiego. (*P. w.*).

na emigracyi. Mierosławski Ludwik, znany i głośny od dawna patryota, były naczelny wódz powstań w Poznańskiem, Badeńskiem i Sycylii, wielkie z początku miał uznanie u młodzieży i rzemieślników warszawskich. Wspomniałem już dawniej, opisując pierwsze manifestacye, jak imię jego było hasłem i sztandarem pierwszych poruszeń kraju. Wzmiankowałem również, jak za pomocą Kurzyny utrzymywał stosunki z krajem, naznaczywszy K. Maj[ewskiego] swym głównym pełnomocnikiem, i jak ten pełnomocnik, zmieniwszy się w swych przekonaniach, opuścił go, poszedłszy inną, zupełnie przeciwną zamiarom Mierosławskiego drogą. Odcięty tak nagle od stosunków krajowych, pozostał jednak zawsze Mierosławski przez czas jakiś bożyszczem młodzieży, a postrachem szlachty i partyi Białej. Zostawszy naczelnikiem szkoły wojskowej, założonej w Genui, i połączywszy się z jen. Wysockim, wpływ jego jeszcze bardziej się rozszerzył. Nie był on jednak długotrwały, bo charakter Mierosławskiego nie znosił żadnej opozycyi jego woli; wszędzie chciał być tylko sam głównym władcą, wymagając od wszystkich ślepego posłuszeństwa, jako powinnej daniny jego wysokim wojskowym zdolnościom. Był przekonany, iż kraj cały powinien oddać się pod jego kierownictwo, jeżeli chce być oswobodzonym z niewoli, i że tylko on jeden, a nikt inny z obecnych działaczy uskutecznić tego nie jest w stanie. Taka niesłychana zarozumiałość przy nietaktownem jeszcze postępowaniu w stosunkach z ludźmi musiała narobić mu masę nieprzyjaciół, i miał też ich więcej, niż nawet przewidzieć było można. Poróżnił się najpierw z Wysockim, później z młodzieżą szkoły swej wojennej tak, że mimo licznych zabiegów ze strony jego zwolenników zmuszony był ustąpić z naczelnictwa szkoły. Powróciwszy do Paryża, opisał zaraz intrygi nieprzyjaciół kraju, którzy wytrąciwszy podstępem zarząd szkoły z rąk jego, oddali ją zdrajcom, szpiegom i t. p., gdyż w nienawiści swej tak był namiętny i niepohamowany, że każdego, który jego planów nie podzielał i czołem nie bił przed jego zdolnościami, nie uważał za dobrego patryotę i z łatwością wielką czynił takich nieprzyjaciółmi ojczyzny.

Mimo tych wszystkich ujemnych stron tego niezmiennego rewolucyonisty, mimo tych wad, które zresztą nie były wówczas nam młodym znane, był on zawsze najgłośniejszym, naj-

bardziej popularnym wodzem w oczach młodzieży. Mowy jego rozpłomieniały umysły, dzieła wojenne z dawniejszej przeszłości, jak Badeńskiego, Poznańskiego i Sycylii, oraz pisma strategiczne prawie całą opinię partyi ruchu skłaniały ku niemu. Gdyby był umiał skorzystać z tej swojej pozycyi, stanąłby jako jedyny naczelnik całego krajowego ruchu. Na to jednak trzeba było człowieka, któryby przy takich zdolnościach, jak Mierosławski, miał tyle zaparcia się swej ambicyi, swej zarozumiałości i tyle miłości czystej bez egoizmu, jak n. p. Kościuszko lub Garibaldi. Przy tych wszystkich niedostatkach brak mu jeszcze było taktu politycznego w postępowaniu z ludźmi w utrzymywaniu politycznych stosunków. Poróżniwszy się, jak już wspomniałem, z Wysockim, najzgodniejszym bez kwestyi człowiekiem na emigracyi, i z swymi uczniami szkoły genueńskiej, poróżnił się również i z Towarzystwem młodzieży polskiej w Paryżu, którzy z jego stronników stali się najzażartszymi przeciwnikami. Naczelnikami tego stowarzyszenia byli między innymi: Padlewski Zygmunt, wezwany, jak wspomniałem, do Komitetu na miejsce Dąbrowskiego, i Bobrowski Stefan, przyszły naczelnik miasta Warszawy, oba przeciwnicy Mierosławskiego. Utraciwszy takim sposobem i stosunki z partyą ruchu przez odstąpienie K. M[ajewskiego] i wpływ na emigracyę, zapragnął na przedstawienie Kurzyny porozumieć się z Komitetem Centralnym. Dawniej już robione były kroki ze strony Komitetu przez swych pełnomocników J[ózefa] N[arzymskiego] a później Ćwierciakiewicza o zbliżenie z Mierosławskim, ale wygórowane wymagania jego nigdy ich do skutku nie mogły doprowadzić. Sądząc, że łatwiej będzie z samym Komitetem dojść do ładu, wysłał jednego z swych ajentów do traktowania z nami. Ajent ten jednak, sam jakoś niedokładnie wiedząc, po co przyjechał, a raczej sądząc, że jednem nazwiskiem Mierosławskiego olśnieni członkowie Komitetu, z radością poproszą go na swego naczelnika, odjechał z niczem. Ponieważ jednak jeszcze po owych zamachach na Komitet zostało się kilku malkontentów, że ich do Komitetu nie włączono, a mianowicie Władysław Koskowski, wziął przeto od niego ów ajent list do J. Kurzyny z zawezwaniem, aby sam przyjechał do Warszawy, a wtedy wszystko, co zechce, w imieniu Mierosławskiego przeprowadzi. Wielu z organizacyi, a między nimi i ja, bardzo byliśmy przy-

chylni porozumieniu się z Mierosławskim, przypuszczając, że porozumienie się z Mierosławskim doda nowej siły Komitetowi Centralnemu przez urok, jaki jeszcze, choć już olbrzymio upadły, wywierało na młodzież i partyę rewolucyjną jego imię. Starałem się przeto w Komitecie przeprowadzić myśl połączenia prac naszych z Mierosławskim. Większość jednak Komitetu była temu nieprzychylną, kładąc za powód jego wielką ambicyę i zarozumiałość, która nie pozwoliłaby mu inszego porozumienia z nami doprowadzić, jak tylko przyjęcie go za swego naczelnika i przyrzeczenie posłuszeństwa jego rozkazom, czego znów Komitet naturalnie że nie mógł przyjąć. Na moje jednak naleganie zgodzono się, w razie nowej z jego strony zaczepki zaproponować mu przyjęcie na siebie organizacyi stosunków zagranicznych i przygotowawczych prac powstańczych poza krajem, jako członka i pełnomocnika Komitetu.

W parę tygodni po wyjeździe pierwszego ajenta Mierosławskiego przybył J. Kurzyna, główny jego pełnomocnik. Porozumiawszy się najpierw ze stronnikami Mierosławskiego w Warszawie, których liczba wzrosła przez przyłączenie się malkontentów z naszej organizacyi, oraz paru prawdziwych zwolenników, liczba ta w rzeczywistości małem była kółeczkiem w porównaniu z organizacyą Komitetu Centralnego, rozciągającą się na kraj cały. Główni działacze tego nic nie znaczącego jeszcze stronnictwa byli W[ładysław] K[oskowski], który usunął się od nas z powodu obrażonej ambicyi, że go na członka Komitetu nie wzięto, i T. B. wraz z J. R., prawdziwi wielbiciele jen. Mierosławskiego[1]. Oni to trzej, przez namowy i przedstawienia, oraz imię Mierosławskiego potrafili kilkudziesięciu, a może i kilkunastu tylko modzieży na swą stronę przeciągnąć i z nich jakiś rodzaj stowarzyszenia uformować. Z organizacyi naszej nikt prawie z początku do nich się nie przyłączył, bo choć wielu pozostało jeszcze mimo upadającej popularności Mierosławskiego jego zwolennikami, lecz byli przekonania, że prędzej czy później porozumienie się Komitetu z Mierosławskim nastąpi. Otóż J. Kurzyna, porozumiawszy się najpierw ze stronnikami Mierosławskiego, którzy naturalnie swoje wpływy i liczbę stronników olbrzymio, na pa-

[1] Por. Przyborowski, Hist. 2 lat. IV, 265. *(P. w)*.

pierze tylko, powiększywszy, w jak najpomyślniejszych kolorach wszystko mu przedstawili, dowodząc, że nawet i w łonie Komitetu Centralnego mają zupełnie sobie oddanych członków, jako to W[itolda] M[arczewskiego] i mnie, a przeto wszelkie wymagania Mierosławskiego może śmiało Komitetowi Centralnemu przedstawić i wszystkie nie będą odrzucone — tak uprzedzony Kurzyna, pomimo, że mu w kilkakrotnem sam na sam widzeniu przedstawiłem, jak kłamliwe są zapewnienia stronników Mierosławskiego i jak silną i nie ulegającą niczyim wpływom jest organizacya Komitetu Centralnego, pomimo zapewnień, że mimo najgorętszych chęci z mej, a może i W[itolda] M[arczewskiego] strony trudno będzie Komitet na zbyt wymagające warunki nakłonić, ażeby zatem nie żądał zbyt wiele, bo się wszystkie te traktacye na niczem skończą, mimo to jednak Kurzyna, nie zupełnie widać mi dowierzając, nie chciał ustąpić z warunków, przez Mierosławskiego wymaganych, a które były następujące: 1. Mierosławski ma być prezydującym Komitetu Centralnego, który przybierze nazwę »Komitet rewolucyjny« (ostatnia ta jednak zmiana nie była koniecznie wymagana); 2. Komitet zmieni skład swych członków i w miejsce nienawistnego Mierosławskiemu Gillera i Szwarcego wejdą dwaj przez niego wybrani kandydaci; 3. Komitet nie ma prawa zmieniać swych członków lub przyjmować nowych bez wiedzy Mierosławskiego, jako prezesa.

Takie mniej więcej warunki były przedstawione przez Kurzynę dwom, wysłanym umyślnie z Komitetu dla porozumienia się i przeprowadzenia zgody. Warunków jego naturalnie przyjąć nie mogli i przedstawili mu tylko ze swej strony, iż Mierosławskiego Komitet uzna jako jedynego swego pełnomocnika poza granicami kraju, powierzając mu przygotowania wojenne, że w kwestyach zarządu organizacyą będzie miał głos swój tak, jak każdy członek Komitetu, lecz żadnego zwierzchnictwa lub prezydentostwa Komitet przyznać mu nie może i nie przyzna. Wszystkie te traktowania i porozumienia się musiały się na niczem skończyć, gdy z jednej strony była niechęć, spowodowana zbytecznemi wymaganiami Mierosławskiego, do czego jeszcze i wiele osobistych powodów się przyłączało, z drugiej zaś pewne lekceważenie Komitetu, opierające się na mniemanem stronnictwie, które przypuszczało, iż w krótkim

czasie wszystkich na swą stronę przeciągnie. Napróżno, jako dawny kolega Kurzyny, starałem się go przekonać, iż takiem postępowaniem i takiemi wymaganiami do reszty zniechęci i tak już niezbyt przychylny Mierosławskiemu Komitet Centralny, a bez jego starania do żadnego porozumienia z partyą ruchu nie przyjdzie. Przekonać go jednak nie mogłem, gdyż sądził, że pomimo naszej organizacyi zdoła utworzyć silne stronnictwo dla Mierosławskiego, do którego i my, wolą czy niewolą, przystąpić będziemy musieli.

Po zerwaniu przeto układów z Komitetem utworzył Kurzyna ze stronników Mierosławskiego Komitet Rewolucyjny pod prezydencyą honorową Mierosławskiego i naturalnie zupełnie od niego zależny. Przysłał temu Komitetowi blankiety, pieczęcie, kwity pożyczkowe i t. p., odbite w Belgii wraz z instrukcyą, jak mają dalej organizacyę nową rozprowadzać. Ze swej znów strony Mierosławski ogłosił w gazetach zagranicznych, iż mimo licznych pogłosek żadnych stosunków z Komitetem Centralnym Narodowym nie ma i do działań jego zupełnie nie należy, myśląc, że tem ogłoszeniem zachwieje kredyt Komitetu. Omylił się jednak głęboko, gdyż imię jego wówczas mało już przyciągało adherentów. Tak więc pod bokiem naszej organizacyi utworzyła się, a raczej zaczęła się tworzyć druga, choć z tymi samymi celami i w tymże duchu prowadzona, lecz nienawistna jedna drugiej przez osobistą ambicyę jednego człowieka. Rozpoczęła się walka spokojna ze strony Komitetu Centralnego, który widząc swą siłę, niczego się nie lękał, a podstępna i gwałtowna z przeciwnej strony, podburzanej namiętnościami stronniczemi. W walce tej Mierosławski do reszty tracił swą popularność, zyskując za to kilkudziesięciu rozpierzchłych po kraju stronników. W każdym jednak razie wystąpienie to jawne nowego Komitetu (aczkolwiek mało znaczącego dla ludzi bliżej obeznanych z dziejami ówczesnych stowarzyszeń) mogło przyczynić niejaką moralną stratę organizacyi centralnej przez rozdwojenie, jakie się niby do partyi ruchu wkradać zaczynało; tak przynajmniej mogli myśleć nie znający dokładnie całej tej sprawy ludzie, a widzący tylko jawnie, iż nowy jakiś Komitet rewolucyjny obok Centralnego rozpoczął działania. I w rzeczywistości pogłoski

takowe zaczynały już kursować między niektóremi kółkami warszawskiemi.

Obawiając się zamieszania, jakie w dalszym ciągu, zwłaszcza przy chwytaniu się różnych środków dla rozszerzenia działania nowego komitetu mogło nastąpić, starałem się wszelkiemi siłami zgodę między stronnikami Mierosławskiego a naszym Komitetem zaprowadzić. Zdołałem po wielu przedstawieniach czynionych członkom tego rewolucyjnego Komitetu (gdyż jako przychylny osobiście Mierosławskiemu, chętnie byłem słuchany, w nadziei, że sam kiedyś do ich grona przystąpię), aby jawne rozdawanie nominacyi, aby wprowadzenie w czyn głośności ich ukonstytuowania było jeszcze wstrzymane do czasu, mając nadzieję, że porozumienie się Mierosławskim nie jest jeszcze sprawą ostatecznie odrzuconą. Wszelkie propozycye i namowy stronników Mierosławskiego, abym do ich Komitetu wstąpił, stanowczo odrzuciłem; mimo tego jednak moje ciągłe z nimi stosunki i jawne z ich strony upewnianie, jakobym ja już na ich stronę przeszedł, wielce niepokoiły Komitet Centralny tak, że aż publicznie na jednem z posiedzeń musiałem zapewnić mych współkolegów w Komitecie Centralnym, iż zawsze jestem wiernym i niezmiennym członkiem naszego stowarzyszenia, mimo przychylności ku Mierosławskiemu [1].

W tymże czasie członkowie Komitetu Rewolucyjnego zaproponowali mi, abym sam osobiście zechciał widzieć się z Mierosławskim i zgodę jego z Komitetem przeprowadził, a wtedy oni żadnych już przeszkód ze swej strony czynić nie będą. Uczynili mi tę propozycyę tak dla przekonania mnie, iż żądania ich są tylko żądaniami Mierosławskiego (w co ja niezupełnie wierzyłem, otwarcie im mówiąc, iż stronnie tylko przedstawiają mu tutejsze stosunki, mając w tem w części i swej ambicyi osobistej cele), jak i drugi, tajemny, a najważniejszy może powód, [iż] sądzili, że Mierosławski urokiem swego imienia i niezrównaną wymową przyciągnie mnie ku sobie, skłoni do zasiadania w swym rewolucyjnym Komitecie, wiedząc, że za mną przejdzie do niego znaczna część Organizacyi Centralnej, oraz młodzieży akademickiej, co naturalnie, podnosząc w siłę

[1] Inaczej przedstawia tę rzecz, opierając się na podaniach Szwarcego i Gillera, Przyborowski, Historya 2 lat. IV, 302. (*P. w.*).

jego stronnictwo, osłabiłoby znacznie nasze. O tym ostatnim celu mnie nie mówiono, lecz łatwo mi się było domyśleć, iż tkwił on w tej propozycyi. Bo dziwnem zaprawdę było, że Komitet Rewolucyjny dawał mnie kompletne upoważnienie, bez żadnych ograniczeń do traktowania ze swym naczelnikiem, mnie, który byłem w przeciwnym obozie. Przyjąłem jednak z chęcią te propozycye, tusząc sobie, że przy osobistem widzeniu się z Mierosławskim, przedstawiwszy mu jasno cały stan kraju, a głównie partyi ruchu, sprowadzę go do przyjęcia warunków, jakie mu Komitet Centralny Narodowy podawał przez Kurzynę.

Oświadczywszy na posiedzeniu Centralnego Narodowego Komitetu o przyszłym wyjeździe do Paryża w celu doprowadzenia do końca układów z Mierosławskim i poprosiwszy ich na to zgody, oraz ostatecznych warunków, na jakichbym mógł jako pełnomocny członek Centralnego Komitetu układ ten do skutku doprowadzić, aby rozpoczynające się, aczkolwiek małe jeszcze rozdwojenie w samym zarodzie stłumić, Komitet, choć niezbyt ochotnie i po wielu debatach, zgodził się nareszcie, abym też same mniej więcej warunki, o jakich z J. Kurzyną mówiono, Mierosławskiemu przedstawił i zgodę z nim, jako upełnomocniony od Komitetu do końca nareszcie doprowadził.

Wziąwszy przeto wierzytelne pisma do Mierosławskiego, do naszego ajenta Ćwierciakiewicza, oraz upoważnienie od Komitetu, jako umocowanego nadzwyczajnego pełnomocnika do traktowania w jego imieniu z Mierosławskim, wyjechałem do Paryża. W tymże czasie wyjechał i drugi członek Komitetu, Giller, do Anglii dla rozmówienia się z Hercenem i Bakuninem; miał być później również i w Paryżu tak, że w Komitecie został tylko jeden Schwarce z zastępcami, bo M[arczewski] W[itold] wyjechał na prowincyę, zdaje mi się, na Litwę. Przed wyjazdem urządziłem także zastępstwo za siebie do różnych czynności, jak mają do mnie pisywać za granicę i t. p. W wilię wyjazdu widziałem się jeszcze i z naczelnikami stronnictwa Mierosławskiego i wziąwszy od nich zapewnienie, iż żadnych czynności, jawnie dających znać o swem istnieniu, aż do mego powrotu nie rozpoczną, wyjechałem za granicę.

Każdemu z młodych, pierwszy raz wyjeżdżającemu ze swego kraju, z jakąż gorączkową niecierpliwością bije serce, gdy już nareszcie oczom jego ma się przedstawić ta piękna,

pełna ułud zagranica. Zdawało mi się, że przebywszy słupy graniczne, inną już, odmienną jakąś ziemię zobaczę, że coś tam niezwykłego uderzy moje oczy, moje zmysły. Żadna jednak rzeczywistość nie wyrówna naszym marzeniom, a cóż dopiero posępne i nieestetyczne płaszczyzny śląskie, przez jakie kolej żelazna idzie do Wrocławia! W każdym jednak razie widać tu już pewne ślady niemieckiej kultury. Czuć przemysł, wybijający się na powierzchnię ziemi i dający znać o sobie mnóstwem buchających ogniem i dymem pieców hutniczych i kominów fabrycznych. Co mnie jednak tylko uderzyło, to obfitość srebrnej monety. Zaledwie kilka wiorst odjechałem od naszej granicy, gdzie płacąc za kawę, musiałem za zmianę papierowego rubla na srebro dość znaczny stosunkowo procent zapłacić, na pruskiej zaś już stronie wszystkie papierki natychmiast mi na srebrne talary bez trudności zmieniono. Do Wrocławia przyjechałem nad ranem i jako tako zdołałem porozumieć się z dorożkarzem, aby mnie do hotelu zawiózł. W hotelu nowość znów mnie spotkała, bo mimo 26-ciostopniowego ciepła, gdyż to był lipiec, musiałem pod pierzyną nocować, gdyż kołder, wyjąwszy w najpierwszych hotelach, nie używają. Naturalnie, że nie mogłem wyleżeć pod tem ich narodowem okryciem i zamieniłem go prześcieradłem. Z Wrocławia pojechałem do Drezna, kupiwszy sobie rozmowy polsko-niemieckie, aby jakkolwiek umieć wyrazić swoje żądania; z trudnością jednak wielką mi to przychodziło. Nadzwyczaj też byłem ucieszony, gdy na granicy Saksonii, w Glewic[1], oczekując na odejście pociągu, spostrzegłem w tylko co przybyłych wagonach saskich siedzącą moją ciotkę. Pobiegłem natychmiast do niej. Ucieszyła się, choć troszkę i przestraszyła moim widokiem, sądząc, że przymuszony jestem uciekać z kraju. Dowiedziałem się od niej, że syn jej, Józef, jest w Dreźnie i że dziś wieczorem wyjeżdża do Paryża, a zatem mogę jeszcze zastać go i z nim już dalej do samego Paryża dojechać. Rozradowany temi niespodziewanemi, a tak pomyślnemi dla mnie wiadomościami, pojechałem już weselej do Drezna, pożegnawszy się serdecznie z ciotką.

Przybywszy do Drezna coś o 4-ej popołudniu, wziąłem

[1] Zapewne *Görlitz* (*P. w.*).

doróżkę i kazałem się wieźć mu — ale tu trudność, gdzie się kazać wieźć; zapomniałem bowiem nazwiska banhofu, na którym miałem się spotkać z mym ciotecznym bratem. Poznałem dopiero teraz, jaka to niewygoda, że Niemcy po polsku nie rozumieją, boż trudno nam uczyć się ich nieznośnego języka. Siadłszy w doróżkę, mówię: *Nach Pariser Bahnhof!*

Kiwa ręką, że nie rozumie, szwargocząc wiecznie:

— *Ich verstehe nicht!*

Ja znów:

— *Frankreich Bahnhof!*

Doróżkarz znów nie wie, gdzie chcę, bo takiego banhofu niema. Namęczywszy się tak z kwadrans, aby wytłómaczyć głupiemu Niemcowi, że ma mnie zawieźć na banhof, skąd do Francyi jadą, a który, jak się później pokazało, był naprzeciwko nas, o kilka tylko kroków oddalony, pojechałem do hotelu, przeklinając i nierozgarnięcie Niemców i wieżę Babel, co tak języki pomieszała. Hotel, w którym stanąłem, był jeden z pierwszych, jak wnosić należało z powierzchowności, z czego mocno nie byłem kontent, wiedząc, że za te pyszności kieszeń moja będzie odpowiadać. Przypomniawszy sobie adres drugiej mej ciotki (gdyż co do ciotek, to nieba nie poskąpiły mi ich: na szczęście mam ich kilkanaście), pojechałem do niej w nadziei, że jeszcze brata mego ciotecznego Józefa będę mógł zastać i dalej natychmiast puścić się w drogę. Na szczęście zastałem ją w domu; przywitawszy się więc tylko, zapytałem o Józia B[rudkowskiego] i dowiedziawszy się, że jeszcze można go zastać na dworcu kolei, pojechałem zaraz, przepraszając za pośpiech, z drugim mym ciotecznym bratem, również Józefem, tylko że innego rodzaju, na banhof. Złapałem nareszcie mego Józefa przy kasie kolei, kupującego bilet do Moguncyi. Ułożyliśmy się z nim co do dalszej wspólnej podróży; tylko że on nie chciał już wracać do hotelu, a zatem postanowił w Lipsku na mnie oczekiwać, gdzie ja nazajutrz przybyć postanowiłem.

Zmuszony tak niespodzianie dzień jeden w Dreźnie pozostać, z czego się wcale nie martwiłem, przedsięwziąłem choć pobieżnie zapoznać się z galeryą drezdeńską i z samem miastem. Powierzchowność Drezna bardzo miłe na każdym przyjeżdżającym czyni wrażenie. Te piękne mosty na Elbie, mianowicie most przy tarasie Brülowskim, sam taras z wdzięcznymi

nad wodą pałacykami, plac, na którym wznosi się przepyszny teatr, kościół katolicki, a szczególnie uroczy Zwinger ze swymi nieocenionymi skarbami sztuki, wszystko to przyjemnie zachwyca nasze oczy. W rok później, gdy kilka tygodni byłem przymuszony zabawić w Dreźnie, bliżej dopiero mogłem obznajomić się z wszystkiemi jego pięknościami; teraz zaś tylko pobieżnie go oglądałem. O galeryi obrazów wspominać nawet nie mogę, bo kilka spędzonych w niej godzin i przebieżenie oczami arcydzieł, jak szkieł w panoramie, prawie żadnego jeszcze wyobrażenia o jej wartości dać mi nie mogło; później dopiero, za drugą bytnością szczególniej się z nią zapoznałem. Dziś zaś tylko zatrzymałem się dłużej przy najznakomitszych arcydziełach, jak Rafaela, Coreggia, Holbeina, Tycyana i innych.

Na drugi dzień po mym przyjeździe otrzymałem telegram od mego brata z zawiadomieniem, że oczekuje mnie w Lipsku; pożegnawszy się przeto z Dreznem i krewnymi, wyjechałem do Lipska. Muszę jednak wspomnieć, że opinia moja co do niezdarności i braku pomysłowości w Niemcach znacznie się przemieniła, a przyczyną tego był fakt następujący. Wychodząc wieczorem po mym przyjeździe dla kupienia pocztowych marek do listu, powiedziałem kelnerowi hotelowemu bardzo złamaną niemczyzną, dopełniając ją migami, w czem nie jestem zbyt biegły, aby dali mi świecę na górę i herbatę przygotowali, gdyż zaraz zwracam, bo będę pisał listy. W niespełna pół godziny, wróciwszy do hotelu, pośpieszyłem do swego numeru. Otwarłszy drzwi, zostałem olśniony jarzącem światłem, bijącem z kilkunastu świec małego żyrandola i z dwóch kinkietów; na stole, prócz świeczników, stały przybory do herbaty na kilka osób. Ujrzawszy te przygotowania, cofnąłem się natychmiast, widząc swą omyłkę, a przynajmniej sądząc, że to omyłka. Lecz zawezwany przezemnie kelner upewnił mnie, iż właśnie to jest numer, który zajmuję.

— Więc pocóż to oświecenie — zawołałem ze złością — i te olbrzymie przygotowania do herbaty?

Po wielu objaśnieniach zdołałem zrozumieć, iż to z mego właśnie polecenia uczyniono, sądząc, że będę miał gości na herbacie. Ledwie się mogłem wstrzymać od wybuchu gniewu; kazałem mu natychmiast gasić światła, tłómacząc, że mnie nie zrozumieli, za co mnie najuniżeniej przepraszał, oświadczając

jednak, że świece w rachunku muszą mi być postawione; co usłyszawszy, a nie chcąc darmo im płacić, całą prawie noc nie gasiłem świateł, pisząc listy i złorzecząc oszustom hotelowym. Nazajutrz opuściłem hotel, zostawiając im kilkanaście kawałków świec niedopalonych i uwożąc ze sobą na pamiątkę rachunek.

W Lipsku spotkałem się z mym krewnym, Józefem, i pojechaliśmy już dalej razem. Dziękowałem losom, które mi pozwoliły go spotkać, gdyż jako dobrze znający wszystkie kąty zagraniczne, a mianowicie Paryż, mógł mi, niedoświadczonemu, być pożytecznym przewodnikiem. Przybyliśmy na drugi dzień do Moguncyi, gdzieśmy całą dobę musieli na parostatek oczekiwać. Nie mając żadnego zajęcia, obchodziliśmy do koła całe miasto, szukając znakomitszych wspaniałością gmachów lub dawnych zabytków, godnych widzenia; ale prócz pomnika, Gutenbergowi postawionego, i pięknej katedry mogunckiej niczem nie mogliśmy nudy naszego oczekiwania rozerwać. Zmęczeni spacerem kilkugodzinnym po krętych ulicach miasta, wróciliśmy nareszcie do hotelu, nie wiedząc, co z sobą począć, i czem tyle pozostającego czasu zapełnić.

— Wiesz co — rzekł nagle Józef — mamy jeszcze większe pół dnia do rozporządzenia, nie licząc nocy: zróbmy wycieczkę do Wiesbaden, odległego tylko coś o pół godziny jazdy od Moguncyi; zobaczysz tam to, czegoś jeszcze nie widział: wielki dom gry; możemy nawet spróbować szczęścia, lecz umiarkowanie, odłożywszy sobie po 6 dublonów (podwójnych talarów), co wystarczy na kilka stawek tak w ruletę, jak i w *trente et quarente*, lecz więcej ani grosza, a nawet lepiej zostawimy pieniądze swoje w hotelu, żeby czasem ochota odegrywania się za daleko nas nie posunęła.

Jak zaproponował, tak się i stało. W pół godziny siedzieliśmy już w wagonie, wiozącym nas ku Wiesbadenowi. Gdyśmy przybyli na miejsce, uderzony zostałem niesłychaną czystością ulic i domów tego ślicznego miasteczka. Piękne domy lśniły, odbijając promienie słoneczne od swych oślepiającej białości ścian; każdy prawie dom otoczony zachwycającym ogródkiem; ulica, wysypana drobnym żwirem, wyglądała jak starannie utrzymywana aleja jakiego magnackiego ogrodu. Zjadłszy obiad w table d'hocie, pośpieszyliśmy do Kursaalu, aby ów

sławny dom gry obejrzeć. Po szerokich, wysłanych dywanem schodach weszliśmy, minąwszy przedpokój, do wielkiej, wybitej karmazynowym aksamitem w złote na atłasowych liściach centki sali. Aksamitne firanki u okien, meble mahoniowe najświeższego fasonu, żyrandole i inne ozdoby nadawały tej sali pozór książęcego mieszkania. Za nią druga, trzecia i inne, z takimże przepychem urządzone, przeznaczone to na grę, to na czytelnie, to na koncerta, dopełniały przepychu tego domu, skropionego nieraz krwią nieszczęśliwych samobójców, utraciwszy tu całe swe mienie. W dwóch przyległych sobie salonach otwarte były szranki dla rycerzy kartowych, w każym po dwa wielkie stoły, jeden dla rulety, drugi dla *trente et quarente*, przyzywały ochotników. Przy żadnym ich nie brakło.

Zbliżyłem się do jednego ze stołów, aby przypatrzyć się lepiej manipulacyi kartowej i spróbować swego szczęścia. Długo jednak stałem, zanim odważyłem się wyciągnąć rękę z talarem i postawić go na stole. Wstyd poczciwy wstrzymywał mnie długo; ale widok kup złota, srebra i bankowych papierów, z których często krupier z zimną krwią rozdzielał po garści szczęśliwym graczom, taką wzbudziło chętkę próby swego losu, że ona przemogła i wstyd i nieśmiałość, i wysunąwszy drżącą rękę ze wzruszenia, cały zaczerwieniony, postawiłem podwójnego talara na zielonem suknie, ustawiając go na jakimś zakreślonym kwadracie, którego znaczenia nic nie rozumiałem. Po małej chwili krupier, rozłożywszy dwa szeregi kart, wygłosił *rouge gagne*, *couleur perd* i t. p. i swoją drewnianą pałeczką posunął dublona ku mojej stronie, łącząc z postawionym przezemnie talarem. Pokazało się, że postawiłem na *rouge*. Zostawiwszy i stawkę i wygranę na temże samem miejscu, znów wygrałem, co się jeszcze kilka razy powtórzywszy, uformowało sporą kupkę podwójnych talarów. Nie chcąc dowierzać tak ciągle czerwonemu kolorowi, przesunąłem talary na drugie miejsce i znów parę razy wygrałem. Zebrało się już kilkadziesiąt podwójnych talarów; zacząłem się namyślać, czy nie lepiej grę już zakończyć, zwłaszcza, że nie znając zasady gry w *rouge* i *noire*, wytłómaczyłem sobie, nie wiem dla czego, że w razie przegranej, oprócz pieniędzy leżących na stole, muszę jeszcze takąż sumę ze swej kieszeni dołożyć; czemprędzej przeto cofnąłem wygranę, zostawiając tylko jednego talara na stawkę,

ciesząc się, że los mi dopisał tak szczęśliwie. Tak wielkie miałem szczęście, że coś 18 razy z rzędu wygrałem, co po obrachowaniu przez znawców gry, gdybym był stawki nie zmniejszał, rozbiłbym bank cały, zagarnąwszy z parę kroć sto tysięcy franków. Przy mojej zaś niewiadomości i nieryzykowności wygrałem coś około 100 talarów, ale i z tego niewymownie byłem zadowolony. Opuściwszy *rouge et noire*, zacząłem próbować ruletki; ale tu nie byłem już tak szczęśliwy i przegrawszy z owej wygranej sumy z połowę, zabastowałem, unosząc z sobą pół setki talarów, jak z nieba spadłych.

Po kilkugodzinnym pobycie w Wiesbadenie, dziękując oba przychylnym losom fortuny, gdyż i Józio kilkanaście talarów był wygrany, ruszyliśmy z powrotem do Moguncyi, a nazajutrz wsiedliśmy na parostatek, dążąc do Kolonii. Dzień był prześliczny, mogłem więc dowoli podziwiać tyle razy już opisywane brzegi Renu z jego willami, winnicami i starożytnymi zamkami, piętrzącymi się swojemi zębatemi wieżycami ku niebu. Cały czas od 10 rano do wieczora nie schodziliśmy z pokładu, coraz to nowymi zatrzymywani widokami. Ciemno już było, gdyśmy przybyli do Kolonii. Tysiące świateł odbijało się w wodzie od nadbrzeżnych budowli. Zajęliśmy numer w poblizkim od banhofu hotelu, gdyż kolej na drugi dopiero dzień w południe odchodziła. Nie rozpakowując nawet swych rzeczy, wyszliśmy na miasto, szukając jakiej kawiarni, gdzieby można posilić się i przejrzeć gazety. Poszukiwania nasze nie były długotrwałe; kilkaset zaledwie przeszedłszy kroków, znaleźliśmy się w obszernej i z przepychem urządzonej Café. Zobaczywszy leżącą francuską gazetę »Opinion Nationale«, wziąłem ją do ręki i pierwszą wiadomością, na jaką padło me spojrzenie, była depesza z Warszawy o aresztowaniu kilku młodzieży ze Szkoły sztuk pięknych na Chmielnej ulicy, którzy broniąc swej wolności, ranili kilku policyantów wystrzałami z rewolwerów. Przeczytawszy tę depeszę, zaraz mi przyszło na myśl, czy też cała ta katastrofa, jak i aresztowanie nie miała czasem miejsca u So[chaczewskiego], ucznia Szkoły sztuk pięknych, który mieszkał na Chmielnej ulicy, z którym ja w blizkich dość zostawałem stosunkach. Zaniepokoiła mnie troszkę ta depesza, bojąc się, czy czasem między jego papierami nie znajdzie gdzie policya mego nazwiska, coby może zmusiło mnie do dłuższego,

niż zamierzałem, przebywania za granicą. W parę jednak dni po tem otrzymałem list z Warszawy, opisujący mi detalicznie cały ten wypadek; oto, co mi pisano: Na drugi dzień po mym wyjeździe, policya, mając widać denuncyacyę na Soch[aczewskiego], u którego dość wielu młodzieży bywało, otoczyła nocą jego mieszkanie na Chmielnej ulicy i zaczęła stukać do drzwi jego pokoju, które naturalnie były na klucz zamknięte. Muszę jeszcze nadmienić, że w sam dzień mego wyjazdu Sochaczewski, któremu na parę dni dano do przechowania różne zabronione druki, na tajemnych drukarniach odbijane, jako to: »Ruch«, »Strażnicę« i t. p. i to w znacznej bardzo ilości, gdyż przeznaczone one były do wysłania na prowincyę, prosił mnie, abym mu kazał wydać rewolwer do obrony w razie, gdyby policya przyszła go aresztować. Chociaż nie przypuszczałem tyle odwagi w tym 16-letnim zaledwie chłopaczku, jednakże dla zadośćuczynienia jego natarczywym żądaniom, kazałem dać mu rewolwer na czas znajdywania się u niego zabronionych papierów. Kiedy więc Sochaczewskiego obudziło kołatanie do drzwi i po szczęku pałaszy poznawszy, jacy to goście czekają na niego, ubrał się pośpiesznie i schwyciwszy rewolwer, który ukrył w kieszeni, otworzył drzwi swego mieszkania. Policya z komisarzem na czele rozpoczęła szczegółową rewizyę mieszkania, przetrząsając wszystkie znajdujące się tam rzeczy, na co obojętnie spoglądał Sochaczewski, mając nadzieję, że tajemnych druków, gdzieś tam koło pieca schowanych, nie dojrzą. Gdy jednak argusowe oczy komisarza zaczęły i do tajemnych papierów się dobierać, wówczas Sochaczewski widząc, że wszelka nadzieja ocalenia znikła, wyjął z kieszeni rewolwer i uderzywszy nim silnie w głowę stojącego policyanta, odepchnął go gwałtownie ode drzwi i nim konstablerowie przyszli do siebie z osłupienia tą nagłą katastrofą, już Sochaczewski, zbiegł na podwórze, oczyściwszy sobie drogę drugiem uderzeniem lufą rewolwerową (gdyż był to starej konstrukcyi sześciolufowy rewolwer), stojącego przy schodach policyanta. Wybiegłszy na podwórze, widząc, że brama domu jest ściśle przez milicyantów strzeżoną, wdrapał się na żelazne sztachety ogrodowe i skoczył do ogródka, a stamtąd przez dość wysoki parkan dobrał się do drugiego ogrodu i ukrył za krzakami. Milicyanci, ocuceni z pierwszego wrażenia, rzucili się do ogrodu, lecz po

długich poszukiwaniach, nie znalazłszy zbiega, wrócili do komisarza; jeden tylko z nich, przelazłszy parkan, wszedł do drugiego ogródka, gdzie właśnie znajdował się Sochaczewski. Na nieszczęście dla Sochaczewskiego księżyc, wyszedłszy z za chmur, oświecił jego kryjówkę za krzakami, rzucając długi cień od jego zgiętej postaci. Policyant ujrzawszy cień ukrytego poza krzakami zbiega, posunął się ku niemu. Sochaczewski, widząc się odkrytym, powstał zza krzaków i zmierzywszy się, wystrzelił w policyanta z rewolweru. Kula świsnęła nad uchem policyanta, który widząc, że zdobycz nie łatwa, zawrócił się i dał drapaka do swoich. Sochaczewski jednak zamiast korzystania z tej ucieczki swego prześladowcy, zapalony jakimś gniewem szalonym, czy też nie wiedząc może i co czyni z gwałtownego wzruszenia, puścił się w pogoń za policyantem, wystrzeliwszy jeszcze raz ku niemu. Role się przemieniły: goniący strażnik stał się uciekającym, a uciekający konspirator gonił teraz policyanta. Dobiegłszy do pierwszego parkanu, przelękniony policyant zaczął się drapać na niego, Sochaczewski tymczasem przybiegłszy o kilka kroków od parkanu, zmierzył znów do policyanta, lecz w tejże chwili, zawadziwszy się o jakiś korzeń drzewa, padł na ziemię, wystrzeliwszy w powietrze. Policyant, który przy wystrzale nowym spadł z parkanu, znalazł się nagle przy podnoszącym się z ziemi Sochaczewskim i czując, iż drapać się teraz na parkan byłoby to czysto wystawiać się na cel rewolwerowy, rzucił się na Sochaczewskiego, krzycząc o pomoc; zaczęła się walka rozpaczliwa, obaj bronili swego życia. Sochaczewski, nie mogąc już odwieść kurka od rewolweru gdyż jedną rękę trzymaną miał w uwięzi przez policyanta, uderzał go swym sześciolufowym rewolwerem po głowie i twarzy. Niewiadomo, jakby się ta walka skończyła, gdyby jej przybiegli na strzały i krzyki policyanta towarzysze jego nie położyli końca, wiążąc Sochaczewskiego, którego odwieźli natychmiast do Cytadeli.

Opisujący mi w liście ten wypadek dodawał w końcu, iż nic mnie osobiście kompromitującego nie znaleziono u Sochaczewskiego i że Sochaczewski zeznaniem swojem nikomu nie zaszkodzi.

Wracając do podróży naszej, nadmienię tylko, że naza-

jutrz w Kolonii, obejrzawszy ów sławny, aczkolwiek nie dokończony jeszcze Dom Boży w czysto gotyckim stylu i kupiwszy po butelce prawdziwej wody kolońskiej od prawdziwego Johann Maria Farina, których jest tu prawdziwych i jedynych coś ze 6-iu conajmniej, ruszyliśmy, już nie zatrzymując się, do Paryża, gdzieśmy i nazajutrz o 10-ej rano przybyli.

XVI.

Paryż. — Bezskuteczne rokowania z Mierosławskim. — Nieporozumienie z Gillerem. — Powrót do Warszawy.

Paryż nie uczynił na mnie takiego wrażenia, jakiego oczekiwałem. Domy 5-cio i 6-cio piętrowe, stojące rzędem po jednej i drugiej stronie ulic, sklepy wystawne i tłum przechodzących dawały poznać, że się znajduję w wielkiem mieście, różniącem się od Warszawy tylko ilością ulic i wysokością kamienic. Kiedym jednak bliżej zapoznał się z Paryżem, z jego bulwarami przy wieczornem oświeceniu, z mnóstwem pasażów o szklannych dachach, błyszczących nocą jak salony od rzęsistego światła, z jego pałacami, jak Louvre z Tuileryami z palais Royal i z placem Karuzeli i placem de la Concorde, rozpoczynającym Elizejskie pola, etc., etc., wtedy dopiero oddałem słuszność sławie, jaką posiada między stolicami Europy.

Zajechaliśmy na dawne mieszkanie Józia rue du Bac. Nazajutrz poszedłem do Ćw[ierciakiewicza] i Narz[ymskiego], dawnego i nowego ajenta Komitetu, dla powzięcia od nich wiadomości o stosunkach emigracyjnych i dla zażądania od nich pomocy w mych planach, tyczących się pogodzenia Mierosławskiego z Komitetem. Narz[ymski] był, jak natychmiast sam oświadczył, zwolennikiem Mierosławskiego; gotów był przeto na wszelkie usługi, z góry jednak mi oświadczył, iż jako zdeklarowany partyzant Mierosławskiego żadnego, a przynajmniej bardzo już mały ma wpływ na młodą emigracyę. Ćwierciakiewicz zaś, będący rzeczywistym ajentem Komitetu, dość dobrze był widziany od Towarzystwa młodzieży polskiej, jednak wątpił, czy moje starania, poparte całą jego usilnością, odniosą pożądany skutek, gdyż Mierosławski żadnego związku, w którymby on nie był samowładnym naczelnikiem, nie przyjmie.

Co zaś do zjednoczenia się emigracyi starej w jedną jakąś całość, to wedle słów jego marzyć nawet nie było można, gdyż Mierosławski i wogóle partya demokratyczna tak jest zapamiętale rozdrażniona przeciwko ks. Czartoryskiemu i jego stronnictwu, że prędzej może z rządem rosyjskim przyjęłaby jakieś układy, niż z naczelnikiem reakcyi, jak Czartoryskiego pospolicie nazywają. Nie zraziwszy się jednak tym nieprzychylnym opisem stanu emigracyi naszej, zażądałem od Ćwierciakiewicza, aby poszedł ze mną do Mierosławskiego i przedstawił mnie jako umocowanego pełnomocnika Komitetu Centralnego do zawiązania i doprowadzenia do końca z nim układów, tyczących się ostatecznego porozumienia i połączenia prac jego z Komitetem Centralnym.

Nazajutrz zeszedłszy się z Ćwierciakiewiczem w naznaczonem miejscu, udaliśmy się do Mierosławskiego. Nadmienić muszę, iż w przeddzień tej wizyty byłem u Kurzyny z zawiadomieniem go w ogólnych wyrazach o celu mego przyjazdu i że jutro wybieram się do Mierosławskiego. Po półgodzinnej prawie drodze dotarliśmy nareszcie na wązką i brudną uliczkę, w końcu już Paryża, poza Panteonem leżącą, rue Neuve St. Etienne du Mont i wdrapaliśmy się po spadzistych schodach na 3-cie piętro mieszkania jenerała. Idąc po schodach, przyszły mi na myśl rozsiewane pogłoski o wspaniałych apartamentach, błyszczących złotem i marmurami, w jakich miał przemieszkiwać trwoniący grosz narodowy Mierosławski. Stanąwszy przed drzwiami, zadzwoniliśmy; w parę chwil dały się słyszeć ciężkie kroki w przedpokoju, drzwi się otwarły i w progu ukazał się jen. Mierosławski. Przyznam się, że z pewnem młodzieńczem wzruszeniem oczekiwałem ujrzenia tego sławnego i głośnego w całej Europie wodza rewolucyi z 48-go roku. Z ciekawością przeto spojrzałem na stojącego na progu gospodarza, który nas grzecznie zapraszał do wnijścia. Jen. Mierosławski wydał mi się mężczyzną, nie mającym więcej nad 40 lat wieku, średniego wzrostu, barczysty, z lekko wypukłemi plecami i szerokiemi ramionami, na których wznosiła się piękna, męska głowa, bujnym, długim, ciemnym pokryta włosem, w tył zarzuconym i lekko po bokach się wijącym; twarz jego przyjemna, zakryta do połowy szeroką, długą, spadającą na piersi brodą, z którą się i sute łączyły wąsy. Twarz ta otwarta

widniała energią i siłą, oświecona dwojgiem niebieskich, przenikających oczu.

— Proszę, proszę — odezwał się jenerał, prowadząc nas do swego apartamentu z uprzejmym uśmiechem.

Ubrany był w stary, granatowy, długi surdut i w szerokie, jak u żuawów, tylko szarego koloru pantalony. Weszliśmy do skromnego pokoiku z bielonemi ścianami, a za tym do drugiego, również bielonego, ubranego prostymi drewnianymi meblami i wojskowem łóżkiem, nad którem wisiał mundur jenerała włoski i szabla; mała szafka z książkami i duży stół, zawalony mnóstwem papierów, planów i jakichś modelów, dopełniał tego prawdziwie demokratycznego umeblowania.

Zasiadłszy na prośbę jenerała około stołu, gdzie i on zabrał miejsce, rzuciwszy w kąt szkarpetkę, której cerowaniem był zajęty, rozpoczęliśmy rozmowę. Ćwierciakiewicz po przedstawieniu mnie jako pełnomocnika Komitetu, upoważnionego do traktowania z jenerałem, opuścił nas, nie chcąc żenować naszej dyskusyi i projektów swoją obecnością. Zostawszy sam na sam z jen. Mierosławskim, oświadczyłem mu o chęciach i dążności Komitetu, pragnącego wejść z nim w stosunki, o liczbie stowarzyszonych, należących do organizacyi, o wpływie Komitetu na opinię kraju, o rozszerzeniu się organizacyi po całym obszarze dawnej Polski i ciągłem zmniejszaniu się partyi Białej tak, że obecnie Komitet Centralny może już uważać się za kierownika sprzysiężenia, obejmującego kraj cały. Następnie starałem się przedstawić mu, jaką korzyść przyniesie dla kraju połączenie się jego z Komitetem Centralnym, który ze swej strony powierzy mu wojenne prace przygotowawcze do przyszłego powstania i t. d., kończąc, że z połączenia się jego z Komitetem ustaną rozpoczynające się rozterki w partyi rewolucyjnej, które, aczkolwiek małoznaczne, zawsze jednak mogłyby rzucać niejaki cień na jednolitość partyi ruchu.

Mierosławski słuchał całej przemowy mojej z uwagą, rozpytując się o organizacyę Komitetu Centralnego i o swój nowozałożony Rewolucyjny Komitet. Zapewnieniom moim co do liczby stowarzyszonych, co do siły i znaczenia naszej organizacyi nie chciał dawać zupełnej wiary, sądząc, że tylko dlatego tak wystawiam przewagę naszej organizacyi, aby go tem łatwiej skłonić do połączenia się z tak potężnem stowarzysze-

niem. Widać było z całego jego zachowania, że już był przez swych stronników na niekorzyść naszą uprzedzony. Przedstawiłem mu warunki, na jakich moglibyśmy się z nim porozumieć i ostatecznie sprawę połączenia jego działań z naszemi pracami ukończyć; i chociaż Mierosławski zgadzał się w głównych punktach co do przedstawianych mu warunków, odnosił się jednak ciągle do swych stronników, do Rewolucyjnego Komitetu, czyniąc od nich zawisłe swe porozumienie, jak gdyby on nie był ich naczelnikiem i panem. Widząc, że trudno mi będzie dojść z nim do ładu, zacząłem w prawdziwem świetle przedstawiać mu, jaką o nim teraz kraj ma opinię, co myśli młodzież i o ile zaszkodzić sobie może prowadzeniem dalszej wojny z Komitetem Centralnym, trzymającym obecnie w swych rękach opinię całego prawie kraju. Lecz mimo, iż moje otwarte słowa sprawiły niejakie na nim wrażenie i zmusiły go do ustąpienia z niektórych wymagań, zakończyć jednak naszych układów nie mogliśmy.

Cała ta długa, bo od południa do 6-ej wieczorem trwająca rozmowa, w której mi Mierosławski i o planach i o wozach swoich szeroko rozpowiadał, taki tylko miała rezultat, żem zapoznał się z błyszczącą wymową jenerała i z jego, niestety, nieograniczoną zarozumiałością i ambicyą, którą starał się pozorem przyjacielskiej dobroduszności osłonić. Wogóle pierwsze to widzenie odarło ze mnie wiele uroku z tej wymarzonej przez młodzież postaci, ale pomyślałem sobie: W braku innych — a niestety, nikt wówczas na widnokręgu nie pokazywał się, kogoby można w zamian za niego na czele zbrojnego ruchu postawić.

Przy drugiem widzeniu, które było jeszcze serdeczniejsze, jeszcze niby bardziej zgodne, mimo jednakowych warunków, podawanych ze strony Mierosławskiego, oświadczył, że nie może mieć zaufania kompletnego do niektórych członków Komitetu; dlatego należałoby Komitet zreformować, aby skład jego dawał mu rękojmię, iż przeciw jego planom nie będzie stawiał opozycyi, lub oszukiwał go, jak K[arol] M[ajewski], gdyż to jest głównym warunkiem pomyślnego rozwijania się przygotowań powstańczych. Zobaczyłem już z tej przemowy, że musiano wyrzucać mu zbyt wiele ustępstw we wczoraj-

szej rozmowie; czułem więc, że usiłowania moje na niczem się skończą, gdyż o zmianie Komitetu jedynie dla wprowadzenia paru ambitnych stronników Mierosławskiego mowy nawet być nie mogło. W końcu nadmienił Mierosławski, że ma nadzieję, iż nawet w razie niezgody z Komitetem pozostaniemy z nim w przyjaznych stosunkach i że ja zapewne wstąpię jako członek do jego Rewolucyjnego Komitetu; reszta zaś rozmowy zapełniona była rzucaniem niesłychanych obwinień na nieprzyjaciół Mierosławskiego, gdyż dla swych politycznych wrogów nie ma najmniejszej litości, ani nawet sprawiedliwości w ocenianiu ich charakteru: kto tylko nie był jego zwolennikiem, musiał być głupcem lub szpiegiem moskiewskim. Boleśnie mnie dotknęło to odkrycie nowej, ciemnej strony w charakterze Mierosławskiego, ale przypisałem to silnemu wzruszeniu i jego gwałtowności, w której język jego nie zna żadnego hamulca. Rozżalał się w końcu nad niesłusznemi potwarzami, jakie na niego za 30-letnią niezmordowaną pracę patryotyczną ze wszystkich stron rzucają; piorunował na strupieszałość szlachty, na nikczemne oskarżenie, jakoby on propagował mordy i rzezie, na reakcyę arystokracyi, która Polskę gubi — słowem, w długiej i grzmiącej przemowie wszystko wyrzucił, co mu pod sercem od dawna leżało.

— Mówią, żem zarozumiały i ambitny — rzekł, rzucając na mnie rozognione spojrzenie — niech mi pokażą zdolnego jenerała: sam pójdę z karabinem służyć pod jego rozkazami; ale niech mi nie każą zagrzebywać swych zdolności, kiedy czuję, że mogę przewodzić ludowi polskiemu. Chcą ze mną zgody, dobrze: niech przyjmą me plany i niech się zawierzą staremu, doświadczonemu rewolucyoniście, który zaufania w nim położonego nigdy jeszcze nie zdradził. Obrzucili mnie potwarzami, opluli mnie tak, że jednej już nitki suchej na mnie niema; dlatego też — dodał z szyderczym uśmiechem — ja już nie boję się ich ślin, jadem oszczerstwa zatrutych, bo nic mi już szkodzić nie mogą, niema już pluć na co: jam cały mokry. Ale ja mogę ich dotknąć, oni mają miejsca, w które ranić można. Patrz Pan, jak ja dobrze na twarzy wyglądam: ja tyję od oszczerstw, każda usłyszana potwarz dodaje mi apetytu. Pan nie byłeś na emigracyi, nie wiesz, co to jest rozbudzona namiętność stronnicza.

— Ależ — przerwałem mu — młodzież...

— Młodzież — zawołał, nie dając mi dokończyć — młodzież emigracyjna to Herostraci, którzy dla sławy chwilowej gotowiby całą Polskę podpalić! Herostratyzm najstraszniejszą jest plagą teraźniejszej młodzieży. Oni mnie nienawidzą, bo ja, stary demokrata, prawdą żyję i prawdę im rzucam na ich głupie głowy. Ci Padlewscy, ci Milowicze, co nimi przewodzą, to herezye w gronie naszego emigracyjnego kościoła, to 7 grzechów głównych i zgwałcenie 10-ciu przykazań Boskich. Wiesz Pan, jak oni uknuli sprzysiężenie, aby zabić Jana Kurzynę dlatego, że on odkrył ich łotrostwa i intrygi, że jeden nie skalał się między nimi. Trzy razy do niego strzelali w Szwajcaryi i t. d. i t. d.

Ledwie mogłem, po wielu usiłowaniach, naprowadzić rozmowę na inny, bardziej obchodzący mnie przedmiot. Nie powtarzam już jaskrawszych wybryków tej gwałtownej filipiki, które niemiłe na mnie zrobiły wrażenie.

Kilka jeszcze razy byłem później u Mierosławskiego, ale nasze układy o krok dalej się nie posuwały, bowiem Mierosławski odnosił się do swego Komitetu, bez porozumienia z którym niby nie mógł stanowczo z nami się pogodzić. W tymże czasie przyjechał z Londynu Giller, który tam jeździł celem porozumienia się z Hercenem i Bakuninem. Chciałem skorzystać z jego w Paryżu obecności, aby go do Mierosławskiego zaprowadzić i wspólnemi siłami opór Mierosławskiego przełamać. Giller jednak, jak się okazało, uprzedzony już od Padlewskiego i Milowicza, był zupełnie nieprzychylnym wszelkim porozumieniom z jenerałem, jako szkodliwym Komitetowi. Nie chciał nawet pójść ze mną do Mierosławskiego, aby czasem ten ostatni swoją wymową nie zachwiał jego ku sobie uprzedzenia. Zaklinał mnie, abym i ja zerwał z nim dalsze porozumienia, jako do żadnego nie prowadzące rezultatu — w całej słowem rozmowie Gillera widać było zapamiętałą jakąś niechęć ku Mierosławskiemu i nawet nieufność ku mnie za zbyt otwarte sprzyjanie temu ostatniemu. Nieufność tę ku mnie do tego posunął stopnia, iż nic mi nawet nie wspomniał o układzie związku, jaki w naszem imieniu zawarł z Hercenem i Bakuninem, tymi naczelnikami ruskich rewolucyonistów, tak, że ja o warunkach tego układu dopiero od Mierosławskiego się dowiedziałem, co mnie naturalnie do żywego dotknęło, że ja, czło-

nek Komitetu, od obcych ludzi dowiaduję się o szczegółach związku, w imieniu Komitetu zawartego.

Mierosławski piorunował na ten, jak go nazywał, zdradziecki traktat, który Litwę i prowincye zachodnie sprzedawał Rosyi, dopuszczając głosowanie powszechne. Napadał na nas, że nowy rozdział Polski czynimy, że jesteśmy gorsi od Targowicy, że on protestować będzie przeciw tej zdradzie i t. p. Napróżno starałem się go przekonać, że głosowanie powszechne tylko umocni nasze odwieczne prawa ku tym nierozdzielnym częściom Korony polskiej, że to będzie jawne pokazanie całej Europie, do kogo należały i zawsze należeć będą prowincye zabrane i t. p. — wszystkie te moje dowodzenia wywoływały tylko coraz głośniejszą z jego strony protestacyę.

Wieczorem tegoż dnia byłem u Padlewskiego, gdzie się zeszli zawezwani Milowicz i Giller. Przy rozprawach nad niemożebnością porozumienia się z Mierosławskim zapytałem Gillera, czy to prawda, że on z Hercenem zawarł jakieś przymierze w imieniu Komitetu? Giller z początku się zapierał, chociaż Milowicz, nie przypuszczając, żebym ja o tem nie wiedział, wygadał się o tej sprawie; nie chcąc jednak przy obcych ludziach rozpoczynać kłótni, zamilczałem. Kiedyśmy dopiero późno, bo coś o drugiej w nocy opuścili zebranie, gorzko wyrzucałem postępowanie jego tak niewłaściwe i nietaktowne względem mnie, towarzysza swego w Komitecie. Uczuł całą omyłkę swego postępowania Giller i zaczął mi się tłómaczyć, namawiać, abym zerwał z Mierosławskim, abym nie robił nowych rozdziałów w organizacyi przez upieranie się o Mierosławskiego i t. p. Całą noc przespacerowaliśmy pod arkadami rue Rivoli, rozprawiając o powyższych interesach, i dopiero słońce wschodzące nakazało nam myśleć o spoczynku. Kilka później jeszcze mieliśmy posiedzeń z Gillerem i Padlewskim, układając dalsze plany organizacyi, gdyż my trzej (Padlewski bowiem wezwany był na członka Komitetu w miejsce aresztowanego Dąbrowskiego) stanowiliśmy większość Komitetu, który w Warszawie reprezentowany był przez naszych zastępców; zauważyłem jednak, że obaj oni patrzyli na mnie jak na zapalonego stronnika Mierosławskiego mimo moich szczerych zapewnień, że się rzeczy tak nie mają.

Po miesięcznym moim pobycie w Paryżu, który zamierzo-

nego celu, t. j. zgody z Mierosławskim nie mógł do skutku doprowadzić przez zbyteczną ambicyę tak Mierosławskiego, jak i jego otoczenia, opuściłem Paryż, pożegnawszy się z Mierosławskim, który na odjezdnem mi oświadczył, że zawsze pełny jest nadziei, iż w Warszawie z jego Komitetem się porozumiemy i że liczy mnie za swego przyjaciela i przyszłego członka nowozreformowanego Komitetu i t. d.

Na drugi dzień po wyjeździe stanąłem w Kolonii, skąd przez Berlin i Wrocław przybyłem do Katowic. W Katowicach odebrałem listy, jakie na mnie oczekiwały, i pośpieszyłem do kasy kolei po bilet. Jakież wielkie było moje rozczarowanie, gdy rozliczywszy pozostałe pieniądze, okazało się, że całego majątku mam coś niespełna 4 talary! Ani sposób dostać się do Warszawy. Pożyczyć nie podobna, nikogo nie znam. Chciałem sprzedać zegarek, ale nie było komu i żenowało mnie chodzenie po sklepikach i pytanie się, czy kto nie kupi zegarka. Rozmyśliwszy się, postanowiłem kupić bilet 3-iej klasy do tego miejsca, do jakiego za wszystkie pozostałe pieniądze dostanę. Popatrzywszy na cennik miejsc, okazało się, że mogę aż do Piotrkowa dojechać. W Piotrkowie mogłem już kogoś znajomego z organizacyi spotkać i na dalszą podróż pożyczyć kilka rubli. Wszedłszy do wagonu, po opłaceniu biletu i za rzeczy zostało mi coś trzy silbergroszy, a tu jak na złość, apetyt zazaczął się gwałtownie dopominać o swe prawa. Kupiwszy bułkę i jabłek parę, pozostałem z jednym silbergroszem przy duszy, gdyśmy w granicę Królestwa wjechali. Nie bardzo było mi wesoło, pierwszy raz znajdując się w takim wypadku. Stacye wlokły się powoli, nie wysiadałem na żadnej, aby widok bufetu nie robił próżnych tentacyi memu żołądkowi. Przybyliśmy do do Częstochowy; wszyscy prawie wysiedli, ja tylko przez okno wagonu przypatrywałem się szczęśliwcom, śpieszącym do wspaniałej sali bufetowej. Wtem patrzę, oczom nie wierzę: z sali wybiega mój brat Julian, ciekawie rozpatrując się po wagonach. Wyskoczyłem ku niemu, jak ku zbawcy.

— To ty, Julku?

— Ach, przyjechałeś przecie! — zawołał — ja tu już dwa tygodnie czekam na ciebie.

Dowiedziałem się dopiero od niego, że spodziewając się mego przyjazdu, stosownie do listu pisanego przyjechał do

Częstochowy na moje spotkanie. Byłem ocalony od głodowej śmierci i może pieszej podróży. Zatrzymawszy się do drugiego pociągu, wsiadamy już razem z bratem i wieczorem zobaczyłem ukochaną Warszawkę. Wiele wprawdzie straciła ona na porównaniu z Paryżem tak, że niektóre ulice zdawały mi się jeszcze mniejsze i brudniejsze, niż przedtem, ale w kilka dni po powrocie znów tak, jak dawniej, na nią się patrzyłem.

XVII.

Stan umysłów w Warszawie. — Pominięcie autora przy składaniu nowego Komitetu. — Stosunek Daniłowskiego do Komitetu. — Redagowanie »Słowa«. — Aresztowanie Szwarcego. — Sprawy sercowe.

Nazajutrz po powrocie poszedłem na zebranie Komitetu. Oprócz jednego Szwarcego, rzeczywistego członka Komitetu, reszta sami tylko byli zastępcy. Przedstawiłem im niezupełnie pomyślny obrót ugody z Mierosławskim i zapytałem o sprawozdanie z ich czynności. Pokazało się, że organizacya coraz to powiększała się w liczbę, fundusze rosły i opinia znacznie ku naszej przechylała się stronie. Z jednej tylko strony pomyślny ten stan organizacyi zaciemniał się przez zbyt gwałtowne wzburzenie umysłów w klasie rzemieślniczej i wogóle w niższej organizacyi, która co dzień prawie czekała hasła wybuchu i co dzień rosła w swem rozdrażnieniu do rządu, domagając się walki natychmiastowej. Na nieszczęście wzburzenia tych za gwałtowych namiętności nie tylko nie wstrzymywali urzędnicy komitetowi, lecz jeszcze podburzali go ciągłemi nadziejami, sądząc, że tym sposobem pomagają propagandzie narodowej. Ówczesny zastępca naczelnika miasta, Rolski, ulegając ogólnym podmuchom partyi zapaleńców, utrzymywał w mieście ten stan gorączkowy swojemi odezwami. Nie wszyscy jednak byli tak zaślepieni, aby nie widzieli, że stan taki może do zguby pociągnąć; starano się gorączkę tę uspokoić, lecz wszelkie środki mało ukazywały skutku. Oczekiwano zjechania się członków Komitetu, aby oni, więcej mający poważania od zastępców, na to wpłynęli.

Niedługo też przyjechał Giller, Padlewski i Marczewski i posiedzenia w całym komplecie się rozpoczęły. Zauważyłem po przyjeździe Padlewskiego, że musiał tak on, jak i Giller, listami swymi posiać nieufność ku mnie, wystawiając mnie jako oddanego zupełnie Mierosławskiemu, z którym tajemną zawar-

łem umowę celem zrobienia zamachu stanu na Komitet i t. p. Napróżno były wszystkie moje zapewnienia: co chwila oczekiwano jakiejś intrygi z mej strony na korzyść Mierosławskiego.

W tymże czasie wydziałowi miasta, nie zadowoleni ze swego naczelnika, a w części i z Komitetu, zaczęli się burzyć, żądając reform, i wysłali nareszcie deputacyę z grona swego do Komitetu ze swymi warunkami. Jeden z wydziałowych, a mianowicie T. K., był nawet u mnie, wspominając o niezadowoleniu Komitetu i o koniecznej jego reformie, lecz nic jasno nie określił, czegoby mianowicie żądali. Deputacya wydziałowych, a później umocowany od nich T. K., oświadczyli wreszcie, że pragną, aby Komitet był powiększony i zastępcy urzędowo naznaczeni z prawem zasiadania w Komitecie z głosem doradczym, dla znania całego toku czynności, tak koniecznego dla zastępców. Nieprzyjaciele Mierosławskiego użyli tej zamieszki, aby mój wpływ, jako jedynego niby zapamiętałego zwolennika Mierosławskiego, ograniczyć i w przedstawionej liście członków Komitetu umieścili mnie jako zastępcę. Uważałem to za prostą pomyłkę, zwłaszcza, że na moje miejsce naznaczyli mego dotychczasowego niby zastępcę, Biernawskiego, chociaż on rzeczywiście żadnego udziału w pracach naszych nie przyjmował. Powróciwszy jednak do domu i rozmyśliwszy się, że ta omyłka może być umyślną intrygą i że, gdy jutro zostanie zatwierdzoną, przejdzie już w czyn dokonany, a nie chcąc znów pozwalać tak pomiatać sobą, na co znów moja ambicya głęboko się oburzała, napisałem tegoż jeszcze dnia wieczorem list do Szwarcego, jako układacza[1] listy, aby tę pomyłkę, gdyż tylko ją za taką uważam, poprawił, gdyż ja żadnych samowolnych postępków lub intryg nie zniosę i praw mi należnych jako członka Komitetu poniewierać nie dozwolę, zwłaszcza że nie widzę, abym do tego był zmuszony niezaufaniem organizacyi, lub odstąpieniem mych przyjaciół i t. d. List ten odesłałem natychmiast przez Janczewskiego, któremu opowiedziałem, co Komitet przeciw mnie zapragnął uczynić. Janczewski, jako mój zastępca w Kole akademickiem, wezwał natychmiast całe stowarzyszone Koło i opowiedział im w gwałtownych słowach o zdarzonym wypadku, wzywając nasze tajemne stowarzyszenie na nadzwyczajne posiedzenie, na które i mnie zaprosili.

[1] W rękopisie: *ukłswodawce.*

Dowiedziawszy się od Janczewskiego i kilku moich serdeczniejszych przyjaciół o gwałtownem wzburzeniu, jakie w naszem stowarzyszeniu wieść o mojem zastępstwie uczyniła, i o jutrzejszem zgromadzeniu, zacząłem żałować, lecz po niewczasie, żem tak nagle, bez głębszego zbadania rzeczy i powodowany tylko chwilowem rozdrażnieniem, rzecz tę ujawnił i takiem wzburzenie przeciw Komitetowi wywołał. Postanowiłem, o ile możności, burzę tę uspokoić i wszelkie gwałtowne zamiary powstrzymać. Na zgromadzeniu Koła akademickiego, które było nader liczne i krzykliwe, starałem się ich przekonać, że cała ta sprawa jest czystą pomyłką, o którą nie warto tyle hałasu wyprawiać, że takiem swojem postępowaniem mnie osobiście tylko zaszkodzić mogą, wystawiając w złem świetle mój charakter i t. p. Ale wszelkie moje przedstawienia spełzły na niczem; zebrane Koło postanowiło wysłać deputacyę z grona swego z ultimatum do Komitetu, że jeżeli dla jakichbądź powodów ja wystąpię z Komitetu, oni wszyscy opuszczają organizacyę i przechodzą do zwolenników Mierosławskiego. Po wielu prośbach zdołałem tyle tylko wymódz, że owa deputacya miała po mojem widzeniu się z członkami Komitetu żądania swoje przedstawić; inaczej jednak się stało.

Dwaj deputowani domagali się gwałtownie, ażebym ich natychmiast na posiedzenie Komitetu zaprowadził, a gdy im to dzisiaj stanowczo odmówiłem, udali się w tajemnicy, śledząc moje kroki dla dowiedzenia się, gdzie się odbywają posiedzenia Komitetu. Przed samem wejściem do bramy domu, naznaczonego na schadzkę, spostrzegłem ich i usilnie prosiłem, aby żadnych gwałtownych kroków nie czynili i oczekiwali, aż sam ich zawezwę, jeżeli nota bene Komitet zgodzi się na przyjęcie ich jako deputowanych Koła akademickiego; przyrzekli mi solennie oczekiwać mego zawezwania i nie wchodzić pod żadnym pozorem na posiedzenie.

Zostawiwszy moich deputatów na dole domu, poszedłem na posiedzenie Komitetu, gdzie już wszyscy byli zgromadzeni i zajmowali się sprawdzaniem kasy i kwitów podatkowych. Byłem przekonany, iż za mem wejściem rozpocznie zaraz Szwarce kwestyę mojego listu; lecz on, zajęty kwitami, nie rozpoczynał tej drażliwej dla mnie kwestyi, tem drażliwszej jeszcze, że nie zupełnie ufałem cierpliwości deputowanych, cze-

kających na me zawezwanie. Na nieszczęście czynności kasowe nie prędko mogły być ukończone, a ja, siedząc jak na szpilkach, co chwila oglądałem się na drzwi, przeklinając się w duchu za brak zastanowienia i taktu, które nie pozwoliły mi całą tę kwestyę inaczej obrócić, a przynajmniej Komitet o żądaniu Koła akademickiego, przysyłającego bez mej woli deputatów, zawiadomić. Liczyłem jednak zawsze, że nie odważą się złamać dane mi przyrzeczenie i bez pozwolenia Komitetu na posiedzenie nie wejdą.

Stało się jednak zupełnie inaczej. Po jakiem półgodzinnem oczekiwaniu, właśnie, gdy Szwarce zaczął kwestyę mego listu pod decyzyę Komitetu przedstawiać, usłyszałem z przykrością, jakieś zamięszanie w drugim pokoju, głos przestraszony gospodarza domu, a za chwilę zbyt gorliwi i wzburzeni namiętnościami gniewu deputaci ukazali się we drzwiach przed zdziwionymi członkami Komitetu.

Ujrzawszy ich, cała krew zawrzała we mnie ze złości i oburzenia; zobaczyłem dopiero, na co mnie naraża ich głupia gorliwość i gwałtowność. Wstałem z miejsca, aby im nakazać wyjście, lecz oni, nie zważając na mnie, wystąpili gwałtownie przeciw Komitetowi, że nie pozwolą łamać zobowiązań danych, że są reprezentantami Akademii i organizacyi miejskiej, że wybiorą sobie inny Komitet, wypowiadając obecnemu posłuszeństwo i t. p. Oczy wszystkich zwróciły się na mnie, sądząc, że nie mogło być to ich wystąpienie wbrew mojej woli ułożone. Czując, że cała wina za ich postępek na mnie spaść może, jeżeli jawnie się nie odrzekę od solidarności z tymi przyjaciółmi, gorszymi w tej chwili od największych wrogów, zawołałem, poruszony gniewem do głębi:

— Oświadczam publicznie wobec Komitetu, iż obecnych tu kolegów nie przyznaję za deputatów Koła akademickiego, gdyż bez mej woli Koło to deputowanych nie ma prawa wysyłać; wszelkie zatem żądania ich na żadną nie zasługują uwagę. Co się zaś mnie tyczy, to aby w oczach waszych oczyścić się od jakiegokolwiekbądź podejrzenia, iż przez mą ambicyę przyłożyłem rękę do tej intrygi, oświadczam tutaj, iż z Komitetu występuję i ani członkiem ani zastępcą być już nie mogę, gdyż tego mój honor wymaga. — Nadmienić tu jeszcze muszę, iż obecny na tem posiedzeniu Biernawski, przed wpadnięciem jeszcze

owych deputowanych, odrzucił miejsce w Komitecie i jak wprzód, miał być moim zastępcą.

Wypowiedziawszy te słowa, które, chociaż były czysto z sumienia mego płynące, niezupełnie jednak zapewne przekonały o mej szczerości Komitet, bo przyznam, że pozory stanowczo przeciwko mnie walczyły, wyszedłem do drugiego pokoju, zabierając z sobą deputacyę i starając się ją uspokoić. Po mojem wyjściu Komitet pełen zamieszania i wzburzenia naradzał się, jak dalej postąpić. Słyszałem radzące głosy, aby mnie koniecznie w Komitecie utrzymać, gdyż inaczej przejdę na stronę Mierosławskiego, czyniąc rozdwojenie w organizacyi centralnej. Usłyszawszy to i chcąc jak najdowodniej Komitet o mej szczerości przekonać, wszedłem znów na posiedzenie i uroczyście zapewniłem zaniepokojonych członków, iż występuję z Komitetu dobrowolnie, bez żadnego żalu lub jakiejś zadrażnionej ambicyi, a tylko, aby tym postępkiem zmazać wszelkie podejrzenia łączności mojej z krokami Koła akademickiego, i że pod żadnym pozorem do żadnej innej organizacyi ani do komitetu Mierosławskiego należeć nie będę, na co daję moje słowo honoru. Tak upewniwszy Komitet i oświadczywszy na wzywania niektórych członków, abym na nowo zasiadł do Komitetu, że to uważam już na teraz przynajmniej za niemożebne i że tylko ja pozostanę zawsze złączony z pracami Komitetu, biorąc na siebie utrzymywanie organizacyi akademickiej w stosunku z Komitetem — opuściwszy Komitet, miałem gwałtowną dysputę z deputatami, rozgniewanymi mojem postępowaniem i oświadczającymi, że oni na moje wystąpienie z Komitetu nie zezwalają i t. p.

W Kole akademickiem jeszcze większe wybuchło wzburzenie i mimo moich perswazyi trudno mi było go uspokoić. Widząc, że z mej strony żadnej nie otrzymają pomocy, postanowili stronnicy moi sami rozpocząć kampanię przeciw Komitetowi i w tym celu zwołali zjazd ajentów, t. j. komisarzy prowincyonalnych, aby z ich współdziałaniem zmienić Komitet. Tymczasem Mierosławczycy nie zasypiali sprawy i wszelkiemi siłami i namowami ciągnęli mnie na swoją stronę, starając się podburzyć moją ambicyę przez rozpowiadanie różnych nieprzychylnych i dotkliwych pogłosek, jakie niby o mnie Komitet w cichości rozpuszczał. Nic to jednak nie pomogło, gdyż plotkom

nie wierzyłem, i słowa raz danego Komitetowi złamać nie chciałem. Miałbym poniekąd prawo, bo jak się osobiście dowiedziałem, członkowie Komitetu, niezupełnie wierząc memu przyrzeczeniu i sądząc, iż tylko na chwilę przycichłem, aby później, przygotowawszy się w tajemnicy, tem groźniej przeciw nim wystąpić, starali się zaufanie, jakie mieli akademicy, zachwiać przez urzędowne naznaczenie Biernawskiego na ajenta Komitetu między młodzieżą akademicką, z powodu niby, że ja w komitetowych pracach żadnego już udziału brać nie chciałem. Na oko jednak znajdowaliśmy się z Komitetem w dobrych stosunkach i ciągle odbierałem propozycye wstąpienia jako zastępca do Komitetu, czego jednak, raz już odmówiwszy, nie przyjmowałem, oświadczywszy jednak w liście długim, do Komitetu pisanym z powodu mego usunięcia się, zarazem poglądy moje na Organizacyę, na jej gwałtowne wzburzenie, które mimo woli Komitetu może go dalej, niż zechce, zaprowadzić, na sposoby według mnie zaradzenia temu i w końcu dodałem, że jako zwyczajny członek stowarzyszenia gotów jestem wszelkie rozkazy Komitetu spełniać, lecz żadnego wyższego stanowiska przyjmować nie mogę, aby odwrócić od siebie podejrzenie niewczesnej ambicyi i t. p.

Wkrótce po napisaniu tego listu było zebranie się komisarzy prowincyonalnych, przez Koło nasze tajemne zwołanych z celem przeciwdziałania Komitetowi. Na tem zebraniu, które miało miejsce u Leona Królikowskiego, jednego z byłych członków Komitetu i który przed samem zebraniem, nie będąc jeszcze pewnym, w jakiej ja postawie wystąpię na tem zgromadzeniu, zaklinał mnie, abym rozdwojenia nie czynił i przeciw Komitetowi nie występował — zapewniłem go, iż nie myślę w żadną walkę z Komitetem, którego powagę szanuję, wstępować, lecz przeciwnie skorzystam z tego zgromadzenia, mimo mej woli zebranego, aby jawnie uznanie me Komitetowi wypowiedzieć i wszystkich komisarzy do posłuszeństwa i gorliwego wypełniania rozkazów Komitetu skłonić — wszedłszy na salę, gdzie mnie zgromadzenie oczekiwało, w powyższym duchu do nich się odezwałem, żądając przytem dla upozorowania czemś ich przyjazdu, aby zdali Komitetowi sprawozdanie ze swych czynności, stanu prowincyi i t. d. Ten mój postępek, zdaje się, że nareszcie przekonał choć w części Komitet o czy-

stości i szczerości moich zapewnień i stosunki nasze na otwartszą wstąpiły drogę. Nie chcąc jednak być zupełnie bezczynnym, zacząłem wydawać niezależne od Komitetu pismo tajemne p. t. »Słowo«, które się na naszej tajemnej drukarni odbijało i którego pierwszy numer dosyć miał wziętości.

W tymże[1] czasie smutny cios dotknął Organizacyę, gdyż odkryto drukarnię »Ruchu« na ulicy Widok. Nieszczęście chciało, iż Br. Szwarce, obawiając się, aby nie pochwycono papierów, w tymże domu schowanych, nie zważając na ostrzeżenia i policyę, stojącą w bramie, wpadł do domu, chcąc jakimkolwiek sposobem papiery z pod oka policyi usunąć. Ponieważ to było w samo południe, sądził zatem Szwarce, że się będzie mógł przesunąć jako lokator domu i nie być przez policyę zatrzymanym. Stało się jednak inaczej, bo kiedy podobno już wychodził z bramy, rzucili się ku niemu policyanci, chwytając go za ręce. Szwarce, wyrwawszy się, wybiegł na ulicę i wyjąwszy z kieszeni sześciostrzałowy rewolwer, zmierzył się z niego do ścigających go dozorców. Policya, ujrzawszy rewolwer, wstrzymała się na chwilę i pozwoliła mu wyprzedzić się kilkanaście kroków, nie śmiejąc go gonić; lecz na głos przybyłego komisarza puścili się znów za nim, zawsze jednak w przyzwoitej odległości od broni palnej. Z ulicy Widok rzucił się Szwarce na Marszałkowską ulicę, a stamtąd w Aleję Jerozolimską, ulicę Bracką i Plac Aleksandra, ciągle nie spuszczany z oczu przez ścigającą go policyę. Gdyby był skierował swą ucieczkę w środek miasta, w ulice ludniejsze, byłby z pomocą przechodniów uszedł pogoni, kryjąc się w zaułkach domów; lecz na nieszczęście pobiegł on ulicą Książęcą, bezludną, bez domów, otoczoną tylko wysokimi parkanami i murem, a tymczasem na krzyki i świstki dozorców zbiegało się coraz więcej straży policyjnej. Byliby jednak może stracili ślad uciekającego, który paru wystrzałami z rewolweru wstrzymał na chwilę ich gorliwość, gdyby nie ciekawość jednego z młodzieży szkoły przygotowawczej, M., który, używając konnej przejażdżki w tych stronach i widząc uciekającego i strzelającego z rewolweru człowieka, jechał trop w trop za nim, pokazując tym sposobem ślad jego ucieczki goniącej policyi. Tłómaczył się później ten

[1] 23 grudnia 1862. Przyborowski, Hist. 2 lat, V, 430 (*P. w.*).

młodzieniec na sądzie publicznym akademickim, iż gonił Szwarcego, ażeby mu konia ustąpić i ocalić go od Cytadeli i szubienicy; ale prawdopodobnie, iż wówczas nie myślał o tak bohaterskim czynie, a po prostu jechał za nim przez prostą ciekawość.

Szwarce tymczasem, zmęczony biegiem i wzruszeniem, rzuciwszy po drodze papiery kompromitujące, jakie miał przy sobie, za mury, gdzie pracowali jacyś rzemieślnicy, którzy je natychmiast w ziemię zakopali, wyparłszy się przed policyą, iż nic im nie rzucono, Szwarce więc, mówię, znużony zaczął zwalniać biegu i na odległej i bezludnej nad Wisłą ulicy został nieszczęściem schwytany.

Nazajutrz w »Dzienniku powszechnym« było urzędowne ogłoszenie o odkryciu drukarni »Ruchu« i schwytaniu jednego z naczelników tajemnego stowarzyszenia. W parę dni później, w zwykłym czasie wyszedł następny numer »Ruchu«, zaprzeczając (naturalnie dla ocalenia aresztowanych), jakoby znaleźli jego drukarnię, gdyż to tylko była niby dla spekulacyi założona prasa, przedrukowująca »Ruch« dla sprzedaży tajemnej; co zaś do aresztowanego człowieka, oświadczono, iż żadnego stosunku z organizacyą nigdy nie miał. Nic to naturalnie nie pomogło i wielkie tylko starania aż przez cesarzową Eugenię, gdyż Szwarce był urodzony we Francyi, złagodziły wyrok śmierci na roboty w kopalniach.

Podczas kiedy takie gwałtowne ciosy uderzały w Komitet Centralny, a jeszcze gwałtowniejsze groziły przez zbliżający się pobór, o którym coraz to częściejsze chodziły pogłoski, burząc i fermentując do dna umysły rozpalone klasy rzemieślniczej, ja tymczasem odpoczywałem po trudach, radząc z innymi stowarzyszonymi, pisząc artykuły i co wieczór prawie odwiedzając moją bogdankę.

Niedługo po moim powrocie z zagranicy powróciła Karolcia z matką ze wsi. Przywitanie było serdeczne i pełne czułości. Wymawiała mi, żem do niej nie pisał, że będąc w kościele na wsi, ukrywałem się i jakby uciekałem przed nią; ale te wymówki pokazywały mi tylko, jak każden krok mój ją obchodzi i ile ja miejsca zajmuję w jej sercu. Co do mnie, nie pytała się nawet, czy ją kocham; tak to było widoczne w każdem mem słowie. Matka zdawała się również spostrzegać

nasze wzajemne uczucie, lecz nie zdawała się być mocno temu przeciwną, gdyż zawsze mile byłem przyjmowany. Kilka razy zauważyłem, jak podpatrzyła naszych rąk uściski pod stołem, lub za nadto wielkie zbliżenie się w cichej rozmowie przy oknie, gdy wchodziła nagle z drugiego pokoju, i wtedy chmura niezadowolnienia przebiegała po jej czole; ale to tylko na jedną chwilkę, i znów spokój i pogoda. Wszyscy prawie konkurenci widzieli z bolem serca, iż ja przenoszony jestem i wyżej stawiany w oczach panny od nich wszystkich razem wziętych.

XVIII.

Wezwanie Daniłowskiego ze strony Komitetu. — Dyslokacya. — Nowy Komitet uchwala wybuch na styczeń. — Spotkanie z Padlewskim. — Ucieczka poborowych w lasy. — Ciężkie położenie Komitetu. — Autor chwilowym członkiem Komitetu. — Narady akademików i delegowanych Szkoły głównej. — Schadzka deputatów akad. z Awejdem. — Ogólne zgromadzenie Szkoły głównej przeciw powstaniu. — Zebranie reprezentacyi Szkoły głównej i Akademii. — Sokulski.

Nie długo jednak mogłem się cieszyć tym spokojem, który, przyznać muszę, ciężył mi trochę po tak burzliwym i pełnym gorączkowej czynności żywocie. Dlatego też z radością przyjąłem nowe propozycye Komitetu, chcącego mi powierzyć jakieś ważne czynności, jeżeli tylko swojej im nie odmówię pomocy. Nie było jeszcze jasno oznaczone, jakiej mianowicie zgody odemnie wymagają, gdyż wysłany do mnie jeden z Komitetu miał tylko polecone wybadać mnie, czy nie jestem przeciwny wstąpieniu napowrót do robót organizacyjnych. Oświadczyłem z całą otwartością, iż we wszystkiem ulegam wraz z całem stowarzyszeniem woli Komitetu, że jeżeli dotąd po usunięciu się nie przyjmowałem udziału w pracach organizacyi, to jedynie dla okazania, iż przykre zamieszania, jakie między mną a Komitetem miały miejsce, nie z mojej nastąpiły woli i że ambicya moja małą tu grała rolę; teraz zaś, kiedy się przekonano, iż tylko pragnę służyć sprawie, bez żądzy przewodniczenia, oświadczam, iż we wszystkiem, co jest w moich siłach, Komitet na mnie liczyć może.

Ciężkie w tym czasie na Komitet nadchodziły próby. Niżsi członkowie organizacyi, a mianowicie rzemieślnicy warszawscy, rozbudzeni ciągłemi podżeganiami zapaleńszej i krańcowej partyi stowarzyszonych, ciągle domagali się powstania, sądząc, że już wszystko, t. j. broń mianowicie jest przygotowana i spro-

wadzona. Z początku Komitet podtrzymywał to wzburzenie; ale później, widząc, że ono za daleko może go doprowadzić, a przygotowań wojennych jeszcze nie uskutecznił, zaczął się cofać i uspakajać, lecz już niestety było za późno. Wszelki głos rozsądku, radzący zwłokę, uważany był przez większą ilość stowarzyszonych za zdradę; krzyczano, iż Komitet sprzeniewierza się i przechodzi na stronę partyi Białej i Wielopolszczyków, że ich pobiorą do wojska i t. p.

Wydziałowi i naczelnik miasta dla uspokojenia stowarzyszonych ogłosili napół niby urzędownie, iż przygotowania mają się już ku końcowi i że w każdym razie pobór do wojska ruskiego nie będzie dopuszczony. Zaledwie, choć nie w tak wyraźnych słowach, rozpuścił tę odezwę naczelnik miasta, kiedy Komitet, opatrzywszy, jak wielkie nieszczęście może wyniknąć z podobnego ogłoszenia, zaczął uspakajać, usunął naczelnika miasta, naznaczając na miejsce jego Padlewskiego, chcąc o ile możności wzburzenie zbyt silne uśmierzyć; wszystko jednak już było za późno. Wyrobiło się już głębokie przekonanie, które zamieniło się niejako w akt wiary stowarzyszonych, że dzień poboru będzie hasłem powstania.

Gdyby przygotowania Komitetu i broń były gotowe, to rzeczywiście dzień poboru był najprzychylniejszy do wybuchu, bo wszyscy naznaczeni do wojska odrazu rzuciliby się w szeregi powstania; ale bez broni, z gołemi rękami naznaczać wybuch, było to więcej niż szaleństwo. Zaczęto radzić na zgromadzeniach komitetowych, jakby ten fatalny termin odłożyć, gdyż o poborze w styczniu pewne już były wiadomości, a broń dopiero się zakupywało. Różne były projekta, między innymi proponowano dyslokacyę poborowych, to jest, wszystkich naznaczonych do wojska (o czembyśmy przez naszą policyę byli uwiadomieni), proponowano wysłać częściowo z Warszawy do Prus, Poznańskiego i Galicyi, gdzieby oczekiwali hasła powstania i z bronią w ręku wrócili do kraju, z prowincyi zaś przenosić z jednych miast do drugich i ukrywać tak, aby z organizacyi, o ile można, jak najmniej zabrano, na wiosnę zaś, gdy już broń będzie w kraju, naznaczyć wybuch i rekrutów prowadzonych poodbijać i wcielić w szeregi powstańców. Po wielu jednak dyskusyach projekt ten odrzucono i Padlewski, który uczynił się naczelnikiem krańcowej partyi, nastawał na nieodkładanie powsta-

nia, a zajęcie się tylko gwałtownem sprowadzeniem broni i korzystanie z usposobienia rzemieślników i poboru do wojska. Nastąpiło rozdwojenie Komitetu, skutkiem czego Giller i Marczewski usunęli się i utworzył się nowy Komitet, do którego Awejde, upoważniony od organizacyi, powołał [Jana] Majkowskiego i [Józefa] Janowskiego, swych przyjaciół, w celu (jak mi to sam opowiadał) zyskania sobie przychylnych głosów ku wstrzymaniu wybuchu i moderowaniu partyi krańcowej, której głową był Padlewski, mający za sobą prawie całą organizacyę miejską wraz z naczelnikiem miasta, Stefanem Bobrowskim, swym osobistym przyjacielem. Nad spodziewanie jednak Awejdego dwaj nowo wprowadzeni członkowie Komitetu, Majkowski i Janowski, ulegli zupełnie wpływowi Padlewskiego i głosy swoje dali za nieodkładaniem powstania, trzeci zaś nowy członek, ks. Mikoszewski, wezwany do Komitetu dla poruszenia księży i ich niejako reprezentowania w organizacyi, poszedł również za przekonywującymi dowodami Padlewskiego.

Powstanie zatem zostało nieodwołalnie zadecydowane przed poborem, a mianowicie w styczniu, lecz termin ten chowany był jeszcze w tajemnicy, aż do ostatecznego dowiedzenia się o stanowczym dniu rekrutacyi. Zajęto się gorączkowo zbieraniem składek i posłano telegramy do istniejącej w Paryżu komisyi broni, aby wysyłkę jej przyśpieszyła. Nareszcie otrzymane przez policyę narodową wiadomości, iż pobór ma się rozpocząć 25 stycznia 1863 r., zdecydowały Komitet na naznaczenie powstania na 22 stycznia. W noc tę z 22 na 23 stycznia płomień wojny miał wybuchnąć na wszystkich punktach Królestwa Kongresowego.

Ja nic jeszcze, jako nie należący wówczas do Komitetu, nie wiedziałem o tak blizkim terminie powstania i jak daleko przygotowania powstańcze zostały posunięte. Miałem już jednak, jak wspomniałem wyżej, stosunki i porozumienia z członkami Komitetu, oraz różne propozycye wstąpienia do organizacyi na nowo, ale urzędownie żadnego jeszcze po mojem usunięciu się nie przyjmowałem udziału w pracach Komitetu, chociaż wiedziałem, gdyż to było zbyt głośne, że pobór będzie hasłem powstania, a pobór ten wisiał już jak czarna chmura nad Warszawą i krajem. Wszyscy przeczuwali ważną chwilę, jaka gotowała się w rozburzonym namiętnościami kraju; w powie-

trzu było coś tajemniczego, poruszającego natężone umysły młodzieży.

Późno już wieczorem 15[1] czy 16 stycznia 1863 roku, kiedy już zabierałem się do spoczynku, usłyszałem nagle brzęki pałasza po schodach, a w chwilę później gwałtowne kołatanie do drzwi moich. »Idą mnie aresztować« pomyślałem sobie; nie kazawszy przeto otwierać, aż póki nie oddałem ciotce do schowania mogących mnie kompromitować papierów, ubrawszy się naprędce, dałem znak, by otworzono. Byłem przekonany, że ujrzę wchodzącą policyę; lecz obawa moja była płonną, gdyż przez otwarte drzwi wbiegł L. K., oficer ruskich wojsk, będący z nami w związku, i wziąwszy mnie na bok, szepnął:

— W tej chwili pobór w Warszawie rozpoczęto; przyjechałem po ciebie, ulice napełnione wojskiem, czekają u mnie w mieszkaniu Padlewski i Potjebnia (Rosyanin, oficer, także z związku) oraz naczelnik miasta, chcą z tobą widzieć się natychmiast.

— Ale czy nas przepuszczą, czy przejedziemy przez straże wojskowe?

— Nie lękaj się, mój mundur oficera rosyjskiego otworzy nam wszędzie drogę.

Zarzuciwszy płaszcz na siebie, wybiegłem z nim z domu i wsiedliśmy w czekającą przed domem dorożkę. Jechaliśmy tak wśród ciemnej nocy po martwych ulicach Warszawy, napełnionych tylko oddziałami wojsk rosyjskich, w cichości otaczających główniejsze punkta miasta dla pochwycenia nagle i niespodzianie śpiących do nienawistnego im poboru wojennego. Kilka razy dorożka nasza była zatrzymywana przez silne patrole żołnierzy i straży policyjnej, lecz mundur wojskowy mego towarzysza był kartą bezpieczeństwa, mnie zaś nie widziano; tak byłem ukryty poza nim. Przybyliśmy nareszcie do celu naszej podróży.

Wszedłszy do pokoju, ujrzałem niespokojnie przechadzającego się Z. Padlewskiego wraz z Potjebnią i rozmawiających o poborze. Ujrzawszy mnie, Z. Padlewski zaczął mi rozpowiadać o tem niespodziewanem nieszczęściu, które fatalny wpływ wywrzeć może na dalsze losy powstania. Z rozmowy z nim

---

[1] Branka odbyła się w Warszawie z 15 na 16 stycznia (*P. w.*).

dowiedziałem się, iż według wiadomości Komitetu, poczerpniętych z wiarygodnego źródła, pobór miał się odbyć dopiero 25 stycznia, że stosownie i do tej daty porobione były przygotowania powstańcze; tymczasem dzisiaj nowy rozkaz, tajemnie rozesłany po cyrkułach policyjnych, naznaczył pobór na noc dzisiejszą; przed godziną dopiero naczelnik naszej policyi otrzymał wiadomość o tym rozkazie i zaledwie miano czas zawiadomić wydziałowych i okręgowych miasta, aby dali o tem znać setnikom i dziesiętnikom celem ukrycia ludzi organizacyi, wyznaczonych przez rząd do rekrutacyi. Obawiano się oporu w Warszawie, oraz upadku wpływu Komitetu, że tak późno dopiero uwiadamiał swych stowarzyszonych o tak ważnym i tak blizko obchodzącym wszystkich prawie fakcie, jakim była konskrypcya.

Z całej mowy Z. Padlewskiego widocznem było, iż bardzo był zmieszany i zaniepokojony tym rzeczy obrotem. Powstania jednak odkładać nie myślano. Gdy go się zapytałem o termin powstania i środki, jakimi Komitet rozporządza, a mianowicie o broń, odpowiedział mi, że broni 30.000 sztuk mają już na granicy Królestwa; co zaś do dnia wybuchu, to o tym nie może mi powiedzieć, gdyż związany jest tajemnicą i nikt prócz członków Komitetu wiedzieć o dniu tym nie może. Jutro jednak będę zawiadomiony o nim, gdyż Komitet wydelegował jego dla zaproszenia mnie na członka Komitetu i jutro wprowadzony zostanę na posiedzenie komitetowe. Wymawiałem się od przyjęcia tak odpowiedzialnego w obecnej chwili stanowiska, lecz ostatecznie do jutra rzecz tę odłożyliśmy.

Całą prawie noc przedysputowaliśmy i przegawędzili o możliwych skutkach poboru, o tem, co dalej począć, a nareszcie i o moich kolizyach z Komitetem, w których, jak oświadczył Padlewski, nie przyjmował udziału *contra* mnie, ale owszem starał się o wciągnięcie mnie napowrót do Komitetu i t. d. Oświadczyłem mu powody, jakie skłaniały mnie do wystąpienia z grona Komitetu po owym skandalu moich przyjaciół, oznajmiwszy, iż przy tak ważnych wypadkach wszystko powinno pójść w zapomnienie i że ja gotów jestem we wszystkiem pomagać i być wykonawcą rozporządzeń naczelników organizacyi.

Nie zasnąwszy prawie ani na chwilkę, doczekaliśmy się nareszcie poranku, a z nim i niektórych nowin poborowej nocy.

Stowarzyszeni, w większej części uprzedzeni o mającym nastąpić poborze, zdołali się poukrywać po różnych domach, znaczna zaś część ich, do tysiąca prawie, uciekła z Warszawy do lasów Kampinowskich, Serockich i innych poblizkich miasta, tworząc tam pierwsze oddziały powstańcze, które co chwila zwiększały się nowymi zbiegami z miasta. Oddziały tych nieszczęśliwych bez broni, ciepłego ubrania i żywności, w opłakanym były stanie; oczekiwały one co chwila przybycia wysłanych od Komitetu naczelników oraz z bronią i z zapasami, upadając na duchu z każdą chwilą, gdy ich wyczekiwania płonnemi się okazywały. Nie wiadomo, kto im dał rozkaz wychodzenia z miasta. Czy to był czysto impuls zachowawczy chroniących się od wojska dezerterów, czy też owa wiara, iż dzień poboru będzie hasłem powstania, zgromadziła ich w lasach dla formowania przyszłej armii, czy też któryś z wydziałowych lub innych urzędników organizacyi, zaskoczony nagle przez swych podwładnych i nie wiedząc, jak się wywiązać z kłopotu, podał im myśl opuszczenia tłumnie Warszawy — jest to nieodgadnionem; to tylko pewna, że przy takim ogólnym prądzie Komitet, przyjmując już ten fakt spełniony na swój karb, upoważnił i dalszą emigracyę z miasta, szczególniej podległym konskrypcyi, i postanowił wysłać im tam dowódzców, pieniędzy, żywności i broni, jeżeli będzie mógł i miał ją w rozporządzeniu.

W pierwszej chwili wielkie było wzburzenie między klasą rzemieślniczą; krzyczano na zdradę Komitetu, domagano się broni i walki. Najwięcej byli napastowani wydziałowi i okręgowi, jako najwięcej mający styczności z klasą rzemieślniczą; ale powoli wzburzenie to ucichło, gdyż zagorzalsi udali się do wyżej wspomnianych lasów.

Zamieszanie w Komitecie i między wyższymi ajentami jego nie mniejsze było i kłopotliwsze i bardziej gorączkowe, niż dalszej gałęzi organizacyi. Broni nie było, gdyż zakupiona, a przynajmniej zadatkowana za granicą przez komisyę w Paryżu i która przed 20-tym stycznia miała być na granicach Polski, skutkiem przejęcia papierów przez policyę francuską musiała być już z Niemiec napowrót cofniętą, o czem już po poborze otrzymał Komitet wiadomość telegraficzną od swych ajentów w Paryżu. Spodziewano się wprawdzie, iż będzie można drugą, a mianowicie morską drogą sprowadzić tę broń do

kraju; lecz kiedy to mogło nastąpić, nikt z pewnością nie mógł oznaczyć. O tym nieszczęśliwym wypadku dowiedziałem się dopiero w kilka dni, już po wstąpieniu mem do Komitetu, gdyż nie ufając depeszy telegraficznej, trzymano jeszcze tę wiadomość w najgłębszej tajemnicy i tylko członkowie Komitetu byli do niej przypuszczeni. Zbierano na gwałt po całej Warszawie u dobrych patryotów wszelkie strzelby myśliwskie i broń sieczną oraz kosy, aby choć cośkolwiek posłać zgromadzonym po lasach spiskowym. Nagły ten pobór nie pozwolił tem bardziej i po prowincyach uskutecznić przygotowań powstańczych i zaledwie że można było województwa zawiadomić o tym nagłym terminie.

Położenie przeto Komitetu nie było do zazdrości. Padlewski Zygmunt tak był sam zatrwożony o los powstania, tak miał mało nadziei w długą, choćby paromiesięczną jego trwałość, że kiedy powrócił z powyższemi wiadomościami Potjebnia i Bobrowski Stefan (naczelnik m. Warszawy), kompletnie upadł na duchu i tylko już chodziło mu o to, aby z tymi, co wyszli do lasów, uzbroiwszy ich czemniebądź, stoczyć choć kilka potyczek i tym sposobem ocalić choć honor partyi rewolucyjnej, która naznaczywszy dzień powstania, umiała hasło do walki w czyn zamienić. Obawiano się bowiem, iż może te, choć parotysięczne tłumy, rozproszone w małych oddziałach, nie wiedzących o sobie, bez broni, bez dowódzców, pieniędzy i żywności, rozejdą się po kilkudniowej tułaczce i wówczas szumnie ogłoszona walka narodowa skończy się smutną tragikomedyą, bez wystrzału, bez oporu, bez śladu walki. Komitet, a z nim cała partya rewolucyjna, straciłby wiarę na zawsze, okryłby się śmiesznością i upadł bezpowrotnie. Takie już nawet wieści chodziły po Warszawie, rozpuszczane przez ajentów Wielopolskiego, jak i przez niektórych z partyi szlacheckiej, która myślała, że jej rywalka, pokonana własną niemocą, upadnie przy jej nogach, aby się więcej nie podnieść.

Prawdziwa jednak miłość kraju, siła wewnętrzna partyi rewolucyjnej i polskiej młodzieży, nawet przy tak fatalnych warunkach, przy takiej ogólnej stępiałości i zamieszaniu, jakie w paru pierwszych dniach panowało między naczelnem kierownictwem, zatryumfowała nad niesłychanemi trudnościami i powstanie wbrew wszelkim przypuszczeniom zaczęło coraz sil-

niej z biegiem czasu rozwijać się i podnosić, walcząc przeszło rok cały.

Takie to mniej więcej było smutne, okropne nawet położenie rzeczy, gdy Z. Padlewski zawezwał mnie w imieniu Komitetu Centralnego, abym przyjął miejsce w gronie 5-ciu członków Komitetu, mających być zarazem od 22-go stycznia Tymczasowym Rządem Narodowym. Odpowiedziałem mu, iż nie czuję w sobie ani zdolności, ani tyle powagi, aby tak ważnym obowiązkom zadość uczynić, ale posłuszny wezwaniu, pójdę z nim na posiedzenie i ostatecznie dopiero namyślę [się], czy będę mógł to ważne miejsce w gronie Rządu Tymczasowego zająć.

Wprowadzony byłem tegoż dnia do mieszkania ks. Mikoszewskiego, gdzie się posiedzenie odbywać miało. Stosownie do formy, jaką każdy z członków Komitetu wypełnić był obowiązany, wykonałem przysięgę przed całem zgromadzonem gronem, do którego i mnie zawezwano. Z dawnych członków Komitetu, z jakimi od początku pracowałem, pozostał tylko jeden Padlewski; oprócz Oskara Awejdego, będącego zastępcą za czasów mego zasiadania w Komitecie, inni byli nowo wprowadzeni, jako to: Majkowski, Janowski i Mikoszewski, a później przybył i Bobrowski, jako naczelnik miasta. Komitet, mający wystąpić jako Rząd Tymczasowy, miał się składać z następujących 5-iu osób: Mikoszewskiego, Awejdego, Janowskiego, Majkowskiego i mnie. Padlewski zaś wyjechać miał tejże nocy do lasów Kampinowskich czy Serockich dla objęcia dowództwa nad zgromadzonymi tam spiskowymi; Bobrowski zaś miał zostać w Warszawie, jako naczelnik miasta, nie mógł przeto już do Tymczasowego Rządu należeć, gdyż Rząd Tymczasowy miał na prowincyę wyjechać i obrawszy rezydencyę w jakiem mieście, zajętem przez nasze oddziały, jawnie się ogłosić. Przedstawiwszy mi w ogólnym zarysie powody i okoliczności, zmuszające do powstania, stan organizacyi i t. p., zapytano, czy chcę przyjąć udział w pracach Komitetu i wstąpić do ich grona. Odpowiedziałem, iż rzecz tak ważna potrzebuje dłuższego namysłu, i prosiłem, ażeby pozostawiono mi kilka dni czasu. Na co mi odpowiedziano, iż kilka dni czasu do rozmysłu mi zostawią, z tem jednak zastrzeżeniem, iż od tej chwili uważają mnie za swego towarzysza, a tylko mam prawo po 3-ech lub

4-ech dniach, nie dłużej, wystąpić z grona Komitetu. Zgodziwszy się na to i zasiadłszy w tem ognisku przyszłego powstania, rozpoczęliśmy już wspólnie czynności, w których niesłychany był zamęt, przy wielkiej i co chwila nawet zwiększającej się ilości interesów.

Długo toczyliśmy spór ze sobą o odłożenie do wiosny powstania, które wzmocnione środkami, jakie możnaby do tej pory przygotować, więcej bez porównania miałoby szans powodzenia, gdyż obecnie, choć tego wyznać nie śmiałem, żadnej prawie nie było. Z odpowiedzi jednak Komitetu przekonałem się, że pod żadnym pozorem terminu odkładać już nie będą i nie mogą, a zatem według nich należało już tylko wspólną pomocą posuwać dalej to niepewne, a tak okropne w skutkach dzieło. Im więcej przyłączy się do powstania, tem nadzieje udania się będą pewniejsze, a w żadnym razie cofnionem być już nie może.

Mając między innemi zajęciami obowiązek zawezwania młodzieży akademickiej do udziału w walce narodowej, postanowiłem, nie odkładając na później, zaraz dzisiaj to uskutecznić, zwłaszcza że już tylko kilka dni oddzielało nas od dnia wybuchu. Powróciwszy z posiedzenia Komitetu, zawezwałem natychmiast koło tajne akademickie, które wiedziałem, iż zupełne we mnie pokłada zaufanie, i oświadczyłem zebranym o wybuchu powstania i o zawezwaniu mnie do Komitetu, które to jednak zawezwanie przyjąłem warunkowo z prawem usunięcia się po kilku dniach namysłu. Zebrani moi koledzy, zawsze ze mną od początku pracujący, jako to: Kamiński, Landowski Paweł, Milewski, Janczewski i inni, przyrzekli jak zwykle wszelką pomoc i wypełnianie moich poleceń, żądali jednak, abym od przyjęcia miejsca w Komitecie nie zechciał się uchylać. Gdy jednak wystawiłem im całe położenie ówczesne, całą odpowiedzialność, którąbym przyjął na siebie za owo powoływanie do walki, gdy przygotowań wojennych, a mianowicie broni, nie było i mimo zapewnień Padlewskiego, który ręczył, iż na czas będzie, więcej to było, niż wątpliwe, że zatem, jako podległy Komitetowi, jako główny jego ajent-zastępca, lub inny jaki sprawujący obowiązek, będę tylko wypełniał ich polecenia, nie biorąc odpowiedzialności żadnej; wolałbym i wszystkobym uczynił, aby ten wybuch można powstrzymać, ale przekonałem się, iż to

jest już niepodobne; należy przeto wszelkiemi siłami powiększyć szanse tego nieuniknionego już powstania, które przy Bożej pomocy, jeżeli zwłaszcza zdoła pociągnąć lud wiejski, może zamienić się w niezwyciężone i zatryumfować nad przemocą; zakończyłem zaś moje przedstawienie żądaniem, aby już mnie zupełnie zawierzyli i zostawili swobodę działania w przyjęciu lub nieprzyjęciu ofiarowanej godności — po wielu przeto debatach większość zgodziła się, iż lepiej postanowienie moje w wycofaniu się po kilku dniach zostawić mej tylko woli. Oświadczyłem im w końcu, aby dziś jeszcze na 9-tą wieczór zawezwano wszystkich akademików do sal klinicznych, gdzie pod tajemnicą zawiadomię ich o postanowieniu stanowczem Komitetu rozpoczęcia walki, wzywając ich, jako młodzież polską, do udziału; prosiłem, żeby wszyscy nam przychylni akademicy z tajnego stowarzyszenia znajdowali się na tem zgromadzeniu dla współdziałania moim słowom.

Rozesławszy swych kolegów dla zawezwania Akademii, pojechałem do Bobrowskiego, naczelnika miasta, na naradę z wydziałowymi celem dalszego już wysłania zagrożonych poborem do formujących się oddziałów. Po skończeniu tego posiedzenia, które aż do 9-ej trwało, gdy co chwila przerywane było nowemi wiadomościami od naszej policyi, oraz kuryerami z lasów od zgromadzonych tam spiskowych, udałem się piechotą do kliniki, gdzie mnie ciężkie oczekiwało zadanie. Znaczna część akademików należała do partyi Białej, a przynajmniej sympatyzowała z pojęciami tego stronnictwa. Wiedziałem przeto, jakie to zrobi wrażenie i wzburzenie na nich wiadomość o mającym za kilka dni nastąpić wybuchu. Z drugiej strony ciężką walkę staczałem ze swem sumieniem, nie będąc pewny, czy należy mi pomagać Komitetowi w sprawie tak szalonej, tak mało mającej nadziei na pomyślność, a tak okropnej w skutkach. Obowiązek spiskowego nakazywał mi być posłusznym większości Komitetu i zaparłszy się osobistych przekonań, wykonywać to, co już z moją czy bez mej pomocy jest nieodwołalne i nieuniknione. Postanowiłem jednak z kolegami mymi, nawet przeciwnych pojęć, być otwartym, jak przystało koledze, i dlatego też umyśliłem mniej więcej odkryć im całą prawdę, pokazać opłakany stan przygotowań powstańczych, okazawszy jednak, że odłożenie, że cofnięcie terminu, podczas

gdy oddziały w części już są sformowane, jest niemożebne i że zatem tylko nasza, mówiąc o całej młodzieży, usilna i poświęcona praca i wielka może to nieodwołalne już i niewstrzymane niczem powstanie podnieść i w prawdziwą wojnę narodową zamienić; gdy zaś młodzież, to jest, część jej się usunie, osłabi tem tylko siły narodowe, wydawszy resztę zrezygnowanych już braci na zgubę widoczną. Wszelkie dotychczasowe prace wówczas upadną, wiara w sprzysiężenia narodowe zaginie, gdyż okaże ich niemoc, i przyszłość kraju, jeżeli nie zaprzepaści się, to odsunie daleko.

Wszedłszy do kliniki, zastałem już tłumne, niecierpliwie oczekujące zgromadzenie akademików. Uciszyli się, gdy wszedłem. Parę świec, na profesorskiej katedrze postawionych, słabo oświecały wielką salę, rzucając mdławe światło na ławy studenckie, zapełnione słuchaczami. Ujrzałem z radością, iż większość jest mnie oddanych; umieścili się oni na lewej stronie, po drugiej byli tak zwani Biali. Zbliżywszy się do stołu, zająłem przy nim miejsce i wśród głębokiej ciszy zacząłem przedstawiać im cel naszego zgromadzenia. Mówiłem im mniej więcej to, co idąc na zgromadzenie, układałem w swej głowie, a o czem wyżej wspomniałem. Słuchali z natężoną uwagą, nie przerywając ni jednem słowem; lecz gdy doszedłem już do powstania, którego choć terminu jeszcze nie mogłem powiedzieć, nie chcąc zdradzić tajemnicy, ale odległość jego dniami lub prawie godzinami znaczyłem, nieprzychylni zaczęli burzyć się, odzywały się głosy protestacyi i groźby; żądano jasnego tłómaczenia, nalegano o zwłokę, pytano, czy myślę, iż wybuchu Komitet odłożyć nie może. A gdym odpowiedział, iż to, co już zawyrokowano, musi się spełnić, wówczas jeden z Białych, Adolf Ch., rozdrażniony i zdenerwowany, podniósł się z miejsca swego i schwyciwszy się ręką za serce, krzyknął: »Kraju, kraju nieszczęśliwy!« i upadł zemdlony na ziemię. Podniesiono go, zamęt się zrobił. Chciano użyć tego wypadku za broń przeciw propozycyom Komitetu; lecz ja ogłosiłem, iż posiedzenie jest już zamknięte, gdyż nie przyszedłem słuchać rad akademików, ale tylko zawiadomić ich o woli i postanowieniach Komitetu. Zażądano tylko odemnie, abym dwóch z wybranych pomiędzy akademikami wprowadził na posiedzenie Komitetu, lub też prosił o wydelegowanie którego z członków dla wy-

słuchania przedstawień młodzieży, tyczących się cofnięcia wybuchu. Obiecałem im, iż będą mogli widzieć się nie z Komitetem, lecz z jednym z wysłanych i jemu swe żądania przedstawić. Nazajutrz naznaczyłem im wieczór schadzkę dla zaprowadzenia ich do Awejdy, który miał się z nimi rozmówić.

Przed ich zaś jeszcze widzeniem byłem na zgromadzeniu delegowanych Szkoły głównej (Szkoła bowiem główna miała swój tajemny zarząd przez kilkunastu delegowanych z fakultetów; między tymi delegowanymi i ja zasiadałem jako jeden z delegowanych od Akademii) i tam również, choć już nie tak otwarcie i bez żadnych dyskusyi oświadczyłem o zbliżającem się powstaniu, prosząc, aby zawiadomili swych kolegów, iż rozporządzenia będą odbierać przez wydelegowanych z Komitetu ajentów. Na żądanie jednak wielu, chcących bliżej być powiadomionymi z dalszym biegiem rzeczy i jak się zachowywać mają i co przedstawić na kółkowych zebraniach, naznaczono na pojutrze (gdyż nie miałem jutro chwilki czasu), na 9-tą wieczór zebranie delegowanych Szkoły głównej w klinikach akademickich.

Tak na pół ukończywszy ze Szkołą główną, zaprowadziłem Sokulskiego i M. do Awejdego, jako wybranych deputatów. Po rozmowie z nim nabrali stanowczego przekonania, iż powstanie jest już nieodwołalne, a było to już coś 20-go stycznia, lecz zarazem postanowili mimo komitetu wstrzymać go, utworzywszy silną opozycyę z młodzieży, która przyłączona do partyi Białej, paraliżować miała działania komitetowe. W tym celu zawezwano całą Szkołę główną wraz z Akademią na posiedzenie do Amfiteatru, aby perswazyami i przedstawieniami skłonić większość do oświadczenia się przeciw powstaniu. Mnie naturalnie o tem zebraniu nic nie powiedziano w obawie, abym go nie rozwiązał. Liczono, iż przy mych ciągłych i nad siły prawie zajęciach, jakie w tych paru dniach leżały na mych barkach, nie zajdę do Akademii i o naznaczonem zejściu wiedzieć nie będę. Losy chwilowo im posłużyły; prawie cały bowiem dzień w ciągłem byłem zajęciu, tak, iż nawet na obiad do domu przyjść nie mogłem; wyjazd bowiem Padlewskiego Zygmunta do oddziałów, jako wojennego naczelnika, wysłanie z nim paruset lanc' i kos, jakie były w naszem posiadaniu, urządzanie nowych władz okręgowych w Warszawie, gdyż

wielu okręgowych zbiegło do oddziałów i t. p., ani chwili nie dawało mi wolnego czasu, tak, że koledzy mnie przychylni, uwiadomieni o mającem się odbyć zebraniu, po kilka razy przychodzili do domu, zostawiali karteczki i szukali po mieście, lecz napróżno. Około 5-ej po obiedzie zdołali mnie nareszcie odnaleźć i zawiadomić o owem zgromadzeniu. Pobiegłem natychmiast do Amfiteatru anatomicznego, gdzie naznaczone było miejsce schadzki. W korytarzu już spotkałem kilku akademików z partyi Czerwonej, wzburzonych i niespokojnych, którzy oświadczyli mi, iż większość zgromadzenia jest Białych i że nie podobna się już dostać do Amfiteatru; taki tam tłum, iż nawet poblizkie korytarze napełnione młodzieżą. Co mówili, było prawdą. Przyszedłszy bowiem do drzwi Amfiteatru, ujrzałem mnóstwo młodzieży Szkoły głównej i akademików, tak, że wejść do wnętrza było niepodobieństwem, tem bardziej, że wejście zapełnione było stronnikami partyi Białej, którzy ujrzawszy mnie, a mianowicie ów A. C., zaczęli krzyczeć, że mnie nie puszczą, że nie chcą, abym podburzał i t. p. Widząc, iż dostanie się do wnętrza jest niepodobieństwem i że hałas, jaki w sali panował, nie pozwoli głosu mego usłyszeć, a co główniejsza, iż wszelkie postanowienia, jakieby tu zapaść mogły, żadnej nie mogą mieć wagi, oświadczyłem więc tylko bliżej stojącym, iż zebranie to z rozporządzenia Komitetu uważam za nielegalne, i oddaliłem się, pozostawiając burzliwe zgromadzenie własnym losom. Większość tego zgromadzenia składała się z młodzieży, należącej nawet do organizacyi; ale nie przyzwyczajona do publicznych wystąpień i nie mająca cywilnej odwagi, w milczeniu słuchała różnych przeciwnych Komitetowi wystąpień i decyzyi odłożenia wybuchu i niebrania w nim udziału.

Kiedy jednak nazajutrz w »Dzienniku Powszechnym« pokazał się artykuł potępiający powstanie, z nadmienieniem, iż młodzież akademicka i Szkoła główna oświadczyła się przeciw temu szaleństwu, wówczas to oburzenie między młodzieżą na wczorajszych przywódców opozycyi Komitetowi gwałtownie wybuchło. Ze wszystkich stron posypały się krzyki, złorzeczenia, szeptano nawet o zdradzie i t. p., jak to zwykle bywa przy gorączkowo rozbudzonych namiętnościach. Kiedy wieczorem przyszedłem na posiedzenie reprezentacyi pewnej

części Szkoły głównej i Akademii, wielkie zastałem już wzburzenie umysłów między delegowanymi, z których większa część, żałując wczorajszej decyzyi, napadała na drugą, broniącą się z całej siły dowodami i przekonywaniami o konieczności podtrzymania wczorajszej decyzyi. Najsilniej występował Sokulski i najwięcej też na niego napadano. Głównie odnosił się do mnie, jako do przedstawiciela Komitetu. Podczas najgorętszej dysputy przybyło paru delegowanych ze Szkoły głównej, z koła Augustowskiego i jeszcze jakiegoś innego, z oświadczeniem, że tak oni, jak i wielu innych, pragnie połączyć się do powstania i uważa wczorajszą decyzyę za intrygi zdrajców i t. p. Usłyszawszy to Sokulski, mocno, za mocno nawet uczuł ten cios, wpadł w rodzaj choroby sercowej, tłómacząc się, rzucając jak wściekły, tak, że go uspakajać musiałem, oznajmiwszy, iż Komitet za zdrajcę go nie ma i nigdy nic podobnego nie ogłaszał. Umyślnie piszę ten drobiazgowy fakt dla pokazania, jakie były wówczas zamęty między młodzieżą; tenże sam Sokulski był później oskarżycielem czy prokuratorem przy Trybunale rewolucyjnym i czynnie zajmował się sprawą powstania. Później nawet zbliżyliśmy się do siebie. Jakiego jednak charakteru był ten człowiek, jeden z najzagorzalszych oratorów i powag partyi Białej młodzieży, dość dodać, iż będąc na emigracyi w Szwajcaryi, zbierał podpisy na mającym się podać manifeście poddańczym do cesarza z wyrażeniem żalu i prośbą o powrót.

Tak więc zgromadzenie wczorajsze nie przyniosło pożądanego skutku prócz lekkiego i chwilowego rozdwojenia między młodzieżą. Nadmienić muszę, iż zamięszanie, niepewność i trwożliwość w działaniach, oraz niestanowczość, jaką wówczas, niestety, widzieć było można, trwała tylko kilka dni pierwszych wybuchu; później bowiem wszystka młodzież, a nawet i partya Biała, jedni z własnej woli, drudzy parci opinią, przyłączyli się do ruchu i oddali się w rozporządzenie Komitetu.

XIX.

Rozpaczliwe położenie Komitetu Centralnego przed wybuchem. — Wystąpienie autora z Komitetu. — Dyktatura Mierosławskiego. — Plan pochwycenia w. ks. Konstantego. — Tryumwirat zastępczy w Warszawie. — Zajęcia autora i chwilowa osłoda. — Noc z d. 22/23 stycznia 1863. — Pierwszy dzień po wybuchu i pierwsze wiadomości z placu boju. — Nawał czynności w Komisyi warszawskiej. — Pierwsze dni i wpływ ich na losy powstania. — Niepewna postawa ludu wiejskiego. — Opinia przechyla się na stronę partyi Czerwonej. — Langiewicz jenerałem. — Misya autora do Kutna i Paryża.

Tymczasem Komitet był w ciągłem, gorączkowem oczekiwaniu wypadków, które choć sam wywołał, nie czując się jednak ich panem, niepewnym był skutku naznaczonej nocy ogólnego wybuchu. Z paru województw naczelnicy i ajenci wojewódzcy przyjechali z zapytaniem, czy rzeczywiście wybuch już naznaczony nieodwołalnie na 22-go stycznia, bo nie mając broni, nie dowierzali piśmiennym rozkazom Komitetu, wzywającym do powstania. Między innymi delegowani Szkoły politechnicznej z Puław na dwa dni tylko przed terminem przyjechali do Komitetu z rozkazem ajenta województwa lubelskiego, polecającego napaść im na wojska, w blizkości konsystujące, a później uderzenia na Lublin. Owi puławscy wysłańce do mnie byli najpierw wprowadzeni, żądając odmiany tego rozkazu, niepodobnego do wykonania. Można było z tego widzieć, jak nagły i niespodziewany był rozkaz wybuchu.

Komitet zarzucany był ciągłemi żądaniami województw o przysyłanie naczelników wojennych, których również brak dawał się uczuwać, jak głównie domaganiami o broń, a broni nie było i nadzieja prędkiego wydostania jej z zagranicy przepadła ostatecznie. Upadek przeto na duchu Komitetu w tym dniu doszedł do krańca. Żaden jednak po sobie nie pokazywał nie-

spokoju, graniczącego z rozpaczą; wszyscy starali się w niższych podtrzymywać ducha i podnosić nadzieję, którą sami utracać już zaczęli.

Ja, widząc takie położenie rzeczy, postanowiłem wszelkiemi siłami pomagać rozpoczynającemu się powstaniu, lecz miejsca w Komitecie, jako zbyt wielką grożącego odpowiedzialnością i za ciężkiego na moje młode siły i zdolności, nie przyjmować.

W takich to będąc okolicznościach, Komitet na ostatniem już swem posiedzeniu przed wyjazdem do obozu i ogłoszeniem się jako Rząd Tymczasowy na propozycyę Awejdego czy Majkowskiego, aby Mierosławskiemu oddać naczelne dowództwo nad powstaniem, propozycyę takową przyjął i po niewielkiej dyskusyi i opozycyi ze strony Bobrowskiego rozpoczęto zbierać głosy na projekt oddania dyktatury Mierosławskiemu. Na posiedzeniu tem byli: Awejde, Majkowski, Janowski [Józef], ks. Mikoszewski (Sykstus), Bobrowski, ja i Janowski Władysław, przybyły z Krakowskiego i zawezwany także do Komitetu. Jeden tylko Bobrowski dał negatywę temu projektowi. A[wejde], M[ajkowski], Jan[owski] i ks. M[ikoszewski] byli za projektem; W. Janowski zaś oświadczył, iż nie mogąc przyjąć zaszczytnego zawezwania do Komitetu, i od głosowania się usuwa. Toż samo i ja oświadczyłem i mimo nalegań, mianowicie ze strony Wł. Janowskiego, abym jako stronnik i przyjaciel Mierosławskiego przyjął miejsce w Rządzie dla gwarancyi Mierosławskiego, iż i jego zwolennicy tam zasiadają, odmówiłem, wymawiając się niezdolnością godnego wypełniania tak ważnych obowiązków, oświadczając, iż na każdem innem stanowisku gotów jestem służyć sprawie narodowej. Wyznać jednak muszę, że długą musiałem staczać walkę z ambicyą osobistą, z miłością własną, zanim zdołałem wyrobić w sobie przekonanie, iż miejsca w Rządzie Tymczasowym przyjąć mi nie należało. Dyktatura Mierosławskiego została większością głosów zadecydowana, postanowiono jednak tę decyzyę trzymać w najściślejszej aż do czasu odpowiedzi Mierosławskiego tajemnicy. Janowskiemu Władysławowi polecono zawieźć do Paryża zawezwanie czyli nominacyę Mierosławskiego na tę najwyższą godność powstańczą. Wygotowano akt oddania mu dyktatury,

opatrzywszy w miejsce podpisów pieczęcią nową Rządu Tymczasowego.

W tymże dniu rozesłano manifesty Rządu Tymczasowego do narodu o podniesieniu sztandaru walki za niepodległość kraju, jak również akt darowizny gruntów włościanom gospodarzom, z nadmienieniem, iż każdy z parobków, jeżeli wstąpi w szeregi wojsk narodowych, otrzyma, on lub jego familia, po 3 morgi gruntu z dóbr narodowych. Ogłoszenia o uwłaszczeniu rozkazano w dzień wybuchu, gdziekolwiek pokażą się oddziały narodowe, opublikowywać włościanom przez komisarzy Komitetu, jak i przez księży z ambon kościelnych. Miano nadzieję, że tą darowizną ziemi zdoła się pociągnąć lud wiejski do broni.

Po ukończeniu naglących czynności członkowie Komitetu w liczbie 4-ech: Awejde, Majkowski, Mikoszewski i Janowski, którzy mieli ogłosić się jako Rząd Tymczasowy (jeden z nich miał być sekretarzem, o ile pamiętam, miał nim być Janowski), mieli wyjechać nazajutrz do Kutna, a stamtąd do Płocka, jeżeli Płock zostanie oczyszczony z wojsk rosyjskich.

Bobrowski zaś, wezwany po mej odmowie do Rządu Tymczasowego, przedstawił ważne powody, zatrzymujące go w mieście, jako naczelnika Warszawy, a szczególnie wykonanie śmiałego przedsięwzięcia, jakie zamierzał, t. j. pochwycenia w. księcia Konstantego z familią podczas jego codziennych przejażdżek po Warszawie, osadzenie w domu na to wybranym i traktowanie z rządem o wydanie Cytadeli za wypuszczenie brata cesarskiego. Jakkolwiek szalony to był plan, jednak przy energii kilkudziesięciu uzbrojonych ludzi, na jakich liczył Bobrowski, zdawało mu się, że będzie mógł napaść w oddalonej i mało ludnej ulicy na powóz W. księcia, eskortowany tylko przez 5-ciu Czerkiesów, i nimby zdołano zawiadomić wojsko o tym zamachu, spodziewano się osadzić W. księcia w jakim wybranym już domu, zatarasować bramy i paruset ludzi postawić w oknach dla obrony, oświadczywszy oblegającym, iż za pierwszym wystrzałem W. książę z familią straci życie. Sądzono, że taka pogróżka wstrzymałaby żołnierzy i dowódzców od ataku i rozpoczęłoby się traktowanie o wydanie jeńca. Spodziewał się Bobrowski tym sposobem wiele korzyści uzyskać. Plan ten naturalnie nie wszedł w wykonanie. Sam

widać Bobrowski przekonał się o niemożności jego wykonania. W każdym jednak razie Bobrowski był niezbędny jako naczelnik miasta, utrzymując swoją niezmordowaną pracą i energią porządek i ład między zachwianą chwilowo w zaufaniu organizacyą miejską.

Otóż Bobrowski, Marczewski W. i ja ustanowieni byliśmy jako najwyższa Komisya, zarządzająca w imieniu Komitetu i Rządu całą organizacyą. Dopóki wybrani członkowie nie ogłoszą się jawnie z nazwisk jako Rząd Tymczasowy, my trzej mieliśmy występować w charakterze członków Rządu i na wszystkich blankietach i rozporządzeniach pisać się Komitet Centralny jako Rząd Tymczasowy, po ogłoszeniu zaś, opublikowaniu i ukonstytuowaniu się Rządu mieliśmy dopiero wystąpić już jako Komisya zarządzająca w imieniu Rządu. Zostawiwszy nam przeto blankiety Komitetu i pełnomocnictwa wszelkie i nieograniczone, usunął się od spraw przyszły, lecz niedoszły jawny Rząd Tymczasowy, przygotowując się do jutrzejszego wyjazdu do obozu.

Tak więc Komisya trzech rozpoczęła swe czynności jako Rząd Tymczasowy, gdyż o wyjeździe Rządu zachowana była jak najgłębsza tajemnica. Cały ciężar ówczesnego zarządu, cały chaos spraw tysiąca spadł na nasze barki. Zewsząd przychodziły niepomyślne wiadomości. Padlewski z obozu pisał list pełen zniechęcenia i upadku — i nie dziw — zastawszy w lesie kilkuset ludzi bez broni, bez żywności, bez odzienia, a którym nic pomódz nie mógł. Noc naznaczona na ogólny wybuch powstania zbliżała się. Już tylko kilkanaście godzin oddzielało nas od stanowczej chwili. Posiedzenia nasze były prawie nieustające. Urządziłem z bliższych mi akademików dyżury, tak, że dzień i noc jeden z nich siedział w oznaczonem mieszkaniu dla przyjmowania korespondencyi i kuryerów, co chwila przybywających, jak i dla ciągłych różnorodnych czynności z organizacyą miejską, a mianowicie z kołami młodzieży uniwersyteckiej, które co chwila o coś pytały się i czegoś nowego żądały. Dyżurni zawiadamiali jednego z kolegów moich pomocników jak L. J. K. O., którzy wiedzieli, gdzie mnie szukać, jeżeli rzecz była ważna i nie cierpiąca zwłoki. Ponieważ ja wówczas najwięcej byłem znany między młodzieżą akademicką, jako niby ajent komitetowy, najczęściej przeto we

wszystkiem do mnie się odnoszono, gdyż każdy przybywający z prowincyi lub z obozu, nie mogąc znaleźć osoby, do której był wysłany, przyprowadzany był do mnie. W tym więc kilkudniowym czasie zamętu i chaosu niesłychanie byłem rozrywany. Wszystkie godziny moje były policzone. Od rana do późnej nocy otoczony byłem interesantami, tak, że na obiad czasu nie miałem. Bobrowski i Marczewski nie mniejsze naturalnie mieli zajęcie. Zbieraliśmy się na sesyę 2 a czasem i 3 razy dziennie, choć każdy z nas i sam, bez odnoszenia się w naglejszych sprawach decydował. Blankiety były u mnie złożone, Bobrowski jednak i Marczewski co dzień brali po kilka dla napisania w wypadkach nie cierpiących zwłoki rozporządzeń, o czem przy zejściu się wspólnieśmy się zawiadamiali. Słowem czynności było taki nawał, iż zaczynałem dostawać gorączki z ciągłego natężenia umysłu. Nieraz zeszedłszy się w jakiem mieszkaniu na nocleg z Bobrowskim, podziwiałem jego niezmordowaną czynność, gdyż podczas gdy ja padałem ze znużenia, czytając listy i raporta, na które trzeba było odpowiadać natychmiast, jak również przygotowywanie rozporządzeń, o wydaniu z Warszawy ubrania, bielizny, kożuchów i t. p. i to w różne strony i przez różne osoby, nad czem osobiście musieliśmy czuwać i t. p., on prawie nie odpoczywając, ciągle redagował, urządzał, przewidywał i zawsze za obudzeniem się zastawałem go już przy robocie. Jeżeli chciałem odpocząć dla odświeżenia umysłu, to musiałem gdzieś uciekać w miejsca, gdzieby mnie znaleźć nie mogli tysiączni interesanci, gdyż w domu mym zawsze ich było pełno. Nieraz czekali na mnie w mym pokoju po 6 i 7 godzin z interesami bardzo małej wagi. Zmordowany powracając, zastawałem zawsze kilku czekających. Jedynym odpoczynkiem i orzeźwieniem umysłu były krótkie chwile, spędzane urywkowo w domu mej ulubionej. Tam już spokojny od gorączkowego nawału interesów, oddawałem się chwilowemu spoczynkowi, patrząc w jej piękne oczy i przysłuchując się troskliwym jej i niespokojnym o mnie zapytaniom. Nieraz zastawałem ją samą i wówczas zapominałem o wszystkich trudach i przykrościach przebytych, jak i o tych, które po wyjściu od niej mnie czekały. Usiadłszy przy jej nogach i głowę złożywszy na jej kolanach albo też siedząc przy sobie, otoczywszy jej wdzięczną kibić, pochylałem

jej twarz ku sobie, aby lepiej słyszeć ciche jej słowa, jakie do mnie szeptała, aby jaśniej widzieć łagodny płomień niebieskich oczu, na mnie zwróconych. Czułem wówczas, że jestem kochany. Kiedy teraz wywołuję te wspomnienia, myślę, że uczucie jej ku mnie, podniecone niebezpieczeństwem, na jakie się narażałem w sprawie narodowej, wzrosło do najwyższej potęgi, jaką jej serce zdolne było odczuwać. Często tak zatopieni w sobie, marząc o szczęściu, zapominaliśmy o otaczających nas, nawet o jej matce, która też czasem ledwo że nas nie zaszła na tem miłosnem zachwyceniu. Niepodobna jednakże, aby matka nie zwróciła uwagi na zbyt poufały stosunek, między nami zachodzący, ale nie dawała tego po sobie poznać, zostawiając nam swobodę marzenia. Niedługo jednakże i tam cieszyłem się odetchnięciem po burzach życia codziennego, gdyż nierzadko aż do mego miłosnego ustronia wkradali się ajenci Komitetu z różnymi interesami.

Tymczasem noc 22 stycznia nadeszła, noc, mająca rozpłomienić walkę narodową na wszystkich punktach Królestwa Kongresowego. Przebyliśmy tę noc w gorączkowem oczekiwaniu i niepewności. Nad ranem wybiegłem do Witolda Marczewskiego dla dowiedzenia się, czy nie otrzymał jakich telegraficznych wiadomości. Nic pewnego jednak nie wiedział, prócz tej tylko ważnej wiadomości, że druty telegraficzne na wszystkich punktach zerwane, co dowodziło, iż na prowincyach rozkazy Komitetu wypełniono i powstanie wybuchło. Żadnych jednak szczegółów mieć jeszcze nie było można. Mogliśmy się tylko domyślać, że wojska na kilku punktach były zaatakowane, bo do bawiącego w teatrze W. księcia przybył kuryer z depeszami, po odczytaniu których opuścił, mocno zmieszany, teatr wraz z całą świtą. Było to zawiadomienie, jakeśmy później się dowiedzieli, o ataku na Płock.

Podczas mej bytności u Witolda w biurze[1] ujrzeliśmy przez okna czekających ks. Mikoszewskiego, Janowskiego, Awejdego i Majkowskiego, którzy rannym pociągiem mieli się udać do Kutna, a stamtąd do Płocka dla ogłoszenia się jako Rząd Tymczasowy.

---

[1] Marczewski był naczelnym inżynierem kolei warszawsko-wiedeńskiej. *(P. w.)*.

— Dziwię się — przemówił Witold — że ty wymawiasz się od przyjęcia miejsca w Rządzie Tymczasowym; choćby dla zastąpienia Janowskiego, człowieka familijnego, mógłbyś poświęcić się, jako młody i kawaler — i w tym mniej więcej duchu przemawiał dla skłonienia mnie do wyjazdu.

— Jeżeli tak sądzisz, jeżeli takie tylko dajesz pobudki, to w zastępstwie Janowskiego gotów jestem zresztą przyjąć na siebie tę niebezpieczną i pełną srogiej odpowiedzialności rolę członka Tymczasowego Rządu, zwłaszcza że jego istnienie będzie krótkotrwałe, bo tylko do wstąpienia dyktatora na ziemię polską.

Gdy wszedł Awejde, zaproponował mu Witold i ja o moim zamiarze; lecz on, i bardzo słusznie, oświadczył, iż Janowski mógłby się obrazić taką propozycyą. Odstąpiliśmy przeto od tego zamiaru i ja zostałem w Warszawie.

Wieleż to musiałem przenieść wyrzutów od mojej ulubionej, gdym jej tegoż dnia wieczorem rozpowiadał, iż tylko wypadkowi prawie winienem, że się widzieć jeszcze możemy!

— Więc chciałeś mnie porzucić, opuścić na zawsze, bez pożegnania, bez żalu? — i wiele, wiele jeszcze pięknych i drogich słówek, wyrzutów serdecznych nagadała mi moja pani, zanim dąsy zdołałem uspokoić.

Po wyjeździe 4-ech członków Komitetu zostaliśmy już tylko we 3-ech: Bobrowski, Witold Marczewski i ja, na czele ruchu *de iure* i *de facto;* gdyż chociaż i na parę dni przed ich wyjazdem władzę w ręce nasze złożyli, zawsze jednak *de iure* ich za naczelników uważaliśmy. Tegoż dnia wyjechał i Władysław Janowski z zawezwaniem i dyktaturą Mierosławskiego. Oczekiwaliśmy z łatwą do wytłómaczenia niecierpliwością wiadomości z prowincyi. Wieczorem nareszcie otrzymaliśmy, choć jeszcze niepewne, wieści o nieszczęśliwym ataku na Płock i pokazaniu się oddziałów powstańczych w Podlaskiem, Kaliskiem i Lubelskiem. Wiadomości te jednak nic nam jeszcze pewnego nie mówiły prócz pewności, iż ruch powstańczy na wielu punktach się rozpoczął. W następnych dopiero dniach otrzymaliśmy jeden za drugim kuryerów z placu boju ze szczegółowymi raportami. Na nieszczęście raporta te nie zupełnie były pomyślne. W województwie płockiem chociaż i wybuch powstania nastąpił, nie odniósł jednak nigdzie góry nad wojskiem,

a w wielu miejscach sparaliżowany został tak przez wahanie się i niestanowczość naczelników, jak i przez nieprzyjazne rozsiewanie pogłosek partyi Białej o odłożeniu powstania do wiosny. I tak np. w przasnyskim powiecie, gdzie do 1000-a sprzysiężonych miało się zebrać dla uderzenia nocą na załogę stojącą w Przasnyszu, zebrało się tylko paręset i ci się w końcu rozeszli, usłuchawszy kogoś niewiadomego, że wybuch z rozkazu Komitetu odłożono, chociaż w mieście wszystko do ataku przygotowano.

Pod Płockiem, gdzie pod osobistym kierunkiem komisarza województwa, Rolskiego, miało się zgromadzić do półtora tysiąca spiskowych i uderzyć na Płock celem wypędzenia z pomocą sprzysiężonych mieszkańców wojska z miasta, zebrało się tylko niespełna 300, i to dzięki energii Rolskiego, i z tymi to 300-ma nędznie uzbrojonymi ludźmi postanowiono jednak uderzyć na Płock. Garstka ta pod wodzą Bończy, wojennego naczelnika województwa, i Rolskiego, podkradła się do miasta i na znak dany przez spiskowych, uderzyli na wojsko. Wojsko jednak, uprzedzone już o napadzie i trzy razy liczniejsze nad wpółuzbrojoną garstką ludzi, odparło atak mimo pomocy, słabej wprawdzie, jaką dawała organizacya młodzieży miejskiej. Naczelnik miasta, Zegrzda, zrozpaczony nieszczęśliwym skutkiem ataku, zastrzelił się z rewolweru.

Atak nocny na Rawę, przez oddział pod wodzą Jeziorańskiego uczyniony, szczęśliwszy był od wyprawy na Płock; ale też Jeziorański przy dobrze uzbrojonym oddziale miał tylko nieliczną komendę wojsk do zwalczenia. Pierwsze szeregi spiskowych, prowadzone przez Godlewskiego Franciszka (zastępcy w Komitecie) i Sokołowskiego, uderzyły na koszary, gdzie było zgromadzone wojsko, i nie zważając na silny ogień z okien, podsunęli się do drzwi, chcąc je wyrąbać i szturmem zdobyć koszary. Godlewski, widząc, że przy gęstych strzałach nasi, nie zwykli jeszcze z niebezpieczeństwami, zaczynają się wahać, rzucił się wprost z Sokołowskim do okien z bagnetem w ręku. Obaj jednak dowódzcy, ranieni dalszymi strzałami oblężonych, uniesieni zostali przez swych towarzyszy z placu boju. Rany Sokołowskiego były niebezpieczne, Godlewski zaś śmiertelnie w piersi raniony, umarł w kilka godzin śmiercią walecznych. Spiskowi, widząc, że trudno im koszary siłą zdobyć, podpalili je, aby przymusić

wojsko do wyjścia na otwarte pole i otoczywszy ich ze wszystkich stron, zmusić do złożenia broni. Manewr jednak ten nie udał się; bo chociaż wojsko opuściło koszary, korzystając jednak z ciemności nocy, potrafili w szyku bojowym dostać się do murowanych jatek rzeźniczych, czy też innych jakichś kamiennych budowli, gdzie tak silne zajęli stanowisko, że powstańcy, obawiając się nadciągnięcia pomocy wojsku, opuścili miasto przy nadchodzącym dniu, a wkrótce i po nich i wojsko rosyjskie, obawiając się nowego ataku, wyszło z miasta do Skierniewic, gdzie stało kilka rot liniowych.

W Podlaskiem, w Węgrowie liczni ochotnicy, zawezwani przez naczelników tamtejszej organizacyi, zgromadzili się w liczbie paru tysięcy, poznosiwszy nocą małe posterunki wojenne, i zaczęli szańcować Węgrów, gotując się do obrony. Dowództwo nad nimi objął Mucha [1]. Porozdzielano się na oddziały, pouzbrajano, czem kto mógł, strzelbami myśliwskiemi, kosami, siekierami i nożami, czekając z odwagą na spodziewany atak ze strony władzy. Ponieważ z każdą godziną przybywało ochotników, których liczba do 4-ech mniej więcej tysięcy wzrosła, postanowiono przeto wysłać parę oddziałów po kilkaset ludzi w okolicę tak dla przekonania się o nieprzyjacielu, jak i dla przeszkodzenia połączeniu się oddziałom wojskowym, z Siedlec i Łukowa i innych punktów dążącym do Węgrowa. Oddziały te jednak mimo niesłychanej odwagi, jaką pokazały w walce pod Mokobodami, nie mogły naturalnie powstrzymać postępu silnie uzbrojonych oddziałów wojennych, które też wkrótce uderzyły na Węgrów. Szturm wojska kilka razy ze stratą był odpierany, a kiedy dowódzca nieprzyjacielski, zaniechawszy szturmów, ustawiwszy bateryę armat, zaczął z niej wielkie szkody miastu i jego obrońcom wyrządzać, wówczas oddział, kilkuset ochotników liczący, rzucił się z kosami i siekierami na redutę i mimo kartaczowego ognia i stosu trupów, jaki za sobą zostawiał, dobiegł do armat i zmusił do ucieczki artylerzystów; lecz nadbiegłe świeże roty piechotne i pokazujący się z boku nowy oddział rosyjski, chcący im tył zabrać, zmusił nakoniec tych walecznych do odwrotu. Miasto trzymało się jednak do nocy. Nazajutrz dopiero

[1] Władysław Jabłonowski. Przyborowski, Dzieje 1863 r. I, 177. (*P. w.*).

opuścili Węgrów, udając się przez granicę Królestwa do Litwy, gdzie zajęli Siemiatycze, uszańcowawszy się za tamecznym murem cmentarnym. Całą noc i dzień następny zmuszeni byli wytrzymać napady wojsk ruskich, którym dotkliwą przy odporze wyrządzili stratę; widząc jednak, że dłuższy opór jest niemożebny, rozdzielili się na małe oddziały i rozeszli w różne strony do Litwy i Królestwa dla połączenia się z innymi oddziałami.

W województwie krakowskiem Kurowski po nieudanym projekcie ataku na Kielce, który z powodu małej liczby stowarzyszonych nie mógł przyjść do skutku, udał się w otaczające lasy i tam zgromadziwszy oddział, do 500 ludzi liczący, uderzył z nim nocą na Sosnowice. Wojsko tam konsystujące, które schroniło się do koszar i innych budowli komory nadgranicznej, wpędził za pruską granicę, a sam zajął Sosnowice i zabrał kasę rządową, w której było do pół miliona złotych.

W Lubelskiem szkoła puławska, uzbroiwszy się, w co było pod ręką, wyszła ku Kazimierzowi, aby tam na dalsze czekać rozkazy lub połączyć się z jakim silniejszym oddziałem. W Kurowie Frankowski Leon, komisarz lubelski, zebrał oddział i powierzył go Zdanowiczowi. W Kujawskiem pojawił się oddział pod wodzą Mielęckiego. Pod Wąchockiem nad oddziałami objął dowództwo Langiewicz. Koło Łodzi dowodził Laknicki i t. d.

Szczegółowe wiadomości o tych oddziałach, tworzących się z początku i które zresztą, z małym wyjątkiem, nie długo na placu boju istniały, można mieć w ówczesnych pismach peryodycznych; wymienianie ich również należy do historyi powstania, a nie do skromnych notatek osobistych.

Takie to mniej więcej otrzymywaliśmy wiadomości z województw przez kuryerów, co godzina prawie od różnych oddziałów przybywających, a którzy żądali dyspozycyi, co dalej mają robić, gdzie się posuwać, jak działać i t. p., oraz żądano broni, amunicyi, żywności, pieniędzy, kożuchów, butów, ciepłych ubrań, dowódzców i t. d. i t. d. — tyle słowem na raz żądań i z tylu punktów Królestwa, że gdyby na miejscu nas 3-ech, rządzących wówczas, postanowiono trzech olbrzymów z niesłychaną potęgą, jeszczeby zaradzić wszystkiemu nie zdołali. Upadaliśmy też pod nawałem obowiązków, nie wiedząc, za co się wziąść najpierw; tyle było czynności, a każda niecier-

piąca zwłoki. Kuryerów nie mogliśmy długo zatrzymywać w Warszawie, gdyż jeśliśmy nie odsyłali ich tegoż dnia, którego przybyli, przysyłano nam nowych, sądząc, że tamci zostali przez policyę schwytani.

Kilkanaście dni początkowych wybuchu były w ciągłem takiem gorączkowem zamieszaniu, co nam całe dnie i noce zabierało, nie dając prawie chwili spoczynku. Później jednak wszystko to uspokoiło się, wszedłszy w zwyczajny swój porządek. Mimo niezupełnie szczęśliwych a raczej zupełnie nieszczęśliwych rezultatów pierwszej nocy wybuchu, ogólna jednak opinia kraju, widząc podniesiony sztandar powstania na wszystkich prawie punktach Królestwa i coraz więcej rosnących oddziałów powstańczych, przechyliła się na stronę partyi ruchu. Biała organizacya, widząc się opuszczoną przez gorętszych swoich członków i idąc za co chwila wzrastającym prądem opinii ogólnej, oświadczyła nareszcie, iż przy niemożności już cofnięcia wybuchu łączy się do niego i wszelkiemi siłami będzie mu dopomagać. Dla porozumienia się z nimi wysłany był z naszej strony Bobrowski, a od nich występował Ruprecht.

Tak więc najcięższe dni obawy i wahania się przeszły, wszyscy już jednozgodnie postanowili połączyć się dla wspólnej walki. Nic jednak nie mogło już zniszczyć pierwszego zwątpienia, jakie zagnieździło się w sercach na widok rozpoczętej walki przez bezbronne i bezładne oddziały, którym groziła śmierć bez korzyści i sławy. Ciemne chmury i burze nieszczęścia, jakie unosiły się w pierwszych dniach nieprzygotowanego i bezbronnego wybuchu, ciążyły bez ustanku nad dalszymi losami powstania, nawet w dniach, gdzie promienie słońca zdawały się przyświecać sprawie narodowej. Większość straciła nadzieję w swoje siły, wyglądając pomocy z nad Sekwany. Większość, choć nie przyznając się, wyczekiwała na interwencyę obcych mocarstw, jako na jedyny środek zbawienia, zwłaszcza jeżeli ludność wiejska nie przyjmie szczerego udziału w walce, na jaki liczono. Dotychczas z raportów, jakie nam przysyłano, widzieliśmy, że włościanie sympatyzują z powstaniem, ale osobiście miejscami tylko łączą się do oddziałów narodowych. Spodziewano się jednak, że gdy powstanie wzrośnie w siłę, gdy się ukaże większa ilość oddziałów dobrze uzbrojonych, które będą już mogły reprezentować siłę wojskową

rządu polskiego, że wtedy lud wiejski wyjdzie ze swego współbiernego położenia i schwyci się za oręż, aby bronić praw swych i ziemi, darowanej mu przez nową władzę.

W każdym jednak razie coraz to pomyślniejsze nowiny o wzroście powstania wlały otuchę w nasze umysły, opinia, wahająca się między rzuceniem piorunów na sprawców wybuchu, lub podaniem ręki rozpoczynającemu się ruchowi, skłoniła się nareszcie stanowczo na naszą stronę. Ze wszystkich stron posypały się składki pieniężne, ofiary bielizny, ubrań, futer i t. p. Mnóstwo młodzieży, trzymającej się w rezerwie, zarzucało nas teraz prośbami o wysyłanie ich do oddziałów. Partya Biała, jak wspomniałem, połączyła się z nami. Tajemne gazety, a szczególnie »Wiadomości z placu boju«, rozchwytywane były przez mieszkańców Warszawy.

Najgłośniejszym z dowódzców zaczynał być wówczas Langiewicz, który po złączeniu się z Jeziorańskim zebrał pod swymi rozkazami do 2000 ochotników, jako tako uzbrojonych. Kilka potyczek później odbytych, jak pod Małogoszczą[1] i Ś-ym Krzyżem, które dość szczęśliwie poszły, a szczególniej artykuły »Czasu« krakowskiego taką zjednały mu sympatyę, że miasto przez swego reprezentanta zażądało, aby nagrodzić tego śmiałego partyzanta jeneralską godnością. Na przedstawienie przeto Bobrowskiego ani ja ani Marczewski żadnej naturalnie nie stawialiśmy opozycyi i dyplom na jenerała wojsk narodowych został mu wysłany. Była to pierwsza tak wysoka nominacya. Niestety, jak dowiedzieliśmy się później od bawiących w obozie jego członków Tymczasowego Rządu, ks. Mikoszewskiego i Janowskiego, nominacya ta nie była zasłużoną.

Z usileniem powstania i czynności nasze się powiększały i rosły one w takim stopniu, że już nastarczyć im nie byliśmy w stanie. Mimo licznych pomocników i zastępców każden jednak z nas, członków tej zastępującej Rząd komisyi, wszystko prawie sam musiał decydować i z każdym kuryerem osobiście się rozmawiać. Chwilki wolnego czasu nie było, aby swobodnie odetchnąć i nad ogólnym stanem sprawy pomyśleć. Nie wiem, jak tam moi towarzysze, ale mnie zaczęło już sił nie stawać;

---

[1] Potyczka pod św. Krzyżem odbyła się 12, pod Małogoszczą 24 lutego 1863. (*P. w.*).

z wielką przeto radością przyjąłem propozycyę, aby na dwa dni jechać do Paryża dla rozmówienia się z Mierosławskim i przyśpieszenia jego wstąpienia do Polski. Janowski Wł. bowiem, wysłany z zawezwaniem Mierosławskiego na dyktatora, mimo umowy żadnej o sobie wiadomości telegrafem nie dawał; zaczęliśmy więc przypuszczać, iż jakim nieszczęśliwym wypadkiem został może na granicy aresztowany. Po naradzeniu się przeto wspólnem postanowiliśmy, iż ja wyjadę do Kutna dla zobaczenia się z przyszłym Rządem Tymczasowym, który tam się znajdował, zakomunikowania mu o decyzyach Komisyi, a stamtąd wziąwszy nową znów nominacyę dla Mierosławskiego, wyjadę do Paryża, ułożę się z nim i natychmiast do Warszawy powrócę. Oprócz powyższego, najważniejszego celu, miałem jeszcze o wielu innych interesach i czynnościach z członkami Tymczasowego Rządu się rozmówić, a między innemi i o tem, jak się mamy zachowywać względem w. księcia Konstantego, o którym różne w paru pierwszych dniach wybuchu zaczęły chodzić pogłoski. Między innemi lud warszawski, przypisując[1] sympatyę W. księcia dla Polaków ambitnym planom na polską koronę, pragnął zebrać się tłumnie przed zamkiem z okrzykiem »Niech żyje w. ks. Konstanty, król polski«, aby tem okazanem współczuciem przeciągnąć na swoją stronę w. księcia. Co jednak zdawało się nam ważniejszem, to niby poufne zapytywania niektórych wojskowych, chcących dobadać się przez swych znajomych, jaka jest opinia Komitetu i co też Polacy myślą o W. księciu i jaka o nim panuje opinia w partyi ruchu. Czy te zapytania były tylko łapką dla przekonania się, czy za pomocą niby jakichś układów nie potrafią wykryć i zaaresztować członków Komitetu, lub też może starano się przekonać, czy W. książę (zawsze podejrzywany) nie ma rzeczywiście jakiego udziału w ruchu dla przywdziania korony? A najprawdopodobniej były to tylko pojedyńcze jakieś głosy prostej ciekawości bez żadnych rzeczywistych celów, które z ust do ust przechodząc, urosły w ważną sprawę, gdyż żadnych dalej traktowań lub nowych napomykań nigdyśmy już nie słyszeli. Nie wiedząc jednak w pierwszej chwili, czy te bezcelne pogłoski nie są czasem przedwstępne

[1] W rękopisie: *przypuszczając (P. w.).*

głosy czegoś poważniejszego, postanowiono przyszły Rząd o nich uwiadomić, aby wiedzieć, jak sobie postąpić, gdyby wprost do Komitetu zapytania takie doszły.

Urządziwszy się przeto ze swemi czynnościami i dawszy zastępcę do Komisyi, wyjechałem coś 30 stycznia 1863 r. do Kutna. Nie potrzebuję wspominać, iż mimo ważnych zajęć nie zaniedbałem złożyć długiej pożegnalnej wizyty w domu mej ulubionej, chociaż rozłąka nie miała być długą.

XX.

W Kutnie. — Przejazd przez granicę. — Rozmyślania w drodze. — Spotkanie z Kurzyną w Kolonii. — W Paryżu. Układ z Mierosławskim. — Wrażenia paryskie. — Powrót. Przygoda w Kolonii. — W Warszawie. Przewaga partyi Czerwonej. — Czynności zwiększonej Komisyi. — Tworzenie eskorty dyktatora. — Pożegnanie z bogdanką i wyjazd do obozu

Przyjechawszy do Kutna koleją żelazną, pobiegłem natychmiast do budowniczego Żeglińskiego, gdzie się znajdować mieli członkowie Rządu. Gdybym się był spóźnił z pół godziny, byłbym już ich nie zastał, gdyż konie na nich przed domem czekały. Opowiedziałem im cel mego przybycia, jak również nowiny, jakie mieliśmy z placu boju. Od nich znowu dowiedziałem się, że ponieważ Płock nie został zdobyty, a zatem w tamte strony nie było im już po co jechać i postanowili udać się do obozu Langiewicza, jako najwięcej dającego gwarancyi na obronę rządu. Na przedstawienie nasze, tyczące się pogłosek o W. księciu, oświadczyli, iż poczytują to za łapkę i w żadne porozumienia, jeżeliby jakie były rozpoczynane, mieszać się nam nie radzą. Co się zaś tyczy wyjazdu mego do Paryża, to oświadczyli, iż takowy uznają za konieczny i bardzo naglący, ponieważ i oni żadnej wiadomości od Janowskiego Władysława dotąd nie otrzymali. Brat Janowskiego obawiał się nawet, czy czasem nie jest on już do Cytadeli przewieziony, lub gdzie w Prusach zaaresztowany. Natychmiast przeto wydano mi nowe dla Mierosławskiego zawezwanie na dyktatora i pełnomocnictwo ukończenia z nim układów, nalegając, abym dziś jeszcze wyruszył za granicę i telegrafem zawiadomił o mojem przybyciu do Paryża.

Pozostawszy jeszcze z godzinę z nimi, którą spędziliśmy na układaniu przyszłych planów, i napisawszy do Warszawy o rezultacie bytności mojej w Kutnie przez umyślnego kuryera,

pożegnałem wyjeżdżających Awejdego, Majkowskiego i Janowskiego (ks. Mikoszewski bowiem wyjechał przed mem przybyciem dla jakiejś narady do poblizkiego miasteczka) na swą niebezpieczną wędrówkę, która jednak zakończyła się spokojnym powrotem do Warszawy po kilkunastodniowem błądzeniu między oddziałami powstańczymi. Ogłoszenie się bowiem jawne jako Rządu nie przyszło do skutku, tak z braku wolnego od wojsk rosyjskich miasta, jak i z przekonania się wewnętrznego samych członków Komitetu, że ujawnienie Rządu, który zmuszony byłby z miejsca na miejsce uciekać, włócząc się po niedostępnych lasach, na nicby się powstaniu nie przydało. Jakąż bo mógłby mieć powagę, jakąż energię ów rewolucyjny Rząd koczujący, któregoby trzeba było szukać po całej Polsce? Żadnych rozkazów nie byłby w stanie wydawać, ani raportów przyjmować, otoczony ze wszystkich stron przeważnemi siłami nieprzyjacielskiemi, któreby naturalnie jak najgorliwiej ścigały oddział, mieszczący w swem łonie Rząd Tymczasowy. Gdyby powstanie zawładnęło jakąś większą częścią kraju, wówczas to powaga Rządu na jawności wieleby zyskała.

Pozostawszy sam po ich wyjeździe w Kutnie, udałem się do jednego z mych znajomych i zażądałem, aby mi przyprowadził natychmiast naczelnika miasta, któryby ułatwił mi przedostanie się za granicę. Miałem dość zabawną scenę z tym naczelnikiem miasta, gdyż jako wielki rygorzysta, chciał on koniecznie widzieć upoważnienie moje do wyjazdu za granicę, kto ja taki jestem i t. p., a nawet odgrażał się odstawieniem mnie do oddziału w razie nieokazania mu blankietu Komitetu lub mej nominacyi; a ponieważ myśmy żadnej nominacyi nie mieli, byłem więc w kłopocie, aby aż do Warszawy nie trzeba było się odnosić, gdyż papiery, jakie miałem ze sobą, za nadto były wielkiej podówczas wagi, abym mógł pierwszemu lepszemu naczelnikowi małego miasteczka pokazywać. Na szczęście przybycie Żeglińskiego, który był komisarzem województwa, a zatem i najwyższą władzą dla wszelkich małomiejskich naczelników, wybawiło mnie z tej komicznej historyi. Chcąc jakkolwiek swój mimowolny błąd naprawić, ofiarował się ów miejski naczelnik sam ze swymi towarzyszami przeprowadzić mnie aż do granicy; propozycyi jednak jego nie przyjąłem, oświadczywszy na ciągłe jego przeprosiny i zapewnienia posłuszeń-

stwa, iż postąpił tak, jak należało, i tylko mogę go za gorliwość pochwalić.

Rozmówiwszy się z budowniczym Żeglińskim i wziąwszy od niego kilka czystych blankietów z jego komisarskiemi pieczęciami, abym w drodze mógł jakie konieczne polecenia do organizacyi nadgranicznej napisać, wyjechałem koleją do Aleksandrowa, nie wiedząc jeszcze, jak mi się dalej wypadnie przedostać. Na stacyi Aleksandrowo stanąłem już o zmroku i natychmiast udałem się do wskazanej mi osoby, należącej do organizacyi, żądając, aby postarała się natychmiast o przeprawienie mnie za granicę. Większa część urzędników tej stacyi granicznej należała do organizacyi, zostałem przeto z otwartemi rękami przez nich przyjęty i znalazłem ich gotowych do wszelkiej dla mnie pomocy. Po małej naradzie nad najpewniejszym sposobem przebycia granicy oświadczono, iż najlepiej, abym przebrał się za konduktora drogi żelaznej i siadł na pociąg towarowy z węglami, idący za pół godziny do Otłoczyna, leżącego już na pruskiem terytoryum. Ubrany więc w czapkę i płaszcz konduktorski, umieściłem się na wierzchu wagonu z węglami na koźle i tak zamaskowany przesunąłem się wraz z pociągiem przez granicę. Kiedyśmy już dojeżdżali do Otłoczyna zwolnionym ruchem, krzyknął do mnie jakiś urzędnik stacyi:

— Ile wagonów przyszło?

Odmruknąłem mu coś pod nosem, bojąc się, aby przebranie moje nie zostało poznane. Jak tylko pociąg zatrzymał się, zszedłem natychmiast z wagonu. Było już zupełnie ciemno. Nie wiedziałem, co dalej z sobą począć. Obawiałem się wejść do oświeconej sali dworca kolei żelaznej, aby czasem nie zwrócić uwagi swojem przebraniem. Zbliżywszy się ukradkiem do oświeconych okien banhofu, rzuciłem w nie badawcze spojrzenie, ażali nie znajdę którego z naszych urzędników kolei. Sala była prawie pusta, przy jednym tylko stoliku siedziało kilku oficyalistów kolei, między którymi poznałem po mundurze jednego z Polaków, chociaż osobiście nie byliśmy sobie znani. Nie namyślając się już dłużej, wszedłem do sali bufetowej i usiadłszy przy oddzielnym stole, czekałem na sposobność rozpytania się, kiedy odchodzi pociąg do Torunia. Wejście moje nie zwróciło na szczęście niczyjej uwagi. Uspokojony zatem

troszkę co do swego bezpieczeństwa, zbliżyłem się do owego nieznanego mi urzędnika z aleksandrowskiej stacyi i zapytałem o pociąg do Torunia. Pociąg odchodzić miał niedługo. Spytany przez niego, na jakiej ja służę stacyi, gdyż na nieszczęście nie miałem innej czapki prócz konduktorskiej — odpowiedziałem, że na warszawskiej. Nie śmiałem jednak pytać go się o tłómoczek mój, zostawiony w Aleksandrowie, a który miano mi natychmiast odesłać, o czem widać zapomniano, aby czasem się nie zdradzić przed nieznajomym, który może do organizacyi nie należał. Zagadywałem go z różnych stron, chcąc się przekonać, co on za jeden i czy można otwarciej z nim pomówić; lecz niczego nie mogąc się dobadać, postanowiłem już nie czekać na moje rzeczy i tak w konduktorskiej czapce puścić się w dalszą podróż.

Kupiwszy zatem bilet do Torunia, wyjechałem nareszcie ze stacyi nadgranicznej, nie pytany o paszport, co, mówiąc nawiasem, wielceby mnie zakłopotało, gdyż żadnego paszportu nie miałem. Nie zatrzymując się ani chwili w Toruniu, pojechałem przez Bydgoszcz do Berlina. W wagonie przez całą drogę o niczem nie rozmawiano, jak tylko o polskiem powstaniu. Wszyscy prawie podróżni, choć niemieckiego pochodzenia, z sympatyą się o nas odzywali. Mało tylko mieli nadziei, aby Polacy własnemi siłami mogli wydobyć się z przemocy potężnej Rosyi. Żałowałem mocno, iż tak mało mam znajomości niemieckiego języka i nie mogę nie tylko się wmieszać do ich rozmowy, ale nawet wszystkiego zrozumieć, co oni o naszym rozpoczynającym się ruchu rozprawiali. Noc i zmęczenie przerwało wszelkie rozmowy mych towarzyszy podróży, rozpościerając głuche milczenie w wagonie.

Mimo ciężkiego zmęczenia i usypiającej cichości, jaka w około panowała, gorączkowe wzruszenie, w jakiem się znajdowałem, nie pozwoliło mi zasnąć ani na chwilę. Jechałem tak noc całą, rozmyślając o niezupełnie pewnych losach naszego powstania. Wybuch co prawda na wielu razem rozpoczął się punktach, oddziały ochotnicze rosły co chwila, wahanie i niepewność, panująca w pierwszych dniach wybuchu, ustępowały zapałowi i entuzyazmowi, rosnącemu z każdą wieścią o nowej szczęśliwej czy nieszczęśliwej potyczce, opinia ogółu stanowczo już oświadczyła się za ruchem; lecz nie mo-

żna było jeszcze przewidzieć, czy lud wiejski, mało, bardzo mało jeszcze biorący udziału w rozpoczynającej się walce, da się pociągnąć temu potężnemu prądowi miłości kraju, który miejską ludność popchnął z takim zapałem do broni. Lud wiejski wyczekiwał jeszcze, nie widział dostatecznej siły w powstaniu, na którejby mógł oprzeć swe nadzieje: wiadomo, że lud idzie za siłą. Sprzyjał on z samego początku powstaniu, ale nie oddawał mu się całem sercem, całem życiem, z całą tą energią ludową, która walkę, do jakiej on się przyłączy, czyni niezwyciężoną. Winą główną niewiary, a raczej małego zaufania ludu w początkach wybuchu było brak wszelkich przygotowań wojennych, a mianowicie zupełny brak broni. Nadzieja jednak silniejszego rozwoju powstania ugruntowała się w mojem sercu, a z nią i promień lepszej przyszłości, choć przyznać muszę, że najwięcej i prawie na pewno liczono na obcą interwencyę, chociażeśmy tego jawnie nigdy nie przyznawali, przeciwnie, nawet głośno tylko w swoje wierzyli siły, ukrywając na dnie serca wiarę niezłomną w Boga i pomoc zagraniczną. Jeżeli lud cały solidarnie powstanie — myślałem sobie, lecąc wśród nocnej ciszy ku Berlinowi — to wówczas z obcą, czy bez obcej pomocy, nasze będzie zwycięstwo.

Nad ranem przybyliśmy do Berlina. Wysiadłem z wagonu, namyślając się, co dalej począć. Na moje szczęście przy odbiorze tłómoczka z pakhauzu spotkałem się z jadącym do Bawaryi malarzem B., dobrym moim znajomym. Wypytywałem się go przeto, na jaki banhof należy pojechać i kiedy pociąg do Kolonii odchodzi. Pragnąłem nareszcie zrzucić również z mej głowy czapkę konduktorską z rosyjskimi znakami, która często wywoływała zapytania u moich towarzyszy podróży i zbyt była zwracająca uwagę ogólną. Korzystając zatem z pozostającego mi trochę czasu, wpadłem do H., studenta berlińskiego i zabrawszy jego czapkę, pojechaliśmy razem na dworzec kolei, aby się czasem nie spóźnić.

Na drodze z Berlina do Kolonii towarzystwo było już złożone nie z samych Niemców. Razem ze mną w wagonie usiadł jakiś rosyjski obywatel, czy też wyższy urzędnik, paru Francuzów i młody Anglik. Rozmowa między nimi po kilku obojętnych kwestyach znów wpadła na polskie powstanie. Francuzi z zapałem o niem mówili, życząc nam wybicia się nare-

szcie z pod ciężkiej tyranii i spodziewając się, że Napoleon nie zostawi nas [bez] pomocy. Rosyanin w bogatej sobolowej szubie utrzymywał naturalnie, iż powstanie żadnym sposobem utrzymać się nie może, że to tylko powstali konskrybowani do wojska, a naród nie przyjmuje w tem udziału, i dodał w końcu, że powstańcy nie mają kompletnie broni i liczba ich nie przechodzi 20.000. Ostatnie jego słowa ucieszyły mnie, że przynajmniej co do liczby mają o nas jakie takie wyobrażenie;] nie mogłem jednak wytrzymać, aby nie odpowiedzieć na niektóre zarzuty, w czem mi wiele dopomagali dwaj Francuzi i Anglik, stanąwszy po mojej stronie.

Do Kolonii przybyliśmy wieczorem. Wysiadając z wagonu, spotkałem się niespodzianie z J. Kurzyną, wracającym do Paryża z wycieczki swej ku granicy Królestwa, gdzie jeździł dla dowiedzenia się o bliższych szczegółach powstania. Całą już drogę do Paryża rozmawialiśmy z sobą o przyszłych losach powstania. Na granicy Francyi zatrzymano mnie, jako nie mającego paszportu, ale na zapewnienie, iż jestem Holender, i stale mieszkam w Paryżu, pozwolono mi jechać dalej. Do Paryża przybyliśmy o 10-ej z rana. Rozpytałem się o Janowskiego i ku mojemu radosnemu zdziwieniu okazało się, iż on od kilku dni bawi w Paryżu. Przyjazd jednak mój był bardzo na czasie, gdyż Janowski, obawiając się rewizyi w drodze, zjadł swoje papiery i nominacyę Mierosławskiego i przyjechał do Paryża z niczem, bez żadnych upoważnień, a ponieważ osobiście nie był znanym na emigracyi, żadnej przeto nie miał wiary, a nawet, jak to często bywa w takich czasach, zaczęto podejrzywać go o stosunki z ambasadą rosyjską. W jego urzędowe posłannictwo nikt nie wierzył; wielce się przeto ucieszył Janowski, ujrzawszy mnie w Paryżu.

Poszliśmy z nim razem do Mierosławskiego i tam już jako upełnomocnieni, przedstawili mu zawezwanie Rządu Tymczasowego na naczelnika powstania z władzą dyktatoryalną. Mierosławski z wielkiem zadowolnieniem i niekrytą dumą przyjął to zawezwanie. Prosił, abym przyszedł do niego dla objaśnienia o stanie oddziałów powstańczych, odkładając urzędowne przyjęcie i podpisanie układu między nami, jako pełnomocnikami Rządu, a nim, jako przyszłym dyktatorem, do jutra.

Tegoż dnia byliśmy u jen. Wysockiego z zawezwaniem

go do udziału w walce narodowej i przyrzeczenia posłuszeństwa ustanowionej władzy, nie mówiąc mu jednak o dyktaturze Mierosławskiego, gdyż wiedzieliśmy, że nie byli z sobą w dobrych stosunkach. Po jego dopiero przyrzeczeniu później zostało mu objawione, komu ulegać będzie. Poczciwy jednak i nieambitny patryota skłonił głowę przed tym, acz nieprzyjemnym mu naczelnikiem.

Nazajutrz w towarzystwie Jeski, ajenta Komitetu Centralnego w Paryżu, udaliśmy się z Janowskim do Mierosławskiego dla ostatecznego ukończenia z ową dyktaturą. Warunki ze strony Mierosławskiego były bardzo umiarkowane, żądał bowiem tylko, aby na granicy Królestwa, w punkcie, oznaczonym przez Komitet w porozumieniu z jego pełnomocnikiem, wystawiony był oddział nie mniej [jak] z 200 ludzi złożony, na czele którego miał on wkroczyć do kraju. Uzbrojenie dla tego małego oddziału miał dostarczyć w części Rząd, a w części sam Mierosławski. Po wstąpieniu na ziemię Polską rozpoczynała się już jego władza; żądał jednakże, aby ogłoszenie dyktatury nie nastąpiło dopóty, póki on nie oczyści obszerniejszej jakiejś części kraju, w której mógłby godnie władzę dyktatorską sprawować. Oprócz tych głównych warunków było jeszcze kilka pomniejszych, odnoszących się do wojennych przygotowań, potrzebnych do wkroczenia jego w granice Polski.

Warunki, przez Mierosławskiego podane, spisaliśmy natychmiast i przyjęcie ich w imieniu T. Rządu podpisali osobiście, jak również ułożyliśmy akt przyjęcia dyktatury Mierosławskiego. Oba te dokumenta, na dwie przepisane ręce, zostały podpisane przez Mierosławskiego, Janowskiego, Jeskę i przezemnie. Jeden oryginał został u Mierosławskiego, a drugi wziąłem ja dla odwiezienia go do Warszawy.

Tegoż jeszcze dnia wieczorem byłem u Mierosławskiego dla wysłuchania jego ostatnich życzeń i instrukcyi, które miałem przedstawić Rządowi. Między innemi żądał koniecznie Mierosławski, abym oczekiwał go na granicy z tym oddziałem, a jeżeliby czynności moje nie pozwoliły mi tego, to przynajmniej po jego przybyciu zjawił się w jego głównej kwaterze, a nadewszystko, abym sam dopilnował formacyi oddziału, mającego go oczekiwać na granicy. Przyrzekłem wszystko jak najsolenniej wypełnić.

Późno już wieczorem powróciłem do mieszkania z zamiarem wypoczęcia troszkę przed czekającą mnie drogą, gdyż nazajutrz postanowiłem powrócić do Warszawy ze sprawozdaniem o dokonaniu mej misyi; Janowski miał jako komisarz Rządu zostać przy Dyktatorze. Wróciwszy do domu, musiałem odłożyć nadzieję spoczynku: kilkunastu emigrantów z różnemi zapytaniami i żądaniami czekało już na mnie, wzywając na różne posiedzenia.

Nazajutrz rano zbudził mnie Janowski, aby się ostatecznie umówić co do dalszych jego działań i komunikacyi z Warszawą. Wieczorem tegoż dnia opuściłem Paryż, unosząc z sobą układy nasze z Mierosławskim. Paryż i młoda emigracya uczyniła na mnie wrażenie lepszej przyszłości: tyle tam było zapału i energii dla rozpoczętego powstania. Lud paryski rozchwytywał z niecierpliwością gazety, czytając z uniesieniem wieści, iż Polska znowu powstała, iż naród nasz jeszcze żyje. Nierzadkie okrzyki »Vive la Pologne!« spotykały mnie na ulicach Paryża. W Liège, czy też na granicy Belgii, spotkałem się z kilkoma z młodzieży polskiej, opuszczającymi uniwersyteta zagraniczne, aby rzucić się w szeregi walczących braci. Między nimi spostrzegłem znanego mi jeszcze z Warszawy Waryłkiewicza; usiedliśmy więc razem w wagonie i ruszyli ku Prusom.

Nad ranem stanęliśmy w Kolonii. Wypiwszy kawę, usadowiliśmy się na swoich miejscach, czekając chwili odjazdu. Dzwonek dał sygnał, pociąg jednak stał w miejscu: zdziwiony tą nieakuratnością, nie zdarzającą się w Niemczech, wyjrzałem przez okno. To, co zobaczyłem, przykre, bardzo nawet przykre wywarło na mnie wrażenie. Wrażenia tego doznawałem tylko ja jeden, niestety! Oto, co mnie tak nieprzyjemnie uderzyło: na platformie było kilku żandarmów, którzy wraz z policyą towarzyszyli jakiemuś policyjnemu urzędnikowi, chodzącemu od wagonu do wagonu i oglądającemu paszporta podróżnych. Ja paszportu, jak wiadomo, nie miałem, a w dodatku jeszcze pełne kieszenie rewolucyjnych papierów.

— Spójrz no! — szepnąłem do Waryłkiewicza — co to się znaczy? Przecież tu nigdy tego nie bywało.

Waryłkiewicz spojrzał i również, jak i ja, się zadziwił. Urzędnik policyjny, przechodząc kolejno, zbliżał się już do nas.

Niemcy krzyczeli na dziwne i nieznane formalności, pytając o powód. Powodem było, jak oświadczył policyant, powstanie w Polsce i ciągły przejazd emisaryuszów z Francyi do Polski i na odwrót. Oświadczenie to uspokoiło Niemców, na mnie jednak wcale przeciwne wywarło wrażenie.

— Czy ty masz paszport? — zapytałem Waryłkiewicza.

— Mam — odpowiedział — ale nie wiem, czy ci się na co przyda? — rzekł, odgadując myśl moją i pokazując mi bilet jakiś z takim rysopisem, że przyjąć go w żaden sposób nie mogłem.

— Pewno masz jakieś papiery? — szepnął Waryłkiewicz, zbliżając się ku mnie.

— Mam, i tak ważne, że chyba zniszczyć je trzeba, a znów zniszczenie ich wiele nabawi kłopotu Komitet Centralny, zwłaszcza że w Warszawie z niecierpliwością na te papiery czekają.

— Nie niszcz papierów jeszcze; zapytam się, czy mają paszporta moi dwaj koledzy.

Mieli oni wprawdzie pruskie paszporta, lecz oba byli bruneci, o ile pamiętam, ja zaś blondyn, nie mówiąc już o innych niepodobieństwach w rysopisie. Poprosiłem jednak o paszport jednego z nich na wszelki wypadek, tłómacząc mu, iż aresztowanie moje wiele złego może wyrządzić, jego zaś po sprawdzeniu tożsamości osoby wypuszczą z pewnością. Młody ten kompatryota przystał natychmiast na moją propozycyę i zaczął szukać swego paszportu. Ja zaś, ułożywszy ważniejsze papiery, oddałem je na wszelki wypadek Waryłkiewiczowi z poleceniem w razie mego aresztowania odstawienia ich do Warszawy w naznaczone miejsce. Mniej ważne papiery, jak upoważnienie moje i nominacya na pełnomocnika, postanowiłem zniszczyć. Kiedy tak zajęty cały i schylony przeglądam papiery, trzymając w ręku ową z pieczęciami narodowemi nominacyę, rozmyślam, jak tu się wywinę z tej pułapki, słyszę nagle nad sobą jakieś niemieckie słowa; podniosłem oczy, patrzę, a tu przedemną stoi urzędnik policyjny. Zmieszało mnie to troszkę, ale nad moje spodziewanie urzędnik, szepnąwszy coś i skłoniwszy mi się lekko, zwrócił się do moich towarzyszy i spojrzawszy ledwo na paszporta, wybiegł do dalszych wagonów.

— Co to się ma znaczyć? — zapytałem mych kolegów.

— Wyborny policyant! — zawołał, śmiejąc się, jeden z młodych — on Pański narodowy papier wziął za paszport, gdyż spojrzawszy się tylko na pieczęcie, szepnął: »Jeszcze też nigdy nie widziałem takiego paszportu!« A to doskonała historya — i wszyscyśmy się śmiać zaczęli.

Zaledwie mogłem wierzyć tak szczęśliwemu skończeniu owej zbierającej się nademną burzy. Uspokoiłem się i uwierzyłem dopiero, gdyśmy ruszyli ku Berlinowi. Na drugi dzień stanąłem w Bydgoszczy, gdzie na mnie już oczekiwał jeden z urzędników kolei z Aleksandrowa dla mego przeprowadzenia przez granicę. Ostrożność ta tem była konieczniejsza, że już na granicy jacyś podejrzani ludzie nibyto przybyli od Komitetu z zapytaniami, kiedy ja wracać będę i że oni mają mi ułatwić przedostanie się do Warszawy. Takie niepocieszające wiadomości opowiadał mi ów wysłaniec z Aleksandrowa. Na zapytanie moje, czy niema jakich telegramów do mnie, lub którego z kolegów, oczekujących na granicy, oświadczył, iż nic kompletnie nie otrzymali. Zdziwiony byłem takiem zapomnieniem, gdy zwłaszcza ułożone było, aby na każdej stacyi kolei oczekiwał ktoś z organizacyi dla odbierania rozporządzeń, jakie mógłbym z polecenia Mierosławskiego lub dla przygotowań wojennych wydawać, a również mieli owi oczekujący służyć mi pomocą w mej drodze, gdyby się jaka ku temu konieczność okazała.

Wieczorem z owym urzędnikiem przybyłem do Aleksandrowa i przenocowawszy, puściłem się dalej w drogę, zdziwiony, że nikogo z organizacyi na stacyi nie widzę. Na drugiej czy trzeciej dopiero stacyi cała rzecz się wyjaśniła. Owi przysłani, niby podejrzani ludzie, o których mi wspominano, byli to w rzeczywistości wysłańcy Komitetu, między innymi był tam Neuding; tylko, że obaj mojżeszowego wyznania i za wiele o swych znajomościach rozprawiali, z niedowierzaniem przeto zostali przyjęci od urzędników kolei, i nic im oni o mym przyjeździe umyślnie nie wspominali. A ponieważ Neuding miał z granicy po zobaczeniu się ze mną telegrafować do stacyi innych o moim przyjeździe dla uwiadomienia oczekujących na mnie ajentów, a zatem nie otrzymując zawiadomień, siedzieli spokojnie na stacyach. Dowiedziawszy się o tych pomyłkach od jednego wypadkiem spotkanego wysłańca, po-

słałem zaraz telegram na granicę i do Warszawy o mym przyjeździe. W Kutnie spotkałem się już z oczekującymi, a później i Neuding drugim przyjechał pociągiem. Wieczorem przybyłem do Warszawy i natychmiast udałem się do Marczewskiego i Bobrowskiego dla zdania im sprawy z mych czynności.

Nazajutrz zaś rano, jak tylko czas znalazłem, pobiegłem naturalnie do Karolci przywitać ją z podróży. Wszedłszy do salonu, nie zastałem nikogo, gdyż panie nie były jeszcze ubrane i zajmowały się tualetą w drugim pokoju; gdy służący zameldował moją wizytę, usłyszałem radosny głos Karolci: »Władek, Władek przyjechał!« — i za chwilę była w moich objęciach. Matka nie pokazywała się jeszcze, mogliśmy więc do syta się uściskać i nagadać.

— Ach, jaka ja szczęśliwa! Słyszałeś, jak nieostrożnie krzyknęłam: »Władek przyjechał!« Mama tak się dziwnie na mnie spojrzała. Tyś przy mnie, a myślałam, że nie prędko powrócisz, i znów pozostaniesz!

Za chwilę weszła i matka i rozmowa na inną zwróciła się drogę.

Wyszedłszy z ich domu, rzuciłem się znów w wir naszych komisyjnych czynności. Wiele tu oczekiwało mnie nowin: a najprzód Komisya nasza trzech powiększyła się przyjęciem Gillera, Wernickiego i jeszcze innych. Członkowie przyszłego Rządu powrócili z swej nieszczęśliwej wędrówki. Nie znaleźli oni nigdzie wygodnego punktu, t. j., tak silnego oddziału, w którymby mogli stolicę Rządu założyć. Dwóch z nich, t. j. Janowski i Mikoszewski, pozostali przy oddziale Langiewicza w Krakowskiem, nie chcąc powracać do Warszawy po niefortunnej wycieczce, Awejde zaś i Majkowski powrócili do Warszawy i przyjęli udział w pracach Komisyi, oczekując na przybycie dwóch swych towarzyszy. Położenie powstania i nastrój umysłów był do niepoznania zmieniony. Znakomita większość opinii stanowczo już ogłosiła się za powstaniem i wszelkiemi siłami gotowano się pomagać powstaniu, wierząc w pomyślny jego rezultat. Mała część tylko partyi Białej przyjęła wybuch za fakt spełniony, za nieszczęście, którego już odwrócić nie można, ale w szczęśliwe zakończenie walki, w przyszłość rozpoczętego dzieła patrzała z wielką wątpliwością i niewiarą, licząc li tylko

na obcą interwencyę. Młodzież zato gorzała wojennym zapałem; przeszłe wahanie się znikło przy odgłosach walki o niepodległość. Kobiety polskie wiele przyczyniały się do rozbudzenia zwątpiałego z początku ducha przez swe mowy i gorące zachęcanie. Mnóstwo było kandydatów do oddziałów tak, że Komisya musiała aż wstrzymywać ludzi, stojących na ważnych postach organizacyi, od dezercyi w szeregi walczących. Na prowincyi również wielu okręgowych naczelników powiatów i miast rzuciło swe urzędy, udając się na pole walki, niepomni, że daleko ważniejsze usługi oddawali powstaniu przez wypełnianie trudnych i więcej może niebezpiecznych obowiązków, niż walczący z bronią w ręku ochotnicy.

Ogólny prąd ten opinii i na mnie swój wpływ wywarł. Zacząłem jaśniej patrzeć w przyszłość naszego ruchu. Sympatye Francyi, o jakich naocznie miałem sposobność się przekonać, dodawały mi niezłomnej nadziei w wywołanie zagranicznej pomocy. Chodziło teraz głównie o to, aby jak najwięcej i najszerzej ruch nasz rozpostrzeć, jak najwięcej dać mu potęgi i rozgłosu, aby obce mocarstwa ujrzały, iż naród nasz nigdy nie zapomniał swej dawnej niepodległości i swobody.

Całe teraz czynności Komisyi zwrócone były na trzy główne rzeczy, t. j., na wydostanie pieniędzy przez opodatkowanie kraju, zakupienie i sprowadzenie broni, oraz dostarczenie nowo tworzącym się oddziałom zdolnych dowódzców. Po powrocie mym z Paryża zająłem się natychmiast przygotowywaniami dla formacyi eskortowego oddziału przyszłego Dyktatora. Nie mogąc sam osobiście wglądać przy moich czynnościach w drobniejsze szczegóły, jako to: przygotowanie mundurów, czapek, drukarni polowych, aptek, broni siecznej i t. p., wyręczali mnie w tem moi pomocnicy, jak Landowski Paweł, Janczewski i Orł[owski], przyjmując na siebie wszelkie te trudy przygotowawcze. Komisya naturalnie nie odmawiała funduszów.

Upewnieni już o przyjęciu dyktatury przez Mierosławskiego, rozesłano kuryerów do naczelników województw z tą ważną wiadomością, polecając im jednak czasowe zachowanie tajemnicy o tym fakcie aż do dalszych rozporządzeń. Wszyscy naczelnicy województw przyrzekli swoje posłuszeństwo nowemu dyktatorowi, nawet tacy, jak Langiewicz i Padlewscy, którzy

osobiście wielce byli przeciwni oddawaniu najwyższej władzy w ręce nieprzyjaznego im człowieka.

Oddział dla Mierosławskiego miał być uformowany w Prusach. Punkt zborny naznaczony był około Gołubia i Dobrzynia i w tychże okolicach za przybyciem dowódzcy miał ten hufiec wkroczyć do województwa płockiego. Ponieważ jednak Mierosławski od czasu powstania poznańskiego nie szczycił się wielką sympatyą obywateli tamecznych, chowano więc w tajemnicy wiadomość, że to mianowicie pod jego rozkazami ma się znajdować ten oddział. Ułożywszy wszystko co do czasu i miejsca z jednym z wysłańców od tamtejszych obywateli, posłała Komisya zawiadomienie do Mierosławskiego o miejscu i czasie zgromadzenia się oddziału, dla niego przeznaczonego, a do którego jeszcze miano z Warszawy wysłać kilkudziesięciu inteligentniejszej młodzieży, mającej stanowić niejako straż honorową Dyktatora, z której zarazem mógłby Mierosławski używać na wojennych kuryerów lub wysyłać z innemi jakiemi misyami i poleceniami do województw jako młodzież, na której zupełnie i z ufnością mógł już polegać. Wyborem i wysyłką tej młodzieży sam już ja osobiście się zajmowałem, stosownie do przyrzeczeń, danych Mierosławskiemu.

Czynności Komisyi powiększonej, w części usystematyzowane i doprowadzone do niejakiego ładu, były bez porównania od naszych dawniejszych prac mniej uciążliwe; codziennie jednak miewaliśmy posiedzenia dla zadośćuczynienia bieżącym czynnościom. Litwa, Wołyń, Podole i Ukraina oczekiwały jeszcze na hasło wybuchu, które na wiosnę dopiero miało być wydane. Młodzież uniwersytecka, skłaniająca się z początku ku Białej partyi, teraz całą siłą, większość jej przynajmniej, rzuciła się do ruchu narodowego; najzaciętsi jednak przeciwnicy ciągle szemrali, choć już w cichości, na nieszczęścia i bezpotrzebne wysyłanie i gubienie ludzi.

— Nie trudno to — mówiono — wysyłać ludzi na rzeź i boje, siedząc sobie wygodnie w Warszawie, i wydawać z mieszkania rozkazy. Dlaczego to nikt z Komitetu lub wyższej organizacyi nie da osobiście dobrego przykładu?

Łatwo zapewne można było odpowiedzieć, iż nie wszyscy powołani są do kosy lub karabina, iż część jakaś musi być na stanowiskach innych, również pod obawą śmierci działając z ta-

kiemże, [co] i walczący, poświęceniem w sprawie narodowej i t. d. i t. d. Czułem jednak, iż danie przykładu dla tej młodzieży, która mnie zawsze widziała jako głównego między nimi pracownika w konspiracyi narodowej, było stokroć lepszą odpowiedzią, niż wszelkie dowodzenia i najrozumniejsze wywody. Postanowiłem przeto osobiście oddział Mierosławskiemu przyprowadzić i walczyć razem z tymi, których na boje wysyłałem. Obecność moją w Warszawie nie uważałem za tak konieczną, abym dla niej opuszczał sposobność pokazania, iż nie wszyscy członkowie Komitetu pozostają tylko widzami walki, daleko od nich się odbywającej, jak to niechętni rozpuszczali. Wspominam jednak, że zasiadanie w Komitecie podówczas za niebezpieczniejsze uznawałem, niż zaciągnienie się w szeregi ochotników; lecz wyżej wymienione powody, jak również i na pół dane zapewnienie Mierosławskiemu, skłoniły mnie do oświadczenia Komisyi o mym zamiarze udania się wraz z oddziałem na granicę dla spotkania Mierosławskiego, a tam już postąpienia stosownie do rozporządzeń Dyktatora, któremu wszyscy od wstąpienia jego na ziemię polską mieliśmy ulegać.

Zebrawszy bardziej zaufanych kolegów, oświadczyłem im o moim zamiarze i natychmiast, dla nietracenia czasu, zajęliśmy się wysyłaniem ochotników, złożonych z samych prawie akademików i studentów Szkoły głównej, na zborny punkt, którym to punktem były lasy około Nieszawy, blizko stacyi kolei żelaznej. Za pierwszymi ochotnikami wyjechał W. Stawiński, jako wyznaczony ajent, celem wybrania stosownej w tych lasach pozycyi, oraz dla urządzenia wszelkich potrzeb, żywności, komunikacyi z tameczną powiatową organizacyą i t. p. Paki z ubraniami, mundurami, kosami, drukarnią i t. p. wysyłano koleją żelazną na oznaczone miejsce. W końcu urządziwszy w Warszawie moje stosunki, wziąwszy z sobą na wszelki wypadek kilka pustych blankietów Komitetu, zabrałem się i ja do wyjazdu.

Ostatni dzień przed wyjazdem, a mianowicie część wieczoru, poświęciłem osobistym swoim sprawom, a mianowicie pożegnaniu z moją ulubioną. Wiedziała już ona o mym zamiarze, próbowała mnie od niego odwrócić, ale czuła niemożebność, a nawet niewłaściwość w namowie odstąpienia tego, co uważałem za święty obowiązek. Pożegnanie było długie a smu-

tne, bo może nigdy już w tem życiu widzieć się nie będziemy. Tam, gdzie się udawałem, na pole walki, śmierci nie trudno było mnie znaleźć. Tysiące przyrzeczeń z ust jej i moich wiecznej, niezapomnianej miłości, prośby i przyrzeczenia, łzy i zaklęcia — oto główna treść tych bolesnych chwil. Przyrzekłem jej, że się bardzo narażać nie będę, że postaram się, jeżeli okoliczności pozwolą i jeżeli nie zginę, przyjechać za kilka dni w Płockie, gdzie ona cały luty i część marca wraz z matką bawić zamierzała. Otrzymawszy z jej rąk na pożegnanie medalionik ze świętościami na złotym łańcuszku i kilka chorągiewek, własną jej ręką dla naszego oddziału do lanc uszytych, a na jednej nawet wyszyła drobną swą cyfrę, gdyż dla mnie wyłącznie służyć ona miała — wyszedłem nareszcie z sercem, przejętem boleścią i wzruszeniem. Nazajutrz, gotowy już do drogi, znalazłem jeszcze chwilkę czasu, aby się z nią jeszcze zobaczyć. W podróżnem, bojowo-powstańczem odzieniu, wpadłem do jej domu i raz jeszcze długim i gorącym uściskiem pożegnaliśmy się na długo, może na zawsze.

XXI.

Zniechęcenie w obozie. — Mierosławski w Prusach Zachodnich i w Poznańskiem. — Obóz pod Krzywosądzem. — Wycieczka autora na posiedzenie okręgowych i nocny powrót z bronią. — Potyczka pod Krzywosądzem i odwrót przez Radziejów ku Płowcom. — Połączenie z Mielęckim.

Wszystkie przygotowania były już pokończone i zostawiwszy ostatnie instrukcye, wsiadłem na kolej żelazną.

W kilka godzin byłem już u celu mej podróży, na stacyi pod Nieszawą. Stosownie do poleceń jeden z organizacyi oczekiwał mnie na stacyi i prawie natychmiast pośpieszyłem do blizko leżących lasów (o ile pamiętam, Niszczewskich lasów), gdzie się znajdował nasz maleńki obóz. Pierwszy raz miałem zobaczyć powstańczy nasz oddział.

Zbliżyliśmy się do brzegu lasu. Wszedłszy w jego wnętrze, ujrzeliśmy pikietę z pojedynką na placu; był to jeden ze studentów Szkoły głównej. Poznawszy mnie, wskazał mi drogę samego obozu, opowiadając zarazem nie bardzo pomyślne rzeczy o duchu, panującym w oddziale. Od kilku dni młodzi i nie przywykli do trudów wojennych ludzie, bez namiotów i stosownego odzienia, bez należytego uzbrojenia i ciepłej żywności, gdyż ognisk lękali się rozkładać, aby nie ściągnąć napadu ze strony wojska na ten zaczątek oddziału, liczący nie więcej nad 40 młodzieży; nic więc dziwnego, że zniechęcenie wkradać się zaczęło, gdy zwłaszcza ani spodziewanego dowódzcy, ani mającego przybyć silniejszego oddziału widać nie było. Takie mniej więcej otrzymałem sprawozdanie, które, niestety, za przybyciem mojem na miejsce w zupełności się potwierdziło.

Udawszy się wskazaną drogą, po chwilowem błądzeniu ujrzałem nareszcie małą gromadkę młodzieży, siedzącą w gąszczy leśnej przy wetkniętych w ziemię kosach i opartych o drzewa strzelbach myśliwskich. Gdy mnie ujrzano, rzucili się wszyscy na me spotkanie w nadziei, że nareszcie los ich się wyjaśni. Byli to wszyscy po większej części koledzy moi aka-

demiccy. Zarzucili mnie tłumem zapytań, na które trudno mi było odpowiedzieć. Dowiedziałem się też od nich niespodziewanej wiadomości, że oficer ordynansowy jen. Mierosławskiego przybył do obozu, dopytując się o mnie, z ważną jakąś od Mierosławskiego wiadomością. Wkrótce przybył ów oficer ordynansowy z rekonesansu, jaki z kilkoma ochotnikami odbywał. Był to młody i energiczny człowiek, nazwiskiem Zejfryd. Wysłany został od Mierosławskiego w celu skomunikowania się ze mną i udzielenia mi niebardzo pomyślnych wiadomości o owym oddziale, który na granicy Płockiego miał oczekiwać Mierosławskiego dla wkroczenia z nim do kraju. Oddział ten, złożony z tamecznej szlachty i młodzieży, niechętnych Mierosławskiemu, i podburzony jeszcze intrygami Chmieleńskiego, który nie mając urzędownego zawiadomienia o nominacyi Mierosławskiego (gdyż nominacya ta stanowiła jeszcze czasową tajemnicę), sądził, iż uczyni przysługę Komitetowi, stawiając przeszkody wkroczeniu jego jako nieprzychylnemu Organizacyi, oddział ten w wilię przyjazdu Mierosławskiego do Prus Zachodnich rozwiązał się. Tak więc Dyktator, zamiast spodziewanej eskorty i siły wojennej, zastał tylko niechęci, a co gorsza, policyę pruską, silnie zajętą jego szukaniem, gdyż wieść o jego przybyciu nie była trzymaną w tajemnicy. Zmuszony przeto tułać się od dworu do dworu z kilku przywiązanymi do siebie oficerami, ukrywając się pod obcem nazwiskiem z obawy, aby dawna nienawiść tamtejszych obywateli nie odmówiła mu schronienia. Po paru dniach takiego tułactwa dostał się ubocznemi drogami do W. ks. Poznańskiego, gdzie jeszcze większe musiał zachowywać *incognito*. Wiadomo bowiem, jaką choć niesłuszną, pozostawił po sobie opinię w gronie szlachty, poznańskiej. Tu przynajmniej choć na pomoc ludu, ubóstwiającego go zawsze, mógł liczyć. Dostawszy się nareszcie do jednej nad granicą Królestwa leżącej wioski, wysłał Zejfryda dla dopytania się o jaki najbliżej stojący oddział, aby na jego stanąć czele, zwłaszcza że przebywanie jego w Poznańskiem bardzo już robiło się niebezpiecznem. Polecił również Zejfrydowi ze mną się skomunikować.

Takie otrzymawszy wiadomości, zmieniłem naturalnie cały mój plan co do przeprowadzenia oddziału w Płockie. Umówiwszy się z Zejfrydem, aby wracał zaraz do Mierosławskiego

i zawiadomił go o stanie naszego małego oddziału, czekającego na jego rozkazy, dodałem, iż znajdującemu się w blizkości Mielęckiemu, na czele kilkuset ochotników, wydam natychmiast polecenie przyłączenia się do nas w naznaczonym punkcie; tak połączony zastęp będzie już mógł jaką taką siłę reprezentować, nad którą obejmie dowództwo jen. Mierosławski.

Wybrawszy za punkt połączenia wieś Krzywosądz, gdzie tejże nocy nasi mieli przymaszerować, i ułożywszy na dzień jutrzejszy lub pojutrzejszy wkroczenie do kraju Mierosławskiego, wyjechałem z obozu do poblizkiej wioski dla porozumienia się z naczelnikiem powiatu, lub innemi jakiemi władzami organizacyjnemi celem dostawienia żywności, ochotników i t. p. do Krzywosądza. Przeprowadzeniem oddziału zajął się Stawiński z B. i innymi. Wróciwszy na stacyę kolei żelaznej, napisałem do Komisyi sprawozdanie o wszystkich otrzymanych wiadomościach, tyczących się Mierosławskiego, i wysłałem je przez umyślnego posłańca.

Nad wieczorem z przybyłym po mnie Stawińskim wyjechałem do wioski, której nazwiska już nie pamiętam, a gdzie miał mnie oczekiwać komisarz wojewódzki, Żegliński. Mocno się ucieszyłem z przybycia samego komisarza, osobiście mi znajomego, gdyż jego obecność zaręczała mi natychmiastowe wypełnienie wszelkich poleceń. Dowiedziawszy się od niego o miejscu, gdzie się znajduje oddział Mielęckiego, napisałem zaraz na blankiecie Komitetu (których wziąłem kilka z sobą) rozkaz, aby w taki a taki dzień, t. j. na jutro wieczorem, przyprowadził cały swój oddział do Krzywosądza dla połączenia go z formującym się tam oddziałem pod dowództwem naczelnego wodza, jen. Mierosławskiego. Rozkaz ten miał sam Żegliński Mielęckiemu doręczyć, lub przez zaufanego człowieka natychmiast przesłać.

Załatwiwszy się już z Mielęckim i odpocząwszy chwilkę, wyjechałem ku Krzywosądzowi dla dowiedzenia się, czy ochotnicy są już na miejscu i co się też tam z nimi dzieje. Późno już w nocy dobrałem się do poblizkiego Krzywosądzowi lasku, gdzie ujrzałem nieszczęśliwy ów oddziałek, zmordowany bezsenną nocą i kilkugodzinnym śpiesznym marszem, drżący od wilgotnego powietrza, gdyż chociaż mrozu, mimo iż to był początek lutego, nie było, powietrze jednak nocą bardzo było

przejmujące. Ogni z obawy napadu nie palono. Pikiety, porozstawiane za nadto blizko, nie wiele ubezpieczały obóz od nagłego i niespodziewanego ataku. Kiedy przybyłem, wielka była wrzawa w obozie i skargi ciągłe o nieprawidłowe rozstawianie pikiet, jako też o niejednostajną ich zmianę, tak, że zdarzało się niejednej pikiecie po 6 i 8 godzin stać na straży. Uspokoiwszy, jak mogłem, obozowe waśnie i podniósłszy ich nadzieje, opuściłem nad ranem obóz w celu zobaczenia się z Mierosławskim i skłonienia go do jak najśpieszniejszego przybycia, gdyż zniechęceni ochotnicy powątpiewali już o jego pojawieniu się w kraju.

Nazajutrz, a raczej tegoż samego dnia przed południem wyjechałem ku granicy W. ks. Poznańskiego w punkt naznaczony. Nie dojeżdżając jeszcze granicy, zobaczyłem przed dworem jednej wioski stojących kilku ludzi ustrojonych i parę osiodłanych koni. Niepewny, czy to nasi czy ruscy, kazałem się wstrzymać. Na szczęście ujrzano mnie z dworu i zaczęto machać rękami, abym pośpieszył. Przybywszy, ujrzałem Raczkowskiego, Rościszewskiego i kilku innych towarzyszy, którzy uwiadomili, iż Mierosławski był tu przed godziną i obecnie znajduje się już w obozie. Ucieszony tą wiadomością, pozostałem z nimi, aby wspólnie już przyjechać do Krzywosądza. Za chwilę osiodłano nam konie i pomknęliśmy do lasów krzywosądzkich.

Przybywszy na miejsce, zastałem obóz cały pod bronią, uczący się mustry i wojennego ordynku. Inny już duch panował w oddziale, czuć było, że przybycie naczelnika ożywiło zwątpiałych, nadając im pewności we własne siły i rodząc nadzieję świetniejszej przyszłości. Mierosławskiego nie było przy mustrze, objeżdżał on ze swymi adjutantami pikiety i rozpatrywał stanowisko obozu. Udałem się na wskazane miejsce w towarzystwie jednego z oficerów, który już oczekiwał dla przyprowadzenia mnie natychmiast do jenerała. Puściliśmy się cwałem we wskazanym kierunku. Na samym krańcu lasu ujrzałem gromadkę konnych ludzi, z których jeden rozglądał lunetą przyległe łąki i zarośla. Pośpieszyłem ku niemu. Był to jen. Mierosławski, lecz tak zmieniony przez ogolenie swej długiej, szerokiej brody, wąsów i ostrzyżenie włosów, iż dopiero po głosie go poznałem. Przywitał mnie z wielką serdecznością,

rozpytując się o sprawy warszawskie i o szczegóły tutejszej miejscowej organizacyi. Objechawszy z nim pikiety, wróciliśmy do obozu, który na inne miejsce został przeniesiony. Teraz dopiero mogłem się rozpatrzeć w otoczeniu Mierosławskiego. Było tam parę starych emigrantów z 30-go roku, jak major Celiński i inni, oraz oficerowie garibaldyjscy: major [Feliks] Buski, kapitan Krosnowski, a oprócz nich kapitan wojsk brazylijskich Raczkowski i kilku jeszcze, których nazwisk nie pamiętam, z młodzieży genueńskiej: Białobrzeski J., Wrzeszcz, Pétyon, Ramlow S. Oto mniej więcej nazwiska, jakie sobie przypominam, a prócz tych jeszcze sekretarz Mierosławskiego J. Kurzyna, oraz Rościszewski i Zejfryd, o którym już wspominałem. Liczba wszystkich przybyłych nie przewyższała, o ile pomnę, 20, a wraz z przybyłymi z Warszawy dochodziła zaledwie do 60 ludzi. Broni prócz kilkunastu dubeltówek, kilku rewolwerów i pałaszy, oraz kos, poprzywiązywanych sznurami do drzewców, żadnej więcej nie było; o amunicyi i mówić nie warto. Taki to był oddział, złożony wprawdzie z najszlachetniejszej młodzieży, ale bez broni, z którym Mierosławski pierwsze kroki miał stawiać na polu naszego powstania.

Urządziwszy obóz, ponaznaczawszy oddzielnych oficerów, mających czuwać nad porządkiem, kazawszy rozpalić ognie, zajął się Mierosławski przyprowadzeniem do jakiegokolwiek możliwego stanu broń sieczną. Rozkazał przeto w Krzywosądzu kupić miech od kowala, założyć kuźnię przy obozie i przez całą noc rozprostowywać kosy i osadzać je na drzewcach. Powyjmowano również z pak, z Warszawy przywiezionych, ostrza lanc w celu osadzenia ich na drzewca dla przyszłej konnicy. Całą tę noc przepędziliśmy w lesie na porządkowaniu narzędzi wojennych, które niestety w bardzo niewielkiej były liczbie. Mierosławski, aczkolwiek zmęczony, również nie spoczywał, rozpatrując mapy topograficzne i rozpytując mię się o różne szczegóły, a mianowicie, kiedy może Mielęcki z oddziałem przybyć; według polecenia należało się go jutro spodziewać.

Nad ranem, po małym na ziemi przy ognisku spoczynku, zostałem zawezwany znów do Mierosławskiego. Chodził blady i drżący z gniewu, wymawiając groźnie oderwane wyrazy.

— Co się stało, jenerale? — zapytałem, zdziwiony tym niespodzianym gniewem.

W gwałtownych słowach rozpowiedział mi o zdradzie, jak ją nazywał, kowala krzywosądzkiego, który sprzedał dziurawy miech, tak że przez całą noc ognia rozdmuchać nie mogli i ani jednej kosy lub lancy na drzewce osadzić. Umyślnie przytaczam ten drobny fakt, pobudzający piorunujące wystąpienie Mierosławskiego, a które rzucając postrach na okoliczną organizacyę, zmusiło ją do ścisłego i natychmiastowego wypełniania jego poleceń. Zaledwie dokończył Mierosławski swego opowiadania, gdy przybył wysłany adjutant po owego kowala do wsi z wiadomością, iż kowal zemknął do Prus. Rozzłoszczony jeszcze więcej wiadomością o ucieczce winowajcy, rozkazał jenerał przyprowadzić jego żonę i dzieci wraz z całym dobytkiem, a chatę, jeśli się okaże, że kowal ze złym zamiarem działał, spalić i z ziemią zrównać. Na nie na czasie zrobioną uwagę wójta gminy, że chłopi mogą się oburzyć na takie postępowanie i co na to powie szlachta, gniew jen. Mierosławskiego wzrósł do ostatecznych krańców.

— Dwóch strzelców niech wystąpi z szeregu — zawołał grzmiącym głosem, blady ze wzruszenia jenerał. — Idźcie za tym człowiekiem, on wam wskaże chatę kowala. Odwieść kurki: jeżeli wójt gminy okazałby jakie sprzeciwienie mym rozkazom, macie mu natychmiast kulą w łeb wypalić. Jeżeli chłopi mieliby się buntować, poszlę oddział i wieś na cztery rogi każę podpalić, zniszczę ją, że śladu nie będzie, gdzie stała. Ale nie lękam się ludu — lud mnie kocha; to wy, szlachta, zepsuliście go. Tak mnie to przyjmujecie na tej ziemi, do której przez lądy i morza, przez niebezpieczeństwa i śmiercie przyszedłem, aby was z niewoli oswobodzić? To jak jeden kozak przyleci do was z rozkazem, to słuchacie go i drżycie przed nim, bo wiecie, że on reprezentuje siłę: a ja, ja reprezentuję całą Polskę! Każdy mój żołnierz mnie przedstawia: słuchać go winniście, bo jestem straszny na zdrajców i nieposłusznych władzy narodowej. Pamiętajcie, że mam topór i głownie: co nie wytnę, to spalę.

I długo w taki sposób rozlegał się grzmiący głos jenerała, błyskając gniewem i wymową i niemałe czyniąc wrażenie na obecnych. Obóz cały stał pod bronią, słuchając w niemem wzruszeniu tej piorunującej mowy. Cała rzecz naturalnie skończyła się w bardzo pokojowy sposób. Jenerał, uspokoiwszy

się, odwołał swoje rozkazy, wyrażając nawet żal za zbytnie uniesienie; ale nie mógł być panem siebie, widząc tę młodzież, gotową na boje, a której żadnej broni dać nie mógł, nawet kos i lanc na drzewce osadzić, aby napad wojenny odeprzeć. Gdy przyprowadzono żonę i dzieci kowala, łagodnie do nich przemówiwszy, odesłał do domu, zapowiedziawszy jednak, że męża jej nie tylko z Prus, ale nawet z piekła dostanie.

Wystąpienie to jednak dobry wywarło wpływ na subordynacyę wojenną, gdyż przekonało ochotników, że z Mierosławskim żartować nie można. Nam jednak, bliżej go znającym, dobrze było wiadome, iż srogość jego jest tylko chwilowym wybuchem, kończącym się na słowach. Nie był on bowiem krwiożerczym i nawet schwytanego w pół godziny po tej scenie jakiegoś niby podejrzanego człowieka i którego sąd wojenny na śmierć doraźnie skazał, polecił uwolnić, mówiąc, że nie chce swych pierwszych po Polsce kroków znaczyć szubienicami.

W parę godzin później wyjechałem do poblizkich wiosek dla widzenia się z ajentami powiatowymi, w celu polecenia im wysyłania śpiesznego ochotników do naszego obozu. Wróciwszy z tego posiedzenia do oddziału, dowiedziałem się, iż Mielęcki osobiście, choć bez oddziału się stawił dla porozumienia się co do przyprowadzenia swego oddziału i obiecał ze swymi ochotnikami przed nocą przybyć do Krzywosądza. Wieczorem tegoż dnia przybyło z dalszych stron kilku młodych ludzi z zawezwaniem, abym na posiedzenie okręgowych do niepamiętnej mi wsi przybył, gdzie ma być złożona broń i ochotnicy. Ponieważ tego nam właśnie brakowało, wyjechałem więc z tymi młodymi, z których jeden nazywał się Czajkowski, ku pruskiej granicy. W drodze dowiedzieliśmy się, że widziano oddział Mielęckiego, śpieszący ku Krzywosądzowi, tak, że za parę najdalej godzin powinien był z nami się połączyć. Wieczorem, przybywszy z Czajkowskim do oznaczonego dworu, zastaliśmy tam kilku obywateli i rosyjskiego oficera, Iwancewa, który należąc do towarzystwa rewolucyjnego oficerów rosyjskich, przeszedł na naszą stronę, aby walczyć za swobodę. Rozmówiwszy się z zebranymi tam okręgowymi, nie znanymi mi z nazwisk i których pierwszy raz widziałem, i poprosiwszy ich o jak najśpieszniejsze wysyłanie do naszego od-

działu ochotników, broni i t. p., po małym wypoczynku ruszyłem wraz z Iwancewem nocą na wozie, wyładowanym bronią, ku naszemu obozowi. Dla bezpieczeństwa od kręcących się w niedalekiej okolicy kozaków, nabił Iwancew dwie pary pistoletów, z których jedną parę mnie na pamiątkę podarował, i zatknąwszy je za pasem, jechaliśmy, nastawiwszy uszy.

Noc była tak ciemna, że i o parę kroków nic widzieć nie było można. Na nieszczęście furman nasz zabłądził i wśród ciemności drogi nie mógł znaleźć. Iwancew, podejrzewając zdradę, odwiódł kurek, zaklinając, że jeżeli w 5 minut nie znajdzie drogi, w łeb mu wypali. A można było powierzyć, iż zaklęcia dotrzyma, bo przed paru godzinami, gdy na tymże wozie z bronią przez granicę z Poznańskiego wjeżdżał i przez pomyłkę wyjeżdżającego jednego z naszych na jego spotkanie konno wziął za objeżczyka nadgranicznego, nie namyślając się długo, palnął wprost ku niemu; na szczęście, że kula tylko rękaw paltota przebiła. Tymczasem zastraszony furman, płacząc, modląc [się] i zaklinając o swej niewinności, znalazł nareszcie drogę i szybko popędził. Przyjechaliśmy nad przewóz; promu nawet dojrzeć wśród ciemności nie było można, tylko domacaliśmy go się po sznurze i z ostrożnością wóz spuściwszy, przeprawili się na drugą stronę.

Już nade dniem, strudzony i znękany, dowlokłem się do obozu, witany radośnie przez naszych, jako dostawca oręża, którego tak prędko się nie spodziewali. Nie wielki to był oręż, bo kilkanaście dubeltówek oraz kilka par pistoletów, pałaszy i trochę amunicyi; ale dla bezbronnych było to skarbem prawdziwym. Przedstawiłem Iwancewa jen. Mierosławskiemu, który go zaraz naznaczył na ordynansowego oficera. Obóz przybrał więcej wojowniczą postawę, gdyż wszyscy, dla których nie dostawało palnej broni, otrzymali kosy dobrze okute i wyprostowane, kilku zaś kawalerzystów dostało nowo przygotowane lance.

Mimo jednak wszelkich tych w nocy pokończonych przygotowań maleńki nasz oddział nie był zdolny wytrzymać ataku regularnego wojska i dlatego też z niecierpliwością oczekiwali wszyscy przybycia spodziewanego oddziału Mielęckiego, który byłby nam rzeczywistą pomocą. Dziwiło mnie wielce, że jeszcze Mielęcki nie przybył, gdyż w wilię powrotu mego do

obozu Mielęcki o parę zaledwie tylko mil był od Krzywosądza oddalony. Około 6-ej czy 7-ej rano przybyła przednia straż Mielęckiego, z 30 coś kawaleryi złożona. Na zapytanie, jak daleko oddział, otrzymaliśmy ze zdziwieniem odpowiedź, iż Mielęcki od wczoraj nas szuka i że oni, przednia straż oddziału, odcięli się od głównych sił Mielęckiego, lecz z pewnością on lada chwila do obozu przybędzie. A przybycie jego nadzwyczaj nam było potrzebne, gdyż co chwila otrzymywaliśmy wiadomości o możliwem pokazaniu się wojsk rosyjskich, krążących w pobliżu Krzywosądza. Naraz wpadł galopem jakiś posłaniec na okrytym pianą koniu z krzykiem:

— Moskale zbliżają się do obozu!

Okrzyk ten wywarł chwilowe zamieszanie między nieprzygotowanymi rekrutami, na głos jednak Mierosławskiego natychmiast chwycono za broń i uszykowano się wedle komendy. Ja, wsiadłszy na konia, wyjechałem na brzeg lasu, aby naocznie się przekonać o zbliżaniu nieprzyjaciela, zwłaszcza iż dziwiło mnie, że rozstawione pikiety ognia nie dawały. Zaledwie jednak dojechałem do brzegu lasu, wstrzymał mnie wystrzał i krzyk stojącego na wedecie, abym dalej nie jechał, bo kozaki do lasu się zbliżają. W różnych jednocześnie punktach zaczęły pikiety dawać ognia. Nie było już wątpliwości; wojska rosyjskie gotowały się uderzyć na nasz maleńki oddziałek. Wróciwszy się w środek lasku, zastałem już pod bronią cały obóz. Zewsząd słychać było komendy i okrzyki. Drobne nasze siły, na kilka rozdzielone oddziałków, posunęły się dla zajęcia brzegów lasu, które bronić postanowiono. Mierosławski i my wszyscy byliśmy przekonani, iż Mielęcki lada chwila się pojawi i z tyłu uderzy na atakującego nas nieprzyjaciela. Na tej to pewności się opierając, Mierosławski wolał bronić się, licząc na pewną odsiecz, niż cofając się, wpaść w ręce dziesięciokroć liczniejszego nieprzyjaciela. Strzały coraz to gęściej dawały się słyszeć i z różnych stron lasu ściągano pikiety do główniejszych stanowisk. Nieprzyjacielskie trąbki zagrały przeciągle i donośnie, dawając sygnały rozciągniętym kolumnom. Zdawało się, że do koła zostaliśmy otoczeni, gdyż lasek, a raczej gaik krzywosądzki z łatwością można było cały nawet niewielkiemi siłami obsaczyć. Nie dowierzałem jeszcze rzeczywistości.

— Czyż my bić się będziemy, czy to w tej chwili będę brał udział w pierwszej bitwie w swem życiu?

Nie uczuwałem jednak żadnej bojaźni wbrew ustalonemu przekonaniu, iż pierwsze strzały i świst kul wywołują nerwowe drżenie w nienawykłych do tej muzyki wojennej. Byłem tylko w jakiejś niepewności dziwnej i ciekawej, co to dalej będzie i co się z nami stanie. Na otaczających mnie kolegach, również nowicyuszach w walce, nie spostrzegałem żadnej zmiany prócz lekkiej bladości twarzy, bladości, od której i ja zapewne nie byłem wolny. Zbliżywszy się do jen. Mierosławskiego, który ostatnie jeszcze rozporządzenia kosynierom wydawał, zapytałem, czy bronić będziemy lasu z tak małemi siłami, czy też zaczniemy się cofać ku stronie, gdzie Mielęcki powinienby się znajdować.

— Nie czas już się cofać — odpowiedział mi — potrafimy kilka godzin utrzymać się na stanowisku, a niepodobieństwem jest, aby Mielęcki, od wczoraj jeszcze ku nam idący i którego awangardę mamy już u siebie, nie przybył na huk strzałów. On idzie z tej strony — ciągnął dalej, wskazując ręką — zajmie tył nieprzyjacielowi, a wziąwszy go we dwa ognie, rozbijemy na głowę. Jedźmy na brzeg linii bojowej — rzekł, puszczając konia.

Dotarłszy do brzegu lasu, ujrzeliśmy w dość znacznem jeszcze oddaleniu ciemne kolumny nieprzyjaciela, rozsypujące się w tyralierkę i z wolna podsuwające się ku lasowi, szląc ku niemu gęste strzały, na które nasi odpowiadać nawet nie mogli, bo odległość była zbyt wielka dla dubeltówek i innej broni myśliwskiej, w jaką uzbrojeni byli nasi strzelcy. Mimo jednak milczenia z naszej strony Rosyanie nie atakowali lasu, ani zbyt blizko się nie podsuwali, obawiając się zasadzki. Kule tylko coraz gęściej świstały, łamiąc gałęzie nad naszemi głowami. Z początku, ujrzawszy łamiące się i spadające u nóg moich gałęzie, nie mogłem w pierwszej chwili domyśleć się, iż to od kul nieprzyjacielskich; sądziłem, że od wiatru, ale świst przeciągły i zupełny spokój w powietrzu, pokazał mi zaraz prawdziwą przyczynę. Mimowolnie usunąłem się z miejsc, gdzie częściej gałęzie padały. Dwie już przeszło godziny szła ta strzelanina ze strony nieprzyjacielskiej, żadnej nam prawie nie czyniąc szkody, prócz zranienia kilku koni. Naraz strzały zaczęły

wolnieć i nagle ucichły. Spojrzeliśmy po sobie, zdziwieni i niespokojni.

— Co to znaczy?

— Ach, to Mielęcki ze swym oddziałem się pewno pokazał: Moskale odstępują.

— Cyt, coś słychać!

Zagrały znów trąbki sygnałowe, tylko bliżej i jakoś groźniej.

— To nie Mielęcki, to atak na las, na nasz obóz.

Był to rzeczywiście rozkaz ataku. Ścieśnione szeregi nieprzyjacielskie zbliżyły się ku brzegom lasu, wstrzymały się na kilkadziesiąt kroków i rozpoczęły gęsty ogień dla spędzenia naszych z brzegu lasów. Oddział, z kilkunastu strzelców złożony i stanowiący rezerwę, posłano na pomoc naszym. Bój gwałtowniejszy rozgorzał na całej linii. Jedni tylko jeszcze kosynierzy zostali przy nas, jako ostatni zastęp naszej obrony. Mieliśmy jeszcze wprawdzie do 30 kawalerzystów, lecz ci z braku lanc i pałaszy, a w części i z braku ochoty niezdolni byli do oporu. Jedynem zbawieniem naszem mógł być Mielęcki — ale on nie przybywał. Szczupła amunicya zaczęła się wyczerpywać. Po kilkugodzinnym boju, mimo jak najostrożniejszego używania prochu po kilka zaledwie nabojów zostało strzelcom. Na krok jednak nie cofano się z brzegów lasu. Rannych coraz częściej zaczęto przenosić za linię bojową. Pierwszym rannym, którego ujrzałem, był kolega mój z Akademii, Klukowski, dowodzący jednym oddzialikiem strzelców. Opierając się o dwóch strzelców, szedł z wolna; trupia bladość okrywała jego lice. Przechodząc koło nas, podniósł zmęczone oczy i ujrzawszy Mierosławskiego, wzniósł rękę do góry, krzyknąwszy słabym głosem:

— Niech żyje jenerał!

— Niech żyją waleczni! — odpowiedział wzruszony Mierosławski.

Ze wszystkich stron przybiegali z żądaniem pomocy i zatrważającemi wieściami, iż las otaczają. Okrzyki nieprzyjacielskie coraz to głośniej brzmiały dookoła. Posłano część kosynierów w najbardziej zagrożoną stronę. Ja z Kurzyną pobiegliśmy do kawaleryi, aby ją skłonić do wystąpienia z lasu i zmusić, jeżeli nie do bitwy, to przynajmniej do uczynienia

demonstracyi na prawem skrzydle atakujących. Kawalerya nareszcie posunęła się na brzeg lasu i swojem pokazaniem [się] choć na chwilę opóźniła ostateczne zajęcie obozu; za szybko jednak cofnęła się w gąszcz lasu.

Kule nieprzyjacielskie co chwila wyrywały nam dzielnych żołnierzy. Tak Buski, major wojsk włoskich Garibaldiego, zginął. Śmierć Buskiego zdekurażowała naszych strzelców, którym jego żołnierska śmiałość dodawała otuchy. Następca jego poległ również. Białobrzeski, kolega mój, adjutant Mierosławskiego, dowodzący lewem skrzydłem, ranny w nogę, ustąpił z placu. Nie było już nadziei odparcia nieprzyjaciela, a Mielęcki, oczekiwany i upragniony, nie przychodził. Amunicyi zupełnie już zabrakło. Zejfryd a z nim i Krosnowski, czy ktoś drugi, wpadli ku nam, wołając, aby jenerał wraz z komisarzami Rządu, t. j. ze mną i Janowskim, zaczęli się cofać z kawaleryą, a oni z resztkami niedobitków odwrót nam mieli zasłaniać.

— Czekajmy Mielęckiego, może nadejdzie — szepnął.

— Niema już chwili czasu do stracenia: Moskale wchodzą już do lasu — rzekł Krosnowski — niech przynajmniej jenerała i członków Rządu nie wezmą do niewoli. My jeszcze z pół godziny potrafimy utrzymać nacisk nieprzyjaciela.

Mierosławski pobiegł ku linii bojowej, rozkazawszy kapitanowi Raczkowskiemu gotować wozy do odwrotu, a wozów tych z żywnością i mundurami i innemi rzeczami mieliśmy do 20-u. »Hurra« moskiewskie ze wszystkich stron nas dochodziło i strzały to ustawały, to znów gęściej padały; kilku naszych, nie wytrzymawszy ataku, uciekało, krzycząc:

— Wszystko stracone, ratujcie jenerała i komisarzy!

Janowski wówczas zbliżył się do mnie i z zaognionem okiem zawołał:

— Daniłowski, musimy tutaj dać przykład z siebie, jako przedstawiciele Rządu; należy nam iść naprzód, na czele walczących, a nie cofać się, poświęcając ich dla swego ocalenia. Bierzmy kosy i z tymi kosynierami rzucimy się na nieprzyjaciół! Taka tu jest nasza rola. Niech nie mówią, iż reprezentanci Rządu cofali się pierwsi przed wrogami.

— Chodźmy, dobrze mówisz, idźmy naprzód — odrzekłem i zsiadłszy z konia, wziąłem wraz z nim kosę do ręki; stanęliśmy przy kosynierach, zagrzewając ich do walki.

Czułem, że stanowcza chwila mego życia zbliża się, śmierć nasza była niechybna. Nie było jednak sądzono smutnym przeczuciom spełnić się, bo kiedyśmy już mieli wyruszać na linię bojową, zostałem wezwany wraz z Janowskim do jen. Mierosławskiego. Janowski nie chciał opuścić kosynierów, nalegając, żebym ja sam tylko do Mierosławskiego pojechał. To zawezwanie jenerała ocaliło mnie, gdyż mimo mych przedstawień rozkazał mi przy swoim boku pozostać, abym w razie śmierci Janowskiego (który już wrócić nie miał) mógł sam chociaż stanowić reprezentacyę Rządu przy jenerale.

Ostatnia, z dwudziestu kilku kosynierów złożona rezerwa pobiegła na odpór ataku. Trzymać się dłużej nie było już podobieństwa. Mierosławski wysłał Raczkowskiego z wozami i kilku kawalerzystami ku wsi Krzywosądz, gdzie i my odwrót swój rozpoczęliśmy za nimi. Ściągnąwszy do 40-tu kawalerzystów (gdyż i niektórzy z piechoty na koń wsiedli), mających stanowić całe nasze siły, zaczęliśmy cofać się z lasu na otwarte pole, zdążając przez Krzywosądz do miasteczka Radziejowa.

Kosynierzy tymczasem, z którymi szedł Janowski, wpadłszy nagle na wstępujących do lasu Moskali, zmusili ich do odwrotu i pędząc ich, wybiegli z za drzew na otwarte pole, gdzie przywitani silnym ogniem drugiej kolumny nieprzyjacielskiej, połowę prawie swoich zostawili na placu. Tutaj też został śmiertelnie raniony szlachetny patryota i komisarz Rządu, Janowski Władysław; widziano go, jak krwią zalany, bronił się kosą, podczas gdy drugą ręką niszczył papiery, ażeby one nie wpadły w ręce nieprzyjaciół. Śmierć jego była bolesną i niezapomnianą stratą dla partyi patryotycznej.

Jeden z kosynierów, wziąwszy chwilowe ustąpienie nieprzyjaciół za zwycięstwo, wypadł, biegąc ku nam z okrzykiem:

— Wracajcie, nasi wygrali!

Pobiegliśmy z Kurzyną za jenerałem, sądząc, że może Mielęcki z tyłu natarł i rozprószył Moskali; ale złudzenie nie długo trwało. Tryumfalne »hurra!« moskiewskie i uciekających kilku rozbitków bezbronnych przekonało nas o smutnej katastrofie. Zaczęliśmy ustępować. Wozy daleko już były przed nami. Owych 40 kawalerzystów na szczęście dobrze dotrzymy-

wali placu i w kilka uszykowawszy się szeregów, w dobrym szyku postępowali za nami.

Wyjechawszy z lasku, ujrzałem kilku naszych, uciekających polem do Krzywosądza. Byli to młodzi chłopcy bez broni, którzy już żadnej pomocy dać nam nie mogli. Wszyscy, którzy broń w ręku utrzymać mogli, pozostali w lesie pod wodzą majora Celińskiego i wolno się cofając, zasłaniali nasz odwrót. Ci waleczni młodzieńcy prawie wszyscy polegli na polach Krzywosądza. Mała ich garstka, dostawszy się wraz z Celińskim do brzegów jakiegoś stawu, do ostatniej kropli krwi się broniła. Tam to zginął Celiński, Krosnowski, Gończykowski i inni.

Kiedyśmy weszli do Krzywosądza, kobiety wiejskie, widząc nas rozbitych i wielu poranionych, uderzyły w wielki płacz i lament, napełniając powietrze swymi jękami i wynosząc wodę i żywność. Wyszedłszy za Krzywosądz, ujrzeliśmy kilkunastu kozaków, zdążających w naszą stronę, ale trzymali się oni w przyzwoitej odległości, obserwując tylko nasze poruszenia. Całe nasze szczęście, że nieprzyjaciel nie miał kawaleryi i że nie wiedział, z jak słabemi, prawie nic nie znaczącemi siłami przyjęliśmy bitwę, bo mógł był ani jednego z nas nie wypuścić i cały obóz otoczywszy, zabrać wszystkich do niewoli.

Wyjechawszy z Krzywosądza, w pół godziny wstąpiliśmy do Radziejowa. Nie byliśmy ścigani przez wojska rosyjskie, gdyż one powolnie cały las zajmowały, bojąc się zasadzki. Mieszkańcy, wyszedłszy na nasze spotkanie, przyjmowali nas radosnymi okrzykami, przy odgłosie dzwonów. Do zgromadzonych na rynku mieszkańców przemówił Mierosławski kilka gorących słów, wystawiając nasz odwrót jako zwycięstwo, i pożegnawszy się z miastem, wyszliśmy dalej, zrzuciwszy tylko orły rosyjskie z magistratu. O parę wiorst za Radziejowem spotkaliśmy się nareszcie z Mielęckim, który na czele kilkuset dobrze uzbrojonych ludzi, jakoby od wczoraj błądząc, nie mógł trafić do Krzywosądza. Nie czyniąc mu już wymówek, aby do reszty nie zniechęcać ambitnego dowódzcy, ruszyliśmy z tak powiększonym oddziałem do Płowiec, wsi należącej do szwagra Mierosławskiego. Szwagra nie było w domu, a raczej podobno zemknął na wieść o zbliżaniu się brata swej żony, owego

znienawidzonego przez szlachtę krwawego demagoga, jak zwykle oni Mierosławskiego nazywali. Siostra zaś wybiegła na nasze spotkanie za wieś, aby przywitać brata, którego nigdy jeszcze nie widziała, gdyż urodziła się już po jego wyemigrowaniu z kraju. Czułe i serdeczne było przywitanie się rodzeństwa. Mierosławski kazał wezwać całą gromadę przed siebie, a gdy zobaczył, że tylko sołtys i kilku starszych na wezwanie przybyło, sam, wziąwszy mnie i Kurzynę z sobą, chodził od chaty do chaty, przemawiając do chłopów i przypominając im dawne czasy w prawdziwie ludowej mowie, czem tak zachęcił poczciwych włościan, że z tej wsi kilkunastu chłopów dobrowolnie wstąpiło do oddziału.

Wieść o Mierosławskim rozeszła się po okolicznych wioskach i wszędzie, gdzieśmy przechodzili, znajdowaliśmy radosne przyjęcie i nowych ochotników z kosami. Gdyśmy, wyszedłszy z Płowiec, przybyli do wsi Trojaczek, Mierosławski tak był poruszony serdecznem przyjęciem, iż nie dosłuchawszy przemowy, mianej do siebie, oddalił się szybko, dając znać, by nikt za nim nie szedł. Widząc go samotnie chodzącego poza dworem, zbliżyłem się i ujrzałem lica jego zroszone łzami. Cofnąłem się, szanując ten poryw serca w człowieku, 30 lat nie widzącym swej ojczyzny.

XXII.

Niesnaski w obozie, w końcu załagodzone. Napływ wieśniaków. — Pochód przez Tomisławice ku Nowej Wsi. — Klęska. — Nocna przygoda w odwrocie. — Nowe niesnaski w obozie, zamach na Mierosławskiego. — Wyjazd do Warszawy.

Wyszedłszy z Trojaczka po kilkogodzinnym odpoczynku, rozłożyliśmy obóz na dość wyniosłych wzgórzach, okrytych gęstym lasem i oblanych z dwóch stron wodami, łączącemi się podobno z Gopłem. Rozstawiwszy straże i pikiety, rozpoczął Mierosławski przegląd szczegółowo oddziału, zmieniając niektóre dowództwa i powierzając je kompetentniejszym ludziom, którzy z nim z Francyi przybyli. Te zmiany mocno nie podobały się oficerom Mielęckiego, oficerom domorosłym, nie mogącym iść w porównanie ze specyalnymi ludźmi, lub nawet wychowańcami szkoły genueńskiej. Nie mogąc wprost jenerałowi wykazać swego niezadowolenia, udawali się niektórzy do mnie, jako do komisarza Mierosławskiego z żalami. Łagodziłem, jak mogłem, te osobiste rozdrażnienia, ale niechęć coraz to silniej się rozwijała, zwłaszcza że Mielęcki, choć na pozór niby uległy Mierosławskiemu, nie starał się jednak niechęciom tym między swoimi koniec położyć. Jak na nieszczęście, Mielęcki nie miał oficyalnego zawiadomienia o dyktaturze, która do czasu miała być (wedle umowy jen. M. z Rządem) trzymaną w tajemnicy i tylko zawiadomieni o niej byli naczelnicy województw. Wszelkie zaś dokumenta i zawezwania od Tymczasowego Rządu, oraz blankiety Komitetu pozostały wraz z Janowskim na polach Krzywosądza i zapewne wpadły w ręce wojsk nieprzyjacielskich; te zaś blankiety, jakie ja osobiście miałem przy sobie, w przeddzień bitwy krzywosądzkiej użyłem na napisanie rozkazów do Mielęckiego i zawezwań do organizacyi okolicznej o różne dostawy do obozu i przyprowa-

dzanie ochotników. Nie miałem zatem przy sobie żadnych upoważnień lub nominacyi, któremi mógłbym stanowczo wszelkim przypuszczeniom Mielęcczyków tamę położyć. Nie okazywał on wprawdzie jawnej nieufności w prawowitość naczelnictwa Mierosławskiego, ale widać było w nim silną wątpliwość. Spodziewaliśmy się wprawdzie co chwila przybycia zawezwanych przez Mierosławskiego członków Rządu z Warszawy, którzyby tym wszystkim nieporozumieniom koniec położyli; ale zawsze czuliśmy, jak stanowisko Mierosławskiego w niechętnym i nurtowanym intrygami obozie jest chwiejne i nieodpowiednie jego dyktatorskiej godności. O ile jednak to było możebnem, zaprowadzono ład i zgodę w obozie, rozpoczęto uczyć mustry i porozsyłano do okolicznych wiosek z zawezwaniem ochotników.

Na wiadomość o zjawieniu się Mierosławskiego, owego wodza z 48-go roku, wiejska ludność poruszyła się jak od iskry elektrycznej. W tych okolicach, sąsiadujących z Poznańskiem, sympatya ku Mierosławskiemu jeszcze nie wygasła. Przez całą noc prawie gromady wieśniaków, od 30—40 ludzi liczące, zbiegały się do naszego obozu dla zobaczenia dawnego wodza i zachęcani jego przemową, wstępowali w nasze szeregi. Przez całą tę noc oka zmrużyć nie mogłem, zmuszony uczestniczyć Mierosławskiemu w przyjmowaniu i witaniu włościan, z nami się łączących.

Mierosławski był niezmordowany: ze dwadzieścia przynajmniej mów w ciągu tej jednej nocy powiedział, mów zawsze pięknych i z zapałem słuchanych. Bezbronne gromady odsyłał do domów po kosy i siekiery, gdyż tylko takie do obozu przyjmował. Chcąc w włościanach i wogóle kosynierach obudzić zaufanie do swej broni, zawołał, chwytając kosę:

— Nie myślcie, moi bracia, iż kosa jest słabą bronią; to najtęższy, najstraszniejszy oręż na ziemi: czyż nie widzicie w kościołach pańskich na chorągwiach, że śmierć z kosą jest wymalowana? A kiedy Pan Bóg śmierci dał kosę, a nie karabin, więc kosa jest mocniejszą od karabina; śmierć z kosą wszystko zwycięża na ziemi: i wy tak zwyciężać będziecie. Lecz pamiętajcie, że jak kosa jest straszną dla nieprzyjaciela w ataku, tak jeszcze straszniejszą jest dla swoich w odwrocie,

bo uciekając, własnych braci trupem kłaść będziecie, a najpierw mnie, waszego jenerała, który nigdy z placu boju cofać się nie umie. Przyrzeknijcie więc, iż z temi kosami tylko naprzód iść będziecie.

— Przysięgamy, przysięgamy! — odezwały się pełne zapału głosy.

Była to zaprawdę jedna z piękniejszych nocy. To, o czem tylko marzyć sobie pozwalałem, sprawdzało się na jawie: lud, ów zagadkowy materyał narodowy, podnosił swoje kosy za wspólną sprawę. Nadzieje moje, jakie zakładałem na Mierosławskim, zaczęły się w czyn zamieniać: kiedy w jedną noc do 200-tu może ochotników wiejskiego ludu nam przybyło, czyż nie mogłem przypuszczać w blizkiej przyszłości ogólnego narodowego ruchu, liczącego tysiące walecznych, pod jego rozkazami dążących do Warszawy?

Niestety, noce takie więcej się już powtarzać nie miały. Słońce, pokazujące się nad brzegiem lasu, miało rozwiać te sny złote. Zaledwie położyłem się w namiocie o brzasku dnia, gdy zostałem zbudzony przez Kurzynę:

— Wstawaj: jesteśmy atakowani!

Podniósłszy się zziębnięty, choć leżałem blizko ogniska, lecz noc lutowa dość była mroźna, spojrzałem ze wzgórza na poblizką łąkę i ujrzałem harcujących kozaków, a z dala zaledwie rozróżnić można było poruszającą się piechotę nieprzyjacielską. W obozie ruch był wielki, siodłano konie, szykowano się, czyszczono broń, część nawet naszych wystąpiła w szyku bojowym na odparcie nieprzyjaciela. Zeszedłszy z góry wraz z Kurzyną i Ramlowem, zastaliśmy na poblizkiej płaszczyźnie cały nasz sztab z jenerałem, szykującym nasz oddział. Nie chcąc przyjąć bitwy z przeważnym nieprzyjacielem i w niedogodnem stanowisku, postanowił cofnąć się na wygodniejszą dla siebie pozycyę. Wyciągnąwszy strzelców w dwie długie linie w tyralierkę, postawiwszy po brzegach kawaleryę, a za nimi w znacznej odległości w kolumny uszykowanych kosynierów, ruszyliśmy powolnie, formując front swój do skrzydła nieprzyjacielskiego. Moskale, sądząc, że będziemy ich atakować, ściągnęli swych tyralierów i zaczęli ku nam frontem się zwracać, z czego korzystając, jenerał nakazał odwrót, nie zmieniając

bojowego szyku. Nieprzyjaciel, widząc, że to był tylko manewr fałszywego ataku, znowu posunął się ku nam; lecz nim zdołał szyk bojowy przemienić, my już, korzystając z czasu, cofnęliśmy się w zamierzonym kierunku. Opuściwszy zarośla, wyszliśmy na otwarte pole i używając wciąż tego samego manewru, udając fałszywy atak i cofając się w szyku bojowym, zmusiliśmy nieprzyjaciela do trzymania się w przyzwoitej odległości podczas kilkogodzinnego odwrotu. Oddziałowi Mielęckiego z początku bardzo było nie do smaku to wyjście na otwarte pole i ów odwrót pod ogniem nieprzyjacielskim i gwałtem chcieli ukryć się w poblizkich lasach, jak to już we zwyczaj zaczynało wchodzić między naszymi oddziałami; lecz kiedy zobaczyli, że taka wojenna postawa zaimponowała nieprzyjacielowi i zmusiła go do ostrożnego następowania, uspokoili się i nabrali dobrej otuchy i wiary w zdolności wojenne Mierosławskiego.

Odwrót ten jednak kilkogodzinny na otwartem polu, oraz manewry pod gęstymi strzałami wojsk rosyjskich, gdyż Mierosławski nawet uczył mustry kosynierów i strzelców w tym odwrocie, silnie znużyły naszych młodych żołnierzy, zwłaszcza że od rana nic jeszcze w ustach nie mieli. Postanowił przeto Mierosławski, wybrawszy stosowną pozycyę, dać chwilę wypoczynku i pokrzepienia sił swoim. Zatrzymaliśmy się przeto przy wsi (jak mi się zdaje) Tomisławicach i rozszykowawszy się jak do przyjęcia ataku, odpoczęto, oraz podano naszym małą przekąskę, z chleba i wódki złożoną. Moskale, korzystając z tego, starali się obejść nasze lewe skrzydło, rażąc nas gęstym ogniem, nie śmieli jednak atakować. Nakazano znów posunięcie się oddziałowi w takimże szyku ku Nowej Wsi. Sformowawszy się pod strzałami nieprzyjacielskimi, które nam prawie żadnej szkody nie czyniły, ruszyliśmy dalej.

Siły moskiewskie coraz to powiększały się przybywaniem nowych oddziałów i gdyśmy zbliżali się do lasów, oddzielających nas od Nowej Wsi, liczba ich, wedle naszych wiadomości, wzrosła do 3.000 piechoty i paru sotni kozactwa. Nasze zaś siły, licząc już i maleńki oddziałek w lasach Nowej Wsi ku nam przybyły pod wodzą barona Sejdewitza, wynosiły mniej więcej do 500 piechoty, z której do 200 miało strzelby myśliwskie, 200 kosy, a reszta prawie bezbronna, oraz stu kilkudziesięciu konnicy, i to konnicy bez lanc, a tylko z dubeltówkami

i małą ilością szabel odwiecznych. Trudno było z taką siłą bój rozpoczynać i tylko umiejętnemu rozstawieniu sił naszych, maskującemu ich rzeczywistą słabość, winniśmy byli dotychczasowe ocalenie i obawę nieprzyjacielską w przypuszczeniu do nas ataku.

Później już dowiedziałem się, iż Rosyanie byli przekonani, że nasz oddział złożony jest z samych Poznańczyków, służących w landwerze pruskiej, i dlatego w takim szyku bojowym się trzyma; dopiero gdy się dowiedzieli przez szpiegów, iż to zbieranina rekrutów i włościan, śmielej zaczęli nacierać.

Wyszedłszy z Tomisławic, idąc wolno wśród strzałów, zatrzymaliśmy się znów w lasach ku chwilowemu wytchnieniu, osadziwszy brzegi lasu strzelcami. Co chwila spodziewaliśmy się w tej pozycyi ataku, ale nad nasze spodziewanie Moskale nie pokazywali się i zdawało się, iż przestali nas ścigać. Słońce miało się już ku zachodowi, kiedyśmy się zbliżyli do Nowej Wsi. Od samego poranku byliśmy w ciągłej strzelaninie i odwrocie. Zaczął mi już głód dokuczać, gdyż nie było czasu nawet na zjedzenie kawałka chleba. Bardzo też byłem ucieszony, gdy Mierosławski, któremu w jego rozjaździe po linii bojowej ciągle towarzyszyłem, powiedział, iż zatrzymamy się w Nowej Wsi dla posiłku i wytchnienia. Zajechawszy do dworu, zsiadłem z konia wraz z Kurzyną i kilku innymi, a w kilka chwil przybył i Mierosławski, rozstawiwszy wojsko w należnym szyku. Zaledwieśmy jednak zasiedli do stołu, wpadł jeden z adjutantów z okrzykiem:

— Moskale nas atakują!

Zerwał się Mierosławski, a my za nim do koni i popędziliśmy ku naszym. Okazało się jednak, iż trwoga była fałszywa. Wróciwszy, znów zabieramy się zgłodniali do jedzenia: nowy adjutant z takąż wiadomością, również fałszywą, a która znów nas od jedzenia oderwała. Ujrzawszy jednak Mierosławski, iż tyraliery rosyjscy pokazują się w oddali, pozostawił Mielęckiego przy wojsku ze sztabem, a sam tylko z kilku oficerami, z Kurzyną i ze mną wrócił się do owego nieszczęśliwego obiadu. Zapisano jednak widać było, iż go jeść nie będziemy, bo zaledwo wazę na stół postawili, gdy sam Mielęcki wpadł do dworu z wiadomością o następywaniu nieprzyjaciela z przodu i z prawego skrzydła; gęste też strzały dały się sły-

szeć ze wszystkich stron. Wybiegliśmy więc wszyscy do koni, chowając do kieszeni po kawałku chleba.

Czas już był wielki, gdyż wyjechawszy ze dworu, ujrzeliśmy zachodzącego nam z boku nieprzyjaciela, który silnym przywitał nas ogniem tak, żeśmy tylko bystrości koni winni swoje ocalenie. Przekonałem się, jak niebezpieczeństwo dodaje szybkości w nogach: Iwancew, spadłszy z konia, równocześnie z nami przyleciał do obozu, trzymając się tylko mego strzemienia. Mały ten oddziałek, chcący nam przeciąć drogę, cofnął się do swoich, ujrzawszy przeważne nasze siły.

W oddziale naszym wielkie panowało zamieszanie. Atak nieprzyjacielski, zwłaszcza w nieobecności Mierosławskiego uczyniony, rzucił gwałtowny postrach na naszych nieprzywykłych jeszcze do boju żołnierzy. Strzelcy, ustawieni za sągami drzew, słabo się odstrzeliwali, kawalerya, stojąca na skrzydle, choć jej nikt jeszcze nie atakował, pierwsza, jak prawie zwykle, podała hasło do odwrotu, krzycząc:

— Jesteśmy otoczeni!

Kosynierzy, których w poblizkim lasku, wysuniętym poza sągi drzew, szykował Mierosławski, trzymali się dobrze swego stanowiska. Bitwa zaledwie była rozpoczęta i choć bez porównania słabsi siłami, mogliśmy się jednak byli opierać i tak, jak przedtem, cofnąć bez wielkiej straty ku poblizkim lasom, zwłaszcza że zmrok się już zbliżał. Ale trwoga, jak wiadomo, jest rzeczą zaraźliwą. Pierwsze okrzyki tchórzostwa i ucieczka części kawaleryi pociągnęła za sobą strzelców. Napróżno Mielęcki, odznaczający się osobistą odwagą, rzucał się jak szalony naprzeciw uciekających, rąbiąc ich pałaszem, napróżno kilku innych oficerów podtrzymywało jego usiłowania: paniczny strach wziął górę nad honorem i miłością ojczyzny.

Widząc po raz pierwszy ten niestrojny tłum konnych i pieszych, lecący z wybladłemi twarzami, ze zwierzęcym jakimś krzykiem, rzucający broń i odzież przed sobą, bolesne i gniewne zarazem uczucie ścisnęło mi serce. Toż to są owi obrońcy wolności i niepodległości swojego kraju! Widząc, iż kawaleryi nic już nie wstrzyma, rzuciłem się ku strzelcom, trzymającym się w części na swoich stanowiskach, krzycząc Mielęckiemu, by chociaż strzelców powstrzymał. Podjechawszy do sągów, połowę już ich oddziału zaledwie zastałem. Kule

świszczały mi nad uchem i gęsto padały, ryjąc się w piasku pod koniem. Wyraźnie Moskale, widząc mnie jednego konno między strzelcami, brali mnie za ich dowódzcę. Krzyczałem, aby nie hańbili się ucieczką, ale niewielu posłusznymi było memu głosowi.

Tymczasem od kosynierów, wysuniętych najbardziej naprzód, powrócił Mierosławski z kilkoma oficerami, a raczej wyprowadzili go gwałtem, gdyż chciał na czele ich oczekiwać nieprzyjaciela, co było już tylko bezpotrzebnem narażaniem się. Przypadłszy do strzelców, zaczął przemawiać do nich, grozić, a nawet mierzyć z rewolweru do uciekających; ale ucieczka już się rozpoczęła i żadne wysiłki wstrzymać jej już nie mogły.

— Musimy się cofać, jenerale — rzekłem do niego, podczas gdy Ramlow z Kurzyną uprowadzali go z placu boju,

Nic mi nie odpowiedział, tylko dziwnie spojrzał na mnie i po jego bladej twarzy przebiegł uśmiech goryczy; potem schwyciwszy rewolwer, przyłożył go do swej głowy, krzyknąwszy zmienionym i drżącym od wzruszenia głosem:

— Jeżeli mnie uprowadzicie na pruską ziemię, przysięgam, że w łeb sobie wypalę!

Schwytano go za rękę, przyrzekłszy, iż nikt za granicę wychodzić nie myśli, tylko cofać się, gdyż opierać się niema sposobu. Szczęściem, że świadkowie tej sceny byli to jego zwolennicy i utrzymali w skrytości ten objaw rozpaczliwej słabości, tak niegodnej głównodowodzącego naczelnika. Przyszedłszy do siebie, Mierosławski krzyknął, aby Raczkowski kapitan cofał się naprzód z wozami, i obejrzawszy się na uciekających, sam nareszcie poszedł z nami. Jedni tylko kosynierzy zasłaniali nasz odwrót, stojąc niewzruszenie na swojej pozycyi. Kiedy już zbliżałem się do lasu, usłyszeliśmy kilka przeciągłych »hurra!« i okrzyków kosynierów, którzy bronili lasu, zasłaniając naszą rejteradę. Kilkadziesiąt trupów, między którymi kilku tylko co w wilię przybyłych uczni szkoły genueńskiej i starych emigrantów, okryło pola Nowej Wsi. Żadnego jednak wozu nie dostali nieprzyjaciele.

Już się ściemniło, kiedyśmy do lasu zbliżać się zaczęli. Obejrzałem się, czy pogoń jest blizko, ale nie mogłem już rozróżnić dobrze przedmiotów w oddaleniu. Część naszych rzuciła się ku stronom Gopła, większość jednak postępowała drogą,

do lasów wiodącą. Nagle, kiedy uderzyłem konia pałaszem, aby zmusić go do szybszego biegu dla zrównania się z Mierosławskim, uczułem ze zdziwieniem, iż biedne zwierzę zachwiało się podemną i uczyniwszy kilka kroków, upadło na ziemię. Zeskoczyłem z siodła, próbując głosem i rękami podnieść go znowu, ale usiłowania moje były próżnemi. Koń, widać ranny, czego z początku nie zauważałem, a przytem zmęczony parotygodniową jazdą przy małym pokarmie, odmówił mi posłuszeństwa.

Widząc, iż wszystkie usiłowania moje na nic tu się nie zdadzą, porzuciłem nieszczęśliwego rumaka, namyślając się nad dalszym swym losem. Pozostałem sam jeden, gdyż nie zauważono w pośpiechu mego wypadku i odjechano bezemnie, skrywszy się w gęstwinie leśnej. Pozostałem więc samotny, mając z tyłu prawdopodobną pogoń nieprzyjacielską, a przed sobą nieznany i gęsty bór, któremu noc nadchodząca jeszcze posępniejszą nadawała postać. Nie namyślając się prawie, rzuciłem się do lasu, sądząc, iż może pieszo dogonię swych towarzyszy. Za parę minut znalazłem się już pod konarami drzew. W ciemności nic z początku rozróżnić nie mogłem. Nadstawiwszy ucha, usłyszałem dolatujący mnie słaby odgłos tententu kopyt kozackich. Krzyknąłem, wzywając pomocy, lecz głosu mego nikt nie słyszał. Puściłem się więc na oślep, utykając o zeschłe gałęzie i z trudnością rozpatrując wązką drożynę. Przez czas niejakiś tak biegąc, zdawało mi się, że tentent głośniej słyszeć się daje. Wstrzymawszy się, nadstawiam ucha i z radością słyszę uderzenie kopyt i lekki brzęk oręża. Radość jednak moja w wielki niepokój się zmieniła, gdym rozpoznał, iż coraz to bliżej dochodzące odgłosy idą ku mnie od strony Nowej Wsi, od placu naszego boju.

— Może to pogoń! — błysnęła mi trwożna myśl w głowie.

Przyczaiwszy się w gęstych krzakach olszyny i jakichś zarośli, wstrzymałem dech w sobie, nadstawiwszy uszu dla rozpoznania głosu i języka nadjeżdżających jeźdźców. Zbliżali się ku mojej stronie; serce biło mi jak młotem:

— Kozacy, czy nasi?

Na moje szczęście był to Mielęcki z kilkudziesięciu naszymi kawalerzystami. Wybiegłem ku niemu i za chwilę siedziałem już spokojny na świeżym, a raczej nowym tylko ko-

niu, gdyż siły jego wcale nie były świeżemi. Pojechaliśmy razem leśną drożyną. Tak byłem zmęczony, iż co chwila sen mną owładał i tylko usłużności towarzyszów, podtrzymujących mnie na koniu, winienem, iż mogłem na nim dosiedzieć. Co minuta prawie na jedną lub drugą padałem stronę.

Nad ranem już dostaliśmy się nareszcie do jakiejś wioski (zdaje mi się Góry). Wszedłszy do dworu, zastałem już tam Mierosławskiego, który wielce zdawał się być ucieszony, iż ja nie zginąłem, jak to niektórzy przypuszczali.

Odpocząwszy parę godzin w tej wiosce i posiliwszy się trochę, ruszyliśmy z tym naszym uszczuplonym i upadłym na duchu po ostatniej klęsce oddziałem ku Kazimierzowi (w Kujawach). Piechoty prawie że już nie mieliśmy, bo kilkudziesięciu bezbronnych w większej części ludzi, jadących za nami na bagażowych wozach, trudno było za piechotę uważać. Konnych było jeszcze ze 150 jako tako uzbrojonych. Muszę jeszcze nadmienić, iż liczba ta co chwila zwiększała się przybywaniem nowych niedobitków z pod Nowej Wsi, którzy różnymi manowcami za nami ciągnęli. Postawa naszego oddziału, tak buńczucznie defilującego wczoraj pod kulami nieprzyjacielskiemi, upadła, obniżając się do ostatnich prawie krańców zniechęcenia i apatyi. Były to oznaki tylko chwilowe, ale bardzo one silnie wpływały na ogólny duch żołnierzy. Nawet akademicy i moi warszawscy wysłańcy po klęsce wczorajszej tak stracili wiarę w siebie i nasz oddział cały, iż nocą w lesie żądali odemnie, abym skłonił jenerała do przejścia granicy i sam z nim do Prus się cofał, gdyż i oni dłużej w oddziale zostać nie widzą możności. Starałem się ile możności podnieść ich odwagę, lecz trudno to przekonywać ludzi o tem, w co się samemu mało wierzy, oświadczając, iż zostawiam swobodę opuszczenia oddziału, jeżeli sądzą, że godnie jest i szlachetnie odstępować obóz i jenerała w takich chwilach, lecz ja pozostanę aż do końca. Poskutkowało to na nich i pozostali.

Mielęcczycy (takeśmy ochotników Mielęckiego nazywali) mieli po tych nieszczęściach otwarte pole do składania wszystkich tych klęsk na Mierosławskiego, który zamiast kryć się, jak to byli zwykli, po lasach, na otwarte do boju wyprowadzał ich pole. Głośno szemrano wokoło, burzono się, zarzucając nawet nielegalność występowania Mierosławskiego w roli naczel-

nika, gdyż żadnego oni o tem zawiadomienia od Komitetu nie mieli. Usłyszawszy te szmery niechęci, przedstawiłem Mielęckiemu na żądanie Mierosławskiego całą sprawę dyktatury tego ostatniego, tłómacząc mu zarazem powody, dla których do tej chwili nie była ona ogłaszaną. Mielęcki zdawał się wierzyć we wszystko i przyrzekł wszelkich sił użyć dla uśmierzenia niechęci i szemrań w oddziale; zapewnienia te jednak nie były szczere, jak skutki późniejsze okazały.

Przybywszy do Kazimierza, czy też innego miasteczka, gdzie nas ludność z okrzykami radości, biciem we dzwony i procesyą z chorągwiami przyjmowała, stanęliśmy w szyku na rynku miejskim. Mierosławski krótką zgromadzonych powitał przemową, po której my wraz ze sztabem rozchwytani byliśmy do domów mieszczańskich na obiad, żołnierzom zaś na placu takowy rozdawano.

Po odpoczynku opuściliśmy to patryotyczne miasteczko, zabrawszy kasę rządową, w której niestety tylko 7 czy 10 rs., się znajdowało i zostawiwszy pokwitowanie, które Ramlow w mojem imieniu (gdyż mnie nie mogli chwilowo odszukać) podpisał, i po parogodzinnym marszu zatrzymaliśmy się obozem w lasach, przytykających do drugiego miasteczka, blizko pruskiej granicy leżącego. Gdy się wieść o obozie naszym w tem miasteczku rozeszła, znowu zaczęły się pielgrzymki z powitaniami i, co ważniejsza, z żywnością, którą obficie obdarzali nas obywatele i obywatelki tego miasta.

Wysłane rekonesanse przyniosły trochę zatrważające wiadomości o zbliżaniu się jakoby dość silnego oddziału moskiewskiego, a my wcale do przyjęcia bitwy nie byliśmy przygotowani. Mielęcczycy chcieli natychmiast się cofać, burząc się i szemrając na Mierosławskiego, który rozkazał na miejscu pozostać.

Widząc, jak oddział mało ma wiary w nominacyę Mierosławskiego i że wszelkie przedstawienia i perswazye dopóty nie będą mieć siły, póki z Komitetu Centralnego nie przyszlą osobnego rozkazu do Mielęckiego, lub jawnie już nie ogłoszą dyktatury, ofiarowanej Mierosławskiemu, postanowiłem po naradzie z Mierosławskim i J. Kurzyną sam pojechać do Warszawy dla zażądania od Komitetu wykonania słusznych żądań jenerała. Posłałem ja wprawdzie kuryera do Warszawy z te-

miż mniej więcej żądaniami, lecz żadnej od niego nie było wiadomości.

Nie czekając zatem długo, zwłaszcza iż Kurzyna nalegał, abym natychmiast jechał, korzystając z dobrej okazyi, jaka mi się nastręczała w osobie jednego obywatela, obiecującego dowieźć mnie w bezpieczeństwie do Prus, skąd już koleją mogłem w jeden dzień być w Warszawie, puściłem się przeto z tym obywatelem, zwłaszcza że kozacy zaczęli się już okazywać w okolicach naszego obozu.

Przed wyjazdem jednak napisałem półurzędownie od siebie do Mielęckiego, zawiadamiając go, iż jen. Mierosławski naznaczony naczelnym wodzem i dyktatorem i że zatem wszyscy dowódzcy oddziałów winni mu bezwarunkowe posłuszeństwo, nadmieniając zarazem, iż w kilka dni z Warszawy otrzymają stosowne polecenia. Na tem podpisawszy się jako członek Komisyi Zarządczej za Rząd Tymczasowy, oddałem jednemu z ochotników, aby natychmiast odniósł Mielęckiemu, który wówczas z Mierosławskim objeżdżał pikiety, rozpatrując stanowisko obozu.

Opuściwszy obóz w niespełna godzinę, przybyliśmy do wioski owego obywatela, gdzie miałem odpocząć kilka godzin i rankiem wyjechać do W. ks. Poznańskiego. Upadałem ze zmęczenia po parotygodniowem obozowem życiu, w którem prawie z konia nie zsiadałem, dniem i nocą latając w różne strony; wielce też byłem ucieszony nadzieją spokojnego wytchnienia pod dachem. We dworze zastaliśmy prócz żony gospodarza parę osób z sąsiedztwa. Wszyscy z ciekawością rozpytywali mnie o nasze życie obozowe i przebyte potyczki z wojskiem rosyjskiem. Zacząłem opowiadać, zaspakajając o ile można ich ciekawość; lecz nie policzyłem się dobrze ze swemi siłami i kilka zaledwie słów wyrzekłszy, taką zostałem zdjęty żądzą zaśnięcia, iż mimo gwałtownych wysileń głowa spadła mi na piersi, szklanka z herbatą wysunęła się z ręki i nie wiem już, jakim sposobem znalazłem się po raz pierwszy od 2-ch tygodni w wygodnem łóżku, gdzie naturalnie głęboko zasnąłem.

Już było koło południa, kiedy zbudzony zostałem przez Gintera i Wrębowskiego, tylko co przybyłych z obozu. Nie mogłem z początku pojąć, gdzie się znajduję i co się ze mną stało, ani też wysłuchać dokładnie nowin, jakie przynosili; tyle

tylko pojąłem, że Mierosławski zmuszony był opuścić oddział i wyjechał do Prus. Rozbudziwszy się nareszcie zupełnie, rozpytałem szczegółowo o całą sprawę wyjazdu Mierosławskiego. Oto, co mi opowiadano: W kilka godzin po mym odjeździe zwolennicy Mielęckiego zaczęli coraz silniej głos swój przeciw Mierosławskiemu podnosić, żądając, aby Mielęcki od niego się odłączył i sam oddziałem po dawnemu przewodził, a jeden nawet z nich, niejaki Dąbski czy Dębski (o czem już później z innego źródła się dowiedziałem), zacięty wróg Mierosławskiego, zbliżywszy się z tyłu do stojącego jenerała, z rewolweru do niego wystrzelił; na szczęście rewolwer nie dał ognia. Gwałt się wielki podniósł. Mierosławski naturalnie pod sąd wojenny kazał oddać złoczyńcę; Mielęcczycy zaczęli burzyć się, broniąc swego towarzysza, a że ich była ogromna większość, oni też i górę otrzymali. Po tym czynie Mierosławskiemu trudno było już w obozie, gdzie każden żołnierz bezkarnie mógł go brać na cel, pozostać; natychmiast też z kilkoma swymi oficerami wyjechał, pragnąc przedostać się przez Śląsk i Galicyę do województwa krakowskiego.

Gdy wiadomość o tym zamachu do Warszawy doszła, wysłany podobno został rozkaz złożenia sądu nad owym Dąbskim; ale wówczas papiery Mierosławskiego tak już spadły w opinii publicznej, że sąd ów nigdy do skutku nie przyszedł, co więcej, nawet poczytywało wielu za zasługę p. Dębskiemu, że chciał kraj, t. j. szlachtę, od tego demagoga uwolnić.

Usłyszawszy owe wieści, natychmiast wybrałem się w drogę, aby co najprędzej w Warszawie stanąć, poleciwszy jednak Wrębowskiemu, w razie wcześniejszego jego przybycia, aby natychmiast w mojem imieniu, kogo należy, o wyjeździe Mierosławskiego i powodach wyjazdu zawiadomił; nadmieniam przytem, iż o zamachu Dębskiego wówczas jeszcze nie wiedziałem.

XXIII.

Na stacyi pocztowej. — W Bydgoszczy. — Powrót do Królestwa. — W Lipnie. — Sprawy sercowe.

Wyjechawszy z gospodarzem, przebyłem szczęśliwie granicę, meldując się paszportem Czajkowskiego. Czajkowski ów wraz z dwoma braćmi zginął w czasie bitwy pod Nową Wsią. Przybywszy do miasteczka Strzelna czy Strzałkowa, już w W. Księstwie leżącego, poszedłem natychmiast na pocztę i zażądałem koni dla siebie do Bydgoszczy. Było już późno wieczorem; pocztmajster przeczytawszy mój paszport, zawołał:

— Ach, to Pan Czajkowski! A tu rozeszła się wieść, że Pan zginął, a bracia Pana podobno ciężko ranni! Jakiż będzie szczęśliwy ojciec Pana, gdy go zobaczy? Ojciec Pana — mówił dalej usłużny poczmistrz — jest tu, gdyż odebrawszy tę nieszczęsną nowinę, wyjechał natychmiast z domu, aby synów przy życiu jeszcze zastać. Zaraz poszlę po niego — dodał uszczęśliwiony pocztmajster — on tu nie daleko się zatrzymał, może jeszcze go zastaniemy.

— Jak to, mój ojciec jest tu? — rzekłem, starając się ukryć zmieszanie i nie wiedząc na razie, jak tu z tej biedy się wyplątać, bo stary p. Czajkowski naturalnie gdy mnie zobaczy, wyda się, iż ja pod cudzem jestem nazwiskiem.

— Nie posyłaj Pan — rzekłem — na ojca może mój niespodziany widok silne wywołać wrażenie, ja sam pójdę.

Ale było już za późno, pocztylion poleciał już po nieznanego mi ojca.

— Co tu począć? — myślałem, chodząc po stancyi pocztowej. — Żebym nie wiem jakie dawał znaki i mrugał oczyma, to ten nieszczęśliwy ojciec, przyciśnięty tak okropnym ciosem, schwyci się słabej nadziei ujrzenia syna i zaraz na wstępie,

ujrzawszy mnie, zapyta się: »Gdzie jest mój syn?« Pewno będą mnie aresztować, jeżeli zwłaszcza pocztmajster oddany jest rządowi pruskiemu. Jedyny ratunek — pomyślałem sobie — to wybiedz na ulicę i korzystając z ciemności, zbliżyć się do mniemanego ojca i szepnąc: »Nie jestem synem Pana, lecz nie zdradź mnie i przyjm jak syna?«

Wątpliwości nie ulegało, że ostrzeżony, uczyni, jak żądałem, lecz jak ostrzedz niepostrzeżenie? Jak pomyślałem, tak i zrobiłem. Wyszedłem przed dom pocztowy z zamiarem rzucenia się w objęcia ojca i wyznania mu wszystkiego. Czekałem kilka minut z gorączkową niecierpliwością; słychać nareszcie kroki i — o radości! — powrócił sam pocztylion z wiadomością, że ojciec przed kilku minutami wyjechał do Królestwa, chcąc powziąść wiadomość o synach. Niedługo i mnie podano konie i ruszyłem ekstrapocztą, a raczej nie ruszyłem, lecz powlokłem się wolnym truchtem ku Bydgoszczy pod pozorem przywiezienia doktora dla braci moich rannych.

Po całonocnej podróży stanąłem nareszcie w Bydgoszczy. Przespawszy się kilka godzin w hotelu, wyszedłem na miasto w celu kupienia sobie jakiegokolwiek ubrania, gdyż w tym powstańczym kostiumie, złożonym z granatowej czamarki, podbitej futrem, czerwonej koszuli, wojennej czapki i t. p., niepodobieństwem było wjeżdżać do Królestwa, tem bardziej, że nawet i w Prusach ubiór mój zwracał uwagę policyi. Wyszedłszy na miasto, spotkałem się z mym kuzynem, J. Sz., tamtejszym urzędnikiem kolei żelaznej, i przy jego pomocy kupiłem zwierzchnie ubranie dla pokrycia nim obozowego kostiumu. Pokazało się, że ostrożność moja była na czasie, gdyż wracając do hotelu, spostrzegliśmy przed jego bramą kilku policyantów, czekających widocznie na kogoś i z żywością rozpytujących się o coś kelnera. Kuzyn mój poszedł ku hotelowi, podczas gdy ja cofnąłem się w boczną ulicę. W kilka chwil powrócił z wiadomością, iż rozpytywała się policya o mnie, chcąc mój paszport obejrzeć; a że ja nie miałem żadnej ochoty zaspakajać tej niedelikatnej ciekawości policyantów, nie wróciłem więc już do hotelu, gdzie nawiasem mówiąc, żadnych nie zostawiłem rzeczy, prosząc, aby należność za numer zapłacił za mnie J. Sz., a sam siadłszy na kolej, wyjechałem do Torunia; z Torunia zaś końmi przejechałem granicę między Gołubiem i Do-

brzyniem, a raczej nie przejechałem, lecz przeszedłem po moście, dwa te miasteczka oddzielającym. Maleńkiego tego mostu pilnowało dwóch pruskich żołnierzy, którym pokazawszy paszport, ujrzałem się za chwilę na terytoryum Kongresówki.

Spełniwszy formalności paszportowe, ruszyłem ku powiatowemu miastu Lipnu, rozmyślając nad sposobami przedostania się do Warszawy i zobaczenia się z Z. Padlewskim, celem zakomunikowania mu wiadomości o jen. Mierosławskim. Pragnąłem przekonać się własnemi oczami o stanie województwa płockiego w tych przynajmniej częściach, gdzie mi przejeżdżać wypadnie, dla zdania o tem sprawozdania jen. Mierosławskiemu.

Oprócz tych urzędowych przyczyn miałem jeszcze jedną, i choć ona była czysto osobistą przyczyną, ze wstydem jednak przyznać się muszę, iż może najwięcej znaczyła w wyborze drogi na płockie województwo. W tem województwie bowiem mieszkała w tym czasie moje ukochana Karolcia wraz z matką, przybyłą dla obejrzenia majątku swego i jakichś tam jeszcze pieniężnych interesów. Według moich obliczeń, stosownie do wiadomości, jakie miałem od mej Karolci, mogłem na pewno spodziewać się, iż jeszcze w wiosce swej bawią. Ciesząc się przeto nadzieją prędkiego z nią zobaczenia, byłem szczęśliwy, iż okoliczności tak dobrze marszrutę mojej drogi pokierowały, że niewiele zbaczać muszę, aby do niej dojechać.

Przyjechawszy do stacyi pocztowej już nad wieczorem, zdziwiony byłem jakimś niezwykłym ruchem, panującym między zebraną przy poczcie ludnością, co mnie tem bardziej uderzyło, iż poprzednie stacye zupełny pozór spokoju zachowywały. Zażądawszy koni natychmiast, gdyż chciałem na noc do Lipna dojechać, chciałem rozpytać pocztyliona o przyczynę niezwykłego ruchu, lecz on i bez pytania sam mnie w tajemnicy zawiadomił, iż w pobliżu nasi biją się z Moskalami.

— W którejże stronie? — zapytałem z ciekawością.

— Niedaleko Rypina.

— Któż zwycięża? Czy bitwa już skończona?

— Nie wiadomo, Panie, lecz naszych tam niewiele, a Moskali ćma ogromna — i rzekłszy to, smutnie potrząsł głową.

— To mnie droga wypada na Rypin?

— A tak, Panie, lecz któż tam z Panem pojedzie? Na-

trafimy na kozaków i wówczas żegnaj się z życiem! Niech Pan zostanie!

Po niedługiej jednak namowie zdecydował się jechać i włożywszy swój mundur pocztylioński, zajechał przed bramę, dając mi znak odgłosem swej trąbki, iż wsiadać już mogę. W parę niespełna godzin stanęliśmy w Rypinie. Usłużny faktor hotelowy rozpowiedział mi, nim konie podano, o okropnej batalii, jaką nasi o kilka wiorst od miasteczka staczali, wymieniając kilka nazwisk rannych i zabitych z naszej strony. Potyczka nie długo trwała, gdyż dowódzca naszych, widząc niepodobieństwo utrzymania się na stanowisku z małemi siłami, cofnął się ku poblizkim lasom.

Nie bawiąc długo w Rypinie, aby jeszcze przed nocą przybyć do miasta powiatowego, wyjechałem, jak tylko konie były gotowe. Ściemniło się już, kiedyśmy podjeżdżali do Lipna.

— *Kto idiot?* — krzyknęła nam pikieta kozacka, zbliżając się ku nam; lecz trąbka pocztyliona stanowiła widać dobrą rekomendacyę, bo bez żadnych formalności puszczono nas dalej.

Przybywszy do rogatek miejskich, zastaliśmy rogatki zamknięte i kilka bryczek z żydami i innymi podróżnymi oczekiwało wschodu słońca, aby módz wjechać do miasta; stosownie bowiem do wydanego rozkazu przez tamtejszego komendanta nikogo po zachodzie słońca nie wolno było puszczać do miasta. Myślałem już, że i mnie los prześladowczy każe tu przy rogatkach pod gołem niebem noc przepędzić, ale trąbka pocztyliona posiadała jakiś magiczny wpływ na ruskich żołnierzy; bo zaledwie głos jej zabrzmiał, choć słupy rogatkowe nie rozpadły się, jak ongi mury Jerycha, lecz na rozkaz unteroficera wysunął się poważny żyd, a raczej Polak mojżeszowego wyznania i otworzył nieprzebyty dla innych szlaban rogatkowy. Obejrzawszy mój paszport, mówię wyraźnie: »obejrzawszy«, gdyż przedstawiciel władzy wojskowej na rogatkach nie bawił się nigdy nauką czytania, wpuszczono mnie do miasta. Przed wjazdem do centrum Lipna, t. j. do jego rynku, zatrzyma mnie znów jakiś żołnierz, na pikiecie stojący, celem obejrzenia znów zawartości mej bryczki, czy czasem niema tam czego zabronionego; lecz pragnąc uwolnić się od tej formalności, wsunąłem mu w rękę dziesiątkę srebrną, a grzeczny wojak na jej obejrzeniu całą rewizyę zakończył.

Z Lipna już żadną miarą w nocy wyjechać nie było można; zmuszony przeto byłem nocować, a raczej tylko wyczekiwać dnia, bo towarzysze malenieczkiej postawy z rodzaju robactwa pokojowego, których to łoże było dawnem mieszkaniem, prawie nie pozwalali mi oka zmrużyć. Wstawszy dość rano, zapytałem, kiedy można w magistracie i u komendanta paszport zawizować; odpowiedziano mi, iż dopiero koło 10 ej godziny. Rad nierad, musiałem czekać.

Przypatrując się przez okno snującym się mieszkańcom, zauważyłem kilka pań lipnowskich, z ciekawością rozpytujących się o coś stróża domu i często spoglądających ku memu oknu. Za chwilę drzwi mej stancyi otwierają się i kilka pań z nieśmiałością wstępuje w mój kawalerski chwilowy przybytek. Były to krewne, a jedna nawet matka jednego z tych młodzieńców, którzy w wilię staczali walkę pod Rypinem; z obawą i gorączkową niepewnością pytały się mnie, jako przybyłego z Rypina, czy nie wiem o nazwiskach ranionych lub zabitych w tej potyczce, i wymieniając nazwiska drogich im osób, czekały z zatrzymanym w piersiach oddechem od gwałtownie bijącego serca słów moich, które mogły być okropnej boleści ciosami dla tych nieszczęśliwych niewiast. Podczas kiedy ja namyślałem się, przypominając nazwiska rannych i poległych, wczoraj słyszane, one ze łzami w oczach i blademi twarzami, patrzyły na mnie, czując, że na mych ustach zawieszone ich szczęście lub rozpacz. Niestety, jedna z nich, której nazwiska przypomnieć sobie nie mogę, miała syna czy brata między poległymi, którego nazwisko wówczas pamiętałem; starałem cios ten złagodzić, mówiąc, iż podobno lekko jest ranny. Spodziewałem się wybuchu płaczu i jęków, lecz przeciwnie, radość błysnęła w jej oczach:

— Ach, wracasz mi Pan życie, bo mnie mówiono, iż zginął!

Starałem się upewnić ją w pomyłce i jak nie należy wierzyć pogłoskom; i sam nawet zresztą nie byłem pewny, czy wieści, jakie ja miałem, są prawdziwe.

W parę godzin po odbyciu formalności, które na szczęście niewiele wymagały czasu i coraz bardziej utwierdzały moją tożsamość jako Czajkowskiego, przez przyłożenie mnóstwa pieczęci po różnych stacyach wojskowych, wyjechałem z Lipna,

udając się do Mławy. W Mławie zabawiwszy tylko tyle, ile było potrzeba dla zmiany koni, awizacyi paszportu przez władze cywilne i wojskowe i zobaczenia się ze znajomymi, dla dowiedzenia się prócz nowin o biegu w tym powiecie powstania ruszyłem do od dawna upragnionego celu mej podróży, do wsi B., gdzie moją Karolcię miałem nareszcie zobaczyć.

Było koło 10-ej z rana, jak wyjechałem z Mławy, rozpatrując się po okolicy nieznanej mi, a o której tak często marzyłem.

— Za kilka godzin ujrzę ją — szeptałem w myśli, rysując słodkie obrazy powitania i chwil szczęśliwych, jakie z moją najdroższą przepędzę po tylu dniach rozłąki. Ona ani się spodziewać może mego przyjazdu. Pewnie w tej chwili siedzi, smutna i zadumana, goniąc myślą za mną i drżąc o moje życie wśród tych walk, jakie staczać nam co chwila może wypada. Tak myśli ona, wznosząc do nieba oczy, łzami zroszone, i wymawiając moje imię. Och, przypominam sobie, jak mnie zaklinała na swoją miłość, abym się bardzo nie narażał i pamiętał, że życie moje z jej życiem związane. Żeby to już być przy niej, odetchnąć u jej stóp i rozweselić się jej spojrzeniem!

— Jedź prędzej — krzyknąłem na pocztyliona — już ja ci nie pożałuję tryngeltu.

Trąbka wesoło zagrała i szybko ruszyliśmy, mknąc po lesistej drodze. Utonąwszy w słodkich marzeniach, nie spostrzegłem prawie, jak z poza drzew wysunął się dach małego dworku, na który wskazawszy pocztylion, zawołał:

— Ot, już jesteśmy w B.!

Krew uderzyła mi do serca i silnie, gorączkowo się zabiło.

— Jestem już, jestem już u niej!

Zajechaliśmy przed dwór, spoglądam w okno, czy nie ujrzę jej zadziwionej i szczęściem uśmiechniętej twarzy; lecz w oknach nikogo nie było. Na trąbkę pocztyliona wyszedł jakiś niemłody mężczyzna, kłaniając mi się z daleka; spoglądam, czy za nim nie błyśnie jej sukienka, lecz pusto i głucho.

— Czy w domu pani K.? — pytam.

— Niema, Panie.

— A panna?

— Wyjechała wraz z matką.

— Do Warszawy? — zawołałem i jakieś przykre uczucie rozczarowania ścisnęło mi piersi.

— Nie, pani wyjechała w sąsiedztwo i dziś lub jutro powróci.

Odetchnąłem swobodniej.

— A daleko to sąsiedztwo?

— Kilka wiorst.

Rozmowa się urwała; namyślałem się, co począć: czy czekać, czy jechać w sąsiedztwo za niemi? Ów jegomość jakoś nie zapraszał do dworu; po małym więc namyśle kazałem jechać do wsi, gdzie moje panie gościły. W tych czasach zawsze był pozór zajechania do nieznajomych nawet domów, a zwłaszcza gdzie się spodziewało zastać taką znajomą, jak moja Karolcia. Przejechawszy ze cztery wiorsty dobrym kłusem, mój pocztylion zażądał wytchnienia dla koni w poblizkiej karczemce, w lesie położonej, gdyż biedne rumaki kilka już godzin bez odpoczynku kłusowały. Zatrzymaliśmy się przeto i ja, zsiadłszy z bryczki, poszedłem w las, korzystając z pięknego dnia i słońca prawie że wiosennego, choć dopiero był początek marca.

Zły mój humor z powodu zawodu, jaki mnie spotkał we dworze, powoli się rozprószył pod nawałem marzeń o przyszłej radości, jaką i mnie i jej sprawić miało niespodziewane spotkanie w nieznanym mi domu. Widziałem wprawdzie, jak wiele przeszkód tam spotkam do swobodnego sam na sam, i tylko ukradkiem zapewne serdeczne słówka polecą do naszych serc, upragnionych miłosnej rozmowy; lecz czyż to nie dość jednego spojrzenia, jednego ręki uścisku? Ileż to razy. nie zważając na czujne oko matki, ręce nasze spotykały się w gorącym i przeciągłym uścisku? A może i wśród zmroku wieczornego zbliży się do mnie i jej usta spoczną na mojem czole, podczas gdy ja dłoń jej okrywać będę pocałunkami.

I tak idąc coraz dalej, dalej w rozkoszach, nie uważałem, że powóz jakiś z dala nadjechał, i dopiero tentent kopyt i turkot kół wyrwał mnie z marzenia. Wybiegłem na drogę z myślą, czy to nie ona powraca; nie mogłem już dojrzeć siedzących kobiet, lecz suknie i powóz zdawały mi się znajome. Pobiegłem za powozem, aby lepiej się przyjrzeć i nie zrobić jakiego *qui pro quo*. Na szczęście obfity piasek zmusił furmana do

zwolnienia biegu koni, mogłem więc dogonić powóz i powoli zaszedłszy z boku, zajrzałem z bojaźnią.

— Pan Władysław! — wyleciał słaby krzyk z powozu.

— Tak, to ja, Pani! — odrzekłem, chwytając się za stopnie ekwipażu.

Furman zatrzymał konie i ja całowałem rączkę mamy, witając lekkim tylko uściskiem rączkę Karolci, gdyż ukrywaliśmy przed matką nasze serdeczne stosunki. Zaproszono mnie naturalnie do powozu i zarzucono gradem zapytań, skąd jadę, jakim sposobem tu się znajduję wśród lasu, czy tu jest jaki nasz oddział i t. p.

Odpowiedziałem, iż umyślnie jechałem panie odwiedzić, a nie zastawszy w domu, odważyłem się dalej za niemi pojechać. Rozmawiając tak z matką, rzucałem z pod oka na córkę radośne spojrzenia, pragnąc z jej oczu wyczytać szczęście i miłość, jaka tam dla mnie zawsze miała gorzeć. Lecz ona dziwnemi jakiemiś z poza łez patrzała oczami, twarz jej, zarumieniona z początku, bladła widocznie; zdawała mi się jakąś zmieszaną, jakąś nieswoją, jak gdyby spotkanie ze mną przykre na nią wywierało wrażenie.

— Co jej jest? — myślałem — Czyżby to niespodziane widzenie tak silnie miało na jej wrażliwą duszę podziałać?

Zwróciłem do niej rozmowę, aby módz ciągle w jej oczy patrzeć; odpowiadała mi powoli, często spuszczając oczy, a kiedy patrzyła na mnie, to zdawało się, że błaga litości. Żal mi ścisnął serce, lecz żal z rozkoszą złączony, gdyż pomyślałem, jakże ona cierpieć musiała podczas mej nieobecności, gdy nawet teraz, gdy jestem przy niej, jeszcze ta boleść zupełnie zatrzeć się nie mogła.

— Mówiono, żeś Pan był raniony, zabity nawet — szepnęła, patrząc na mnie łzawemi oczami.

— Och — pomyślałem — jakże ta wiadomość dotknąć musiała to biedne serduszko!

— Nie, Pani — odrzekłem — nawet raniony nie byłem, a już o zabiciu nie potrzebuję, zdaje się, wspominać.

Rozmowa zaczęła przybierać weselszy charakter i twarz Karolci wypogodziła się troszeczkę, a w końcu, nim dojechaliśmy do dworu, zaczęła przybierać zwyczajną figlarność; zawsze je-

dnak zdawało mi się, że jakaś troska miesza jej wrodzoną wesołość.

Przybywszy do ich domu, z niecierpliwością oczekiwałem chwili, w której bez świadków kilka słów będziemy mogli przemówić, kilka słów, które nam wystarczą za całe godziny powszednich rozmów towarzyskich. Lecz zauważyłem, że Karolcia jak gdyby lękała się rozmowy i twarz jej coraz stawała się smutniejszą.

— Co ci jest, moja droga? — szepnąłem, korzystając z oddalenia się matki do dalszych pokojów. — Czyżbyś zapomniała już o mnie? — rzekłem, uśmiechając się, pełen wiary w szczęście. — Czyż się nie zbliżysz do twego Władka?

I objąwszy ramieniem jej rozkoszną kibić, schwyciłem rączkę jej drobną i przycisnąłem do ust, okrywając gorącymi pocałunkami.

— A ty, aniele mój, czyż nie przywitasz mnie, jak dawniej? — rzekłem, nachylając się nad jej głową.

Ale ona odsunęła lekko swą głowę od mojej, twarz jej była blada, jak ściana, usta konwulsyjnie się poruszały i z oczu zaczęły długo utrzymywane łzy toczyć się po licu.

— Co to jest, przez Boga? Co to jest? — zawołałem zadziwiony.

— Ja już nie mogę cię pocałować — szepnęła głosem, stłumionym przez łzy i westchnienia.

— Co ty mówisz, Karolciu? — zawołałem, chwytając ją za obie ręce i patrząc w jej twarz, zmienioną od wewnętrznego wzruszenia.

— Och, ty żartujesz! Nie męcz mnie! — i obie jej ręce przyłożyłem do piersi, ażeby uśmierzyć bicie gwałtowne serca, jakie jej słowa wywołały.

Ale ona, wyrwawszy jedną rękę, rzekła:

— Tej ręki nie mogę już dać całować Panu.

— »Panu?« Mnie mówisz »Panie«?! Więc i ja już tobie »Pani« mówić winienem! — szepnąłem, wstając, gdyż czułem, że dech w piersiach mi się tamuje od żalu i niepewności.

— Nie, o nie! Mów mnie »ty«, zawsze »ty«; ja tylko już tak mówić nie mogę.

— Droga moja, szczęście moje! wytłómacz, powiedz, co to jest?

Lecz wejście matki przerwało tę scenę bolesną, przerwało tylko na chwilę. Karolcia wybiegła do drugiego pokoju, aby matka łez jej nie widziała; ja chodziłem po pokoju, starając uspokoić się, odgadnąć powód całej tej sceny. Czyżby kto plotkę jaką puścił, że ja się zakochałem, jak to raz już było i musiałem długo przed nią się tłómaczyć? Lecz nie byłaby tem tak zmartwioną, widząc, że jestem przy niej i że cokolwiekby mówiono o zmianie mego serca, fałszem jest. Gubiłem się w domysłach, szarpałem umysł w najdziwaczniejszych przypuszczeniach, czekając od niej rozwiązania.

Matka, ustawiwszy przybory do herbaty, po chwili wyszła znów, jakby umyślnie zostawiała nam swobodne pole do tłómaczeń i zwierzeń.

— Karolciu moja — rzekłem, gdy weszła, biorąc ją za rękę — czyż już nie kochasz mnie?

— Kocham! Kocham! — przerwała z płaczem.

— Więc co ci jest, mój aniele? Czemu mi drugiej twej ręki nie chcesz podać? Czym może stał się niegodnym twojej miłości?

— Ty — niegodny? Och, co mówisz? Jam, jam to niegodna ciebie! — szepnęła, schylając głowę.

— Wytłómacz mi, na Boga, co to jest? — rzekłem powstając, a w piersiach czułem jak gdyby chłód jakiś niepojęty i bolesny, jak gdyby ostrze noża przeszywało je na wylot.

— Daj mi twą drugą rękę — zawołałem gwałtownie, widząc, jak z nią się ukrywa — daj ją, jeżeli prawda, żeś mi serca twego nie zmieniła.

— Kocham, kocham Cię — wyjęczała i nagle z jakimś gorączkowym ruchem zsunęła coś z ukrywanej ręki, wyrzekłszy: — Niech się co chce dzieje: tak być nie może — och, ja nieszczęśliwa!

Jakby piorunem przemknęła mi straszna myśl w głowie, lecz myśl taka, że zastanawiać się nawet nad nią długo nie chciałem, tylko drżący ze wzruszenia, schwyciwszy jej drugą rękę, wyrzekłem szybko:

— Coś zdjęła z palca? Pokaż mi natychmiast, natychmiast, coś zdjęła — i głos mój drżał, jak gdyby z jego dźwiękiem miało ulecieć wszystko, co było mi szczęśliwem na ziemi.

— O mój Władku, mój Władku! Przebacz mi, ale zmu-

szono mnie, lecz to nic, teraz, kiedy ty jesteś, wszystko się stanie inaczej. Widzisz, matka mnie zaklęła na wszystko, co mam najdroższego w życiu. Ty wiesz, że ona go kocha. Och, nie pogardzaj mną, to wszystko się zmieni.

Słuchałem, jak gdyby nie do mnie mówiła; w głowie zaczęło mi się mieszać, myśląc, co jeszcze od niej usłyszę. Ona zamilkła.

— Mów, mów wszystko! — rzekłem — Ty jesteś — i nie mogłem dokończyć.

— Tak, tak — jęczała — zaręczyli mnie, ale ja ciebie tylko kocham.

Usłyszawszy te słowa, upadłem na krzesło i jakoś dziwnie mi się zdawało, że ta kobieta mogła wymówić to, co mnie zdawało się niepodobieństwem. Ona zaręczona, ona mój anioł, moja najdroższa! I pierścień innego na palcu swym nosi! Całe moje szczęście runęło od jednego jej słowa. Całe moje marzenie rozwiało się w bolesnej rzeczywistości.

— Nic mi nie odpowiadasz, mój Władku? Ja wszystko zerwę, nie smuć się.

— Och, jak ja śpieszyłem, aby cię ujrzeć — wyrzekłem po chwili — a ty —

Nie mogłem dokończyć. Weszła matka. Podano herbatę. Starałem się, o ile możności, być spokojnym, a nawet zimnym dla niewiernej; ale tak ją kochałem, tak pragnąłem zostawić sobie choć iskierkę, choć cień nadziei, że mimo woli, mimo rozumu prawie wierzyłem, że ona ciągle mnie kocha i że uległa namowom.

Po herbacie znów zostaliśmy sami. Ona pierwsza rozpoczęła, mówiąc, iż wszystko się zmieni i wszystko na dobre się obróci. Narzeczonym jej był T. K., mój znajomy, który już kilka razy oświadczał się o jej rękę i zawsze dostawał harbuzy; wiedziałem, że go kochać nie może, bo nieraz we dwoje żartowaliśmy z częstych jego mimo ciągłych odmów oświadczyn. Był on właściwie ulubionym matki, ulubionym w platonicznem znaczeniu, gdyż sam jej nie kochał i może nawet nie wiedział, iż jest kochany, choć całe sąsiedztwo o tem wiedziało, i dla tej platonicznej miłości swojej matka wymogła na córce, aby nareszcie przyjęła od niego pierścionek. Dopomogła ku temu i rana jego, jaką w bitwie otrzymał, wychodząc w oczach matki

na rzeczywistego bohatera. Opowiedziała mi, jak ją matka zaklinała, jak ją prosiła, jakich używała środków i t. p., słowem, że przyjęła przywieziony przez matkę pierścionek, oświadczywszy, że ślub nie wcześniej, aż po ukończeniu powstania nastąpi i tego warunku na żadne już prośby zmienić nie chciała, licząc, że tą odwłoką potrafi wszystko według naszych życzeń ułatwić.

— Czemuż mu nie powiedziałaś, iż go nie kochasz i kochać nie będziesz? On jako człowiek szlachetny, samby natychmiast słowo twoje wymuszone powrócił, zwalniając z obietnic — zapytałem.

— On wie, że go nie kocham; lecz sądzi, iż jeżeli serce moje jest wolne, to może później pokochać go zdołam.

— A czyż serce twe wolne? — zawołałem.

— Mój drogi, czyż mogłam mówić rannemu śmiertelnie przy matce, że kocham innego?

Nic nie odrzekłem na to, choć czułem, że ja na jej miejscu inaczejbym postąpił. Mówiła później długo, przekonywując mnie i uspakajając, zaklinając i płacząc chwilami, a słowa jej brzmiały tak pięknie, a serce moje tak pragnęło wierzyć w odzyskane szczęście, iż mimo jawnych prawie faktów słabości jej charakteru i nietrwałości uczuć zakończyliśmy rozmowę przeciągłym uściskiem, przyrzekając sobie miłość na zawsze; ona już nie broniła mi swej ręki, bo pierścień innego był już z niej zdjęty, i nie wahała się już życzyć mi dobrej nocy pocałunkiem miłosnym.

Rozstaliśmy się, ona prawie spokojna i na pół szczęśliwa, ja odurzony i niepewny. Gdy sam zostałem, zacząłem powoli rozbierać w myśli wszystko, co dziś z jej ust słyszałem i im więcej rozumem wnikałem w jej postępowanie, tem bardziej się przekonywałem, jak jej uczucie dla mnie jest chwiejne i niestałe i jak mało na jej słowa liczyć można. Byłem coprawda głęboko przekonany, iż T. K. nie kocha wcale i nigdy nie kochała; ale i cóż z tego? Jedno słowo, jedna prośba matki, która przecież dla swej jedynaczki nie była tyranką, obala wszystko, co w swem sercu przysięgła. Trzech tygodni nie upłynęło, jak pożegnałem się z nią, aby pobiegnąć na pole walki narodowej, a ona oddała rękę swą innemu, zostawiając co prawda serce dla mnie. Ale cóż znaczyło to serce, którem lada powiew wiatru mógł poruszyć? A jednak tak ją kochałem! W tej chwili

dzisiaj ona kocha mnie, ale później, gdy odjadę? Trzeba odjechać i nie wracać już. Westchnąłem ciężko, zadumawszy się nad swym losem.

Było już późno, świeca się dopalała, lecz o śnie ani myśleć mogłem. Spojrzałem w okna, prowadzące na ogród, i nagle ujrzałem przechodzącą w bieli kobietę.

— Czyżby to ona?

Podbiegłem, lecz postać już nikła za drzewami; zdawało mi się jednak, że ona to była. I ona spać także nie może, więc czuje, iż źle uczyniła; może to jej pierwsza i ostatnia słabość, pomyślałem i znowu starałem się wytłómaczyć jej postępowanie, aż znużony nareszcie, nic nie postanowiwszy, usnąłem ciężkim snem, pełnym gorączkowych widziadeł.

Nazajutrz pierwszą osobą, którą ujrzałem, była ona. Na twarzy widać było znużenie i smutek.

— I ty, widzę, nie spałeś — rzekła, opierając swe rączki na mych ramionach — to z mojej winy; przebacz mój biedny Władku! — i nachyliła swą twarzyczkę do pocałowania.

Czyż mogłem się gniewać po takiem przywitaniu? Zapomniałem o wszystkich refleksyach wczorajszych i o piorunach, jakie w skrytości serca ciskałem na wiarołomną. Rozpoczęliśmy dawną gawędkę, przerywaną oświadczynami i całusami, o ile tylko nieobecność matki pozwalała. Przyrzekała, że wszystko zerwie, bylebym tylko jej wierzył i był cierpliwy, gdyż nagle natychmiast zerwać, jak ja tego żądałem, nie chciała, by matce nie zadawać bolesnego ciosu. Była tak uprzedzającą i tak kochającą przez cały ten ranek, iż wszystko jej przebaczałem, ciesząc się tylko chwilą obecną i pieszczotami. A jednakże co chwila, mimo szczęścia, jakiem teraz mnie darzyła, mimo wszelkich z jej strony zapewnień, smutek mój i obawa powracały.

W godzinę coś po herbacie, ponieważ matka jej wyjeżdżała do brata czy krewnych, siedliśmy do powozu, aby znaczną część drogi razem odbyć. Na popasie u jakiejś karczmarki znaleźliśmy znowu swobodną chwilkę do rozmowy, a kiedy matka wyszła, wówczas nie zważając na obecność gospodyni, objęła mnie za szyję i utonęliśmy w gorącym pocałunku. Zadziwiona karczmarka musiała nas co najmniej za narzeczonych przyjąć, widząc takie czułości i taką niby obojętność za poja-

wieniem się matki. Cóżby pomyślała naiwna kobieta, gdyby mogła odgonąć, że ta całująca mnie panienka jedzie do swego narzeczonego!

Nad wieczorem przybyliśmy do Czar. do pani R. Na szczęście i mnie tam droga wypadała, gdyż w tejże wiosce była obecnie główna kwatera Z. Padlewskiego, z którym pragnąłem się zobaczyć. Nikogo jednak z organizacyi nie zastaliśmy, gdyż Zygmunt Padlewski z całym sztabem ruszył w Lipnowskie dla spotkania Mierosławskiego, który według dawnych planów miał tam wkroczyć. Gościnna gospodyni domu i dobra patryotka zatrzymała nas na noc, zwłaszcza że spodziewała się powrotu Padlewskiego, który jej o moim przyjeździe wspominał. Mało tu mieliśmy sposobności zamienienia kilku słówek z sobą w cichości.

Odszedłszy do naznaczonego mi na nocleg pokoju, który dotykał się sypialni Karolci z matką, długo nie kładłem się, myśląc, iż może ona choć na chwilkę do mnie zajdzie. Ale czekałem napróżno, gdyż bała się matkę przebudzić.

Nazajutrz wstałem raniutko, odpocząwszy trochę, bo słaba nadzieja szczęścia, jaka tułała się jeszcze po mojem sercu, uspokoiła choć w części wzburzoną duszę. Wszedłszy do saloniku, zastałem już tam Karolcię, czekającą na mnie, w ręku trzymała jakiś papier.

— Patrz! — rzekła — T. K. znowu list pisze do mnie, pytając się, czy mogę go kochać, bo to jedno tylko utrzymuje go przy życiu. Ja nie mam przed Tobą sekretu: przeczytaj — i podała mi list szczęśliwego narzeczonego.

Przeczytawszy go pośpiesznie, rzekłem:

— Odpisz mu, odpisz prawdę i niech się wszystko zakończy.

— Ależ, mój Władku — zawołała ze łzami w oczach — cóżby matka moja powiedziała! Pozwól mi wstrzymać się, ja wszystko to odmienię — i zatrzymała się, patrząc na mnie; lecz ujrzawszy, iż twarz moja była pełna smutku, schwyciła mnie za rękę, mówiąc:

— Rozkazuj: jam twoja; co zechcesz, uczynię, ale miej litość nademną, nad matką! — i znów list mi jego podała.

Ale ja ze ściśniętych bólem piersi mogłem zaledwie wyszeptać:

— Zabijasz mnie! — i rzuciwszy list na podłogę, wybiegłem do ogrodu, aby uspokoić wzburzone serce.

Chodziłem jakiś czas po ogołoconym z liści i kwiatów ogrodzie, powtarzając sobie: »Wszystko przepadło: ona niczemu się nie oprze«. Uspokoiwszy się trochę, wróciłem do saloniku. W sieni spotkałem Karolcię.

— Przebacz mi — szepnęła — ja cię kocham, ufajże mi!

— Jak ty mnie kochasz? — zawołałem, rzucając na nią gniewne spojrzenie — Czemuż nie napiszesz, czemuż nie zerwiesz, czemuż mnie męczysz zwierzeniami?

Zaczęły się znów, jak i wczoraj, zaklinania i przysięgi, łzy znów błyszczały na jej oczach, głos dźwięczał miłością i prawdą i ja, jak zwykle, zostałem przekonany, iż tak, jak ona czyni, lepiej jest i robi to dla nas i naszej miłości. Byłem przekonany, bo najłatwiej przekonać o tem, czego gorąco żądamy i co jest pragnieniem naszego serca.

Wróciliśmy do salonu, starając się przybrać obojętną powierzchowność. Opuszczenie nagłe salonu było wytłómaczone nagłą moją słabością. Za kilka godzin mieliśmy się rozjechać w różne strony: ja w dalszą podróż do Warszawy, ona zaś z matką do krewnych, gdzie w przejeździe miała się widzieć z T. K., owym moim rywalem, a jej narzeczonym. Chciałem z początku jej towarzyszyć, gdyż nawet matka mnie zapraszała; ale delikatność i prośba Karolci powstrzymała mnie od tego niestosownego kroku. Bo jakążbyśmy, ja i ona, rolę odgrywali wobec niekochanego przyszłego oblubieńca, przeciw któremu tworzyliśmy zamysły nieprzyjazne? Tem bardziej, że T. K. podejrzywał jej ku mnie miłość.

Pożegnawszy się zatem tysiącem zaklęć i oświadczyn i ułożywszy nowe w Warszawie sam na sam spotkanie, gdyż ona pierwej tam od matki miała przybyć, i na znak, iż mnie czeka bez świadków, miała dać umówiony sygnał przez podniesienie zasłon u okien, wyjechaliśmy prawie równocześnie z gościnnego domu p. R.

XXIV.

W Warszawie. — Obalenie dyktatury Mierosławskiego. — Sprawy sercowe. — Wyjazd do Krakowa. -- Dyktatura Langiewicza. — Protestacya Mierosławskiego. — Upadek Langiewicza. — Daremne rokowania z Mierosławskim. — Wyjazd do Warszawy.

Towarzyszem moim był jakiś nieznany członek organizacyi powiatowej, jadący z jakimiś papierami do drugiego powiatu. Wszędzie, gdzieśmy się zatrzymywali na stacyach naszej narodowej poczty, przyjmowano nas z serdeczną ciekawością i współudziałem. Na drugi dzień wieczorem, musiałem bowiem nocować w drodze, stanąłem w Warszawie. Nie zajechałem jednakże do mieszkania w obawie, czy czasem nie jestem śledzony przez policyę, a zatrzymałem się na noc w hotelu Krakowskim. Całą noc przepędziłem w snach, co chwila się zmieniających, których głównemi przemianami w różnych modyfikacyach były zaręczyny Karolci i walki pod Krzywosądzem i Nową Wsią.

Nazajutrz z rana, wpadłszy do domu na chwilkę, pobiegłem zaraz do członków Komisyi. Lecz jakież zastałem zmiany w tej niegdyś przez nas trzech, t. j., Bobrowskiego, Marczewskiego i mnie reprezentowanej władzy powstańczej! Liczba jej członków wzrosła coś do 15 czy więcej osób. Marczewski był już aresztowany. Główną rolę w tej Komisyi grał Giller, który wystawił znów głowę, ujrzawszy, że powstanie nad jego przypuszczenia i rachunki coraz to więcej nabiera znaczenia. Członkowie Rządu Tymczasowego, choć i byli już prawie w komplecie, występowali jednak jeszcze jako pojedyncze jednostki Komisyi, choć rozporządzenia ciągle niby od Rządu Tymczasowego wydawano.

Większość Komisyi z Gillerem na czele wszelkiemi siłami starała się intrygować przeciw Mierosławskiemu. Obalenie

jego przez Rząd ustanowionej dyktatury było jedną z ważniejszych czynności Gillera i jego popleczników. Przyjazd mój bardzo im nie był na rękę, bo mając wszystko już ukartowane, obawiali się, i bardzo słusznie, przeszkód z mej strony. Na zapytanie moje, jakie uczyniłem Bobrowskiemu, dlaczego w »Ruchu« nie było ogłoszonej nominacyi Mierosławskiego, jak on tego żądał, odpowiedział mi Bobrowski, że mimo nalegań z jego strony (co rzeczywiście było prawdą) większość Komisyi odrzuciła to żądanie pod pozorem, iż mój list, zwłaszcza bez całkowitego podpisu i pieczęci nie ma charakteru urzędowego, a zatem wstrzymać się muszą do osobistego pisma jenerała, nadmieniając, że jeżeli do 10-go marca, a było wówczas 7-go czy 6-go, Mierosławski nie da znać o sobie, to dyktaturę uważają za niebyłą.

Widziałem już z tej odpowiedzi, że Komisya o Mierosławskim zupełnie już nie myślała, a jeżeli myślała, to tylko, by go zgubić. Bobrowski, człowiek zdolny, a przytem otwarcie występujący, niebardzo i ukrywał przedemną chęci i dążenia tej nowej Komisyi. W kilka godzin widziałem się z Awejdą na oznaczonem przez niego miejscu, aby nareszcie z ust jego, jako członka Tymczasowego Rządu, powziąść rzeczywistą wiadomość o zamiarach partyi ruchu względem wezwanego przez nichże jenerała. Awejde powtórzył mi mniej więcej toż samo, co i Bobrowski, oświadczając, iż postanowiono na Komisyi wbrew ich życzeniom, aby tylko do 10-go czy 11-go marca dać termin Mierosławskiemu, to jest, jeżeli on do tego czasu nie wkroczy do Królestwa, lub przynajmniej nie da o sobie i miejscu swego pobytu listownego zawiadomienia, to wtedy Komisya uznaje nominacyę jego na dyktatora za upadłą i wszelkie zobowiązania i traktaty, jakie Rząd Tymczasowy z nim porobił, za nieważne.

— Ależ on nie jeden, lecz dziesięć listów napisze — odrzekłem — lecz trzeba przynajmniej trzech dni czasu, abym go zawiadomił o postanowieniu Komisyi, i tyleż dni, aby list jego mógł dojść do was, a dzisiaj mamy 6-go.

— Tak jest, ale cóż ja na to poradzę?

— Jakżeż możecie takie dziwaczne rozporządzenia wydawać? O każdym przecież rozkazie, ażeby on był wykonany, trzeba najpierw zawiadomić tego, co go ma wykonać.

— Komisya nie wie, gdzie jest Mierosławski, i szukać go nie może — odrzekł O. Awejde.

— Ale jakżeż znów Mierosławski może przeczuć żądania wasze?

Długo dość toczyliśmy rozmowę w tym sensie, choć Awejde osobiście nie podzielał postępowania Komisyi, która naturalnie szukała tylko choćby takiego fantastycznego powodu do zniszczenia dyktatora Mierosławskiego, pragnąc w swoje ręce ująć kierownictwo powstania, jak gdyby nie właściwiej było jawnie i po rewolucyjnemu wystąpić, niż łapać się za jakieś dziecinne kruczki.

Przy rozstaniu się z Awejdem rzekłem, iż sądzę, że ja, jako członek Komisyi, będę mógł się na jej zebraniu znajdować. Dziwną na to i zaambarasowaną uczynił minę, rzekłszy:

— Wielu z Komisyi uważa cię za nienależącego już do jej składu przez tak długie przetrzymanie urlopu w obozie Mierosławskiego; ale zapytam się, jak tam oni postanowią.

— Mógłbym, zdaje się, jako pełnomocnik Mierosławskiego wystąpić i wtedy decyzye Komisyi nicby nie znaczyły, bo on zawsze jeszcze nawet w oczach Komisyi jest dyktatorem.

Na zapytanie, dlaczego oni, członkowie Rządu, nie przyjeżdżali na wezwanie jen. Mierosławskiego do obozu, odpowiedział, że on z Mikoszewskim natychmiast po otrzymaniu pisma jenerała wyjechali do Krzywosądza, ale nas tam już nie zastali, a dalej już przedostać się dla dróg wojskiem zajętych nie mogli, że Mikoszewski, Brzozowski i Matuszewic dojechali aż do obozu Mielęckiego, lecz już po wyjeździe zeń Mierosławskiego; wspominał o śledztwie na Dąbskiego za jego zbrodniczy zamiar i t. p., mówił na zakończenie o swych uczuciach do Mierosławskiego i t. p., ale rezultat był zawsze jeden i niekorzystny.

Na drugi dzień byłem u niego w mieszkaniu, gdzie spotkałem się i z Gillerem, który nie wiedząc, jakim sposobem żółć swoją na mnie wylać, zarzucał mi, iż ja obóz przeciw Mierosławskiemu buntowałem i że całą nieprzyjaźń i nieufność między żołnierzami ku niemu ja rozsiewałem. Na tak oryginalną napaść trudno było z zimną krwią odpowiedzieć i byłoby między nami do ostrych przyszło wymówek, gdyby obecni tam Janowski, Majkowski i inni nie załagodzili tej sprawy, powsta-

jąc na Gillera. Janowski dla odwrócenia kłótni zaczął mnie rozpytywać się o brata, a ja niestety, nie wiedząc, iż w tajemnicy utrzymywali śmierć jego przed nim, wprost mu o tem nieszczęściu powiedziałem, żałując, lecz już za późno, swej nieostrożności, bo po bladej twarzy i zmienionych licach nieszczęśliwego brata można było widzieć, jak wielką, choć nieuniknioną boleść mu sprawiłem.

Mimo ciągłych domagań się o zmianę postanowienia od Komisyi co do Mierosławskiego nic wskórać nie mogłem. Sam zaś, nie mając piśmiennego upoważnienia jako pełnomocnik Mierosławskiego, występować urzędownie z rozkazami nie mogłem, a co gorzej, nie wiedziałem, gdzie on się rzeczywiście znajduje. Miałem wprawdzie zamiar wystąpienia wprost z zawezwaniem Komisyi w imieniu Mierosławskiego, aby nic do mojego powrotu z Krakowa (gdzie go spodziewałem się zastać) w tej sprawie nie przedsiębrała; lecz rozpatrzywszy się bliżej, iż wykonać to nie było możebności, owszem jeszczeby się tylko słabość partyi Mierosławskiego pokazała, bo może kilka tylko w Komisyi głosówby mnie poparło, wolałem w Komisyi już nie być i bezskutecznie czasu na próżnych gadaninach z ludźmi nieprzyjaznymi i niechętnymi Mierosławskiemu nie tracić, a tylko umówiwszy się z mymi akademikami o dalsze postępowanie, samemu jechać do Krakowa dla dowiedzenia się, gdzie mianowicie jest obecnie Mierosławski, i natychmiastowego się z nim skomunikowania. Umówiwszy się w tym celu z Bauernfeindem, jednym z gorliwych Mierosławskiego zwolenników, miałem nazajutrz wraz z nim do Krakowa wyruszyć, tem bardziej, że otrzymany list od Stawińskiego, naszego ajenta, wzywał mnie dla jakichś ważnych spraw do tego miasta.

Przed wyjazdem byłem jeszcze u Bobrowskiego, Królikowskiego i innych w celu wybadania ostatniego słowa owej Komisyi, chociaż z powyższych rozmów i traktacyi jasne już mogłem mieć pojęcie o opinii i przyszłem działaniu Komisyi w tej kwestyi. Giller, główny czynnik w Komisyi, był jeszcze przed powstaniem zaciętym wrogiem Mierosławskiego i mogłem być przekonany, iż wszelkich użyje środków, aby nienawistnego sobie jenerała od wszelkiego udziału w powstaniu usunąć, a co najmniej władzę dyktatoryalną zniweczyć.

Nie chcąc mimo rad L[eona] Kr[ólikowskiego] widzieć się

z całą Komisyą, gdyż jej nie chciałem zupełnie, jako bez wiedzy dyktatora ustanowionej, uznawać, a tylko traktując z byłymi członkami Tymczasowego Rządu, oświadczyłem L[eonowi] K[rólikowskiemu], iż postaram się o jak najśpieszniejsze zobaczenie z jenerałem, mając nadzieję, iż cała ta intryga Gillera *et consortes* nie będzie miała żadnych następstw. Nadmieniłem wreszcie, że strata Mierosławskiego dla powstania byłaby wielce bolesną, bo żaden z nowo występujących naczelników wojennych nie ma ani takiego imienia między ludem wiejskim, ani takiego zaufania, ani tej pociągającej i wstrząsającej wymowy, której skutki na chłopach naocznie widziałem; nikt zatem nie przedstawiał tyle nadziei na poruszenie mas ludowych i popchnięcie ich do walki, ile jen. Mierosławski. Że miał swe wielkie i bardzo wielkie wady, o tem ja nawet wtenczas wcale nie wątpiłem, choć przypuszczałem, że wady te jego nie przeważą na szali korzyści, jakie powstanie z niego wyciągnąć mogło. Jakie później o nim, gdym go bliżej poznał, powziąłem przekonanie, o tem w swojem miejscu napiszę. Z tych przeto powodów pragnąłem, aby naczelnicy organizacyi narodowej nie zrywali zupełnie z jenerałem, a takiego zdania, jak moje, wielu podówczas się trzymało. Później dopiero wzburzyły się namiętności jako lawy wulkanu, rzucając gruzami i dymem na wszystko, co podejrzywano o Mierosławczyznę.

Wszystkie te jednak zajęcia i wiele innych jeszcze nie zabierały mi znów tyle czasu, abym kompletnie o moich interesach sercowych zapomniał. Ile razy przechodziłem przez Nowy Świat, zawsze zwracałem oczy na kamienicę, w której mieszkała Karolcia, aby zobaczyć, czy umówione rolety nie są podniesione, co było znakiem, że mnie sama jedna oczekuje. Tak jednak jakoś nieszczęśliwie wypadało, iż mimo, że ona była, że czekała i że rolety często były podnaszane, ja nie mogłem tego zobaczyć i dopiero, gdy matka jej wróciła, dowiedziałem się o jej obecności. Poszedłem do nich natychmiast, aby korzystać z ostatniego dnia, jaki w Warszawie zabawić miałem.

Na widzeniu tem powtórzyliśmy sobie dawne obietnice i przysięgi; ona była już zupełnie uspokojona, wierząc i mnie każąc wierzyć, iż zaręczyny jej wkrótce zostaną zerwane, błagając, bym wracał jak najprędzej i ufał jej miłości. Jak zwykle, korzystaliśmy z każdej, choćby chwilowej nieobecności matczy-

nego oka, aby pożegnać się to całusem, to uściskiem, to jakiemś słówkiem, tyle razy powtarzanem, a zawsze drogiem.

Wyszedłem od niej prawie szczęśliwy i na pół uspokojony, lecz niestety na pół tylko, bo jej słabość charakteru zawsze rodziła we mnie niepokojące obrazy. Nazajutrz wraz z Bauern. opuściliśmy Warszawę, udając się w Rawskie do majątku jednego z jego przyjaciół, skąd mieliśmy już koleją do Krakowa wyruszyć. Zabawiwszy dłużej, niż myślałem, w Rawskiem skutkiem różnych wypadków, przybyliśmy na trzeci coś dzień po wyjeździe z Warszawy na granicę Galicyi. Ponieważ paszporta nasze, t. j., mój, Bauernfeinda i trzeciego jeszcze towarzysza, Gustawa Lasockiego, nie były w zupełnym porządku, musieliśmy przeto nocą przemykać się między strażniczemi pikietami wojsk austryackich, aby nie być schwytanymi i zaaresztowanymi.

Bauernfeind, jako mający znajomych na komorze granicznej, poszedł wystarać się o jakiego przewodnika, któryby nas choć do pierwszej wioski na tamtej stronie doprowadził. Niezadługo wrócił z wielce zaaferowaną twarzą, niosąc jakiś papier w ręku.

— Wiecie, co ja się dowiedziałem? — zawołał. — Oto Langiewicz ogłosił się dzisiaj dyktatorem.

— Co ty mówisz? Niepodobieństwo! Jakiem prawem? — zawołaliśmy oba z Lasockim.

— Patrzcie, oto odezwa drukowana do narodu — i podał nam rozwinięty papier.

Przeczytaliśmy go z gorączkową ciekawością: rzeczywiście była to odezwa, zawiadamiająca, iż Maryan Langiewicz po porozumieniu się z Tymczasowym Rządem ogłasza się dyktatorem narodu polskiego.

— Trudno pojąć, co to się znaczy, gdyż prawie przysiądz gotów jestem, że Rząd Tymczasowy nic aż do dziś o tem nie wiedział. Niema trzech dni, jak się z nimi widziałem, i ani wzmianki, ani cienia nawet tego, co tu czytam, nie było — rzekłem, oddając papier — chyba, że to jakaś intryga, boć Rząd Tymczasowy nie zapomniał chyba, z czem mnie do Mierosławskiego wysyłał.

— Cóż teraz będzie z jenerałem Mierosławskim? — zawołał T. Bauernfeind, patrząc się z zasmuconemi na mnie oczyma.

— Ale gdzież on jest, gdzież się podziewa? — rzekłem, nie odpowiadając wprost na jego pytanie — W Krakowie wyraźnie go niema, bo wtedy Langiewicz nie odważyłby się ogłaszać dyktatorem pod bokiem rzeczywistego naczelnika, o którego nominacyi dobrze wiedział i któremu przyrzekł wobec komisarzy Rządu, J[anowskiego] i M[ikoszewskiego], być posłusznym.

Różne robiliśmy przypuszczenia nad tą niespodzianką, czekając na przewodnika, który nareszcie nadszedł. Noc była dość jasna, z wielką przeto ostrożnością przemykaliśmy się między krzakami i zaroślami, szukając zawsze cienia, aby nas światło księżycowe nie zdradziło. Dostawszy się do lasu, śmielej już podążyliśmy za naszym przewodnikiem. Przyszedłszy nad brzeg lasu, ujrzeliśmy nareszcie leżącą w blizkości wioskę już galicyjską, która właśnie była celem naszej podróży. Wioska ta nazywała się, o ile pomnę, Szczakowa, i tam najęliśmy już konie od jednego poczciwego włościanina, ojca dwóch kompletnie pięknych córek. Trzeba przyznać, że nie widziałem jeszcze w prostej klasie wieśniaczej tak pięknych, delikatnych i pełnej jakiejś szlachetnej łagodności twarzy. Musiały być niepospolicie przyjemne, kiedyśmy mimo zaprzątniętych tyloma myślami głów nie mogli nie zwrócić na nie uwagi.

Wyjechawszy około 3-ej w nocy ze Szczakowy, znużeni i senni drzemaliśmy na bryczce, gdy nagle z poza drzew i krzaków, na wzgórzu stojących, rozległ się głośny okrzyk: »Halt!«, a za nim w ślad z niemieckiemi przekleństwami pokazały się białe płaszcze i zabłysły bagnety piechotyńców austryackich. Zaczęli rewidować bryczkę, dopytując się, skąd jedziemy i kto jesteśmy, na co, gdy ich nasz woźnica upewnił, że ze Szczakowy tamtejsi obywatele, puścili nas wolno.

W parę godzin stanęliśmy na stacyi kolei żelaznej w Trzebini, skąd już ruszyliśmy do Krakowa. Kiedy się pociąg kolei żelaznej zatrzymał na banhofie krakowskim, rzuciłem ciekawem okiem po platformie w nadziei ujrzenia kogo ze znajomych. Nadzieja nie zawiodła mnie: między oczekującymi przybycia pociągu ujrzałem Stawińskiego Wł., wyraźnie na mnie czekającego. Zabrawszy przeto sakdewojaż, miałem już wysiąść, gdy nagle z sąsiedniego wagonu, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, zobaczyłem wysuwającego się powoli jen. Mierosław-

skiego, odzianego w długi granatowy surdut, z węzełkiem rzeczy w chustce kolorowej związanym i z starą czapką na oczy naciśniętą. Chciałem pobiedz do niego, ale on, spostrzegłszy mnie, dał mi niepostrzeżony znak, abym został na miejscu, i ruszył powoli, przygarbiwszy się nieco, ku miastu.

Stawiński również go spostrzegł i przysunąwszy się do jenerała, o mało że go nie zdradził, gdyby Mierosławski, w bok go szturknąwszy, nie wstrzymał przywitania. Puściliśmy go przeto samego, patrząc z daleka na kroczącą zwolna po plantach miejskich zgarbioną figurę, w której niktby się nie domyślił owego głośnego rewolucyonisty, napełniającego kiedyś swem imieniem pół Europy.

— Czekałeś na mnie, czy na jenerała? — szepnąłem do Stawińskiego.

— Na ciebie czekałem — odrzekł cicho — nic nie wiedzieliśmy, że jenerał dzisiaj ma przybyć z Paryża

— Jak to, to on z Paryża przybywa? Czyż nie był w Krakowskiem, jak przypuszczałem?

— Nie, nie po wyjeździe z obozu Mielęckiego zasłabł we Wrocławiu, jak mówią, i musiał do Paryża powracać. Ach, dobrze, że przyjechałeś; od paru dni już cię oczekujemy. Co tu się za galimatye dzieją, co za intrygi, partye!

I zaczął mi szczegółowo opowiadać, jak partya szlachecka od czasu wkroczenia Mierosławskiego do kraju starała się wszelkiemi siłami kredyt jego poderwać. Jak w tym celu obrali sobie za narzędzie Langiewicza, aby przez niego całe rządy powstania w ręce swoje zagarnąć. Aby zaś imię nieznanego wówczas naczelnika spopularyzować i głośnem uczynić, gazeta »Czas«, organ szlachecki, trąbił w swych szpaltach biuletyny o mniemanych zwycięstwach Langiewicza, wynosząc go pod obłoki i paląc mu kadzidła pochwalne. Postępowanie to wydało jak najpomyślniejsze skutki. W ciągu kilku tygodni Langiewicz w szpaltach »Czasu« wyrósł na bohatera narodowego i przyszłego zbawcę ojczyzny. A że ta gazeta krakowska rozchodziła się w wielkiej liczbie egzemplarzy, a co więcej jeszcze, że opinia pragnęła widzieć w kimś przyszłego wodza oswobadzającej się Polski i jak najskłonniejsza była do wierzenia we wszystko, co po sercu głaskało, nic więc dziwnego, że na tak przygotowanej roli Langiewicz wyrósł w opinii do olbrzymich roz-

miarów. Brakowało mu tylko jeszcze tytułu, któryby swą wielkością postawił go na wyżyny godne wielkiej sprawy, jaką mu niby chciano w ręce oddać. Lecz niedługo namyślano się nad tytułem; postanowiono na zjeździe wpływowszych obywateli, między którymi byli i poznańscy szlachcice, nienawidzący Mierosławskiego, aby ofiarować Langiewiczowi dyktaturę.

Do takiej jednak ofiary potrzeba było zgody Rządu, a wiedziano, iż Rząd Tymczasowy innego już wybrał dyktatora; trudno więc nawet było robić podobną propozycyę do Tymczasowego Rządu. Na wszystko jednak można było znaleźć środek, zwłaszcza kto niebardzo przebiera. Niejaki Grabowski, zdaje się, że hrabia, korzystając z blankietu Rządu Tymczasowego, jaki mu się udało, nie wiem już, jakim sposobem, wydostać (otrzymał go podobno od jednego z Komisyi, który do tej intrygi tajemnie należał), napisał sobie nominacyę na komisarza Rządu Tymczasowego i jako komisarz układ o dyktaturę w imieniu członków Rządu podpisał.

Langiewicz, choć dobrze wiedział, że dyktatorem mianowany jest Mierosławski, dla dobra jednakże kraju zrobił to poświęcenie, że przyjął ofiarowane naczelnictwo, bo zresztą takiej ofiary rzadko kto odmawia.

Tak więc stanęła owa sławna dyktatura, w Krakowie sfabrykowana. Gdyby Langiewicz miał za sobą dawne zasługi, lub chociaż wybitne jakieś zdolności, któreby rodziły nadzieję, że godnie potrafi piastować ten wielki obowiązek i że ręka jego dość jest silna, aby uchwycić ster i kierownictwo powstania, wtedy trudnoby było nawet nam, którzyśmy innemu dyktaturę wręczali, podnieść głos przeciw temu. Ale z raportów i słownych objaśnień członków Tymczasowego Rządu, Mikoszewskiego i Janowskiego, którzy kilka tygodni w obozie Langiewicza przebyli, mieliśmy wcale niepochlebne o jego zdolnościach wojskowych i administracyjnych mniemanie. Ks. Mikoszewski szczególnie mocno na nieład w jego obozie panujący powstawał, tak że nawet nominacyi na jenerała, jakąśmy jako zastępcy Rządu Tymczasowego wysłali, nie chciał mu doręczyć. W potyczkach zaś, jakie staczał, nie widać było żadnego jakiegoś bystrego i energicznego kierownictwa.

Mając więc takie dane o nowym dyktatorze i widząc jeszcze, że otoczył się ludźmi nienawistnymi partyi rewolucyjnej,

a przynajmniej niedobrze widzianymi od stronnictwa rewolucyjnego — mówię rewolucyjne w znaczeniu nieszczędzenia niczego na ołtarz ojczyzny — nie rokowaliśmy świetnych nadziei powstaniu. Całem zadaniem partyi rewolucyjnej było wciągnienie mas ludowych do walki i dlatego to wybrano Mierosławskiego na naczelnika, jako najbardziej popularnego u ludu i obdarzonego, prócz wojskowych zdolności, pociągającą wymową, która tak na masy w danej chwili podziałać mogła. Gdyby jeszcze Mierosławski posiadał mniej stron ujemnych, a mianowicie wyrzekł się niesłychanej ambicyi i obrażającej zarozumiałości a więcej miał taktu politycznego, to o dyktaturze Langiewicza niktby nawet pomyśleć nie śmiał. Lecz, niestety, Mierosławski przez swe szalone wybryki i gwałtowność odpychał od siebie nawet wielu z partyi rewolucyjnej, którzy też z radością ku nowej wschodzącej gwiaździe się obrócili, nie patrząc, jaką korzyść czy stratę sprawa krajowa poniesie. Mała tylko liczba wiernych Mierosławskiemu pozostała w Krakowie, choć i ci chwiali się, nie mogąc wytłómaczyć sobie siedzenia Mierosławskiego w Paryżu, podczas gdy w Krakowie taką mu niespodziankę gotowano. Napróżno Kurzyna i inni wysyłali listy i telegramy, nagląc go do przyjazdu. Napróżno deputacye z samegoż obozu Langiewicza przyjeżdżały do Krakowa, wzywając Mierosławskiego na naczelnika, gdyż wielu było malkontentów w samymże obozie przyszłego dyktatora. Napróżno donosili o konszachtach, prowadzonych przez partyę szlachecką w osobach Skorupków, Chrzanowskiego, redaktora »Czasu«, Grabowskiego i innych.

Mierosławski, głuchy na wszystko, przygotowywał jakieś tam układy niby z ks. Napoleonem, nie wierząc w naglącą potrzebę pojawienia się swego na terytoryum Polski, coby na razie wszelkie intrygi zniszczyło. Gdy nareszcie zniecierpliwieni tą zgubną zwłoką wysłali umyślnie Ramlowa czy kogoś tam, aby mu ustnie wszystko przedstawił, zrezykował się nareszcie opuścić Paryż, tłómacząc się, że zdrowie nie pozwalało mu przedsiębrać żadnej podróży. Wyobrażam sobie zdziwienie i wściekłość Mierosławskiego, gdy w Wiedniu wyczytał telegraficzne wiadomości o ogłoszeniu się dyktatorem Langiewicza. Sądził jednakże, że z przyjazdem swoim do Krakowa wszyscy ku niemu się odwrócą.

Były to jednak tylko marzenia, bo nawet przychylni do tej chwili Mierosławskiemu w większej części go opuścili pod wpływem jakiegoś entuzyazmu i upojenia, jakie tytuł polskiego dyktatora, jawnie na placu boju ogłoszony, wywierał na słabe, choć patryotyczne umysły. Wszystkie gazety, wszystkie pisma peryodyczne, mając »Czas« krakowski na czele, dzwoniły hymny i ody, rozpalając umysły do ufności i wiary w nowo kreowanego naczelnika.

Z jakąż radością widziałbym ten objaw patryotycznego entuzyazmu, to szczęście, malujące się na wszystkich prawie twarzach, gdybym mógł wierzyć, że człowiek, postawiony na czele naszej sprawy, potrafi ją godnie poprowadzić! Nie chodziło mi nigdy o osobistości lub stronnictwa, tylko o naród i o Polskę. Nie miałem nigdy, o ile sądzę, żadnych uprzedzeń, namiętnej parcyalności, co nawet ściągało burze na mnie ze strony partyi rewolucyjnej, gdym otwarcie wypowiadał, że od chwili wybuchu powstania dwa tylko rozróżniam stronnictwa, t. j. należące do walki za niepodległość lub uchylające się od sprawy narodowej (t. j. oddane rządowi ruskiemu, jak np. Wielopolski). Dlatego też przypuszczałem możebność pogodzenia z partyą szlachecką, jeżeli tylko, jak widzimy, przyjmuje ona udział w pracach powstańczych i od walki rozpoczętej się nie uchyla. Dlategoż nie sądziłem, aby i ks. Czartoryski, oświadczający swoją gotowość w niesieniu pomocy, o ile tylko siły mu pozwolą, sprawie narodowej, miałby być odsuwany z grona pracowników ojczystych dlatego tylko, że jest księciem i liczy się do arystokracyi polskiej, która kiedyś wiele i bardzo wiele klęsk na kraj nasz ściągnęła. Nie, nigdy się na to zgodzić nie mogłem, co mi się w przekonaniu mem inaczej przedstawiało. Przed wybuchem powstania, o, wtedy czułem okropną przepaść opinii, rozdzielającą partyę Białą i rewolucyjną, bo jedna pragnęła walki natychmiast, druga odkładała ją na czas nieograniczony, drogi ich przeto rozchodziły się daleko. Lecz teraz, gdy wybuch nastąpił, to, co ich dzieliło, znikło, siłą wypadków zniszczono na zawsze różnicę.

Ale byłem prawie jednym tylko tak myślącym w tem kole, gdzie losy mnie rzuciły. Nigdy jednak opinia moja nie została zachwianą. Większość prawie, idąc za swym wodzem, jen. Mierosławskim, uważała za wrogów wszystkich, co nie tak,

jak oni, myśleli. Sądzili, że razem z Mierosławskim mają wyłączny monopol na zbawienie Polski i prowadzenie w tym celu spraw narodowych. Będzie jeszcze czas wrócić do tej kwestyi, a teraz ciągnę dalej moje notatki.

Zaprowadzony przez Stawińskiego do mieszkania, które z początku najęte było dla Mierosławskiego, gdyż w żadnym hotelu nie było wolnej stancyi, wybiegłem zaraz, przebrawszy się, na miasto, aby z naszymi stronnikami się zobaczyć i pomówić z Mierosławskim. Tego jednak dnia nie można było odnaleźć jego kwatery. Na drugi dzień dopiero przyszedł do mnie Ramlow, czy któryś z nieodstępnych adjutantów, z oświadczeniem, iż jenerał czeka mnie po południu.

Przybywszy na oznaczone miejsce, zastałem, jak to łatwo mi było przewidzieć, wzburzonego i gniewnego jenerała, przechadzającego się wielkimi krokami po komnacie, w której zastałem już zebranych: J. Kurzynę, Jeskę, Maciejowskiego, Asnyka i paru innych. Rozmowa, jaką z nim miałem, była przerywana ciągłemi napaściami na Langiewicza i Rząd Tymczasowy, gdyż był przekonany, że z przyzwolenia Rządu Tymczasowego nastąpiła owa dyktatura. Starałem się go przekonać, iż Rząd Tymczasowy, jakkolwiek działający razem z Komisyą, która jawnie swą nieprzychylność Mierosławskiemu okazuje, nic a nic w tym względzie nie wiedział, co i inni potwierdzili. Napadał na nas, żeśmy go chyba na zgubę sprowadzili, kiedy innemu pozwalamy władzę najwyższą przyjmować. Gdyby jeszcze ten inny mógł choć w części go zastąpić, ale Langiewicz, podoficer od trenów[1] z pruskiego wojska, bez zdolności i odwagi, bez poświęcenia i przekonań, słowem uosobiona według niego nędza moralna, ośmielił się władzę należną Mierosławskiemu zagarnąć. Wykrzyczawszy się nareszcie do woli, wyjął ze stolika przygotowany papier, na którym była napisana protestacya przeciw dyktaturze Langiewicza, opierając się na nominacyi, jaką on rzeczywiście od Rządu Tymczasowego otrzymał, z nadmienieniem jednakże, co było już szczytem umiarkowania z jego strony, że usuwając się od działania i nie chcąc tworzyć kolizyi, pozostawia całemu narodowi rozstrzy-

[1] Langiewicz był oficerem artyleryi w pruskiem wojsku. (*P. w*).

gnięcie tej sprawy, która zgubne dla powstania skutki może wywołać.

Przeczytawszy ową głośną później protestacyę, zażądał, abym ja i Jeske, jako pełnomocnicy Rządu Tymczasowego, wręczający mu nominacyę na dyktatora, potwierdzili teraz publicznie ofiarowanie mu przez Rząd Tymczasowy najwyższej władzy. Wystawiałem mu w odpowiedzi na jego żądanie, iż taka protestacya, aczkolwiek może i legalna z jego strony, żadnej mu już korzyści, przeciwnie, tylko szkodę przynieść może, bo opinia, słusznie czy niesłusznie, oświadczyła się już za Langiewiczem, a w czasie rewolucyi wola ogółu, za którą idzie i siła, jest wszystkiem. Jeden może Rząd Tymczasowy, jeżeliby zaprotestował, to możeby to miało jakąś wagę. Ale dokończyć mi nie dał wzburzony Mierosławski, wołając:

— Więc nie przywoziliście od waszego Rządu Tymczasowego dyktatury? Więc ja się nie domagam słuszności, broniąc praw swoich uczciwego przynajmniej człowieka, przeciw uzurpacyi kamorysty, sługusa arystokracyi? i t. d. i t. d. Jakże ja jestem wystawiony wobec rewolucyonistów europejskich, z którymi traktowałem jako dyktator, sądząc, że można dać wiarę Komitetowi Centralnemu? A teraz inny, niegodny nędznik na mojem miejscu ośmiela się stawać! Jeżelibym nie zaprotestował, wtedy wszyscy uczciwi patryoci mogliby mnie za zdrajcę uważać, że ja, stary jenerał rewolucyjny, pozwoliłem bezkarnie naród polski oszukiwać, że patrzyłem się obojętnie, jak losy kraju, mnie przez spiskowych patryotów oddane, przeszły podstępnie w inne ręce. Spodziewam się, że Pan nie zaprzeczysz, iż w imię organizacyi narodowej od Rządu Tymczasowego przywiozłeś mi dyktaturę, ponieważ na układzie przyjęcia dyktatury jest podpisane twoje nazwisko.

— Tego nigdy nie zaprzeczę, bo przecież, co czyniłem, to z woli i upoważnienia Komitetu.

— A zatem ja też żądam, abyś Pan publicznie zaświadczył moją protestacyę, jako wówczas od Rządu wysłany wraz z Jeską, gdy trzeci, Wł. Janowski, poległ pod Krzywosądzem.

Nie mogłem tego żądania odmówić, choć nie podzielałem samej protestacyi. Byłem prawie pewny, że i Rząd Tymczasowy nie pozostanie obojętnym świadkiem tam, gdzie jego imienia i powagi w tak dowolny sposób używać sobie, i to je-

szcze bez jego wiedzy, pozwalają. Protestacya ta miała natychmiast przesłana być Langiewiczowi i Rządowi Tymczasowemu do Warszawy. Oprócz tego piśmiennego zawiadomienia, żadnej innej czynności na zwalenie tej dyktatury nie miano czynić i nie czyniono, czekając dalszych wypadków. Obecny przy tej rozmowie Maciejowski sam już pierwej jako komisarz województwa krakowskiego napisał protestacyę w imieniu Rządu i zostawiwszy ją w obozie Langiewicza, wyjechał do Krakowa, czekając dalszych rozkazów. Ostatecznie więc, po wielu dyskusyach stanęło na tem, że na Mierosławskiego protestacyi ja z Jeską, jako wręczający mu od Rządu Tymczasowego dyktaturę, nazwiska swoje położymy.

Wróciwszy do domu po tej długiej i burzliwej scenie, zacząłem spokojnie rozważać całe następstwa tego kroku. Im bardziej się nad nim zastanawiałem, tem w ciemniejszych kolorach oczom moim on się przedstawiał. Nie lękałem się wprawdzie o rozdwojenie w obozie narodowym, bo Mierosławski jasno zapowiadał, iż usuwa się od wszelkiego działania, zostawując krajowi orzeczenie i wyrok ostateczny, ale czułem, jak przykre, jak fałszywe wrażenie wywrze ta protestacya na ogół, przypominając jakby we mgle dawne niezgody i konfederacye burzliwej Polski. Byłbym wiele dał, aby Mierosławskiego od ogłoszenia publicznie tej protestacyi powstrzymać; ale wiedziałem, że nikt już go od raz powziętego zamiaru nie odwiedzie, zwłaszcza iż jego ambicya i miłość własna tak została boleśnie zadraśniętą. Instynktowo czułem, że to, co ogólna opinia potępi, nie może być mimo najlegalniejszych tłómaczeń i teoretycznych dowodzeń słusznem i pożytecznem sprawie krajowej. Gdyby nie obowiązek sumienia, jako pełnomocnika Rządu Tymczasowego, i brak ufności do Langiewicza (tak prędko niestety faktami ugruntowanej), nigdybym tej protestacyi publicznie nie odważył się ogłosić. Mierosławski przeciwnie, naglił swe otoczenie o natychmiastowe wydrukowanie i rozrzucenie po kraju protestacyi, a gdy w Krakowie nikt się nie chciał podjąć, wysłał za granicę. Jednocześnie Las[ocki] Gust[aw] powiózł z jego rozkazu do Warszawy, aby ją na naszej akademickiej tajemnej drukarni odbić i Rządowi Tymczasowemu wręczyć.

W cztery czy pięć dni pojawiła się owa protestacya

w francuskich i niemieckich dziennikach i wywołała wielkie wzburzenie pomiędzy stronnikami Langiewicza. Kiedym pierwszy raz tę odezwę protestującą w gazetach wraz z mojem nazwiskiem ujrzał, powiedziałem sobie w duszy: »Teraz już brama do mego kraju, jeśli się on nie wyswobodzi, jest dla mnie zamknięta!« Wszystkie bowiem pisma, ogłaszając o składzie Rządu Tymczasowego, moje nazwisko między jego członkami umieszczały. Sam ja w potwierdzeniu protestacyi Mierosławskiego jako były członek Komitetu Centralnego figurowałem. Dziennik urzędowy warszawski, oraz ruskie gazety nie przepuściły sposobności umieszczenia na swych szpaltach naszych nazwisk. Byłem zatem w obliczu rządu rosyjskiego kompletnie zdemaskowany i w razie mego schwytania sąd wojenny nie potrzebowałby szukać dowodów mej winy.

Gdy się wieść o protestacyi w Krakowie rozeszła, wzburzenie, krzyki i odgróżki przeciw Mierosławskiemu granic nie znały. Szukali go po mieście zawołani zwolennicy Langiewicza, pragnąc sztyletami całą sprawę ułatwić. Nikt ani chciał wierzyć, iż Mierosławski miał sobie rzeczywiście ofiarowaną dyktaturę, a wszyscy byli przekonani, że tylko przez ambicyę samowolnie się krajowi chce narzucić, pragnąc Langiewicza usunąć. Nie wierzono nawet, żebyśmy podpisywali się na jego niby fałszywej nominacyi. Wszystko słowem uważano za podstęp, fałsz i zdradę. Musiał Mierosławski z mieszkania na mieszkanie się przenosić, aby przez zapalonych swych przeciwników nie być wydanym w ręce policyi austryackiej. Rozpowiadano nawet, aż śmiech wyznać, iż Mierosławski tę protestacyę w porozumieniu z Wielopolskim ułożył i t. p., słowem, krzyków i złorzeczeń bez miary i bez granic. Jak to często bywa w tak burzliwych chwilach, że opinia idzie za pierwszym popędem, za prądem silną ręką rozbudzonym, nie rozważając istoty rzeczy, tak się i tu stało. Nie chciano pojąć, iż występując przeciw osobistości, przeciw jednemu tylko człowiekowi, a nie przeciw idei lub władzy, jaką on chwilowo piastuje, nie czyniono wcale napaści na władzę narodową.

W Warszawie tymczasem nic o wypadkach zaszłych w obozie nie wiedziano. Wiadomość o dyktaturze Langiewicza wprawiła większą część, prawie że nawet wszystkich członków Rządu Tymczasowego i Komisyi w jak największe zadziwienie.

Nie chcieli jej wierzyć, a gdy już wierzyć byli zmuszeni, nie wiedziano, co począć. Po długich nareszcie wahaniach i naradach postanowiono wysłać dwóch deputowanych z grona zwierzchnictwa rewolucyjnego do Langiewicza z warunkami, na jakich na jego ogłoszenie zezwolą. Była to tylko czcza forma, bo któż dyktatorowi może dyktować warunki? Nalegano głównie, aby oddalił od siebie nieprzyjazne partyi rewolucyjnej otoczenie, któremu już dyktator ponadawał jawnie różne najwyższe godności i urzęda, jakiemi niby rozporządzał. Wysłani zostali Giller i Janowski do Langiewicza, wioząc owe niby warunki, oraz list Stefana Bobrowskiego, jako naczelnika miasta Warszawy w imieniu Rządu Tymczasowego do Langiewicza pisany. W liście tym, nazywając Grabowskiego fałszerzem czy oszustem, oświadczył, iż Rząd Tymczasowy nic o ogłoszeniu się dyktatora nie wiedział, gotów jednakże na wyżej wymienionych warunkach dyktatora popierać i przyjąć jako najwyższą w kraju władzę.

Kiedy owi wysłańcy do Krakowa przybyli, przyszedł zaraz Janowski do Mierosławskiego, aby o ile możności wytłómaczyć mu postępowanie Rządu Tymczasowego względem niego i jego dawniejszej dyktatury, jak również, aby wstrzymać[1] Mierosławskiego od ogłoszenia jawnie swej protestacyi. Rozmowa naturalnie do niczego nie doprowadziła prócz gwałtownych wybuchów ze strony Mierosławskiego na Rząd Tymczasowy, na podstęp, na zdradę, na intrygi szlachecczyzmu, arystokracyi i ich sługusów — słowem, [skończyło się] na wyczerpaniu całego słownika przydomków i epitetów, jakimi twórców dyktatury i dyktatora obarczał. Widziałem się i ja z Janowskim, starając się przed nim, nie jako przed członkiem Rządu, lecz jako przed godnym ze wszech miar patryotą mój udział w całej tej sprawie wyjaśnić.

Niedługo bawiąc w Krakowie, deputacya wyjechała ku granicy Królestwa, zmierzając do obozu Langiewicza, a my zostaliśmy w niepewnem oczekiwaniu, jaki z tych traktacyi rezultat wyniknie. Tymczasem w całem mieście i we wszystkich pismach słychać było tylko pochwały i okrzyki na cześć no-

---

[1] W rękopisie *skłonić*, nie poprawione przez zapomnienie autora, który *wstrzymania* zmienił na *ogłoszenia*. *(P. w.)*.

wego dyktatora. Każden krok jego armii szczegółowo był opisywany; napomykano na jakieś głębokie zamiary, na przyszłą a zwycięską wielką bitwę i t. p.

Na drugi, czy na trzeci dzień po wyjeździe Gillera i Janowskiego, kiedy jeszcze leżałem nieubrany w łóżku, pogrążony w ciężkich dumaniach o tem, co też to z tego wszystkiego wyniknie i co mnie dalej robić wypada, wbiega nagle do mnie Stawiński z niespodziewaną i nieprzypuszczalną nawet wieścią, iż Langiewicz uciekł od wojska i jest już w Tarnowie aresztowany przez Austryaków.

— Co mówisz? — rzekłem, zrywając się — To niepodobna!

— Ależ przysięgam ci, po całem mieście już o tem gadają. Widzisz — mówił dalej — że nasz jenerał (Mierosławski) miał racyę, kiedy występował z protestacyą przeciw takiemu nikczemnikowi.

— Ależ zaczekaj: trzeba wiedzieć szczegóły, jak to było. Co za zamiary, co za plany...

— Żadnych planów, żadnych zamiarów — zawołał, przerywając mi zapalony zwolennik Mierosławskiego — tylko tchórz i kamorysta!

Nie odpowiadając już nic, wybiegłem na miasto, aby coś pewniejszego o tej katastrofie usłyszeć. Niestety, wszystko co mi mówił, prawdą było: Langiewicz po szczęśliwej i zwycięskiej bitwie pod [Grochowiskami], otrzymawszy jakieś widać fałszywe wiadomości o wielkiej sile nieprzyjaciela, mogącego go otoczyć, a lękając się o swe dyktatorstwo, gdyż sądził, że Polska bez niego nic już zdziałać nie może, opuścił (jak mówiono) cichaczem ze skromną eskortą obóz, udając się do Galicyi, skąd dopiero projektował podobno do innego województwa wkroczyć. Gdy się wieść o zniknięciu dyktatora rozeszła, wojsko, upadłszy zupełnie na duchu, zaczęło przy okrzykach: »Zdradzono nas!« rzucać broń, rozbiegając się w różne strony, a najwięcej do Galicyi pośpieszyło. Niektórzy zaś, przypisując, i słusznie, całą winę tej bolesnej katastrofy Langiewiczowi, pobiegli w stronę jego ucieczki, pragnąc albo go zawrócić, lub (jak się przyznali) w łeb mu wypalić, jako wodzowi uciekającemu od wojska w chwili niebezpieczeństwa. Dognano go na-

wet nad Wisłą, kiedy już w łódce do austryackiego brzegu przybijał.

Nie wszyscy jednak poszli za haniebnym śladem dyktatora; część, choć niewielka, została w obozie pod wodzą jen. Śmiechowskiego, Czachowskiego i innych, pokazując swym przykładem, iż walka o niepodległość nie zakończyła się jeszcze i że Langiewicz nie był ostatecznym sztandarem narodu polskiego.

Tak więc w jednej godzinie tyle nadziei, tyle marzeń rozwianych zostało przez jeden krok człowieka, nie umiejącego godnie wytrwać na stanowisku, na jakiem go własna ambicya i wypadki pozostawiły. Wysłani od Tymczasowego Rządu Giller i Janowski nie dojechali już nawet do obozu, gdyż w drodze doszła ich nieszczęsna wieść o zaaresztowaniu Langiewicza w Galicyi przez władze austryackie. Rozpowiadają, że w Tarnowie, czy jakiemś innem mieście galicyjskiem, miał sam Langiewicz zażądać większej straży, bojąc się, aby mu oburzeni jego postępkiem patryoci zapaleńsi nie wyprawili głośnej jakiej nieprzyjemności. Kilku z partyi Białej zbliżyło się do pojazdu, w którym go pod eskortą wieziono, prosząc, aby swą władzę w ich ręce złożył tak, jakby zbiegły z obozu naczelnik piastował jeszcze na obcej ziemi władzę nad polskiem powstaniem. Langiewicz jednak odmówił. Pragnął widać ster nad losami narodu ciągle dzierżyć w swych rękach, nawet w więzieniu austryackiem. Zapomniał widać, że dyktator rozkazuje i bywa słuchany tylko na polu walki, lub otoczony hufcami zwycięskich żołnierzy.

Przez parę dni tłumami zbiegali się do Krakowa byli żołnierze Langiewicza, roznosząc popłoch i upadek ducha między mieszkańcami. Niedługo to jednak trwało, bo uczucie prawdziwego patryotyzmu zapanowało nad chwilową niektórych rozpaczą. Wzięto się znowu energicznie do tworzenia nowych oddziałów i popierania dalej walki narodowej.

Po upadku Langiewicza oczy wielu z bardziej wpływowych między młodzieżą ludzi obróciły się na Mierosławskiego, jako jedynego człowieka, górującego ponad innymi głośnem imieniem i zdolnościami wojennemi. Jeziorański, jenerał lubiany przez swych podwładnych, Rochebrun, Francuz, dzielny dowódzca Żuawów, i wielu innych zapragnęli porozumieć się

z Mierosławskim i dalszy plan kampanii partyzanckiej obmyśleć. Wysłańcy Rządu, Janowski szczególniej i przysłany później Bobrowski Stefan, nie byli wcale przeciwni od nowego układu z Mierosławskim, jeden tylko Giller zacięcie walczył, przeciwiąc się przypuszczaniu Mierosławskiego napowrót do udziału w kierownictwie powstania.

Ja ze swej strony, wraz z otaczającymi Mierosławskiego, starałem się wszelkiemi siłami wpłynąć na niego, aby zamierzone traktacye do szczęśliwej doprowadził zgody. Wszelkie jednak nasze usiłowania, nawet perswazye tyle u niego mającego wagi Kurzyny nie mogły wymódz na nim odrzeczenia się jawnego od upadłej dyktatury. Jak tylko zachodziła kwestya porozumienia się z Rządem, zaraz Mierosławski występował z sakramentalnemi słowami:

— Ja chcę się z nimi godzić, lecz tylko jako dyktator. Warunki moje, to dyktatura przez nichże ofiarowana!

Nic nie pomogły przedstawiania, iż z ogłoszeniem Langiewicza dyktatura jego *de facto* upadła, że obecnie Rząd Tymczasowy jej już przyznać nie chce, i trzeba układy z innego już punktu zaczynać. Mierosławski był fatalnie nieporuszony; stałość jego godna była zaiste lepszej sprawy, niż ambicya osobista. Jeżeli się wprost pytałem: »Więc Jenerał koniecznie chce być dyktatorem i niczem więcej?« — unikał jawnej odpowiedzi, lecz kołując z ubocza, wracał do dyktatury i kroku ruszyć dalej już nie chciał. Mieliśmy jednak nadzieję, iż zgodzi się na ustąpienie ze swych wymagań i poprzestanie na naczelnem dowództwie.

W dzień naznaczony dla układów znowu przypuszczaliśmy szturm do niego, nakłaniając do umiarkowania w żądaniach i zimnej krwi w rozmowie z pełnomocnikami. Przyrzekł nam jak najsolenniej wysłuchać wszystkiego jak najspokojniej i z ofiarami nawet ze swoich słusznych, jak mówił, warunków zgodę doprowadzić. Jakież bolesne i przykre było moje nazajutrz rozczarowanie, gdym siedząc w drugim pokoju u Mierosławskiego i czekając na rezultat toczonych układów między Jeziorańskim i Mierosławskim, usłyszał nagle grzmiący głos Mierosławskiego, wyrzucający coś swemu towarzyszowi rozmowy, a za chwilę drzwi z trzaskiem się otworzyły i wybiegł

zadyszany Jeziorański, mówiąc, iż z Mierosławskim niepodobna nic do końca doprowadzić.

— Cóż to się stało, Jenerale? — rzekłem, wchodząc do Mierosławskiego, który wielkimi krokami chodził po swej komnacie.

W odpowiedzi usłyszałem potok narzekań i epitetów, jakie wysypał na Jeziorańskiego, który miał mu niby niegrzecznie zarzucać, że żołnierzy Jeziorańskiego odmawia do siebie.

— Ależ jakże zgoda, jakie warunki?

— Jaka zgoda? Ja gotów do zgody; mówiłem mu co do warunków, jakie mogą być między naczelnikiem i podwładnym: posłuszeństwo — i nic więcej od nich nie żądam.

W pół godziny wszedł Janowski, przychylny osobiście Mierosławskiemu i pragnący szczerze porozumienia się Mierosławskiego z Rządem Tymczasowym. W kilka jednak minut zagrzmiał znów głos Mierosławskiego, a w ślad za nim czerwony z gniewu i wzruszenia Janowski ukazał się we drzwiach. Wybiegłem za nim na schody, pytając:

— Cóż się znów stało?

— Nie można nawet traktować z takim człowiekiem: cały w wyrzutach, w narzekaniach najgwałtowniejszego charakteru i z myśli mu nie wychodzi ta nieszczęśliwa dyktatura.

— Ale myślę, że jeszcze przyjdzie do porozumienia?

— Chciałbym — odrzekł Janowski — lecz bardzo powątpiewam, bo on nie chce ustąpić.

— A wy nie możecie — dodałem i pożegnaliśmy się.

Wróciwszy do Mierosławskiego, pytałem o przyczynę rozejścia.

— Jakże on śmiał mówić mi, że dyktatura już nie istnieje, on, Janowski, kiedy jego brat na polach Krzywosądza krwią swoją ją ogłosił!

Nie potrzeba było dalej pytać się o szczegóły. Na drugi dzień taż sama historya powtórzyła się z Rochebrunem. Zamiast zgody wynikło jeszcze gorsze rozdrażnienie. Oburzony Rochebrun, a raczej podmówiony przez innych, napisał zjadliwy list na Mierosławskiego i ogłosił w gazetach.

Na tem zakończyły się układy z wysłańcami Tymczasowego Rządu i przedstawicielami wojskowymi powstania. Nienawiść do Mierosławskiego, stłumiona chwilowymi wypadkami, wybuchła jeszcze z większą gwałtownością, mając nowe ma-

teryały i nowe niechęci. Owi dowódzcy, skłaniający się ku niemu i których mógł jednem słówkiem pociągnąć, stali się teraz głównymi jego wrogami. Rząd Tymczasowy, pragnący zgody i ofiarujący swą pomoc Mierosławskiemu, zaczął się usuwać od niego, pomimo iż kilku członków osobiście mu było przychylnych. A wszystko to wynikło z własnej jego winy. Trochę mniej ambicyi i dumy, troszkę umiarkowania w żądaniach, a więcej taktu politycznego w postępowaniu z ludźmi oddałoby mu w ręce całą prawie część wojenną powstania.

Nie mogłem nawet pojąć chwilami, czego nareszcie chciał ten człowiek, z którego losami wówczas i moje chwilowo były związane. Mówiąc z nim w chwilach spokoju, zdawało się, że na wszystko przystaje, że podziela nasze zapatrywania się na sprawę. Lecz gdy przyszło w rzeczy potwierdzić, wówczas wszystko się zmieniało, a zmieniało, niestety, w najfatalniejszy dla niego samego sposób.

Po zerwaniu układów z wojskowymi i cywilnej organizacyi pełnomocnikami Mierosławski pozostał odosobniony kompletnie ze swoimi stronnikami. Wszyscy usuwali się powoli, zrażani jego niesłychanemi wymaganiami osobistej ambicyi i brakiem taktu politycznego. Ja wraz z kilkoma, którzy pozostali przy nim, staraliśmy się wszelkiemi siłami zmusić go do ustępstw i zgody z Rządem, gdyż inaczej zupełnie pozostanie poza obrębem działań powstańczych. Nadarzyła się nam jak raz sposobność rozpoczęcia znowu układów ze Stefanem Bobrowskim, przybyłym przed kilku dniami z Warszawy, który aczkolwiek nie zwolennik Mierosławskiego, uważał go jednak za zdolniejszego od wielu i godniej mogącego stanąć jako naczelnik sił zbrojnych powstania. Rozpoczęto więc znów układy. Mierosławski, naciskany przez nas, zgodził się nareszcie nie bez trudu ustąpić ze swej nieistniejącej już dyktatury w zamian dowództwa naczelnego nad całemi siłami wojennemi powstania. Ułożyliśmy się z Bobrowskim co do wszelkich w tym względzie warunków. Na widzeniu zaś, jakie nastąpiło między Bobrowskim i Mierosławskim, ukończono i zapewniono zgodę, tak że tylko brakowało ostatecznego potwierdzenia Rządu Tymczasowego, w imię którego Bobrowski układy te prowadził.

Nad jednak nasze spodziewanie, Bobrowski, podburzony przez większość nieprzychylnych Mierosławskiemu, a prawdopo-

dobnie zagrożony intrygami Gillera, który z nienawiścią do Mierosławskiego wcale się nie taił, zaczął się cofać od podpisania układów i w końcu zamiast spodziewanej zgody i nominacyi Mierosławskiego ogłosił Bobrowski w Krakowie drukiem odezwę, zawiadamiającą w imieniu Tymczasowego Rządu iż po upadku dwóch dyktatorów, władza przechodzi napowrót w ręce Komitetu Centralnego, występującego już jako Rząd Tymczasowy, i na tej odezwie Bobrowski, jako komisarz Rządu się podpisał; o Mierosławskim zaś już i mowy nie było.

Wszelka zatem nadzieja porozumienia się z Rządem Tymczasowym upadła znowu. Kiedym się pytał Bobrowskiego, co go spowodowało do zerwania układów, odrzekł, iż naczelnego dowództwa obecnie Rząd Tymczasowy nie myśli ustanawiać, że on zawsze jest za porozumieniem się z Mierosławskim, lecz wielu jest jemu przeciwnych, że wreszcie przy takich zamieszkach i intrygach partyi Białej w Krakowie musiał on, jako komisarz Rządu Tymczasowego, zawiadomić i ogłosić, iż władza napowrót tylko do Rządu Tymczasowego powraca, i dodał nakoniec, że układy z Mierosławskim nie należy uważać ze strony przynajmniej Rządu Tymczasowego za skończone. Kiedym go o bardziej detaliczne szczegóły pytał, oświadczył, iż w Krakowie nic już na korzyść Mierosławskiego nie może uczynić, bo ma ręce związane, przyczem wymienił Gillera jako główną ku temu przyczynę. Opowiedziałem Mierosławskiemu ostateczną rozmowę, jaką miałem z Bobrowskim, prosząc, aby od wszelkich jawnych wystąpień wstrzymał się aż do czasu bliższych z Warszawy wiadomości.

W Krakowie tymczasem między różnemi kołami patryotów ciągłe toczyły się kwestye o ucieczce Langiewicza i dyktaturze Mierosławskiego. Znakomita większość, choć już nie uwielbiała Langiewicza, zawsze jednak była zapamiętale przeciwną Mierosławskiemu. Co dzień nowe wymyślano kłamstwa, aby ostatki sympatyi, jaką młodzież miała jeszcze, choć głęboko utajoną, do Mierosławskiego, zniszczyć zupełnie. I nie trudno im było dokonać tego zamiaru. Wszystko, co tylko miało styczność z Mierosławskim, z góry i bez dyskusyi nawet było potępiane. My również, uważani za zapalonych stronników Mierosławskiego, nie cieszyliśmy się sympatyą większości Krakowian. W nielicznem więc tylko kółku pracowaliśmy nad wyrobieniem

bezstronnego ducha, co przyznam się, ciężkiem było zadaniem, bo nazwa Mierosławczyka uprzedzająco działała na umysły słuchaczy. Ja naturalnie, jako jawnie podpisany na protestacyi, uchodziłem za jednego z najzawołańszych Mierosławczyków, choć w rzeczywistości od tej właśnie już chwili, a szczególniej od czasu układów, zrywanych przez fanatyczną zarozumiałość Mierosławskiego, straciłem już wiele i bardzo wiele ufności w zdolności jego i w korzyści, jakie on sprawie przynieść był w stanie.

W kilka dni po wyjeździe Stefana Bobrowskiego, kiedy spodziewane nowiny z Warszawy nie przychodziły, zaproponował Mierosławski, czybym ja, jako były członek Komitetu i mający tam w Warszawie osobiste stosunki, nie zechciał pojechać i układy z Rządem Tymczasowym do jakiegoś rezultatu doprowadzić. Miał mi w tej podróży towarzyszyć Lasocki, Jeske i Marchwiński. Zgodziłem się na tę propozycyę, choć nie należała ona do zbyt bezpiecznych, zwłaszcza dla mnie, którego nazwisko po wszystkich gazetach zostało rozgłoszone jako członka Rządu Tymczasowego i Komitetu Centralnego. Co do warunków, jakie w imieniu Mierosławskiego mieliśmy przedstawić Rządowi Tymczasowemu, to one, jak zwykle, zasadzać się miały na owym akcie dyktatury, ofiarowanej Mierosławskiemu, z której aczkolwiek ustępował koniecznością zmuszony, zawsze jednak nie chciał zupełnie się jej zrzekać. W razie nieporozumienia lub nie dojścia układów z Rządem Tymczasowym, miałem ustanowić komisyę rewolucyjną, popierającą interesa Mierosławskiego, któraby jednak jawnie nie występowała. Ostatecznie zaś warował sobie Mierosławski naczelne dowództwo sił zbrojnych powstania. Takie mniej więcej były nasze instrukcye, od których jednak ja postanowiłem sobie w razie konieczności porobić niejakie ustępstwa, których przyjęcie, sądziłem, że przy pomocy Kurzyny i innych potrafię wymódz na Mierosławskim.

XXV.

Podróż. — W Warszawie. Miłość i polityka. — Odjazd do Krakowa. — Klęska Jordana. — Walka komitetu krakowskiego z Mierosławskim. — Ponowne, bezskuteczne rokowania z Mierosławskim. — Nota trzech mocarstw. Plotka o Napoleonie. — »Uciekinierzy«. — Nieudana wyprawa Mierosławskiego.

Nie zwlekając długo z podróżą, zwłaszcza że Lasocki już pierwej wyjechał i miał na mnie czekać w Warszawie, opuściłem Kraków wraz z J. Marchwińskim. Oba naturalnie opatrzeni byliśmy fałszywymi paszportami, gdyż nie tylko mnie, ale i Marchwińskiemu nie było podobieństwa pod swojem nazwiskiem podróżować po kraju. Granicę przejechaliśmy szczęśliwie, gdyż komora i urzędnicy celni byli Polakami, a wojska wcale nie było. W dalszej dopiero drodze, gdzie na każdej stacyi przy przybyciu pociągu otaczały platformę szeregi wojsk rosyjskich i gdzie dość często sprawdzano paszporty, doznawałem nieprzyjemnych wzruszeń, a szczególniej, gdy mój paszport ulegał przeglądowi policyjnych lub wojennych ludzi. Liczyłem tylko na to, że mając zagraniczny paszport (pruski, Czajkowskiego), jestem trochę swobodniejszy, niż ruski poddany. Najmniejsze jednak podejrzenie prowadziło mnie do Cytadeli, a stamtąd na szubienicę, bo tożsamość mej osoby niedługoby się mogła w Warszawie ukrywać. Na nieszczęście jeszcze w »Dzienniku Powszechnym« w wilię dnia wyjazdu ogłoszona była protestacya Mierosławskiego i nazwisko moje, jako członka Komitetu, figurowało na czele tego urzędowego pisma.

Po drodze we wszystkich rozmowach naszych współtowarzyszy podróży słychać było tylko rozmowy o Langiewiczu i Mierosławskim, gdzie i moje nazwisko często było wspominane. Przed samym wyjazdem doszły mych uszu wieści o wielkiem oburzeniu znacznej części organizacyi przeciw nam za

wystąpienie *contra* Langiewiczowi, tak że nawet miano grozić sztyletami, jeśli nie odwołamy naszego wystąpienia, i wiele innych przesadnych wieści, które później okazały się fałszywemi, ale wówczas mocno mnie obchodziły i niebezpieczeństwo mego przyjazdu jeszcze bardziej zwiększały. Wiedziałem bowiem, jak namiętności polityczne zaślepiają ludzi, i nie mogłem bardzo powątpiewać, czy jaki z zapalonych Langiewiczanów, poznawszy mnie w Warszawie, nie rozkrzyczy tej wiadomości pomiędzy swoimi, skąd łatwo przez nieostrożność, której względem przeciwników politycznych nie starano się zachowywać, dostanie się do policyi i może spowodować moje zaaresztowanie. Przypuszczenia te moje w zupełności potwierdził spotkany w drodze Matuszewicz, który do Krakowa jechał. Gdy mnie wysiadającego z wagonu ujrzał i dowiedział się odemnie, iż do Warszawy zdążam, zaklinał mnie na wszystko, abym tego, jeżeli mi życie miłe, zaniechał. Opowiadał poszukiwania policyi, jakie dla schwytania mnie czyniono, rozdanie moich fotografii, rysopisów i t. p., tak że niepodobieństwem mi będzie ujść ich szponów, a co najważniejsza, oświadczył, iż wielu z organizacyi miejskich, którym rozpuszczono pogłoskę, iż Langiewicz dlatego opuścił obóz, iż my naszem wystąpieniem w imieniu Rządu Tymczasowego do tegośmy go zmusili, jest rozsrożonych przeciwko Mierosławskiemu, jak i przeciwko nam samym. Widząc jednak, iż zamiaru swego nie mam ochoty odmienić, pozostał całą noc ze mną na stacyi (gdyż musieliśmy nocować, aby dalej końmi już dla większego bezpieczeństwa jechać), ciągle mnie ostrzegając i odwodząc od mego niebezpiecznego przedsięwzięcia.

Nad ranem, po bezsennej, na ciągłych tylko niepokojących jeszcze więcej rozmowach z Matuszewiczem spędzonej nocy, wyjechaliśmy końmi z Marchwińskim do miasteczka Mszczonowa i tam dla odpoczynku stanęliśmy u księdza proboszcza. Poczciwy i wielce patryotyczny kapłan przyjął nas gościnnie i nie wiedząc, z kim ma do czynienia, zaczął rozwodzić się o Mierosławskim, którego dawniej był wielkim zwolennikiem, a teraz nader już ku sprawie jego ochłódł, czemu przyczyną była protestacya.

— Po co to jemu było występować? — mówił poczciwy proboszcz — lepiejby sobie siedział w Passy pod Paryżem i cze-

kał, aż go Rząd Tymczasowy zawezwie. My nawet gotowiśmy dla niego i tego jego pomocnika, Daniłowskiego, wypłacać rocznie po kilkanaście tysięcy pensyi; niechby tam sobie pisali różne dzieła i rady, ale niechby dali słowo, iż bez zawezwania do powstania mieszać się nie będą.

Chciałem już w odpowiedzi oświadczyć księdzu, iż ja to jestem Daniłowski i jeżeli pragnę służyć krajowi, to tylko w nadziei, że moje usługi, jak i usługi każdego Polaka, mogą być mu choć w milionowej cząstce pomocne; ale nie chcąc zdradzać swego bardzo koniecznego *incognito*, coby do długich rozpraw nas doprowadziło, starałem się tylko wystawić, czego Mierosławski i my z nim pragniemy.

Po kilkogodzinnym odpoczynku, pożegnawszy zacnego i ze wszech miar szanownego kapłana, ruszyliśmy w dalszą drogę. Zbliżając się do Warszawy, stanęły mi znowu w oczach wszelkie niebezpieczeństwa, na jakie byłem narażony; ale liczyłem na trochę szczęścia i na niezręczność policyi, która ani przypuszczać mogła, iż ja ośmielę się do Warszawy powracać. Odbywszy formalności paszportowe na rogatkach miejskich, zajechaliśmy do jednego ze znajomych Marchwińskiego, mieszkającego na dość odległej ulicy. Marchwiński wybiegł zaraz na miasto, aby się ze znajomymi zobaczyć, jak również, aby moich znajomych o mym przyjeździe zawiadomić. Napróżno jednak tego dnia oczekiwałem na swych przyjaciół, gdyż Marchwiński, wpadłszy do swych znajomych, nie miał już czasu zająć się mymi interesami. Wpadł tylko niespodziewanie Okęcki, obywatel z okolic Warszawy, i porwawszy mnie w swe objęcia, wołał:

— Mam tu sztylety do zabijania Mierosławczyków!

Po chwili dopiero wytłómaczył mi wzburzenie, jakie wywołało w Warszawie wystąpienie jawne Mierosławskiego przeciw uwielbianemu Langiewiczowi; ale później, gdy się opinie po ucieczce zwłaszcza tego ostatniego utarły, zaczęto już trochę spokojniej całą sprawę rozsądzać. Rozmowa tego zacnego obywatela uspokoiła mnie przynajmniej co do opinii publicznej, która zaczęła się przejaśniać.

Nazajutrz, gdyż wieczorem nie chciałem już wychodzić, nie mogąc się doczekać Marchwińskiego, który bodaj i na noc nawet nie wrócił, wsiadłszy w dorożkę, ruszyłem na miasto,

brawując śledczą policyę i argusowe oczy policyi. Przybywszy do mieszkania brata, pobiegłem na górę, myśląc, jak zostaną tam zdziwieni i przestraszeni mojem pojawieniem. Na nieszczęście jednak brata ani bratowej nie było w domu. Zbiegłem na dół, aby złapać dorożkę, którą, nie spodziewając się tego wypadku, odprawiłem, lecz już odjechała. Rad nie rad, musiałem błąkać się po ulicach Warszawy, szukając wolnej dorożki, aby na dawne mieszkanie powrócić.

Odnalazłem wreszcie po powrocie na mieszkanie Marchwińskiego i znajomych. Pierwszą rzeczą, o czem zaczęliśmy radzić, było wyszukanie bezpiecznego schronienia dla mnie, gdyż dłuższy czas wypadało mi bawić, niż myślałem. Rozbiegli się przeto moi koledzy na poszukiwanie, a ja z mym bratem, który również przybył, pojechałem do familii. Przy widzeniu się z ojcem i braćmi otrzymałem wiele wymówek za takie narażanie się i t. p.; jedna tylko Henryka, bratowa moja, trzymała moją stronę. Naturalnie, że te wymówki przeszły w prośby, abym jak najprędzej Warszawę opuszczał. Ojciec mój, aczkolwiek przelękniony, rad był jednak, iż syn jego stał się choć chwilowo tak głośnym człowiekiem i że przez parę dni cała Warszawa o nim tylko i Mierosławskim rozmawiała.

Drugą wizytę, jaką pragnąłem najpierw uczynić, była, jak łatwo się domyśleć, wizyta u Karolci. »Jakie też będzie nasze spotkanie? Czy zerwała owe siłą wymuszone zaręczyny? I czy serce jej zawsze pozostało mi wierne?« Takie mniej więcej przebiegały mą głowę myśli, gdym do ich domu wstępował. Miałem nadzieję na los szczęśliwy, który mi ją sam na sam pozwoli przywitać, lecz stało się inaczej. Po wielkiem, jak zwykle zdziwieniu nad śmiałością mego przyjazdu w chwili, kiedy najbardziej jestem poszukiwany w Warszawie, zaczęto rozpytywać się o szczegóły podróży i t. p. Szczerszej rozmowie przeszkadzała również obecność jakiejś kuzynki, będącej podówczas u nich. Kiedyśmy nareszcie zostali sami, wówczas dopiero posypały się gradem zobopólne pytania. Karolcia wyrzucała mi takie narażanie się i niepamięć na jej boleść, gdyby mi się jakie nieszczęście stało; ja znów mówiłem, iż wątpię, aby ją nieszczęścia moje mogły cokolwiek obchodzić.

— Ach, niedobry, o niegodziwy! Czyż jest kto na świecie,

coby mnie więcej od ciebie obchodził, mój Dziuniu? — gdyż tak pieszczotliwie moje imię czasami skracała.

— Więc nie zapomniałaś o mnie zupełnie? — odrzekłem, biorąc jej drobne rączki.

— Ja miałam zapomnieć? To ty chyba umiesz zapominać — i spojrzawszy rozżalonymi oczami na mnie, wyrwała mi, rozdąsana, swoje ręce.

— Przebacz, przebacz, Karolciu; ale jabym zawsze chciał słyszeć z ust twych, iż ci obojętnym nie jestem.

W odpowiedzi na to zarzuciła mi ręce na szyję i usta nasze długim złączyły się uściskiem. Uścisk ten byłby dłuższy jeszcze, gdyby go skrzypnięcie drzwi, któremi matka wchodziła, nie przerwało. Wyrzucały mi obie panie moje stosunki z Mierosławskim i występywanie przeciw Langiewiczowi, które, jak niektórzy z partyi Białej utrzymywali, miałem robić dla własnego wywyższenia. Nie potrzebowałem jednak bronić się z tego zarzutu, bo kto mnie choć trochę poznał, ten już podobnych myśli i podejrzeń nie mógł o mnie tworzyć. Rozpowiadały mi, jakie dziwne pogłoski biegały, jakobym ja z Jeską i paru innymi miał w obozie Langiewicza wojska od posłuszeństwa nowemu dyktatorowi odwodzić, że nawet aż do walki między naszymi i Langiewicza stronnikami przyszło, i wiele jeszcze innych najdziwaczniejszych plotek, jedna od drugiej mniej sensu i prawdy mających, że Langiewicz, nie chcąc krwi rozlewu, obóz opuścił. Byli jednak tacy, co zdawali się temu wierzyć, choć, jak wiadomo, ja na oczy Langiewicza nie widziałem i w obozie jego nigdy nie byłem. Przeszliśmy później do kwestyi bardziej osobistych i gdy matka Karolci dowiedziała się, iż szukam bezpiecznego mieszkania, ofiarowała mi na razie pokój w swym domu na czas mojej w Warszawie bytności. Ceremoniowałem się z przyjęciem; ale gdy Karolcia wymownie w oczy mi spojrzała i jeszcze wymowniej rączką pod serwetą stołu moją rękę ścisnęła, przyjąłem z wdzięcznością i wielką radością tę ofiarę, która spełniała najśmielsze moje marzenia. Zostałem więc pod jednym dachem z mą ukochaną. Ileż to chwil prawdziwego szczęścia, ileż to godzin słodkiego sam na sam potrafimy teraz wynaleźć! Karolci oczy błyszczały szczęściem i filuteryą, moje miłością. Do późna w nocy siedzieliśmy,

rozmawiając, a i po rozejściu długo jeszcze, siedząc w swym pokoju, zasnąć nie mogłem, marząc o niespodziewanym trafie.

Nazajutrz, korzystając z dłuższego ubierania się mamy, mogłem dość długi ranek tylko z jedną Karolcią przepędzić. Rozpowiadała mi, ile cierpiała, gdy przeciwko mnie za me idee mierosławczyko-rewolucyjne powstawano, zarzucała mi sama, czemu ja nie odstąpię tego nienawistnego wszystkim człowieka. Tłómaczyłem jej moje względem niego położenie i prawdziwą a wcale niepochlebną opinię, jaką już o jego charakterze zacząłem sobie na faktach wyrabiać. Mocno to ją ucieszyło, gdyż cała jej familia i znajomi byli zaciętymi wrogami Mierosławskiego. Nie rozszerzaliśmy się jednak długo nad kwestyami, które w tej chwili, kiedyśmy siedząc przy sobie, patrzeli się w swoje oczy i ściskali za ręce, które mówię, były małej wagi. Ona mówiła, iż mnie zawsze kocha i kochać będzie, lecz byłaby szczęśliwą, gdybym opuścił partyę mierosławczyków. Ja jej przyrzekałem, iż serce i dusza moja do niej należą i że ja do żadnej partyi prócz narodowej należeć nie myślę. I zgodę naszą uświęciliśmy serdecznym pocałunkiem. A to, co jej mówiłem, nie było wynikiem chwilowej grzeczności dla pani mego serca, lecz wewnętrznem przekonaniem, bo nie jestem za czyjemikolwiek osobistościami, lecz za ludźmi, którzy najwięcej korzyści krajowi przynieść mogą. Wówczas zdawało mi się, że Mierosławski wielką korzyść może przynieść krajowi, lecz głosując za Mierosławskim, nie myślałem odrzucać Czartoryskiego, lub innych z arystokracyi, którzyby sprawie narodowej pomagać chcieli. Później, choć mało, bardzo już mało liczyłem na Mierosławskiego, byłem jednak przeciwny usuwaniu go kompletnie od udziału w sprawie narodowej.

Wracając jednak do osobistej rozmowy naszej, dodam tylko, że kiedym napomknął, jak też daleko zaszła w sprawie rozerwania zaręczyn, [przerwała mi z oburzeniem:]

— Och, nie wspominaj mi nawet; z tego nic być nie mogło i nie będzie.

Po południu przyszło do mnie kilku kolegów z organizacyi, z którymi miałem długie rozmowy o stanie warszawskiego stowarzyszenia, o nadziejach, jakie mieć można na porozumienie się Mierosławskiego z Rządem i t. p. Zawiadomiłem ich o poleceniu, jakie mam co do utworzenia komisyi, mającej

czuwać nad sprawami Mierosławskiego przy Rządzie Tymczasowym, proponując im należenie, na co natychmiast się zgodzili.

Na drugi i dnie następne przychodziły do mnie różne osoby, jak Chmurzyński, Nejding, Lasocki, Landowski i t. p. z różnemi propozycyami i wiadomościami o sprawach Rządu Tymczasowego. Pragnąc osobiście z samymi członkami Rządu Tymczasowego się porozumieć, zwłaszcza że Lasocki nic nie mógł zrobić i chciał wyjechać, posłałem jednego z kolegów z karteczką do Awejdego i Majkowskiego, aby zechcieli być u mnie, lub też mnie miejsce widzenia z sobą naznaczyć. Awejde obiecał na drugi dzień być u mnie, lecz nadspodziewany wypadek przeszkodził temu. Policya wpadłszy na ślad Awejdy i Majkowskiego, tak ich zaczęła ściśle szukać, iż obaj, schowawszy się w jakieś kąty, czekali przyczajeni, aż przejdzie ta burza. Nikomu dla bezpieczeństwa o swych mieszkaniach nie mówiono; widzenie zatem ze mną było niemożebne, a nawet już i niepotrzebne, bo Rząd Tymczasowy postanowił wprost od siebie do Mierosławskiego pełnomocnika swego wysłać, aby ostatecznie z nim się porozumieć. Czynność zatem moja ograniczyła się już tylko do uformowania owej komisyi, do której, o ile pamiętam, weszli: Landowscy, Janczewski, Chmurzyński, Wrębowski, Orłowski i paru innych. Ciągłe jednak odbierałem wizyty od różnych zwolenników Mierosławskiego, naturalnie od takich, których do tajemnicy mego mieszkania dopuszczono, cały zaś wolny czas od tych niewielkich zajęć spływał mi na rozkosznych sam na sam z Karolcią, lub rozmowach z jej matką, gdyż przy gościach nie wychodziłem z wyznaczonego mi pokoju. Prawie zawsze jednak, gdy ukryty przed gośćmi, siedziałem samotny w swym pokoju, zatapiając się w niekoniecznie wesołych marzeniach, otwierały się po cichutku drzwi mej kryjówki i wbiegała niemi z uśmiechem na twarzy Karolcia, rozweselając mnie kilku słówkami i darząc na odchodnem gorącym uściskiem. Były to jasne chwile na tym burzliwym widnokręgu mego życia.

Byłbym jak najdłużej pozostał w tej gościnie, gdyby nie obowiązki, zmuszające mnie powrócić nareszcie do Krakowa, gdyby nie nalegania braci, ojca i nieocenionej Henryki, gdyby nakoniec nie delikatność, która zmuszała mnie opuścić to eldo-

rado. Ale że i w raju nie ciągle można być szczęśliwym, więc i ja miałem swe chmury i ciemne plamy na tem niebie, a przyczyną była Karolcia, która po najgorętszych oznakach miłości nagle oblewała się smutkiem, mówiąc:

— Jam ciebie nie warta, ja czuję, że twoje uczucie jest większe od mego. Ale cóż jam winna temu? To mój charakter, moje serce już takie.

A gdym ją upewniał, iż siebie obmawia, że ja to właśnie niegodny jestem takiego anioła, ona wtedy odpowiadała:

— O nie, nie, tyś lepszy odemnie! Och, lepiej tobie było nie kochać mnie i nie znać nigdy, bo ja czuję, iż — i płacz nie dał jej dokończyć.

— Co czujesz? Mów przez Boga! — wołałem, drżąc z niepewności.

— Ach, ja nie wiem; lecz czy ja będę kiedy twoją?

I mimo wielkiego zaślepienia, jakie mną opanowało, coś mi szeptało w duszy: »Ona mówi prawdę, ona nie może być twoją«. Takie to były czarne plamy w tym dniu majowym, pełnym pogody i szczęścia. Pożegnanie nasze było bardzo rzewne i szczere. Karolcia, gdym stojąc w framudze okna, spoglądał na oczekujące przed domem konie, pochyliła się nad moją ręką, opartą o poręcz krzesła, i przycisnęła do niej swe drżące z żalu usta. Chciałem cofnąć rękę, ale wstrzymała ją, szepcząc:

— Czyż ja cię zobaczę jeszcze, mój Władku?

Byłbym się rzucił do jej kolan, gdyby nie matka i brat mój, którzy byli w salonie, lecz tej sceny widzieć nie mogli.

Pożegnawszy się nareszcie oficyalnie z matką i córką, ruszyliśmy w drogę do jednego z kolegów brata na wieś, skąd już w parę dni koleją do Krakowa przybyłem. Kraków zastałem poruszony świeżą klęską, jaką ponieśliśmy przez rozbicie oddziału Jordana, który po kilkotygodniowem przygotowywaniu i wyczekiwaniu wyszedł tylko na to, aby kilkudziesięciu dzielnej młodzieży potopić w nurtach Wisły i zrujnować zupełnie oddział, którego wystawienie niemało pieniędzy, trudów i poświęcenia kosztowało. Zginął tam między innymi młody hr. Tarnowski [Juliusz] i mój dobry znajomy, Cielecki, student Szkoły głównej. »Czas«, który nader umiejętnie jeszcze przed wyjściem

na pole boju wystawiał zalety przyszłego wodza, torując mu drogę do wielkości, zaczął cofać się, tłómacząc różnymi sposobami ową nieszczęśliwą wyprawę. Mierosławskiego zastałem zajętego przygotowaniami swych wozów wojennych którymi miał rozbijać kadry (s) nieprzyjacielskie. Pieniądze, jakie mu złożyli jego stronnicy, obrócił na zakupienie broni i innych potrzeb dla swego nowoformującego się oddziału i sprowadzenie różnych przyborów do swoich wozów. Wszystkie te jednak przygotowywania musiały się w wielkiej tajemnicy przed ajentami komitetu krakowskiego odbywać, gdyż jak najgorliwiej ów komitet krakowski przeszkadzał całą mocą, na jaką się mógł zdobyć, wszelkim przygotowaniom wojennym, przez Mierosławskiego czynionym. Gdzie tylko mogli, zabierali karabiny i amunicyę, za pieniądze Mierosławczyków sprowadzone; ci znów w odwecie temże samem komitetowi płacili. Skutkiem tych wzajemnych kłótni niejeden transport wpadał i w ręce policyi austryackiej. Ogłaszano za zdrajcę każdego, kto się poważy zapisać do oddziału, mającego pod wodzą Mierosławskiego walczyć, jak gdyby Mierosławczycy nie o swobodę Polski walczyli! A wszystko to jakoby dla tego, iż Mierosławski Rządu Narodowego nie uznaje za władzę najwyższą i bez jego pozwolenia formuje oddział, na czele którego ośmiela się wkroczyć do Królestwa, nie mając na to upoważnienia tegoż Rządu.

Taki to mniej więcej był stan rzeczy w Krakowie, gdy nareszcie przyjechał Majkowski z owemi spodziewanemi propozycyami, które miały nareszcie Mierosławskiego z Rządem pogodzić. Propozycye te były następujące: Mierosławski uzna Rząd Tymczasowy jako władzę najwyższą kraju; Rząd zaś pozostawia Mierosławskiemu wybór jednego z kilku naczelnych dowództw, na jakie kraj podzielono t. j.: dowództwo naczelne wojskowe województw po lewym brzegu Wisły leżących, dowództwo po prawym brzegu Wisły leżących, dowództwo Litwy i t. p., ofiarowując wszelkie fundusze, broń, amunicyę i inną pomoc, potrzebną na utworzenie oddziału, z którymby nowy wódz wkroczył na pole walki. Jednocześnie na pierwsze potrzeby Mierosławskiego przysłał Rząd przez tegoż Majkowskiego 100.000 złp. i rozkaz do komitetu krakowskiego, aby broń, jaka się w ich rozporządzeniu znajduje, złożono pod zarząd Miero-

sławskiego i udzielano mu wszelkiej ku jego przedsięwzięciom pomocy.

Zdawało mi się, że nareszcie wszelkie niezgody i rosterki ukończono i że nakoniec żadne już stronnictwa lub partye poza Rządem istnieć nie będą. Liczyłem jednak za wiele na umiarkowanie Mierosławskiego, o którem tyle zawsze prawił. Nie zważając na wszelkie przedstawienia Majkowskiego, osobiście dość przychylnego Mierosławskiemu, ten ostatni wyżej wymienionych propozycyi nie przyjął, oświadczając, iż on mianowany był dyktatorem i tylko na mocy owej nominacyi przybył do kraju, że wszelkie traktacye z nim mogą tylko z tego aktu dyktatury wypływać, że wreszcie nie ma zamiaru ogłaszać się dyktatorem i chętnie przystanie na inny jakiś tytuł, np.: »Naczelnika«; wszelką broń i pieniądze od Rządu przyjmuje, lecz tego Rządu uznawać nie myśli, boby wówczas mógł być krępowany w swych działaniach; a ponieważ Rządu nie uznaje, więc i nominacyi na jakiegoś tam naczelnego wodza 4-ej części Polski przyjąć nie może, a prosto bez żadnego tytułu i jakichś tam uznawań Rządu, który go oszukał, pójdzie bić się z nieprzyjaciółmi ojczyzny, a jak wygra kilka bitew, to wówczas pomyśli, co mu dalej robić wypadnie. Napróżno Majkowski, pragnący szczerze porozumienia się z Mierosławskim, przedstawiał mu, iż bez zgody z Rządem nie tylko że pomocy żadnej nie otrzyma, lecz przeciwnie, ciągle zawody będzie spotykał, zwłaszcza przy takiej niepopularności, jaka była jego udziałem, że uznając Rząd i przyjmując nominacyę, nikt mu nareszcie zabronić nie może, choćby chciał, po kilku zwycięstwach i zebraniu silnej armii ogłosić się naczelnym wodzem, czy dyktatorem i t. p. Nic to jednak i wiele innych przedstawień nie pomogło, bo Mierosławski okazał upór nieprzełamany żadną perswazyą zdrowego rozumu; możnaby to nazwać stałością, gdyby do rozumniejszych rzeczy był skierowany.

Gdym się od Majkowskiego [dowiedział] o nieprzyjęciu takich korzystnych dla Mierosławskiego propozycyi, nie wiedziałem, jak ukryć moje oburzenie nad tem szalenie nietaktownem postępowaniem. Pobiegłem natychmiast do Mierosławskiego, aby, jeżeli można, cofnąć to jego postanowienie; nic nie mogłem jednak dokonać, gdyż nie zważając na rzucające się w oczy korzyści, jakie mu zgoda z Rządem przynosiła, zawsze

znajdywał jakiś błahy pozór do poparcia konieczności swej odmowy. Między tymi pozorami główne naturalnie miejsce trzymały: niezdolność Rządu, wpływ na niego partyi szlacheckiej, głupota drugich dowódzców, jakich mu za towarzyszy, ba, może za naczelników naznaczą i t. p., a w końcu dodał, iż on możeby wreszcie przyjął te nędzne propozycye, »ale większość mych przyjaciół, prócz może ciebie, mój p. Władysławie, jest przeciw przyjęciu«. Ponieważ ja wówczas już wiedziałem, że Mierosławski często tego fortelu, jakoby ulegał tylko swej partyi, używał, zebrałem więc kilku bardziej wpływowych ze stronnictwa Mierosławskiego, prosząc, aby zbiorowo *in corpore* przedstawić Mierosławskiemu, iż my wogóle nie tylko że jesteśmy przeciwni odrzuceniu podawanych przez Rząd propozycyi, lecz owszem prosimy go, aby, odsuwając na bok wszelkie jakieś swoje objekcye, warunki od Rządu przyjął i z nim się pogodził; proponowałem wreszcie, aby w razie odmowy z jego strony zagrozić, iż wszyscy kompletnie stosunki z nim zrywamy. Chociaż tego ostatniego zagrożenia nie chciano używać, zgodzono się jednak, iż należy wszelkiemi siłami zmusić go do koniecznej zgody z Rządem.

Rezultatem tych zbiorowych przedstawień było, iż Mierosławski napisał coś w rodzaju niby uznania Rządu i przyjęcia propozycyi, przez Rząd mu podawanych, ale to uznanie tak było owarunkowane i zredagowane, iż Asnyk, który z tem uznaniem był wysłany do Majkowskiego, nie wiele rokował z tych ponowionych traktacyi. Majkowski jednak, pragnąc porozumienia, nie był wielce wymagający i oświadczył, iż w imieniu Rządu przyjmuje to uznanie, że wkrótce wyszlą Mierosławskiemu nominacyę i wydadzą rozporządzenie Komitetowi krakowskiemu o udzielanie wszelkiej pomocy i t. d.; co zaś do 100.000 złp., to mając swoje układy z Mierosławskim za zupełnie zerwane, posłał je przed paru godzinami na broń czy amunicyę, lecz że natychmiast pisze do Warszawy i z pierwszych wpływów do kasy Rządu sumę tę Mierosławskiemu nadeszlą.

Gdy Mierosławski usłyszał, że pieniędzy niema, kontent, że ma niby powód do zerwania, rozkrzyczał się, że to oszustwo było, że pieniędzy nie było zupełnie, że chciano podstępem wymódz uznanie Rządu (jak gdyby Rząd koniecznie jego uznania potrzebował), że on, jeśli zgodził się, to dla otrzyma-

nia pieniędzy, które przynajmniej coś reprezentują, a nie dla jakiejś tam nic nie znaczącej nominacyi, i ostatecznie zerwał układy, mówiąc, że bez pomocy Rządu utworzy oddział i wyjdzie w pole, a jak zwycięży, nie będzie niczem krępowany; jeżeli zaś przegra, nikomu przynajmniej rachunku zdawać nie będzie. Wszystkie moje prośby i przedstawienia rozbijały się, jak fale wodne o skałę. Nie chciał wierzyć, iż ma tak mało popularności, aby Rząd Narodowy mógł co bez niego przedsiębrać, że on, jak wystąpi, wszystkich za sobą pociągnie i t. p. fantazye swej bujnej wyobraźni.

Po zerwaniu z Rządem jeszcze ciężej i wolniej postępowało tworzenie się oddziału dla Mierosławskiego, owego oddziału, który miał zwycięstwami swemi całą Polskę olśnić i zdumieć. Z tym oddziałem związana była przyszłość jego ambitnych marzeń, wszystko opierało się na mających nastąpić zwycięstwach; ale zapomniał, że tych zwycięstw zawsze mu brakowało.

W Krakowie tymczasem ciągle od kilkunastu dni prowadziły się debaty tak o amnestyi, przez rząd cesarski wydanej, jak i o notach trzech wielkich mocarstw europejskich, w naszej sprawie do Petersburga posłanych. Wszyscy z niecierpliwą gorączkowością oczekiwali na odpowiedź dworu petersburskiego, lękając się przyjęcia tych propozycyi, tak mało w porównaniu z życzeniami nam gwarantujących, a które Polska w takim razie musiałaby przyjąć.

— Co to będzie? — mówiono. — Czyż państwa zachodnie tak małemi ustępstwami myślą nas zadowolnić?

Gorętsi i zapaleńcy krzyczeli całem gardłem, iż Rząd Narodowy nigdy warunków, w notach podanych, nie przyjmie i broni przed oswobodzeniem Polski nie złoży. Nadeszła wreszcie odpowiedź z Petersburga, odrzucająca stanowczo wmieszanie się mocarstw do spraw jej wewnętrznych. Zdawało się, że dyplomatyczne stosunki zostaną zerwane, że posłowie wyjadą, że floty sprzymierzone popłyną ku brzegom rosyjskim. Inaczej jednak się stało: zamiast burzy i szczęku oręża, ucichło wszystko i tylko gazety zagraniczne gorącymi artykułami broniły naszej sprawy, wyrzucając rządom ich obojętność.

Nadzieja jednak nie znikła; mówiono, że Napoleon przy-

gotowuje coś wielkiego w tajemnicy, iż oczekuje tylko na powrót wojsk z Meksyku, aby notę swą poprzeć hukiem armat. Rozpowiadano, iż gdy toczyły się kwestye, jakie mają być granice Polski, Napoleon miał odpowiedzieć, iż tam, gdzie krew się polska w walkach lać będzie, tam będą granice nasze. Dlatego też rozszerzano powstanie w jak najdalsze krańce, aby granice jak największą część kraju ogarnęły.

Tak marzono na jawie, a rzeczywistość ileż ciemniejszą była od tych ułudnych nadziei! Oddziały nasze, choć coraz lepiej uzbrojone, coraz to częściej przechodziły granicę galicyjską, rzucając broń tak ciężko dobytą i rozpraszając się po kilku dniach zaledwie istnienia. Na moich oczach w ciągu tygodnia dwa dobrze uzbrojone i we wszystko opatrzone oddziały, jeden pod wodzą Rumockiego, drugi pod wodzą Miniewskiego, wyszedłszy z Krakowa, w kilka dni bez bitwy prawie zniszczonymi zostały. To cofanie się za granicę tak się już w końcu rozpowszechniło, że wychodzący ochotnicy sami zapowiadali swój za kilka dni powrót do miasta. Uciekinierzy, jak takie oddziały słusznie nazywano, rozkrzewiali upadek i tchórzowstwo do najwyższego stopnia. Wieleby o tem można pisać, gdyby serce nie ściskało się na myśl o upadku młodzieży, jaki w Krakowie w oczy się każdemu rzucał. W innych okolicach, gdzie walczyli Taczanowski, Chmieleński, Czachowski, Narbut, Mystkowski, Różycki, Padlewski, Young de Blankenheim i jeszcze wielu innych, zupełnie się inaczej na obowiązki żołnierza, walczącego o niepodległość kraju, zapatrywano. Galicya, nie zważając na wielką pomoc i poświęcenie obywateli, była jednak ogniskiem zniewieściałem i prawdziwą Kapuą dla naszych powstańców. Poznańskie skutkiem ściślejszego dozoru granic przez Prusaków nie było widowiskiem tylu klęsk i nieszczęść, jakie się na granicach Galicyi spełniały.

Wielką było trudnością wśród ciągłych niepowodzeń i rejterady oddziałów galicyjskich wybrać dostateczną ilość ochotników, na którychby z pewnością liczyć można, iż broni za pierwszym wystrzałem nie rzucą, uciekając do gościnnego Krakowa. Zdołano jednak mimo tysiącznych przeszkód, stawianych przez komitet krakowski, zebrać do 500 ochotników, którzy przyrzekli na każde zawezwanie stawić się do wkroczenia pod wodzą Mierosławskiego do Polski. Wszyscy prawie ochotnicy

z małym wyjątkiem pobierali żołd dzienny po 50 centów, co dość znaczny miesięcznie stanowiło wydatek; niektórzy dowódzcy, jak np. Rochebrun, płacili podobno po 60 centów. Starano się przeto jak najprędzej przygotowania kończyć i w pole wyruszać.

Po wielu nareszcie zwłokach zdecydował się Mierosławski na czele swego oddziału wkroczyć, licząc na jednoczesne prawie wkroczenie Miniewskiego, który się później miał z nim wraz z swym oddziałem połączyć. Z tak połączonymi oddziałami zamierzał Mierosławski posunąć się w Rawskie, gdzie już oczekiwał na niego oddział, przez jego stronników uformowany i pod naczelnictwem Drewnowskiego zostający. Dalsze zaś plany miał już stosownie do okoliczności po złączeniu się oddziałów nakreślić.

Na parę tygodni przed naznaczonym terminem do wyjścia wyjechał Mierosławski nad granicę Galicyi, gdzie już i ciągle bawił u jakiegoś obywatela (pod obcem naturalnie nazwiskiem), aby rozpatrzyć pozycye, gdzie miało być pierwsze stanowisko oddziału i przygotowywać swe wozy wojenne.

Pragnąc wziąć udział w tej wyprawie, na którą wiele liczono, sądząc, iż w razie szczęśliwym potrafi Mierosławski poruszyć masy ludowe swoją wymową, pojechałem wraz z Lasockim i Malczewskim, który tylko jeden wiedział miejsce pobytu jenerała, aby go prosić o pozwolenie dzielenia już z nim razem losów tej wyprawy. Nie chciał się jednak na to zgodzić, oświadczając, iż my daleko więcej jemu a zatem i krajowi usłużymy na innem polu i że on już utworzył komisyę zarządzającą, która po wkroczeniu jego do kraju jawnie się ogłosi jako upełnomocniona od niego i do której nas już zaliczył wraz z Jeską, Asnykiem, Rościszewskim i paru innymi. Wszelkie przedstawienia pozostały bez skutku. Wróciliśmy zatem do Krakowa.

Nadszedł nareszcie dzień wyjścia oddziału. Pragnąc uniknąć wielkiego zbiorowiska ludzi, coby wywołało może wmięszanie się policyi, rozdzielono cały oddział na dwie połowy, z których jedna pod dowództwem Malczewskiego miała wyjść jednego dnia, a druga połowa pod wodzą Brożewicza dnia następnego. Broń, złożoną w bezpiecznem na granicy miejscu, miała ta pierwsza połowa z sobą przeprowadzić już do Króle-

stwa do wsi Pobiednik, niedaleko Igołomii i tam oczekiwać, czyszcząc i wypakowując karabiny, na drugą część swych towarzyszy, z którą już i Mierosławski miał przybyć.

W oznaczony wieczór na umówionem miejscu około cmentarza zeszło się do 800 ludzi zamiast 300 i wszyscy z jak największą ochotą pragnęli pod dowództwem Mierosławskiego walczyć; naturalnie, że ich chęciom stało się zadość, wszystkich przyjęto, choć nie wszyscy, bo tylko do 400, na samo miejsce zaszło.

Na drugi dzień zebranie ochotników już pod nie tak pomyślną zaczęło się wróżbą; punkt zborny otoczony był przez policyę, która ostrzeżona o zbiegowisku wczorajszem (gdyż przez nieostrożność punkt zborny tenże sam naznaczono), zajęła plac swemi pikietami, broniąc przystępu. Kiedy zatem Brożewicz, czy któryś z naszych przyszedł na plac, zamiast spodziewanych ochotników ujrzał wojsko i policyę. Było to już jedno rozczarowanie; jednak zaradzono temu, zbierając w innem miejscu, co się dało, rekrutów i wyprawiając ich z Brożewiczem.

Zaledwie Brożewicz z paruset ludźmi cichaczem wymknął się Krakowa, nagle rozchodzi się pogłoska, że Malczewski z całym swym oddzialikiem rozbity, wpędzony napowrót do Galicyi, a broń co do sztuki częścią przez wojsko ruskie, a więcej przez Austryaków zabrana. Pogłoska ta, niestety, okazała się zupełnie prawdziwą. Malczewski, zamiast siedzieć w naznaczonej i bardzo silnej pozycyi, gdzieby nawet atakowany, długo się mógł bronić, poszedł dla zabrania kilku objeżczyków do Igołomii i tam napadnięty przez zaczajone na niego wojsko, został od swej pozycyi odcięty i po parogodzinnej walce, rozbity i do Galicyi wpędzony. Nasi wcale nie byli przygotowani do boju; broń, nie poczyszczona i nie nabita, leżała na wozach, amunicya spakowana, tak że niewielki nawet opór stawiano.

Mierosławski, zawiadomiony o rozpoczętej utarczce, przybiegł, nie czekając już na drugą część oddziału swojego, do Pobiednika, aby obecnością swoją podnieść odwagę żołnierzy; ale już tylko mógł widzieć uciekających w nieładzie ochotników, których wojska austryackie chwytały do niewoli. Oddział, z takim trudem utworzony, broń i amunicya z takim kosztem

i niebezpieczeństwem dobyta, wszystko to w godzinę niespełna znikło i rozwiało się, jak sen, pozostawiając tylko bolesne ślady. Musiały zapewne w umyśle stojącego nad granicą jenerała przemykać tysiączne myśli i zapytania, czemu to, co tak zdawało się pewnem, tak wyrachowanem, tak nieomylnem, omyliło w najokropniejszy sposób. Musiał oskarżać i winić wszystkich prócz siebie, bo czyż on mógł zbłądzić? A jednak dlaczego sam oczekiwał w oddaleniu, zamiast odrazu stanąć na czele przybyłych, urządzić ich i pilnować, czekając na przybycie reszty? Dlaczego nie chciał tak korzystnej dla siebie zgody z Rządem Narodowym do skutku doprowadzić, coby nie zmuszało go ukrywać się i taić przed władzami narodowemi formacyi oddziału? Wieleby przez to strat, a nawet i samego rozbicia oddziału można było uniknąć. Lecz za wieleby tu mówić można przeciw jego postępowaniu, a nic za nim. Skutki zresztą najlepiej okazały.

Ze stratą oddziału wszystkie nadzieje i plany Mierosławskiego rozwiały się, jak dym; niepopularność, jeżeli można, wzrosła jeszcze. Znikąd już żadnej nie spodziewał się pomocy, bo Rządu, któryby mógł mu inny oddział uformować, nie uznawał. Widząc, iż nie ma co dłużej już robić w Galicyi, powrócił do Paryża, napisawszy do nas list zbiorowy, pełen nadziei na przyszłość i zachęt, abyśmy się nie zrażali chwilowemi przeciwnościami, wszystkim zaś pozostałym ochotnikom i stronnikom radził wstąpienie do innych oddziałów, aż póki on ich znów pod swój sztandar nie powoła.

Miniewski, który miał swój oddział z Mierosławskim połączyć, został na drugi dzień rozbity i w kilka dni widzieliśmy go znowu w Krakowie. Takież same nieszczęście spotkało oddział rawski, formowany dla Mierosławskiego. Dowódzca tego oddziału, Drewnowski, stary wojskowy z Kaukazu, na którego wiele liczono, podczas bitwy dostawszy panicznego strachu, zemknął do Krakowa, zostawiając swych żołnierzy opiece Opatrzności; uciekając jednak, znalazł dosyć czasu, jak mówiono, dla zabrania kasy obozowej. Opuszczeni przez dowódzcę powstańcy, cofnęli się w lasy, krzycząc słusznie na zdradę i szukając Drewnowskiego, aby mu w łeb wypalić. Część tylko piechoty, lecz zato prawie całą kawaleryę zdołał zgromadzić pod swe dowództwo Grabowski.

Taki to był opłakany koniec tych wszystkich nadziei Mierosławskiego. Wszystkie bez wyjątku gazety galicyjskie korzystały z tych nieszczęść, aby wylać całą dozę swej żółci na nienawistnego im człowieka; pierwsze, jak zawsze, miejsce trzymał »Czas« krakowski. Przyznać jednak należy, że wiele zarzutów, wiele uwag było jak najsłuszniej czynionych.

XXVI.

Ogólny rzut oka na powstanie. — Obalenie Rządu Narodowego — Wezwanie autora do Warszawy. — Nowy rząd i opozycya. — Życie towarzyskie. Sprawy sercowe.

Po wyjeździe Mierosławskiego z Krakowa koło młodzieży, formujące jego tam niejako stronnictwo, uszczupliło się znacznie. Ja pozostałem w Krakowie, mając zamiar wstąpić do jakiegokolwiek oddziału, o czem nawet list do swych przyjaciół w Warszawie pisałem.

Wiadomości, jakie otrzymywaliśmy z placu boju, nie bardzo były pomyślne. W Lubelskiem Lelewel (Borelowski) poległ w jednej z bitew, w której prócz niego wiele jeszcze bolesnych strat sprawa nasza poniosła; zginęli tam między innymi Romanowski i mój towarzysz w pracy, G. Wasilewski. Silny oddział Jeziorańskiego, wkroczywszy z Galicyi w województwo lubelskie i zwyciężywszy nieprzyjaciół w krwawej bitwie pod Kobylanką, musiał również cofać się ku granicy przed naporem znacznych sił nieprzyjacielskich. W Płockiem Z. Padlewski po paru szczęśliwych potyczkach, zmuszony wkońcu rozpuścić swój oddział, został wypadkiem schwytany przez wojsko rosyjskie i skazany przez sąd wojenny na rozstrzelanie, zginął śmiercią walecznych w Płocku. Nieszczęśliwy ten człowiek, nawet siedząc w więzieniu, ulegał pociskom zjadliwej opinii, aż śmierć dopiero zamknęła głupie języki i przerwała nizkie oszczerstwa, jakie na niego rzucano. Taczanowski w Kaliskiem, straciwszy połowę prawie sił swoich pod Ignacewem, trzymał się zaledwie ze swoją liczną wprawdzie kawaleryą, nie przyjmując nigdzie bitwy. Mystkowski z Fryczem zginęli przy zasadzce, na jadących koleją Moskali uczynionej. Na Litwie największą nadzieję powstańców, Sierakowskiego, schwytano i skazano na powieszenie. Różycki, choć zwycięski, przeszedł jednak

granicę galicyjską, a Wysocki, mający podnieść upadające tam powstanie przez zdobycie Radziwiłłowa, pobity kompletnie, wpędzony został napowrót do Galicyi, niszcząc cały, kilka milionów kosztujący oddział, nad jakim mu dowództwo powierzono. Zewsząd więc klęski i upadek. Jeden tylko Chmieleński, nowo występujący dowódzca, szczęśliwie i energicznie prowadził wojnę partyzancką.

Klęski te i nieszczęścia przypisywano, i słusznie w części przynajmniej, nieenergicznemu kierownictwu Rządu Narodowego. Gorętsi patryoci warszawscy, złączywszy się z wydziałowymi miasta, postanowili uczynić zamach rewolucyjny, aby Rząd dotychczasowy zwalić i na miejsce jego nowy, pełen energii i poświęcenia dla sprawy utworzyć. Najwięcej oburzało młodych patryotów postępowanie krakowskiego komitetu, który jakby na żarty co parę tygodni po jednym wysyłał oddziale, tłómacząc się, iż należy tylko podtrzymywać powstanie. Oddziały te wchodziły i ginęły pod przeważnemi siłami; tymczasem wysłaniem jednoczesnem kilku naraz oddziałów, możnaby zmusić niezbyt silne oddziały rosyjskie do ustąpienia w głąb kraju, a oczyściwszy tym sposobem pas graniczny, organizować pospolite ruszenie.

Nieprędko jednak mogliby ci rewolucyjni spiskowcy swój zamach przeciw Rządowi uskutecznić, gdyby nie pomogły im następujące okoliczności. Jeden z organizacyi miejskiej, Waszkowski, student Szkoły Głównej, zdołał wraz z pomocą kilku innych związkowych namówić kasyerów głównych Królestwa Polskiego do wydania znajdujących się w kasie pieniędzy upełnomocnionym od Rządu Narodowego delegatom. Gdy już wszystko było przygotowane, Waszkowski wszedł do Kasy głównej i odebrawszy przysięgę od woźnych, tam się znajdujących, zabrał z pomocą tychże dwadzieścia kilka milionów w papierach i brzęczącej monecie dla przelania ich do kasy narodowej. Przenoszenie tych pieniędzy odbywało się przez 2 czy 3 dni bez zwrócenia uwagi policyi i straży wojskowej, pilnującej kasy Królestwa. Kasyerowie i woźni wyjechali naturalnie za granicę. Jeden jednak z woźnych, spóźniwszy się na kolej, z obawy, aby go nie pojmano (choć policya nic jeszcze nie wiedziała), poderznął sobie żyły w wannie, gdzie go i martwego od ujścia krwi znaleziono. Waszkowski zaś, złożywszy pieniądze

w bezpiecznem miejscu, umówił się z wydziałowymi miasta aby pieniędzy obecnemu Rządowi nie dawać, lecz wybrać nowy i nowemu dopiero miliony doręczyć. Drugim zaś faktem, choć nie mającym takiej głośności powszechnej, a jednak bardzo znacznie przechylającym szalę na stronę skonfederowanej młodzieży, było zabranie wszystkich prawie pieczęci i blankietów Rządu Narodowego, oraz zamknięcie drukarni tajemnych. Tak więc Rząd Narodowy znalazł się pewnego pięknego poranku bez blankietów, bez pieczęci i co najgorsza, bez pieniędzy. W tajemnym Rządzie, gdzie prócz kilkunastu wtajemniczonych nikt nie wiedział o nazwiskach członków Rządu, wszyscy słuchali i wierzyli w blankiety opatrzone pieczęcią, gdyż podpisów w tajemnej władzy być nie mogło i nie było. Pieczęcie zatem były jedyną rękojmią, stanowiącą o autentyczności rozkazów i prawomocności pełnomocnictw. Pozbawieni zatem pieczęci i blankietów członkowie Rządu stali się nic nie znaczącymi członkami organizacyi, zwłaszcza opuszczeni przez bliżej nich będących wydziałowych miasta. Te tak ważne w owej chwili pieczęcie znajdowały się w rękach Lempkego, byłego pomocnika Stefana Bobrowskiego, któremu powierzano je na przechowanie, i on to podmówiony przez partye niechętnych Rządowi, zabrał do siebie owe oznaki władzy i jednocześnie zamknął i drukarnie tajemne, do których codzień chodził jako wysłaniec Rządu z różnemi rozporządzeniami. Osoba zatem Lempkego z pieczęciami była nader ważnym nabytkiem dla przeciwników Rządu. Szło już tylko o wybór nowych osób.

Członkowie Rządu nie chcieli się jednak odrazu wyrzec swej władzy i postanowili jawnie przeciw takiemu zamachowi zaprotestować i protestacyę tę z podpisem Oskara Awejdy, jako niby sekretarza Rządu, publicznie ogłosić. Uprzedzając to wystąpienie, poaresztowano, naturalnie u siebie w domu, członków Rządu, wręczając im rozkazy opuszczenia Warszawy w 48 godzinach. Opozycya zatem zdawała się tryumfować nad Rządem. Ustanowiła się tymczasowo komisya, złożona z Glikselego Lempkego, Ma.....[1] Chmurzyńskiego i kilku innych, którzy w porozumieniu z wydziałowymi miasta mieli nowy, Rząd ustanowić. Ale tutaj dopiero zaczyna się główna kwestya

[1] W rkpsie wyraz nieczytelny; może *Marchwińskiego*. Por. str. 289 (*P. w.*).

i trudność, z kogo ten Rząd nowy złożyć. Przeciwnicy rządowi, ta rewolucyjna opozycya przeciw Rządowi o wszystkiem pomyślała, prócz wyboru członków Rządu, myśląc, że takowi sami natychmiast się znajdą. Pokazało się jednak wcale inaczej; bo jak zaczęto radzić i przedstawiać kandydatów, tak dwa blizko tygodnie radzono i wybierano, robiąc jak najdziwaczniejsze kombinacye i nie mogąc w końcu dojść do żadnego rezultatu. Lempke, bardzo poczciwy patryota, lecz nie wielkich wcale zdolności, o czem i sam zresztą czuł w głębi duszy, wciąż nalegał i prosił, grożąc oddaniem pieczęci nowemu Rządowi, jeżeli czegoś nareszcie nie postanowią. Oni jednak debatowali i radzili — a powstanie tymczasem ginęło bez kierunku i zabrane miliony w listach zastawnych leżały bez zmiany, choć władza rosyjska ogłaszać zaczęła już numera listów, wzbraniając ich przemianę.

Taki to mniej więcej był stan organizacyi warszawskiej, gdym otrzymał telegram, wzywający mnie do Bydgoszczy, skąd czekająca tam na mnie osoba miała mi do Warszawy towarzyszyć. Ponieważ doleciały nas już słuchy o tajemnej w łonie organizacyi rewolucyi, nie wątpiłem, iż i moje wezwanie jest z nią w związku. Opuściłem natychmiast Kraków po dwumiesięcznym prawie, bezczynnym pobycie, bo od czasu wyjazdu Mierosławskiego, t. j. od początków maja aż do końca czerwca nie brałem prawie żadnego czynnego udziału w sprawach powstania. Przybywszy do Bydgoszczy, a raczej do Torunia' zastałem tam Ziemskiego, który z polecenia Lempkego i Janczewskiego oczekiwał na mnie, abym mógł przy jego pomocy jak najbezpieczniej do Warszawy się dostać. Opowiedział mi ów Ziemski o wszystkich mniej więcej szczegółach tych zamieszek, a o których wyżej już wspomniałem, nadmieniając, iż Lempke jest jakby chwilowym naczelnikiem wszystkiego i że on to głównie domagał się mego przyjazdu celem utworzenia nowego Rządu, spodziewał się nawet przed paru już dniami widzieć mnie w Warszawie, coby i mogło nastąpić, lecz jakieś tam przyczyny opóźniły wyjazd a raczej zatrzymały go w drodze tak, że cały dzień on (Ziemski) oczekiwać musiał na pociąg kolei żelaznej.

Nie mogąc już tego dnia jechać dalej, musieliśmy wraz z Ziemskim na drugi dzień dopiero ruszyć ku granicy. W Ale-

ksandrowie niespodziewane zaszło opóźnienie, bo urzędnicy tamtejszej stacyi granicznej, obawiając się, aby mnie kto z pasażerów nie poznał i nie rozgłosił mego przybycia do Królestwa, coby podwoiło czujność policyi, zabrali do swego pokoju, zostawiwszy jednego ze swoich na czatach, aby kolej bezemnie nie odjechała. Co chwila prawie słysząc ruch przechodzących i pakujących się pasażerów, zapytywałem, czy kolej nie rusza, na co mnie upewniano, iż bezemnie nie mogą odjechać. Stało się przecież inaczej, bo maszynista, aczkolwiek uprzedzony, myśląc jednak, że już jestem w wagonie, czy też na dany przez pomyłkę znak do odjazdu odjechał. Wielkie też było zdziwienie i niepokój zarazem poczciwych urzędników, zobaczywszy ruszającą lokomotywę, która już mimo krzyków i sygnałów nie mogła być przez niesłyszącego z tak daleka maszynistę wstrzymaną.

Pragnąc, o ile można, wynagrodzić czas stracony, ofiarowali na me usługi ekstracug, który mógłby w Włocławku ten pociąg dogonić. Nie wiele myśląc, zażądałem ekstracugu i w 10 niespełna minut siedziałem już na maszynie, lecąc ku Włocławkowi. Na szczęście jednak przyszło nam na myśl, że pogoń taka maszyny może, i bardzo słusznie, zwrócić uwagę władzy rosyjskiej i sprowadzić na jakiejkolwiek stacyi, otoczonej wojskiem ruskiem, zaaresztowanie wszystkich nas *in corpore;* wróciliśmy przeto do Aleksandrowa i już nazajutrz raniutko puściliśmy się w drogę.

W Skierniewicach otrzymał Ziemski telegram ostrzegający, abym ja nie wjeżdżał do Warszawy, póki drugiego telegramu nie odbiorę, gdyż policya jakoby dowiedziała się o mym przyjeździe; wpół godziny jednak przybyła druga depesza z zawiadomieniem, iż mogę jechać i że mnie oczekują na banhofie.

Wieczorem około jedenastej godziny przybyłem do Warszawy i natychmiast przez oczekującego na mnie Janczewskiego i kilku jeszcze urzędników z kolei żelaznej zaprowadzony zostałem do jednego urzędnika z komory, którego nazwiska nie pamiętam, gdzie miałem noc przepędzić. Janczewski opowiedział mi w krótkich słowach cały wyżej wspomniany już przezemnie stan wzburzonej organizacyi warszawskiej, zakończając jednak całe swe opowiadanie niespodziewaną dla mnie konkluzyą, iż nowy Rząd Narodowy już jest wybrany. Na moje

zapytanie, jakimżeto sposobem tak nagle wszystko się stało i po co wreszcie mnie wzywali, odpowiedział, iż Lempke zniecierpliwiony ciągłemi zwłóczeniami komisyi, mającej ten nowy Rząd wybierać, widząc, iż z dnia na dzień odkładają i nie mogą nawet z wydziałowymi zgody zaprowadzić, postanowił sam wraz z Chmurzyńskim L. nową władzę ustanowić, mnie zaś wezwał, abym do jej składu należał; lecz ponieważ przyjazd mój, choć nie z mej winy, o parę dni się opóźnił, przeto ulegając namowom Chmurzyńskiego, zgodził się, nie czekając już na nikogo, Chmurzyńskiemu polecić wybór nowych członków. Chmurzyński po porozumieniu się z wydziałowymi miasta zawezwał też same prawie osoby do Rządu, jakie przeszły Rząd składały, z wyjątkiem Majewskiego, który jako nowy członek do niego wstąpił — słowem, że cała ta burza rewolucyjna skończyła się na powrocie do dawnej władzy. Gdy Lempke (który przy całym swoim patryotyzmie był człowiekiem nadzwyczaj płytkiego poglądu, a raczej prawie że wcale go nie miał) dowiedział się, iż prawie ci sami, przeciw którym on występował, znowu wstąpili do Rządu, rozkrzyczał się na głupotę Chmurzyńskiego, na zdradę i t. p. Ale nic już poradzić nie było można, bo pieczęcie, które Lempke powierzył Chmurzyńskiemu, przeszły już w ręce nowego Rządu. Miał być ten Rząd pod kontrolą najwyższego Trybunału Rewolucyjnego, który miał mieć prawo pociągania członków Rządu do odpowiedzialności za niespełnianie gorliwe swych obowiązków, odstępowanie od programu, jaki zaprzysiężono i t. p. Lecz wiadomo, że Rząd, mający wszystko w swych rękach, łatwo się uchyli od tak niewygodnego cenzora, jakim miał być Trybunał Rewolucyjny, i potrafi pomimo niego tak działać, jak sam zechce.

Taki to był stan rzeczy, chociaż Janczewski upewniał mnie, iż Lempke ciągle jeszcze ma duży wpływ na miasto i że Rząd ulega wszelkim jego żądaniom, obawiając się nowego w przeciwnym razie zamachu. Na drugi dzień widziałem się z Lempkem, który nadzwyczaj żałował, iż ja tak późno przyjechałem do Warszawy, bo wszystko przy mej pomocy inaczejby się ułożyło. Napadał na L. Chmurzyńskiego, iż on wszystkiemu winien, że go oszukał, że obiecał nowych członków wprowadzić, i to takich, którzyby byli przychylni Mierosławskiemu (Chmurzyński bowiem był Mierosławczykiem), a tym-

czasem wszystko inaczej się stało. Miał jednak nadzieję, że jeszcze można będzie wszystko odmienić.

— Jakże już odmienić — rzekłem — kiedyś już całą powagę i całą siłę, jaką władałeś, t. j., owe pieczęci i blankiety Rządu oddał w ich ręce?

— Nie wszystkie jeszcze; mam pieczęć Trybunału Rewolucyjnego, który ma być nad Rządem i właśnie chcę, abyś Pan był prezesem Trybunału, ja jednym z członków, a trzeciego dobierzemy.

Podziękowałem mu za zaufanie, ale oświadczyłem, iż wątpię, aby teraźniejszy Rząd Narodowy zechciał ulegać jakiemuś Trybunałowi, a tem bardziej, ażeby przystał na moje prezesostwo w tym Trybunale.

— Muszą przystać — zapewniał Lempke.

— Ja zaś przeciwnie myślę; a zresztą spróbuj i zapytaj się, a ja tymczasem zobaczę się z opozycyą, co oni myślą dalej robić.

Wkrótce po wyjściu Lempkego przyszedł Landowski, będący naczelnikiem żandarmeryi warszawskiej, a który także do opozycyi należał. Długośmy z nim o wielu rzeczach rozprawiali, gdyż był on jednym z najpierwszych, co do naszego jeszcze akademickiego stowarzyszenia należał. Przekonałem się z jego rozmowy, iż trudno już cokolwiek przeciw Rządowi rozpocząć, i zresztą nie widziałem żadnej potrzeby przeciw niemu występować. Ciągłem zmienianiem Rządów żadnej pomocy lub korzyści powstaniuśmy nie czynili, przeciwnie, sprawiało to chaos i zamięszanie.

Nowy, aczkolwiek mało bardzo odmieniony Rząd Narodowy (prócz Majewskiego wszedł do niego, o ile pamiętam, Przybylski i Kobylański) zdawał się dosyć zapowiadać energii; postanowił on powołać do działania Mierosławskiego, co pokazywało, iż nie jest wcale szlacheckim, jak mu zarzucała zapalczywa opozycya. Więcej mnie jeszcze utwierdził w mojem mniemaniu Chmurzyński, który zaraz po dowiedzeniu się o mym przyjeździe przybył do mnie i starał się wytłómaczyć swoje nietaktowne postępowanie gwałtowną chwilą ustalenia czegoś, chaosem i zamięszaniem, jaki się wkradał do organizacyi, zostającej bez Rządu i t. p., oraz zapewnieniem Rządu, iż Mierosławski godne swym zdolnościom zajmie stanowisko; prosił

mnie również, abym ja zechciał jemu zostawić traktowanie z Rządem o stanowisko dla działań Mierosławskiego, gdyż jemu, jako już mającemu od Rządu obietnicę, łatwiej wszystko w jak największych rozmiarach uzyskać. Zgodziłem się na to tem łatwiej, że ja specyalnego jakiegoś na to upoważnienia od jenerała nie miałem.

Później wpadł do mnie jeden z zapaleńszych członków opozycyi, Kokosiński, upewniając mię, iż Rząd zrzucą, zasztyletują i t. p., żebym ja przeto w żadne układy z Rządem nie wchodził, lecz starał się owszem o jego zmianę. Do nowego Rządu proponował: Narzymskiego, mnie i kilku innych, którychby potem wynaleziono. Widziałem się również parę razy z Glikselim, stojącym jakiś czas na czele owej komisyi, mającej rząd wybierać. Rozmówiwszy się z nim spokojnie, zobaczyłem iż nie na wiele już wszelkie zachody opozycyi przydać się mogą, chociaż on pełen był otuchy w dobry skutek nowych swych działań.

Znajdowali się podówczas w Warszawie Chmieleński, Lisikiewicz, Asnyk i paru innych, z zagranicy przybyłych, lecz z nimi, prócz jednego tylko, nie widziałem się wcale. Landowski, który przez cały prawie ten czas, o ile mu tylko obowiązki jego jako naczelnika żandarmeryi pozwalały, ciągle był przy mnie, wożąc mnie do różnych mieszkań i pilnując, abym nie wpadł w ręce policyi, dosyć był przychylny nowemu Rządowi, chociaż ofiarował się pójść za mną, t. j. przyłączyć się do tej strony, do której ja się przyłączę. Ja jednak postanowiłem tylko na pewnych danych do przemiany Rządu należeć, t. j., jeżelibym wiedział, że zmiana bez żadnych gwałtownych zamieszek się przeprowadzi i korzyść powstaniu przyniesie.

Po kilku dniach ciągłych rozpraw i debat, które do niczego nie doprowadziły, bo wydziałowi przechylali się na stronę nowego Rządu, chciałem już nawet wyjechać z Warszawy, gdyby nie chęć widzenia się z Majewskim i konieczne domagania się Lempkego, jak i kilku opozycyonistów, abym kilka dni jeszcze na jakiś spodziewany przez nich rezultat zaczekał. Rad nie rad musiałem siedzieć. Miałem wprawdzie bezpieczne mieszkanie i straż narodową z naszej żandarmeryi, bo Landowski lub jeden z jego oficerów prawie nigdy mnie nie odstępowali, zawsze jednak nie byłem wolny od obawy.

Landowski Paweł, pragnąc wszelkie możliwe bezpieczeństwo mi zapewnić, zawiózł mnie do pp. E. na Krochmalnej ulicy, gdzie z początku jakoby niby brat jego, a później jako ważny emisaryusz przez tydzień przeszło się ukrywałem. Kiedym pierwszy raz przyjechał do pp. E., przedstawił mnie Landowski jako niby starszego swego brata, zmuszonego ukrywać się przed policyą. W parę jednak już godzin po mem tam przybyciu przyszedł jeden ze znajomej mi młodzieży, który nie małe okazał zdziwienie, gdy mnie jako brata Landowskiego rekomendowano, dobrze mu znajomego. Naturalnie kłamstwo się wydało, lecz nie wiedziano jeszcze, kim mianowicie jestem. Różne przeto domysły i przypuszczenia zaczęły krążyć po głowach młodych córek gospodarstwa, bardzo miłych panien, dobrych patryotek. Wiele dawały im do myślenia moje włosy, zafarbowane na ciemnozielony kolor, tajemnica, jaką mnie Paweł Landowski i koledzy odwiedzający otaczali, oraz pewna przewaga, jaką zdawałem się mieć nad nimi. A że o Pawle Landowskim wiedziano, że był naczelnikiem żandarmeryi, przeto przypuszczano, że ja już conajmniej jestem jednym z członków Rządu. Co jednak najzabawniejsza, iż w tych domysłach tak się daleko posunięto, że nawet wzięto mnie za niby zbiegłego z Josefstatdu Langiewicza. Gdy się odwiedzający mnie przyjaciele dowiedzieli o tem przypuszczeniu, zaczęli jeszcze na wpół go podtrzymywać, dając mi niby przez zapomnienie tytuł jenerała. Nie chcąc jednak pozwalać sobie chociaż niewinnego żartu w domu, tak gościnnie mnie przyjmującym, starałem się wytłómaczyć bezzasadność tych przypuszczeń, chociaż mi to nie tak zaraz się udało.

Zwykle około 7-ej lub 8-ej wieczorem wracałem wraz z Landowskim do pp. E., gdzie już zostawałem aż do 9-tej lub 10-tej z rana; o 10-ej zaś przyjeżdżał Paweł Landowski, lub czasem ktoś drugi i jechałem z nim do umówionego już mieszkania, gdzie miewałem widzenia się i rozmowy z różnymi konspiratorami, członkami opozycyi: Lempkem, Chmurzyńskim i t. p.; o rezultacie zaś tych rozmów wyżej już wspomniałem. Wracając zaś wieczorem do mego głównego zamieszkania, do pp. E., przepędzałem tam z kilkoma kolegami w towarzystwie córek gospodarskich bardzo przyjemny wieczorek, z dala od wszelkich planów konspiracyjnej opozycyi.

Było[1] już koło 10-tej godziny, t. j., pory, w której zwykle nasze szczupłe kółko się rozchodziło, kiedy nagle w trakcie najciekawszych rozpraw wpada służąca, cała strwożona, wołając:

— Dom nasz otoczony jest wojskiem, a do bramy sztuka policya, nakazując otwarcie jej niezwłocznie.

Usłyszawszy tę wiadomość, zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi.

— Co tu począć? Będzie rewizya i zaaresztują nas.

— Nie pozwalać otwierać bramy — wołały młode gospodynie.

— O nas tu nie idzie — rzekł Paweł Landowski — bo my łatwo się wylegitymujemy, jako jeszcze nie skompromitowani; ale co z tobąby się stało? Jedyny ratunek: uciekaj do ogrodu, a stamtąd przez parkan, do którego na wszelki wypadek przystawiona drabina, dostaniesz się do ogrodu drugiego i tam już można cię będzie ukryć.

— Uciekaj Pan, uciekaj! — zawołały przerażone kobiety — Ach, co za nieszczęście! Boże mój, chroń się Pan do ogrodu — i pociągnęły mnie na balkon, skąd miałem do ogrodu skakać.

Balkon był niebardzo wysoko nad ziemią wyniesiony.

— Zgadzam się na wszystko — rzekłem, starając o ile możności pokazać się spokojnym — lecz zobaczcie wpierw Państwo przez okno, czy rzeczywiście dom otoczony.

— Tylko co stamtąd wracam — rzekł syn gospodarza — Wojsko i policya przed bramą i stróż za chwilę musi im otworzyć; niema więc czasu do stracenia.

Nie namyślając się zatem już dłużej, skoczyłem z balkonu na ogród, upadłszy na jakieś krzaki róż kolących, a za mną wkrótce przybiegł Paweł Landowski z p. E., synem gospodarza, niosąc rewolwery, gdyż mieliśmy się w razie potrzeby siłą bronić. Schwyciwszy rewolwer, pobiegłem w jak najgęstszą stronę ogrodu, gdzie wiedziałem, że jest ukryta drabina. Na moje szczęście księżyc ukryty został przez chmury, więcej przeto miałem pewności ujścia w ciemności śledczego oka policyi. Wszedłszy na kilka szczebli drabiny, oczekiwałem z odwiedzionym rewolwerem na dalsze wypadki. Landowski z E. po-

[1] Dwa ustępy o magnetyzmie (w rękopisie str. 396—397 i 399—400) opuszczamy. *(P. w.)*.

biegli ku podwórzowi dowiedzieć się, czego właściwie szuka policya. Kilka minut upłynęło w gorączkowem i nader przykrem dla mnie oczekiwaniu. Słyszałem ciężkie otwieranie bramy, szczęk pałaszy i karabinów, brzęczących o podwórzowe bruki. Jeszcze chwila — myślałem — i wejdą do ogrodu, a wtedy czyż zdołam uciec, niepostrzeżony? Przyciskałem silnie broń do siebie, czując, że to może już jedyne moje ocalenie, a przynajmniej nadzieja ocalenia. Zaszeleściało coś między liśćmi i ujrzałem czarny cień jakiejś osoby, zwolna przesuwający się ku mej stronie. Posunąłem się o parę szczebli wyżej, trzymając w pogotowiu rewolwer. Na szczęście był to Landowski, wracający z radosną nowiną, iż policya już się oddaliła. Pokazało się, że to poprostu ktoś idący bez latarni i uciekając przed goniącą go policyą, wpadł do domu i bramę zatrzasnął; a ponieważ stróż z naszego polecenia długo nie otwierał, kilka więc patrolów się zeszło. Cała więc tak groźna z początku awantura na niczem się skończyła. Upewniwszy się, że niebezpieczeństwo minęło, powróciłem do salonu.

Wyjąwszy tych wieczorów przyjemnie spędzanych, cały prawie dzień spędzałem na rozprawach z członkami opozycyi, które już do niczego doprowadzić nas nie mogły. Wszelkie ich propozycye dla uczynienia nowego zamachu uznałem za niewłaściwe i szkodliwe sprawie, zwłaszcza że nowy Rząd Narodowy starał się, z początku przynajmniej, bardzo energicznie prowadzić sprawę powstania. Co do Mierosławskiego, to Chmurzyński oświadczył mi, że Rząd pragnie jemu powierzyć organizacyę wszystkich sił zbrojnych Polski, poza zaborem Rosyi powstającej, z tytułem organizatora jeneralnego.

Skończywszy prawie już swe interesa, pozostałem tylko w Warszawie jedynie na żądanie Lempkego i kilku zapamiętałych opozycyonistów, którzy ciągle czegoś się spodziewali, a Lempke znów pragnął mnie do owego projektowanego sądu nad Rządem wprowadzić jako prezesa. Wiedziałem dobrze, iż ze wszystkich tych projektów żadnego nie będzie rezultatu, ale ulegałem życzeniom, aby nie ściągnąć na siebie nazwy obojętnego dla sprawy.

Korzystając z chwil wolnych, postanowiłem nareszcie uskutecznić najgorętsze osobiste moje pragnienia, t. j., zobaczenia się z Karolcią i usłyszenia z ust jej kilku słów nadziei i miłości,

zwłaszcza że ów narzucony jej narzeczony zginął śmiercią walecznych na czele swego oddziału. Od pierwszej chwili przyjazdu co dzień prawie układałem plan tych odwiedzin, lecz ciagle będąc nachodzony przez różnych konspiratorów, nie mogłem im wymknąć się dla udania się tam, gdzie mnie serce ciągnęło. Prosiłem brata, aby zapytać się, czy będą w domu w dzień naznaczony; lecz ponieważ ich nie zastał, musiałem więc znowu odłożyć nazajutrz moją wizytę. Przyjechawszy nareszcie do uprzedzonych już pań o mej bytności, wielce zostałem zdziwiony, gdy mi lokaj oświadczył, iż w domu ich niema, lecz dodał zaraz po namyśle, iż panie kazały mu natychmiast dać znać, jeżeli przyjdzie młody pan blondyn, którego się dzisiaj spodziewają.

— Więc ja nie wiem — nie dokończając i spoglądając na me włosy, na ciemnozielony kolor pomalowane.

— To na mnie czekają panie — odrzekłem, upewniając go — proszę zatem uwadomić panie i oświadczyć, iż ja poczekam tak długo na nie, jak rozkażą.

Wszedłszy do tak dobrze mi znajomego salonu, rzuciłem oczy na otaczające mnie przedmioty, do których przywiązywały się słodkie wspomnienia rozkosznych chwil, z moją Karolcią spędzonych. Usiadłem na kanapce przy stoliku, na którym leżała niedokończona jakaś jej robótka i puściłem wolny bieg myślom o chwilach minionych. Głos dzwonka wyrwał mnie z mych marzeń i za chwilę ujrzałem Karolcię wraz z matką, które z początku ze zdziwieniem na mnie spojrzały, gdyż tak byłem zmieniony przefarbowaniem włosów, wąsów i brody, że kilka sekund były w niepewności, czy to mnie rzeczywiście widzą przed sobą.

— Ach, jak pan Władysław odmienił się! — zawołała Karolcia, podając mi rękę.

— Rzeczywiście trudno pana rozpoznać — dodała matka.

— Staram się, o ile można, oszukać oczy policyi — rzekłem, siadając.

Rozpoczęła się ogólna rozmowa o ówczesnych wypadkach, o nadziejach na przyszłość. Wypytywały się o moje osobiste losy i t. p. Ciągła obecność matki nie dawała mi sposobności szepnąć kilka zapytań Karolci o rzeczach, które mnie najbardziej obchodziły. Pragnąłem choć w jej oczach wyczytać, czy

jeszcze zostało tam uczucie, które wiecznie dla mnie gorzeć miało. Karolcia była jak gdyby troszkę zmieszaną, ale zarazem szczęśliwą z mego widzenia. Oczy jej jednak nie mówiły tego, o co pytałem, a przynajmniej odpowiadały w małej tylko cząsteczce moim pragnieniom. Nie mogłem się tak rozejść, i to rozejść na długo, może na zawsze, nie usłyszawszy od niej jakiegoś serdeczniejszego słowa, jakiegoś zapewnienia, jakiejś nadziei, któraby mi rozświecała pochmurne dni dalszego życia. Ułożyłem sobie przeto, aby zostać w ich domu niby wypadkiem aż do jutra, coby naturalnie dało mi sposobność bliższego rozmówienia się z Karolcią. Powód do zostania bardzo łatwo było [znaleźć] w owych czasach, gdzie już po jedenastej w nocy nie wolno było pokazywać się na ulicach, chodziło tylko o zręczne wynalezienie pozoru, któryby zdawał się być naturalnym. Postanowiłem, nie namyślając się długo, szepnąć Landowskiemu, który po mnie miał przyjechać, aby pod jakimkolwiek pozorem wyszedł jeszcze na chwilkę i już nie wracał, co łatwo usprawiedliwi nazajutrz nadzwyczajnemi zajęciami, lub rewizyą policyjną czy czemś podobnem, czego wówczas nie trzeba było z latarnią szukać. Jak sobie ułożyłem, tak i wykonałem. Przybyłemu Landowskiemu Pawłowi szepnąłem nieznacznie:

— Wyjdź i nie wracaj, aż jutro — i *nolens volens* zostałem zaproszony na nocleg.

Oczekiwana chwila bliższej z Karolcią rozmowy nadeszła. Korzystając z wyjścia pani domu, zbliżyłem się do Karolci i wziąwszy ją za ręce, wyrzekłem:

— Ty już nie jesteś taką dla mnie, jaką byłaś dawniej!

Ona spojrzała się na mnie jakiemiś trwożnemi oczami i przerywając mi mowę, zawołała:

— Nie, ja nie zmieniłam się, panie Władysławie.

— Jak to, więc mnie już »panem Władysławem« nazywasz? — szepnąłem smutnie.

Ona, spuściwszy oczy, rzekła zmieszana:

— Mój Władku, mogą nas słyszeć. Ja lękam się, ale ja kocham, kocham cię — powtórzyła głośniej; ale te słowa takim były obojętnym wypowiedziane głosem, tak nic tam nie było czuć serca, że westchnąwszy boleśnie, puściłem jej ręce, które do piersi przyciskałem, mówiąc:

— Och! Tyś już nie moją!

— Co mówisz, co mówisz! — zawołała, żywo patrząc w me oczy, w których coś błyszczało, może litość — jam zawsze twoja — i objęła mnie swemi rękami, przyciskając swą głowę do moich piersi.

Ale ten powrót uczucia czy żalu chwilę trwał tylko. Zaledwie bowiem ustami jej włosów i czoła dotknąłem, kiedy znów odsunęła się odemnie, podając mi jednak obie swe ręce i szepcząc:

— Ty lepszy jesteś odemnie, bo serce moje dziwne jest, och, dziwne i nieszczęśliwe.

— Czyż nieszczęśliwsze od mego, Karolciu?

Ona milczała przez chwilę i nagle wpół z płaczem, bo łzy słychać było w głosie i w oczach one błyszczały, szepnęła:

— Ty nieszczęśliwy będziesz, Władku, boś mnie pokochał. I on mnie kochał — i zginął.

— Lecz ty przecież nie kochałaś człowieka, którego ci narzucili?

— Tak, nie kochałam, a jednak jaki on był szlachetny, poświęcający się i jak on prawdziwie mnie kochał! — rzekła, zakrywając oczy, łez pełne.

— A ja, ja czyż mniej ciebie kocham? — i odstąpiłem od niej, czekając, co mi odpowie, bo nie mogłem, a raczej nie chciałem zrozumieć, iż dla mnie już serce jej gasnąć zaczęło.

Nie mogłem dosłyszeć jej odpowiedzi, bo wejście matki rozmowę naszą urwało. Do samego rozejścia się na noc, nie mogliśmy już z sobą ni słówka przemówić. Kiedy odchodziłem do wyznaczonego pokoju, zaledwie tylko ukradkiem jej rękę pocałowałem w nadziei, że jeszcze się zobaczymy.

Zostawszy się sam jeden w dobrze mi znanym apartamencie, sądziłem, że tak, jak dawniej, i Karolcia przybiegnie na kilka minut do salonu, aby mi kilka słów pocieszających powiedzieć. Ale napróżno; otworzywszy lekko drzwi salonu, oczekiwałem długo, pogrążony w dumaniach nad tem, co od niej słyszałem i co mi w duszy głos wewnętrzny mówił, ale oczekiwałem napróżno. Nikt nie przychodził prócz smutnych myśli, gwałtem wściskających się do duszy. Nazajutrz po prawie bezsennej nocy, spotkaliśmy się znowu sami. Ale nie chciałem wczorajszej rozpoczynać rozmowy; zapytałem jej tylko, starając się być nie bardzo wzruszonym, czy losy pozwolą nam

się jeszcze zobaczyć i czy ona będzie jeszcze choć trochę o mnie pamiętać.

— Nigdy o Tobie nie zapomnę, mój Władku — odrzekła i zaczęła, choć zimno i nie podawnemu, zapewniać mnie o swojem uczuciu.

Chciałbym wierzyć w jej słowa, ale głos prawdy wewnętrznej co innego mi mówił. Czułem, że jest straconą dla mnie, a przynajmniej, iż tylko nadzwyczajne jakieś wypadki mogą nas połączyć. Lecz nadzieja zawsze jeszcze, choć mimo mej woli, unosiła się nademną.

Nadjechał nareszcie i Landowski. Chwila pożegnania nadeszła. Korzystając z paru minut, jakie nam matka jakby umyślnie zostawiła, przystąpiłem do Karolci i biorąc ją za ręce, rzekłem:

— Żegnam cię, moja droga; nie wiem, czy kiedy zobaczymy się znowu. Pamiętaj choć trochę o człowieku, który cię tak bardzo kochał.

— Nie zapomnę, nie zapomnę Cię nigdy — szepnęła, spuszczając troszkę załzawione oczy — my zobaczymy się jeszcze, żegnam cię — i podała mi swe ręce.

— Tak to mnie żegnasz, a żegnasz może na zawsze? — wyrzekłem, patrząc się w jej oczy.

Zmięszana tem przypomnieniem, które mimowolnie z ust mi się zerwało, zarumieniła się lekko, nachylając twarz swoją do mego pocałunku, i wzięła mnie za ręce, ściskając je w swych dłoniach.

Złożywszy na jej twarzy ten przypomniany całus ostatni, wybiegłem ze ściśnionem sercem z tego domu, gdzie już prawdopodobnie nigdy później noga moja nie miała postać. Jadąc z Landowskim, przebiegałem w myśli całą historyę mej miłości, porównywając to ostatnie oziębłe jej pożegnanie z pierwszem wyznaniem miłości, z jej przysięgami, z jej czułością i z całem szczęściem minionem.

Parę jeszcze dni pozostałem w Warszawie, i to tylko na gwałtowne żądanie kilku zapaleńszych opozycyonistów, mianowicie Kokosińskiego, chociaż już żadnego nie widziałem powodu.

XXVII.

Wyjazd z Warszawy. — Szukanie Janczewskiego w Niemczech. — Stan powstania w tym czasie. — Wyjazd do Liège. — Mierosławski Jeneralnym organizatorem za granicą. — Jego dymisya. — Koniec roku 1863. Upadające powstanie. — »Towarzystwo patryotów« w Dreźnie. — Uwięzienie w Wrocławiu.

Pożegnałem nareszcie Warszawę, udając się do Torunia, gdzie mnie na kilkanaście godzin wyprzedził Janczewski, któremu nowy Rząd na prośbę Lempkego powierzył 500,000 złp. na zakup broni. Miałem w Toruniu spotkać się z Janczewskim i wręczyć mu nominacyę i niektóre papiery rządowe, które jeszcze przy jego wyjeździe nie były gotowe. Włożywszy czapkę konduktorską, aby łatwiej uniknąć oka policyi, wsiadłem wraz z maszynistą na lokomotywę, służącą za eklerera idącemu za nią pociągowi z wojskiem, ruszyłem w drogę wraz z dwoma karaulnymi, których dla bezpieczeństwa naszego dodali. Znajomi, którzy mnie odprowadzali, musieli wielce być zdziwieni, że ja z taką wojenną eskortą w oczach policyi, mającej moje rysopisy, wyjeżdżam najspokojniej z Warszawy. Na drugiej czy trzeciej stacyi przesiadłem się z maszyny do wagonu 2-iej klasy, nie zrzucając naturalnie swej mundurowej czapki, która była najlepszą dla mnie obroną przed strażą policyjną. Zaledwie zdołałem usadowić się na swem nowem miejscu i rozejrzeć przelotnie w mem towarzystwie, gdy jedna z pań, młoda i dość przystojna, w białym negliżowym czepeczku na głowie, rozpoczęła ze mną nader dziwną rozmowę, zarzucając mnie tysiącem zapytań:

— Skąd Pan jedziesz? Jak długo będziesz w podróży? i t. p. — a w końcu nagle, nim zdołałem jej na wszystko odpowiedzieć, zawołała, patrząc mi bystro w oczy:

— Jakie jest Pana nazwisko?

Tak mnie zadziwiło to nagłe jej zapytanie, na które wcale nie byłem przygotowany, zwłaszcza iż nie wiedziałem, jakie tu nazwisko wymyśleć naprędce, że chwilkę nic jej na to nie odpowiedziałem.

— Ach, Pan widzę zapomniał, jak się nazywa! — zawołała moja nieznajoma, śmiejąc się ironicznie — To bywa czasem, bywa. A znasz Pan mego męża? O, patrz Pan: to jego fotografia — i podała mi wyjętą z kieszeni fotografię. — Prawda, że ładny człowiek? Kocha mnie bardzo i ja go kocham, tylko pobiliśmy się wczoraj, t. j., on mnie w twarz uderzył, ale to intryga.

Tutaj już zdziwienie moje wzrosło do najwyższego stopnia, spojrzałem po obecnych słuchaczach tej rozmowy i dopiero zobaczyłem jakiegoś w podeszłym wieku, jak się pokazało, jej ojca, pokazującego mi znakami, iż ta nieszczęśliwa kobieta ma pomieszanie zmysłów. Odwożono ją za granicę do domu obłąkanych. Biedny ojciec w ciągłych był kłopotach przy przewożeniu tej nieszczęśliwej, która w ciągłym ruchu i rozmowach całą tę drogę przepędziła.

Przybywszy do Torunia i dowiedziawszy się, iż Janczewski wyjechał do Bydgoszczy, natychmiast tymże samym pociągiem pojechałem do Bydgoszczy. Nad moje jednak spodziewanie i w Bydgoszczy nie zastałem go, gdyż wyjechał przed kilku godzinami do Berlina, gdzie miał na mnie oczekiwać w hotelu de Rome. Nazajutrz rannym pociągiem wyjechałem z Bydgoszczy i stanąłem nad wieczorem w Berlinie. Przyjechawszy do Hotel de Rome, kazałem się zaraz prowadzić do numeru Janczewskiego, ale usłyszałem ze zdziwieniem, iż przed kilku godzinami wyjechał, a gdzie wyjechał, nie wiadomo; przypuszczano jednak w hotelu, że do Kolonii. »Zapewne za parę dni wróci — pomyślałem — bo inaczej zostawiłby do mnie list z zawiadomieniem, gdzie się mamy spotkać«. Czekałem jednak tydzień cały napróżno: ani jego, ani listu, chociaż codzień zapytywałem szwajcara o listy. Telegrafowałem do Bydgoszczy, czy tam nie przyjechał; ale odpowiedzieli mi, że go tam niema. Zły i niespokojny, przechadzałem się po ulicach Berlina, nie wiedząc, co myśleć o takiem postępowaniu Janczewskiego względem mnie, zwłaszcza że był zawsze oddanym mi przyjacielem i że ja miałem przy sobie potrzebne jemu papiery.

Drugi już tydzień upływał mi na ciągłem oczekiwaniu; pieniędzy zaczęło brakować, bo w hotelu drogo się płaci, a jego jak niema, tak niema. Widząc, że już się go w Berlinie nie doczekam i że im dłużej tu będę bawił, tem trudniej mi będzie wyjechać, bo kasa moja w bardzo opłakanym była stanie, wyjechałem z 4-ma czy 5-ma talarami do Bydgoszczy, gdzie mając jednego z dalekich krewnych, mogłem przynajmniej liczyć na pożyczkę pieniędzy i nie być w obawie pozostania na bruku. Przed wyjazdem napisałem list do Janczewskiego i zostawiłem go w hotelu na wypadek, jeżeliby on do Berlina powrócił.

Przybywszy do Bydgoszczy, napisałem natychmiast jeden list do Warszawy, a drugi do Krakowa z wiadomością, iż Janczewskiego nie zastałem w Berlinie i nie wiem nawet, gdzie on się w tej chwili obraca. Parę tygodni przepędziłem w Bydgoszczy w oczekiwaniu na jakąkolwiek wieść od zaginionego Janczewskiego. Gdyby nie mój kuzyn, za pośrednictwem którego pożyczyłem kilkadziesiąt talarów, to w naderbym krytycznem znalazł się położeniu, bez grosza w obcem mieście.

Otrzymałem nareszcie z Krakowa czy Warszawy wiadomość, iż Janczewskiego spodziewają się we Wrocławiu. Pojechałem przeto natychmiast i wedle wskazanego adresu udałem się do hotelu »zum Weissen Adler«. Pierwszą osobą, jaką tam spotkałem, był ów oczekiwany Janczewski. Po wielu przywitaniach i napaściach dowiedziałem się od niego, iż on wyjeżdżając z Berlina, zostawił u szwajcara list do mnie pod adresem Kajtego, gdyż taki paszport miano mi w Warszawie wydać; a ponieważ ja podróżowałem pod paszportem Lipowskiego, gdyż paszport Kajtego okazał się niebardzo bezpieczny, a zatem szwajcar nic mi o liście nie wspominał, sądząc bardzo naturalnie, że on nie do mnie pisany. Później z Kolonii, widząc, iż ja nie przyjeżdżam, i w obawie, czy czasem list mnie jego nie doszedł, wysłał jakiegoś starozakonnego Polaka do Berlina do tegoż samego hotelu »de Rome«, aby ze mną się skomunikował. Wysłaniec ten przesiedział trzy dni pod jednym ze mną dachem, ze mną się jednak nie widział, gdyż obawiał się zwrócić na siebie oko policyi, ponieważ był skompromitowany w sprawie kontrabandowej; przesiedziawszy więc 3 dni w numerze, wrócił z niczem do Kolonii.

Tłómaczenie to Janczewskiego wytłómaczyło go choć

w części w mych oczach. We Wrocławiu, aby nie płacić drogo w hotelu, nająłem sobie prywatne mieszkanie, zameldowawszy się jako Lipowski, i oczekiwałem tam na przyjazd pełnomocnika Rządu, który miał Mierosławskiemu ową nominacyę na Organizatora jeneralnego przywieźć. Janczewski tymczasem z Żórawskim zajmowali się zakupką i transportem broni.

W kilka tygodni po mym przyjeździe do Wrocławia otrzymałem list o ucieczce Kurzyny ze Lwowa i o wyjeździe komisarza Rządu do Mierosławskiego. Wyjechałem przeto do Liège, gdzie się Mierosławski znajdował, aby dowiedzieć się, jakie są jego nadal zamiary i o ile ja mogę być jemu pomocny.

Powstanie tymczasem coraz to bardziej słabło i słabło, ograniczając się li tylko obrębem Królestwa Kongresowego i częścią Litwy. Przejawy ruchu na Wołyniu, Podolu i Ukrainie w pierwszym zaraz początku zostały sparaliżowane i nie podniosły się więcej. W Kaliskiem Taczanowski, rozbiwszy oddział ochotników kozackich z Graabem na czele [1], sam wkrótce został rozproszony, niwecząc pułk kawaleryi, z takim trudem i kosztem zebrany. W Lubelskiem Kruk dobrze się jeszcze trzymał; w Krakowskiem Bosak, a szczególniej Chmieleński dzielnie prowadzili wojnę partyzancką. Wszystko to jednak mało już rodziło nadziei na szczęśliwy koniec naszego powstania, pomoc zaś obca, jakiej spodziewaliśmy się z początku, teraz była już straconą i niemożebną nawet w umysłach optymistów naszych. Walczono jeszcze dla honoru narodowego i dla jakichś wypadkowych okoliczności, lecz w głębi smutek zalegał duszę prawdziwych patryotów.

Przybywszy do Liège, zastałem nad moje spodziewanie Mierosławskiego w niewiadomości, a raczej w niepewności co do swojej nominacyi, komisarz bowiem jeszcze nie przybył. Upewniłem jenerała Mierosławskiego, iż lada chwila przybędzie, co się też i rzeczywiście w kilka dni sprawdziło. Józef Grabowski (jeżeli mnie pamięć nie myli), naznaczony komisarzem

---

[1] Autora widocznie pamięć zawiodła. Taczanowski nie »rozbił oddziału ochotników kozackich« (uczynił to 5 maja 1863 Czachowski w lesie pod Jeziorkami), lecz wyparł majora Nelidowa z kolumną, 500 ludzi liczącą, pod Nową Wsią do Prus (26 kwietnia 1863). Por. Przyborowski, Hist. 1863 r. IV, 119 i 147. *(P. w.)*.

nadzwyczajnym Rządu Narodowego za granicą, przywiózł tak dawno oczekiwaną nominacyę Mierosławskiemu na Jeneralnego organizatora sił zbrojnych poza granicami kraju. Otrzymawszy nominacyę i uznawszy Rząd Narodowy jako władzę krajową, Mierosławski napisał zaraz projekt organizacyi, poddając go zatwierdzeniu Rządu, i zajął się wraz z komisyą broni, na czele której stał Guttry Aleksander (poseł sejmu berlińskiego), uzbrajaniem przyszłej swej wyprawy wojennej. Naturalnie, że wozy wojenne, owa *idée fixe* Mierosławskiego, na pierwszym stanęły planie. Przyznać jednak należy, że plan jego, urządzający nadgraniczne organizacye, był wcale dobrze obmyślany. Zamiast jednak na miejsca głównych organizatorów popostawiać ludzi pewnych sobie, t. j., jednakowych z nim przekonań, którzyby święcie wypełniali jego rozporządzenia, on przeciwnie ponaznaczał ludzi, choć może i dość odpowiednich swemu przyszłemu stanowisku, lecz wcale mu nieprzychylnych i czekających tylko sposobnej chwili, aby roboty na swoją rękę prowadzić. Tak się też i stało; gdy wkrótce rozeszła się fałszywa jeszcze z początku wieść o zmianie Rządu i dymisyi Mierosławskiego, nowokreowani organizatorowie odstąpili z radością swego naczelnika, a właściwie nigdy go nawet za naczelnika nie uważali. W Poznańskiem nie chcieli wierzyć w jego nominacyę i żadnych rozporządzeń od Mierosławskiego nie przyjmowali.

Wkrótce w Liège rozeszły się głuche wieści o zmianie Rządu na rewolucyjniejszy, do którego mieli wejść stronnicy Mierosławskiego. Jakoż przybyły z Warszawy Ignacy Chmieleński opowiedział nam o uczynionym zamachu na Rząd (do którego i on czynnie należał), skutkiem czego do Rządu Narodowego weszli prócz niego jeszcze: Asnyk, Kobylański, Majewski, Kurzyna i Traugut[1], tych dwóch ostatnich nie było jeszcze w Warszawie w czasie wyjazdu Chmieleńskiego, lecz się ich co chwila spodziewano. Naturalnie, że zmiana taka bardzo była na rękę Mierosławskiemu, zwłaszcza że i ks. Czartoryski,

[1] Skład wrześniowego Rządu narodowego, podany tu przez autora, nie zgadza się z podaniem A. Gillera (Historya powstania narodu pol. I, 225) ani Limanowskiego (Hist. powst. nar. pol. II, 183 przypisek) i jest z powodu zestawienia Kobylańskiego i Majewskiego z Chmieleńskim i Asnykiem mało prawdopodobny. (*P. w.*).

komisarz dyplomatyczny, miał być zamieniony przez hr. Potockiego (obywatela Galicyi).

Zaledwie jednak Chmieleński wyjechał z Liège, kiedy w ślad prawie za nim przybył nowy kuryer z Warszawy z dymisyą dla Chmieleńskiego i zawezwaniem go do złożenia rachunku z pieniędzy, przez Rząd mu udzielonych. Na zapytanie nasze, coby to miało się znaczyć, usłyszeliśmy, iż w kilka dni po wyjeździe Chmieleńskiego, gdy przybył Traugut i rozpatrzył się w całym stanie rzeczy i składzie Rządu, porozumiał się z K. Majewskim celem utworzenia nowego składu Rządu, odpowiedniejszego obecnemu stanowisku kraju. Na posiedzeniu przeto Rządu Traugut w pięknej przemowie zażądał, odwołując się do patryotyzmu, poświęcenia swych osobistości na ofiarę sprawie krajowej, ustępując miejsc swoich innym, zdolniejszym od siebie ludziom. Ówcześni członkowie Rządu, czy przypuszczając, że opór byłby niemożebny, czy z innych jakich powodów, dość że po niedługiem wahaniu zgodzili się ustąpić, zastrzegając jednakże, aby J. Kurzyna (który co godzina był spodziewany) za swym przyjazdem do Warszawy wezwany został do grona Rządu Narodowego. Tak więc nowy zamach był spełniony.

Niedługo potrzebowaliśmy czekać na wiadomości, jak się ten Rząd Narodowy względem jen. Mierosławskiego ma zamiar postawić. W kilka dni po przyjeździe kuryera przysłano dymisyę Mierosławskiemu z zastrzeżeniem, iż Rząd Narodowy w swoim czasie w razie potrzeby powoła go do pracy narodowej. Niepodobna wyobrazić sobie gniewu, dochodzącego prawie do wściekłości, z jakim jen. Mierosławski wybuchnął po przeczytaniu tej dymisyi. Krzyki i wymyślania posypały się gradem na Rząd Narodowy; cały Rząd Narodowy w jego mniemaniu był zbiorowiskiem zdrajców i idyotów. Po chwili jednak, opamiętawszy się, powziął nową myśl, a mianowicie, iż dymisya jest sfałszowana i podrobiona. Raz się tego już uczepiwszy, ciągle o tem rozgłaszał, a nawet rozlitografowawszy, rozesłał okólniki w różne miejsca, uwiadamiające w jadowitych wyrazach o tej sfałszowanej dymisyi. Napróżno były wszelkie przekonywania ze strony Guttrego i mojej, iż niestety żadnego tu podrobienia niema, a tylko nowy Rząd Narodowy przysłał jak najformalniejszą dymisyę. Nic to nie pomagało, gdyż przekonany nawet powtórnemi zapewnieniami z Warszawy o dymi-

syi, oświadczył, iż jeżeli Rząd Narodowy przysłał mu dymisyę, to on jej nie przyznaje, bo i Rządu Narodowego nie przyznaje. Na to nie było już żadnej rady, gdyż perswazye nie przekonywały. Na wszelkie dowody jen. Mierosławski jedną dawał odpowiedź, iż Rząd Narodowy dymisyi jemu, jen. Mierosławskiemu, dać nie miał prawa, a zatem nie dał. Nominacyę mógł dawać, lecz dymisyi nigdy.

Cały kilkotygodniowy czas, jaki tam jeszcze spędziłem, zeszedł mi na słuchaniu wyrzekań Mierosławskiego na zdradę i nikczemność Rządu, który jego, takiego znakomitego człowieka, śmie nie słuchać i jeszcze poważa się jakieś tam dymisye przysyłać. Z ogromną przykrością patrzałem na tego niegdyś tak wysoko cenionego przezemnie człowieka, który swem postępowaniem, swą zarozumiałością i ambicyą wpadał w jakąś pełną bezsensów nietaktyczność, obrywając listek po liściu z ostatniej jeszcze ufności, jaka mi do jego zdolności została. A co najbardziej mnie w nim teraz uderzyło, to owo uganianie się za naczelnikowaniem, owo lekceważenie i zjadliwe, pełne nieraz fałszu i kłamstwa sądy o ludziach mu nieprzychylnych, dochodzące do ostatecznych krańców. Pragnąłem jak najprędzej Liège opuścić, gdzie prawie bezczynnie czas przepędzałem, słuchając tylko cynicznych wyrzekań Mierosławskiego i jego planów, które niby już, już miał wykonać (jak między innemi wylądowanie na brzegi Żmudzkie pod zasłoną floty duńskiej, mającej blokować porty Bałtyckiego morza) i tylko Rząd Narodowy ową dymisyą wszystkiemu koniec położył. Zapewne, mówiąc bez uprzedzenia, nie należało bez ważnych powodów odsuwać go od rozpoczętych prac narodowych, aż po dowodnem okazaniu jego niezdolności i mógł tu niejako czuć się skrzywdzonym Mierosławski. Ale też największa nawet krzywda nie powinna była pobudzać go do tak nizkich i zjadliwych oszczerstw, do jakich on się posuwał. Coraz to rzadziej starałem się widywać z jenerałem, aby nie drażnić siebie tem niegodnem tak głośnego patryoty postępowaniem.

Oczekując listu od Kurzyny, który po powrocie z Warszawy bawił parę dni w Liège i poróżniwszy się z Mierosławskim, a raczej zobaczywszy, iż jak sam to mówił, nic już z nim zrobić nie można, wyjechał do Drezna, siedziałem w Liège

z niecierpliwością, wyczytując w gazetach szczegóły o naszem chylącem się do upadku powstaniu.

Tylko wielcy optymiści, lub ludzie zaślepieni gorączkowym patryotyzmem mogli w owym czasie, t. j., w końcu 1863 roku spodziewać się szczęśliwego rezultatu konającej już walki narodowej. W Litwie jeden czy dwa oddziały tułały się, unikając spotkania z nieprzyjacielem; wycieńczone na siłach i prawie bezbronne, żadnego już oporu stawić nie mogły. Na Wołyniu, Podolu i Ukrainie wszystko już było stłumione. W jednem tylko Królestwie Kongresowem, mianowicie po lewym brzegu Wisły trzymały się jeszcze oddziały Bosaka, Topora i niezmordowanego partyzanta Chmieleńskiego. W lubelskiem województwie po szczęśliwej dla nas bitwie pod Żyżynem, gdzie cały oddział wojska rosyjskiego został prawie ze szczętem zniesiony przez jen. Kruka (Heidenreicha), nastąpiła smutna klęska pod Fajsławicami, po której już w tamtych stronach powstanie podnieść się nie mogło. Pomocy zaś obcej, interwencyi mocarstw na korzyść Polski, nie podobna było się spodziewać [1].

Wszyscy z gorętszch patryotów, co jeszcze niezupełnie zwątpili o sprawie narodowej, zaczęli przyłączać się do naszego stowarzyszenia. W naszych, choć słabych, nadziejach główną rolę grała myśl podniesienia pospolitego ruszenia klasy wieśniaczej, coby w razie udania walkę na nowo rozpoczęło. W kilka tygodni po mojem przybyciu do Drezna przyjechało dwóch deputowanych od nowoutworzonych klubów patryotycznych w Warszawie, z żądaniem, abyśmy wysłali jednego z pomiędzy siebie jako delegowanego dla porozumienia się ostatecznego z patryotami Warszawy. Delegowany ten

[1] W tem miejscu, mimo że w rękopisie po str. 414 następuje str. 415, został jakiś ustęp już po napisaniu usunięty i zniszczony. Dowodzi tego naprzód zagadkowe wyrażenie »do naszego stowarzyszenia«, o którem dotąd jeszcze wzmianki nie było, a nadto stan samegoż rękopisu, w którym zamiast całych arkuszy, jak to zwykle bywa, wszyte są trzy oddzielne karty 415—416, 417—418 i 419—420; resztki wyciętych dwóch kart zapisanych, które z kartami 415—416 i 417—418 stanowiły pierwotnie całość, są jeszcze widoczne. W zniszczonym ustępie opowiadał autor o powstaniu »Związku patryotów polskich« w Dreźnie i ten to »Związek« ma na myśli, mówiąc o »naszem« stowarzyszeniu. Por. Przyborowski, Ostatnie chwile powstania styczniowego I, 321. (*P. w.*).

miał zostawać w Warszawie aż do zmiany Rządu i być niejako pełnomocnym komisarzem komitetu drezdeńskiego.

Wysłańcy warszawscy oświadczyli życzenie, abym ja do Warszawy przyjechał, obiecując mi wszelkie możliwe bezpieczeństwo i doskonałą kryjówkę na czas mego tam pobytu. Ponieważ nigdy nie usuwałem się od wszelkich, nawet niebezpiecznych zajęć w sprawie naszej, przeto zgodziłem się, jak tylko oni mnie swym listem z Warszawy zawiadomią, przybyć natychmiast.

Niedługo czekałem na listy, gdyż wkrótce po odjeździe warszawskich wysłańców otrzymał Kurzyna zawiadomienie, że wszystko gotowe do mego przyjęcia i za dni parę albo znów napiszą, albo wyszlą kogo ze swoich do Wrocławia, dla przeprowadzenia mnie do Warszawy.

Zaraz po otrzymaniu tych wiadomości, pożegnawszy się z Kurzyną i innymi znajomymi, wyjechałem z Drezna, a wieczorem tegoż dnia stanąłem we Wrocławiu. Zajechawszy do hotelu i dowiedziawszy się o adresie Janczewskiego, który przed paru dniami zmienił mieszkanie, pobiegłem do niego. Zastałem tam zgromadzoną całą prawie jego familię, gdyż był to dzień wilii Bożego Narodzenia. Stół był już zastawiony i zasiedliśmy wszyscy wokoło niego, przywodząc sobie na myśl szczęśliwy ten dzień w kraju, w gronie rodzin swych spędzany.

Nazajutrz najniespodziewaniej zobaczyłem się z panią Landowską, matką Pawła, która przybyła do Wrocławia w celu przyzwania za granicę swego syna, dowodzącego małym oddziałem, z żandarmeryi warszawskiej utworzonym. Usłyszawszy, że jestem w Wrocławiu, i wiedząc, jakie ścisłe stosunki łączyły nas z jej synem, prosiła mnie, abym ja zechciał do niego napisać, radząc mu, by choć na parę tygodni dla poprawy swego zdrowia do Wrocławia przyjechał. Nie mogłem jej, matce stroskanej o syna, odmówić tej przysługi i obiecałem za kilka dni pismo moje jej doręczyć, nie wiedząc, iż obietnicy tej nie będę w stanie uskutecznić.

Nad wieczorem Janczewski, otrzymawszy jakieś papiery i rozporządzenia od Rządu Narodowego do ks. Czartoryskiego, musiał wyjeżdżać do Paryża i prosił mnie, abym mu do Drezna towarzyszył dla porozumienia się z Kurzyną co do dalszych działań Janczewskiego, jeżeli ja do Warszawy wyjadę.

Wyjechaliśmy przeto do Drezna, gdzie dzień tylko jeden zabawiwszy i ułożywszy się ostatecznie z Kurzyną, rozstałem się z Janczewskim, udającym się do Paryża, a sam wróciłem do Wrocławia.

We Wrocławiu zastałem w wielkiej niespokojności pomocnika Janczewskiego, Żórawskiego, gdyż policya aresztowała jakiegoś Polaka i podobno dopytywała się o Janczewskiego. Proponował mi przeto Żórawski, abym nie nocował, jak miałem zamiar, w mieszkaniu Janczewskiego, lecz przeniósł się do jego mieszkania, które daleko miało być bezpieczniejsze. Uczyniłem to z ochotą, zwłaszcza że do Janczewskich przyjechał L. Królikowski, dyrektor żeglugi parowej z Warszawy a ich krewny; sądziłem przeto, że będę im mimo zaprosin robił subjekcyę mojem tam zamieszkaniem.

Przyszedłszy na dobrze mi znane mieszkanie Żórawskiego, gdyż tam dawniej parę miesięcy mieszkałem, usiadłem do pisania listów do ojca, do Landowskiego i jen. Mierosławskiego, aby spełnić obietnicę, jaką mu wyjeżdżając, uczyniłem, iż koniecznie list mu z opisem stanu powstania przyszlę. Wieczorem, kiedyśmy już spać się zabierali, przyszedł do nas Dutkiewicz, oficer artyleryi, który od miesiąca bawił już w Wrocławiu dla rewidowania wysyłanej do kraju broni. Zagadaliśmy się długo o różnych rzeczach, aż zmordowani rozmową, położyliśmy się na łóżka wraz z Dutkiewiczem, który u nas sądząc się bezpieczniejszym niż w hotelu, na noc pozostał.

Długo nie mogłem zasnąć, marząc o mej przyszłej podróży i niebezpieczeństwach, jakie mnie mogły spotkać w Warszawie. Późno już bardzo być musiało, kiedy znużony zamknąłem wpółsenne oczy. Sen miałem ciężki i napełniony najdziwaczniejszemi marami, co chwila się zmieniającemi. Nie wiem, jak długo spałem i jak długo pozostałbym jeszcze w tem gorączkowem uśpieniu, gdyby nie wyrwały mnie z niego jakieś zmięszane i niezrozumiałe głosy nad mojem łóżkiem, tuż koło mnie. Otworzyłem ciążące mi jeszcze powieki, lecz ujrzawszy jakieś w mundurach postacie, stojące koło mojego łóżka, zamknąłem oczy na nowo, sądząc, że widzenie dalej się jeszcze przeciąga. Postacie jednakże nie znikały i jedna z nich, ująwszy mnie za ramię, zaczęła dość niegrzecznie potrząsać, pragnąc rozbudzić zupełnie. Otworzyłem znów oczy i już jawnie teraz ujrzałem

komisarza w wojskowym pruskim mundurze i kilku policyantów, otaczających moje łoże.

— Co to jest? Co to się ma znaczyć? — zawołałem, siadając na łóżku i spoglądając pytająco na wpółubranych Dutkiewicza i Żórawskiego, którzy łamanym niemieckim językiem starali się przekonać stojącą przy nich policyę, iż niesłusznie i niewinnie chce ich aresztować.

Ja też ze swej strony, biorąc na pomoc wszystkie niemieckie wyrazy, jakie tylko umiałem, przedstawiałem komisarzowi, iż jestem austryacki poddany, Ritter von Lipowski, i że pod żadnym pozorem nie mają prawa mnie aresztować. Komisarz przeczytał mój paszport, zamyślił się trochę i odpowiedział, iż dyrektor policyi rzecz tę rozjaśni. Ujrzawszy później list zapieczętowany do mego ojca i rozpoczęte do Mierosławskiego i Landowskiego, zabrał je do swojej kieszeni, oświadczywszy, że je również dyrektorowi policyi zakomunikuje. Zacząłem ubierać się, rozmyślając nad niespodziewanem przebudzeniem i co z tego wyniknie. Byłem jednak pełen dobrej nadziei co do swojej osoby, że jako opatrzony prawnym i niepodrobionym paszportem austryackim, wizowanym w Berlinie, będę natychmiast przez dyrektora policyi z przeproszeniem za ambaras niesłuszny oswobodzony.

Ubrawszy się, gdyśmy już mieli wychodzić, otworzyły się drzwi i niejaki Kamiński, znajomy Dutkiewicza, nic nie wiedząc o naszych niespodziewanych gościach, wszedł do nas i tak się zmieszał, ujrzawszy, co się u nas dzieje, że zamiast cofnąć się do sieni, on zbliżył się do Dutkiewicza ze słowami:

— Przychodzę po instrukcye do Pana.

Ale Dutkiewiczowi nie do instrukcyi było wtenczas; popchnął go przeto ku drzwiom, szepcząc: »Uciekaj, uciekaj!« — lecz zanim on drzwi zdołał otworzyć, już go złapali policyanci, badając, co on za jeden. Ponieważ tłómaczenie jego nie było pewne, posłano przeto z nim policyanta do domu, gdzie mieszkał, dla zebrania szczegółów co do jego osobistości. Jak się dowiedzieliśmy później, umknął on policyantowi na drodze, lecz w parę dni znów go schwytano.

Kiedy nas zaprowadzono do policyi, gdzieśmy jakiś czas czekali na policmajstra, umówiliśmy się już o sposób tłómaczenia, aby nie plątać się w zeznaniach.

Zapomniałem jeszcze wspomnieć, że na piecu naszego pokoju znaleźli dużo rachunków hotelowych Żórawskiego, który wówczas stał pod nazwiskiem Seliga, a obecnie był Gordonem, co naturalnie sprawę jeszcze bardziej zamięszało.

Policmajster, czy tam dyrektor policyi nie dał długo na siebie oczekiwać. Pierwszem jego zapytaniem było o nasze nazwiska; a gdy ja z kolei przedstawiłem mu (w nietęgiej francusczyźnie) niesłuszność mej aresztacyi jako austryackiego poddanego, szanowny ów naczelnik policyi oświadczył, iż on tylko po niemiecku przyjmuje zapytania i wie dokładnie, iż ja doskonale mówię po niemiecku, tylko umyślnie z tem się ukrywam. Pokazuje się, że więcej wiedział odemnie o mych lingwistycznych zdolnościach; policya pruska przenika więcej, niż sama rzeczywistość. Po wyjściu dyrektora policyi zaczęto z nas spisywać protokóły: Kto jesteśmy? Co robimy? Poco w Wrocławiu siedzimy? i t. p., nic nam jednak nie zarzucając ani nie mówiąc, za co byliśmy aresztowani. Protokolista i inne niższe urzędniki również dowodzili mi, że ja doskonale umiem po niemiecku, tylko uparłem się udawać nieznajomość ich języka; tak mi zaczęli kotłować głowę i przekonywać, iż mówię po niemiecku, że o mało sam w to nie uwierzyłem, a nawet próbowałem rozpocząć w niemieckim języku debaty z władzą policyjną, lecz okazało się, że nawet upewnienia pruskich policyantów na nic się nie zdały. Po ukończeniu protokółów, obrewidowaniu, zabraniu pieniędzy, zegarków i pierścionków zaprowadzono nas do więzienia, zamknąwszy każdego w osobnej komórce. Pokoikiem bowiem nazwać nie można było celi, ze 4 lub 5 kroków długiej, a ze 2 łokcie szerokości mającej, oświeconej przez dwie szybki, do połowy zasłonięte deskami, gdy niższe szyby okienka były zabielone jakąś farbą. Umeblowanie składało się z łóżka a raczej z tapczanu i pieca; stołu i krzesła, jako zbytniej rozkoszy, nie posiadał ten więzienny apartament.

Rozpatrzywszy się dookoła (co mi nie długo czasu zabrało) mego nowego mieszkania, jakoś mi się ciężko na sercu zrobiło. »A co to będzie — pomyślałem — jeżeli dowiedzą się, kto jestem i odeszlą do Warszawy?« Na myśl tę zimno mnie przeszło i popatrzyłem z przykrością na żelazne kraty, oddzielające mnie od swobody, a może — może i od życia. Zacząłem

jednak odpędzać od siebie te posępne przypuszczenia, zwłaszcza że paszport, jaki miałem, zdawał się usuwać wszelkie podejrzenia co do mej osoby i że prawdopodobniej do Austryi, niż do Rosyi zostanę odesłany. Ale mimo jak najprawdopodobniejszych dowodzeń i kombinacyi myśl ta nieszczęsna uparcie do mej głowy powracała.

Usiadłem na łóżku, gdyż chodzić po tej komórce było dla braku miejsca niepodobieństwem. Rozpatrywałem się po białych ścianach, szukając jakich napisów dla zajęcia choć chwilowo uwagi; lecz ściany jak na złość świeżo były pobielane i czyste, jak moja kieszeń po rewizyi policyjnej. Wstawszy z łóżka, postąpiłem krok jeden, co mnie od drzwi, niestety, zamkniętych, oddzielał, przyłożyłem ucho do szparki zamkowej, czy czasem głosu jakiego nie usłyszę. Cichość panowała głucha, lecz nagle przerwały ją kroki drugiego więźnia, naprzeciw mnie umieszczonego. Czy to czasem nie który z towarzyszów wspólnego nieszczęścia? Zacząłem pukać we drzwi swoje. W odpowiedzi usłyszałem stłumiony, bo z za drugich aż drzwi wychodzący głos Żórawskiego:

— Czy to znajomy kto puka?

— Tak, tak; to ja, Gordonie!

— Ach, to pan Lipowski? — zawołał ucieszony Żórawski, dobywając jak najsilniejszego głosu.

Aby być słyszanymi, zaczęliśmy rozmawiać i ubolewać nad swemi nieszczęściami i czynić różne przypuszczenia co do przyszłego naszego losu. Dość już długo prowadziliśmy naszą rozmowę, nie zważając, iż dozorcy więzienia mogą nas podsłuchać, aż rozgniewany głos jakiegoś dyżurnego widać policyanta zmusił nas do milczenia; przybiegł wkrótce i dozorca z wymówkami, których na szczęście nie rozumiałem.

Pozbawiony jedynej rozrywki, jaką miałem w rozmowie z mym współwięźniem, zacząłem rozpatrywać się po niecekawych ścianach mej komórki i dumać o przyszłości, która w niebardzo różowych kolorach zaczęła przedemną występować. Co najmocniej mnie uderzało, to owa niepewność, jak długo mnie trzymać będą i co ze mną zrobią. Zaczynało się już ściemniać, przemyślałem i przerzuciłem w swej głowie wszystkie możliwe przypuszczenia: »Co to będzie dalej ze mną i czy nas do Warszawy wydadzą, czy puszczą wolno?«

Około 6-ej wieczorem zupełna już noc w mej więziennej celi nastała, a o świetle, choćby o lampce jakiej nic słychać nie było. Głód zaczął mi dokuczać, gdyż od rana nic w ustach nie miałem.

— Czy oni nas chcą głodem zamorzyć? — krzyknąłem, nie zważając na zakaz, do Żórawskiego.

— A to szelmy! Nic o nas nie pamiętają — odrzekł Żórawski.

Odgłos kroków po korytarzu wstrzymał naszą rozmowę. Za chwilę drzwi się otworzyły i jakiś policyant z latarką w jednem i tacą z imbryczkiem i butersznitem w drugiem ręku pokazał się na progu. »Ein Thee!« powiedział i postawiwszy tacę na łóżku, gdyż stołu nie było, wyszedł z latarnią, drzwi na klucz zamknąwszy i pozostawiwszy mnie w głębokiej ciemności. Zacząłem omackiem szukać przyniesionej herbaty i butersznita. Przyłożywszy usta do imbryczka i wypiwszy kilka łyków, nie mogłem z początku rozróżnić, co to za napój podano mi do picia, aż dopiero po długiem kosztowaniu rozpoznałem herbatę, z cynamonem, mlekiem i jeszcze jakiemiś korzeniami gotowaną; ale nie było to tak niesmaczne, zwłaszcza po całodziennym poście, wypiłem przeto z apetytem, zajadając butersznita. Żórawski, który widać był amatorem dobrej herbaty, nie mógł wytrzymać, aby nie krzyknąć mi ze swej celi kilka uwag nad barbarzyństwem Niemców w przygotowywaniu z cynamonem tak szlachetnego chińskiego napoju.

W pół godziny drzwi się otwarły i tenże sam policyant wszedł z latarką po tacę, a za nim jakiś posługacz przyniósł kilka cegiełek torfowych i zaczął w piecu je rozpalać. Ucieszyłem się, że chociaż na ogień torfowy będę się mógł patrzeć; ale nadzieja moja srodze została zawiedziona, bo drzwiczki od pieca zostały na klucz zamknięte. Pozostałem znów samotny, chwytając chciwem okiem kilka przez szczeliny w drzwiach wybłyskujących czerwonych płomieni. Noc, jak łatwo się domyśleć, miałem niespokojną i gorączkową; nie rozbierałem się wcale.

Nazajutrz rano oczekiwałem co chwila jakiego urzędnika, któryby nakoniec oświadczył mi, za co jestem aresztowany i co mi pruskie władze zarzucają. Ale czekałem napróżno. Cały dzień, długi jak lata, przeszedł tylko w oczekiwaniu. Zniecier-

pliwiony, krzyczałem do Żórawskiego, czy u niego kto nie był, czy go o co nie pytano; ale i z nim tejże samej trzymali się procedury. Przyniesiono mi *nota bene* za moje pieniądze obiad, później wieczorem herbatę i to całą było rozrywką dnia tego i dni następnych.

Siedem czy osiem dni przemęczyłem się w tem obrzydliwem, ciasnem i ciemnem więzieniu, nie pytany o nic i nie odwiedzany przez nikogo. Jedyną rozrywką było kilka słów przez drzwi zamknięte, które z Żórawskim przemieniałem. Raz tylko wszedł jakiś radca miejski, pomruczał coś po niemiecku; ja mu po polsku i po francusku różne czyniłem zapytania, na które on, nie rozumiejąc nic, nie odpowiedział.

Nareszcie 8-go dnia po aresztowaniu zawezwano mnie na dół do sekretarza, mówiącego na szczęście po polsku, który nam oświadczył, iż przyszedł rozkaz telegrafem od ministra policyi, aby nas do Berlina odesłać. Ucieszyłem się niezmiernie z tej wiadomości, że nakoniec wyjdę z tej niepewnej sytuacyi i opuszczę to trudne do wytrzymania więzienie. Żórawski, którego później wprowadzono, przyjął z równą radością wieść o odstawieniu do Berlina.

Pozwolono nam napisać listy do naszych znajomych w mieście, aby nam ubranie i pieniądze przysłano; ale że cała familia Janczewskich po naszem, a szczególnie Królikowskiego aresztowaniu uciekła do Drezna, więc ja mych rzeczy nie mogłem otrzymać. Postanowiliśmy się podzielić z Żórawskim tem, co mamy, aż do skomunikowania się ze znajomymi.

Wieczorem wezwano nas drugi raz do sekretarza, który nam oświadczył, że nowy *contrordre* przyszedł, aby nas nie do Berlina, lecz do Poznania odstawić. Trochę ta zmiana zaniepokoiła nas obu, gdyż przyszło nam na myśl blizkie sąsiedztwo Królestwa Polskiego i prawdopodobieństwo wysłania, t. j., wydania w ręce władzy rosyjskiej.

Wracając do swych cel, otrzymaliśmy pozwolenie zobaczenia się tajemnym sposobem przez poczciwego policyanta z naszym współtowarzyszem więzienia, Dutkiewiczem, którego pocieszyliśmy, gdyż był mocno strapiony, nadzieją, iż o wydaniu naszem jeszcze nie myślą i zapewne nie wydadzą.

XXVIII.

Przewiezienie do Poznania. W kazamatach winiarskich. — W berlińskiej *Hausvogtei*. — Plany ucieczki. — Nieudana próba. — Wolny!

Nazajutrz przed 5-tą godziną zbudzono mnie i powiedziano, abym się ubierał i gotował do drogi. Było jeszcze kompletnie ciemno i dosyć znaczny chłód dawał się uczuwać, jak zwykle w poranki styczniowe, gdy mnie sprowadzono na dół, gdzie już i Żórawski oczekiwał wraz z dwoma policyantami, mającymi nam towarzyszyć do Poznania. Przyjechawszy na banhof, zamknięto nas do osobnego maleńkiego pokoiku, a co dziwniejsza, iż nam zabroniono rozmawiać między sobą, do czego jednak już żadne rozkazy nie mogły nas zniewolić. Około 6-ej z rana wyprowadzono nas na platformę, gdyż pociąg niedługo miał już odchodzić, i tam ku wielkiemu naszemu zdziwieniu ujrzeliśmy oczekujące na nas siostry Janczewskiego wraz z dwoma młodymi Epsteinami. Wszelkimi sposobami starano się oszukać czujność naszych policyantów, wzbraniających nam komunikacyi ze znajomymi, co się w końcu udało i szepnięto nam, iż wszelkie starania ku naszemu uwolnieniu czynić będą. Poczciwi zaś młodzi Epsteinowie nie tylko że całą prawie noc oczekiwali na banhofie, aby się z nami zobaczyć, ale jeszcze jeden z nich, dawszy kilka talarów konduktorowi, zdołał wsiąść do wagonu, dla nas przeznaczonego, niby pod pozorem braku miejsca w innych wagonach, i kilka stacyi jechał z nami, używając różnych podstępów dla oszukania naszych strażników. Pod pozorem rozmowy z sobą mówiliśmy do niego o różnych zleceniach i prośbach, odbierając zadawalniające odpowiedzi. Próbował nawet ofiarować parę talarów naszym algazilom policyjnym, wręczając im po 5 czy 8 talarów na nasze potrzeby w podróży, a głośno rachując:

— Trzy talary daję na potrzeby tych panów w podróży.

Policyant, porachowawszy, zawołał:

— Pan się myli: tu nie trzy, lecz pięć talarów.

— Ależ ja mówię, że trzy.

— Ależ pięć: niech Pan rachuje — wołał uparty policyant.

— Ale tylko trzy, więcej ani jednego niema — przekonywał Epstein.

I nareszcie po długich korowodach zgodzili się oba, że po trzy talary mają; lecz po przybyciu do Poznania nad nasze spodziewanie oddali nam po pięć talarów. Rzadka sumienność, szczególniej między policyą.

Pożegnawszy się z Epsteinem, rozjaśnieni trochę obietnicami, jakie nam czynił, odbywaliśmy dalszą podróż wśród weselszych trochę marzeń i lepszej nadziei.

Przybywszy do Poznania, zostaliśmy znowu rozdzieleni i oddzielnie zamknięci. Nowe jednak moje więzienie weselszą już miało fizyonomię. Pokój dosyć duży, o dwóch okratowanych, co prawda, ale dosyć widnych oknach, z dwoma łóżkami, dwoma stołami i krzesełkami, wydał mi się salonikiem po wrocławskiej komórce. Całe ściany pokryte były napisami poprzednich więźniów, które z prawdziwą ciekawością i zajęciem odcyfrowywałem. Wieczorem jakiś z poczciwą miną wiarus a mój dozorca, Polak, przyniósł świecę i biblię do czytania, oraz zapalił suty ogień, nie zamykając na klucz drzwiczek od pieca, słowem, że odetchnąłem swobodniej, patrząc na trzaskający ogień i oświecone ściany pokoju. Jak tylko w piecu się dopaliło, czując wielką potrzebę spoczynku po tylu źle spanych nocach, rozebrawszy się naprędce, rzuciłem na jedno z łóżek i głęboko zasnąłem.

Nie wiem, jak długo spałem, kiedy stukot otwierających się drzwi i wejście kilku osób ze światłem nagle mnie obudziło. Otworzywszy dobrze oczy, ujrzałem dozorcę więzienia i komisarza policyjnego, a pomiędzy nimi mego towarzysza, Dutkiewicza, którego w kilka godzin drugim pociągiem kolei przywieźli.

— Czy Panowie się znacie między sobą? — zapytał komisarz Dutkiewicza.

— Nie, nie znamy.

— No, to można zostawić razem — rzekł komisarz, zwracając się do dozorcy.

Zostawszy sami i zgasiwszy świecę, rozpoczęliśmy dopiero długą rozmowę, która, niestety, nie miała nic pocieszającego dla przyszłych naszych losów. Dowiedziałem się od Dutkiewicza, że i Królikowski Leon został również aresztowany i o ile słyszał, odwieziony do Berlina.

— Zapewne i nas tam odwiozą.

— Dobrzeby to było; ale ja lękam się, czy nas czasem do Warszawy nie zechcą odstawić, bo pocóż nas do Poznania przywieźli?

Taż sama uwaga i mnie nieraz przychodziła, ale nie chciałem długo zastanawiać się nad nią. Po dość długiej rozmowie i wzajemnem uspokoiwaniu się usnęliśmy w oczekiwaniu, co też nam jutro przyniesie.

Nazajutrz najpierw został zawezwany Żórawski do protokółu i śledztwa przed naczelnikiem poznańskiej policyi, Bärensprungem. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy na jego powrót, bo choć w oddzielnej był zamknięty stancyi, zawsze jednak spodziewaliśmy się cośkolwiek, gdy będzie przechodził mimo drzwi naszych, usłyszeć. W kilka godzin powrócił Żórawski i zatrzymawszy się przed naszemi drzwiami, krzyknął nam zmienionym głosem:

— Źle się dzieje: grożą nam wysłaniem do Warszawy.

Opuściliśmy głowy wraz z Dutkiewiczem, spoglądając na siebie w milczeniu.

— Umyślnie nas straszą — szepnąłem, pragnąc i jego i siebie pocieszyć, i zaczęliśmy dodawać sobie nadziei i odwagi, chociaż w oddali w myślach naszych pokazywały się nam już ponure mury cytadeli warszawskiej i rusztowanie z szubienicą.

W parę godzin wezwano Dutkiewicza, którego już po śledztwie nie przyprowadzono do mnie, lecz do Żórawskiego. On także nie z lepszą powracał miną.

Nareszcie nazajutrz i na mnie kolej przyszła. Uzbroiłem się w całą przytomność umysłu, aby się w tłómaczeniu nie powikłać i postanowiłem jak najuporczywiej dowodzić, iż jestem Ritter von Lipowski, austryacki poddany. Bärensprung, gdy zostałem do jego kancelaryi wprowadzony, po zwykłych zapytaniach o imię, nazwisko i t. p., rzekł w bardzo grzecznym

i uprzejmym tonie, że ma pewne dowody, iż ja nie jestem tą osobą, za którą się podaję, tak jak i dwaj moi towarzysze, aresztowani ze mną we Wrocławiu.

— Nie wiem, jakie Pan masz dowody — rzekłem — lecz zdaje się, że mój paszport jest najlepszym dowodem mojej tożsamości.

— Och, mój Panie — rzekł z uśmiechem — któryż z konspiratorów jedzie pod swojem nazwiskiem? Myśmy tu mieli i Mierosławskiego, do którego — rzekł nawiasowo — list Pan pisałeś, a przecież nie pod swoim podróżował on paszportem.

— O jakim liście Pan wspominasz? — przerwałem mu — ja żadnego do Mierosławskiego nie pisałem.

— A ten list, co we Wrocławiu w sypialni Panów znaleziono — i wydostawszy z papierów list mój rozpoczęty do Mierosławskiego, pokazał mi z daleka.

— A to znów list pański do ojca, już z adresem na kopercie, z którego jawnie się pokazuje, iż pan jesteś Daniłowski Władysław.

— To są nie moje listy, gdyż nie przy mnie i nie w mojem mieszkaniu znaleziono; bo zapewne wiadomo Panu, że nocowałem u mego znajomego, Gordona. Ja jestem Lipowski i nie wiem, dlaczego i jakiem prawem mnie aresztowano.

— Pan takim jest Lipowskim, jak przyjaciel Pana Gordonem, a zresztą — dodał z ironicznym uśmiechem — my Panu wkrótce wszystkiego tego dowiedziemy, co Pan teraz zapierasz — i odwracając się do sekretarza, kazał mu pisać protokół.

Przy tym protokole zaczął mnie szczegółowo wypytywać o całą niby moją familię, ile rodzeństwa, ile braci, sióstr i t. p. A że ja familii Lipowskich na oczy nie widziałem, musiałem przeto na chybił trafił odpowiadać, nadając imiona ojcu, matce, siostrom i braciom, jakie mi na myśl przyszły; różne także inne szczegóły, jako to, gdziem skończył szkoły, jakich miałem nauczycieli, i wiele innych zapytań, na co wszystko musiałem z swojej imaginacyi odpowiedzi tworzyć. Co najbardziej mnie męczyło, to natężenie bezustanne pamięci, aby tych wymyślonych nazwisk i imion nie pozapominać; szczególniej ich wiele było przy mych notatkach w pugilaresie, który był przez Bärensprunga szczegółowo rozpatrywany.

Po kilku godzinach tych badań z rozdrażnienia aż małej gorączki dostałem, wróciwszy do swej celi. Nie zastałem już w niej Dutkiewicza, gdyż go do Zórawskiego przetransportowano. Po południu wezwany zostałem na nowo do śledztwa. Zaraz po mojem wejściu Bärensprung, pokazując mi depeszę telegraficzną, rzekł:

— Oto odpowiedź z Krakowa na mój telegram, jaki jeszcze z rana z zapytaniem o Panu posłałem; piszą w nim najwyraźniej, iż żaden Lipowski w Krakowie się nie meldował i w tym czasie, w którym niby Pan tam być miałeś, nie mieszkał.

— Bo ja bez meldunku mieszkałem w prywatnym domu u krewnych.

— To jeszcze najmniejsza rzecz; ale co główna, że ten Lipowski, za którego Pan się podajesz, nie ma wcale sióstr, a Pan aż trzy siostry w swem zeznaniu wymieniłeś — rzekł ironicznie, uśmiechając się, naczelnik policyi.

Na to już nie wiedziałem co odpowiedzieć, jak tylko, że chyba istnieje drugi Lipowski w tychże samych okolicach.

— Powiedziałeś Pan — mówił dalej, nie zważając na moją odpowiedź, że matce Pana na imię Anna, a tymczasem telegram mówi, że pani Lipowskiej Józefa na imię; bracia także inne imiona noszą i niema ich tylu, ilu Pan wymieniasz.

— To może pomarli — rzekłem, starając się już bezczelnością moją sprawę podtrzymać.

— Och, mój Panie, czyż już tak nizko stawiasz Pan mnie, że ja podobnym tłómaczeniom dam wiarę? W całym tym protokole — rzekł, podnosząc do góry kilka arkuszy papieru drobno zapisanych — niema ani cienia prawdy, zaczynając od początku, a kończąc na Pańskim podpisie.

— Możesz Pan uważać, jak się Panu podoba, ale ja jestem Lipowski, tylko że nie syn tego Lipowskiego, co mieszka w Galicyi, lecz syn jego brata, będącego na emigracyi we Francyi. — Słyszałem bowiem wypadkiem, że jakiś Lipowski, emigrant, mieszkał w Paryżu.

— Próżne to już wybiegi, którymi sam Pan sobie tylko zaszkodzisz, bo jako niemającego nazwiska i niewiadomego pochodzenia, odeszlemy Pana rosyjskim władzom, a Pan wiesz, co z Panem zrobią w Warszawie. Ja radzę Panu — rzekł po chwili,

udając współczucie i zainteresowanie się moim losem — przyznaj się Pan, że jesteś Daniłowski, i wówczas, jako obcego poddanego, skompromitowanego politycznie, odeszlemy do Francyi.

Nie dałem się jednak złapać na te słodkie słówka i rzekłem ze stanowczością, iż wszystko, co mówiłem, było prawdą, i mnie, jako austryackiego emigranta, powinni do Austryi lub Francyi odesłać.

— Sam się Pan gubisz, sam się gubisz — dodał, żegnając mnie, Bärensprung — a chciałbym Pana ocalić.

Mimo jednak tych słów serdecznych widziałem, jak gniew błyszczał w jego oczach, że mimo tych starań z jego strony nic się odemnie dowiedzieć nie może. Zaledwie zjadłem obiad, wróciwszy do swego więzienia, kiedy drzwi się otwarły i jakiś oficer policyjny wszedł do mnie, oświadczając, iż ma mnie do fortecy poznańskiej odstawić.

Za kilkanaście minut, przejechawszy parę ulic Poznania, wjechałem do wnętrza poznańskiej cytadeli (Winiary). Wprowadzony do górnych kazamat, w baszcie fortecznej umieszczonych, otoczony zostałem licznem gronem współwięźniów, także za udział w powstaniu w tej fortecy zamkniętych. Odżyłem jakoś w tem towarzystwie, pełnem życzliwej otwartości. Zapoznałem się z kilkoma, bliżej mnie mającymi swoje łóżka, i opowiedziałem im, o ile było można, szczegóły aresztowania. Jednemu nawet z nich, p. Chłapowskiemu, nadmieniłem możebność wydania mnie władzom rosyjskim i prawdopodobny los, jaki tam mógł mnie oczekiwać. Poczciwy młodzieniec, nie pytając mnie o żadne szczegóły, zaproponował urządzenie ucieczki, a tymczasem ofiarował przesłać listy, jeżeli mam do kogo pisać. Podziękowałem mu za jego dobre chęci, oświadczając chęć korzystania z obu ofiar.

Nad moje jednak spodziewanie zaraz na drugi czy trzeci dzień, właśnie, kiedy pisałem list do Janczewskiego, wszedł po mnie oficer, oświadczając, iż jest rozkaz wywiezienia mnie natychmiast z fortecy. Zaledwie miałem czas złożyć swe rzeczy, oddać niedokończony list i pożegnać się z nowymi towarzyszami, gdy wszedł znów oficer policyjny, z którym miałem jechać. Wsiadłszy w dorożkę, zacząłem rozmyślać, gdzie też mnie teraz zawiozą; ale nim dokończyłem wszystkich przypuszczeń, już stanęliśmy przed domem zarządu policyi. Zaraz po mem

przybyciu zjawił się pan dyrektor Bärensprung i zaczął mi przedstawiać szereg dowodów i wyjaśnień, zbijających całe moje zeznanie, i zakończył całą swoją przemowę temi słowy:

— Wiemy, iż Pan nie jesteś Lipowski, tylko Daniłowski. Ponieważ jednak przeciw pruskiemu rządowi żadnego dowiedzionego przestępstwa Pan nie uczyniłeś, a zatem, jeżeli Pan przyznasz się do swego nazwiska, odeszlemy Pana jako emigranta do Francyi; jeżeli zaś dalej Pan zapierać się będziesz, to jako zbiega niewiadomego nazwiska odeszlemy do Królestwa Polskiego. Proszę więc po raz ostatni oświadczyć, bo konie przygotowane już dla odwiezienia Pana.

Przyznam się, że te jego słowa dały mi trochę do myślenia; ale zważając, że do wyznania prawdy zawsze czas znajdę, a panu Bärensprungowi nie dowierzałem jako policyantowi, więc zebrawszy wszelką stanowczość, na jaką się zdobyć mogłem, odrzekłem, iż jestem Lipowski i jako taki do Francyi lub Austryi powinienem być odesłany. Zachmurzył się na moją odpowiedź Bärensprung i nic nie rzekłszy, wyszedł z pokoju, lekko mi się skłoniwszy.

Za chwilę sprowadzono mnie na dół, gdzie zobaczyłem się z Żórawskim i zarazem dowiedziałem, że nie do Warszawy, lecz do Berlina nas wysyłają. Usłyszawszy tą pocieszającą nowinę, odetchnąłem swobodniej, zrzucając cały ciężar niepokoju ze swych piersi. Siadłem wraz z Żórawskim w dorożkę w towarzystwie sekretarza Bärensprunga i jednego policyanta. Przez całą drogę na kolei żelaznej byliśmy prawie swobodni, bo sekretarz wziąwszy od nas słowo honoru, że nie uciekniemy, mało już nas pilnował.

Do Berlina przybyliśmy późno wieczorem i zajechawszy najpierw do cukierni, gdzie wraz z naszymi strażnikami napiliśmy się kawy, odwieziono nas po tym lekkim posiłku do Hausvogteiu, politycznego więzienia. Po zwykłych formalnościach, rozdzieliwszy mnie z Żórawskim, poprowadził mnie dozorca przez podwórze i korytarz na piętro, a tam, otworzywszy drzwi od maleńkiego, z dwoma łóżkami pokoiku, wyrzekł, pokazując z uszanowaniem na śpiącego na łóżku młodego, chudego i długiego, z dużym nosem a małą bródką napoleonką i blond wąsami mężczyznę: *Das ist Fürst Racilen* i zamknął drzwi, życząc mi *Gute Nacht!*

Co to za jakiś książę niemiecki? — pomyślałem — A to mnie dobrze postawili: ja prawie nic nie rozumiem po niemiecku; co ja z tym Niemcem pocznę, jeszcze z takim arystokratą? Gdy tak zadumany stoję koło łóżka, zabierając sie do zrzucenia paltota, usłyszałem nagle cichy szelest za drzwiami, a później czyjś głos po polsku mnie zapytał:

— Jak się nazywasz, nowy nasz towarzyszu, i skąd Pana przywieźli?

— Nazywam się Lipowski, a przywieźli mnie z Wrocławia.

Po mojej odpowiedzi kilka głosów zaczęło szeptać między sobą, aż znów jeden zapytał:

— Czy nie znasz Pan Królikowskiego Leona? On tu jest obok.

— Znam, znam go dobrze; prawie w jeden dzień ze mną we Wrocławiu aresztowany.

— Królikowski się pyta — zaczął znowu głos za drzwiami — czy nie jesteś Sędzią? — (a taki miałem przydomek w organizacyi).

— Tak, tak, ja to jestem.

— No, to już wiemy teraz, z kim mamy do czynienia — zawołało parę wesołych głosów, upewnionych widać przez Królikowskiego, że nie z żadnym podejrzanym kolegą prowadzą rozmowę.

— A pewno Pan głodny jesteś? To obudź towarzysza, to zrobi ci herbaty.

— Dziękuję — odrzekłem — jakże ja będę budził nieznajomego i to jeszcze Niemca?

— Co za Niemca? Toć przecie książe Radziwiłł z Litwy.

— Ach, Radziwiłł! A ten dozorca, wprowadzając mię, tak przekręcił nazwisko, iż myślałem, że to książę niemiecki.

— No, Mikołaj, wstawaj! Radziwiłł, podnoś się z łóżka: masz nowego kolegę — zaczęły głosy krzyczeć za drzwiami, stukając w klamkę.

Na ten hałas obudził się śpiący Radziwiłł i zaczął wymyślać, na czem świat stoi, że mu tak nagle wśród nocy hałasy wyprawiają. A gdy jeszcze, chcąc go bardziej rozdrażnić, zaczęli rozpowiadać szczegóły o sprawie, za którą siedzi, wpadł w szalony gniew, wrzeszcząc, że go kompromitują, że przed nieznanym człowiekiem wydają jego sekreta. Na co zza drzwi odpowiadano:

— Gadaj, co chcesz, a głowę ci zetną za udział w powstaniu.

Radziwiłł, który mnie nie znał, zaczął się przedemną wypierać i tłómaczyć, jak gdybym był sędzią śledczym. Rozbudziwszy, a raczej otrzeźwiwszy się (bo z powodu jakiejś uroczystości więziennej nie żałował sobie kieliszka), poznał nareszcie, że to żarty, i przywitawszy mnie nareszcie, wstał z łóżka i zaczął na spirytusie grzać wodę na herbatę.

Zaznajomiłem się później bardzo blizko z tym nowym towarzyszem, który przy nieszczęsnej wadzie kieliszkowej miał wiele dobrych przymiotów, a szczególnie serce nader poczciwe i pełne otwartości. Co zaś do dumy arystokratycznej, to tej nigdy nie wykazywał.

Na drugi dzień zapoznałem się z kolegami więźniami, w tymże pawilonie mieszkającymi, gdyż oni wolny mieli przystęp do mnie, ja tylko wychodzić nie mogłem. Taki bowiem regulamin tego więzienia, że kto nie był wzywany do protokółu, nie może używać wspólnej przechadzki, lecz oddzielnie spaceruje, aby się nie komunikował i nie układał zeznań — dziwna ostrożność, gdy drugim można odwiedzać tegoż więźnia. Od godziny 7-ej do 1-ej wolno jest spacerować po dwóch podwórkach i ogródku, w obrębie więzienia się znajdujących. Od 1-ej do 3-ej po południu wzywają na obiad i stawiają straż w korytarzach, aby nikt już przez te dwie godziny nie wychodził, i wtenczas to wyprowadzają na spacer nowoprzybyłych więźniów, którzy jeszcze nie skończyli swego protokółu. Od 3-ej do 7-ej znowu dozwolony spacer a o 7-ej już nikt nie mógł być na dziedzińcu; jednakże odwiedzać współwięźniów po celach i pawilonach wolno było aż do 10-tej wieczorem, o której to godzinie zamykano korytarze, zrobiwszy wpierw bardzo grzeczny przegląd, czy wszyscy są na miejscach. Drzwi jednak od stancyjek nie zamykano na noc, tak że na jednym korytarzu mieszkający więźniowie mogli ciągle być z sobą. Na wszystkich dziedzińcach i w ogródku, gdzie tylko uważano za potrzebne, postawiono straż z karabinami, aby odjąć wszelką możebność i ochotę ucieczki. Więzienie słowem nie bardzo uciążliwe, zwłaszcza przy dobranem towarzystwie i dostatku książek różnej treści.

Na tym korytarzu, na którym ja siedziałem, były tylko dwie cele więzienne; w jednej ja z Radziwiłłem, a w drugiej Iłowiecki, obywatel z Poznańskiego, z Zygmuntem Działowskim, z Prus Wschodnich. Najbardziej zaznajomiłem się z mymi najbliższymi współkolegami, a szczególniej z Z. Działowskim, bardzo poczciwym, choć zarozumiałym młodzieńcem i który wielką później niezapomnianą nigdy oddał mi przysługę.

W parę dni po naszem przybyciu przywieziono i Dutkiewicza wraz z Kamińskim; ten jednak ostatni został wkrótce uwolniony.

Do śledztwa zawezwano mnie nazajutrz i wręczono rozkaz aresztowania piśmienny z podpisem Krügera, kamergerichtsrata, w którym napisano, że K. Lipowski, a prawdopodobna rzecz Wiktor Paupuch, oskarżony jest o przygotowywanie zdrady stanu. Ucieszyłem się, że widać nie mają mnie już za Daniłowskiego; z jakiej zaś racyi byłem Paupuchem, to zaraz wyjaśnię. Żórawski, któremu znów w rozkazie napisano Gordon albo Selig, a najpewniej Daniłowski, znał się z jedną Ślązaczką i w bardzo blizkich był z nią stosunkach; otóż ona pisząc do niego list z prośbą o przysłanie 6-iu talarów, wspomina w swej prośbie: »Niech Pan mi nie odmówi tych pieniędzy, a za mnie Pan Bóg Panu odda«. A że bardzo źle mówiła, a jeszcze gorzej pisała po polsku, więc Pan Bóg napisała »Pan buh«, z czego tłómacz zrobił ob. Paupuch, który miał te 6 talarów odesłać i którym zapewne byłem ja. Dość długo potem żartowałem sobie z sędziego śledczego na wyżej wymieniony temat, zwłaszcza że byłem trochę uspokojony oddaniem mego nazwiska Żórawskiemu.

Niedługo jednak cieszyłem się tą słodką nadzieją, bo w kilka tygodni, po bliższem rozpatrzeniu w sprawach naszych, zaczęli już otwarcie panowie sędziowie dowodzić mi, iż ja to, a nie Gordon, jestem Daniłowskim. Naturalnie, że protestowałem jak najuroczyściej przeciw ich dowodom, przedstawiając mój paszport; ale to wcale ich nie przekonywało.

Widząc z całego toku śledztwa, iż nas dość długo jeszcze trzymać zamyślają, napisałem list do Drezna (gdyż dwa razy w tydzień wolno było pisywać przez cenzurę), aby mi wszystkie moje rzeczy, jakie tam zostawiłem, przysłali. Miesiąc już blizko upływał, jak mnie do Hausvogteiu przywieziono, a je-

szcze sprawa moja i na krok nie postąpiła dalej; ciągle sąd swoje mi dowodził, a ja zaprzeczałem. Dla lepszego zamaskowania tożsamości mej osoby, pisałem tajemnie bez cenzury list do Starosolskiego[1], aby ogłoszono w gazetach, iż Władysław Daniłowski poległ w bitwie, nadając temu ogłoszeniu jak najwiarygodniejszą postać; co też i uczyniono. W kilkanaście dni pojawiła się najpierw w naszych, a następnie i w niemieckich gazetach wiadomość, iż zasłużony patryota Daniłowski poległ w bitwie na polu sławy i t. p. Jak tylko wyczytałem tę nowinę (gdyż w więzieniu wolno było prenumerować gazety), zaraz poszedłem do sądu i przedstawiłem im niesłuszność podejrzeń, pokazując, iż ten, za kogo oni mnie mają, poległ w bitwie. Na jakiś czas odsunąłem rzeczywiście podejrzenie sądu. Wielu nawet z więźniów (kilku bowiem tylko mnie bliżej znało) czytało mój nekrolog z jak największą wiarą, proponując nawet mszę żałobną odprawić za moją duszę, a nawet, jak się później już dowiedziałem, w kilku miejscach życzliwi mi znajomi i nieznajomi odprawili egzekwie za poległego w obronie ojczyzny patryotę.

Ja tymczasem pędziłem sobie jednostajne życie, zamknięty w murach Hausvogteiu, spacerując po dziedzińcu w oznaczoną porę, czytając, ucząc się po włosku od ks. Samarzewskiego i prowadząc rozmowy z Z. Działowskim, lub moim szlafkamratem, ks. Radziwiłłem. Ten ostatni, nabrawszy do mnie sympatyi, uczynił mnie powiernikiem nieszczęśliwej miłości, jaka gorzała w jego sercu do p. M. C. Oprócz wyżej wymienionych pozostaną na zawsze w mej pamięci i inni towarzysze więzienia, jak Czarnecki, Wilkoński, Iłowiecki, Redych, Sulerzycki i wielu innych, z którymi dużo przyjemnych godzin za kratami spędziłem.

Jednostajność naszego życia przerwała wojna niemiecko-duńska i nastąpione za nią zamknięcie sejmu; to ostatnie przysporzyło nam kilku nowych towarzyszów z deputowanych sejmu, jak Sulerzycki i Szuman i paru innych. Gazety zaczęły być ciekawsze z powodu wojny z Danią; uwaga mianowicie optymistów zaostrzyła się, rokując i dla naszej gasnącej już sprawy nowe nadzieje. Poseł Sulerzycki, zacny i niczem nie

[1] Odczytanie niezupełnie pewne. *(P. w.)*.

zachwiany patryota, wiele rokował sobie i nam z tej wojny, a mianowicie ze spodziewanej rewolucyi w Berlinie.

Dla umysłów bardzo optymistycznych mogły nawet niejakie powody, a nawet objawy rewolucyjne egzystować. Bo, jak wiadomo, niezadowolenie w Berlinie z postępowania Bismarka samowolnego i pogardliwie dumnego z parlamentem berlińskim rosło co chwila i nawet ulicznemi objawiało się manifestacyami, do których rozprószenia broni używać musiano. Raz, pamiętam, niektórzy z więźniów, nabiwszy sobie i drugim głowę temi przypuszczeniami, zostali strasznie zaalarmowani okrzykami niezwykłymi w nocy na ulicach Berlina, za którymi nastąpiły wystrzały.

— Rewolucya, rewolucya w Berlinie! — szepnięto sobie po cichu.

Zaczęliśmy się przysłuchiwać, zataiwszy oddech. Znowu okrzyki i strzały nieregularne, jakby z myśliwskiej broni, w różnych punktach miasta.

— To zapewne lud strzela do wojska — wyrzekli niektórzy. Po chwili jednak wszystko ucichło.

Ja najspokojniej spać się położyłem, nie dowierzając rewolucyi berlińskiej; lecz niektórzy długo jeszcze w lufcikach okien siedzieli, oczekując, jak naród rzuci się na Hausvogtei, rozbije bramy naszego więzienia, jako niewinnie trzymanych ofiar despotyzmu. Z pokazaniem się jednak słońca pierzchły te senne marzenia i okazało się, iż poczciwi berlińczycy strzelali na wiwat swemu królowi w dzień jego imienin, czy też z powodu wzięcia Düppelu.

Upływał już drugi miesiąc mego siedzenia w więzieniu berlińskiem, a los mój i kolegów razem aresztowanych w ciągłej był niepewności. Sędziowie śledczy znowu zebrali nowe jakieś dowody, jako to rysopis mój z Warszawy, który na nieszczęście bardzo był do mnie podobny, i znowu wracali do dawniejszych przekonań, iż ja to jestem Daniłowski. Zaniepokoiło mnie trochę to znoszenie się z Warszawą, bo lękałem się, i bardzo słusznie, aby władze rosyjskie nie zażądały wydania mnie w ich ręce.

W kilka dni znowu zostałem wezwany i sędzia, prowadzący moją sprawę, pokazawszy ręką na kilkuarkuszowy zeszyt papieru, rzekł:

— Oto dokładny i szczegółowy opis udziału, jaki Pan przyjmowałeś w polskiem powstaniu, przysłany nam przez kancelaryę namiestnika w Królestwie Polskiem. Nie masz Pan już zatem najmniejszej potrzeby zapierania się swego rzeczywistego nazwiska, tem bardziej, że za parę dni ma tu przyjechać jenerał Minkwitz, wysłany od rządu rosyjskiego dla rozjaśnienia tej sprawy. A zresztą — dodał po małej pauzie — władze warszawskie żądają wydania Pana i jego towarzyszów.

Zimno mnie przeszło na myśl cytadeli warszawskiej; starając się jednak nie okazać żadnego wrażenia, jakie na mnie zrobiła ta wiadomość, rzekłem z oburzeniem:

— Więc rząd pruski wydaje na śmierć politycznych przestępców, chroniących się pod jego opiekę?

— Ja tego nie mówiłem, że Panów wydadzą — przerwał mi sędzia — ale są pewne okoliczności, które — i zamilkł, nie wiedząc, co dalej powiedzieć, gdyż miał tyle poczciwości, że kłamać nie chciał.

— Rząd nasz — rzekł po chwili — jest w bardzo dobrych stosunkach z rządem ruskim; jednakże ja sądzę, że Panów będą starać się tutaj zatrzymać.

— Ja nawet wierzyć temu nie chcę, aby mnie, który jestem austryacki poddany, miano wydać obcemu mocarstwu; byłby to postępek niegodny tak wielkiego państwa, jakiem chcą być Prusy.

Uśmiechnął się sędzia na moje słowa i na tem rozstaliśmy się.

Powróciwszy do więzienia, opowiedziałem zaraz całą rozmowę mym towarzyszom. Bliżej mnie znajomi po różnych debatach oświadczyli, iż dla nas niema już innego ratunku prócz ucieczki, która jednak nader będzie ryzykowną. My naturalnie z jak największą radością zgodziliśmy się na ten projekt, o którym ja przynajmniej od dawna już myślałem. Postanowiono jednak wstrzymać się czas jakiś dla przygotowania środków wydostania się z Hausvogteiu, zwłaszcza że co do naszego wydania do Rosyi sądzono, iż ono tak prędko nastąpić nie może. Radziwiłł, który wraz z Czartoryskim prawie co niedziela wychodzili na miasto do ks. Radziwiłła pruskiego na obiad, na którym bywali i ministrowie a czasem i królowa pruska, obowiązał się wywiedzieć od ministra policyi, bardzo

podobno zacnego człowieka, czy i kiedy nas mają odstawić do Królestwa Polskiego.

Blizko tydzień jednak upłynął, a nic jeszcze nie było stanowczo pewnego co do naszego wydania; dla tego też sam ja nawet, tak mocno w tej sprawie interesowany, zacząłem przypuszczać, iż może tylko chciano nas nastraszyć dla dowiedzenia się prawdy. Niedługo jednak miałem być w tej niepewności, bo w kilka dni później, a było to w piękny dzień poczynającej się wiosny, chodziłem sobie jak najspokojniej po dziedzińcu więziennym z Z. Działowskim, oczekując na Dutkiewicza, wezwanego do komisyi, aby się dowiedzieć, o co go się tam pytali. W kwadrans niespełna powraca Dutkiewicz, lecz już z daleka po zmienionej i zbladłej twarzy poznałem, że coś nadzwyczajnego stać się musiało.

— Cóż ci się stało? — zapytałem go, podchodząc ku niemu.

— Wydadzą nas do Rosyi — rzekł mi zmienionym ze wzruszenia głosem.

— Któż ci to mówił? To być nie może! — rzekłem, starając się pocieszyć i jego i siebie, bo dla nas obu z tem wydaniem i życie prawdopodobie się kończyło.

— Jeden z sędziów konfidencyonalnie mi to oznajmił — odrzekł stanowczo D.

Bliżej nam znajomi więźniowie, usłyszawszy ostatnie słowa naszej rozmowy, roznieśli po całem prawie więzieniu tę smutną nowinę. Poczęto się naradzać nad sposobami ucieczki, której już teraz nie można było ani na chwilę odkładać, tem bardziej, że Radziwiłł, powróciwszy w kilka godzin później z obiadu od swego krewnego, u którego widział się z ministrem policyi, potwierdził nasze obawy, dowiedziawszy się od ministra policyi, że trzech więźniów z Polski mają z Hausvogteiu odstawić do władz rosyjskich, czego wykonanie jemu poruczono. Zapytany, kiedy to ma nastąpić, odpowiedział, że zaraz po świętach Wielkanocnych.

Czasu mieliśmy niewiele, bo już kilka tylko dni od świąt Wielkanocnych nas oddzielało. Po różnych debatach i propozycyach nad planem ucieczki, która zważywszy, że Hausvogtei jest położony prawie w środkowej części Berlina, stanowiąc jeden bok hausvogteiskiego placu, i że otoczony jest rządowymi budynkami i strażą w taki sposób, że wydostanie się przez

mury jest fizycznem prawie niepodobieństwem, ucieczka przeto mogła być tylko nader ryzykowna i zawsze bardzo niepewna; postanowiliśmy zatem plan następujący. Na drugi, malutki dziedziniec, po którym wolno nam było spacerować, wychodziły drzwi od stancyi dość dużej, w której mieszkali nasi posługacze. W tejże stancyi były drugie drzwi, zamknięte wprawdzie na klucz i zabite gwoździami, nie otwierające się nigdy, a które wychodziły na korytarz, prowadzący tuż obok szklannych drzwi kancelaryi inspektora więzienia na maleńkie podwóreczko, na którem był odwach żołnierski. Przeszedłszy koło odwachu, skręcało się na korytarz, *vis à vis* odwachu położony i prowadzący już na miasto. Zamiarem naszym było w umówiony dzień i godzinę przeszedłszy na ów mały dziedziniec wraz z kilkunastu innymi więźniami dla niepoznaki a którzy także mieli zabawiać rozmową stojącego na straży o dwa kroki od wejścia do stancyi posługaczów żołnierza, przedostać się cichutko poza jego plecami do stancyi posługaczów. Dostawszy się tam, trzeba było ostrożnie gwoździe, którymi drzwi były w kilku miejscach zabite, poodchylać, następnie zamek ręką odsunąć (czego się jeden z więźniów, silny w ręku, podjął) i wyjść na korytarz. Aby zaś inspektor przez owe drzwi szklanne nas nie zobaczył, mieli umówieni współwięźniowie przyjść w oznaczoną porę do niego i rozmową uwagę jego rozerwać. Z korytarza, wyszedłszy na podwórze, gdzie był odwach wojskowy, a na którym zawsze żołnierze stali, mieliśmy już [iść dalej], nadrabiając śmiałością i licząc na szalone szczęście, że żołnierze w pierwszej chwili ani przypuszczać będą mogli, aby w biały dzień przez korytarz, od pokoju inspektora prowadzący, więźniowie mieli uciekać, i przeto wezmą nas za gości, od inspektora wychodzących, lub też za odwiedzających z pozwolenia władzy uwięzionych krewnych lub coś podobnego. Były to wprawdzie tylko nasze przypuszczenia, ale dlaczegóżby i żołnierze tak nie przypuszczali? A zresztą żadnego innego sposobu ucieczki przy tak małym przeciągu czasu, jaki nam zostawał, nie można było układać. Przeszedłszy odwach i dostawszy się na korytarz, prowadzący już do miasta, na plac hausvogteiski, znowu liczyć nam trzeba było na nowe szczęście, t. j., że w korytarzu tym, który takoż i do sądu prowadził, nie spotkamy ani żadnego z sędziów, ani z policyantów,

ani szpiclów i t. p., i że odźwierny sądu, który jednak nie zawsze na szczęście przy drzwiach siedział, nie zapyta nas, co my za jedni i u kogo byli. Wydostawszy się na miasto, mieliśmy już umówione domy do przebrania, karetę czekającą do wyjazdu i t. p. W mieście zresztą byliśmy już prawie pewni, że nas na nowo nie złapią i że szczęśliwie do Szwajcaryi lub Paryża przybędziemy.

Ucieczka była ryzykowna, prawie szalona, ale nie mieliśmy nic do stracenia. Czy nie będziemy próbować uciekać, czy też uciekając zostaniemy złapani, zawsze na tem się skończy, że nas wydadzą władzom rosyjskim, a zatem lepiej już próbować, a nuż się uda! Nazajutrz po nowo odbytej naradzie postanowiliśmy uciekać w Wielki piątek i chociaż dzień tylko jeden oddzielał nas od tego piątku, nie mogliśmy jednak dłuższego naznaczać terminu, bo w tenże dzień nocą miał Królikowski Leon ze szpitala (gdzie umyślnie jako niby chory się przeniósł) miał przedsiębrać ucieczkę, co naturalnie nazajutrz mogłoby i u nas w więzieniu podwoić baczność dozorców.

Zygmunt Działowski, z którym przez paromiesięczny prawie pobyt dosyć blizko się zaznajomiłem i którego przyjaźń pozyskałem, ofiarował się uciekać (chociaż nie miał najmniejszego ku temu powodu) razem z nami, aby mi jako nieznającemu języka niemieckiego ułatwić wydostanie się z Berlina i Niemiec. Nie chciałem z początku przyjmować tej prawdziwie przyjacielskiej i serdecznej ofiary, która w razie złapania naszego mogła mu poszkodzić, a przynajmniej wielu przykrości być przyczyną; lecz ten szlachetny młodzieniec nie chciał słuchać moich perswazyi i uporczywie stał przy swem pełnem poświęcenia przedsięwzięciu. Przyjąłem zatem tę przyjacielską usługę, którejbym w takiem położeniu i sam nie odmówił.

Wieczorem mieliśmy się ostatecznie naradzić nad spełnieniem nazajutrz naszego zamiaru. Spacerując po dziedzińcu z Zygmuntem Działowskim, rozbieraliśmy po cichu różne mogące trafić się przeszkody i rozważali prawdopodobieństwa udania się naszego planu. Cały ten dzień byłem w nawpółgorączkowym, a przynajmniej bardzo rozdrażnionym stanie, napełniając swą głowę tysiącami to wesołych, to smutnych obrazów. To widziałem się swobodny, unoszony koleją żelazną w bezpieczną krainę Francyi, to znów schwytany i okuty w że-

laza, czekający na konwój, który do Warszawy miał mnie odstawić.

Kiedy o naznaczonej godzinie zeszliśmy się w jednej z cel na ostateczną naradę, przyszedł niespodziewanie ksiądz Samarzewski z oświadczeniem jakoby od znacznej liczby więźniów, iż oni życzyliby sobie, aby wszelkie przygotowania do ucieczki czynione były przez nas samych, gdyż według praw pruskich wszelka zmowa celem ułatwienia ucieczki więźniów podchodzi pod kodeks karny, a zatem nie możemy mieć za złe, iż tacy poważni obywatele nie chcą dla nas narażać się na różne przykrości. Nadmienił również, że Działowski nie powinienby pod żadnym pozorem łączyć się do naszej ucieczki, bo i toby ich już kompromitowało w obliczu pruskiego rządu, że jeden z podwładnych pruskich obywateli ucieka razem z jakimiś rewolucyonistami.

Boleśnie mi się ścisnęło serce, słysząc tę przemowę księdza Samarzewskiego, do którego dosyć miałem sympatyi. Więc dlatego, aby życie ocalić tym, którzy się poświęcili dla kraju, nie chciano narażać się na przypuszczalne przykrości, jakieby tylko w razie wykrycia i przekonania o zmowę i pomoc, mogli doznać! Życie trzech młodych ludzi nic nie znaczyło w ich głowach, bo o sercach nie mówię nawet, przy myśli, iż pociągną ich do odpowiedzialności łatwej do uniknięcia, lecz zawsze przedłużającej może o kilka tygodni ich więzienie! Przez chwilę milczeliśmy wszyscy, tak nam to wszystko zdawało się niepodobieństwem, aby współwięźniowie, współrodacy, ludzie nareszcie, w sprawach, gdzie patryotyzm był poruszony, tyle okazywali wyrachowanego i zimnego egoizmu.

— Dobrze więc — rzekłem po chwili — odpowiedz, księże, tym, co cię przysłali, że znajdziemy w sobie dosyć odwagi, aby tych panów nie narażać i nie niepokoić ich swoim losem. My tu zostaniem, zdając się na nasze przeznaczenie.

— Ja tego nie mówię, abyście Panowie mieli zostawać — przerwał mi, cofając się, ksiądz Samarzewski — ale byle tylko nikt z nas, t. j. Poznańczyków, nie był do tej sprawy wmieszany.

— Jesteście tyle szlachetni — odrzekłem mu z gorzkim uśmiechem — iż obiecujecie nam nie przeszkadzać w przygotowaniach naszych do ratowania życia ucieczką; dziękujemy

wam i za tę ofiarę. Umówimy się między sobą — dodałem, zwracając się do Żórawskiego i Dutkiewicza — jak nam dalej wypadnie postąpić.

Gdy nas Samarzewski opuścił, spojrzeliśmy z oburzeniem i ze smutkiem na siebie, mając już za straconą ostatnią deskę ocalenia, jaka nam została. Zanim jednak zdołaliśmy zdać sobie jasne sprawozdanie z naszego położenia, gdy wszedł Działowski i dowiedziawszy się o scenie, jaką mieliśmy z ks. Samarzewskim, zaczął nas pocieszać i upewniać, iż to tylko mała i nieznaczna cząstka starych, lub też za nadto rozumujących więźniów zryzykowała się na tak nieludzkie ultimatum, że znakomita większość, bo wszyscy bez wyjątku prócz nich, a liczba takich i do 8-iu nie dochodziła, pragną nam jak najgoręcej pomagać, i że on od swego planu ucieczki z nami za nic nie ustępuje. Wybiegłszy później na dziedziniec, rozpowiedział niektórym, z czem do nas Samarzewski przychodził, co wielkie pomiędzy nimi wywołało oburzenie. Ze wszystkich stron bliżej z nami żyjący zaczęli protestować przeciw Samarzewczykom, oświadczając swoją pomoc i usługi i ryzykując się na wszystko, byle tylko ucieczkę nam ułatwić.

Otucha wstąpiła nam do serca, widząc tyle szczerych serc, gotowych nam pomagać i współczujących naszemu losowi. Ci sami nawet, co nam te egoistyczne warunki przez Samarzewskiego przysłali, zaczęli cofać się i żałować tej zbyt wielkiej oględności na swoje interesa. Zawsze jednak to, co mi w duszy bolesnego zostało, nie łatwo było wyrwać i załagodzić.

Z kilkoma najbardziej nam sprzyjającymi więźniami ułożyliśmy, żeby nie odkładając, jutro, tak jak z początku było postanowione, próbować ucieczki. Całą noc prawie że oka nie zmrużyłem, myśląc o tak ważnym dla nas dniu jutrzejszym, choć przyznam się, niewiele miałem nadziei, aby nam szczęście służyło.

Nazajutrz o naznaczonej porze, t. j. o 10-tej z rana — gdyż tę godzinę wybraliśmy, aby skorzystać z nieobecności oficera i podoficera na odwachu, gdyż o tej porze zmieniano warty wewnątrz więzienia — wyszliśmy na podwórze wraz z kilkoma więźniami, mającymi nam pomagać, i skierowaliśmy się ku drugiemu podwórkowi, celem dostania się do owego pokoju posługaczów więziennych; reszta zaś więźniów rozsypała

się umyślnie po całym dziedzińcu, aby odwrócić oczy straży od naszych zamiarów. Nie potrzebuję, zdaje się, wspominać, z jak bijącem sercem i z jaką niespokojnością oczekiwaliśmy tej stanowczej chwili. Zbliżywszy się do drzwi i wybrawszy stosowną chwilę, gdy żołnierz, stojący na straży, odwrócił swe oczy w przeciwną stronę, wsunęliśmy się po cichu do pokoiku posługaczy. Pokój był pusty, posługacze bowiem byli zajęci podówczas zamiataniem celek. W parę minut towarzyszący nam współwięzień odważył gwoździe, przytrzymujące drzwi, które prowadziły na inspektorski korytarz, a następnie wziął się do zamka. Ale tu niespodziewana zawada: zamek na pierwszy spust z łatwością odłożono, lecz dalej żadne wysilenia nie pomogły; a tu trzeba było się śpieszyć, bo lada chwila mógł ktoś z posługaczy lub dozorców wpaść i złapać nas na gorącym uczynku. Zaczęto, nie zważając na mogący wyniknąć hałas, dłótem podważać zamek i próbować na różne sposoby, lecz wszystko napróżno.

— Odłóżmy lepiej ucieczkę na jutro, bo dziś niepodobieństwo dłużej tu zostawać — szepnąłem mym towarzyszom.

Wszyscy uznali z żalem słuszność mej rady. Założywszy znów gwoździe, wyszliśmy z posmutniałemi twarzami, niepostrzeżeni na szczęście przez nikogo ze straży.

Rozczarowanie nasze było wielkie, ale nadzieja niezupełnie jeszcze upadła. Opowiedziawszy towarzyszom niespodziewaną i fatalną przeszkodę, zaczęliśmy się naradzać, co na to poradzić. Zgodzono się po różnych projektach, że postarają się o dorobienie klucza do drzwi owych i ucieczkę znowu tymże samym sposobem będziemy próbować, bo innego nie było. Napisano zaraz list do Królikowskiego, prosząc, aby się wstrzymał ze swoją ucieczką, ustępując nam, jako bardziej zagrożonym, pierwszeństwa. Mała jednak była nadzieja, aby go ten list dzisiaj jeszcze mógł dojść i wstrzymał projektowaną przez niego nocną eskapadę.

Niepowodzenie to znacznie, muszę się przyznać, osłabiło moją nadzieję, rozwiewając naraz wiele szczęśliwych marzeń o swobodzie. Postanowiłem jednak do ostatka próbować swego ocalenia, choćbym nawet nie wierzył w środki, jakie nam zostały. Całe więzienie, naturalnie prócz władzy więziennej, poruszone było tem niepowodzeniem i stało się ono niejaką

ostrogą dla wielu z współwięźniów, pobudzając ich do energiczniejszej dla nas pomocy. Nawet owi przeciwnicy ucieczki zaczęli, chociaż może niechętnie i już za późno, cofać się od swojej wczorajszej decyzyi, a może niektórzy rzeczywiście żałowali, że pozwolili unieść się prądom swego egoizmu.

Niespokojnie i ciągle się przebudzając, przepędziłem noc następną, oczekując, co nam dzień przyniesie i jakie wieści od Królikowskiego otrzymamy. Nazajutrz odebraliśmy tajemnym sposobem list od Królikowskiego, w którym pisał, że z powodu zbyt jasnej nocy nie mógł uciekać, obawiając się, aby, gdy mur będzie przechodził, nie został spostrzeżony przez wartę, chodzącą wokoło szpitala. Nadmieniał również, że ucieczkę swoją odkłada, ustępując nam pierwszeństwa, a zresztą w Wielką Niedzielę, t. j., jutro przyjdzie do Hausvogteiu, aby osobiście z nami się rozmówić. Tak więc z tej przynajmniej strony nie doznaliśmy przeciwności, bo ucieczka Królikowskiego pewno podwoiłaby czujność straży i u nas.

Jednakże wczorajsze nasze usiłowania wydobycia się z więzienia, czy też może tajemnicze szepty i niezwykłe jakieś zbierania się w gromadki więźniów zwróciły widać uwagę pilnujących nas policyantów, bo jeden z nich, Alberts, który był rewizorem naszego pawilonu, przynosząc obiad, zaczął mnie i Radziwiłłowi opowiadać dziwny sen, jaki miał tej nocy.

— Śniło mi się — mówił — że Ritter von Lipowski, przedarłszy się przez mury Hausvogteiu, zaczął uciekać do Berlina, a ja go goniłem i goniłem, ale »Ritter« coraz to dalej uciekał i znikł mi gdzieś na zakręcie ulicy.

Gdy mi Radziwiłł przetłómaczył po polsku jego opowiadanie, zacząłem śmiać się, ale nie szczerze, aby ukryć chwilowe zmieszanie na twarzy, mówiąc do niego przez Radziwiłła, iż ja za kilka dni będę wolny, więc nie potrzebuję uciekać; a zresztą z Hausvogteiu choćby kto i myślał, to niepodobieństwo jest wymknąć się przy takiej baczności pilnujących. Nie wiem, czy Alberts uwierzył mojemu śmiechowi i zapewnieniom, ale my postanowiliśmy być jak najostrożniejsi w dalszem postępowaniu.

Ułożyliśmy, iż drugiego dnia świąt Wielkiejnocy, t. j., w poniedziałek, będziemy znowu próbować ucieczki, a to dla tego, iż inspektor cały ten i następny dzień wyjeżdżał do domu,

a zastępował go stary, dawny inspektor, mniej baczny, a zatem pożyteczniejszy dla nas i naszego przedsięwzięcia.

Nazajutrz w wielkie święto Zmartwychwstania Pańskiego wszystko przybrało uroczystą powierzchowność w więzieniu. W celach pozastawiano święcone i oddawano sobie nawzajem wizyty, życząc szczęśliwszej przyszłej Wielkiejnocy. Ja bo cały ten dzień zajęty byłem myślą o jutrzejszej ostatecznej próbie ocalenia, która wisiała na włosku prawie. Umówiwszy się z Królikowskim i opowiedziawszy mu cały nasz plan, który w niczem nie różnił się od raz już próbowanego, jak tylko tem, że wszelkie przygotowania staranniej były poczynione, bo klucz był już dorobiony i wypróbowany, oczekiwaliśmy z gorączkową niecierpliwością dnia jutrzejszego, stanowiącego może o naszem życiu.

Nastąpiła znowu prawie bezsenna, gorączkowa noc. Co chwila budziłem się, oczekując brzasku dnia, który o naszym losie miał stanowić. Jak tylko światło słoneczne uderzyło o kraty mojej celi, nie zamykałem już oka. Około 7-ej przyszedł do mnie Z. Działowski i zaczęliśmy po cichu rozmawiać o mającej nastąpić za kilka godzin ucieczce Aby jak najbardziej ułatwić nam wymknięcie się niepostrzeżone z głównego przynajmniej korpusu więzienia, postanowiono wszystkich posługaczy i pilnujących nas policyantów zaprosić przed 10-tą z rana na święcone. Albertsa, który specyalnie nasz pawilon pilnował, Radziwiłł wziął sobie do częstowania, ręcząc, iż go przez kwadrans przynajmniej zatrzyma u siebie. Jeden z więźniów miał nam dać chustką umówiony znak, jak tylko posługacze i policyanci będą zgromadzeni na święconem. Unikaliśmy przez to możebności spotkania się z nimi na korytarzu lub w tym pokoiku, przez który koniecznie mieliśmy przechodzić. Kilku z więźni za danym takoż znakiem miało pójść do pokoju inspektora, aby zakryć swemi osobami drzwi szklanne, koło których mieliśmy przechodzić.

Tak więc wszystko ułożywszy, a resztę poleciwszy Bogu, wyszliśmy przed 10-tą na dziedziniec, spacerując jak najobojętniej na pozór wraz z kilkunastu innymi więźniami. O samej 10-tej jeden z więźniów, przechodząc koło mnie, szepnął cicho: »Już czas!« Na te słowa, dawszy umówiony znak Dutkiewiczowi i Żórawskiemu, aby byli w pogotowiu, sam zaś z Dzia-

łowskim zacząłem zmierzać wolnym, jakby od niechcenia, krokiem ku drugiemu dziedzińcowi, spoglądając na okno, z którego mieliśmy ostateczny sygnał otrzymać. Za chwilę pokazała się ciemna postać W. w oknie, trzymając białą chustkę na piersiach. Serce zabiło mi gwałtownie; ścisnąwszy za rękę Działowskiego, przeszedłem z nim na drugi dziedziniec, zmierzając ku stancyi posługaczów. Na tym małym dziedzińcu kilkunastu umyślnie zgromadzonych współwięźniów otaczało stojącego na straży gwardzistę pruskiego, częstując go cygarami i zabawiając rozmową, podczas gdy drudzy, nie zważając na drobny deszczyk, nibyto grali w piłkę. Przesunąwszy się niepostrzeżenie między murem a żołnierzem i upatrzywszy stosowną chwilę, weszliśmy prawie poza plecami stojącego na warcie żołnierza do pokoju posługaczów. Żołnierz, zajęty rozmową, nic nie widział. Przyłożywszy ucho do drzwi, prowadzących na korytarz inspektorski, aby przekonać się, czy kogo tam niema, słuchaliśmy przez chwilę, zatrzymawszy dech w piersiach, nachyleni i nieruchomi. Wszędzie panowała cisza. Jeden z więźniów, towarzyszący nam umyślnie, odsunął lekko zagięte gwoździe i kluczem dorobionym cichutko drzwi otworzył. Teraz dopiero nastąpiło niebezpieczna chwila, ale nie było czasu do namysłu i wahania: każda minuta stanowiła o ocaleniu lub zgubie.

— Idźcie z Bogiem! — szepnął towarzyszący nam Wil.

Ja z Działowskim wyszedłem najprzód, trzymając się razem pod rękę i przyciskając nią gwałtownie kołaczące się serce. Za nami o kilka kroków postępował Dutkiewicz z Żórawskim. Przechodząc na palcach koło szklannych drzwi inspektora, rzuciłem w nie niespokojne i trwożliwe spojrzenie. Inspektor siedział w fotelu, lecz tak umiejętnie otoczony był rozmawiającymi z nim więźniami, iż żadnym sposobem ani widzieć, ani słyszeć nas nie mógł. Odetchnąłem troszkę, przeszedłszy tę pierwszą przeszkodę. Zbliżaliśmy się do końca korytarza prowadzącego na podwórze, na którem był odwach. »Tu już koniecznie zobaczą nas i zatrzymają«, myślałem w duchu, idąc jak na ścięcie i opierając się silnie na ramieniu Działowskiego, który jako najmniej tracący w razie złapania, był też najspokojniejszy. »Jeżeli złapią, mam zawsze jeszcze środek uniknięcia rąk mo-

skiewskich«, szepnąłem sobie w duchu, myśląc o truciźnie, jaką mi jeden z więźni na wypadek udzielił.

Najważniejsza nareszcie chwila dla nas nastała. Wstąpiliśmy na dziedziniec i zbliżyli do odwachu. Dwóch czy trzech żołnierzy stało we drzwiach odwachu, rozmawiając z sobą. Gdy nas ujrzeli, przerwali rozmowę, przypatrując się nam ciekawie. Zatrzymają nas, pomyślałem, jak dojdziem do nich — a oddzielało nas tylko kilka kroków. Kiedyśmy przechodzili koło nich, zwróciłem w inną stronę spojrzenia, aby niepokój moich oczu nie zdradził mnie. Oddech zatamował mi się na chwilę w piersiach, szedłem jednak spokojnie napozór, opierając się tylko silniej o Działowskiego.

— *Gut'n Morgen!* — rzekł jeden z żołnierzy, kłaniając się nam z lekka.

— *Gut'n Morgen!* — odpowiedzieliśmy, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Czy żołnierz wziął nas za jakich urzędników więziennych czy za gości inspektora, wracających z powinszowania świąt Wielkiejnocy, nie wiem dotychczas, lecz to wiem, że nas nie zatrzymano. Weszliśmy w korytarz, wprost odwachu będący, a prowadzący już na ulicę. Odetchnąłem swobodniej, widząc się o kilkanaście kroków od wyjścia. Chciałbym jednym skokiem stanąć u drzwi owych, oddzielających mnie od swobody, a tu trzeba było całą siłą woli wstrzymywać się i stąpać powolnie, bo lada pośpiech, lada krok szybszy mógł nas przed okiem patrzącej straży zdradzić i zgubić. Tak byłem zmęczony tylu bezustannemi wrażeniami, iż prawie machinalnie, trzymając się Działowskiego, postępowałem z nim razem. Połowę już korytarzaśmy przeszli, gdy nagle drzwi wchodowe się otwarły i stanął naprzeciw nas tłómacz czy jakiś inny mały urzędnik sądu naszego.

— Zgubieni jesteśmy — szepnąłem do Działowskiego, wstrzymując się na chwilę, gdyż sił prawie mi zabrakło i cała krew zdawała się zbiegać do serca, które gwałtownie kurczyło się i biło jak młotem.

— Chodź, chodź! — odrzekł Działowski — to nic — lecz myślę, iż sam nie wiedział, co mówi, i pociągnął mnie za sobą.

Poszliśmy znów naprzód po tym chwilowym, prawie niepostrzeżonym przestanku, ryzykując się na wszystko i nie tra-

cąc jeszcze przynajmniej kompletnie nadziei. Naprzeciw nas sunął się powoli rudawy w okularach Niemiec, przyciskając się do ściany i patrząc ze zdziwieniem na nas. Ot, teraz, pomyślałem w duchu, gdyśmy się z nim zrównali, zawoła na odwach: »Aresztujcie: to więźniowie uciekają!« — Przeklęty Niemiec! — szepnąłem, przechodząc z obawy do gniewu, i spojrzałem na niego niezbyt przyjaznemi oczami. Niemiec zatrzymał się chwilkę, przepuszczając nas przed sobą, ukłonił się z wdzięcznym »*Gut'n Morgen!*« i pobiegł po schodach na górę.

Czy nas nie poznał, czy też poczciwość i szlachetność wzięła górę, to niech inni rozstrzygną. Wyraźnie Bóg opiekował się naszą ucieczką. Odżyłem znowu; ale ten blizki cel naszych usiłowań, te drzwi, o kilka już kroków od nas będące, tak mnie przyciągały do siebie, iż mimo głosu rozsądku, mimo gwałtownych usiłowań, nie mogłem wstrzymać nóg swych, szykujących się do biegu. A tu jeszcze trzeba było grać rolę spokojnego, bo oczy żołnierzy ciągle na nas były zwrócone. Przycisnąłem się silnie do ramienia Działowskiego, aby nogi same naprzód mnie nie poniosły, tem bardziej, iż takich doznawałem uczuć, jak gdyby coś podnosiło mnie za podeszwy, jak gdyby skrzydła jakieś przyprawiono mi do kolan, a podłoga tak mi się zdawała spadzistą, iż kompletnie na palce się spinałem, by nie upaść w przepaść, pod nogami leżącą. O parę kroków od drzwi nie mogłem już utrzymać się na tej okropnie pochyłej podłodze i prawie upadłem rękami na klamkę. Otworzyłem drzwi i stanąłem na bruku otwartego placu — byliśmy wolni, a przynajmniej bardzo blizcy wolności.

XXIX.

Wyjazd z Berlina. — Noc w Halli — w Augsburgu. — Przez Szwajcaryę do Paryża.

Odetchnąłem całemi piersiami i uspokoiwszy się prawie zupełnie, jak gdyby nic nam już grozić nie mogło, spojrzałem na postępujących za nami towarzyszów. Byli bladzi, jak ściana, a w oczach malował się niepokój, którego jeszcze pozbyć się nie mogli. I nic dziwnego, bo dopiero połowę naszego przedsięwzięcia ukończyliśmy. I moja twarz musiała takoż być blada, a oczy niespokojne, bo poza nami przez nawpół uchylone drzwi spoglądały jeszcze kraty więzienne. Tyle jednak mogłem już zapanować nad sobą, że odwróciwszy się, drzwi więzienne zamknąłem, a nawet klucz przekręciłem w zamku.

Zatrzymawszy się na jedno mgnienie oka, jakby dla rozmysłu, w którą stronę się udać, ruszyliśmy brzegiem placu, zmierzając ku jakiejś małej ulicy Berlina, aby jak najśpieszniej od Hausvogteiu się oddalić. Żórawski tak był zmieszany, iż nie zważając na miejsce, w jakiem się znajduje, zaczął co sił zbierać nogi, biegnąc jak opętany.

— Stój, stój! — szepnąłem, bo wszystkich nas zgubisz.

Na szczęście Dutkiewicz schwycił go za rękę i zatrzymał natychmiast. Kilku przechodzących Niemców po placu ze zdziwieniem spoglądało na nas.

— Rozdzielmy się! — szepnął Działowski i pociągnął mnie na lewo w małą uliczkę, podczas gdy oni w przeciwną poszli stronę. Szliśmy tak jakiś czas, nic nie mówiąc, kołując po małych i krętych uliczkach.

— Wsiądźmy w dorożkę! — rzekłem po cichu.

— Nie, nie można! Och, mój Boże, czy się to uda? — szeptał Działowski, rzucając na różne strony niespokojne spojrzenia.

— Ależ uda się, uda; widzisz, żeśmy już daleko od więzienia — odrzekłem, uradowany.

— Och, czy się to uda? — szeptał znów, jakby mnie nie słysząc.

Spojrzałem na niego, zdziwiony: był więcej pomieszany na ulicy, niż gdyśmy odwach przechodzili pod spojrzeniami pilnujących żołnierzy. Lecz to pomieszanie niedługo trwało.

— Wsiądźmy w dorożkę! — powtórzyłem znowu.

— To niebezpiecznie; idźmy jeszcze dalej. Nie lękaj się: już ja podjąłem się ułatwiać ucieczkę, to pozwól mi ją prowadzić.

Zgodziłem się w milczeniu na jego żądanie. Kiedyśmy skręcali w jakąś poprzeczną ulicę, ujrzałem zmierzający powolnie ku nam omnibus.

— Wsiadajmy w omnibus — szepnąłem Działowskiemu.

— Wsiadajmy — odpowiedział po chwili — to bezpieczniejsze jak dorożka.

Za chwilę siedzieliśmy już na ciasnych miejscach omnibusa, napełnionego Niemcami i Niemkami w świątecznych strojach.

— Jeżeli nawet — pomyślałem sobie — spostrzegli już naszą ucieczkę i wysłali za nami pogoń, to przecież omnibusów nie będą rewidować.

Jechaliśmy powolnie, jak zwykle niemieckie omnibusy jeżdżą. Spoglądałem przez okno na przechodniów i domy uliczne, choć myśl moja gdzieindziej błądziła. Nagle Działowski dotknął mnie nogą, pokazując coś oczami, w których przestrach zaczął się malować. Spojrzałem w stronę, w którą mi wzrok jego wskazywał, i ujrzałem z niemałem zdziwieniem i przerażeniem, iż wjeżdżaliśmy na plac hausvogteiski, tuż obok więzienia.

— Och, przeklęta myśl — pomyślałem w duchu — która nas do tego omnibusu zawiodła.

Rzuciwszy okiem z ubocza na gmach więzienny, od którego oddaleni byliśmy tylko na jakie 15 kroków i do którego, choć powolnie, ciągle jednak coraz bardziej zbliżaliśmy się, ujrzałem główne drzwi więzienia otwarte a w nich żołnierzy i policyantów, spoglądających na ulicę i na nasz omnibus. Odwróciłem głowę i wyjąwszy chustkę od nosa, zacząłem niby pot

obcierać, choć wcale chłodno było, zakrywając tym sposobem twarz swoją. Gdyśmy zrównali się z otwartemi drzwiami więzienia, czułem znów, że tchu mi braknie i czekałem prawie na pewno jak krzykną: »Halt!« i każą nam z omnibusu wysiadać. Przejechaliśmy jednak szczęśliwie i wszystko skończyło się na strachu.

Odetchnąłem swobodniej, gdyśmy wysiedli na placu koło Muzeum i poszli dalej piechotą do naznaczonego i umówionego domu. Przybywszy na naznaczone miejsce do dwóch nieznanych, lecz uprzedzonych o naszem przybyciu Niemców, zajęliśmy się przebraniem, aby jak najbardziej się odmienić. Ja natychmiast kazałem czekającemu już tam cyrulikowi ogolić sobie kompletnie wąsy i brodę, a włosy, które zawsze bardzo długie nosiłem, krótko ostrzydz; Działowski zaś zrzucił frak, w którym z więzienia uciekał, wziąwszy jakieś inne odzienie. Ukończywszy swoją toaletę, wyszliśmy wraz ze starszym Niemcem na miasto, kierując się ku umówionemu punktowi, gdzie na nas miała kareta oczekiwać.

Wszystko było jak najściślej przygotowane: kareta czekała na moście i zawiozła nas na sam prawie koniec Berlina, do jednej z oddalonych restauracyi. Kazawszy sobie podać śniadanie, oczekiwaliśmy z niecierpliwością na przybycie drugiego, młodszego Niemca, który poszedł, aby z Dutkiewiczem i Żórawskim się skomunikować, przywieźć ich do tejże samej restauracyi, skądbyśmy razem w dalszą puścili się podróż. Podano nam śniadanie, lecz przyznam się, iż wzruszenia tego poranku zupełnie odebrały mi apetyt, a przytem zdawało mi się, iż wszyscy, znajdujący się w sali, szpiegują nas, wiedząc już, żeśmy z więzienia uciekli. W niespełna godzinę przybył wysłany dla odnalezienia naszych towarzyszy Niemiec, oświadczając, iż oni, pomimo że znalazł ich pod naznaczonym adresem i że pokazał kartkę odemnie, na której wypisane było umówione hasło, widzieć się z nim nie chcieli, obawiając się widać zdrady. Zdziwiła nas ta niewytłómaczona bojaźń, która odebrała im na chwilę i rozsądek, bo gdyby nawet przypuszczali podrobioną i sfałszowaną kartkę i łapkę policyjną w tym wysłańcu, to pocóż przyznawali, że są w tym domu, a wyjść nie chcieli, jak gdyby policya nie miała sposobu, wiedząc, że tam są, wyciągnąć ich gwałtem?

Posłaliśmy drugi raz Niemca z karteczką, przez nas obudwóch napisaną, sądząc, że tem uspokoimy wszelkie nierozsądne podejrzenia. W pół godziny powrócił znów wysłaniec z takimże samym rezultatem, jak i pierwej, z tą tylko różnicą, iż na dawnem mieszkaniu oświadczono, że ich niema wcale i nie wiedzą, dokąd się udali. Widocznem było, iż podejrzywali wysłańca naszego o zdradę, przypuszczając, iż my już zapewne zostaliśmy schwytani. Nadmienił nam przytem ów Niemiec, iż o naszej ucieczce wiedzą już w policyi, że nawet wysłano już rozkazy do wszystkich cyrkułów Berlina celem jak najściślejszych poszukiwań; na drogach zaś żelaznych w różne strony rozesłano telegramy z naszymi rysopisami. Nie mieliśmy zatem i chwili czasu do stracenia, zwłaszcza iż podobno miano i na główne punkta wyjazdowe Berlina wysłać rozkaz rewidowania podejrzanych powozów lub karet. Rozpłaciwszy się przeto w restauracyi i poleciwszy owemu wiecznie biegającemu Niemcowi, aby ile możności starał się z naszymi podejrzliwymi towarzyszami zobaczyć i do naznaczonej poza Berlinem wioski, gdzieśmy wyjeżdżali, i ich przywieźć. Chcieliśmy bowiem koniecznie, według umowy, razem z nimi dalszą podróż odbywać.

Wsiadłszy do karety z Działowskim i owym starszym Niemcem, wyjechaliśmy pośpiesznie za miasto, ukrywszy się przez ostrożność w głębi karety. Po paru godzinach drogi przybyliśmy do celu naszej niespodziewanej podróży. Wioska ta bywa przedmiotem wycieczek w porze letniej, jako punkt spacerowy dla Berlińczyków, nazwisko jej jednak wyszło mi już z pamięci. Zajechawszy znów do restauracyi i kazawszy sobie dla pozoru podać jakąś zakąskę do oddzielnego pokoju, zaczęliśmy rozprawiać o dalszym planie ucieczki i o naszych ukrytych gdzieś towarzyszach, których postępowanie było dla nas niewytłómaczone. Działowski, który im bardziej od niebezpieczeństwaśmy się oddalali, tem był ostrożniejszy, wyszedł wraz ze starszym Niemcem do poblizkiego lasu, aby pilnować, czy czasem nie pokażą się żandarmi, wysłani z Berlina z listami gończymi; ja zaś, pragnąc po tylu wrażeniach i nocach prawie bezsennych odpocząć, zostałem w pokoju, prosząc aby mnie zamknęli w nim na klucz dla uwolnienia się od rozmów gadatliwej restauratorki. Położywszy się na kanapce, zaczynałem już

z marzeń do snu przechodzić, kiedy turkot zajeżdżającego powozu nagle mnie rozbudził.

— To pewno nasz Niemiec z Żórawskim i Dutkiewiczem przyjechali.

Pobiegłem do drzwi, aby wyjść na ich spotkanie, ale drzwi według mego życzenia były na klucz zamknięte. Rzuciłem się przeto ku oknu, aby ich choć słowami powitać. Nachyliwszy się nad oknem, ujrzałem wysiadającego z powozu najprzód naszego młodszego Niemca, a za nim w ślad wyskoczył, lecz nie Żórawski ani Dutkiewicz, tylko urzędnik policyjny. Zimno od stóp do głowy mnie przeszło.

— Ach, podły zdrajca Niemiec! — pomyślałem z przekleństwem w duszy — Sprzedał nas rządowi. Co tu robić? Uciekać. Ale jak? Drzwi zamknięte na klucz, okna choć nie wysokie, lecz wychodzą wprost na wyjazd, gdzie stoi powóz, w którym zapewne ukryty siedzi jaki policyant lub żandarm. Nigdzie żadnego ratunku. Żeby choć broń jaka, możnaby jeszcze Niemcowi za zdradę zapłacić.

Tymczasem na korytarzu, prowadzącym do mego pokoju, słychać było już ich kroki i głos restauratorki, wskazującej na pokój, w którym byłem zamknięty. Za chwilę kroki ich zbliżyły się do drzwi i zastukano silnie. Nie odezwałem się, chcąc ukryć swoją obecność. Drugi raz zastukano: ja milczę, przyciskając tylko silnie nóż, wzięty ze stołu, który niewielką mógł stanowić obronę.

— Czy Pan usnąłeś? — odezwał się łamaną francuszczyzną Niemiec — otwórz Pan: mamy pomówić.

— Niema rady — pomyślałem — drzwi wyważą, a zresztą może to nie policyjny urzędnik, może mnie oczy ze strachu pomyliły.

— Kto tam jest z Panem? — zapytałem zmienionym głosem.

— To mój przyjaciel; a gdzie Działowski?

— Oni poszli do lasu — rzekłem, uspokojony trochę — a mnie tu zamknięto.

— W której stronie lasku? To my do nich pójdziemy.

Powiedziałem im przeciwną stronę; lecz widząc, że odchodzą, nie myśląc o aresztacyi, wyskoczyłem przez okno i przypatrzywszy się, że w powozie nikogo niema, połączyłem się

z nimi. Po spotkaniu się z Działowskim cała rzecz się wyjaśniła. Nieznajomy ów był rzeczywiście urzędnikiem policyjnym, ale dobrze zapłacony, pomagać nam miał w dalszej ucieczce przez wskazanie dróg żelaznych, na które nie posłano jeszcze telegramów. Uspokojony zatem w zupełności, sam się śmiałem ze swego przerażenia.

Co do naszych towarzyszy, to wszelkie starania dla skomunikowania się z nimi były płonne. Nie mogąc zatem dłużej już w tej wioseczce oczekiwać, zwłaszcza że wieczór się już zbliżał, pojechaliśmy wszyscy i z owym urzędnikiem na stacyę kolei żelaznej, prowadzącej do miasta Halli, na samej już granicy Prus będącej. Na tej drodze, jako należącej do bocznych dróg, żadnych (wedle słów urzędnika) nie było do tego czasu ostrzeżeń lub zawiadomień policyi o zbiegach hausvogteiskich. Przybywszy na stacyę, wsiedliśmy natychmiast do wagonu wraz ze starszym Niemcem, a urzędnik z drugim Niemcem wrócili do Berlina, obiecując w razie potrzeby udzielić pomocy naszym współzbiegom, o co od Działowskiego mocno byli obligowani.

Całą drogę do Halli odbyliśmy szczęśliwie, choć nie bez niepokoju, bo co chwila mogły (w naszem szczególnie wyobrażeniu) przybyć telegrafem nasze rysopisy z rozkazem aresztowania. Późno już w nocy stanąwszy w Halli, zaszliśmy do hotelu na kolacyę, aby siły naszego Berlińczyka i swoje pokrzepić, gdyż odjeżdżał on do Berlina, aby naszym kryjącym się towarzyszom dopomódz.

Odprowadziwszy po kolacyi naszego Niemca na banhof kolei, powracaliśmy z Działowskim ku miastu. Cieszyłem się już myślą wygodnego łóżka i spoczynku po tylu znużeniach i niespokojnościach. Ale inaczej rozrządził Działowski.

— Wiesz co — rzekł mi, gdyśmy już blizko hotelu byli — nie możem tu nocować.

— A to dlaczego? — spytałem, niespokojny i zdziwiony.

— Mogą nas pytać o paszporta.

— Tam do licha! Więc chodźmy do innego hotelu.

— Nie można: wszędzie będą żądać legitymacyjnych kart.

— Ależ trudno na ulicy nocować, tem bardziej po takiem zmęczeniu!

— A jak nas zaaresztują? — zagadnął Działowski.

— Tyle razy przejeżdżałem przez Prusy i nocowałem w hotelach, a nigdy o paszporta nie pytają, tylko zapisuje się w księgę; a przecież łatwo pierwsze lepsze nazwisko wykoncypować — dowodziłem mu przekonywująco.

— A jak przyjdą nocą listy gończe i zaczną rewizye po hotelach?

— Więc cóż robić? — wyrzekłem trochę z gniewem — i gdzie zajść na noc?

— Nigdzie zachodzić nie można, a będziemy sobie chodzić po ulicach.

— Jakto, całą noc spacerować po mieście? — zawołałem, przelękniony.

— Nie można inaczej; proszę cię — dodał upewniającym głosem — już ja wiem, jak robić: ja się podjąłem prowadzić ucieczkę, pozwólże mi ją doprowadzić do końca. A to na samym końcu, dla jednej nocy zostaniemy schwytani!

Nie było co na to odpowiedzieć; westchnąłem tylko i wziąwszy go pod rękę, puściłem się na miłą, nocną przechadzkę po nieznanem mieście. Chodziliśmy długo, przypatrując się uśpionemu już miastu, gdyż dawno już północ minęła; kilka razy zaczepiały nas patrole i stróże nocni, ale Działowski odpowiadał na ich hasła. Na nasze nieszczęście drobny deszczyk zaczął padać, co wcale nie uprzyjemniło naszego położenia. Chcąc się choć przed deszczem uchronić, skierowaliśmy błędne kroki nasze do wysokiego jakiegoś budynku, sądząc, że w bramie jego, pod wystawką, dogodne ku temu znajdziemy miejsce. Zaledwie jednak wstąpiliśmy do bramy, kiedy „*Wer da?*“ dało się słyszeć, a w ślad za tem wybiegł jakiś żołnierz z bronią i latarką.

— Dobryś! — szepnąłem sobie — wpadniemy jeszcze w niepotrzebne miejsca.

Były to wojskowe koszary. Działowski, którego ostrożność zbyteczną przeklinałem w duchu, wytłómaczył zabłądzeniem się naszą tu obecność i poszliśmy prędko w jakieś kręte ulice.

Nareszcie dnieć zaczęło; nóg już prawie nie czułem. Kolej odchodziła po 6-tej z rana, nie wiele przeto już nam czekać wypadało. Przybyliśmy na stacyę, kiedy ją zaledwie otwierali; publiczności zupełnie nie było. Niedługo jednak kilku punktualnych podróżnych przybyło, aby się nie spóźnić, a za nimi

powoli wkroczyło dwóch żandarmów na platformę. Widok tych stróżów bezpieczeństwa nieprzyjemne zrobił na nas wrażenie. Czy mają jakie rozkazy do rewizyi pasażerów, czy nie mają? Oto główne myśli, jakie nam ciągle po głowie krążyły. Otworzono kasę. Działowski poszedł po bilety, ja zaś pozostałem w kącie korytarzyka, aby nie być na oku żandarmeryi. Jak tylko wagony otwarto, wsiedliśmy natychmiast, wcisnąwszy się w jak najdalsze kąty. Miejsca zaczęły powoli się napełniać, żandarmi przechadzali się po platformie, zaglądając czasami i do wagonów. Niepokój nasz rósł co chwila, aż nareszcie dzwonek dał hasło. Wkrótce i sygnał odjazdu zaświsnął i za chwilę ruszyliśmy z miejsca, śmiejąc się już w duchu ze strasznych niedawno stróżów prawa. W niespełna godzinę przejechaliśmy granicę państwa pruskiego.

— Teraz już — rzekłem do Działowskiego — możemy podziękować Bogu, a ja i Tobie za ułatwienie ucieczki.

— Och, jeszcze niebezpieczeństwo nie minęło, dopókiśmy w Związku niemieckim.

— No, przecież tutaj łapać nas już nie będą?

— Kto wie? Wszak prawa związkowe nakazują wzajemne wydawanie więźniów politycznych i wiele było przykładów — dodał — iż schwytanych zbiegów odstawiano do Berlina.

Zachmurzyła się twarz moja na te jego słowa, zwłaszcza że przyszedł mi na myśl Bakunin i Tekeli.

— Ej — rzekłem — zawsze już najważniejsze rzeczy, a raczej największe niebezpieczeństwo poza nami.

— Jednakże bardzo trzeba być ostrożnymi; dlatego też pozwól, że ja ciągle jeszcze, jako znający język niemiecki, kierować będę ucieczką.

Przyjechawszy do Eisenach i odpocząwszy chwilę, gdyż za blizkie nam się zdawało sąsiedztwo Prus, aby dłużej w niem zostawać, ruszyliśmy bocznemi drogami i robiąc różne zygzaki, jak gdyby rzeczywiście już ścigani, do Koburg-Gotha. Ale i tutaj marszruta Działowskiego nie pozwoliła nocować, choć już drugą dobę nie śpiąc, byliśmy w drodze. Koniecznie nalegał on, aby dotrzeć do Bawaryi do Bambergu i tam odpocząć. Musiałem się na to zgodzić.

Późno już w nocy przejechaliśmy nareszcie bawarską gra-

nicę i stanęli w Bambergu. Tak byłem zmęczony, że zaledwie rozebrawszy się, rzuciłem na wygodne bawarskie łoże i silnie zasnąłem. Nazajutrz, korzystając z godzinki czasu, jaka nam do odejścia kolei żelaznej została, wyszedł Działowski, aby choć po jednej koszuli kupić, bo żadnych rzeczy, prócz tych, co na sobie, nie mieliśmy. Zamiast jednak koszul, bardzo nam potrzebnych, kupił dwa krawaty i po kołnierzyku białym, aby choć oczy obcych ludzi oszukać.

Ubrawszy się w owe kołnierzyki, wyjechaliśmy z hotelu na banhof. Dosyć już podróżnej publiczności spacerowało po platformie, oczekując na odejście pociągu. Działowski, oddzieliwszy się odemnie, poszedł kupić bilety na jazdę. W kilka minut powrócił, lecz zanim zdołałem zbliżyć się do niego po bilet, on dawszy mi ręką i oczami znak ostrzegający, odwrócił się nagle w inną stronę. Obejrzałem się naokoło, rzucając jakby od niechcenia badawcze spojrzenia, aby dowiedzieć się, co mogło spowodować jego obawę; nic jednak takiego w otaczającej mnie publice nie spostrzegłem. Poszedłem więc prosto ku Działowskiemu mimo jego mrugań i znaków i odwracań się, aby się o przyczynie tej mimiki dowiedzieć.

— Cóż to się znaczy? — rzekłem po cichu — czemu uciekasz odemnie?

— W gazetach — rzekł, pokazując mi jakąś niemiecką gazetę — jest opisana nasza ucieczka i zarazem listy gończe z rysopisem i z zawezwaniem, aby nas w związkowych państwach aresztowano i do Berlina odstawiono.

— Któż nas tu pozna? — szepnąłem, choć te gończe listy zaniepokoiły mnie troszkę — Ale dlaczegoż dawałeś mi znaki?

— Dlatego, że w tych listach piszą, iż dwóch w jedną, dwóch w drugą stronę uciekło; a zatem ostrożniej będzie, gdy nie będziemy razem się trzymać.

— Ależ zapominasz — przerwałem mu — że ja po niemiecku nie umiem i w razie jakiegoś ambarasu trudno mi będzie wyplątać się z biedy.

Uwaga moja przekonała go kompletnie i usiedliśmy razem w wagonie. Oprócz nas dwóch tylko jakichś młodych Niemców jechało w tymże wagonie. Działowski, wciągnięty do rozmowy przez naszych towarzyszy podróży, o mało co się

nie zdradził, prostując umieszczone w gazetach szczegóły naszej ucieczki, gdyż o niej z sobą rozmawiali, jako o nowym i dość chwilowo interesującym wypadku przy braku innych wiadomości. Ja, podwiązawszy sobie twarz, niby chory na zęby, zachowywałem wymuszone milczenie.

Przyjechawszy do Norymbergi, gdzie przeszło godzinę na pociąg musieliśmy czekać, ruszyliśmy z niej do Augsburga. Przez drogę, korzystając z wolnego wagonu, gdyż prócz nas nikogo więcej w niem nie było, rozprawialiśmy o owych nieszczęsnych listach gończych, które dosyć nas niepokoiły. Bo czyż nie mógł się znaleźć — myśleliśmy sobie — jaki chciwy pieniędzy, lub też choć pochwały policyant, który przeczytawszy nasze rysopisy w gończych listach, nie zechce gorliwie zająć się przepatrywaniem paszportów podróżnych, zwłaszcza takich, na których podejrzenie jego padać będzie? Tak rozmawiając, przybyliśmy już nad wieczorem o zmierzchu do Augsburga.

Wysiadając z wagonu, gdyż około 2-ch godzin pociąg tutaj się zatrzymywał, ujrzeliśmy z przerażeniem dwóch policyjnych urzędników, prosto na nas oczy swe badawcze zwracających.

— Oj źle! — pomyślałem w duchu.

Wysiadłszy, zmierzaliśmy do banhofu, kryjąc się w tłumie podróżnych, idących do sali bufetowej. Kiedyśmy o kilka kroków od policyantów przechodzili, usłyszałem jak najwyraźniej te słowa: *„Diese zwei Herrn!“* — i szepty jakieś ciszej wymówione.

— Czy słyszałeś? — szepnął mi Działowski, gdyśmy już do sali bufetowej przyszli.

— Słyszałem, lecz może to nie o nas mówiono.

— Miejmy się na ostrożności — szepnął — trącając mnie lekko ręką.

Spojrzałem na salę i o kilka kroków od nas, przy stoliku, zasiedli dwaj owi policyanci nad potężnymi kuflami piwa. Oczy ich ciągle prawie (tak nam się przynajmniej zdawało) na nas były zwrócone. Działowski, zakrywszy się gazetą, szepnął:

— Śledzą nas!

— Być może — odrzekłem po cichu — trzeba stąd się wysunąć niepostrzeżenie.

Spojrzeliśmy po sali: publiczności coraz się umniejszało i położenie nasze coraz zdawało się krytyczniejsze.

— Zostawmy swoje szaliki i Baedeckera podróżnego na stole i wyjdźmy niby na chwilę z sali — szepnął znów Działowski.

Rada była dobra; tak też i uczyniliśmy. Podniósłszy się bez pośpiechu i ułożywszy na stole szaliki i książkę podróżną jakby dla zatrzymania miejsca, wyszliśmy powolnie z bufetowej sali. Na dworze dobry już zmierzch panował i w oddali widać było ciemniejące domy Augsburga.

— Nie możemy już dziś jechać — zawołał Działowski, oddaliwszy się od banhofu — najwyraźniej nas śledzą; musimy wstrzymać się tu do jutra.

— Ale gdzie zanocować: na stacyi czy w mieście? — zapytałem.

Jeszcze nie zdołał mi [odpowiedzieć] Działowski, kiedy ujrzeliśmy dwa cienie policyantów, wysuwające się z banhofu i zmierzające w naszą stronę.

— Widzisz, widzisz ich? — rzekł Działowski i nie mówiąc już i słowa, skierowaliśmy się ku miastu.

Coraz to przyśpieszając kroku, marsz nasz, zrazu powolny, zmienił się na bieg dość szybki. Wpadłszy do Augsburga, zaczęliśmy kołować i kręcić się po rozmaitych krętych ulicach tego starożytnego miasta, aby prawdopodobną pogoń, ścigającą nas, zbić z tropu. Namęczywszy się tem kołowaniem po ciasnych uliczkach, zatrzymaliśmy się chwilkę dla wytchnienia i namyślenia się, gdzie tu nocować nam wypadnie. Staliśmy właśnie naprzeciw dużego jakiegoś domu, rzęsiście oświeconego; nad bramą wielkiemi literami, z lamp ułożonemi, napisano było »Koncert«.

— Chodźmy na koncert! — rzekł nagle Działowski, jakby uderzony szczęśliwą myślą; tam nas przecie policya szukać nie będzie.

— Masz racyę — odrzekłem po małym namyśle i nie zwlekając ani chwili, ruszyliśmy na jasno oświecone schody, kupiwszy w kasie bilety na pierwsze miejsca.

Sala koncertowa, ubrana w kwiaty i otoczona kolumnadą, napełniona była wyborowem, o ile po powierzchowności sądzić było można, towarzystwem. Kilka żyrandolów i mnóstwo

kinkietów rzucało potoki światła na wystrojone *decolté*, jak na bal, Niemki i wyfrakowanych Bawarczyków. Wyobrażam sobie, jakie musiało zdziwienie wywołać pośród tego balowo wystrojonego tłumu pojawienie nasze w zabłoconych butach i odzieniu, w koszulach od tygodniach nie zmienianych, z włosami nieuczesanymi i rozrzuconymi jeszcze skutkiem gwałtownego biegu. We wszystkich rzędach, gdzie nam droga do miejsc naszych wypadała, słyszeliśmy szepty zdziwione i nieprzyjazne. Kobiety krzyczały w obawie o swoje suknie, które nie wiele korzystały, dotykając się naszej zabłoconej odzieży. „*Ach mein Gott!*“, „*Ach Herr Jesu!*“ i jeszcze inne wykrzykniki z różnych stron nas dolatywały. Inni znów, co nas bliżej widzieć nie mogli, sykali na hałas, nie dający im słuchać jakiegoś śpiewu opasłej Niemki, stojącej pompatycznie na estradzie. Doszliśmy nareszcie do miejsc swych, w pierwszym rzędzie będących, i usiedli pod tysiącem zdziwionych i niechętnych spojrzeń.

— A niech go wszyscy dyabli wezmą z tym koncertem! — pomyślałem sobie w duchu.

Obejrzawszy się po sali, ujrzałem niedaleko estrady stojącego oficera policyjnego, który badawcze oko na nas wytrzeszczył. Chociaż to bardzo było naturalne, że policya musi tam oczy swoje posyłać, gdzie się jakiekolwiek zamięszanie dzieje, jednakże ponieważ ja czułem się w niezbyt dobrych stosunkach ze stróżami prawa, a zatem mocno mnie ten wzrok niepokoił. Doskonałe to przysłowie, że na złodzieju czapka gore. Kto ucieka, wszystkiego się lęka, nawet własnego cienia. Ja też dopóty się nie uspokoiłem, dopóki, korzystając z antraktu, nie wyszliśmy z sali koncertowej. Wychodząc z tego koncertu, na którym dotychczas nie wiem, czy grali, czy śpiewali, czy też deklamowali — tak byłem czem innem zajęty — słyszeliśmy, jak nas dla dziwaczności nazywano »Engliszmen«.

Ujrzawszy się na ulicy, nie rozmyślając się długo nad wyborem bezpieczniejszego hotelu, weszliśmy do jakiegoś drugorzędnego zajazdu i tam przenocowali. Nazajutrz rano, pokrzepieni snem i śniadaniem, poszliśmy już śmiało na banhof, unikając zawsze policyjnych mundurów, i siadłszy do wagonów, dojechali szczęśliwie do Lindau. W Lindau wprost z kolei pobiegliśmy nad brzeg Bodeńskiego jeziora, pragnąc natychmiast statkiem do Szwajcaryi odpłynąć. Na szczęście statek jak raz

podnosi kotwicę. Ruszyliśmy ku niemu. Przy samem wsiadaniu wyrośli, jakby z pod ziemi, żandarmi, pytając się o paszporta.

— *Haben Sie Pass?*

— Mamy, mamy! — odpowiedzieliśmy obaj i jak gdyby śpiesząc się do mającego odpłynąć już parochodu, wbiegliśmy na pomost, nie zatrzymując się wcale.

Żandarmi bawarscy bardzo widać obojętnie traktują kwestyę paszportową, bo nawet słowami nie starali się nas zatrzymać. Za chwilę wypływaliśmy już z przystani na wielkie Bodeńskie jezioro.

Byliśmy nareszcie zupełnie bezpieczni i wolni. Zostawialiśmy poza sobą płaskie brzegi Związku niemieckiego i przybliżali się do piętrzących się w niebo brzegów szwajcarskiej republiki. Cóż za piękny widok przy wyjeździe z Lindau! Zaledwie się minie rzeźbionego lwa, zamykającego przystań Lindau, rozlewa się przed okiem cudowny widok nieprzejrzanego łańcucha gór, wznoszących się jakby amfiteatralnie dookoła wód przestrzeni.

W kilka godzin przybyliśmy do Romanshorn, a stamtąd do Konstancyi. W tem ostatniem mieście znowu nieprzyjemnieśmy byli przywitani widokiem niemieckich mundurów stojącej nad brzegiem policyi. Ale wszystko obeszło się tylko na niepotrzebnym strachu, bo nawet już i o paszporta się nie pytano. Chociaż przyznam się, że gdy przypływając do brzegu, ujrzałem te germańskie mundury i dowiedziawszy się, że to straż związkowa, a zwłaszcza gdy u wysiadających przed nami oglądali jakieś papiery, zimno mnie trochę przeszło na myśl, że u samego końca możemy być złapani; a wiadomo, że najgorzej blizko portu utonąć. Pokazało się jednak, że oglądano u mających towary jakieś tam handlowe czy inne bilety, a poczciwym pasażerom, uciekającym z więzienia berlińskiego, dawano zupełny pokój.

Ostrożność jednak nasza nie była tak zbyteczną, jakby się zdawało, bo jak to się później od znajomych, bawiących w Bawaryi, dowiedziałem, aresztowano w Monachium niejakiego Lipowskiego, sądząc, że mnie aresztują, gdyż, jak wiadomo, ja pod temże nazwiskiem w Berlinie siedziałem. Naturalnie,

że w kilka dni po wyjaśnieniu rzeczy, owego Lipowskiego wypuszczono na wolność.

Wyszedłszy ze statku i przeszedłszy pomiędzy szeregiem żołnierzy na przystani stojących do kolei żelaznej, ruszyliśmy do Bazylei, gdzie nad wieczorem szczęśliwieśmy stanęli. Napisałem zaraz list do Warszawy, aby moją familię, wiedzącą o mem więzieniu berlińskiem, uspokoić.

Nazajutrz po dobrym wypoczynku ruszyliśmy do głównego i bezpiecznego już teraz celu naszej podróży, do Paryża, gdzieśmy późno już wieczorem przybyli.

XXX.

Napływ emigracyi do Paryża. — Mierosławski. — Ks. Adam Sapieha i hr. Jan Działyński. — Polityczne rozbicie emigracyi. — Policyjna wizyta. — Zjazd w Dreznie. — Kurzyna reprezentantem Rządu Narodowego poza granicami kraju. — Zawiązanie tajemnego stowarzyszenia i jego cele. — Zwierzchowski.

Po niefortunnem szukaniu stancyi w kilku paryskich hotelach, gdzie nas pod pozorem braku miejsca, a rzeczywiście w obawie, aby niepocześnie odziani i bez żadnych tłumoków lub sakwojaży podróżni nie chcieli wymknąć się bez opłaty należności, nie chciano na noc przyjąć, na szczęście przypomniałem sobie adres hotelu »Maroque«, gdzie dawniej mieszkałem; tam więc nas dla starej znajomości przyjęto.

Nazajutrz obudziwszy się po długim i ożywczym śnie, zaledwie wierzyć chciałem własnym oczom, iż ja nareszcie jestem w Paryżu! Spojrzałem zdziwiony na okno bez krat i dziedziniec bez straży wojskowej. Więc rzeczywiście to nie sen nasza ucieczka? Jestem wolny i bezpieczny od wszelkiej pogoni?

Jak tylko Działowski się obudził, ruszyliśmy na miasto zobaczyć się z dawnymi znajomymi i kupić choć po jednej koszuli i po kapeluszu, aby jako tako się przyodziać.

Wieczorem przyszedł do mnie Janczewski, dla którego wiadomość o mej ucieczce bardzo była pożądaną wieścią. Został on bowiem oskarżony między innemi i o denuncyowanie mnie przed władzami pruskiemi i spowodowanie tym sposobem mej aresztacyi, aby łatwiej ukryć roztracenie funduszów narodowych, w jego ręce powierzonych. Główne oskarżenie było naturalnie skierowane na zmarnowanie pieniędzy, na broń Janczewskiemu przez Rząd Narodowy wręczonych. Moja przeto ucieczka pozwoliła Janczewskiemu przedstawić własnoręczne moje zaręczenie, iż on pod żadnym pozorem nie może być

o denuncyowanie mnie posądzony; owszem, wszelkiemi nawet siłami starał się wydobyć mnie z Berlina i w tym celu (jak się później dowiedziałem) posyłał kilka umówionych osób dla ułatwienia mi ucieczki.

Denuncyantem naszym, jak ogólnie przynajmniej mówiono, był Garfunkel czy Karfunkel, ajent komisowego domu Giwartowskiego, który wziąwszy pieniądze, lekkomyślnie mu przez Janczewskiego powierzone na zakup broni, pragnął je przy sobie zatrzymać i w tym celu wszystkich nas denuncyował. Omylił się jednak w rachubie, bo nie wiedząc, że Janczewskiego niema w Wrocławiu, sądził, że i jego wpakuje za kraty, o co mu naturalnie najwięcej chodziło.

W parę dni po naszem przybyciu do Paryża ogłoszono w gazetach francuskich szczegóły naszej ucieczki i przyjazd do Paryża, co zawiadomiło wielu życzliwych mi przyjaciół o szczęśliwem uniknieniu niebezpieczeństwa. Niektórzy, dowiedziawszy się o moim adresie, odwiedzili mnie zaraz, rozpytując się i opowiadając nawzajem o swoich wypadkach.

Młoda emigracya coraz to powiększała się. Powstanie prawie już zagasło; zaledwie ślady walki na wyniszczonej i zakrwawionej ziemi polskiej pozostały. Czyż może być — myślałem sobie — aby tyle poświęceń, tyle krwi, tyle wysileń nadludzkich prawie pozostało niepłodnem drzewem, znikło bez śladu, jak sen, jak ubiegłe wspomnienie?

Większa część przyjmujących ważny udział w powstaniu i grających w niem główniejsze role, była już na emigracyi uważając sprawę narodową, jeżeli nie za straconą, to przynajmniej za odłożoną do dalekiej przyszłości, lub do zbiegu wypadków europejskich. Mierosławski, z którym wkrótce po przyjeździe się zobaczyłem, zajęty był, jak zwykle, pisaniem i oskarżaniem zdrajców, przeszkadzających mu wybawić Polskę. Przygotowywał do druku broszurę p. t.: »Dokumenta organizacyi jeneralnej«, w której piorunował na Rząd Narodowy, Czartoryskiego, partyę reakcyonistów, złodziei i t. p. Broszura ta, na której wiele budował, tylko jeszcze bardziej zniechęciła przychylnych mu, a rozsrożyła i oburzyła licznych jego przeciwników. Oprócz tej broszury zresztą nie zajmował się poważniejszą pracą, pędząc wieczory w gronie kilkunastu wiernych mu do ostatka, którym w rodzaju prelekcyi rozpowiadał historyę

naszego powstania, jak to jego ciągle oszukiwali, jakiej to zdrady dopuszczał się względem niego Rząd Narodowy i co on byłby uczynił, gdyby choć na miesiąc władzę mu oddali. Na tych pseudoprelekcyach bywałem i ja z ciekawości i dla resztki bardzo już małej sympatyi, jaka we mnie do tego i nieszczęśliwego i szalonej zarozumiałości i oburzającego swym nietaktem, swym gwałtownie zjadliwym językiem człowieka pozostała. Sądziłem zawsze, że te zdolności, jakie mu natura udzieliła, będzie można choć w części dla sprawy zużytkować.

Między wybitniejszemi osobistościami, około których skupiały się liczniejsze koła młodej emigracyi, byli ks. A. Sapieha, komisarz Rządu na miejsce ks. Czartoryskiego naznaczony, i hr. Działyński, organizator w. ks. Poznańskiego. Obaj ci obywatele, magnaci, z którymi wkrótce po przyjeździe się poznajomiłem, byli (hr. Działyński szczególniej) zapalonymi patryotami i zupełnie oddanymi sprawie narodowej. Obadwaj jednak, nie zważając na tysiączne zapewnienia i dowody swego stałego przystąpienia do partyi ruchu, byli ciągle i bezustannie podejrzywani o zamiary reakcyjne, o służenie tajemnie widokom arystokracyi i t. p. Młoda emigracya, rozdrażniona niepowodzeniami naszego powstania, w szlachcie czyli partyi Białej szukała źródła nieszczęść i klęsk upadającej walki narodowej. Każda partya widziała winę w drugiej, siebie uważając tylko za prawdziwie patryotyczną.

W kilku długich rozmowach, jakie miałem z ks. Sapiehą, mogłem przekonać się, iż on w zupełności podzielał nasze zasady. Wszelkie projekta i zamiary partyi ruchu słowo w słowo zgadzały się z jego zamiarami. Po kilka razy powtarzał mi: »Jeżeli partya rewolucyjna nie życzy sobie, abym pełnił obowiązki komisarza rządowego, gotów jestem złożyć swój urząd i pieczęć natychmiast w ręce Pana oddam. Czegoż więcej chcą odemnie? Będę służył na stanowisku, na jakiem mnie sami postawią; niechajże tylko wierzą, że i ja kraj kocham«. Zdawałoby się, że jaśniejszego i kategoryczniejszego wyznania nie można było żądać; zdawałoby się, że prawdziwi patryoci powinniby poprzestać na tych zaręczeniach i nie odrzucać pracy człowieka, który przez swe stosunki dosyć mógł pomagać. Wszelkie jednak moje perswazye i zapewnienia co do ks. Sapiehy na nic się nie zdały. Odpowiadano, gdym powtarzał tym

zapaleńcom jego słowa, że to zdrada przez niego tak pięknie przemawia, że chce nas uwikłać w swoje sidła, aby sprzedać arystokracyi, że jest podstępny reakcyonista i t. p. Nawet zdolności jego, których nie raczono mu odmawiać, świadczyły przeciw niemu, bo, mówiono, on jest za nadto zdolny, aby mu dowierzać. Taki magnat i arystokrata i przytem zdolny, to straszny człowiek: trzeba go się lękać i niedowierzać. Oto wszystko, co mogłem usłyszeć na moje przedstawienia. W końcu zaś dodawano, że i mnie potrafił on już oszołomić i uwikłać, kiedy tak za nim przemawiam.

Co do hr. Działyńskiego, tego poświęconego i zacnego patryoty, któremu i najzapaleńsi nawet braku patryotyzmu zarzucić nie mogli, to jemu pozwalali zajmować się interesami narodowymi pod najściślejszą jednak kontrolą młodych patryotów. Uformowało się koło młodzieży, otaczające Działyńskiego, bez którego on nic robić nie mógł, a cokolwiek robił, szło wszystko pod kontrolę tego koła. Zapaleńsi z tego otoczenia, nie zważając na jak najczystsze zamiary, na poświęcenie prawie połowy majątku na sprawę narodową, ciągle podejrzywali intrygę reakcyjną. Ten poczciwy i zacny Polak był śledzony i pilnowany, jak jaki niebezpieczny członek społeczeństwa, a wszystko z obawy, aby Biali i reakcya nie wzięła nad nim góry. Patryotyzm jednak Działyńskiego przenosił to przykre zaiste położenie wobec owego koła i nic go od raz obranej drogi nie powstrzymało. Na szczęście między członkami tego koła byli i umiarkowani, z rozsądkiem ludzie, jak Dulorans, a później nowo przybyły mój kompan więzienia i ucieczki, Dutkiewicz.

Dowiedziałem się nareszcie po przybyciu Dutkiewicza szczegółów ich dalszej ucieczki. Otóż oni obaj z Żórawskim, rozdzieliwszy się z nami przed Hausvogteiem, doszli szczęśliwie do naznaczonego im domu. Ponieważ jednak tam okazało się niebezpiecznie, przeprowadzono ich do jakiejś Niemki. U tej Niemki przez 10 dni ukrywali się, nie wychodząc z pokoju i oczekując, aż pierwsza gorliwość poszukiwań przejdzie. Szukano nas bowiem bardzo ściśle; wszystkie hotele były przetrząsane, u wielu mieszkających w Berlinie Polaków robiono rewizye, a na kolejach przez kilka dni przy każdym odchodzącym pociągu stali policyanci hausvogteiscy i jeden z sądu, przepatrując odjeżdżającą publiczność, czy czasem nas nie uda

się złapać. Po 10-ciu dniach takiego ukrywania się wyjechali karetą do Poczdamu, z Poczdamu zaś koleją do Drezna, a następnie do Paryża, Żórawski zaś do Szwajcaryi.

Dutkiewicz był jednym z wpływowszych ludzi w tem kole, otaczającem jak łańcuchem Działyńskiego. Nie wiem, jak inni sądzą, ale ja wyznaję, iż mało spotkałem ludzi tak bezinteresownie poświęconych sprawie narodowej.

Oprócz wyżej wymienionych osób, z któremi nawiązałem polityczne stosunki, więcej głośnymi między nową emigracyą byli: Różycki, Kruk, Świętorzecki, ks. Kotkowski, Mikoszewski Tomczyński i wielu innych.

Jak zwykle po nieudanym wybuchu, po wielkich klęskach i nieszczęściach, wyrodziło się mnóstwo partyi i partyjek, zarzucających sobie różne winy i nie ustępujących jedna drugiej. Jedności żadnej nie było, choć wszyscy o niej prawili. Rozpatrując się między temi małemi kołami i kółkami, nie mieszałem się z początku do ich wewnętrznych niesnasek i drobiazgów.

Taki to był mniej więcej stan emigracyi, gdym do Paryża przybył. W parę tygodni coś po mym przyjeździe, kiedy przeniósłszy się do »Hotel des Americains«, spoczywałem jeszcze na łóżku, zapukał ktoś lekko do drzwi. »Entrez!« zawołałem, zdziwiony tak ranną wizytą. Drzwi się otwarły i wszedł jakiś dość młody, lecz zupełnie mi nieznany mężczyzna.

— Wszak z panem Daniłowskim mam przyjemność mówić? — rzekł po francusku, oddając mi ukłon.

Na te słowa zdziwienie moje jeszsze się powiększyło, bo w książkę meldunkową zapisałem się przez może zbyteczną ostrożność nie pod swojem nazwiskiem. Miałem jednak na myśli, aby rosyjscy ajenci, zostający przy poselstwie, nie wiedzieli, czy jestem w Paryżu i gdzie mieszkam, coby mogło im w razie wyjazdu mego do Warszawy być pomocnem. Odpowiedziałem przeto po małym namyśle:

— Nie jestem Daniłowski; Pan się widać pomyliłeś w numerze: ja jestem Waryński.

— Waryński? To dziwne — zawołał, uśmiechając się niedowierzająco nieznajomy — a dlaczegoż Pan, mieszkając przed kilku dniami w »Hotel Maroque« zapisał się w książce jako — i wyjąwszy pugilares, zaczął sylabizować: Żastrembski.

Rzeczywiście ja tam pod tem nazwiskiem, które mi najpierw na myśl przyszło, zapisałem się w książkę hotelową.

— Któż Pan jesteś? — zawołałem, zirytowany jego drwiącą miną — i jakiem prawem zapytujesz mnie?

— Ja jestem ajent policyjny — rzekł Francuz, kłaniając mi się grzecznie.

— A więc Pan przyszedłeś na śledztwo do mnie?

— Wcale nie na śledztwo, a tylko dla dowiedzenia się, co Pana spowodowało w ciągu tygodnia dwa razy zmieniać nazwisko? Przecież w Paryżu jesteś Pan już zupełnie bezpieczny i nikt nie myśli o wydaniu Pana, tak jak z Berlina. Ale doskonale Pan wykręciłeś się z berlińskiego więzienia; u nas takby się nie udało.

— To i o mojej ucieczce już Pana zawiadomiono? — rzekłem, coraz więcej zdziwiony.

— O! O! Nie tylko o tem; ja Panu zaraz przeczytam króciutką biografię pańską — i wyjąwszy małą książeczkę z kieszeni, przewrócił w niej kilka kartek i zaczął czytać dość dokładny opis udziału, jaki przyjmowałem w naszej organizacyi.

— No, widzę, że Panowie nie napróżno jesteście ajentami policyjnymi; nie będę się już zapierał: ja jestem Daniłowski, i zaraz pod prawdziwem nazwiskiem się zapiszę.

— Proszę się napróżno nie trudzić — rzekł uprzejmy policyant — ja, chcąc Panu umniejszyć fatygi, kazałem wpisać rzeczywiste Pańskie nazwisko na miejsce fałszywego.

— Bardzo dziękuję — rzekłem, śmiejąc się — widzę, że policya francuska zawsze pełna uprzejmości; ale powiedz mi Pan, jeżeli wolno, z jakiego powodu nad nami urządzono taką ścisłą kontrolę, czy czasem w razie usilnych próśb posła rosyjskiego, nie przedstawiają mu wyciągu z wiadomości, o nas zebranych?

Francuz aż podskoczył z oburzenia.

— Jakto, Pan myślisz, że my szpiegujemy, aby szkodzić i zdradzać Polaków, narodu, dla którego mamy tyle braterskiej sympatyi? Wierzaj Pan, iż gdyby jedno słowo z naszych doniesień dostało się w ręce posła rosyjskiego, to my wszyscy ajenci policyjni podalibyśmy się do dymisyi.

Udałem, że kompletnie wierzę tym zapewnieniom i przeprosiłem go za mimowolną obrazę. Długo jednakże mój poli-

cyant rozsypywał się w zapewnieniach sympatyi i nieprzedajności policyi żadnym obcym rządom.

— Gdybyśmy chcieli służyć Rosyi, czyż niedość byłoby zatelegrafować, iż wczoraj wysłany został od hr. Działyńskiego kuryer do Rządu Narodowego, o czem Pan dobrze wiesz? — dodał, widząc udane moje zdziwienie.

— Nic o tem nie wiem — rzekłem — bo żadnego kuryera Działyński nie wysyłał — (W rzeczywistości jednak ajent miał słuszność).

— Och, my wiemy, co wiemy, i gdybyśmy słówko szepnęli, jużby pewno siedział w Cytadeli, a później na szubienicę. Wiemy dobrze, kto jest w Rządzie Narodowym, a jednak nic nie mówimy.

To już było kłamstwo na efekt obrachowane, bo tak daleko wiadomości policyi francuskiej nie sięgały; ale zawsze należy przyznać, że więcej wiedziała niż ówczesna śledcza komisya w Warszawie. Posiedziawszy u mnie przeszło godzinę i naopowiadawszy mi wiele różnych szczegółów o Polakach w tymże hotelu mieszkających (widać dla okazania swej wszechwiedzy), pożegnał się ze mną jak najgrzeczniej i wyszedł.

Takie policyjne wizyty nie były wcale rzadkością i wielu z naszych ulegało tym odwiedzinom. Nad całą emigracyą rozciągnięty był ścisły dozór. Istniało przy policyi zupełnie oddzielne biuro do interesów emigracyi, którego naczelnikiem był Bontville. Nie czuliśmy jednak tego dozoru, gdyż w niczem kroki nasze nie były krępowane. Więcej daleko ciążyła nad nami własna niezgoda i niesnaski licznych stowarzyszeń, które każde jedno nad drugiem chciało przewodzić.

Ja do żadnego politycznego stowarzyszenia z początku się nie przyłączałem, w żadnem bowiem z nich nie widziałem korzyści, jakieby one sprawie naszej przynieść mogło. Dawne owo nasze stowarzyszenie patryotów, w Dreznie założone, niby istniało ciągle, członkowie nawet jego rośli co do liczby; lecz czynności stowarzyszenia ograniczały się tylko na słabej propagandzie między emigracyą. Kurzyna, bawiący ciągle w Dreznie, na list mój z Paryża odpisał mi wprawdzie o ważnych jakichś wypadkach, gotujących się w tych czasach, lecz o szczegółach miał później donieść. W drugim liście, od niego w odpowiedzi na moją propozycyę zwołania zjazdu na-

czelników główniejszych partyi celem wspólnego porozumienia pisał mi, iż zjazd, lecz samej tylko partyi rewolucyjnej do Drezna zwołany został.

Na tym zjeździe, na który z Paryża pojechali Sapieha i Działyński, a oprócz nich byli tam ks. Kotkowski, Bosak, Kurzyna i wielu innych, wiele radzono i debatowano, lecz rozjechano się na niczem. Kurzyna w swym liście napomykał, że przyczyną niezgody był w części Sapieha. Ks. Sapieha zaś w rozmowie, jaką zaraz po powrocie jego z Drezna z nim miałem, przypisywał winę nieufności Kurzyny i braku spójności między członkami zjazdu. O ile z innych źródeł mogłem prawdy się domacać, to mniemam, że słuszność była więcej po stronie Sapiehy, niż Kurzyny.

W parę tygodni później przyjechał Kurzyna do Paryża z wielce tajemniczą miną i dobremi, jak mi mówił, wieściami. Te dobre wieści były to: dymisya dla Sapiehy, na którego miejsce naznaczył nowy Rząd Guttrego, i nominacya dla Kurzyny na reprezentanta Rządu Narodowego poza granicami kraju z władzą prawie nieograniczoną.

Narobiły wiele hałasu te zmiany na emigracyi; krzyczano i protestowano, lub cieszono się, lecz w krótce wszystko ucichło, przyjmując dawny charakter. Kurzyna z samego początku rozpowiadał o swych planach i zamiarach, które w czyn miał wprowadzać; ale dnie, tygodnie i miesiące mijały, a on prócz dymisyi Sapieże nic nie zrobił. Ciągle tylko coś obiecywał, przyrzekał, odkładał, a wszystko tak było pod jego kierownictwem, jak i pod kierownictwem jego poprzedników.

Życie na emigracyi zaczynało mi już ciężyć jako prawdziwe wygnanie. Działowski, blizko miesiąc mieszkający w Paryżu, powrócił wraz z ojcem, przybyłym umyślnie po niego, do Berlina do więzienia. Dowiedziałem się jednak, że nie był do żadnej odpowiedzialności pociągnięty za ucieczkę, ponieważ nie mogli mu dowieść udziału w zmowie i przygotowywaniach do ucieczki.

Kilka już miesięcy upływało od czasu mego przyjazdu do Paryża, a jeszcze nie mogłem się oswoić z myślą, iż mi tutaj długo, może całe życie przyjdzie pozostać. Nie chciałem wierzyć, aby to powstanie, z takiemi nadziejami rozpoczęte, miało się tak kończyć bez rozgłosu, bez sławy, bez korzyści. Osta-

tnie już oddziały Bosaka przeszły granice Królestwa. W Galicyi ogłoszono stan oblężenia, który zmusił do wyjazdu większą część organizacyi tamtejszej. Dawni członkowie Rządu Narodowego, komisarze i dowódzcy tułali się już po całej Europie. A jednak nie mogłem się oswoić z myślą, iż wszystko, wszystko, co było najgorętszego w naszych pragnieniach młodzieńczych, miało zniknąć i upaść bezpowrotnie. Sądziłem, że walka tylko odłożoną została do dalszego czasu. Nie sam tylko byłem tego zdania. Wielu z czynniejszych członków powstańczej organizacyi podzielało też same marzenia.

Ci, co tak myśleli, oburzali się wraz ze mną na bezczynność reprezentanta Rządu Narodowego, Kurzynę. Niechaj jawnie oświadczy, co on zamyśla i co postanawia; niechaj widzimy rezultat robót rządowych, albo niech raz nareszcie powie, iż wszystko już skończone i nic już w kraju naszym upadłych nadziei nie podniesie. Ks. Kotkowski, Sawa (Rudnicki), Tomczyński, ja, Korolec i później wezwany Kruk, a nawet Guttry, towarzysz po urzędzie Kurzyny, sarkali na jego bezczynność i obojętność.

Za pobudką Kotkowskiego zeszli się wszyscy wyżej wzmiankowani, tworząc początek tajemnego związku patryotycznego. Celem związku było połączenie emigracyi i zaprowadzenie stosunku z Rządem Narodowym, z patryotami krajowymi, dla podniesienia, stosownie do możebności, upadającej sprawy ojczystej. Wszyscy związkowi obowiązywali się przysięgą do tajemnicy i pełnienia włożonych obowiązków. Stowarzyszenie to starało się tajemnie jak największy wpływ nad emigracyą rozciągnąć. W emigracyi, jak już wspomniałem, wiele jawnych stowarzyszeń istniało. Między niemi najliczniejsze były dwa stowarzyszenia, nie noszące na sobie charakteru politycznego, a tylko czysto wsparciowe: jedno nosiło tytuł »Bratniej Pomocy«, a drugie »Wzajemnej Pomocy«. Każde z tych stowarzyszeń liczyło do paruset członków i miało oddzielną radę główną. Do rady »Wzajemnej Pomocy« wybrani zostali: Mikoszewski, Tomczyński, Gadomski, Dejean, Wolski i ja, a do »Bratniej Pomocy«: Różycki, Świętorzecki, Biernacki, Wróblewski i zdaje mi się, Jabłonowski. Staraliśmy się przeto oba te stowarzyszenia połączyć i utworzywszy z nich jedno, przez nie na całą już emigracyę ku połączeniu wpływać. Projektowaliśmy,

że w tak połączonem stowarzyszeniu znajdziemy dosyć żywiołów do rozszerzenia naszego tajnego związku.

Powyższe jednak plany były tylko pomocniczemi czynnościami głównego naszego zadania, t. j., utworzenia politycznego poważnego związku, kierującego działaniami całej emigracyi i mającego swych ajentów w samej Polsce. Z początku miano na myśli i Kurzynę do tego stowarzyszenia wciągnąć; ale on, ufając w swą powagę jako reprezentanta, bardzo nieszczerze i wahająco postępował, tak że w końcu zupełnie tę myśl zaniechano.

Związawszy się w tajemny komitet, do którego składu weszli: Guttry, Kotkowski, Rudnicki (Sawa), Korolec i ja, a w następstwie zawezwany został Tomczyński, przystąpiliśmy do wykonania naszych planów. Jednem z główniejszych naszych zadań było skomunikowanie się z Rządem Narodowym w Warszawie. Kurzyna naturalnie żadnych wskazówek, jak się do tego Rządu Narodowego dopytać, dać nam nie chciał. Domyślał się widać, iż w niebardzo dobrem świetle wystawimy jego bezczynną reprezentacyę; nie chcieliśmy zaś sami bez porozumienia się z Warszawą prac naszych rozpoczynać, aby urok powagi władzy narodowej nietykalny utrzymać. Czuliśmy, iż tylko w imię władzy narodowej (istniejącej już może w marzeniu) można było do emigracyi przemawiać. Jeżeliby zaś ów Rząd Narodowy, o którym wielu z poważaniem jeszcze rozmawiało, okazał się w rzeczywistości tylko słabym cieniem gasnącej już konspiracyi, to zawsze pragnęliśmy, aby nasza władza miała źródło Warszawę. Tylko jedna Warszawa zdolna była choć w części zmusić do zamilczenia zawiść partyi i ambicyjne zachcianki pojedynczych osobistości. Nie wchodziło w nasze zamiary podburzanie do rozpoczęcia na nieobeschłych jeszcze równinach Polski nowej walki, nowego powstania. Szalone takie zamiary mogły tylko w głowach, odurzonych rozpaczą, zabłysnąć. Naród po takich ciężkich przejściach, po tylu ciężkich stratach niezdolny był do jakiegokolwiekbądź ruchu, z zewnątrz mu narzuconego. Ale pragnęliśmy, aby duch narodowy utrzymywać i podnosić w wiejskich masach, prawie nie biorących udziału w powstaniu.

Chcieliśmy po ukonsystowaniu się w Paryżu ogłosić w porozumieniu z Warszawa (ja tak przynajmniej myślałem) roz-

wiązanie się Rządu Narodowego. Na miejsce Rządu powstać miała tajemna komisya, przez którą mielibyśmy komunikacyę z krajem. Komisya ta byłaby rdzeniem organizacyi, która w danym razie w przyszłości rozwinęłaby się w całym kraju. Uważaliśmy za konieczne, aby ciągle być w pogotowiu i aby wypadki polityczne, mogące niespodziewanie wybuchnąć, nie zastały kraju tak nieprzygotowanego, jak w krymską wojnę. Pod żadnym zaś pozorem nie myśleliśmy i nie chcieli zaprowadzać powstańczej konspiracyi w kraju i wywołać nowego wybuchu. Sama Polska, sam naród miał wyrokować o swych losach bez żadnych podburzań ze strony emigracyi. Jeżeli kraj własnowolnie zechce powstania i sztandar walki podniesie, wówczas my na każde jego zawezwanie gotowiśmy byli pośpieszyć, podsuwając broń i oficerów, jakimi emigracya rozporządzać mogła. My tylko chcieliśmy zorganizować emigracyę i oczekiwać wypadków, oraz rozwoju sił krajowych; narzucać swej woli krajowi aniśmy mogli ani chcieli.

Takie mniej więcej były wówczas nasze przekonania. Organizując się w cichości na emigracyi, staraliśmy się koniecznie z pozostałą organizacyą warszawską stosunki zawiązać. Wiedzieliśmy, że Waszkowski, dobrze mi znany jeszcze z czasów przedpowstańczej organizacyi, był ówczesnym naczelnikiem miasta; ale jak tu się dostać do niego? Los jednak zdawał się nam i w tem sprzyjać. Na kilka tygodni przed zawiązkiem naszego komitetu zapoznałem się z niejakim Aleksandrem Zwierzchowskim, byłym studentem Szkoły Głównej warszawskiej. Zapoznał go i wprowadził do mnie Ad. Pawłowski na usilne żądanie Zwierzchowskiego. Przyjąłem go naturalnie bardzo grzecznie, zapraszając do siebie, o ile mu czas pozwoli, bo od 10-ej z rana do 5-ej czy 6-ej wieczorem zajmowałem się pisaniem w biurze kolei żelaznej. Dowiedziałem się od bliżej znających Zwierzchowskiego, iż należał on do organizacyi warszawskiej, że był pomocnikiem naczelnika miasta, Lempkego, że później był oficerem żandarmeryi, a w końcu pomocnikiem naczelnika sochaczewskiego, czy jakiegoś inszego powiatu. Naczelnik tegoż powiatu, W., obecny na emigracyi w Paryżu, pochlebnie się o nim wyrażał. A co jeszcze więcej mówiło za nim, to praca, jaką, nie naśladując wielu próżnujących wygnańców, zajmował się, biorąc za to do 200 franków miesięcznie.

Umyślnie tak szczegółowo o nim się rozpisuję, bo ważną on w mojem życiu grać miał rolę w niedalekiej przyszłości.

W parę tygodni po zapoznaniu przyszedł do mnie Zwierzchowski, i po wielu ogólnikowych [wynurzeniach] o swem poświęceniu dla sprawy i zaufania do mnie oświadczył mi w tajemnicy, iżw czasie powstania, zmuszony uciekać za granicę, złożył w depozycie u jednego z obywateli 40,000 złp. pieniędzy narodowych. Obywatel ów (wymienił mi jego nazwisko, lecz obecnie już go nie pamiętam) napisał do niego list, iż pragnie złożone w depozycie pieniądze zwrócić komitetowi emigracyjnemu, lecztylko przez ręce Zwierzchowskiego i za jego pokwitowaniem. Prosił mnie przeto Zwierzchowski, abym ja, jako mający jego zaufanie, zechciał te pieniądze przyjąć, gdyż przekonany był, że się one u mnie nie zmarnują.

Aby te pieniądze odebrać, potrzeba było naturalnie wysłać Zwierzchowskiego do kraju. Podziękowawszy mu za ufność, oświadczyłem, że sam tych pieniędzy na swoją odpowiedzialność brać nie mogę, ale że przedstawię to naszemu komitetowi. Tak się i stało. Komitet z pośpiechem przyjął moją propozycyę. Wprowadzono Zwierzchowskiego do stowarzyszenia, odbierając od niego przysięgę i postanowiono wysłać go z upoważnieniem po odbiór depozytowych pieniędzy.

Upłynęło jednak z tydzień czasu, zanim wyszukano funduszów na drogę, a tymczasem odebrane przez Korolca i kilku innych księży listy z kraju powstrzymywały jeszcze na czas jakiś wyjazd Zwierzchowskiego. W listach tych pisano, jakoby lud wiejski, oburzony zniesieniem klasztorów i uprowadzeniem księży, silnie zaczął się burzyć. Nieprzyjaźń do rządu miała rosnąć z dniem każdym, grożąc przy lada sposobności wojną ludową. Nie przypisywaliśmy zupełnej autentyczności tym wiadomościom. Wiadomo bowiem, jak usposobienie indywidualne wpływa na pogląd i ocenianie jednych i tychże samych faktów. Ale że w kilku miejscach po wsiach, w których były klasztory, zniesienie tychże wywołało niechętną manifestacyę ludności wiejskiej, więc postanowiliśmy baczną na dalsze wypadki w kraju zwrócić uwagę.

Korzystając z wyjazdu Zwierzchowskiego, ułożyliśmy, aby dać mu list do warszawskiej organizacyi, jeżeli takowa jeszcze istnieje, z wyjaśnieniem położenia rzeczy na emigracyi i z ró-

żnemi propozycyami od naszego tajnego komitetu. Oprócz jednak Waszkowskiego, ukrywającego się w Warszawie, i dwóch kobiet, wysyłanych jako kuryerki z papierami, nic nie wiedzieliśmy o innych osobach tej dogorywającej organizacyi. Na moją przeto propozycyę, kilku członkom Komitetu przedstawioną, postanowiliśmy, aby oprócz karteczki do Waszkowskiego, którą ja jako znajomy jego miałem napisać, posłać jeszcze obszerny list do kilku z dawnej organizacyi, którzy na wolności w Warszawie pozostali. Rozbierając długo w myśli i przebiegając całą listę znajomych konspiratorów, okazało się, iż tylko trzech dobrze mi znanych z dawnych czasów ludzi pozostało, t. j. Neuding, Arendt i Wrębowski. Do tych trzech zatem napisałem w porozumieniu z resztą członków komitetu list obszerny, opisując cały stan emigracyi, jak i wiadomości, jakie nam z kraju przysyłają. Odzywałem się do znajomego mi w nich patryotyzmu i rozwagi, będąc przekonany, iż oni, o ile to w ich możności, opiszą nam rzeczywiste mniej więcej położenie Warszawy i kraju. Nadmieniłem jak najwyraźniej w tym liście, iż my o wywołaniu w kraju nowego wybuchu nie marzymy. Wspomniałem o naszych zamiarach i przekonaniach, wyjaśniając, jakiego mianowicie stanowiska względem organizacyi krajowej trzymać się zamyślamy. Kilka razy w mym liście robiłem nacisk na to, iż my kraju do nowej teraz walki pobudzać nie myślimy, a tylko w razie, jeżeliby nad nasze spodziewanie, nad nasze przypuszczenia ludność wiejska, poruszona znoszeniem klasztorów i spodziewaną konskrypcyą, wzięła się do broni, wówczas dopiero uważalibyśmy za święty obowiązek pomagać jej wszelkiemi siłami. Powtórzyłem w końcu prośbę, aby jak najszczerzej o stanie organizacyi i nastroju umysłów nam donieśli.

Cały ten list, jak i karteczkę do Waszkowskiego i kilka słów do p. Maryi C., napisałem tajemnym atramentem, który miał być dopiero w Warszawie chemicznym sposobem odczyniony. Zaprowadziłem Zwierzchowskiego z przygotowaną korespondencyą do ks. Kotkowskiego, który odebrawszy od niego przysięgę i przyrzeczenie na tajemnicę, wyjechał[1] na drugi dzień wieczorem.

---

[1] T. j. Zwierzchowski, nie Kotkowski *(P. w.)*.

W sam dzień wyjazdu długom jeszcze ze Zwierzchowskim o przyszłej jego podróży rozmawiał, gdyż nawet ostatnią noc u mnie przepędził. Nadzwyczaj był ucieszony i wzruszony, iż jemu tak ważny (w jego mniemaniu) list powierzają i że ja tyle mu zaufania pokazuję; prosił mnie w końcu, abym przyrzekł, iż w razie dalszych jakich robót konspiracyjnych w Warszawie jego również używać będziemy, dawszy mu do pomocy Janczewskiego, z którym dawna znajomość jeszcze z lat dziecinnych go łączyła. Jak dowiedziałem się później od Janczewskiego, to rodzice Zwierzchowskiego mieszkali w jednym domu z jego rodzicami, żyli przeto od dzieciństwa pod jednym dachem. Przyrzekłem Zwierzchowskiemu wypełnić w razie potrzeby jego życzenie, tem łatwiej, że już oddawna Janczewski, pragnąc podnieść się w opinii publicznej (po owym procesie o pieniądze), usilnie mnie prosił, aby w razie potrzeby wyjazdu do kraju jemu jak najniebezpieczniejszą misyę powierzyć.

XXXI.

Wiadomości od Zwierzchowskiego z Warszawy. — »Komitet Reprezentacyjny«. — Wysłanie Janczewskiego do Warszawy. — Mierosławski. — Kurzyna. — Zjazd Daniłowskiego z Zwierzchowskim i Janczewskim w Dreźnie. — Powrót przez Szwajcaryę do Paryża. — Niepokojące pogłoski. — Układ z redaktorem »Wytrwałości«. — Bosak i Komitet Reprezentacyjny. — Stosunki z dziennikami francuskimi. — Listy z Warszawy. — Wyjazd.

W kilkanaście dni po wyjeździe Zwierzchowskiego otrzymaliśmy list od niego z nad granicy polskiej, a w parę dni później z samej Warszawy. Donosił on nam w swym liście, że w wilię jego wjazdu do Warszawy aresztowany został Waszkowski, a zatem widzieć się z nim już nie mógł. Panna Marya C. takoż była dawniej jeszcze aresztowana. Mógł się tylko zatem widzieć z panią Anną Czaplicką, od której jednak o warszawskiej organizacyi nic nie mógł się dowiedzieć, nie będąc osobiście tej pani znajomym. Pragnąc, o ile można, wzbudzić w niej zaufanie, pokazał jej moją karteczkę do p. Maryi, szczerej jej przyjaciółki, oświadczając zarazem o pismach, jakie miał od nas do warszawskiego Rządu. Pani Anna C., jak i słusznie należało, nie chciała go zapoznać z pozostałymi jeszcze w Warszawie naczelnikami organizacyi, lecz oświadczyła za pośrednictwem swojem prowadzić z nim układy i odpowiadać na nasze piśmienne żądania. Nie wiele jednak mogąc skorzystać z tego pośrednictwa, gdyż p. A. Czaplicka, jak on w liście utrzymywał, oddana była zupełnie Kurzynie, udał się on z mym listem do Arendta i Neudinga. Przyjęty od nich został jak najlepiej i obowiązali się wszelkie żądania nasze jak najsumienniej wypełnić. Wedle udzielonych mu wiadomości od Arendta i Neudinga (Wrębowski bowiem dawno już był aresztowany) duch ludności warszawskiej był w jak najlepszym nastroju. Klęski powstania nie stłumiły zupełnie patryotyzmu stolicy. Po

zaaresztowaniu Waszkowskiego wprawdzie (pisał nam w swym liście) organizacya się rozprzęgła, ale z pozostałych jeszcze członków organizacyi można, zwłaszcza z dobraniem kilku nowych, utworzyć choć tymczasowy komitet, któryby był ku naszym zamiarom pomocny. W końcu listu prosił usilnie, aby przysłać do Warszawy Janczewskiego, który jako lepiej znający dawną organizacyę i mający od nas upoważnienia, wszystko tu wraz z nim ułatwi. Co się zaś tyczy pieniędzy, to one gotowe są do odbioru; potrzeba tylko naszego imiennego pokwitowania.

Przeczytawszy te listy, do których dołączone było 200 czy 300 rs. jakoby z funduszów, w Warszawie zebranych na podróż Janczewskiego, postanowiliśmy z ks. Kotkowskim i Rudnickim wnieść na posiedzeniu naszego komitetu projekt o dalszych energiczniejszych działaniach w Warszawie. Komitet na nasze przedstawienie zgodził się, aby, nie odnosząc się już do Kurzyny, który wszelkiemi siłami starał się przeszkadzać naszemu skomunikowaniu się z Rządem, wysłać jednego z zaufanych ludzi z nowemi i stanowczemi instrukcyami. W instrukcyach tych polecaliśmy dopytać się koniecznie o pozostałych po aresztacyi Waszkowskiego członkach Rządu i z nimi porozumieć; jeżeliby zaś, jak to Zwierzchowski donosił, Rządu zupełnie już nie było, utworzyć z pozostałej organizacyi nowy tymczasowy zarząd, któryby w ścisłym z nami pozostawał związku. Co się zaś tyczy wewnętrznego na emigracyi uorganizowania, to postanowiliśmy na miejsce reprezentanta Rządu utworzyć »Komitet Reprezentacyjny« z 5-ciu członków, włączając już w to i komisarza Rządu przy komitecie; oprócz tego na miejsce komisyi umorzenia długu, komisyę finansową z 3-ch lub 5-ciu członków; dalsze zaś zmiany i organizacyę na emigracyi Komitet Reprezentacyjny sam stosownie do potrzeby miał przeprowadzać. Wypracowanie projektu o komitecie i finansowej komisyi, ułożenie jego praw i obowiązków i t. p. mnie powierzono.

W parę dni przygotowałem owe projekta, które po przeczytaniu z małemi zmianami zostały zatwierdzone. Komitet Reprezentacyjny miał mieć całą władzę co do urządzenia i organizowania emigracyi, był zarazem jej jedynym reprezentantem. Wszystkie pozostałe zapasy broni, amunicyi, oraz fundusze na-

rodowe i t. p. przechodziły pod zarząd Komitetu. Wszelkie decyzye Komitetu przechodziły większością głosów. Komitet Reprezentacyjny miał się składać z pięciu członków, z których jeden miał być prezydującym, jeden sekretarzem, a jeden komisarzem Rządu, wszyscy z równymi głosami. Taka mniej więcej była treść owego projektu, podzielona naturalnie na paragrafy, ustępy i t. p. formy, używane w dekretach rządowych.

Przepisawszy to wszystko sympatycznym atramentem wraz z projektem komisyi finansowej, zajęliśmy się z ks. Kotkowskim wyprawieniem z tymi papierami pewnego i zaufanego emisaryusza. Bardzo było nam na rękę, iż nam to wyłącznie oddano do wykonania, bo mogliśmy w porozumieniu z Rudnickim wysłać Janczewskiego, czemuby Guttry, nie mający sympatyi do tego ostatniego, pewnie się sprzeciwił. W instrukcyach, jakie wiózł Janczewski, oprócz powyższych projektów był również wymieniony i całkowity skład Komitetu, który na posiedzeniu wspólnieśmy ułożyli, a był on następujący: prezydujący Komitetu miał być jen. Bosak (Hauke), członkami Guttry, Kotkowski, Tomczyński i ja, jako komisarz Rządu Narodowego, w Komitecie zasiadający, Tomczyński zaś miał być członkiem sekretarzem, Guttry wice-prezydującym; wszyscy, nie wyłączając prezydującego i komisarza, mieli głos równy w obradach i decyzyach. Do komisyi zaś prócz Korolca mieli być dwaj jeszcze inni później wybrani.

Odprowadziwszy Janczewskiego na kolej żelazną i odebrawszy od niego jak najsolenniejsze przyrzeczenie wypełnienia ściśle wszystkich poleceń, czego byłem zresztą pewny, powróciłem do domu, gdzie już oczekiwali mnie Kotkowski z Rudnickim. Rozmawialiśmy długo z sobą o przyszłych planach, budując wiele na naszych wysłańcach warszawskich.

Na emigracyi tymczasem, mimo tajemnie prowadzonych przez nas robót, rozeszły się głuche wieści o jakimś komitecie i jego pracach, które w różny komentowano sposób. Ponieważ wiedziano, że ja czynny w tych pracach biorę udział, a że mnie zawsze liczono (choć niesłusznie) do zapalonych zwolenników Mierosławskiego, przypuszczano więc, że wszystko, co się dzieje, jest pod dyrekcyą, a przynajmniej wpływem Mierosławskiego. Doszły te pogłoski i do naszego komitetu i, choć one nie miały żadnej podstawy, jednakże zmuszony byłem na

przedstawienia i prośby Guttrego i innych moje czysto prywatne stosunki z Mierosławskim jak najbardziej ograniczyć. Nie bywałem już prawie u niego, chociaż widywałem go dość często w *Café Voltaire*, gdzie się jego zwolennicy zbierali. Zauważał to moje usuwanie się Mierosławski i zemścił się w grzeczny, co prawda, sposób na obchodowym obiedzie w rocznicę 29 listopada, gdzie mnie nieprzygotowanego zmusił, odezwawszy się głośno »Obywatel Daniłowski ma głos!«, do wystąpienia z mową, do której wcale nie byłem przygotowany. Wywikłałem się jednak z tego przykrego jak na nowicyusza położenia, przemówiwszy króciutko do zebranych i przepraszając za niewymowne słowa. Później jednak coraz już rzadziej widywałem się z Mierosławskim, nie chcąc kompromitować przyszłego Komitetu Reprezentacyjnego, gdyż podejrzenie o związki z nim były wówczas bardzo źle uważane. Dziwnem jest, jak ten człowiek największych nawet swych zwolenników potrafił do siebie zniechęcić, kiedy nawet jeden z nich do tego się posunął, że Mierosławskiego publicznie w twarz uderzył. Naturalnie że wszyscy niezaślepieni antypatyą i namiętnością polityczną czyn ten nikczemny, podniesienie ręki na starego jenerała rewolucyonistę, surowo potępili.

Wracając jednak do pogłosek, krążących między emigracyą co do naszej konspiracyi, to najwięcej interesował się niemi Kurzyna; czuł on, iż aczkolwiek nominalna już tylko jego reprezentacya Rządu ma się ku końcowi. Wszelkiemi siłami starał się związek nasz osłabić, uderzając z całą wymową, do jakiej był zdolny, na Guttrego, aby go przy sobie utrzymać. Wszystkie jednak jego usiłowania były próżnemi.

W tydzień blizko po wyjeździe Janczewskiego, kiedy powracałem z posiedzenia Komitetu do domu, zziębnięty cały, gdyż było to w połowie stycznia 1865 roku, zastałem u szwajcara list od Zwierzchowskiego. Kazawszy zapalić na kominku, gdyż w moim pokoiku tak było zimno, jak i na dworze, a na dworze mróz do 9-ciu stopni dochodził, zacząłem czytać list ów, w którym była i karteczka od Janczewskiego. Pisali mi oni obaj, iż chcąc osobiście ze mną się rozmówić, wyjeżdżają do Drezna, gdzie na mnie czekać będą, prosząc, abym natychmiast po odebraniu tego listu telegrafował do Drezna pod wskazanym mi adresem, czy niema żadnej przeszkody do mego wy-

jazdu, gdyż oni długo czekać nie mogą. Posłałem zaraz odpowiedź telegrafem, a sam poszedłem do kawiarni, sądząc, że się z którym z Komitetu jeszcze zobaczę.

Paryskie mieszkania tak są urządzone, że przy najlżejszym mrozie nie podobna w nich dla zimna wysiedzieć, bo ani podwójnych okien, ani pieców nie mają. Ściany cieniutkie nie ochraniają od zimnego powietrza. Ja w swym pokoju musiałem siedzieć w paltocie watowanym i szalu, i to jeszcze nogi mi marzły. Nic więc dziwnego, że kto tylko może z kawalerów, mających takie zimne kwatery, ucieka wieczorem do kawiarni, aby się choć trochę ogrzać. Często też znajomych łatwiej w oznaczonej *Café*, niż w domu zastać. Na moje szczęście spotkałem paru ze znajomych ze stowarzyszenia, przy pomocy których zażądałem zebrania posiedzenia Komitetu na jutrzejszy ranek.

Wyjazd mój do Drezna był jednogłośnie przez wszystkich udecydowany i w parę dni siedziałem już w wagonie, wiozącym mnie do Strasburga. Umyślnie nie jechałem na Kolonię, aby nie przejeżdżać przez Prusy, gdzie w razie wypadkowego poznania mogłem jako zbieg z więzienia być zatrzymanym. W Dreźnie zastałem niecierpliwie mnie oczekujących Janczewskiego i Zwierzchowskiego. Wiadomości, jakie mi zakomunikowali, przedstawiały w bardzo dobrem świetle stan Warszawy i Polski Kongresowej.

Organizacya wprawdzie miejska dawna zachowała zaledwie cień swego istnienia, ale z dodaniem świeżych żywiołów można nowy Rząd utworzyć. Wszystkie te jednak nowiny pochodziły z ust Zwierzchowskiego, albowiem Janczewski w Warszawie jeszcze nie był. Na zapytanie moje o listy od Arendta i Neudinga, gdyż spodziewałem się, że mi odpiszą, odpowiedział mi Zwierzchowski, iż obawiając się rewizyi na granicy, zostawił je i przyszle pocztą; lecz treść ich ogólną ustnie mi zakomunikował. Przez cały czas mojej bytności w Dreźnie Zwierzchowski wszelkiemi siłami starał się okazać przyjaźń, jaką ma ku mnie, i wdzięczność za zaufanie, jakiem go obdarzałem. Dla utrwalenia tej nowej a szczerej przyjaźni zaczęliśmy nazywać się wprost po imieniu. Po kilka razy oświadczał Zwierzchowski gotowość na wszelkie poświęcenia, jakichbyśmy od niego dla sprawy wymagali; wspominał, iż nie wie, jak wywdzięczyć się za zaufanie i t. p. Głównym zaś powodem, dla

którego chcieli się osobiście widzieć ze mną, było ułożenie telegramów, pod jakimi mieliśmy w nadzwyczajnych wypadkach telegrafować, co listowi niebezpiecznie było powierzać, jako też i życzenie, aby przysłać Rudnickiego jako naszego komisarza i członka Rządu. Janczewski zaś i oprócz tego pragnął jeszcze, abym mu zaraz po powrocie wysłał Ulatowskiego, który jako mniej znany w Warszawie mógł w wielu razach być mu pomocnym. Proponował mi również Zwierzchowski, czybym ja choć na dni parę nie mógł sam pojechać z nimi, tobym wszystko jak najlepiej pokierował. Przedstawiłem mu konieczność obecności mojej w Paryżu w Komitecie, dopóki on się zupełnie nie urządzi, nadmieniając, że później, jeżeliby Rząd Narodowy zawezwał mnie do siebie, to gotów jestem na wszelkie niebezpieczeństwa się narazić.

Pożegnawszy się z nimi i przyrzekłszy Zwierzchowskiemu, że miejsce, jakie zajmował w biurze kolei żelaznej, będzie nadal zatrzymane, gdyż usilnie mnie o to prosił, wyjechałem z Drezna. Nie jechałem jednak wprost do Paryża, bo w przypuszczeniu obszerniejszego rozwoju naszej organizacyi pragnąłem swych dawnych i dobrze wypróbowanych towarzyszy w akademickiej jeszcze konspiracyi do współudziału powołać, którzy w Szwajcaryi zamieszkali. Postanowiłem przeto, nadkładając drogi, do Zurichu zajechać, aby się tam z Kamińskim, Milewskim i kilku innymi przyjaciółmi zobaczyć i umówić.

Przejechawszy Augsburg, pamiętny mi wypadkami naszej ucieczki, i dostawszy się do Lindau, wsiadłem na statek, udający się do Romanshorn, skąd już koleją żelazną do Zurichu wyruszyłem.

Dopytałem się z łatwością o Milewskiego i Kamińskiego; ten ostatni mieszkał w Aarau, bardzo blizko od Zurychu, skąd na moje zawezwanie telegrafem natychmiast przybył. Oprócz nich widziałem się jeszcze z Landowskim, bratem Pawła, i paru innymi dawnymi kolegami i znajomymi. Opowiedziawszy Kamińskiemu i Milewskiemu powód mojego do nich przybycia i otrzymawszy od nich przyrzeczenie gotowości wszelkiej pomocy, i nawet niebezpiecznego wyjazdu do Królestwa w razie potrzeby, pożegnałem się z tymi serdecznymi współpracownikami pierwszej jeszcze organizacyi i powróciłem do Paryża.

Nie odpocząwszy prawie ani chwilki w domu, pobiegłem

do ks. Kotkowskiego, aby mu o rezultacie podróży opowiedzieć i zarazem o nowinach paryskich usłyszeć.

— Ach, jakie szczęście, żeś Pan przyjechał! A my już bardzo a bardzo o Pana byliśmy niespokojni — zawołał ks. Kotkowski, ujrzawszy mnie wchodzącego do siebie.

— A to dlaczego niespokojni, księże kanoniku? — rzekłem, zdziwiony.

— Zaraz opowiem; chociaż to trudno wierzyć tym wszystkim plotkom, krążącym między emigracyą, ale zawsze trzeba w naszem położeniu bardzo być ostrożnymi. Na drugi dzień po Pańskim wyjeździe — ciągnął dalej kanonik — rozpuszczono pogłoskę, jakoby Zwierzchowski zasprzedał się Rządowi ruskiemu i obowiązał się wszystkich zdradzić a pana do Warszawy przystawić. Miał on wezwać po to Pana do Drezna, aby tam wydać w ręce dwóch ruskich żandarmów, którzy z nim przebrani przyjechali dla dania mu potrzebnej ku temu pomocy. Przyszło nam zaraz na myśl — dodał kanonik, podczas gdy ja z zadziwienia odpowiedzieć jeszcze nie mogłem, — że to przeciwna nam partya rozsiewa te plotki, aby ufność w nasze stowarzyszenie osłabić, zwłaszcza że pierwsza wiadomość wyszła od Kurzyny.

Zaledwie skończył te słowa kanonik, jak drzwi się otworzyły i wszedł Al. Guttry, a zobaczywszy mnie, potwierdził opowiadanie kanonika, nadmieniając, iż przychodził z zamiarem telegrafowania do Drezna do jednego ze znajomych, ażeby jeżeli jeszcze czas, ostrzegli mnie i od tej łapki ocalili. Do mnie wprost telegrafować nie mogli, nie wiedząc adresu hotelu, w którym stanąłem.

Zaczęliśmy wspólnie rozbierać źródło i powód tych pogłosek, aby o ile możności prawdę wyświecić. W postępowaniu Zwierzchowskiego nic jeszcze dotychczas nie można było zauważyć, coby najmniejsze budziło podejrzenie. Wiedzieliśmy zaś z doświadczenia, jak to na emigracyi łatwo za szpiega być ogłoszonym, zwłaszcza jeżeli do tego miesza się intryga polityczna. W czasie naszego powstania ileż to było przykładów tej okropnej a niewinnie rzucanej hańby! Niektórzy życiem nawet za te bezzasadne podejrzenia zapłacili.

Zaczęliśmy tego i dni następnych rozpytywać się o źródło tej plotki, jak i o szczegółową przeszłość Zwierzchowskiego.

Wszyscy osobiście dawniej w kraju go znający ludzie, godni zaufania, jednozgodnie zaświadczali, iż tak nikczemnej podłości, jak umyślnej zdrady, nie mógłby się on dopuścić. Cóżby nareszcie skłonić go mogło do zaprzedania tak swego sumienia, aby z konspiratora zrobić się zbirem policyjnym? Nie nędza, bo miał dobrze płatny urząd w Paryżu. Nie pogarda, bo przyjmowany był wszędzie z zaufaniem i życzliwością, a trudno było przypuścić, aby w tak młodym człowieku rozwinął się przewrotny i podły egoizm, pociągający go do najbrudniejszych w świecie czynów, dla złota, złota, kupionego pogardą i wyrzuceniem z koła uczciwych ludzi. Z tej więc strony byliśmy spokojni, niestety! Co zaś do źródła plotek, to dojść ich nie byliśmy w stanie, bo każdy słyszał od kogoś, a nikt z pierwszych ust. Kurzyna, naciskany przez Guttrego, oświadczył w końcu, iż on nie oskarża Zwierzchowskiego o zdradę, lecz przypuszcza, że przez swą nieostrożność i latanie po Warszawie może wiele osób kompromitować, przypuszczając, iż za nim policya śledzi, tem bardziej, że u p. Czaplickiej, u której najpierw był, była rewizya.

Przypuszczenie to było możliwe; dlatego też postanowiliśmy po odebraniu listów od Janczewskiego napisać, aby Zwierzchowski miał się na baczności, a nawet powrócił do Paryża dla przecięcia śladów policyi, jeżeli takowe istnieją. Obawialiśmy się nawet, czy to publiczne po emigracyi głoszenie o Zwierzchowskim nie dojdzie do Warszawy i nie pobudzi czujności policyi rosyjskiej.

W kilkanaście dni po mym powrocie otrzymaliśmy nareszcie listy od Zwierzchowskiego i Janczewskiego z Warszawy. Obaj oni szczęśliwie przybyli do stolicy i zdołali już porozumieć się z kilkunastoma członkami dawnej organizacyi, tak że w tych dniach nowy Rząd zostanie ustanowiony. Za parę dni drugi znów od nich list otrzymaliśmy, w którym już pisano o ustanowieniu tymczasowego Rządu, zawiadamiając, że dostali od dawnej organizacyi tajemną drukarnię, na której oddrukują dekrety o naszym Komitecie i odezwę do miasta; pieczęć Rządu Narodowego takoż była już w ich rękach. Listy te uspokoiły nas zupełnie, bo czyż Janczewski, znający całą prawie dawną organizacyę, nie odkryłby prawdy, lub nie był aresztowany?

Po otrzymaniu tych listów zajęliśmy się wewnętrznemi

swojemi sprawami. Dla silniejszego wpływu na emigracyę potrzeba było, aby przyszły Komitet Reprezentacyjny miał swój oddzielny organ, swoją własną gazetę. W tym tedy celu wyjechałem na propozycyę większości do Brukselli, aby tam umówić się z W. Sabowskim, redaktorem gazety »Wytrwałość«. Umowa poszła jak najlepiej i Sabowski wraz z współpracownikiem Włodz. Wolskim zgodzili się gazetę tę w naszym duchu wydawać i wszelkie artykuły od nas lub rozporządzenia komitetowe w swych szpaltach umieszczać.

Na drugi czy trzeci dzień po moim przyjeździe do Brukselli otrzymałem list od Kotkowskiego, iż jakieś ważne papiery przyszły pod adresem Królikowskiego Leona (szwagra Janczewskiego), aby on je mnie osobiście doręczył. Natychmiast zatelegrafowałem Królikowskiemu, aby te papiery ks. Kotkowskiemu oddał, a w kilka godzin i sam do Paryża wyjechałem.

W papierach, jakie zastałem w Paryżu, były nominacye od Rządu dla Bosaka, Guttrego, Kotkowskiego, Tomczyńskiego i dla mnie do Komitetu Reprezentacyjnego, a prócz tego druki o utworzeniu Komitetu i odezwa naczelnika miasta Warszawy, a prócz nich i listów puste blankiety Rządu, numerowane dla mojego na wypadek użytku, dla Kurzyny i komisyi finansowej dymisye i t. p.

Mieliśmy przeto wszystko, co nam zdawało się potrzebne dla utworzenia komitetu, mającego zjednoczyć całą emigracyę. Postanowiliśmy, aby ks. Kotkowski jechał natychmiast do Florencyi dla namówienia Bosaka, aby do Paryża przyjechał i prezydencyę Komitetu przyjął.

Liczyliśmy na wpływ, jaki miał ks. Kotkowski na Bosaka, jak i na znany patryotyzm tegoż ostatniego, iż od tych zaszczytnych obowiązków nie zechce się wymówić. Jednocześnie z wyjazdem ks. Kotkowskiego wysłany został Ulatowski do Warszawy z listami i raportami. Między innemi wspominałem w mym liście o pogłoskach, jakie krążyły na emigracyi o Zwierzchowskim, czemu aczkolwiek nie wierzyliśmy, zalecałem jednak jak największą ostrożność. Prosiłem takoż, aby owe pieniądze, odebrane przez Zwierzchowskiego, były nam odesłane, gdyż dotychczas oprócz dwóch czy trzech tysięcy złotych, różnymi czasami przysłanych, nic więcej nie odebraliśmy.

Ks. Kotkowski szczęśliwie misyę swoją wypełnił i przy-

wiózł, choć z niemałym trudem, jen. Bosaka do Paryża. Nie znałem przedtem jen. Bosaka (Hauke), tylko z nazwiska i rozgłosu. Długie, bo do kwietnia 1864 r., trzymanie się z oddziałami w województwach krakowskiem i sandomierskiem, ustaliło mu reputacyę wytrwałego partyzanta i dzielnego patryoty. Poznawszy go teraz i o ile można było, zgłębiwszy w ciągu wprawdzie bardzo krótkiego czasu, ale za to bezustanku z nim pozostając, przekonałem się, że mało było między głośniejszemi osobistościami naszego powstania ludzi z takiem poświęceniem i takim czystym bez żadnej ambicyi patryotyzmem. Zasług swoich zupełnie nie przeceniał. Wielu uznawał za wyższych i godniejszych pochwał od siebie. Mimo upadku powstania nie opuszczała go ani na chwilę nadzieja w lepszą przyszłość dla kraju. Przy tych jednak zaletach dziwnie odbijała jakaś dziecinna prawie chwiejność charakteru, połączona, jak zwykle, z chwilowym uporem przy swem zdaniu. Drugą znów szczególnością w tym zacnym patryocie było jakoby oddzielanie swojej osobistości Haukego od przybranego nazwiska Bosaka. »Ja — mówił do mnie swoją dziwną wymową — ja, Hauke, nic nie znaczę, ja nic dla kraju nie zrobiłem; ale Bosak, to on musiał położyć zasługi i opinia zawsze będzie za nim, nie za mną, lecz za Bosakiem, bo ja nic nie jestem« — powtarzał po kilka razy. Widocznie chciał przez to powiedzieć zapewne, że osobistość jego tylko o tyle znaczy, o ile jest użyteczna powstaniu jako osobistość jen. Bosaka, mającego miłość u swych byłych podkomendnych. Wielce mu też chodziło, aby to imię Bosaka było niepokalanem żadną partyjnością, żadnem stronnictwem. »Na Haukego niech mówią, co chcą, ale na Bosaka...« i przerwał mowę na tym nazwisku, jak gdyby ono nie potrzebowało już żadnych komentarzy. Pragnął on, o ile można było z urywanej mowy wnosić, gdyż jakby z trudnością mówił po polsku, aby to imię Bosaka było sztandarem bez zmazy, ku któremu cała emigracya powinnaby się zwracać z uznaniem i szacunkiem. Czysty jednakże patryotyzm, poświęcenie bez granic dla kraju, nieambitność i brak wszelkiej zarozumiałości czyniły z niego osobistość najbardziej szanowaną w młodej emigracyi. Chwiejność charakteru i dziwne czasem poglądy na sprawę nie zmniejszały sympatyi, jaką każdy uczuwał przy bliższem poznaniu tego zacnego i prawdziwego patryoty. Ileż

to jednak godzin naprzekładaliśmy mu wspólnie z Kotkowskim, Guttrym, Rudnickim i Tomczyńskim, zanim zdołaliśmy ostatecznie go nakłonić do wstąpienia jako prezes do naszego Komitetu. Pierwszego dnia na wszystko się zgadzał. Później zaś, gdy na zebranie zawezwaliśmy Kurzynę, aby wręczyć mu dymisyę i odebrać sprawozdanie z czynności, przez niego dokonanych, zaczął znów cofać się od poprzedniej zgody. Wiele wpływało na to przedstawianie Kurzyny, że dymisya jest podrobiona, że dekreta wszystkie rządu są fałszywe, że prawdziwy rząd ciągle istnieje, a tylko widać jakaś oddzielna partya, przeciwna jemu, nowy niby rząd utworzyła. Po wyjściu jednak Kurzyny, który zaprotestowawszy przeciw naszym czynnościom, opuścił zebranie, skłoniliśmy na swoją stronę Bosaka, odkładając jednak ostateczne zainstalowanie Komitetu do jutra. Nazajutrz znów inna zmiana. Do tego nareszcie doszło, iż wszelkie z nim układy uważaliśmy za przerwane. Napisał nawet na moje imię do rządu, iż powierzonych mu obowiązków przyjąć nie może, i pożegnał się, chociaż z żalem, z nami wszystkimi. Przyczyną tego nagłego zwrotu opinii była, jak przypuszczano, rozmowa z ks. Sapiehą, którego zdania zasięgał.

Na samym już jednak wyjeździe po nie długich debatach i namyśle przystał nareszcie na wszystko z zastrzeżeniem, iż Komitet żadnych emisaryuszów wysyłać do kraju nie będzie, a tylko ograniczy się organizacyą emigracyi, pozostawiając roboty krajowe nowemu Rządowi; w razie zaś koniecznego wysłania kogo z emigrantów, na wyraźne żądanie władzy warszawskiej, sam komisarz Rządu bez porozumienia się z Komitetem wysyłkę tę uskuteczni.

Powyższe warunki, przyjęte przez nas, wymienił i w swem piśmie do Rządu, które na moje imię, jako komisarza Rządu napisał. Odłożywszy następnie swój wyjazd do dnia następnego, gdyż śpieszył się do Florencyi do chorej żony, zajął się wraz z nami zainstalowaniem się jako Komitet, spisaniem z pierwszego posiedzenia protokółu.

Cały prawie ten dzień zeszedł nam na tych wstępnych czynnościach, oraz na wysłaniu zawiadomień do ajentów byłego Rządu, po za granicami Francyi zostających, z których jednych utwierdzaliśmy w dotychczasowych obowiązkach, drugim udzielaliśmy dymisye, jak n. p. ajentowi przy państwie kościelnem, na

miejsce którego naznaczyliśmy naszym ajentem szambelana Kulczyckiego.

Na drugi dzień wyjechał Bosak do Florencyi, obowiązując się po wyzdrowieniu żony przyjechać na stałe do Paryża. Miejsce prezydującego w Komitecie zajął Guttry jako wiceprezes.

W kilka dni w gazecie naszej »Wytrwałość«, jak i w Szwajcaryi wydawanej »Ojczyźnie« ukazały się we wstępnych artykułach zawiadomienia o zaszłych zmianach w zarządzie emigracyjnym. Dosłowny protokół instalacyi, jak i opublikowanie rozporządzeń uwiadomiło emigracyę o Komitecie Reprezentacyjnym, złożonym z 5-ciu członków, włączając już w tę liczbę i komisarza Rządu. Skład komitetu był następujący: jen. Bosak, Guttry, ks. Kotkowski, Tomczyński i ja jako komisarz Rządu; Bosak prezydujący, Tomczyński sekretarz. Wiele było debatów i komentarzy między emigracyą o tym nowym Komitecie. Jedni za, drudzy przeciw niemu powstawali, otwartej jednak opozycyi nie było. W wilię wyjazdu Bosaka otrzymałem telegram z Warszawy, zawiadamiający mnie, iż 2 czy 3000 franków wysłane są dla mnie do bankiera Hornberga, w liście zaś, nadeszłym w kilka dni później, zawiadamiano, iż kilka tysięcy złp. wyszlą na żądane przez Komitet zapłacenie za skład broni w Liège, co już od dawna ciężyło na nas. Proszono nas o przygotowanie kwitów drukowanych na zbieranie składek w Warszawie, oraz przysyłano odezwę nową naczelnika miasta do Warszawian. Widać z tego wszystkiego, iż energicznie zabierają się tam do pracy i że nie napróżno czas swój przepędzają.

W gazetach polskich, jak »Czasie« krakowskim i »Dzienniku Poznańskim«, zaczęto pisać korespondencye o nowych niepokojach w Warszawie, o rozdawaniu odezw i rozlepianiu ich na rogach ulic, co tem bardziej utwierdzało nas w nowo rozszerzającej się organizacyi narodowej. Pragnąc choć w części pozyskać sobie opinię publiczną, której ogólnem wyrażeniem stały się obecnie organa prasy peryodycznej, zawiązaliśmy stosunki z redakcyą »L'Opinion Nationale« i otrzymaliśmy od niej obietnicę, iż artykuły, przez nas podawane, znajdą miejsce w jej szpaltach, o ile to będzie możebne dla redakcyi. Będąc umyślnie w tym celu w redakcyi wraz z Tomczyńskim, zapoznałem się z jednym z redaktorów, »Labbé«, który obiecał wszelką możliwą pomoc i nawet w dni kilka był u mnie z wi-

zytą i oświadczeniem sympatyi dla sprawy polskiej. Z drugim zaś z redaktorów, p. Aleksandrem Bonneaux, poznałem się na obiedzie, na który wspólnie przez A. M. zostaliśmy zaproszeni, który takoż jak najsympatyczniej o naszej kwestyi się odzywał, oświadczając jednak, iż rząd francuski żadnej pomocy czynnej dać nam nie może.

Muszę tu nadmienić dla zrzucenia zarzutu z prasy francuskiej, jakoby przekupiona była naszemi pieniędzmi. Za nadto byliśmy ubodzy, aby nasze ofiary mogły co znaczyć, nawet gdyby dyrekcya prasy tak nizko spadła. Owszem wszelka pomoc z jej strony była dla nas, jak to osobiście teraz mogłem się przekonać, zupełnie bezinteresowną. Do redakcyi »La Patrie« zanieśliśmy listy Bosaka, w których dziękując za dawniej niesioną, choć piórem tylko, pomoc, liczył, że i teraz sympatyi swej redakcya nie odwróci. Do Warszawy wysłaliśmy pierwsze raporta o naszem urzędowem ukonstytuowaniu się, opatrzone wszystkimi podpisami i pieczęciami Komitetu Reprezentacyjnego i moją jako komisarza. Wszystkie bowiem rozporządzenia, dwoma temi pieczęciami winny były być opatrzone.

Parę tygodni zeszło nam tak na wewnętrznych komitetowych zajęciach i korespondencyach z ajentami, za granicą Francyi zostającymi. Listy z Warszawy odbieraliśmy dość regularnie i zawsze z jak najlepszemi wiadomościami. Organizacya powiększała się, duch upadły podnosił się do dawnego nastroju, żądali tylko, aby kto z wojskowych ludzi, a mianowicie Rudnicki do Warszawy przyjechał. Przyszedł takoż i list od Zwierzchowskiego, uniewinniający się z rzuconego podejrzenia i pełen oburzenia na taką potwarz, na taką plamę, na jego honor rzuconą. List ten jednak tak był pisany, iż gdybym w czemkolwiek podejrzywał go o zdradę, to on wcaleby mnie uspokoić nie mógł: tak w nim wszystko zdawało się wyszukane na efekt i nieszczere. Ale wiem, jak to przykro i boleśnie tłómaczyć się z takiego zarzutu, najstraszniejszego dla uczuć patryotycznych. Czyż nie najlepszym było dowodem jego niewinności, nawet gdybyśmy jeszcze byli w wątpliwości, to, że dwaj nasi wysłańcy, jak Janczewski i Ulatowski, spokojnie przebywali w Warszawie? Obawa nasza głównie na to była zwrócona, czy policya, mająca zapewne ajentów w emigracyi, dowiedziawszy się o wysłaniu emisaryuszów, nie wpadnie wypadkiem

na ich ślad i tropiąc powoli, nie zaaresztuje. Ale przeszło już dwa miesiące upłynęło, jak Janczewski a następnie i Ulatowski, nie mówiąc już o Zwierzchowskim, przechowywali się w Warszawie, a nic nie pokazywało, aby czujność policyi w czemkolwiek ich zaniepokoiła; listy od Janczewskiego i Zwierzchowskiego zawsze w jednym i zawsze w dobrym były nastroju. Rozpoczęli już oni przez swych nowozawerbowanych ajentów organizacyę na prowincyi; szlachta, a nawet włościanie zdawali się bardzo sprzyjać nowemu programowi, wyczekującej konspiracyi — słowem nie można było według tych listów niczego więcej żądać. Dla przypomnienia zaś Warszawie o swem istnieniu od czasu do czasu pojawiały się drukowane odezwy naczelnika miasta. Odezwy takie przysyłano nam w listach z Bydgoszczy, dokąd przywożono je przez kuryerów ajentowi, przez Rząd tam umyślnie na stałe mieszkanie wysłanemu.

W początkach marca 1865 roku, t. j. w parę przeszło miesięcy po wyjeździe naszych wysłańców do Warszawy, przybył niejaki Radoński (młody człowiek, znany nawet przez jednego z mych dawnych kolegów, Hasewicza), jako kuryer od naszego Rządu wysłany. Przywiózł on bardzo obszerny list Janczewskiego, opisujący utworzenie nowego Rządu, jego czynności, oraz różne szczegóły tamtejszej organizacyi. Wszystko, jak i od początku, miało iść bardzo pomyślnie, obywatele wiejscy z dawnej organizacyi mieli przyłączyć się do nowo utworzonej i wyczekiwać sposobnej chwili do obszerniejszej i bardziej stanowczej pracy. Żądano też koniecznie wysłania Rudnickiego (Sawy), aby objął wydział wojenny. Wszelkie bezpieczeństwo jego przyjazdu i przebywania w Warszawie zaręczano, stawiąc za przykład swój tak długi pobyt i t. p. Proszono również usilnie, abym ja choć na jeden dzień przybył do Warszawy dla ustnego porozumienia się z naczelnikami organizacyi. Jeżeliby zaś przyjazd mój do Warszawy dla moich zajęć komitetowych był niemożebny, to żądano koniecznego przybycia mojego do Bydgoszczy, gdzie miał ktoś z delegowanych od organizacyi przyjechać.

Rudnicki, jako oddawna zryzykowany już do podróży i czekający tylko zawezwania z Warszawy, nie namyślając się długo, postanowił puścić się w drogę; ja zaś, jako mający stałe zajęcia w Komitecie, miałem napisać tylko list o naszych tu

sprawach, nadmieniając, że do Bydgoszczy później, przy swobodniejszym czasie pojadę. Na drugi jednak dzień po przybyciu kuryera otrzymałem telegram z Warszawy w umówionych w Dreźnie wyrazach (że »ojciec wzywa mnie, bo jest bardzo chory«, co znaczyło, iż koniecznie ze mną chcą się widzieć), żebym przyjeżdżał. W kilkanaście znów godzin znów przychodzi depesza (że »ojciec śmiertelnie chory i wzywa mnie do Bydgoszczy«) z Bydgoszczy (Bromberg) w Prusach, która znaczyła, iż mnie tam już oczekują. Nie można było zatem dłużej i zwłóczyć, sam nawet Komitet, chociaż moja obecność jako komisarza była koniecznie potrzebną, nie zatrzymywał mnie już dłużej. Ustanowiwszy zastępstwo za siebie, t. j. oddawszy pieczęć i pełnomocnictwo Tomczyńskiemu do spełniania tymczasowo moich obowiązków, wyjechałem z Paryża; w kilkanaście zaś godzin za mną miał wyjechać Rudnicki z owym kuryerem, który zatrzymał się, aby niedokończone jeszcze korespondencye zabrać do Warszawy. Rudnicki prócz tego zabrać jeszcze miał list od Guttrego do jednego z obywateli poznańskich z propozycyą, aby oni u siebie utworzywszy organizacyę, wysłali jednego z delegowanych do naszego Komitetu. Toż samo miał nasz Komitet zaproponować i Galicyi, aby wszystkie części dawnej Polski miały w nim swoich reprezentantów.

XXXII.

Spotkanie w Bydgoszczy z Zwierzchowskim. — Tajne stowarzyszenie w Poznańskiem. — Wezwanie do Warszawy. — Złe przeczucia. — Przyjazd do Warszawy. — Judasz. — W pułapce. — Pierwsze chwile na Pawiaku. — Badania. — Sąsiad o ścianę. — Dalsze badania. — Wyznanie.

Z wielką ostrożnością przejeżdżałem przez Prusy, obawiając się nie być jakim fatalnym wypadkiem poznanym przez którego z pilnujących mnie przed rokiem policyantów w Hausvogteiu, coby niewątpliwie sprowadziło moją aresztacyę. Szczególniej miałem się na baczności, przejeżdżając przez Berlin, gdzie niebezpieczeństwo było największe.

Cała jednak podróż szczęśliwie mi poszła aż do samej Bydgoszczy. W liście, jaki pisałem na parę dni przed wyjazdem, prosiłem, aby z Warszawy dla widzenia się ze mną przyjechał Janczewski z Terlicą (choć mi nieznanym), aby Zwierzchowski nie narażał się ciągłymi wyjazdami, a głównie na co największy nacisk kładłem, iż chcemy mieć sprawozdanie o biegu spraw warszawskich z innego źródła, a nie wciąż od jednego Zwierzchowskiego, który jako zbyt egzaltowany, może nam wszystko w niekoniecznie prawdziwych (bez złej woli) kolorach przedstawiać. Zadziwiony przeto byłem, gdy mnie w Bydgoszczy Zwierzchowski przywitał, choć przywitanie było z takiemi oznakami przyjaźni, szacunku i szczerości, że trudno było źle go przyjąć.

— A gdzież Janczewski? — spytałem — Wszak prosiłem, żeby i on przyjechał.

— On już był na kolei żelaznej — przerwał mi Zwierzchowski — ale Rozengart (komisarz rewidujący paszporta), który zna go osobiście, był na kolei i Janczewski, obawiając się schwytania, musiał zostać, mnie na miejsce swoje wysyłając.

— Czyż ty nie lękasz się ciągle tak przejeżdżać w takim

czasie, gdzie czujność jak największa? — Ja właśnie dlatego nie chciałem ciebie tu sprowadzać, żeby cię bardziej nie narażać.

— O! ja nie lękam się niczego, kiedy idzie o sprawę — zawołał Zwierzchowski i zaczął dalej o swem poświęceniu i rezygnacyi na wszystko rozpowiadać. Kiedy w dalszym ciągu naszej rozmowy dotknąłem z lekka pogłosek w Paryżu rozsiewanych, Zwierzchowski z oburzeniem nad podłością ludzi zapytał:

— Czyż mogliście przypuszczać o zdradzie? czyż nie macie do mnie ufności?

— Nie myśl tak — odrzekłem — czyżbyśmy trzymali cię dłużej w Warszawie, gdyby choć cień podejrzenia przebiegł mi po głowie? A tylko lękam się, czy ciebie czasem policya nie śledzi; a zresztą nie zapominaj, co powiedział Mochnacki, że podejrzliwość i nieufność to pierwsza cnota rewolucyonisty.

— Jak to, więc mieliście rzeczywiste podejrzenie? — rzekł czerwieniąc się (co mimo zmroku spostrzegłem) — A myślałem, że ty zupełnie mi zaufałeś; niech, co chcą, inni myślą, byleś ty miał do mnie zaufanie, byleś ty mnie o nic nie podejrzywał.

— Nie mieliśmy podejrzenia na ciebie o zdradę, bo takiej zdrady, dobrowolnej, umyślnej i z dawna ułożonej, niezdolny byłby popełnić żaden Polak, chyba najnikczemniejszy z nikczemnych; ale baliśmy się o twoją nieostrożność i o ciebie, abyś schwytany nie był.

— Choćbym był złapany, to pierwejby mnie zamęczyli w Cytadeli, niżbym choć słówko wydał! — zawołał patetycznie Zwierzchowski.

— Wierzę, iż tak ci się zdaje w tej chwili; ale nikt o tem, czego jeszcze nie przechodził, wyrokować nie może, a Konarskich niewiele na świecie. Zresztą, mój drogi, widzisz, że ci wierzymy i ani mieliśmy ani mamy jakichkolwiek podejrzeń, kiedy ja tu jestem i kiedy Rudnicki pojedzie do Warszawy, choć życie jego na jednym tylko włosku wisieć tam będzie.

— Więc Sawa przyjedzie? — zawołał rozradowany — a ty czyż zgodzisz się na jeden choć dzień do nas przyjechać?

— Jeżeliby interesa organizacyi koniecznie tego wymagały, to nigdy nie zawaham się przed spełnieniem obowiązków,

jakie na siebie włożyłem; ale obecnie Sawa, który jedzie, we wszystkiem równie dobrze, jak ja, objaśnić was może, żadnej bowiem tajemnicy Komitet przed nim nie zachowywa, a zresztą o tem później jeszcze pomówimy, jak Sawa przyjedzie, co za kilkanaście godzin nastąpi. A teraz odpoczniemy i zarazem pokażę ci — dodałem z uśmiechem — »L'Opinion Nationale«, abyś się przekonał, że wasze odezwy na obce języki tłómaczą. Kazałem przynieść świece, gdyż cała ta nasza pierwsza rozmowa przy zmroku była prowadzona, i dałem mu do czytania gazetę, sam zająwszy się kolacyą, którą razem ze światłem przynieśli. Po kolacyi rozmawialiśmy jeszcze długo o różnych planach i projektach. Zwierzchowski wciąż powracał do swej prośby o mój przyjazd, dając za powód mające się w tych dniach odbyć zebranie obywateli, którzy pragną się z nami porozumieć, kładąc niejako za warunek swego przyłączenia się osobiste porozumienie się z jednym z członków paryskiego Komitetu. Na zapytanie moje »Jacyż to obywatele«? wymienił kilka nazwisk (których dziś już nie pamiętam), nadmieniając, iż ja najłatwiej całe porozumienie do skutkubym doprowadził i że wszyscy członkowie Rządu usilnie proszą, abym choć na dzień jeden do Warszawy przyjechał.

— Co do bezpieczeństwa twojego — dodał — to my wszyscy, a ja i Janczewski szczególniej, życiem swojem ręczymy.

— Za takie rzeczy nikt ręczyć nie może — przerwałem mu — bo to nie w waszych siłach: wszystko zależy w takich razach często od drobnej okoliczności, od ślepego trafu. Ale żebyście nie myśleli, iż się nawet waham na chwilę podzielać niebezpieczeństwa, to zgoda, jadę, jeżeli tego sprawa nasza wymaga. Ucieszony mojem postanowieniem Zwierzchowski pokazał mi zaraz paszport, przygotowany już dla mnie na wszelki wypadek. Paszport ów, jak mówił, pozostał między papierami Waszkowskiego, gdzie również i kilka blankietów paszportowych, wykradzionych czy wykupionych z kancelaryi oberpolicmajstra, pozostało. Dla Sawy (Rudnickiego) był drugi paszport, na blankiecie, jak mówił, podrobionym napisany. Nie dziwiło mnie to wcale, bo w czasie powstania większa połowa ajentów rewolucyjnych z podrobionymi paszportami podróżowała. Wieczorem tegoż dnia przybyły urzędnik kolei Busse, który i w czasie powstania do organizacyi należał, podjął się

paszport, za którym miałem jechać, sprawdzić na granicy, czy czasem niema jakiej o nim adnotacyi.

Na drugi dzień przyjechał Rudnicki i natychmiast zapoznałem go ze Zwierzchowskim. Ułożyliśmy się wspólnie o jazdę do Warszawy, postanowiwszy jednak parę dni jeszcze wstrzymać się dla zobaczenia się z jednym Poznańczykiem, do którego Rudnicki miał list od Guttrego. Nad wieczorem przybył Busse z oświadczeniem, że paszport mój nie jest pewny, bo nazwisko Szwarca (takie bowiem nazwisko było w paszporcie) jest źle notowane. Jechać zatem nie mogłem. Sam Zwierzchowski nie nalegał już na mój wyjazd, pytając mnie tylko, czy w razie koniecznej potrzeby widzenia się ze mną mogą liczyć, iż się na wezwanie stawię w Warszawie. Odpowiedziałem mu, iż jak tylko otrzymam list, podpisany przez Rudnickiego (Sawę), Janczewskiego i jego, to bez wahania, wiedząc, że tylko w koniecznych razach oni wzywać mnie będą, natychmiast przyjadę.

Cały ten dzień przepędziliśmy na wspólnych rozmowach. Ponieważ w sam dzień mego przyjazdu do Bydgoszczy w niektórych niemieckich gazetach ogłosili moją nominacyę wraz z nominacyą Komitetu, w wielkiej przeto był obawie o mnie Zwierzchowski, aby czasem wypadkowo mnie nie poznano. Ostrożność ta jego dochodziła do śmieszności, bo prosił, abym nawet przez okno hotelowe nie wyglądał i na ulicę nie wychodził. Nad wieczorem przyszedł list z Warszawy, wzywający Zwierzchowskiego, aby natychmiast powracał. Żegnając się ze mną, a nie był pewny, czy się jeszcze zobaczymy, prosił, aby w razie zaaresztowania go pamiętać o jego familii a szczególniej o starym ojcu. »Ojciec mój — rzekł ze łzami w oczach — nie ma innej podpory, prócz mnie; jeżeli ja zginę, on sam jeden pozostanie«. Przyrzekłem mu wszelką możliwą w takim nieszczęsnym razie opiekę i pomoc. W parę godzin po jego wyjeździe miał Rudnicki rozmowę z przybyłymi na list Guttrego Poznańczykami, od których dowiedział się, iż oni już sami, powodowani jedną z nami myślą, zawiązali tajne stowarzyszenie. Stowarzyszenie to zapuściło nawet swe nici organizacyjne i do Królestwa i myślało o koniecznem porozumieniu się z emigracyą. Nie mogliśmy przeto lepiej trafić, bo wszystko, co my dopiero projektowaliśmy, już było zrobione. Widziałem się i ja z nimi, gdyż Rudnicki mnie jako komisarzowi chciał zostawić

układy z nimi. Ponieważ jednak pełnomocnictwa do formalnego porozumienia oni nie mieli, a zatem miałem dopiero wedle ich wskazania w Berlinie z ich deputowanymi stanowcze warunki dla zjednoczenia prac naszych ułożyć.

Wielce byliśmy uradowani tak niespodziewanem odkryciem, pokazującem, iż nie tylko my, emigranci, o nowem sprzysiężeniu myślimy. Na żądanie Rudnickiego napisałem szczegółowy i obszerny raport o rozmowie naszej z wysłańcami poznańskimi, który on do Warszawy dla przedstawienia Rządowi miał zawieźć. Tłómaczyłem mu, że on to ustnie opowie; ale Rudnicki koniecznie żądał, abym jako komisarz od siebie urzędowe o tem dał zawiadomienie.

Na drugi czy trzeci dzień po wyjeździe Zwierzchowskiego przybył Busse z listami od Zwierzchowskiego i Janczewskiego, oświadczając, iż ma polecenie ułatwić drogę Rudnickiemu i odprowadzi go do samej Warszawy. Pożegnawszy się serdecznie z Rudnickim i życząc mu najpomyślniejszej podróży, pozostałem w Bydgoszczy, pragnąc doczekać się wiadomości od Rudnickiego z Warszawy, aby nareszcie być spokojnym, że choć szczęśliwie stanął na miejscu. Czekałem również i na pieniądze, jakie Zwierzchowski w liście przez Bussego obiecywał. Pocieszało mnie to głównie co do Rudnickiego, że nikt go nie zna w Warszawie, łatwo przeto będzie mógł się ukrywać. Janczewski zresztą, znany daleko więcej w Warszawie, ukrywał się jednak parę już miesięcy i w liście swoim, przez Bussego do mnie i Rudnickiego pisanym, oświadczał, iż wszelkie bezpieczeństwo temu ostatniemu, o ile tylko w ich możności, zapewniają. Pozostawszy sam jeden, czekałem niecierpliwie na wiadomość, skracając czas rozmową z niejakim Kellerem, ajentem przysłanym z Warszawy dla ułatwienia przesyłek i pism między Warszawą a Paryżem.

Wszystko zdawało się sprzyjać naszym zamiarom. Poznańskie samo już organizowało się powoli. Do Galicyi, gdzieśmy dopiero mieli projekt wysłania emisaryuszów, stowarzyszenie poznańskie uprzedziło nas i tym sposobem umniejszyło trudów i przyśpieszyło pracę, a co najważniejsza, to owo moralne poparcie, owa solidarność myśli, która pokazała nam dobitnie, że zamiary nasze nie były wcale pojedynczymi wyskokami egzaltowanych umysłów emigracyjnych, lecz wynikiem

potrzeby, jeżeli nie ogólnie całego kraju, to przynamniej szlachetniejszej i patryotyczniejszej części jego obywateli. Dodało to nowego bodźca i nowej otuchy naszym pracom, widząc, że nawet po tak wielkiej klęsce duch narodowy, choć może osłabł na chwilę, teraz budzi się z nową i niepożytą siłą. Napisawszy do Paryża w ogólnych wyrazach o sprawach poznańskich, odłożyłem szczegóły do osobistego widzenia się z nimi, które za parę dni miało nastąpić.

Trzeciego dnia po wyjeździe Rudnickiego przybył Busse z listem do mnie i zapewnieniem, iż Rudnicki jak najpomyślniej dojechał do samej Warszawy. Na banhofie kolei żelaznej czekali już na niego Zwierzchowski i Janczewski i razem w dorożce pojechali do miasta. Uspokojony choć w części o Rudnickiego, zabrałem się do czytania listu. W liście tym nad moje spodziewanie była jak najusilniejsza prośba o mój natychmiastowy przyjazd do Warszawy, gdyż z powodu organizacyi poznańskiej pragną koniecznie osobiście ze mną się rozmówić. Drugim także powodem było zjechanie się z prowincyi kilku obywateli, którzy pragnęli ze mną, jako członkiem paryskiego Komitetu, obszerniej się dla przyłączenia do naszego stowarzyszenia porozumieć. Oprócz listu było jeszcze zawezwanie od Rządu Narodowego, abym koniecznie na dzień jeden dla nader ważnych powodów niezwłocznie do Warszawy przybył, od naczelnika zaś miasta zawiadomienie, iż wszelkie poczyniono kroki, aby bezpieczeństwu mojemu tak w drodze, jak i mieście nic nie groziło; w karteczce zaś, dołączonej do listu, innym charakterem pisano, że Sawa i Janczewski uważają za konieczny mój przyjazd i dlatego, chociaż osobiście nie piszą, lecz urzędownie, jako już członkowie Rządu Tymczasowego, wzywają mnie do stolicy. Busse miał mnie do samej nadgranicznej stacyi towarzyszyć. Paszport przysłano mi na imię Wojnarowskiego Alfonsa z dwoma przejazdami za granicę, tak ażebym mógł i natychmiast bez zwłoki napowrót odjechać.

Poco mnie tam oni tak gwałtownie wzywają, kiedy Rudnicki wszelkie objaśnienia tak co do Paryża, jak i Poznańskiego może im udzielić? — pomyślałem sobie w duchu. Ale czyż mam się okazać mniej odważnym i mniej poświęconym, jak ci, których wysyłałem? Jako komisarz Rządu powinienem być posłuszny, choćby dla samego przykładu; zresztą może jest

tam i coś tak ważnego, że listowi boją się tej tajemnicy powierzać. Miałem wprawdzie jechać do Berlina, dla widzenia się tam z deputowanymi poznańskiego stowarzyszenia; ale czyż na mojem stanowisku w całej tej sprawie mogę bez żadnego powodu odmówić wezwaniu moich współpracowników i moich przyjaciół? Takie mniej więcej przebiegały mi myśli po głowie, gdym skończył czytać te warszawskie pisma. Droga była bardzo a bardzo niebezpieczna, ale czyż oni się wahali? Na jedno moje słowo pośpieszyli tam, gdzie ich wewnętrzny obowiązek przyzywał. Wszystko zatem kazało mi puścić się w tę podróż prócz wewnętrznego, na niczem nie opartego przeczucia, które jakby odpychało mnie od mego, choć koniecznego zamiaru.

Całą noc przed wyjazdem trapiony byłem gorączkowymi snami, pełnymi widzeń i ostrzeżeń, jakie często przed niebezpiecznem przedsięwzięciem nas nawiedzają. Umysł, zmordowany wewnętrzną walką, musi zawsze wyradzać we śnie te nie związane z niczem widziadła — rzekłem do siebie, budząc się nad ranem. Ileż to razy jeździłem do Warszawy podczas największego rygoru i teroryzmu wojskowego i zawsze szczęśliwie wracałem. Dlaczegóżby teraz, kiedy tyle przedsięwzięto ostrożności i kiedy dzień jeden tylko mam bawić, miała jakaś fatalność stanąć na mojej drodze?

O 7-ej wszedł Busse do mojego pokoju i wypiwszy herbatę, ostrzygłszy i podgoliwszy brodę dla zmienienia się choć trochę, wyjechaliśmy na banhof. Przed odejściem pociągu wrzuciłem przygotowany wczoraj list do Paryża, zawiadamiając Komitet o mej podróży i powodach, jakie mnie do niej zmusiły. Jeżeli za kilka dni — pisałem do Paryża — nie powrócę do was, nie zobaczycie mnie już nigdy.

Do samej granicy Królestwa jechałem z Bussem, milcząc i rozmyślając o niebezpieczeństwach, na jakie jestem narażony. Kiedym przejeżdżał granicę Królestwa i ujrzał, nie dojeżdżając jeszcze do stacyi Aleksandrowo, żołnierza rosyjskiego, pilnującego granicy, jakby mnie coś w serce uderzyło, a głos wewnętrzny szeptał: »Już cię nie puszczą! Już stąd nie wrócisz«. Godzinę przeszło czekaliśmy w Aleksandrowie, zanim ukończono formalności paszportowe i rewizye rzeczy. Nabrałem trochę pewności i otuchy, widząc, że ani mnie, ani memu paszportowi żadnej nie robią trudności. Przez cały jednak czas

oczekiwania na ruszenie pociągu nie wychodziłem z sali, aby czasem kogo ze znających mnie (gdyż bardzo często tędy przejeżdżałem) nie spotkać. Nic jednak tu nie zaszło takiego, coby obawę moją usprawiedliwiało, prócz może 2-ch ciekawych jakichś młodzieńców, którzy ciągle mi się przez okno przypatrywali i szeptali coś w cichości do siebie. Starałem się być jak najspokojniejszym i obojętnym, chociaż w duszy tysiące myśli i wrażeń krzyżowało się z sobą. Nareszcie dano sygnał odjazdu i pożegnawszy się z Bussem, wsiadłem do wagonu.

Towarzyszami mojej podróży był jakiś obywatel Królestwa, którego twarz nie była mi nieznajomą, choć nie pamiętałem, gdzie go mianowicie mogłem widzieć; wiózł on z sobą byłego żuawa, Francuza, na guwernera dla dzieci. Oprócz nich przysiadł się jeszcze oficer rosyjski, nader rozmowny i przyjacielski, szczególniej dla mnie. Przez całą drogę, im bardziej zbliżaliśmy się do Warszawy, ten stan mój jakiejś gorączkowej niespokojności coraz więcej się powiększał. Chciałbym już albo być na miejscu, albo o sto mil od niego i nigdy nie dojechać. Przyjacielski ów oficer ciągle zabawiał mnie rozmową, wysiadając, gdzie tylko ja wysiadałem, i proponując nawet, abyśmy stanęli w Warszawie w jednym hotelu. Obywatel znowu, wiozący żuawa, nadzwyczaj badawczo mi się przypatrywał i jakoby zdawał się mnie poznawać. Wszystko to nie przyczyniało się do mojego uspokojenia. Kiedyśmy przyjechali do Skierniewic, powziąłem nagle myśl, czyby nie bezpieczniej było tu się zatrzymać i dalej jechać bocznym traktem pocztą, bo na banhofie warszawskim mogłem przez kogo wypadkiem być poznanym. Wysiadłem przeto z wagonu, szukając jakiej furmanki, coby mnie do miasta odwiozła; ale ów oficer takoż wysiadł i tak mi nieodstępnie towarzyszył, że obawiając się wzbudzić podejrzenie mym nagłym zamiarem pozostania w Skierniewicach, wsiadłem do wagonu, zdając się na losy, i pojechałem dalej.

Przed samą Warszawą obywatel, tak badawczo mi się przypatrujący, nie wytrzymał nadmiaru swej ciekawości i zapytał:

— Czy Pan czasem nie Radzyński?

— Nie, Panie — odrzekłem zimno.

— Tak Pan podobny do niego; może Pan jaki krewny? — ciągnął dalej ciekawy obywatel, myśląc, że się dowie o mojem

nazwisku — bo to ja całą familię ich znam; oni mieszkają w Paryżu — dodał, robiąc nacisk na Paryż.

— Ja zaś ich wcale nie znam — odrzekłem, zaniepokojony trochę tem badaniem, a szczególniej wzmianką o Paryżu.

Na tem rozmowa się ucięła; ale kiedy dojeżdżając do Warszawy, wyjąłem paszport, aby mieć go w pogotowiu, obywatel nachylił się nad mem ramieniem i przeczytał po cichu nazwisko: »Wojnarowski«, gdyż takie miałem nazwisko w paszporcie. Zwinąłem paszport, gniewnie spojrzawszy się na niego, ale nie czyniłem mu żadnych wymówek za tę natrętność, bo pociąg zatrzymał się już u celu mojej podróży, w Warszawie.

Serce biło mi gwałtownie, kiedy wysiadałem z wagonu. Na platformie nikogo z publiczności nie było, pusto, tylko żandarmi i policya przechadzali się, oczekując na przyjęcie pociągu. Nagle drzwi od sali bufetu lekko się otworzyły i pokazała się w nich blada twarz Zwierzchowskiego. Stał on na wpół z drzwi wychylony a niespokojnie biegające jego oczy badały wysiadających podróżnych, mnie widać poszukując. Wysiadłem z wagonu, aby jak najśpieszniej przejść platformę i zmięszać się z tłumem, oczekującym w sali.

— Kto z zagranicy przyjeżdża, to proszę o paszporta — zawołał komisarz policyjny donośnym głosem.

Kilkunastu podróżnych zbliżyło się pośpiesznie, a ja za nimi i oddałem swój paszport do wizowania. Skierowałem się ku drzwiom, w których stał Zwierzchowski. Kiedym się już zbliżał do niego, on podszedłszy ku mnie, jakby ze zdziwieniem zapytał:

— Czy nie z p. Wojnarowskim mam szczęście rozmawiać?

— Tak jest — odrzekłem, nie zdziwiony wcale tą ostrożnością, bo sala pełna była policyi i żandarmeryi.

Kiedyśmy troszkę na bok odeszli, szepnął mi drżącym głosem:

— Ach, jaki niespokojny byłem o ciebie! Telegrafowałem na granicę w obawie, czy ci się nieszczęście nie przytrafiło.

— Wszystko dobrze mi poszło, jak widzisz, dotąd przynajmniej, ale co dalej? — odrzekłem cicho.

— O, to już nasza rzecz o tem myśleć; tutaj niczego się już nie lękaj.

— Żeby tylko paszport prędko mi wydali, bo nie chciał-

bym długo tu na widoku pozostać; mam tyle znajomych w Warszawie! — rzekłem, przechodząc ze Zwierzchowskim do wychodnej sali, gdzie oddawano paszporta.

Publiczności było bardzo niewiele; nikogo bowiem z miasta bez pozwolenia nie puszczano do wnętrza dworca kolei. Spojrzawszy przez okno na tak mi dobrze znany placyk przed dworcem, ujrzałem kilkanaście osób, oczekujących na przyjezdnych, między którymi zwrócił szczególniej moją uwagę młody jakiś szatyn, ciekawie przyciśnięty do szyby i przypatrujący się mnie, a głównie Zwierzchowskiemu.

— Wyjdźmy lepiej z banhofu na miasto, bo może cię jeszcze kto poznać — szepnął Zwierzchowski.

— Ale jakże wyjść bez paszportu?

— Po paszport ja sam przyjdę później, a dziś na szczęście dyżuruje znajomy mi oficer policyjny; opłacany jest od nas — dodał ciszej — a zatem każe nas wypuścić, zwłaszcza iż widział, jakeś paszport oddawał.

— Dobrze, dobrze, poproś go; ja sam jak najchętniej chciałbym już być w hotelu.

Zwierzchowski, zbliżywszy się do stojącego blizko drzwi wychodowych oficera, powiedział mu kilka słów, których nie mogłem dosłyszeć, wskazując na mnie. Oficer skinął głową na znak przyzwolenia, spojrzawszy z jakimś znaczącym wyrazem twarzy na mnie. Za chwilę siedzieliśmy już w dorożce, układając mój tłómoczek na przodzie.

— Czy to nie pan Aleksander Zwierzchowski? — zawołał nagle, przysuwając się do dorożki, ów tak ciekawie przypatrujący się nam przez szyby młodzieniec.

— Nie! Pan się mylisz! — zawołał zmięszany trochę Zwierzchowski i krzyknął na dorożkarza, aby ruszał.

— To jakiś twój znajomy — rzekłem, gdyśmy odjechali z przed dworca.

— Zapewne musiał mnie gdzieś widzieć; o, to mi się często zdarzają takie spotkania, ja też często przebieram się dla ich uniknienia.

— Niepotrzebnie tak się narażasz, wszędzie sam chodząc, jak gdybyś nie mógł, lub nie miał kim się wyręczyć.

— Najlepiej wszystko samemu robić — odparł mi.

— Ale jaki ty blady i zmieszany jesteś? — rzekłem, spoj-

rzawszy na niego — coś musiało stać się niedobrego z naszymi.

Twarz jego była pokryta chorobliwą bladością, a oczy ciągle niespokojne i jakby gorączką rozpalone; nie uważałem tego z początku, zajęty tylko swojem bezpieczeństwem.

— Powiedz mi — rzekłem — co to jest? Czy jakie nieszczęście się stało? Może aresztowali którego z naszych?

— Nie, nie — odrzekł po chwili — później ci powiem, jak przyjedziemy do domu; teraz nie mogę — rzekł, wskazując na dorożkarza.

Zamilkłem, niespokojny o los moich przyjaciół i o swój własny. Przejeżdżaliśmy właśnie przez Krakowskie Przedmieście, zdążając ku placowi Zygmunta. Jakże mi się smutną wydała Warszawa! Ulice prawie bezludne; kilkunastu tylko przechodniów, śpieszących za swymi interesami; bramy domów pozamykane stosownie do rozkazu władzy wojskowej. Z okien ogromnego 4-ro piętrowego pałacu hr. Zamojskiego wyglądały ciekawe głowy żołnierzy; na każdym rogu ulicy policyant lub żandarm, a nad tem wszystkiem pochmurne niebo dnia marcowego. Widać było, że stan wojenny i teror żołnierski trwały w całej swej sile.

— Gdzie mnie wieziesz? — zapytałem Zwierzchowskiego, widząc, że dorożka skręca ku Staremu Miastu.

— Do Neumana; tam właśnie mają się wszyscy nasi zebrać.

— Więc jeszcze ich tam niema? Myślałem, że przynajmniej Janczewski i Rudnicki będą na mnie oczekiwać.

— Nie wiedzieli, czy z pewnością dziś przyjedziesz, a o 7-ej jest posiedzenie Rządu — dodał ciszej.

Dorożka właśnie zatrzymała się przed domem owego Neumana (na ulicy, o ile pamiętam, Piekarskiej czy Zapiecku) i wysiedliśmy obaj, udając się na drugie piętro.

— Powiedzże mi teraz — rzekłem, siadając na łóżku w małym pokoiku, do jakiego Zwierzchowski mnie wprowadził — co tu się dzieje? Czegoś ty taki zmieszany i po coście mnie do Warszawy wezwali?

— To Janczewski i Rudnicki koniecznie żądali, aby umówić się o stowarzyszenie poznańskie, a głównie dla porozumienia się z obywatelami.

— Więc rzeczywiście i oni chcą organizacyę naszą podtrzymywać? — zapytałem.

— Na wszystkie nasze plany zgadzają się, tylko koniecznie chcieli z paryskim Komitetem wejść w porozumienie — i zaczął mi rozpowiadać w żywych kolorach o różnych złotych nadziejach i marzeniach pomyślnych dla naszej sprawy.

Mimo jednak tych pomyślnych wiadomości twarz jego nie wyjaśniła się ani na chwilę; ciągle przebiegał przez nią jakby jakiś niepokój czy smutek tajony.

— Co ci jest, Aleksandrze? — spytałem, biorąc go za rękę — wszak wspominałeś o jakiemś nieszczęściu?

— Tak, tak! Aresztowano dwóch z naszej organizacyi dziś nocą; dwóch ze Szkoły Głównej, którzy zbierali podatki za kwitami Komitetu. O, teraz składki bardzo dobrze idą — dodał, jakby nie chcąc wracać się do tej nieprzyjemnej nowiny — ot, co mamy pieniędzy! — wyjmując z kieszeni zwitek bankowych biletów.

— Ty coś ukrywasz przedemną — rzekłem, patrząc mu bystro w oczy — musiało się coś jeszcze ważniejszego stać, może Sawę aresztowali?

— Och, nie, przysięgam ci; tylko widzisz, boję się, czy policya nie weszła na ślad organizacyi, bo dziś znów robiono rewizye w kilku domach i podwojono czujność na ulicach.

— O, to źle, bardzo źle — odrzekłem ze ściśnionem sercem — mogą nas wszystkich połapać.

— Tak źle jeszcze nie jest — zawołał Zwierzchowski — ale zawsze lękam się o ciebie. Ach, po coś ty przyjeżdżał? — dodał po chwili — Oddałbym życie, gdyby cię tu nie było — i zamyślił się głęboko, a twarz jego więcej jeszcze zdawała mi się bledszą, niż przedtem.

— Co ci jest? — zapytałem, przybliżając się do niego.

— Chory, chory jestem trochę przez niepokój o ciebie; weź mnie za puls, mam gorączkę. Ach, jeżeliby ciebie złapali, to ja sobie chyba w łeb wypalę — zawołał ze zwykłą sobie egzaltacyą.

— Nicbyś mi już tem nie pomógł; ot, pomyśl lepiej o bezpiecznem ukryciu i wyjeździe moim jutrzejszym. A zresztą nikt nie wie o mnie prócz was kilku, a zatem niema jeszcze czego się lękać.

Nic mi na to nie odpowiedział, tylko siedział milczący i smutny, jakby rozważając coś w myśli, a po chwili machnąwszy ręką, jak gdyby chciał odeprzeć od siebie ciężkie jakieś troski, zawołał weselszym na pozór przynajmniej głosem:

— Wszystko dobrze urządzimy; to Janczewski chciał twego przyjazdu; jutro raniutko ja sam i w policyi paszport zawizuję i wyjedziesz napowrót, a teraz pojedziemy na zebranie.

— Wszak tu mieli się zebrać?

— Nie, nie; tu już rano byli, ot jeszcze kuferek Janczewskiego pozostał — rzekł, pokazując na dobrze mi znaną walizkę — wieczorem wszyscy będą u panien Heinrych.

— A gdzież ulokowaliście Sawę, czy w bezpiecznem miejscu?

— O, w jak najbezpieczniejszem, u mojej siostry na Nowolipiu.

— Ale, ale, o moim paszporcie zapomniałeś; wszak on nie odebrany jeszcze, a przecież muszę się dziś zameldować, stanąwszy na noc w jakim hotelu.

— W tej chwili jadę po niego, a jak wrócę, pojedziem do Sawy i z nim na posiedzenie; tak ułożę, żeby dziś wszystko ukończyć, a jutro powrócisz do Paryża — rzekł, ściskając mnie na odchodnem za rękę.

Pozostawszy sam jeden w mieszkaniu,, zacząłem rozmyślać nad swem położeniem, nad wiadomościami niepokojącemi, o jakich usłyszałem. Było mi jakoś ciężko na sercu, jak gdybym przeczuwał coś złego, coś mnie osobiście dotyczącego. Chodziłem po tej małej stancyi, nie mogąc odegnać smutnych myśli i przeczuć cisnących się do mej głowy. Och, żeby prędzej przyszedł już kto z naszych! — szeptałem do siebie, biorąc jakąś książkę do ręki. Przerzuciwszy kilka kart, wpadłem na opis Bastylii paryskiej; rzuciłem książkę na łóżko, nie chcąc rozdrażniać bardziej jeszcze już tak natężonej wyobraźni. Jutro będę już w drodze, jutro będę już za granicą, bezpieczny i spokojny — powtarzałem sobie w duchu.

— Ach, dobrze, że powracasz nareszcie — rzekłem do wchodzącego Zwierzchowskiego — nie wiedziałem, co już z sobą tu robić.

— Oto kartka twoja na paszport — rzekł, podając mi

świadectwo komisarza — zaraz tu przyjdzie pewien twój znajomy i pojedziecie do hotelu Saskiego razem, a ja tam przyjdę z Janczewskim, bo on już wie o twym przyjeździe.

Zaledwie tych słów domówił, jak drzwi się otworzyły i wszedł ów kuryer Radoński, tylko co przybyły z Paryża.

— Komisarz tutaj! Och, żeby tylko nie złapali?

— Nadzieja w Bogu i w was, że mnie nie dacie złapać — rzekłem, przerywając mu mowę — tylko Pan tutaj nie tytułuj mnie komisarzem.

— O nie, nie; to przez zapomnienie — tłómaczył się Radoński.

Za chwilę siedzieliśmy już z nim w dorożce, zmierzając do Saskiego hotelu. W hotelu taka masa była pasażerów, iż ledwie dostałem tylko opróżniony numer na 2-iem piętrze.

— Ale jak się Pan zmienił! — rzekł Radoński — Po podgoleniu brody trudno poznać.

— Trzeba być ostrożnym, choć co prawda, to żal mi trochę brody i wolałbym zawsze, jeżeli mnie złapią, wisieć z brodą, jak bez brody — rzekłem, żartując.

— A co Pan też mówi! Niech Bóg broni takich myśli.

— Każden z nas powinien być na wszystko przygotowany. Ale coś Zwierzchowski się spóźnia — rzekłem, patrząc się na zegarek — już po 7-ej, a jego niema.

— Słychać kroki na korytarzu, to pewnie on.

Rzeczywiście on to był, przebrany i przeinaczony.

— Cóż, jedziemy? — rzekłem, biorąc za kapelusz — Bardzo już pragnę zobaczyć się z Sawą, z Janczewskim i innymi.

— W tej chwili, w tej chwili! — odpowiedział Zwierzchowski, nie patrząc się na mnie — Ja tylko wstąpię po Janczewskiego i wrócę tu z nim, a już we trzech razem pojedziem na zebranie — nie wychodź tylko nigdzie.

— Śpiesz się, śpiesz, bo już po 7-ej — zawołałem za odchodzącymi, gdyż i Radońskiego zabrał z sobą.

»Nareszcie zobaczę się z nimi — pomyślałem sobie, sam pozostawszy — Muszę dziś wszystkie, jakie tylko mają do mnie interesa, ukończyć, aby jutro wyjechać; za trzy lub cztery dni będę z powrotem w Paryżu. Nie wiem, czy tam nawet wierzyć będą, że byłem w Warszawie«. Usłyszałem stąpanie po schodach, a później kroki paru osób, zbliżających się do mego po-

koju. O, to oni idą — rzekłem, powstając z kanapy i posuwając się ku drzwiom. Drzwi się nagle otworzyły i ujrzałem w nich z przerażeniem oficera żandarmeryi, a za nim pokazało się kilku policyantów i błysnęły bagnety żołnierskie. Co przeszedłem w tę jedną chwilę, opisać nie mogę. W oczach mi pociemniało, krew cała zdawała mi się zbiegać do piersi i dusić i cisnąć je gwałtownie, a na mózg, na głowę jak gdyby spadły mi ciężkie kamienie, tłocząc ją do ziemi.

— Co to jest? — wyszeptałem, cofając się mimowolnie w głąb pokoju.

— Przyszliśmy Pana aresztować — rzekł, postępując naprzód oficer.

— Mnie! Za co? Wszak ja tylko co przyjechałem z Prus — mówiłem zaledwie dosłyszanym głosem, nie mogąc jeszcze wyjść z osłupienia.

— Wszak Pan jesteś Wojnarowski Władysław? — zawołał, szyderczo uśmiechając się, żandarm.

— Ja jestem Alfons Wojnarowski.

— Alfons? A mnie się zdaje, że to Pan Władysław — i z naciskiem wymówił ostatnie imię — a zresztą Pan się wytłómaczy gdzieindziej.

Usłyszawszy moje imię, pomyślałem: »Wiedzą o wszystkiem: jestem zgubiony!« i prawie bezsilnie usiadłem na fotelu, nie mogąc ustać, jak gdyby cały gmach hotelowy zwalił się na moje barki.

— Niech doróżka zajeżdża — rzekł oficer do stojącego przy drzwiach policyanta.

— To chyba musi być jakaś pomyłka — rzekłem, wróciwszy po chwili do zimnej krwi i spokojności — bo niema godziny, jak w tym hotelu stanąłem; może jakieś formalności paszportowe?

— Tak, to pewno o paszport; ja zresztą nic nie wiem.

Nadzieja wstąpiła mi do serca: »To może pomyłka; zawiozą mnie do cyrkułu, sprawdzą rysopis i wypuszczą«. O, w takich chwilach człowiek lada słabej nitki się chwyta, nie chcąc wierzyć tak niespodziewanemu, tak wielkiemu nieszczęściu. Ileż to razy tak się zdarzało — przypominałem sobie w duchu — że przyjeżdżających z zagranicy brano pod areszt do komisarza cyrkułowego, porównywano rysopis w paszporcie,

robiono rewizye w rzeczach i nic nie znalazłszy, puszczano wolno. Trzeba jak najprędzej wyjść z hotelu, bo Zwierzchowski z Janczewskim lada chwila mogą nadejść, a wówczas sprawa moja, gdyby ich złapano, może się pogorszyć znacznie.

— Tak, może to pomyłka — szeptałem w duchu, pragnąc odegnać okropne obawy, jakie przed memi oczami się tworzyły. W głowie mojej huczały jakieś burze oddalne, duszę okryła czarna męcząca niemoc; nie mogłem sobie zdać jasnej sprawy z mojego położenia, wszystko naraz plątało mi się w głowie. Wyrwało mnie z tego chwilowego odurzenia wejście policyanta z oznajmieniem, że dorożka już zajechała. Wziąłem kapelusz, gotując się do drogi.

— A rzeczy swoje niech Pan zabiera, bo może tam dłużej przyjdzie Panu pozostać — wyrzekł spokojnie oficer.

Te kilka słów zachwiały znowu całe gmachy słodkich nadziei. »A, pewno chcą zrobić rewizyę«, podszepnął mi duch zwodniczy. Wyszliśmy przed hotel w towarzystwie policyi i umieszczono mnie w dorożce wraz z oficerem i policyantami.

— Gdzie mnie Pan wieziesz? — zapytałem oficera.

— Nie wiem, nie mogę mówić, ale dowiesz się Pan zaraz.

— Dlaczegóż taka tajemnica? — rzekłem z przymuszonym uśmiechem — Pewno do Cytadeli.

— Może, nie wiem — ot, prędko przyjedziemy na miejsce.

Zamilkłem, widząc, iż nic się nie dopytam. Dorożka tymczasem skręciła na Senatorską ulicę. Wszędzie pusto, ani żywego ducha, choć zaledwie 9-ta wieczorem dochodziła; w kilku oknach światła błyszczały, patrole przechodziły po ciemnych ulicach miasta.

»Gdzie oni mnie wiozą?«, szeptałem do siebie, widząc, że dorożka skręca na Długą ulicę, zmierzając jakby ku Lesznu. »Gdyby wyskoczyć z dorożki i uciekać!«, błysnęło mi nagle w myślach. Spojrzałem po mej straży; policyanci nie zdawali się zbyt bacznej na mnie zwracać uwagi, oficer patrzał gdzieś w przeciwną stronę. Oparłem się silnie nogą o dno dorożki, schwyciwszy nieznacznie drugą ręką za opuszczony fordekel i oczekiwałem sposobnej chwili, gotując się do niebezpiecznego skoku. Ale stojąca po rogach policya, częste patrole i pustki na ulicach przy zamkniętych bramach domów odwiodły mnie od nieprawdopodobnego przedsięwzięcia.

»Jeżeli uciekając, zostanę złapany, rzucę na siebie ciężkie podejrzenie; nie wypuszczą mnie więcej i odkryją w końcu, kto jestem, a jak odkryją, to —« i nawet w myślach nie śmiałem dokończyć, że czeka mnie szubienica. »A może nic nie wiedzą; może wszystko zakończy się rewizyą i noclegiem w cyrkule? Wszak nie wiozą mnie do Cytadeli!«.

Tymczasem wjechaliśmy na oddalone, mało zabudowane ulice Warszawy i po niedługiej chwili zatrzymano się przed kratową bramą, poza którą czerniał ogromny jakiś gmach więzienny. Zbiegli się na dzwonek u bramy żołnierze z karabinami, otwarto bramę i wjechaliśmy do wnętrza. Wprowadzono mnie na piętro do kancelaryi; oficer, który mnie przywiózł, oddał jakiś papier siedzącemu w kancelaryi majorowi czy pułkownikowi i zostawił nas samych.

— Jak Pana nazwisko? — zapytał mnie, powstając, ów major, który, jak się dowiedziałem, był inspektorem więzienia.

— Alfons Wojnarowski — odrzekłem — tylko co wróciłem z zagranicy, gdzie przebywałem dla słabości zdrowia, i nie wiem, co za powód mego aresztowania!

— To już do mnie nie należy; to Pan komisyi śledczej będzie się o to pytał. Jak Pan niewinny, to oni Pana zaraz wypuszczą — dodał z dobrodusznym uśmiechem; potem, skinąwszy na dwóch żandarmów, rozpoczął ścisłą rewizyę moich rzeczy.

Podczas tej rewizyi jakiś pisarz wojskowy zapisywał do księgi moje nazwisko i dzień przybycia. Kiedy na jego zapytanie odpowiedziałem, że jestem Alfons Wojnarowski, on z zadziwieniem zawołał, zbliżając się do inspektora:

— *Wasze wysokobłagorodie, oni goworiat, czto Wojnarowskoj, a zdieś w bumagie jen. oberpolicmaistra piszut...*

— *Małczat'!* — przerwał mu inspektor — *piszy tak, kak oni goworiat* — i wyrwawszy mu z ręki papier, cisnął go na swoje biurko.

Po rewizyi rzeczy wzięto się do rewidowania mojej osoby. Rozebrano mnie do koszuli, przetrząsając drobiazgowo całe ubranie. Korzystając z odwróconej odemnie uwagi, zbliżyłem się do biurka, pragnąc ów papier od oberpolicmajstra przeczytać. Rzuciwszy nań okiem, wyczytałem między innemi następujące słowa: »Przybyły dziś z zagranicy do Warszawy pod

nazwiskiem Wojnarowskiego, a w rzeczywistości znany emisaryusz rewolucyjny, Władysław D...« Dalsze litery wypadkowo zakryte były rzuconą czapką inspektora; ale i tych było dostatecznie dla przekonania się, iż wiedziano, kto jestem. Jeżeli jeszcze dotąd błąkała się iskierka jakiejś szalonej nadziei w mej głowie, to teraz zgasła już ona bezpowrotnie. Tyle jednak wrażeń w tym dniu przeszedłem, tyle niespodzianych nieszczęść uderzyło w mą duszę, że ten cios, ostatecznie mnie dobijający, nie podziałał na mnie tak silnie, jakby to przypuszczać można. Byłem w stanie jakiegoś chwilowego odrętwienia umysłu. W głowie uczuwałem jakiś niezrozumiały zamęt. Tysiące myśli cisnęło mi się do mózgu i niedokończone, usuwały się przed drugim szeregiem, wciąż następującym. Wszystko to zdawało mi się snem, snem pełnym męczarni, snem ciążącym mi na sercu jak kamień grobowy, ale snem tylko. Nie zdawałem sobie dokładnej sprawy z tego, co się wkoło mnie działo. Jak przez mgłę pamiętam słowa inspektora więzienia, jakie do mnie mówił o prawidłach więziennych, o życiu, o śniadaniach i obiedzie. Ukończono nareszcie rewizyę, zabrano mi wszystko, co mogło być podejrzanego lub zabronionego dla więźniów, jak zegarek, pieniądze i t. p., i wyprowadzono z kancelaryi. Szliśmy po jakichś korytarzach i schodach, aż przy jednych drzwiach orszak mój zatrzymał się; przybiegło dwóch żołnierzy i dyżurny, otworzono kilka ryglów i zamków i ujrzałem się nagle sam jeden w maleńkiej wązkiej stancyjce, o jednem zakratowanem okienku.

Obejrzałem machinalnie to nowe mieszkanie. Stancyjka nie miała więcej nad 5 kroków długości a z półtrzecia szerokości. Całe umeblowanie składało się ze stołu, przymocowanego do ściany, ławeczki, takoż wpuszczonej w ścianę, i łóżka, jeżeli tak można nazwać wiszącą na hakach, przymocowanych do stołu i ściany, ramę z płótnem i brudną poduszką. Stałem czas jakiś na środku, przypatrując się płomieniowi świecy, która przy drzwiach osadzona w piasek, paliła się zwolna. Nie wiem, jak długo stałem tak zatopiony w myślach, gdy nagle posłyszałem cichy, ale znajomy mi głos, śpiewający »Miserere« z Trubadura. Głos ten przechodził jakby przez ścianę, cichy, ale wyraźny; poznałem go: był to głos p. Maryi C., zacnej i dobrze mi znanej patryotki, którą przed paru miesiącami widziałem w Paryżu, dokąd z depeszami Komitetu Narodowego przy-

jeżdżała. Całą uwagę zwróciłem na ten śpiew, przybliżając się zwolna do muru, z za którego zdawał się wychodzić. Zapomniałem na chwilę, gdzie jestem, zatopiony w słuchu i marzeniach o przeszłości. »Co ona tu robi?« — zapytałem sam siebie, gdy śpiew zamilkł — »Gdzie ona jest?« i posunąłem się ku drzwiom, jak gdyby chcąc wyjść na jej spotkanie. Ale drzwi ciężkie, drewniane, zamknięte na rygle i zasuwy, stanęły przedemną jak straszna rzeczywistość. Odskoczyłem na bok, jakby chcąc odegnać przykre widzenie, spojrzałem po ciasnej celi i oknie zakratowanem i szepnąłem, jakby zbudzony ze snu: »Więc to więzienie!« Naraz wszystko wróciło mi do pamięci: i mój przyjazd i Zwierzchowski ze swemi zapewnieniami i aresztowanie w hotelu — wszystko to było straszną prawdą. Pod ciężarem tych wspomnień upadłem na stojące łoże, miotany nieznaną dotąd, bezwładną, pełną boleści rozpaczą. »Więc już wszystko skończone, wszystko już« i coś ciężkiego przy tych słowach zdawało się spadać na piersi i oddech tamować, a serce kołatało jak młotem. »O Boże! czyż dla mnie niema już ratunku?«, szepnąłem, ciężko oddychając. — »Gdyby ofiarą połowy życia cofnąć się do dnia wczorajszego! — Gdyby to »dziś« nie istniało jeszcze! Jak to od małych rzeczy zależy przyszłość człowieka, jedno słowo »Nie jadę« — i bujałbym teraz swobodny po ulicach Paryża. Tak jest, byłbym w Paryżu między przyjaciółmi«. I nagle myśl moja zwróciła się do tej stolicy świata. Zdawało mi się, że jestem w swem mieszkaniu. Tak wyraźnie zarysował się mi mój pokój, iż mógłbym policzyć liście na obiciu i obrazy na jego ścianach. Papiery leżały na biurku, list niedokończony z pośpiechu wyglądał z gazety, do której go włożyłem, firanka jedna zapuszczona od światła, książka rozwarta na stole — wszystko, jakem zostawił, aby powrócić. »Powrócić? — nigdy już — nigdy! Wszystko zginęło!« Westchnąłem gorzko, boleśnie. »Jak to się stało, jak to mogło się stać?« myślałem, pracując zmordowaną tylu przejściami głową. »Skąd dowiedziano się o mojem przybyciu do Warszawy? Niema kilku godzin, jak przyjechałem. Czyż policya mogła tak nagle, tak niespodziewanie wyśledzić? — Byłem zdradzony! Tak, byłem zdradzony!« zawołałem po głębokim namyśle. »Ale któż zdrajcą?« Długo nie mogłem odpowiedzieć na to pytanie. Podejrzenie moje padało na wszystkich, prócz na prawdziwego wi-

nowajcę. Czyż mogłem w pierwszej chwili przypuścić, aby ten, którego nazywałem swoim przyjacielem, ten, któremu tak wiele zaufałem, ten, który z taką troskliwą niespokojnością oczekiwał mnie na kolei i odwoził do skrycie przygotowanego mieszkania, aby Zwierzchowski nareszcie był zdrajcą! A jednak tak było. Nikczemnik ten, jak się później dowiedziałem, ułożył się z jen. policmajstrem o sprowadzenie mnie i kogo jeszcze zdoła, z emigracyi do Warszawy za pieniężne wynagrodzenie i przebaczenie win, dawniej na nim ciążących. Nic jednak jeszcze wówczas o zdradzie tego nikczemnika nie wiedziałem. Później dopiero dotykalne fakta aż nadto mnie przekonały. Pierwsze moje podejrzenie padało jak najniewinniej na tego obywatela, co to w wagonie kolei żelaznej tak mi się przypatrywał i ciekawie wypytywał o nazwisko. Zapewne widział mnie w Paryżu, a teraz przeczytawszy moje nazwisko przybrane, doniósł policyi dla przypodobania się jen. policmajstrowi (z którym, jak mówił, znał się osobiście). I długo, długo złorzeczyłem mu napróżno.

Myśli moje co chwila przebiegały z przedmiotu na przed. miot, rozgorączkowane tylu ciosami, jakie uderzyły w mą głowę. To chmury, to promienie słońca i nadziei przesuwały się przed moją znękaną duszą, ciągle jednak z jakimś tajemnym uporem wracając do tych słów fatalnych »Jestem w więzieniu, w rękach mych wrogów!« Zmordowany temi myślami, zerwałem się z łóżka i zacząłem machinalnie obiegać maleńką moją celę. W głowie zdawały mi się szumieć tysiączne głosy, do uszu dolatywał jakiś szmer przykry i tajemniczy, jak gdybym wolą swoją nie panował już nad otaczającemi wrażeniami. Całe moje życie przesuwało mi się przed oczami tak dobitnie, tak wyraźnie, jakbym w głąb duszy mojej oczy zapuścił i przeszłość badał. Zatrzymywałem się bezwiednie nad szczęśliwemi jego chwilami, jak gdybym powrócić miał do nich. Najdrobniejsze szczegóły, słowa, które kiedyś słyszałem, twarze przyjaciół i znajomych, płynęły zwolna i tak żywo, iż prawie rozmawiać z nimi chciałem. Przedłużałem umyślnie to marzenie na jawie, zatapiałem się głębiej i głębiej w tych radośnych widziadłach jak w świecie, z któregom wyjść już nie pragnął. Ale chwilami marzenia rozpraszały się nagle: okropna rzeczywistość stawała

groźnie i nieubłaganie przed memi oczami. Straszny i męczący był ten pierwszy wieczór w więzieniu.

Strudzony i przyciśnięty bolesną rozpaczą, usnąłem jakimś kamiennym, grobowym snem, jakbym już nigdy obudzić się nie miał. Nie wiem, jak długo byłem w takim stanie, ale kiedym się zbudził, noc jeszcze była. Dopalająca się świeca rzucała blade, niknące światło na moją celę. W pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie jestem. Byłem przekonany, iż śpię u siebie w Paryżu. Rozglądałem się nawpół obłąkanemi oczami po białych ścianach i kratach w oknie. »Nie, to nie moje mieszkanie« — pomyślałem, jakby odkrywając rzecz nadzwyczajną — »gdzież jestem?« i serce mi się tak ścisnęło, piersi takim przygniotły kamieniem, żem nawet dalej myśleć już nie mógł. »Och, to sen, to sen być musi!« i zamknąłem znów powieki. Dreszcz jakiś gwałtowny przebiegł mi po ciele, a później gorąco aż do skroni uderzyło. Wpadłem w jakieś osłupienie. Spałem nawet chwilami, ale sen to był ciężki, przerywany. W głowie mi się coś paliło, oczy zamykały bezsilnie. Nic nawet nie śniłem. Tylko czasami przebiegła jakby jakaś chmura, pełna jaskrawego ognia, to jakieś skały ogromne walono mi na piersi; lecz ja nie otwierałem oczu. »Jestem chory — myślałem w jaśniejszych chwilach — jutro obudzę się i wszystko to zniknie — och, żeby tylko prędko to jutro nadeszło!«

Nadszedł nareszcie i jutra poranek, ale jaki, jaki poranek! Drzemałem jeszcze tym snem gorączkowym, co to więcej męczy, niż całonocne czuwanie, kiedy wejście kilku żołnierzy zbudziło mnie nareszcie.

— Co to? Co to? — spytałem, podnosząc ciążącą mi, jakby ołowiem nalaną głowę.

— *Czaj wam, kuszajtie* — odezwał się po rusku jakiś głos nieznajomy.

Podniosłem się i zbliżywszy do stołu, ujrzałem czajnik z herbatą i dwie małe bułeczki. Nic nie jadłem od wczoraj rana, od wyjazdu z Bydgoszczy, a jednak nie mogłem i jednego kawałeczka bułki przełknąć. Twarz mnie jak ogniem paliła, w głowie pulsa biły gwałtownie, a w ustach gorycz jakaś chorobliwa i przykra. Jedno spojrzenie po zakratowanem oknie, po drzwiach, opatrzonych mocnymi ryglami i małem okienkiem, z którego dwoje nieruchomych oczu pilnującego

mnie żołnierza patrzało, przekonało mnie o strasznej rzeczywistości. Za chwilę wezwą mnie zapewne do śledztwa, do komisyi śledczej. Śledcza komisya wie już, kto jestem i czem byłem. W kilka tygodni wszystko się skończy. A może — może nie mają żadnej pewności i tylko aresztowano mnie na proste podejrzenie lub denuncyacyę, bez żadnych dowodów. Jakkolwiekbądź, postanowiłem nie przyznawać się do swojego nazwiska aż do ostateczności. Kto wie, może, nim zbiorą niezaprzeczone dowody mej tożsamości, ja zdołam przy pomocy przyjaciół zemknąć z więzienia. Przecież Rudnicki, Zwierzchowski i Janczewski nie poszczędzą wszelkich starań, aby mnie od śmierci ocalić. Ucieczka z Berlina przyszła mi na myśl i rozchmurzyło się serce moje iskierką słabej nadziei.

Co godzina prawie oczekiwałem wezwania do komisyi, ale oczekiwałem napróżno. Południe już nadeszło, przyniesiono mi obiad, którego ani tknąłem. Zdaje się, że wszelkie uczucia i wrażenia życiowe zamarły we mnie, prócz jednych myśli o mym losie i o mem nieszczęściu. Nic nie widziałem, jak wynieśli obiad, nawet nienapoczęty, jak przyniesiono wodę, jak zapalono świecę i noc się zaczęła. Siedziałem ciągle, wpatrując się w jakiś nieczytelny napis, na stole wyryty zapewne przez mego poprzednika. Wyrwało mnie na chwilę z tego odurzenia pukanie w ścianę, pukanie ciche, miarowe i wciąż się powtarzające. Domyśliłem się zaraz, że to mój sąsiad-więzień pragnie ze mną rozmawiać językiem murów. Wiedziałem wprawdzie o tym więziennym alfabecie, o podziale liter na kilka rzędów i oznaczaniu za pomocą pukania odpowiednich liter, ale z początku nic a nic zrozumieć nie mogłem. Cierpliwy mój sąsiad z godzinę blizko pukał zwolna i dobitnie, aż nareszcie odgadłem, iż pięć rzędów jest w tem abecadle po cztery w każdym liter, do których ą i ę nie wchodzą. Zrozumiałem go nareszcie, pukał on: »A k-t-o j-e-s-t e ś i j-a-k d-a-w-n-o p-r-z-y-b-y-ł-e-ś?« Odpowiedziałem, wolno pukając i często się myląc: »Wojnarowski« i zapytałem, co on zacz? Dowiedziałem się, że żelechowski (czy coś podobnego) burmistrz. Kilka te słów wymagały prawie pół godziny czasu do ich wypukania przy mojej początkowej niezręczności. Zawsze jednak była to rozmowa, rozmowa z również nieszczęśliwym współwięźniem. Mogłem choć na chwilę oderwać się od gnębiących mnie myśli, zapo-

mnieć, a przynajmniej przytłumić rozrywającą mi serce rozpacz. Rozpoczętą tak mozolnie rozmowę przerwał nam dyżurny żandarm, otwierając drzwi dla przepuszczenia *służytiela*, wraz z żołnierzem przynoszącego wieczorną herbatę. Skosztowałem jej zaledwie, aby odwilżyć gorączką palone usta, bo apetytu nic a nic nie miałem.

Co to się znaczy, że mnie do komisyi dziś nie wezwano? Czyżby nie wiedziano, kto jestem i traktowano jako zwyczajnie mało znaczącego więźnia? Kiedy jest człowiek zupełnie bez ratunku, to wówczas często najdrobniejsza, nic nieznacząca okoliczność budzi w nim zaraz nigdy nie niknącą nadzieję. To, że mnie komisya przez cały dzień nie wezwała do śledztwa, już mi się wydało niejaką oznaką, że o mem prawdziwem nazwisku nie wiedzą. Bo czyżby zostawili mnie tak długo w spokoju? Zapomniałem jednak, że to była niedziela, a komisya posiedzeń w święta nie miewała.

Po herbacie, t. j. kiedy już zabrano czajniki, znów zacząłem pukać do mego sąsiada; ale długo, długo nie odbierałem żadnej odpowiedzi, aż dopiero widząc, że pukanie moje nie ustaje, dał mi sygnał o ścianę, abym ucichł, i wypukał te słowa »M-o-d-l-ę s-i-ę, n-i-e p-u-k-a-j t-e-r-a-z«. Modli się, modli: ach, jak ja dawno się nie modliłem! Skądże teraz mieć mogę pomoc, jeżeli nie od Tego, co jest nad nami? O Boże, jedno słowo Twoje, i będę swobodny; i kraty te i mury i straże nie wstrzymają mnie, jeżeli Ty zechcesz. Och, jaka to wielka prawda, iż w nieszczęściu, opuszczeni od wszystkich, wracamy się do Tego, o którym niebaczniśmy zapominali. Zacząłem się modlić, jak w pierwszych chwilach mego dzieciństwa, i rozpacz moja ucichła na chwilę i smutek mój rozjaśnił się tą modlitwą i tą myślą, iż po nad władzą i potęgą ludzi jest jeszcze On, wszechmocny i miłosierny. Czułem w tej chwili, iż życie moje i przyszłość nie zależą już tylko od woli tych, co mnie uwięzili.

Noc przepędziłem troszkę spokojniej. Ostatni sen, jaki miałem był pełen szczęśliwej nadziei. Śniłem ucieczkę z więzienia, ucieczkę pomyślną, jak owa z Hausvogteiu berlińskiego. Sen mój ciągnął się dalej i na jawie. Przedłużałem go umyślnie, aby do smutnej rzeczywistości nie powracać. Wyobraźnia moja tak mnie daleko uniosła i w tak wyraźnych obrazach przedstawiła mi się moja wymarzona ucieczka, jak gdybym rzeczy-

wiście ją już wykonywał. Widziałem siebie, jak przyczajony w nocy, korzystając z drzwi, które dyżurny otworzył dla zapalenia zgaszonej umyślnie przezemnie świecy, wymykam się na ciemny korytarz; ażeby zaś nie poznali mej nieobecności, pozostawiłem przyrządzoną z mego ubrania lalkę, nakrytą kołdrą. Wydostawszy się na korytarz, czekam w framudze okna na sposobną chwilę, aby się przemknąć na dziedziniec i ukryć tam między gospodarskiemi zabudowaniami. Przechodziłem właśnie w myśli przez mur, otaczający dokoła więzienie, kiedy silny głos zawołał nagle:

— *W komisyu Pan!*

Obejrzałem się: przedemną stał wysoki żandarm wraz z dyżurnym. Cała wymarzona moja ucieczka rozpierzchła przed tą stojącą rzeczywistością.

— Komisya woła Pana — z polska powtórzył żandarm, widząc, że się nie ruszam z miejsca.

Otrzeźwiony tem powtórnem wezwaniem, zarzuciłem palto i wyszedłem w towarzystwie żandarma i żołnierza z karabinem. Idąc przez korytarze i dziedziniec do przyległego gmachu do komisyi, przebiegałem myślą tysiączne zapytania, jakie mi tam zadawać mogą. Czy wiedzą, kto jestem? Czy też tylko na domysł, przez podejrzenie mnie aresztowano? Za chwilę wszystko się rozstrzygnie. Przybyliśmy do drzwi, gdzie komisya zasiadała.

— Tam, za temi drzwiami — myślałem — zdecydują o mojem życiu lub śmierci tam; za temi drzwiami przyszłość się moja rozstrzygnie.

Drzwi się otwarły. W niewielkim pokoju przy stole siedziało dwóch wojskowych, czytając jakieś papiery. Jeden z nich, starszy wiekiem i rangą, wskazał mi z ukłonem na krzesło, obok niego stojące. Usiadłem w milczeniu, starając się nie okazywać najmniejszego zmieszania, jakiekolwiek byłyby zapytania.

— Jak Pana nazwisko? — zapytał, patrząc mi się bystro w oczy.

— Alfons Wojnarowski — odpowiedziałem.

— Och! Pan widzę żartuje z członków komisyi śledczej; my wiemy dobrze, kto Pan jesteś! — rzekł z szyderczym uśmiechem.

— Nie rozumiem, czego Pan żądasz odemnie.

— Prawdy, prawdy żądamy od Pana. Wiedz Pan — dodał po chwili — iż nic o Panu nie jest nam tajne. Prawdziwe nazwisko Pana, które napróżno chcesz utaić, jest Daniłowski Władysław.

Przygotowany byłem na jego słowa, choć przyznać muszę, że dotąd miałem choć słabą nadzieję, wierzyłem nawet chwilami, iż areszt mój jest tylko przypadkowy.

— Nie jestem Daniłowski — odrzekłem niezmieszany, czego się zapewne spodziewał ów członek komisyi — jestem Alfons Wojnarowski i nie wiem, z jakiego powodu zostałem aresztowany.

— Pogarszasz Pan tylko swoją sprawę tem niepotrzebnem zapieraniem. Wierz Pan mi — rzekł z dobrotliwym wyrazem — że chcielibyśmy, o ile można, los Pański złagodzić. Szkodzisz Pan sobie. Wszystko o Panu wiadome. Nim Pan wyjechałeś z Paryża, już wiedzieliśmy, gdzie jedziesz; każden krok Pana był śledzony. Ocalić Pana może tylko otwartość i szczerość z nami. No, jakże, Panie — dodał, widząc, że nic na ten potok słów nie odpowiadam — czyż Pan namyśliłeś się prawdę nam mówić?

— Ja zawsze prawdę mówiłem i namyślać się nad odpowiedzią nie potrzebuję — odrzekłem z udaną stanowczością[1].

. . . . . Daniłowskim.

— Nie, panie Jenerale — odrzekłem — ja jestem Wojnarowski.

— Wojnarowski! Wojnarowski! — zawołał, a twarz jego nabrała pomarańczowego koloru — Pan chyba nie wiesz, że wszystko o Panu wiadome. Mamy tu już pańskich wysłańców: Janczewskiego, Ulatowskiego, Sawę i Zwierzchowskiego.

— Ja nie znam tych nazwisk — przerwałem.

— Nie znasz Pan, nie znasz? — i zaśmiał się szyderczym, kłującym mnie jak sztylet śmiechem — A czyż nie słyszałeś o listach paryskich, o Zwierzchowskim, o jenerał-policmajstrze? — i znów oczy jego podniosły się na chwilę.

Czyż może być — myślałem — aby wszystkich aresztо-

---

[1] Tu i na następnej stronie brak wskutek oddarcia blizko $^2/_3$ karty rękopisu 529—530.

wano, aby Zwierzchowski zdradzał? Oni tylko z rozmów nieostrożnych w Paryżu dowiedzieli się . . . . . .

. . . . . .

żadnej nadziei, jestem zgubiony — pomyślałem w duchu, rzucając się na tapczan i ściskając rękami głowę, gdyż w skroniach krew mi młotem uderzała a w uszach szum jak od stu młynów słyszałem. Jakiś czas leżałem tak bez ruchu, ciężko oddychając. Żadnego ratunku! Wiedzą, kto jestem — powtarzałem w swych myślach — wszystko stracone.

Godziny wolno płynęły wśród posępnych, pełnych rozpaczy myśli. Wstałem z tapczana i zacząłem chodzić szybkimi krokami po wązkiej i ciasnej celi, uderzając się co chwila o ściany, jak dziki zwierz, zamknięty w klatce. Myślałem, że ten ruch szybki uspokoi mój umysł lub przynajmniej rozgoni na chwilę czarne myśli. O zwykłej porze przyniesiono obiad, ale nie tknąłem go nawet. Gorączka paliła mi wnętrzności, a usta napełnione miałem goryczą, która nawet wodę z trudnością pozwalała mi przełykać.

Zmęczony parogodzinnem chodzeniem, usiadłem na tapczanie w jakiemś niemem odrętwieniu, z którego wyrwało mnie pukanie w ścianę. Odpukałem kilka razy na znak, że słucham, tem chętniej, że ta rozmowa pukana mogła choć trochę rozerwać przykre i dręczące mnie myśli. Towarzysz mój zapytywał mnie, jak stoi moja sprawa i co mi mówiono w komisyi.

— Źle bardzo ze mną — odpowiedziałem — bo mnie pod sąd oddadzą.

— Cóż ci zarzucają? — wypukał mój kolega.

Nie chciałem powiedzieć prawdy w obawie, czy czasem ufności mej nie zdradzi, lub czy za ścianą nie siedzi i puka szpieg, nasadzony przez komisyę, jak to się czasami zdarzało. Odpukałem mu przeto, iż posądzają mnie o zmianę nazwiska i mają za kogo innego.

— Nie lękaj się, mój bracie — odpowiedział — to wszystko się wyjaśni i będziesz wypuszczony.

Och, pomyślałem, jak tylko się wyjaśni, to wypuszczą mnie, ale na szubienicę.

— A ty za co tu siedzisz? — zapytałem.

— Mają mnie w podejrzeniu, że należałem do żandarmów narodowych; ale niema na to żadnych dowodów, gdyż

tylko jeden świadek zeznał, że widział mnie czytającego wyrok śmierci na jednego posądzonego o szpiegostwo. Jak ty sądzisz — dopukał po małej przerwie — czy mnie uwolnią?

Łudzi się słodką nadzieją — pomyślałem w duchu — tu, gdzie za błahe często podejrzenie wysyłają na Sybir, a na niego mają nawet świadka. Ale dlaczego odbierać mu nadzieję? — szepnąłem sobie i odpukałem mu z całą powagą:

— Ja sądzę, że cię z pewnością uwolnią.

Usłyszawszy moją odpowiedź, zaczął wybijać na ścianie jakiś marsz radosny, a później składać mi tysiączne podziękowania, jak gdyby rzeczywiście od słów moich los jego zależał. Nie skończył jeszcze swych dzięków, kiedy nagle drzwi moje otworzyły się i ukazał się w nich gniewny dyżurny ze słowami:

— Pan nie pukaj, a to komisyi doniosę; ja wszystko widzę, co wy pukacie. Komisyi doniosę — i drzwi znów się zamknęły.

Mój towarzysz otrzymał również takie ostrzeżenie. Postanowiliśmy być ostrożniejsi i pukać, siedząc na łóżku w takiej pozycyi, aby nas przez okienko w drzwiach nie dostrzeżono. Wieczorem wyprowadzono mnie na spacer pod konwojem trzech żołnierzy. Odetchnąłem świeżem powietrzem i popatrzyłem się na chmurne niebo, którego z mego okna nawet widzieć nie mogłem. Spacer trwał tylko pięć minut wedle regulaminu więziennego. Otrzeźwiony na chwilę tą minutową przechadzką, powróciłem znów do swego wpół odrętwiałego i marzącego stanu, gdy się między czterema ścianami mej celi znalazłem. Wszystkie mary, które odganiałem od siebie, wróciły tłumnie, mordując przybity nieszczęściem umysł. Noc miałem niespokojną, męczącą, pełną snów zwłowieszczych. Z samego rana wezwano mnie do komisyi i zapytano, czym się już namyślił przyznać do swego nazwiska.

— Ja nie taję swego nazwiska — odrzekłem — wszak i wczoraj mówiłem Panom, że jestem Wojnarowski.

— Gubisz się Pan, gubisz napróżno: wszystko wiadome, wszystkich spólników Pańskich aresztowano, nic już teraz upór nie pomoże. Wiedz Pan, że żadna już siła wydostać Pana z rąk naszych nie może. Będziesz Pan stracony.

Widząc jednak, że ta przemowa nic na mnie nie poskutkowała, kazano mnie odprowadzić, polecając dobrze się na-

myśleć nad skutkami mego uporu. Przez 8 czy 10 dni z rzędu nie wzywano mnie już do komisyi, a tylko jeden z członków, Gryczyn, przychodził do mej celi z zapytaniem, kto jestem i czy ciągle trwam w swojem postanowieniu zapierania się swego nazwiska, a odbierając zawsze jednakową odpowiedź, odchodził gniewny, żegnając mnie groźbami.

Przez dni te pełne niepewności i bolesnego oczekiwania byłem w nieustannej gorączce. Co chwila spodziewałem się usłyszeć coś okropnego, coś, co mnie odrazu zabijało w oczach mych sędziów. Czułem, że muszą zbierać dowody mej tożsamości i win moich przed rządem, kiedy tak pozostawiają mnie w pokoju. Tak byłem rozdrażniony i zdenerwowany, że każde otwarcie drzwi moich napełniało mnie wewnętrzną obawą. Dreszcze przebiegały mnie od stóp do głowy, choć całe ciało było jak w ogniu.

Dwunastego czy trzynastego dnia przyszedł znów ów ciągle odwiedzający mnie członek komisyi z uroczystem oświadczeniem, iż po raz ostatni w imieniu prezydującego zapytuje mnie, czy przyznam się nareszcie do swego prawdziwego nazwiska.

— Przecież ja ciągle Panom go mówię — odrzekłem z udaną spokojnością.

— Nie, Panie, to musi się raz skończyć; namiestnik nakazał jak najśpieszniej śledztwo nad Panem przeprowadzić i akta sobie przedstawić. Jeżeli Pan dalej zapierać się będziesz, to wiedz Pan, że rząd pozwala nam używać nadzwyczajnych środków dla wydobycia prawdy.

Będą mnie męczyć — pomyślałem i wszystkie dawne pogłoski o torturach w Cytadeli przedstawiły mi się w wyobraźni.

— No, jakże, panie Daniłowski — zawołał członek komisyi — czy namyśliłeś się Pan nareszcie?

— Nie potrzebuję się namyślać — rzekłem cichym głosem — już mówiłem, że nie jestem Daniłowski.

— Dobrze, dobrze, jak Pan chcesz; ja odniosę odpowiedź prezesowi, lecz sam Pan już teraz tylko na siebie narzekaj — i powiedziawszy to, gniewnie zatrzasnął drzwiami, pozostawiając mnie samego.

»Będą mnie zmuszać, wsadzą do kazamat podziemnych,

będą bić, a może, kto wie, czy nie prawdę gadają o torturach, o zapadającej się podłodze«. Takie i t. p. przebiegały mi myśli po głowie. Niedługo drzwi się znów otwarły i zaprowadzono mnie do komisyi. Teraz — szepnąłem sobie — najstraszniejsza dla mnie chwila nastała.

W pokoju, do którego mnie wprowadzono, czekał już prezes komisyi. Twarz jego żółtozielonawa i co chwila podnoszące się oczy okazywały gniew, źle tłumiony.

— Czego Pan się nie przyznajesz do swego nazwiska? — zawołał, zbliżając się do mnie — Trzydzieści osób sprowadziliśmy z Warszawy, które wszystkie osobiście Pana znają. Będzie naoczna konfrontacya. Czyż jeszcze będziesz się zapierał?

Milczałem, czując, iż może być prawda w jego słowach: w Warszawie tyle miałem znajomych!

— No, cóż? Czemu Pan nie odpowiadasz?

— Ja nie mam nic do odpowiedzi, panie pułkowniku, tylko że podobieństwo moje do innej osoby...

— Milcz Pan! — krzyknął, trzęsąc się cały od złości — Czyż to my nie wiemy, kto jesteś? — a potem zbliżywszy się, wziął mnie za ramię i przysunąwszy do ogromnej jakiejś szafy, rzekł:

— Stój Pan tu, a ty — zawołał do żołnierza z karabinem — stań przy nim po tej stronie. Przyznasz się Pan, przyznasz teraz! — zawołał z jakimś piekielnym uśmiechem.

Stałem tak kilka minut w milczeniu, czekając, co dalej będzie, i rozglądając się niespokojnie po pokoju. Prezes stał również milczący, jak gdyby oczekując czegoś. Za chwilę zapukano lekko w drzwi, naprzeciw mnie będące; na znak ten umówiony pułkownik stuknął nogą w podłogę.

Co to ma się znaczyć, co to będzie? — myślałem sobie. Spojrzałem na podłogę, czy czasem tafla, na której stoję, nie zapadnie się pod ziemię, lub czy z wielkiej owej szafy nie wyskoczą kaci. Ale cicho było do około, tylko za owemi drzwiami słychać było jakiś szelest cichych kroków, jak gdyby wiele osób przechodziło, zatrzymując się przy drzwiach owych; usłyszałem nawet głosy coś szepczące, pomiędzy którymi zdawało mi się słyszeć znany głos kobiecy. Za chwilę wszystko ucichło. Prezes wyszedł do tamtego pokoju i natychmiast powrócił.

— Wszyscy sprowadzeni z miasta świadkowie Pana po-

znali. Trzydzieści osób potwierdziło, kto Pan jesteś — rzekł, zwracając się do mnie.

Domyśliłem się dopiero, iż pokazywano mnie przez dziurkę od klucza jakimś wezwanym świadkom.

To taka u nich naoczna konfrontacya — pomyślałem.

— Cóż, Pan nie odpowiadasz?

— Ja nie wiem, komu mnie przedstawiono; nikogo nie widziałem.

— Ale oni Pana widzieli! Co za szalony upór, przeklęty upór. Zbliż się Pan tu — rzekł, pokazując mi na drzwi — zobaczysz tam swego przyjaciela.

Postąpiłem ku drzwiom, wziąłem je za klamkę, chcąc otworzyć.

— Nie wolno otwierać! Patrz Pan przez dziurkę od klucza!

Nachyliłem się ku drzwiom i rzuciwszy okiem, ujrzałem tylko salę obszerną, na środku której stał stół z krucyfiksem z czarnego drzewa.

— Ja nic tu nie widzę prócz krzyża — szepnąłem.

Rzucił się do drzwi prezes na te słowa i odchyliwszy je, krzyknął:

— *Za czem jewo wziali? Postawit nazad!*

Za chwilę usłyszałem jakieś kroki za drzwiami i trzykrotnie w drzwi zapukano.

— No, patrz Pan teraz: zobaczysz swego spólnika.

Zbliżyłem znów oko do dziurki od klucza: to, co ujrzałem, długo mi nie wyjdzie z pamięci. Przed mojem okiem stał wyprostowany, jakąś trupią, żółtawą bladością okryty człowiek. Oczy jego nieruchome, w jeden punkt patrzące, były bez życia i gdyby nie boleśnie skrzywione usta i smutek głęboki, rozlany po całej twarzy, można go było wziąść za woskową figurę. Patrzałem tak parę sekund, jakby nieprzytomny, aż oczy tej figury, stojącej za drzwiami, zwróciły się nagle w moją stronę z wyrazem niemej rozpaczy: był to Sawa-Rudnicki. Czułem, jak cała krew zbiegła mi do serca, musiałem być blady i zmieszany i dlatego silniej przycisnąłem twarz swą do drzwi, aby pomięszanie moje nie zdradziło tego, co się działo w duszy.

— I cóż, poznajesz pan Sawę? — zabrzmiał mi nagle szyderczy głos prezydującego.

— Nie, ja nie znam tego człowieka — rzekłem, ciężko oddychając.

— Nie znasz, nie znasz! A on cię zna! — krzyknął rozjadłym głosem — My tu inaczej z Panem postępować zaczniemy. Dosyć tej komedyi — i wybiegł z pokoju, a za chwilę powrócił z jakąś karteczką w ręku. — Przeczytaj Pan, to Rudnicki pisze, a jeżeli jeszcze mało tych dowodów, to zaraz zobaczysz się ze swoją familią, z ojcem i braćmi; oni przecież poznają, kto Pan jesteś.

Wziąwszy do ręki podawany mi papier, poznałem zaraz, rzuciwszy nań okiem, pismo Sawy-Rudnickiego. W kartce tej, własnoręcznie przez niego napisanej, przyznawał, iż przedstawiona mu osoba (t. j., ja) jest Władysław Daniłowski, z którym razem przyjechał z Paryża. Trudno już dalej było się zapierać, a jednak walczyłem jeszcze z myślami, czując, że ostatnie chwile moje są blizkie. Ciężyła mi zresztą ta niepewność i obawa przy każdem zawezwaniu do komisyi, czy czego nie odkryli i co nowego przygotowują dla mnie. Nie przyzwyczajony do udawania, zwłaszcza tu, gdzie tyle dowodów było przeciw mnie, dręczyłem się tą niejasną i niepewną pozycyą gorzej, niż odkryciem prawdy, choćby ona miała mnie na szubienicę zaprowadzić.

— Chodź Pan tu — zawołał prezydujący, wprowadzając mię do obszernej sali i przerywając moje marzenia swym przykrym głosem — Tu wobec komisyi będziesz Pan badany, a jeżeli jeszcze mało dla Ciebie dowodów przekonywujących, kim jesteś, to sprowadzimy Pana ojca, braci i familię całą do protokółu.

Te jego słowa ostatecznie mnie zdecydowały. Nie mogłem przenieść myśli, aby ojca i braci przyprowadzono do mnie, konfrontowano naocznie, a może i więziono.

Nie! — powiedziałem sobie w duszy — Nie będę narażał ojca i braci na tak bolesną scenę. Cóż znaczyło kilka dni oporu, gdy koniec zawsze był jednakowy? Czyż oni potrzebują koniecznie przyznania się mego do nazwiska? — I tak wiedzą już więcej, niż trzeba, na to, aby stracić człowieka. Kość już rzucona, wytrzymajmy więc walkę z godnością i poddaniem się losowi. W tej chwili rozdzierałem ostatnią kartę mojego życia, niszczyłem ostatnią iskrę nadziei.

— Nie potrzeba już więcej żadnych konfrontacyi — rze

kłem dość spokojnym głosem, przybliżając się do stołu, za którym siedział prezydujący i członkowie komisyi. — Tak jest, dobrzeście Panowie odgadli z początku; lecz myślałem, jak każdy człowiek w nieszczęściu, że jest gdzieś jeszcze nić zbawienia. Teraz wszystko się już skończyło. Przyznaję się wam, Panowie: ja jestem Władysław Daniłowski.

Uśmiech wewnętrznego zadowolenia przebiegł po twarzach członków komisyi śledczej. Dobadali się, przymusili politycznego więźnia do wykrycia, kim jest, zasłużyli się (w ich przekonaniu) swemu rządowi, byli szczęśliwi.

A ja? W mem sercu, boleśnie ściśniętem, opuściła się czarna, posępna chmura, pokrywająca wszystkie moje władze umysłowe. Czułem w tej chwili, że struny mego życia pękały jedna po drugiej.

— Trzeba było od tego zacząć — rzekł prezes, posuwając mi krzesła, abym usiadł — Wszak dobrze wiadomo nam było, kto Pan jesteś, skąd przyjechałeś i poco, i jakie Pan zajmowałeś stanowisko między swoimi.

Nic nie odpowiedziałem, bo myśl moja była gdzieindziej.

— Nie będziemy pisać dziś protokołu, bo Pan pewno zmęczony; widać to po twarzy — dodał nader ugrzecznionym głosem; odrazu wilk zmienił się w salonowca.

— Tak, rzeczywiście jestem zmęczony — szepnąłem — jeżeli Panowie pozwolą, to wolałbym jutro odpowiadać na zapytania.

— Bardzo chętnie się zgadzamy — rzekł prezes — a nawet lepiej tak zrobimy: damy Panu papier i Pan sam u siebie jutro lub pojutrze napisze o tem, jak był członkiem Komitetu, komisarzem na emigracyi i t. p., bo o tem wszystkiem wiemy, mamy tu w zeznaniach Rogińskiego, Landowskiego, Janczewskiego i innych.

W kilka minut byłem już w swojej celi z kilku arkuszami papieru, na których miałem pisać swoje własne oskarżenie.

XXXIII.

Myśli w samotności. — Marya C. — Protokół zeznań. — Promyk nadziei. — Spowiedź Janczewskiego. — Ostrożności więzienne. — Męczące myśli. — Odwiedziny duchownego. — Korespondencya z Maryą C. — Wiadomości od rodziny. — Uspokojenie.

Dziwnem jest, a jednak byłem daleko spokojniejszy teraz, kiedy już żadnej nadziei ocalenia mieć nie mogłem. Niepewność więcej jest męczącą, niż najstraszniejsza rzeczywistość. Pozbyłem się tej wycieńczającej siły walki wewnętrznej, która w ciągłem natężeniu trzymała wszystkie władze mojego umysłu. Nie rozmyślałem już, co tam przygotowują na mnie w komisyi, nie drżałem, słysząc jak się drzwi moje otwierają, nie lękałem się śledztw i badań, ani nawet o przyszłym losie nie marzyłem. Wszystko było mi już wiadome; nic już teraz nie mogło dorzucić ani jednej kropli goryczy do moich nieszczęść; kielich napełnił się po brzegi, zasłona została rozdarta i tylko ostatni jeszcze akt na stoku Cytadeli miał się odegrać. Żeby tylko Bóg dał mi siłę wytrwać do końca i umrzeć z godnością!

Byłem już prawie spokojny. Chmury niepewności, pokrywające mą duszę, rozproszyły się i opadły do stóp moich. Burza wewnętrzna ucichła, jeden już tylko grom wisiał nad mem czołem, ale grom, przed którym nie było już schronienia. Zrezygnowany byłem na wszystko. Śmierć nie zdawała mi się straszną. A jednak nie traciłem zupełnie nadziei, zdawało mi się niepodobieństwem, abym zupełnie oderwanym był od świata. Chwilami otrząsałem się z tej niemej rezygnacyi i rozglądając się dookoła, szukałem sposobu lub chociażby nadziei ocalenia. Czyż może być, aby to słońce, przeciskające swoje promienie przez gęste kraty mego więzienia, miało już nie długo świecić dla mnie? Skądże ta władza zabijać nas za przekonania? Pomyśleć sobie, że tylko te drzwi dzielą mnie od swobody, od wolności, od życia! Ileż to lat mógłbym przebyć na ziemi!

Mam dopiero 24-ty rok od urodzenia: i toż to już ma być mój rok ostatni? Nie, nie, będę się bronił, bronił do ostatka, muszę żyć, żyć jeszcze i odemścić zdrajcom! Żeby to można uwiadomić jakim sposobem moich przyjaciół, że ja tu jestem! Postarają się przecież oswobodzić mnie koniecznie. — Uchwyciłem się tej myśli i bawiłem nią długo, bo ona była moim odpoczynkiem.

Korzystając z pióra i atramentu, napisałem swoje nazwisko na kilku kawałkach płótna, wydartych z prześcieradła, postanowiwszy je porozrzucać na spacerze na korytarzu i gdzie mi się tylko sposobność zdarzy, aby uwiadomić więźniów, jakich znajomych, a przez nich przyjaciół w mieście o mem aresztowaniu. Rozrzucone kawałki płótna wydały swoje owoce, bo na drugi dzień usłyszałem żywy, choć smutny głos p. Maryi C., mówiący do jakiegoś oficera: »Złapaliście go, złapali, ukrywacie; ale ja wiem, gdzie jest, odnajdę go« — i niedługo potem przechodząc koło drzwi moich, rzuciła się do okienka i otworzyła je. Ujrzałem twarz jej pełną współczucia i oczy łez pełne, zwrócone ku mnie. Musiałem bardzo smutnie wyglądać, kiedy jej lica nagle zachmurzyły się i pobladły.

— Ach, jakaż boleść, jaka boleść na twarzy! — zawołała, wstrzymując się od łez — Nie smuć się Pan; wszystko będzie dobrze.

Lecz więcej mówić nie mogła, bo ją żołnierze gwałtem odciągnęli. Powracając, znów rzuciła się do okienka; ale nie dozwolili jej otworzyć go i tylko przez drzwi przesłała mi wyrazy pociechy. Komisya uwiadomiona widać została o tym ważnym fakcie, gdyż tam ze wszystkiego wielkie rzeczy robią, i natychmiast przeniosła mnie do innego numeru.

Uspokoiwszy się, o ile tylko można w mojem położeniu, zacząłem rozmyślać nad mojem zeznaniem, które za kilka dni miałem przedstawić. Co tu pisać? Należało w mym protokole zachować choć cień prawdy i przyznać się do tych przynajmniej rzeczy, które nie mogły być niewiadomemi komisyi, wystawiając jednak wszystko w jak najlepszem świetle na swoją stronę. Napisałem przeto zeznanie, w którem przyznając się do udziału w początkowych ulicznych manifestacyach, zaprzeczałem należenia do Komitetu, sądząc, że na to dowodów komisya nie ma. Mój wyjazd zaś do Paryża z dyktaturą Mierosławskie-

go, o czem było w rosyjskich gazetach i »Dzienniku Warszawskim«, wraz z własnoręczną protestacyą przedstawiłem jako czyn, pod przymusem Komitetu dokonany, pod groźbą rewolweru. Przyjazd zaś obecny do Warszawy miał tylko na celu skromne widzenie się z familią w nadziei, że teraz, po uspokojeniu kraju, będę mógł uzyskać pozwolenie zamieszkania w Warszawie.

Całe to zeznanie, w którem ani słowa prawdy nie było, miało wedle ówczesnych dziecinnych moich nadziei zwalić oskarżenia komisyi i oczyścić mnie w części z wkładanych na mnie zarzutów. Dziwnem jest, do jakiego stopnia umysł, znękany tylu przejściami i zostający w tak rozpaczliwem jak moje położeniu, do jakiego stopnia, mówię, poddaje się szalonym, dziecinnym, gorzej nawet jak dziecinnym ułudom. Napisawszy i przeczytawszy to zeznanie, zeznanie, nad którem sam teraz uśmiecham się z litością, uspokoiłem się i nabrałem lepszej otuchy, sądząc, iż sprawa moja nie jest w tak złym stanie, jak mi się z początku zdawało.

Niecierpliwie, choć i z obawą, oczekiwałem wezwania do komisyi, aby im mój protokół przedstawić. Jeżeli nie mają dowodów na mnie, to zeznanie w niczem mnie nie potępi; jeżeli mają, to przynajmniej umrę jak człowiek szlachetny. Kiedy wprowadzono mnie do sali posiedzeń, zastałem tam tylko jednego z członków, i to nie wojskowego, lecz cywilnego sędziego. Po zwykłych zapytaniach o nazwisku i czasu aresztowania spytał, czy mogę przedstawić zeznania, jak go o tem prezydujący powiadomił. Nic nie odpowiedziawszy, podałem napisane na kilku arkuszach owo niby zeznanie, uspokojony trochę tem, że sam prezes nie będzie przy pierwszem czytaniu. Z początku czytania twarz owego sędziego miała zwyczajny wyraz ciekawości; kiedy jednak doszedł do zaprzeczenia mego udziału w Komitecie Centralnym, a szczególnie do ostatniego ustępu, gdzie przyjazd mój do Warszawy nastąpił li tylko z powodów familijnych i w celu starania się o przebaczenie i pozwolenie powrotu do kraju, poczerwieniał z gniewu.

— Jakże Pan możesz podobne fałsze w protokole zamieszczać? Ja nawet nie wiem, jak przedstawić komisyi podobne zeznanie. Wierzaj mi Pan, ja jestem Polak i nie życzę źle Panu, lecz takiem postępowaniem gubisz się na próżno.

Choć nie bardzo wierzyłem dobremu usposobieniu tego nowego członka komisyi, odrzekłem mu jednak:

— Mój Panie, słowa twoje są słowami figury rządowej, a choćby one nawet i ze współczucia wypłynęły, to mnie już nic nie pomoże, jakiekolwiekby było moje zeznanie; wolę więc pozostać przy swojem.

— Jak Pan chcesz, jak Pan chcesz; ja jednak to ze szczerego serca doradzam, bo znam Pańskiego ojca — dodał ciszej — a i z Panem spotykałem się w towarzystwach.

Nie przypominałem sobie, co prawda, abym kiedy tego pana widywał, ale udałem, że pamiętam go dobrze, aby na wszelki wypadek mieć choć jedną osobę w komisyi niby znajomą, przez którą mógłbym dać wiadomość familii o mojem uwięzieniu. Zaczął mi w dalszej rozmowie przedstawiać nieszczęścia krajowe z tych nowych konspiracyi, namawiając, abym i siebie i innych nie narażał przez upór i t. p. Przemowę tę sędziego przerwało wejście prezydującego komisyi, który, skłoniwszy mi się bardzo grzecznie, zapytał, zwracając się do sędziego o mój protokół czyli zeznania własnoręczne.

— Oto jest zeznanie p. Daniłowskiego — rzekł sędzia, podając kilka arkuszy zapisanego przezemnie papieru.

— Cóż tam jest? Czytałeś już je Pan? — zapytał prezydujący — Bo choć nam już wszystko o Panu wiadomo, ale musimy mieć i własnoręczne Pana potwierdzenie, aby przedstawić je przy raporcie namiestnikowi.

Stałem jak na szpilkach przez cały czas tej rozmowy, przewidując gwałtowną scenę, jaka wkrótce miała wybuchnąć.

— Bardzo mało szczegółów w tem zeznaniu — rzekł sędzia — ale co najgorsza, panie prezesie, to to, że p. Daniłowski nie chce przyznać się do celu, z jakim przybył z zagranicy; mówi, że chciał starać się o łaskę i powrót do kraju i nie miał żadnej myśli o spisku.

— Co? Co? — krzyknął, zieleniejąc ze złości, prezes — Pan o łaskę? Pan? Pan przyjeżdżasz tu nie dla konspiracyi? — i zatrząsł się cały, podnosząc na mnie swoje, zawsze spuszczone w ziemię, wpółmartwe, lecz teraz pałające gniewem oczy. — Pan śmiesz to utrzymywać? Pan, członek Komitetu, komisarz rewolucyjny, emisaryusz? — i aż głos mu zachrypiał

z zajadłej wściekłości i oburzenia, w jakie go moje słowa wprawiły.

— Idę do namiestnika z raportem — rzekł, wysapawszy się po chwili — I cóż Pan myślisz, że ceremonie z Panem będą tu robić? Czyż nie pojmujesz, że wszystko wiemy, mamy zeznania, listy własnoręczne, świadków? Właśni wspólnicy Pana odkryli już wszystko. Pan po amnestyę przyjechałeś, widzieć się z familią! A to okropność, to bluźnierstwo! Ja czytać tego nie mogę, ja to podrę, spalę; pisz Pan inny protokół, inny protokół, bo zginiesz, zgubisz się — i wziąwszy moje zeznanie, zmiął je gwałtownie w swych rękach, a zwracając się ku mnie, zawołał — ja podrę to, pisz Pan inny protokół — i spojrzał na mnie pytająco.

— Ja nie mam nic innego do pisania — rzekłem, o ile mogłem, spokojnym głosem — Wiem, że los mój już zdecydowany; przygotowany jestem na wszystko.

— Namyślisz się, namyślisz; jak Panu pokażemy zeznanie Janczewskiego, Zwierzchowskiego, Rudnickiego i innych, to inaczej powiesz, inaczej. Nie chcę słuchać, nie chcę czytać tych kłamstw haniebnych! — i wyszedł szybko, rozpłomieniony gniewem, trzasnąwszy silnie drzwiami.

— Widzisz Pan, coś narobił — zawołał sędzia i znów zaczął mi przekładać i namawiać. Wspomniał o ojcu, z którym przed paru dniami się widział, a który nic jeszcze o mem aresztowaniu nie wiedział, o smutku całej familii, gdy się dowiedzą, nalegając, abym się nie gubił i t. p. Widząc jednak, iż prawie że nie słucham jego może i pięknej przemowy, uwolnił mnie od siebie, rozkazując odprowadzić do więzienia.

Szalone, dziecinne prawie nadzieje, oparte na fałszywym protokóle i przypuszczalnej niewiadomości komisyi, rozprószyły się bezpowrotnie. Pomyślawszy rozważniej, sam się dziwiłem, jak mogłem nawet liczyć na tyle łatwowierności w członkach komisyi i jak mogłem na wiarę tak podejrzliwych ludzi takie nieprawdopodobne, co do mnie mianowicie, fakta przedstawiać. Jeżeli mają tak, jak mówią, zeznania innych o mnie, to nie omieszkają mi ich przedstawić, a wtedy zobaczymy! Uprzedzałem ja już wprawdzie, że na mnie, jako zbiegłego za granicę, wiele win polityczni więźniowie, chcąc siebie oswobodzić, kładli w tem przekonaniu, iż ja nigdy już nie powrócę, a więc

nie będę za nie odpowiedzialny; nic to mi jednak nie pomogło w umyśle sędziów, ponieważ mieli i inne, pewniejsze o mnie i moich czynnościach dowody. O gdyby to dowiedzieć się, czy Janczewski i Ulatowski są aresztowani! Bo o zdradzie Zwierzchowskiego niezupełną jeszcze wówczas miałem pewność. Czyż mogłem wierzyć kilku ogólnikowym słowom prezesa komisyi, który może dlatego tylko je wymówił, aby wpoić we mnie przekonanie, iż wszystko odkryte, i tym środkiem przymusić mnie do złamania mego uporu, jak go nazywali? Co tu począć, co tu robić? — szeptałem, chodząc szybko, a raczej kołując po maleńkiej celi. Szukałem w myślach sposobu ratunku, ale go nigdzie już nie spostrzegałem. Chwytałem się jednak za wszystko, jak rozbitek, wyrzucony na fale oceanu, co w każdym ciemniejącym z dala przedmiocie widzi łódź zbawienia lub brzegi nieznanej ziemi. Zdawało mi się jednak, iż położenie moje smutniejszem było od pasującego się z falami człowieka, bo ja nawet marzyć nie powinienem był o desce zbawienia. Któż mnie stąd wyrwać już może, któż ocalić? Rzuciwszy się na łoże, zamknąłem oczy w nadziei, że umysł mój uspokoi się i zapomni choć na chwilę o czarnej rzeczywistości. Oparłszy głowę o ścianę, usłyszałem pukanie mego towarzysza; odpukałem, że słucham.

— Czemuś tak długo nie odpowiadał mi? Już z godzinę pukam i pukam do ciebie.

— Nie słyszałem, mój bracie; myśli straszne ciążą mi nad głową.

— Widziałem cię dziś: powracałeś z komisyi, blady i smutny; czy twoja sprawa źle stoi?

— Bardzo źle.

— Nie smuć się, mój bracie; choć cię może wyszlą do Rosyi, to przecież powrócą.

— O, gdyby tylko do Rosyi!

— Jak to, czyżby aż na Sybir? Nie lękaj się: oni tak umyślnie straszą.

— Mnie oni nie straszą, ale ja wiem, co mnie czeka i wysłanie na Sybir dla mnie byłoby wielką łaską.

— Na cóż cię skażą?

— Na śmierć — odpukałem z wolna.

Mój towarzysz zamilkł i nic mi przez chwil kilka nie odpukiwał.

— Nie, nie, tak źle nie będzie — zapukał — nie martw się, Bóg jest wielki; teraz już nikogo na śmierć nie skazują, a zresztą tych, co mają na śmierć skazać, wysyłają do Cytadeli.

— Czyż wiesz o tem z pewnością? — zapukałem, chwytając się tej mgławej nadziei.

— Wiem, wiem o tem; stąd nikogo na szafot nie wysłali.

Zakończyliśmy na tem rozmowę, która przeszło godzinę czasu nam zajęła: tak jeszcze nie byłem wprawny w pukanie alfabetowe. Ostatnie słowa jego rozbudziły źle ugasłą nadzieję. Czemuż mnie nie odsyłają do Cytadeli? Wiedzą już, kto jestem Upłynęło już trzy tygodnie od mego aresztowania, a jednak nie wywożą mnie do Cytadeli. Nie wiedziałem, iż Cytadela tak jest przepełniona, że dla nikogo tam już miejsca nie było. Kiedy już zupełnie niema ratunku, to wówczas chwytamy się nawet cienia błahej nadziei. Co chwila to wracałem do nadziei, to zapadałem w przepaść, pełną rozpaczy. Stan ten wycieńczał mnie, ledwo na nogach mogłem się utrzymać.

Na drugi dzień wezwano mnie znów do komisyi. Wprowadzony do pustego pokoju, czekałem, aż mnie zawezwą; żołnierz stał o kilka kroków z karabinem. Każda rozmowa z członkami komisyi kosztowała mnie dosyć zdrowia. Czekałem też z niecierpliwą obawą, co mnie teraz znów spotka. Siedząc i rozmyślając tak, spojrzałem wypadkiem na wiszące naprzeciw lustro i z zadziwieniem zobaczyłem, iż jakaś znajoma osoba jest w tymże pokoju; obejrzałem się naokoło: nikogo niema prócz pilnującego mnie żołnierza. Spojrzałem znów w lustro i znowu zobaczyłem jakąś bladą wychudłą twarz, z zarzuconemi do góry na tył głowy blond włosami, która patrzała na mnie pełnemi gorączkowego ognia oczami. Cała ta twarz nosiła piętno jakiejś przykrej, gorzkiej i niezatartej boleści. Podniosłem się z krzesła i przystąpiwszy bliżej do lustra, poznałem dopiero zdziwiony, iż twarz to była moja własna. Tak mnie ten gryzący wewnętrzny smutek i bolesna gorączkowa niespokojność zmieniły i wyniszczyły, iż w pierwszej chwili sam siebie poznać nie mogłem. Uśmiechnąłem się gorzko, pomyślawszy sobie: Czyż i dusza moja zmieni sią tak i wyblednie?

Wezwano mnie do drugiej sali, gdzie się zbierała komisya. Prezesa nie było, a tylko kilku innych członków. Jeden z nich, porucznik Cugołowski, widząc, że nie dowierzam ich wiadomościom, o mnie zebranym, wybiegł z sali, obiecując przynieść własnoręczne moje listy, oraz zeznania Janczewskiego. Wróciwszy za chwilę ze sporą ilością różnych papierów, zawołał:

— Niechno Pan się przypatrzy swemu pismu — i pokazał mi z daleka jeden za drugim wszystkie listy, jakie z Paryża sympatycznym atramentem do tego nowego Rządu w Warszawie pisałem.

— Jeżeli to jeszcze nie dosyć, to proszę zobaczyć raporta Komitetu Reprezentacyjnego, do którego i Pan, jako komisarz Rządu, należałeś; oto podpisy: Guttrego, Kotkowskiego i Pana. A to oddzielny raport z Pańskim podpisem i Pana pieczęcią jako komisarza rządowego w Paryżu. No, i cóż tu jeszcze się zapierać? Wszak Pan widzisz, że mamy dowody.

Żadnym nieszczęściom już się nie dziwiłem; i teraz przeto spokojnie patrzałem na własnoręczne listy i raporta, z których każdy dostateczny był do zaprowadzenia mnie na szubienicę. Skąd oni to mają? Czyżby rzeczywiście Zwierzchowski zdradzał, lub może wszystkich naszych wyaresztowano? — myślałem w duchu.

— Czyż to Pana nie przekonywa? — zapytał porucznik Cugołowski.

— Listy mogą być podrobione; nie wiem zresztą, co tam w nich napisano.

— A to Pan z tego tonu zaczyna? A to czy podrobione? — i podał mi kilkunastoarkuszowy zwit papieru.

Poznałem pismo Janczewskiego.

— Czy wolno mi przejrzyć go? — zapytałem z udaną obojętnością, choć paliła mnie ciekawość, co on, który ze wszystkiem był obznajomiony, co on zeznał o mnie i naszych zamiarach.

— Dobrze, niech Pan tu przejrzy, chociaż robię to wbrew woli prezydującego, aby tylko Pana przekonać, że wszelkie zapierania pogarszają Pana sprawę.

— Nie wiem, czy już ją co zdoła pogorszyć, przynajmniej

w opinii komisyi — rzekłem, pożerając oczami śledztwo Janczewskiego.

Po kilku zaraz kartach przekonałem się z głęboką boleścią, że ten mój dawny współpracownik spowiadał się ze swojego życia z całą szczerością i gorliwością, godną zaprawdę lepszej sprawy. Na każdej prawie karcie wymienione było nazwisko moje. Cały mój udział w konspiracyi przedpowstańczej, zacząwszy od założenia tajemnego akademickiego stowarzyszenia aż do wstąpienia mego do Komitetu Centralnego, wypowiedziany był w jak najdrobniejszych szczegółach. Wszystkie zmiany Komitetu, wszyscy jego członkowie nie byli przez niego zapomniani. Najwięcej jednak o mnie pisał, jako widać o swym akademickim koledze, towarzyszu w sprawach narodowych i współwygnańcu. Stosunki moje z Mierosławskim, czynności w Paryżu, utworzenie Komitetu Reprezentacyjnego i t. d. i t. d., wypisane było z historyczną dokładnością.

Czegoż im jeszcze trzeba? — pomyślałem — chyba tylko dla formy chcą potwierdzenia tego, co im tak dobrze wiadome. Każda kartka tej spowiedzi Janczewskiego uderzała mnie jak młotem po głowie, przygniatając do ziemi; zdawało mi się, że wielkie jakieś ciężary rzucają mi na mózg i na serce.

— Nie można już dalej czytać — rzekł, wyrywając mi z ręki papiery Cugołowski, gdym się już ku końcowi zbliżał.

— Dlaczego? — zapytałem zdziwiony.

— Nie można; potem Pan się dowiesz; a zresztą zdaje mi się, że dość i tego dla przekonania, że konspiracye buntownicze Pana są nam dokładnie znajome.

Nic mu nie odpowiedziałem, przyciśnięty myślami czarniejszemi, a przynajmniej równie czarnemi, jak dusze otaczającej mnie komisyi. Czyż można jeszcze łudzić się nadzieją? Czyż jeszcze jest coś, coby mogło odwrócić ciążący miecz nad moją głową? — myślałem sobie, gdy mnie prowadzono napowrót do ciasnej więziennej celi.

Przechodząc przez korytarz, zobaczyłem, że drzwi *vis à vis* mej celi były uchylone i stojący w nich inspektor więzienia rozmawiał z będącym tam aresztantem politycznym. Głos tego więźnia zdawał mi się znajomym. Przyśpieszyłem kroku, aby rzucić okiem przez drzwi wpół uchylone, ale przewidziano mój zamiar i drzwi natychmiast zatrzaśnięto. Napróżno jednak

czyniono te ostrożności, bo w moich drzwiach około rygli i zamków była głęboka, na wylot przechodząca, wąziutka szczelina. Przyłożyłem do niej oko i przez nią w otwartych drzwiach naprzeciw ujrzałem Neudinga, którego o coś rozpytywał inspektor.

Zapewne i Arendt musi się gdzieś tu znajdować — pomyślałem — do nich bowiem obudwóch list mój przez Zwierzchowskiego pisałem. Wszyscy aresztowani, a Zwierzchowski, Zwierzchowski — czy i on tutaj, lub też może zbiera owoce swej nikczemnej zdrady? Byłem już prawie pewny, że on to nas wydał; a jednak przy tak strasznem posądzeniu chciałem mieć niczem niezbite fakta, chciałem mieć pewność we własnem przekonaniu. O, gdyby można na chwilę widzieć się z którym z naszych! Było to jednak niepodobieństwem. Żandarmów nie podobna było przekupić; nie miałem zresztą przy sobie żadnych pieniędzy. Pilnowano zaś tak surowo, że jeżeli na korytarzu spotykałem się z prowadzonym od komisyi jakim więźniem, to już z daleka krzyczał dyżurny: »Zakryć, zakryć!« i wówczas mnie, albo jego (więźnia) chowano do najbliższej framugi i zakrywano oczy, póki niebezpieczeństwo, jakieby wynikło dla państwa z zobaczenia się z daleka dwóch nieznajomych więźniów, nie przeminęło. Wszystko tu, najmniejsza drobnostka przeciw dziwacznym regulaminom, pełnym szatańskiej ostrożności, uważano za wielki występek, za który prócz więźnia mógł być i dyżurny odpowiedzialnym. *Służytiele* nie mieli prawa odpowiadać na zapytania. Wchodzili milcząc, przynosili i wynosili pożywienie lub przemieniali wodę, jak nakręcone bez życia automata. Nikt, sam nawet dyżurny, nawet oficer służbowy nie mógł wejść do celi więźnia; zawsze mu towarzyszyć musiał żandarm, szpiegujący i więźnia i oficera, żandarma szpiegował znów inny i tak dalej, jak w Japonii.

Mnie pilnowano surowiej jeszcze od innych: postawiono prócz zwykłej straży jednego jeszcze żołnierza, który ciągle bez ustanku patrzał w malutkie okienko, we drzwiach umieszczone. Gdziekolwiek się zwróciłem, wszędzie za mną chodziło tych dwoje szeroko otwartych, śledzących moje ruchy oczu. Okienko to zakrywało się żelazną klapą wtedy tylko, jeżeli więźnia jakiego koło drzwi moich przeprowadzano. Oczy te, ciągle na mnie patrzące, niepokoiły mnie, drażniły, gniewały. Chciałbym

zapomnieć o ich istnieniu, odwracałem się i nie patrzałem w tamtą stronę, chodziłem szybko po celi ze spuszczonemi ku ziemi oczyma, kładłem się na tapczan, odwracając głowę do ściany: a te oczy ciągle były przedemną, czułem je bezustanku, patrzały nieruchomie i trupio, jak wąż na swą ofiarę. Rozdrażnienie moje do tego dochodziło stopnia, żem nie mógł usiedzieć na miejscu; zrywałem się, przystępowałem do drzwi, wbijałem dwoje moich gniewnych oczu w to strażnicze spojrzenie, zmuszając je na chwilę do spuszczenia powiek; ale za chwilę wszystko wracało do dawnego stanu i znów biegałem zdenerwowany, rozdrażniony, pragnąc się ukryć i nic nie widzieć. Trudno opisać, ile przykrości mieści się w tem bez ustanku ciążącem nad sobą spojrzeniu; ten tylko, kto to przechodził, pojmie, jak męczące, zwłaszcza dla drażliwych umysłów, jest to ciągłe zostawanie pod dwoma pilnującemi oczami: chwili jednej nie jest się w prawdziwym spokoju. To postawienie oddzielnej przy mnie straży miało jeszcze i drugi powód mych niepokoi: tak ściśle pilnowano tylko najważniejszych więźni, tylko takich, którzy mieli być na śmierć skazani. Przechodząc tyle korytarzy więziennych, gdy mnie do komisyi prowadzono, nigdzie nie widziałem takiej straży, przed żadnym numerem nie stał oddzielny żołnierz, jak u mnie. Ileż dni pozostało mi jeszcze do życia? Nim miesiąc minie, będą może już tylko wspominać o mnie. I pomyśleć sobie, że z tych czterech ścian nie wyjdę już, chyba na rusztowanie! Nie, nie! To być nie może! — i zerwałem się z łoża, aby odgonić straszne obrazy, cisnące się tłumnie do mej wyobraźni. Te drzwi oddzielają mnie od świata — szepnąłem, stanąwszy przed ciężkiemi drzwiami mej celi. Tam za niemi jest swoboda — jest życie! Nie pozwolę się zabić: ja chcę żyć, chcę żyć! Coś drżało w mojej istności, gdy mi te słowa w umyśle stanęły. Ucieknę, wyrwę się stąd, rozbiję zamki, połamię kraty, przejdę przez straże! Czyż może taka mała zapora wstrzymać silną wolę człowieka w rozpaczy? Skądże prawo ci ludzie mają nad mojem życiem? Nie, nigdy, nigdy! — i jak szalony biegałem, roztrącając się o ciasne ściany więzienia.

Powoli zacząłem się uspakajać, choć nadzieja nie wracała już do mnie. Przyzwyczajałem się do mego losu, który zdawał mi się nieuchronny. A może — myślałem jednak — a może

wszystko inaczej się skończy, szczęśliwiej: Bóg jest tak miłosierny!

Kilka dni nie wzywano mnie do komisyi, dozwalając mi widać dłuższego namysłu. Tak jednak byłem rozdrażniony, że ten spokój trzydniowy, spokój, zakłócany ciągle męczącemi myślami i straszną niepewnością, był dla mnie uciążliwszy nad najcięższe śledztwo. Czemu tak długo nie wzywają mnie do komisyi? — myślałem — Coś tam przygotowują nowego, nowych świadków, nowe zeznania. Czyż im więcej jeszcze potrzeba?

Rozmyślania moje przerwał cichy głos dzwonka i szelest kroków kilku osób, idących po korytarzu. Zatrzymano się przy drzwiach moich, wezwano dyżurnego i zaczęto odsuwać rygle i zamki. Ach, to pewno do komisyi — szepnąłem, biorąc za czapkę. Drzwi się otworzyły i wszedł oficer, a za nim ksiądz ze stułą w ręku. Oficer, pokazawszy na mnie, wyszedł, zamknąwszy drzwi za sobą.

Pozostaliśmy sami z kapłanem. Patrzałem na niego czas jakiś osłupiałym wzrokiem; potem dreszcz od stóp do głów mnie przebiegł, w oczach na chwilę zrobiło się ciemno, serce tak mi zabiło, iż zaledwie oddychać mogłem. Więc już wszystko skończone: skazany jestem na śmierć, a to ostatnia spowiedź i ostatnia godzina mojego życia! Schyliłem głowę przed księdzem i przeznaczeniem i zbliżywszy się do szanownego i budzącego ufność kapłana, rzekłem:

— A więc to już, księże?

Musiało w moim głosie być coś dziwnego, bo ksiądz zmieszany, spojrzawszy ze współczuciem na mnie, rzekł:

— Ja nie wiem, co Pan chcesz mówić.

— Ach, księże, nie wiesz? — rzekłem z gorzkim uśmiechem — Nie czas już ukrywać — i spojrzałem na niego pytającym wzrokiem.

— Komisya kazała mi Pana wyspowiadać — odrzekł powoli.

— Tak, mój ojcze — dodałem, o ile mogłem, spokojnym głosem — skazany jestem na śmierć i księdzu polecono mnie dysponować, polecono odbyć ostatnią spowiedź z delikwentem.

— Nie, nie, Panie; ja nic o tem nie wiem — rzekł, siadając przy mnie na tapczanie i biorąc mnie za rękę.

— Och, księże! Próżno chcesz ukrywać przedemną — szepnąłem, lecz coś przykrego, bolesnego dławiło mnie w gardle, oddychałem ciężko i przerywanie, jak człowiek, którego chwile są już policzone — próżno chcesz mnie pocieszać; ja już przygotowany jestem na wszystko, choć żal mi, żal — i nie mogłem dokończyć, bo głos zamarł w piersiach bólem ściśniętych; och, jakże wiele w tę chwilę jedną przecierpiałem!

— Wierzaj mi Pan, wierzaj — rzekł ksiądz wzruszonym głosem — iż nic nie ukrywam, a prawdę mówię jako kapłan, iż nic o wyroku Pańskim komisya mi nie mówiła. A to przecież — dodał jakby w odpowiedzi na moje spojrzenie — święto Zmartwychwstania Pańskiego, Wielkanoc się zbliża i wszyscy się spowiadają.

Odetchnąłem swobodniej, słysząc te słowa, i ukląkłem modlić się wraz z kapłanem, odmawiając przedspowiedne modlitwy. Jakże słodką, jakże pokrzepiającą była ta chwila, w której mogłem swobodniej rozmawiać z drugiem, współczującem mi sercem! Szanowny kapłan zalał się łzami, dowiedziawszy się, co może mnie czekać i jaki wyrok wisi nad głową. Dowiedziałem się od niego, iż w Warszawie krążą już wieści o mem aresztowaniu. Mówił mi o Rudnickim-Sawie, u którego był w wilię dnia tego i także go spowiadał. Przedłużałem, o ile było można, bez zwrócenia uwagi dozorców, cichą rozmowę z szanownym księdzem, pytając go o Rudnickiego i innych więźniów. Na drugi dzień obiecał znów być u mnie pod pozorem, iż dziś nie mogę przyjąć Najświętszych Sakramentów. Tyle zaufania obudził we mnie ten szanowny kapłan przez swoje współczucie i serdeczne słowa pociechy, iż odważyłem się prosić go, aby zawiadomił ojca mego i braci o mem uwięzieniu celem czynienia starań, jeżeli jakie były możebne. Dałem adres ojca i braci i pożegnaliśmy się z pełnym zacności księdzem, który miał jeszcze kilku więźniów odwiedzić, a między innymi i p. Maryę C. i powiedzieć jej, pod którym numerem jestem zamknięty.

Od czasu, gdy mnie do innego numeru przenieśli, ciągle słyszałem głos przechodzącej po korytarzu Maryi C., pytającej się, gdzie jestem; ale nie mogłem jej żadnym znakiem odpowiedzieć. W kilka godzin po wyjściu księdza usłyszałem znów głos Maryi C., śpiewającej po francusku: »Wiem gdzie jesteś,

wiem gdzie jesteś; napisz, czego ci potrzeba na karteczce i zostaw karteczkę pod beczką, tam, gdzie moją znajdziesz, na prawo od ściany; idź zaraz«. Domyśliłem się łatwo, gdzie szukać jej kartki, gdyż tylko w jedno miejsce wolno nam było chodzić bez wyłącznego pozwolenia komisyi. Jak tylko usłyszałem powracającą p. Maryę i śpiewającą po francusku: »Karteczka już włożona«, zapukałem do drzwi i za chwilę powracałem z małą karteczką, która lekko pod beczułkę była wsuniętą. Aby zaś żołnierz nie widział, co ja podejmuję, gdyż i tam nas mężczyzn żołnierz nie odstępował i choć z daleka stojąc, pilnie śledził, upuściłem niby nieumyślnie chustkę przy beczułce i schylając się, podniosłem wraz z kartką.

Jak tylko drzwi zaryglowano, usiadłem tyłem do okienka, z którego wiecznie dwoje oczu na mnie patrzało, i przeczytałem drobniutko pisaną karteczkę. Pocieszała mnie w niej ta zacna panienka, prosiła, abym się nie martwił i miał w Bogu i przyjaciołach nadzieję, abym odpisał, kto mnie zdradził i czy czego nie potrzebuję. Odpisałem jej na drugiej stronie tej karteczki, iż nic nie potrzebuję, tylko wiadomości z Warszawy i starań o mnie, choć nie mam wielkiej nadziei, aby one pomogły; co zaś do zdrady, to podejrzenia moje padają na Zwierzchowskiego, a w tych dniach spodziewam się i pewne dowody na to otrzymać.

Karteczkę położyłem w kilka godzin w tem samem miejscu. Korespondowaliśmy tak z sobą codziennie, tworząc w końcu plan ucieczki, do którego ona po wyjściu z więzienia (co za parę tygodni miało nastąpić) miała mi dopomagać. Każda karteczka była dla mnie balsamem pociechy, czułem bowiem, że każdy wyraz, każde słowo płynęło z serca i współczucia.

Na drugi dzień szanowny i zacny kapłan przyszedł znów do mnie i witany był już bez obawy i przerażenia a z niekłamaną radością. Powiedział mi, gdyśmy zostali sami, iż był u ojca i spełnił moje, choć przykre polecenie.

— I cóż mój ojciec? — spytałem.

— Nie chciał wierzyć z początku, mówiąc, iż to pomyłka, »bo mój syn nie wyjeżdżał z Paryża«. Lecz gdy mu opowiedziałem szczegóły widzenia się z Panem, dopiero mi, i to po długiem przekonywaniu z mej strony, uwierzył. Zasmucił się bardzo, tak że już nawet nie chciał zostać u mnie na herbacie.

Mówił mi, odchodząc, iż wszelkich środków użyje, aby Pana wydostać.

— Och, mój księże, żadne tu już środki nie pomogą — odrzekłem z goryczą i myślą, jak tam nieprzyjemne i bolesne święta mieć będą mój ojciec i bracia, wiedząc, że nademną los taki straszny zawisnął.

Na drugi dzień, choć się już wcale nie spodziewałem, zjawił się znowu szanowny kapłan ze słowami współczucia i pociechy. Po niedługiej, lecz serdecznej rozmowie pożegnałem go już może na zawsze; pamięć jednak chwil tych więziennych z nim spędzonych nigdy mi z serca nie wyjdzie.

Uspokojony rezygnacyą, jaką we mnie wlały słowa jego, napiętnowane wysoką religijnością, jaśniej spojrzałem w przyszłość, która już nie zdawała mi się tak groźną i bez nadziei, ak przedtem. Czułem i wierzyłem, iż cokolwiekbądź stanie się tu ze mną, zawsze jeszcze pozostaje nad nami sąd inny, sprawiedliwy, nieomylny a miłosierny. Żal mi było zawsze życia, ale nie wpadałem już w tę dziką, szaloną rozpacz, jak dawniej, bo wiedziałem, że śmierć moja otworzy mi świat inny, doskonalszy.

Postanowiłem, gdy mnie znów wezwą do komisyi, nie, udawać już wobec tylu faktów, iż ja tylko wciągnięty byłem do powstania, lub nie wiedziałem, co czynię, przystępując do organizacyi, albo też zaprzeczać swych uczuć patryotycznych, a przedstawiać swą wiarę i posłuszeństwo rządowi, jak to było w zwyczaju u wielkiej części aresztowanych. Ci, którym takie tłómaczenie przynosiło oswobodzenie wobec braku faktów i dowodów, mogli zapewne wszelkich używać środków, choćby one i wbrew przeciwne były ogólnemu przekonaniu; dla mnie jednak, przyznam, iż nadzwyczaj ciężko było udawać tę dziecinną naiwność i zapierać się swych uczuć patryotycznych, kiedy wszystko mnie w nich oskarżało. Gdyby życie moje mniej było jawne komisyi i gdybym czuł, iż zdołam wyplątać się z ciążących nademną zarzutów, może być, a nawet i bardzo prawdopodobnie, iżbym choć z wewnętrznym wstydem, grał jednak wobec komisyi rolę naiwnego niewinniątka. Ale teraz wszystko się zmieniło. Cały mój udział w powstaniu stał jak otwarta księga przed oczami komisyi. Zeznania Janczewskiego, Rogińskiego, Landowskiego i innych niczem już zbić

się nie dały. Mając więc ginąć, postanowiłem przynajmniej ginąć jak prawy patryota, nie zapierający się swych uczuć, swych czynów, swych przekonań i nie starający się kłamaną przychylnością uzyskać względy swych wrogich sędziów. Pragnąłem pokazać naszym wrogom, iż nie brak mi odwagi przyznać się wobec nich do tego, co się w głębi mego serca mieściło.

XXXIV.

Zmiana metody zeznawania wobec komisyi śledczej. — Zdrada Zwierzchowskiego. — Szatańska intryga Trepowa. — Historya zdrady.

Kiedy nazajutrz po widzeniu się z księdzem wezwano mnie do komisyi, wielkie musiało być zdziwienie prowadzącego moją indagacyę inkwirenta, gdy mu na jego zapytania, w których podstępnym sposobem chcąc mnie zniewolić do przyznania, pytał, »iż Pan nie możesz zapierać udziału w organizacyi, do której, wierzymy, iż Pana namową i groźbami wciągnęli«, odpowiedziałem:

— Nie byłem tak młody i tak lekko dający się powodować, aby mnie namowami lub groźbami wbrew mej woli wciągnięto do stowarzyszenia patryotycznego.

— Jak to? Więc Pan zapierasz jeszcze? — zawołał rozgorączkowany członek komisyi.

— Nie, wcale nie — przerwałem mu — ja nie zapieram się nigdy tego, co stanowi najpiękniejszą kartę mojego życia, tylko protestuję przeciwko temu, jakobym był wciągany i pod groźbą dopiero przystąpił do organizacyi. Jeszcze kiedym z młodzieńczego wychodził wieku, już marzyłem o spiskach i konspiracyach i jak Pan dobrze widzisz z zeznań Janczewskiego, nie tylko nikt mnie nie zmuszał, lecz ja innych do stowarzyszenia tajemnego, którego sam byłem naczelnikiem, wciągałem.

— A zatem przyznajesz się Pan do swego udziału w organizacyi? — zawołał zdziwiony, lecz i uradowany zarazem inkwirent.

— Tak jest, mój Panie, przyznaję, iż nieszczęścia naszego kraju obudziły w mem sercu, jak w sercu każdego Polaka, pragnienie wyswobodzenia go z pod ucisku i wywalczenia jego niepodległości.

W tym mniej więcej nastroju prowadzona była cała rozmowa, która szczęściem nie była w protokół zapisywana i nie miała innych świadków. Bo w każdym razie nie zbyt to jest bezpiecznie odkrywać swoje serce przed nieprzyjaciółmi.

W kilka dni później przedstawiono mi niektóre zapytania, tyczące się niektórych moich działań, a jakoby poczerpniętych z zeznania Neudinga. Ponieważ większa część faktów w tem zeznaniu była fałszywą, a co więcej, obwiniała najbardziej samego Neudinga, gdyż mnie nic już więcej nad to, co o mnie wiedziano, kompromitować nie mogło, zaprzeczyłem przeto, myśląc, iż zeznanie owo podrobiono, aby tym sposobem wybadać o stosunkach, jakie miałem z Neudingem.

— Jakże Pan możesz zaprzeczać — zawołał Cugołowski — kiedy Neuding sam to przyznaje, jak również o stosunkach, jakie miał z Panem, jako swym naczelnikiem?

— Nigdy nie byłem naczelnikiem Neudinga, a znałem go tylko jako porządnego i zacnego człowieka — odrzekłem.

— Jeżeli tak, to my zrobimy naoczną konfrontacyę jego z Panem i wówczas prawda na wierzch wyjdzie.

— I owszem, bardzo temu rad będę — pomyślałem sobie w duchu — bo może przy tej konfrontacyi choć kilka słów będę mógł z nim pomówić, a głośno dodałem, iż pewny jestem, że na konfrontacyi Neuding zeznanie swoje, które jemu tylko najwięcej szkodzi, odwoła.

Posłano dyżurnego i za chwilę ujrzeliśmy się z Neudingiem oko w oko. Na twarzy jego znać było paromiesięczne więzienie, a oprócz tego smutek nieskrywany na widok swego dawnego przyjaciela, którego los był łatwy do przewidzenia. Przy powitaniu, kiedy się zbliżyłem do niego, widziałem, że poczciwy Neuding miał łzy w oczach.

Po zwykłych zapytaniach ze strony komisyi, ja chcąc pomódz Neudingowi i ochronić go, o ile mogłem, zaprzeczałem jego oskarżeniom, wystawiając naszą znajomość jako przypadkowo zawartą i ograniczającą się małymi stosunkami. Co zaś do poleceń w sprawach narodowych, jakie mu miałem wydawać, to o tych, oświadczyłem, iż zupełnie nie pamiętam. Nad moje jednak spodziewanie Neuding utwierdzał przeciwnie, trzymając się ściśle swego zeznania, prosząc, abym i ja dobrze sobie przypomniał nasze dawne czynności i nie zapierał tego, co

on w protokóle swym zeznał. Zdziwiony tem jego niewytłómaczonem postępowaniem, zwłaszcza że te zeznania jegoż samego najwięcej kompromitowały, rozmyślałem nad przyczynami, które go do takiego postępowania spowodowały. Na moje szczęście członek komisyi wojennej został wywołany do prezydującego, a pozostał tylko cywilny asesor Polak, przy którym już mogliśmy swobodniej rozmawiać.

— Jak i kiedy cię aresztowano? — spytałem — i dlaczego zeznajesz to, co ci tylko szkodzić może?

— Czyż nie wiesz jeszcze, kto nas i ciebie zdradził? — odpowiedział mi ze smutkiem.

— Jak to, więc rzeczywiście była zdrada? — zawołałem, powstając — I któż jest zdrajcą?

— Ten, któregoście tu przysłali, Zwierzchowski Aleksander.

— Zwierzchowski! — szepnąłem — Lecz czyliż masz na to dowody? Bo mnie mówiono, że i on aresztowany.

— Och, jeżeli on nawet i jest aresztowany, to tylko dla niepoznaki, dlatego, aby jeszcze dłużej mógł być szpiegiem

— Ale skądże pewność, że to on? Skądże ta pewność? — powtarzałem, uderzony jak gromem tą wiadomością, którą choć już przypuszczałem, choć podejrzywałem w myślach, jednakże pragnąłem wewnętrznie, aby mnie przekonano, iż wszelkie domysły moje były płonnymi. Nie mogłem się pogodzić z myślą, aby ten, którego miałem za przyjaciela, za towarzysza, za poświęconego patryotę, był tak okropnie nikczemnym, tak podłym zdrajcą.

Z natężoną uwagą słuchałem, jak mi Neuding w krótkości rozpowiadał całą historyę swego aresztowania, z której jasno jak na dłoni przeglądała zdrada Zwierzchowskiego. Było widocznem, iż wyjeżdżając pierwszy raz z Paryża z listami i poleceniami, o które się tak gwałtownie napraszał, już był w związku z policyą rosyjską i czy to piśmiennie z jen.-policmajstrem czy przez posła proponował swoje usługi rządowi rosyjskiemu. Jaki mianowicie był układ i ile obowiązano mu się wypłacić pieniędzy za zdradzenie i wydanie w ręce władzy swych dawnych przyjaciół, tego nie wiem dokładnie; ale to wiem z ust samej komisyi, że mu przyobiecano sowitą nagrodę prócz uwolnienia od odpowiedzialności za dawne winy (był bowiem jakiś czas oficerem żandarmeryi narodowej i należał

do zabójstwa politycznego, o czem w »Dzienniku Warszawskim« pisano) i ofiarowanie urzędu w policyi. Przyjechawszy do Warszawy Zwierzchowski, ów gorący i poświęcony na emigracyi patryota, udał się najpierw do oberpolicmajstra jen. Trepowa i tam przedstawił mu się jako oddany na jego usługi, t. j. pragnący po prostu zostać szpiegiem. List mój, pisany sympatycznym atramentem do Neudinga i Arendta, złożył w ręce jen. policmajstra, który go odczyniwszy i przeczytawszy, rozkazał oddać według adresu, aby jak najwięcej ludzi do tej kabały wciągnąć.

— Kiedy przyszedł do nas — mówił mi Neuding — z twym listem, zdziwiliśmy się trochę, że już list odczyniony; ale nie podejrzywając waszego wysłańca, nie zwróciliśmy na to wielkiej uwagi.

— Czemuż w odpowiedzi waszej wystawialiście stan kraju w tak różowych kolorach? — spytałem, przerywając mu.

— My przeciwnie, powiedzieliśmy mu, aby wytłómaczył emigracyi, iż wszelkie nowe konspiracye są nieszczęściem kraju, iż nikt tu z poważnych ludzi do nowych stowarzyszeń tajnych nie wstąpi obecnie. Ponieważ pisałeś w swym liście, prosząc o jak najszczersze objaśnienia co do stanu umysłów w naszym kraju, gdyż według tego mieliście i swoje zamiary układać, powiedzieliśmy przeto otwarcie, iż żadna konspiracya, pragnąca teraz nowego w kraju wybuchu, nie spotka współczucia między ludnością.

— Ach! Czemuście tego nie napisali? — wyrzekłem — Wszak wspomniałem w swym liście, że jeżeli kraj przeciwny jest konspiracyi, jeżeli listy, jakie tu odbieramy, są tylko objawem opinii kilku szaleńców, to my żadnego ajenta, żadnej podniety, żadnego narzucania swej woli krajowi robić nie myślimy. Wszak tylko w takim razie, gdyby ludność miejscowa, gdyby lud wiejski, oburzony zamykaniem świątyń i znoszeniem klasztorów, poruszył się do walki, lub jawną opozycyą pokazał swą niechęć do rządu, wówczas dopiero myśmy mieli całe swoje siły dla podtrzymania istniejącego już ruchu poświęcić i do was tu przyjechać.

— Chcieliśmy pisać — odpowiedział mi Neuding — ale on listów naszych pod pozorem rewizyi wziąść nie chciał, mówiąc, iż ustnie wszystko to wam wyjaśni; dziękował nam za

naszą szczerą otwartość, oświadczając, iż po takich wiadomościach emigracya nie będzie już żadnych emisaryuszów wysyłać, a tylko zajmie się wewnętrzną swoją organizacyą, gdyż te słowa, jak mówił, od ciebie słyszał.

— Tak jest — odrzekłem — kiedy wyjeżdżał ten nikczemnik, któregośmy za swego przyjaciela uważali, odkryłem mu plany nasze, aby przez ten znak zaufania jeszcze silniej go ku sobie przywiązać. Całe życie przeszłe mówiło za nim. Dawni znajomi i towarzysze prac w wspólnej organizacyi jak najpochlebniej się o nim odzywali. Któż mógł przypuścić, iż nim wyjechał z Paryża, już nosił się w swym czarnym, brudnym umyśle z nikczemną zdradą? Czyż nie mogliście — rzekłem, zwracając się do Neudinga — pisać pomimo jego?

— Chcieliśmy, ale odpowiedział, iż zgubił adres twego nowego mieszkania w Paryżu.

— Co za podłość, co za przewrotność w tak młodym człowieku, a wszystko, aby jak najwięcej z tych, co mu zaufali sprowadzić do Cytadeli i sowitą za to otrzymać nagrodę!

— Ależ może Panowie niewinnie tego Zwierzchowskiego posądzacie — zawołał, niespokojnie się oglądając sędzia — Panowie tak tu rozmawiacie sobie, a tam może kto z członków komisyi — dodał, pokazując na drzwi.

— Nie lękam się podsłuchania — przerwał Neuding — i gotów jestem o całej tej sprawie publicznie przy całej komisyi opowiadać.

— Ależ, mój Panie, pozory mogą mylić!

— Jakie pozory, panie sędzio? Kiedyż ja mam niezbite fakta, bo zaraz na drugi dzień po przyjeździe Zwierzchowskiego spotkałem się z niejakim p. Sawierym urzędnikiem kolei żelaznej, który choć mało mi znany, sam mnie zaczepił, pytając, czy się widziałem ze Zwierzchowskim, i polecając być z nim ostrożnym, bo on osobiście widział go u jen.-policmajstra. Kiedy zaś ja okazałem niedowierzanie, wówczas Sawiery opowiedział mi szczegółowo o liście Daniłowskiego, o zamiarze jen. Trepowa sprowadzenia jego przez Zwierzchowskiego do Warszawy i t. p.

— Ale czyż on mógł to wszystko tak mądrze prowadzić? — szepnął sędzia.

— Och, panie sędzio, inna tam była, poważniejsza i rozumniejsza ręka, co tem kierowała: on był tylko narzędziem.

W kilkunastu minutach, jakie nam jeszcze nieobecność członków komisyi pozostawiła, opowiedział mi Neuding, jak został zaraz po mniemanym wyjeździe Zwierzchowskiego aresztowany, jak mu co do najmniejszego słówka rozmowy jego ze Zwierzchowskim przytaczano, jak mu na parę miesięcy przed moim przyjazdem mówiono: »Będziemy tu mieli i Daniłowskiego i Mierosławskiego i wielu innych; dostaniemy ich, sprowadzimy z Paryża«; na co on wewnętrznym śmiechem odpowiadał, nie przypuszczając, że przepowiednie ich wkrótce się miały spełnić. Arendt takoż był aresztowany; p. Czaplicka, p. Czech. temuż uległy losowi — słowem, wszędzie, gdzie tylko stopa Zwierzchowskiego dotknęła, pociągał nowe i nowe ofiary Sam on dla niepoznaki był nawet nibyto aresztowany przez parę tygodni, a w rzeczywistości chciano go dla naszych zeznań mieć bliżej pod ręką. Obecnie zaś sam widziałem go z okna komisyi (mówił Neuding) swobodnie spacerującego po ulicy (komisya, jak i nasze więzienie, była na ulicy Pawiej).

— O cóż was oskarżają, jeżeliście jawnie oświadczyli, iż o konspiracyi teraz mowy być nie może i żadnego związku tworzyć nie chcieliście?

— Bóg to wie, za co, lecz pewno za przychylność sprawie, a może...

Dalszą naszą rozmowę przerwało wejście jednego z członków komisyi.

Powróciwszy do więzienia po tej rozmowie z Neudingem, byłem jak odurzony. Wszystko, com przecierpiał dotychczas wracało się znowu z podwójną siłą przy myśli o tej nikczemnej zdradzie. Cała moja praca, tyle poświęceń i nadziei rzucone zostały na pastwę rosyjskiej policyi. Mniejsza, że zginę — myślałem sobie — ale ginąć tak haniebnie, bez korzyści dla kraju bez wspomnienia u swoich, ginąć z myślą, że tysiące mniej poświęconych, mniej, niż ja, oddanych sprawie narodowej, będą z uśmiechem litości lub szyderstwa zarzucać: »Jak on mógł dać się tak złapać? Jak on mógł takiemu a takiemu zawierzyć?« Zaczną wówczas dopiero przypominać sobie różne podejrzenia, jakie mogli mieć na Zwierzchowskiego, zaczną szeroko rozprawiać, jaktoby oni sobie w takich okolicznościach poradzili, na-

rzekać na moją lekkomyślność, na niebaczność, występną w takich razach ambicyę i zarozumiałość; znajdą się nawet tacy, co powiedzą, iż przewidywali, jaki koniec weźmie konspiracya, za moim popędem rozpoczęta. »Nie chciał nas słuchać, piął się do wielkich rzeczy: dobrze mu tak, niech go wieszają, kiedy taki nierozumny, że lada szpieg podejść go potrafił«. A nikt nie powie, iż w chwilach ogólnej apatyi on jednak nie zwątpił o sprawie, że rozpocząwszy dzieło może nad siły swoje, pojechał pod grozą śmierci do Warszawy, aby naocznie się przekonać, co też na nową organizacyę można rachować. A nikt nie powie, iż podczas kiedy my tu, w Paryżu, siedząc po kawiarniach, krytykujemy i rozbieramy jego czyny, on tam, zamknięty w więzieniu, wyczekuje z boleścią ostatniej swojej godziny, lub może go w tej chwili męczą za to, że nie chciał wyrzec się swych zasad i nadziei, że nie chciał powiedzieć sobie w duszy, iż ruch nasz obecny ukończył się bezpowrotnie. Tak, nikt lub przynajmniej mało kto nawet z mych przyjaciół powiedział sobie w duszy, że zamiary i czyny moje były czyste i ku ogólnemu dobru zmierzające i że jeżeli jeden z fałszywych braci, jakim się okazał Zwierzchowski, zdradził, to tego żadne najbieglejsze oko przewidzieć nie mogło. A że emigracya nic o całej tej zdradzie nie wiedziała, mogłem się z tego przekonać, iż w pół roku po naszem aresztowaniu wyjechał Zwierzchowski do Paryża i był z otwartemi rękami przez emigracyę przyjęty. Nikomu z nich na myśl nie przyszło zapytać go, jak on tak długo mógł siedzieć w Warszawie, kiedy nas wszystkich aresztowano; wierzono owszem w szczery żal jego po stracie tak kochanego przyjaciela, jakim ja byłem dla niego, wierzyli w usiłowania, jakie niby czynił, aby mnie z więzienia uwolnić, i podawali temu zdrajcy rękę, co jednak nie przeszkodziło im zapewne czynić wyżej przytoczonych o mnie uwag, kiedy już cała ta sprawa na jaw nareszcie wyszła.

Jest to już od dawna dowiedzioną prawdą, że każde zuchwałe przedsięwzięcie, każdy zamiar, oparty na śmiałej ryzyce, jeżeli los mu nie sprzyja, jeżeli najbardziej prawdopodobne plany zawiodą, będzie potępiony ze zgrozą przez większość opinii; będą krytykować, kładąc nacisk na nieobaczność, nierozsądek i nieudolność wykonawców, gdy tymczasem przy pomyślnym rezultacie ciż sami ludzie otoczeni zostaną ogólnem

uwielbieniem, będą rozwodzić się nad śmiałością, nad rozumem, nad energią, z jaką tak trudnego dzieła dokonano. Jak w wielkich, tak i w małych rzeczach, zawsze i wszędzie powtarza się: »Biada zwyciężonym!«

Starałem się, o ile mogłem, uspokoić wzburzoną imaginacyę tym nowym ciosem. Zdrada Zwierzchowskiego, oprócz iż odjęła mi już wszelką możebność zapierania moich czynności w Paryżu, rzuciła mnie jeszcze, choć chwilowo, w rodzaj bezwładnej apatyi. Chociaż już dosyć miałem podejrzeń na niego, chociaż przypuszczałem, iż jemu zawdzięczać mogę moje aresztowanie, zawsze jednak nie miałem tych stanowczych dowodów, któreby mi pozwoliły bez wahania powiedzieć: To on nas zaprzedał. Teraz zaś nikczemna przewrotność jego przedstawiła mi się w całej swej obrzydliwej nagości. Przypominałem sobie całe postępowanie Zwierzchowskiego od czasu zaznajomienia aż do ostatnich dni, aż do przyjazdu mojego do Warszawy. Z rozmowy z Neudingem i z później zebranych wiadomości, tak z zeznań Janczewskiego, jak i z opowiadań Ulatowskiego (z którym, gdy nas wypadkiem przez ścianę posadzili, pukaliśmy do siebie), oraz z oderwanych napomykań członków komisyi, których niby niechcący wypytywałem przy każdej zdarzonej sposobności, mogłem zestawić dość jasną historyę całej tej podłej zdrady.

Zwierzchowski, powodowany chęcią zysku przy małej pracy, czy też wprost wdawszy się w ryzykowną dla siebie, bo grożącą szubienicą sprawę, która mu żadnej korzyści materyalnej przynieść nie mogła, postanowił, puszczając wodze swojemu nikczemnemu (dotąd maskowanemu chwilowo) charakterowi, zostać szpiegiem rządu ruskiego i wydać swych przyjaciół choćby i na śmierć, byle tylko dobrze zapłacono za każdą głowę. Okoliczności sprzyjały mu bardzo. Ogólna opinia znających go osobiście towarzyszy była po jego stronie. Dawne obowiązki w organizacyi spełniał należycie i bez zarzutu. Na emigracyi pracował, zarabiając na swoje utrzymanie po 200 franków miesięcznie w kontroli zarządu kolei żelaznej. Czyż można było przypuścić, aby ten człowiek młody, dobrze uważany, nie cierpiący niedostatku, żyjący owszem stosunkowo do innych emigrantów dosyć wygodnie, aby ten młody człowiek sam, dobrowolnie, nie przymuszony żadnemi okolicznościami,

żyjący na emigracyi w pośród przyjaciół, postanowił nagle zostać zdrajcą, gorzej jeszcze, zostać szpiegiem, układającym wraz z policyą warszawską sprowadzenie z Paryża swych przyjaciół, z którymi w wilię tego dnia ściskał się i całował po bratersku, wyjeżdżając do kraju, aby i ich pociągnąć za sobą i zaprzedać na śmierć haniebną? A jednak było tak. Przykładu takiej nikczemności, takiej podłej, przewrotnej zdrady nie czytałem jeszcze w żadnych dziejach konspiracyi, w żadnym spisku. Było zawsze dosyć zdrajców na świecie i jest ich jeszcze dosyć i zawsze oni będą zapewne, ale tak przerażająco nikczemnego, jak Zwierzchowski, nie wiem, czy ziemia jaka wydała. Bo zupełnie co innego jest człowiek słaby, który zamknięty w więzieniu, sam jeden pod grozą mąk lub kary śmierci, poddając się wrodzonemu egoizmowi, wydaje swoich spólników, byle siebie tylko od odpowiedzialności uwolnić. Człowiek taki zaprawdę także jest zdrajcą, ale między zdrajcami a zdrajcami wielka zachodzi różnica. Jakież porównanie między zmordowanym długotrwałem więzieniem człowiekiem, upadłym na duchu i umyśle, który z tchórzostwa ojca i matkę gotów poświęcić, a człowiekiem swobodnym, bujającym po Paryżu, którego nic ze znanych psychologicznych pobudek nie zmuszało do nikczemności, który sam dobrowolnie narzuca się, wprasza: »Wyszlijcie mnie z poleceniami do Warszawy«, a w myśli układa już, ile dostanie rubli za każdą wydaną tajemnicę, ile za każdą głowę swego przyjaciela, którego uda mu się z Paryża do Cytadeli sprowadzić. Kiedy zaś przyjechał do Warszawy i po przedstawieniu się w charakterze szpiega-prowokatora jen.-policmajstrowi Trepowowi zobaczył, że umyślona konspiracya nie będzie mogła mieć miejsca z braku podstaw działania (t. j. dlatego, że prawdziwi patryoci w odpowiedzi na list mój szczerze przedstawili położenie kraju, oświadczając, iż wszelki ruch lub nawet związek szerszych rozmiarów jest niepodobny), wówczas to Zwierzchowski, aby nie stracić spodziewanych korzyści, zawiązał przy pomocy tajnej policyi fałszywą, prowokatorską konspiracyę.

Naturalnie, iż był on tylko wykonawcą ułożonego przez wyższe osoby planu. Obawiając się, aby Neuding lub Arendt nie skomunikowali się ze mną pomimo jego i odkrywając stan umysłów w Warszawie, nie przerwali podstępnie ułożonych

sieci, zaaresztowano ich obudwu; zaaresztowano również pp. Czech. i Czaplicką z tychże zapewne powodów. Wyaresztowano tak wszystkich, coby byli mogli skomunikować się z nami, wysłano Zwierzchowskiego do Drezna z poleceniami wystawienia nam w jak najbardziej pomyślnych kolorach usposobienie kraju i rozwijanie się organizacyi. Trudno wyobrazić sobie, z jaką bezczelną nikczemnością ten niedawny wychodziec, ten patryota, poświęcony wielkiej sprawie, ten wysłany na własną usilną prośbę emisaryusz zdradzał swych przyjaciół i towarzyszy, malując w najjaśniejszych kolorach stan kraju, zaklinając, abym ja, a przynajmniej Janczewski jechał do Warszawy, gdzie naocznie przekona się o stanie organizacyi i o usposobieniu młodzieży warszawskiej. Za bezpieczeństwo przejazdu i bytności w Warszawie zaręczał najuroczyściej. Najlepszym zresztą dowodem było przebywanie kilkotygodniowe jegoż samego w Warszawie.

Kiedy sobie teraz przypominam jego wylania przyjaźni i poświęcenia, jakie dla mnie niby nosił w sercu, to aż dreszcz przechodzi mnie z oburzenia: tyle przewrotności, tyle nikczemnej zdrady w tak młodym człowieku! Po przyjeździe do Drezna Zwierzchowski, widząc, że ja jeszcze nie zgadzam się dla różnych powodów jechać do Warszawy, kontentował się choć jedną ofiarą, jednym tylko, lecz zato najbliższym mu przyjacielem, Zdzisławem Janczewskim. Zwierzchowski znał się prawie od dziecka z Janczewskim, gdyż rodzice ich obu mieszkali razem w jednym domu we Włocławku i żyli z sobą w ścisłej zażyłości, jako pod jednym dachem zostający sąsiedzi. Miał on już plan przywabienia mnie natychmiast do Warszawy, gdyż takie zapewne odebrał polecenia od jen.-policmajstra; ale widząc wówczas niepodobieństwo namówienia mnie do tego, upraszał tylko o zaufanie do siebie, zapewniając o swem poświęceniu i t. p.

Wróciwszy do Warszawy z Janczewskim, Zwierzchowski otoczył go całą falangą swych współbraci szpiegów i ajentów policyjnych, których mu przedstawił jako członków nowej organizacyi. Ponieważ zaś pomiędzy nimi byli i członkowie dawnej organizacyi, z których jedni w dobrej wierze, drudzy zaś jako oddani rządowi szpiedzy działali, nic przeto dziwnego, że w pierwszej chwili Janczewski przyjmował wszystko za dobrą mo-

netę. Członkowie ci nowej, prowokatorskiej organizacyi, działający pod głównym kierunkiem jen.-policmajstra Trepowa z udziałem śledczej komisyi i tajnej policyi, mieli za cel najpierw sprowadzić z zagranicy gorętszych ludzi, którzy powołani tą podstępną intrygą, przybyliby do kraju, sądząc, że kraj ich powołuje. Drugim znów powodem było w uspokojonym już i przybitym nieszczęściami kraju utrzymywać ów nieustanny ucisk stanu wojennego. A że dla stanu wojennego potrzeba było konspiracyi, w braku więc rzeczywistej utworzono fałszywą, szpiegowską, policyjną, do której zapomocą nikczemnego zdrajcy Zwierzchowskiego wciągano spokojnie siedzących i o spiskach w obecnym przynajmniej czasie wcale nie myślących. Ta fałszywa konspiracya, ten komitet ajentów prowokatorów, wydawał odezwy, drukował plakaty, rozlepiając je po rogach ulic, lub rozdając przez swych ajentów, między którymi znajdowali się i poczciwi młodzi ludzie, wciągnieni pozorem prawdy, jakimi to zbiorowisko służalców tajnej policyi się otaczało. Ci to poczciwi ludzie i gorętsi patryoci najwięcej w błąd wprowadzali miejscową ludność, a tem bardziej nas, siedzących o kilkaset mil w Paryżu.

Cała ta podstępna konspiracya prowadzona była tak zręcznie, że Janczewski z Ulatowskim przez długi czas nie wiedzieli o stosunkach Zwierzchowskiego z tajną policyą i z jen.-policmajstrem. Ażeby jak największy pozór prawdy nadać temu podstępnemu działaniu, drukowano odezwy na jednej drukarni byłego Rządu, używając oraz jego blankietów, które komisya śledcza ze swych archiwów dostarczała. Pieniądze na każde nasze zapotrzebowanie przysyłano natychmiast, zapewne z funduszów oberpolicmajstra. Wszystko to zupełnie zakryło oczy naszym wysłańcom, tak że nawet głuche wieści o zdradzie i list mój, do Janczewskiego pisany, nie mogły ich spokoju naruszyć. Pisali nam jak najpomyślniejsze listy, potwierdzając we wszystkiem kłamliwe raporta Zwierzchowskiego.

Dziwnem jest, że Janczewski przez przeszło dwa miesiące siedząc w Warszawie, nie mógł ani razu uchwycić nici tak okropnej zdrady. Siedział sobie spokojnie ukryty, nie wiedząc jakie groźne chmury zbierały się nad jego głową. Na parę dopiero tygodni przed mym przyjazdem do Bydgoszczy znalazł Janczewski wypadkiem, przyszedłszy na posiedzenie, które się

odbywało w mieszkaniu Zwierzchowskiego, karteczkę od policmajstra, w której zawiadamiano Zwierzchowskiego, iż żądane przez niego papiery nie znajdują się w archiwum tajnej policyi, a należy ich poszukać w śledczej komisyi. Karteczka owa otworzyła nareszcie oczy Janczewskiemu, lecz nie zupełnie jeszcze przekonała go o zdradzie Zwierzchowskiego. Nie wiadomo, jakiego on jeszcze dowodu żądał, chyba przyznania się Zwierzchowskiego. Zamiast starania się o natychmiastowe rozerwanie tych szpiegowskich sieci, zamiast wyjechać, uciekać z Warszawy, lub przynajmniej listownie czy innemi drogami uwiadomić nas w Paryżu o tej zdradzie, on nie tylko że niczego nie uczynił, lecz owszem dla niepoznaki, jak sam to mówił, utrzymywał dalej przyjazne stosunki i do nas bardzo piękne raporta o stanie Warszawy pisywał. Parę zaś listów, które przy końcu już wysłał do mnie z ostrzeżeniem, były przejęte, gdyż adresa wszystkie, pod jakimi pisywaliśmy do siebie, wiadome były Zwierzchowskiemu, o czem widać Janczewski na nieszczęście zapomniał. Co jednak nigdy nie będzie mógł wytłómaczyć, to ostatniego swego listu do Bydgoszczy, w którym zaprasza Rudnickiego, aby przyjechał do Warszawy, ręcząc za bezpieczeństwo, podczas kiedy już sam z Ulatowskim ukrywali się, mając już pewne dowody zdrady Zwierzchowskiego i starając się tylko schwytać sposobną chwilę do ucieczki. Janczewski tłómaczył się, że nie chcąc jeszcze (dla nie wiadomych powodów) dać poznać Zwierzchowskiemu, iż wie o jego zdradzie, a będąc z drugiej strony przekonany, że ja (jak to z Bydgoszczy pisałem) nie przyjadę, napisał tę karteczkę, sądząc, że im łatwiej z Rudnickim uda się wymknąć. Rudnicki po przyjeździe do Warszawy był w nocy w hotelu Rzymskim aresztowany, nie widziawszy się nawet z Janczewskim, który już wówczas chował się przed Zwierzchowskim, uciekając z domu do domu. Gdyby był wysłał którą z sióstr swoich za granicę z ostrzeżeniem, wszystkoby inaczej poszło, i jego i Ulatowskiego można byłoby ocalić, a przez swoją niewytłómaczoną i bezczynną, występną ospałość wszyscy dostali się w ręce policyi.

Wiadome już całe postępowanie Zwierzchowskiego w Bydgoszczy.

Przypominając sobie w samotnem więzieniu całe jego po-

stępowanie od chwili przyjazdu mego do Warszawy, mogłem sobie dopiero wytłómaczyć i jego bladość i jego pomieszanie i ukrywany niepokój, kiedy mnie na banhofie warszawskim oczekiwał. Ostatki sumienia, jakie zostały jeszcze w tej nikczemnej duszy, dręczyły go i wyrzucały mu jego podłość na widok ufającej mu, a już zaprzedanej przez niego ofiary. Od chwili wjazdu mego w granicę Królestwa z każdej już stacyi telegrafowano o mnie do Warszawy (jak mi o tem w komisyi mówiono, a czemu wówczas nie wierzyłem). Oficer, który niby wypadkiem siadł z samej granicy do jednego ze mną wagonu, był zapewne moim tajemnym strażnikiem. Busse, który odwiózłszy Rudnickiego, po mnie przyjechał, należał także do spólników tajnej policyi, jak i wysłany ów kuryer Radoński (kasztelanic), powracający z nami z Paryża. Ciekawy tylko byłem, co za jeden był ten młody człowiek, który przy wsiadaniu naszem do dorożki zaczepił Zwierzchowskiego — czy w celu ostrzeżenia mnie? Teraz dopiero poznałem, skąd pochodził ów niepokój gorączkowy, z jakim Zwierzchowski wiózł mnie przez Warszawę i z jakim odpowiadał na moje pytania. Nawet wytrawny, zakamieniały w występkach zbrodniarz musi uczuwać jakąś, chociaż chwilową zgryzotę przed spełnieniem zabójstwa, zwłaszcza gdy tą ofiarą jest jego dawny i oddający mu się z ufnością przyjaciel. Nic jednak nie podejrzywając, wierzyłem w jego tłómaczenie, wierzyłem w jego słowa i zapewnienia przyjaźni, z jakiemi się żegnał ze mną w hotelu, podczas gdy za drzwiami oczekiwali nasadzeni przez niego żandarmi. »Wrócę za chwilę, idę po Rudnickiego« — mówił, ściskając mnie z bezczelną serdecznością, a w kilka chwil po jego wyjściu byłem już w rękach nasadzonej przez niego policyi. Cóż dodać jeszcze więcej, aby określić tego zdrajcę! Nie mogę znaleźć wyrazu, któryby dobitnie malował tę duszę nikczemną.

XXXV.

Śmiałe i otwarte przemówienie w sądzie. — Zeznania Janczewskiego. — Aresztowanie Janczewskiego i Ulatowskiego. — Zamiar ujawnienia intrygi policyjnej i pierwsze widzenie się z bratową. — Zagadkowa karteczka i odpowiedź na nią. — Powtórne odwiedziny bratowej.

Przebiegając myślą te bolesne, te okropne dla mnie wypadki, uczułem taki wielki ból, tyle oburzenia i bezsilnej rozpacznej zemsty, że aż napół zemdlony z wysilenia upadłem na twardy więzienny tapczan. Och, jakże mnie okropnie zdradzono! — szepnąłem, przychodząc po chwili do zmysłów. Zacząłem chodzić, zerwawszy się z posłania, po mej ciasnej celi, myśląc nad sposobami ujawnienia tej całej zdrady, aby przynajmniej więcej już nieszczęśliwych nie wpadało w ręce policyi, aby nowe ofiary nie były podstępnie sprowadzane z zagranicy. Napisałem karteczkę do p. Maryi C., lecz ona wierzyć z początku nie chciała, aby Zwierzchowski był zdrajcą. Później nawet, chociaż go sama widziała swobodnie spacerującego po ulicach Warszawy, jeszcze nie chciała przypuszczać, aby w tym młodym człowieku tyle się podłości mieściło. Myślę jednak, że po wyjściu na wolność musiała nabyć tej smutnej pewności i przekonać się, iż prawdę pisałem. Rozerwawszy w braku papieru koszulę, napisałem na małych kawałkach płótna, iż mnie podstępnie sprowadzono z Paryża za zdradą Zwierzchowskiego, i porozrzucałem w różne miejsca, gdzie tylko mi się sposobność zdarzyła. Zapewne niektóre z tych kartek w dobre wpadły ręce, bo wiadomość o mej sprawie zaczęła się rozchodzić po Warszawie. Najbardziej mi chodziło, aby zdjąć maskę ze Zwierzchowskiego, a zarazem okazać jawnie, jakich używa środków tajna policya, aby w kraju stan wojenny utrzymywać, przedstawiając raporta o mniemanych spiskach i konspiracyach, które sama podstępnie tworzy, plącząc niewinne choć kocha-

jące kraj swój osoby i sprowadzając fałszywymi listami goręt-szych patryotów z emigracyi.

Nie może być — myślałem sobie — aby rząd wiedział o tych podstępnych machinacyach policyi tajnej. Czyż dla sprowadzenia kilku zapaleńszych emigrantów rząd uniżałby się aż do używania podstępu, do nastawiania sideł i prowadzenia fałszywej prowokacyi w kraju uspokojonym i tak znękanym niedawną walką? Takie postępowanie niegodne wielkiego państwa w Europie i dlatego też nie wierzyłem, aby oprócz policyi i tajnej komisyi był kto więcej z figur wyższych rządowych o tem zawiadomiony. Gdyby nie ta nikczemna prowokacya, czyżbyśmy przyjeżdżali z Paryża? Czyżbyśmy rozpoczynali działania konspiracyjne, gdyby na list mój, przez Zwierzchowskiego pisany, dozwolono odpisać Arendtowi i Neudingowi tak, jak tego pragnęli? Lub gdyby Zwierzchowski powtórzył nam słowa, jakie oni nam przez niego przesyłali? Za cóż nas więżą, jeżeli sami podstępem zachęcali nas do spisku? Pocóż tyle ofiar, które bez prowokacyi szpiegów siedziałyby spokojnie przy domowem ognisku? Jakże oni teraz sądzić nas będą? Jakaż wina ciąży na oszukanych, na sprowadzonych fałszem i zdradą? Wypowiem im to wszystko w komisyi, jak tylko do niej zostanę zawezwany. W piersiach mych wrzała burza, gotowało się wszystko z oburzenia i żalu.

Niedługo czekałem na widzenie się z komisyą. Na drugi dzień po konfrontacyi z Neudingiem przywołano mnie do komisyi. Prezydującego nie było, tylko mój inkwirent Cugołowski i jakichś drugich paru członków. Nie czekając nawet długich zapytań z ich strony, po pierwszych słowach p. Cugołowskiego: »Czy ciagle jeszcze trwam w uporze, chociaż komisyi śledczej wszystko dobrze już o moich czynach wiadomo?«, odpowiedziałem:

— Nie dziwię się wcale dokładności, z jaką komisya potrafiła ten niby spisek, ten nowy Rząd Narodowy wyśledzić: samiście go Panowie utworzyli i sami konspirowali!

— Jak to, co Pan przez to rozumiesz? — przerwał zmieszany i z lekka zaczerwieniwszy się, Cugołowski.

— Och, czyż mam wyraźnie wszystko wypowiadać? Przecież Pan lepiej odemnie wiesz, że sprowadzono nas podstępem i zdradą, udając, jakoby kraj nas wzywał, jakoby nowo utwo-

rzona organizacya potrzebowała naszej pomocy, gdy tymczasem wszystko to były sztuki szpiegowskie, wszystko to były fałsze i podstępy tajnej policyi przy współdziałaniu Zwierzchowskiego.

— Skąd Pan to wiesz? — przerwał mi niezadowolony członek komisyi — Przecież Pan sam jako główny naczelnik wysyłałeś emisaryuszów i pisałeś listy, wzywające do nowych stowarzyszeń.

— Tak jest, pisałem listy, ale nie wzywające do spisków a tylko zapytujące o położenie kraju, i w liście tym, który Panom Zwierzchowski wręczył, jak najwyraźniej żądam, aby mi o stanie kraju dokładnie, o ile można, napisali, nadmieniając, iż nic bez woli kraju rozpoczynać nie myślimy — i zacząłem mu dalej wszystkie szczegóły zdrady, o ile mi wiadome były, rozpowiadać.

— Skąd Pan to wiesz? To tylko Pana domysły — przerywał co chwila zmieszany i nie wiedzący, co mówić, członek komisyi.

— Wiem od samego prezydującego, który przy pierwszem wezwaniu zaraz mi o Zwierzchowskim oznajmił.

Nic już nie odpowiedział na to, potakując swojem milczeniem, a w końcu już i otwarcie przyznał zdradę Zwierzchowskiego, tłómacząc go tem, iż Zwierzchowski dał słowo honoru jen.-policmajstrowi, że nas z Paryża sprowadzi.

— A nam czyż nie dawał słowa honoru, czyż nie przysięgał po tysiąc razy swej wierności, swego patryotyzmu? — zawołałem, oburzony tem usprawiedliwieniem — Więc Pan znajdujesz jego postępek honorowy? Złapaliście nas, to prawda, ale czyż skutek odpowiada środkom? Czyż słyszana rzecz, aby w tym czasie postępu rząd tak wielki, jakim jest wasz rząd, zniżał się do takich podstępów, do zdrady i tak poniżał dla sprowadzenia kilku biednych emigrantów? Ja nawet wierzyć nie chcę i nie wierzę, aby wyższe władze wiedziały o tym haniebnym postępku policyi i przekonany jestem, że jeżeli do nich wiadomość o tem dojdzie, to zganią i ukarzą te czyny, rzucające cień na władzę tak potężną. A nas — dodałem — nas czyż możecie teraz sądzić i więzić, kiedy my byliśmy tylko igraszką waszych zbirów? Za cóż mnie i moich kolegów trzymacie w zamknięciu, kiedy to wyście wciągnęli nas do tej

nikczemnej szpiegowskiej konspiracyi? Gdyby nie policya i jej ajenci, czyż nie siedzielibyśmy spokojnie w Paryżu, zajmując się swojemi wewnętrznemi sprawami? Ale policyi potrzeba było spisku, potrzeba było nagród, potrzeba było przedstawić władzy najwyższej kraj nasz wiecznie stojący na wulkanie, aby brać podwójne pensye, aby stan wojenny utrzymywać do nieskończoności i grabić i niszczyć do reszty ten kraj znękany tylu nieszczęściami.

Długo tak, trawiony wewnętrznem oburzeniem, wyrzucałem nagromadzoną żółć w mych piersiach, nie zważając na gniewy i protestacye członka komisyi, nie wiedzącego, jak na moje słuszne zarzuty odpowiedzieć.

— Przekonany jestem — dodałem w końcu — że jeżeli wieść, jak mam nadzieję, o całej tej sprawie dojdzie do Najjaśniejszego Pana, to my zostaniemy oswobodzeni, bo jakiż sąd odważy się wbrew sumieniu i prawdzie wydać wyrok na podstępnie sprowadzonych i niewinnych ludzi?

— Panowie będziecie łagodniej sądzeni — rzekł członek komisyi — i wezmą na uwagę także zawikłane położenie; ale nie trzeba tak wiele zarzucać policyi, bo zresztą rząd ma prawo różnych środków używać dla swych celów.

Powróciwszy do więzienia i ochłonąwszy po niedawnej rozmowie, zacząłem rozmyślać nad sposobami uwiadomienia mych krewnych lub przyjaciół o całej sprawie naszej, sądząc, że jak największe jej ujawnienie może nam niejaką korzyść przyniesie. Gdybym się mógł widzieć z kimkolwiek z moich krewnych i braci, to może znalazłbym sposoby uwiadomić ich o całej sprawie. Ale widzenia z braćmi i ojcem wzbraniano mi dopóty, dopóki nie przyznam się osobiście do mych postępków, do udziału w powstaniu i t. p. Ponieważ o wszystkiem już dokładnie z zeznań Janczewskiego, Awejdego i z denuncyacyi Zwierzchowskiego wiedziano, nie taiłem przeto dalej mych osobistych czynności, przyznając w zupełności wyżej wspomniane zeznania, zwłaszcza że i bez mego protokółu mogła się komisya jak najkompletniej obejść. A chodziło mi głównie o widzenie się i ujawnienie całej tej nizkiej intrygi, zapomocą której nas sprowadzono. Nie dowierzałem ja łagodności sądu, chociaż nadzieja przynajmniej co do złagodzenia kary śmierci nigdy mnie nie opuszczała.

Komisya śledcza dla tem większego przekonania mnie, iż nic jej o moim udziale i czynnościach w powstaniu nie jest tajemnicą, pozwoliła mi przeczytać całkowite zeznanie Janczewskiego. W zeznaniu tem Janczewski jak najszczerzej opisywał wszystko, co tylko mógł zapamiętać, siląc się, aby go pamięć w czemkolwiek nie zawiodła. Takie nawet rzeczy, takie czyny, o których komisya nie miała nawet zamiaru pytać się, które jej nawet przez myśl nie przeszły, on z gorliwością godną lepszej sprawy wykrywał i zeznawał w jak najdrobniejszych szczegółach. Co gorsza, to, o czem nawet z pewnością wiedzieć nie mógł, starał się choć w przypuszczeniach komisyi śledczej wyjaśnić. Przy naocznej konfrontacyi, którą kilka razy z nim miałem, zaprzeczywszy wielu z jego zeznań, zaledwie że zmusiłem go dobitnemi przedstawieniami do odwołania niektórych jego zeznań. Gdyśmy wypadkiem sami na parę minut zostali, oświadczył mi, iż komisya obiecała mu uwolnić mnie od kary śmierci, jeżeli on jak najotwarciej wszystko zezna, i dlatego to on tak szczerze się spowiada, aby mnie, swego najlepszego przyjaciela, ocalić. Wejście członka komisyi nie pozwoliło mi odpowiadać na ten szczególny sposób ocalania przez oskarżanie. To tylko pewna, że kilka razy członek komisyi Cugołowski wspominał mi o wielkiem przywiązaniu do mnie Janczewskiego i nieustannych jego prośbach i staraniach, aby mój los został złagodzony. Kiedy otrzymał wiadomość o mem uwięzieniu, miał być więcej zmartwiony, niż gdy jego samego do Cytadeli przywieziono.

Czytając zeznania Janczewskiego, zobaczyłem na końcu ustęp, tyczący się zdrady Zwierzchowskiego, jak Janczewski z Ulatowskim, przekonawszy się o stosunkach Zwierzchowskiego z tajną policyą, zaczęli myśleć o ucieczce, ukrywając się po różnych domach i unikając spotkania ze Zwierzchowskim i jego przyjaciółmi; jak później, kiedy w mieszkaniu Neumana, takoż szpiega, spotkali się ze Zwierzchowskim i Ulatowski w oczy mu powiedział, iż jest zdrajcą i nikczemnikiem, on zmieszany, lecz starając się ukryć swe pomieszanie, zaręczał i zapewniał o swej niewinności i patryotyzmie; widząc jednak, iż nie bardzo już tym zapewnieniom ufają, wybiegł po policyę, zamykając drzwi na klucz, aby ofiary jego przyjaźni nie zdołały się gdzie schronić. Plan jednak nie w zupełności mu się

udał, bo Janczewski z Ulatowskim, odbiwszy drzwi czy też otworzywszy je zapomocą innego klucza, wybiegli na ulicę, starając się ukryć w jak najniedostępniejsze dzielnice miasta. Postąpiwszy zaledwie kilka kroków ku Staremu Miastu, spotkali Zwierzchowskiego w towarzystwie paru szpiegów, którzy czekali widać na przyjście pomocy policyjnej. Na szczęście uciekających zdołali wsiąść oni do dorożki i umknąć z pod oka śledących ich współbraci Zwierzchowskiego. Taki jednak był dozór ścisły i tak ich nieustannie tropiono, że nie mogli długo się ukrywać, zwłaszcza że domy krewnych i przyjaciół, jako znajome Zwierzchowskiemu, nie mogły im udzielać schronienia. Zmyliwszy na chwilę pogoń, wyskoczyli z dorożki i kołując po różnych ulicach, wpadli nad wieczorem do znajomego sobie kupca, żądając od niego przechowania na noc jedną i grożąc mu rewolwerem w razie odmowy. Przesiedziawszy tak w gorączkowej niespokojności noc całą, która im więcej, niż wiek się dłużyła, pragnęli nad ranem przenieść się w bezpieczniejsze ukrycie. Zaledwie jednak dzień się rozpoczął i sklep otwarto, gdy nieszczęśliwi zbiegowie, siedząc przyczajeni w izbie dotykającej sklepu, usłyszeli brzęk szabel i kilka głosów zapytujących: »Gdzie są ukryci emisaryusze?« Nie było już ocalenia, dom cały otoczony był policyą. Janczewski, widząc, że nic [go] już ocalić nie może, a nie chcąc oddać się w ręce policyi, wyjął przygotowaną od dawna na ten cel truciznę i zanim żandarmi weszli do pokoju, gdzie się ukrywali, wypił truciznę, oddając resztę Ulatowskiemu. W kilkanaście minut po zaaresztowaniu, kiedy ich przewieźli do Ratusza, objawiły się skutki trucizny. Wezwano natychmiast lekarzy i przy gwałtownym ratunku ledwie zdołano ocalić ich obu, mianowicie Janczewskiego, który więcej wypił trucizny. Kilkanaście jednak dni minęło, zanim zdołano do zupełnego zdrowia ich powrócić i dlatego to nie konfrontowano mnie z nimi w pierwszych dniach aresztowania.

Przeczytawszy ten ustęp ze sprawy Janczewskiego, długo nie mogłem wyjść z podziwienia, dlaczego on nie mógł znaleźć środka do uwiadomienia nas w Paryżu o tem, co się działo i przygotowywało w Warszawie. Nie miałem jednak czasu długo zastanawiać się nad tem, gdyż głównie teraz zajmowała mnie myśl, jakimby tu sposobem zobaczyć się z moimi kre-

wnymi i przez nich przyjaciół moich w Paryżu o całej tej intrydze objaśnić. Wszystko, co mogłem czynić dla rozpublikowania między więźniami o zdradzie Zwierzchowskiego, czyniłem, ale nie wiedziałem, czy moje kartki rozrzucane, gdzie tylko było można, napisy na książkach z biblioteki więziennej, jakie ołówkiem robiłem i t. p., wyszły poza obręb więzienia.

Widząc zatem, że od ukończenia śledczego protokołu zależy moje widzenie się z bratową, przez którą mógłbym ujawnić i ostrzedz emigracyę, zwłaszcza iż obawiałem się, czy czasem niezdemaskowany Zwierzchowski jeszcze nowych ofiar z Paryża nie przyciągnie, z drugiej zaś strony wszystko już o mnie było już aż nadto dobrze z zeznań innych wiadome i czy ja potwierdzałbym osobiście protokoły mnie kompromitujące, czy też takowe zaprzeczał, to to już stanu mej sprawy w niczem nie zmieniało — pośpieszyłem przeto z jak najprędszem dokończeniem mej sprawy, aby widzenie się uzyskać i jeżeli można, ostrzedz i ocalić nowe prawdopodobnie ofiary intrygi policyjnej.

Parę już miesięcy upłynęło od mego aresztowania i choć zacna i szlachetnie poczciwa bratowa moja Henryka z prawdziwie braterskiem współczuciem i poświęceniem co dzień prawie przyjeżdżała pod mury więzienia, aby się ze mną widzieć, zawsze jednak odmowną dostawała odpowiedź. Z początku ciągle upewniano ją, iż mnie niema w więzieniu, że ja najspokojniej siedzę w Paryżu, a w końcu przyznając moje zaaresztowanie, zabraniali jednak wszelkiej ze mną komunikacyi. Teraz dopiero, w trzecim coś miesiącu mego uwięzienia, wezwany zostałem do komisyi i niespodzianie obwieszczono mi, że dziś się z bratową zobaczę. Pragnąłem bardzo tego widzenia, ale i bolesne było ono dla mnie, myśląc o przykrości, jaką ona musiała doznawać w niepokoju o los mój. Kiedy zostałem wprowadzony do pokoju, ujrzałem zapłakaną dobrą moją Henrykę, witającą się serdecznie ze mną; uścisnąłem ją w milczeniu, nie mogąc znaleźć słów pod wrażeniem tej, choć upragnionej, lecz bolesnej pierwszej chwili. Razem z Henryką była i siostra Janczewskiego, przybyła dla odwiedzenia brata swojego. Widzenie to, które nie trwało więcej nad kwadrans, zaledwie wystarczało nam na kilka zapytań i odpowiedzi, zwłaszcza że porucznik Cugołowski ciągle był przy nas. Poczciwa

Henryka wypytywała się, co mi przysłać do więzienia i pocieszała pomyślnem ukończeniem mej sprawy. Nie starałem się bardzo rozwiewać tych słodkich nadziei, zauważyłem jednak, iż ciągle z pod oka spoglądała na pilnującego nas oficera z komisyi i cała jej postać wyrażała jakieś pomieszanie, jakiś niezrozumiały niepokój. Na szczęście oficer powstał z krzesła i wolnym krokiem poszedł ku drzwiom wychodowym, jak gdyby chciał wołać żandarma za jakiemś poleceniem; wówczas Henryka, rzuciwszy do koła gorączkowem okiem, wyjęła coś z chustki i szybko wsunęła mi do ręki. Poczułem na swej dłoni małą karteczkę papieru, ukryłem ją, pośpiesznie wsuwając do czapki. Spojrzałem się badawczo w stronę członka komisyi, czy nie zauważył tej niebezpiecznej kontrabandy, ale Cugołowski zdawał się być czemś innem zajęty. Zwróciłem się do Henryki: ona była cała w płomieniach i także na twarzy jej malowało się pomieszanie, jak gdyby kto złapał ją na zbrodni. Och — pomyślałem w duszy — mogą poznać po jej twarzy, po tej twarzy otwartej, niezdolnej do maskowania swych uczuć! Pomieszanie to jednak trwało zaledwie parę sekund i znów wróciła do zwykłego spokoju. Na szczęście oficer nic nie dostrzegł, lub może widząc niejaką zmianę, odniósł ją do innych powodów. Przy pożegnaniu, całując się ze mną, szepnęła mi cicho: »Przeczytaj i odpisz!« — »Dobrze« — odrzekłem ledwie dosłyszanym głosem, spoglądając na pilnującego argusa z niespokojnością, zwłaszcza że w twarzy jego zdawało mi się dostrzegać jakby cień jakiegoś ironicznego uśmiechu.

Kiedy mnie odprowadzono do więzienia, wyjąłem natychmiast karteczkę i usiadłszy tyłem do drzwi, aby żołnierz, stojący przy okienku we drzwiach, nie mógł zauważać, zacząłem czytać z niecierpliwą ciekawością. W karteczce tej pisano, abym nie upadał na duchu, gdyż przyjaciele czuwają nademną i czynią wszelkie możliwe starania, aby nas uwolnić. Zapewniano dalej, iż nie będziemy śmiercią karani, a w końcu zapytywano mnie, jak dalej rozwijać organizacyę, która mimo tak bolesnej straty, jaką w aresztowaniu nas, a szczególniej mnie poniosła, coraz to wzrasta w sile i rozszerza się na kraj cały. Zapytywano mnie również, z kim i jakiemi drogami mają dalej komunikować się z emigracyą w Paryżu, oraz, abym szczegółowo napisał, jak sprowadzać broń z zagranicy i gdzie są składy

broni, zostawionej w kraju po upadku powstania i t. p. Podpisu nie było żadnego, a tylko żądano prędkiej i szczegółowej odpowiedzi. Przeczytawszy tę kartkę, zamyśliłem się głęboko, od kogo mogłaby ta kartka pochodzić. Pismo na pierwszy rzut oka zdawało mi się zupełnie nieznane. Ktoby mógł pisać do mnie? Wszyscy moi rzeczywiści współpracownicy aresztowani; nowi, jeżeliby i mogli udawać się do mnie, to któż mi zaręczy, że nie są to albo ajenci policyjni, albo oszukani przez Zwierzchowskiego patryoci? Od zdrady Zwierzchowskiego stałem się niedowierzający i podejrzliwy do najwyższego stopnia. Wszędzie widziałem przygotowane zasadzki, wszędzie podstęp i zdradę. Tak to łatwo z jednej ostateczności wpaść w drugą. Ze zbyt dowierzającego stałem się podejrzliwym. Zacząłem rozpatrywać ostrożnie na wszystkie strony tę karteczkę, czy czasem nie dobadam się prawdy i nie odgadnę źródła tej zapiski. Porównywając w myśli pisma, zacząłem powoli znajdywać podobieństwo charakteru, jakiem ta kartka była pisana, do pisma, jakiem zawezwanie od niby Rządu do Bydgoszczy przysłano. Ręka trochę starała się zmienić — pomyślałem — ale bardzo przypomina mi to pismo Zwierzchowskiego i jego ajentów; chociaż znów z drugiej strony zbliżone było to pismo do pisma Janczewskiego. Jakkolwiek jest — pomyślałem sobie w duszy — trzeba być ostrożnym i nie dowierzać. Kto wie, czy piszący do mnie nie jest jednym z poczciwych, lecz oszukanych przez policyę patryotów? Kto wie, czy intryga i prowokacya jen.-policmajstra nie rozszerza się dalej jeszcze mimo naszego aresztowania? Pocóż nowe jeszcze ofiary oddawać na łup szpiegów? Tak jest — rzekłem do siebie — od kogobądź jest ta kartka, obowiązkiem moim jest ostrzedz ich i odkryć całą prawdę.

Nie namyślając się już dłużej, wyjąwszy ukryty przed komisyą kawałeczek papieru, napisałem, o ile mogłem, najściślej, korzystając, żem dla dokończenia, czyli raczej poprawienia protokółu miał pozostawiony atrament i pióro od komisyi. W karteczce mojej napisałem pokrótce całą zdradę Zwierzchowskiego, całą intrygę policyi i jakim sposobem nas sprowadzono, zaklinając, jeżeli słowa moje mają u nich jaką wagę, aby zaniechali dalszej konspiracyi, której kraj nie pragnie i która będzie tylko środkiem i powodem nowego ciemiężenia już i tak

nieszczęśliwej Polski. Przekładałem, aby już nie czyniono więcej krwawych ofiar; niech już my będziemy ostatniemi, jeżeli tak się Bogu dla nauki drugich naznaczyć podobało. Prosiłem, aby wiadomość o naszej sprawie rozpublikowano w gazetach, przypuszczając, iż opinia ogólna powstanie w liberalnej przynajmniej prasie na tak niegodny podstęp policyi; a może, kiedy wieść o tej prowokacyi dojdzie do najwyższych władz rosyjskich, los nasz zostanie słusznie złagodzony. W każdym jednak razie żądałem zawiadomienia emigracyi, aby już nikt przynajmniej więcej nie dał się uwikłać w sidła policyi.

Skończywszy pisanie, uspokoiłem się trochę myślą, że przynajmniej prawdziwych przyjaciół ostrzegę, a zarazem i uwiadomię o naszej sprawie. Jeżeliby zaś ta kartka wpadła w ręce policyi, to wszystko, co w niej było napisane, gotów byłem zawsze otwarcie przy całej komisyi w oczy im wypowiedzieć. Nie mogłem sobie jednak wytłómaczyć, jakim sposobem Henryka mogła tę kartkę otrzymać i od kogo ona była przysłana. Naturalnie, że ani na jedną chwilę nie wątpiłem przy całej wytworzonej we mnie chwilowo podejrzliwości o przywiązaniu do mnie Henryki i o tem, że kartka przez jakąś dobrze znajomą osobę musiała być jej powierzona.

W kilka dni otrzymałem pozwolenie powtórnego widzenia się z Henryką. Nie potrzebuję wspominać, z jaką niecierpliwością szedłem przez korytarze, ściskając w ręku moją kartkę, moją odpowiedź. Po zwykłych przywitaniach i rozmowach z obu paniami, gdyż z Henryką była znowu siostra Janczewskiego, czekałem tylko sposobnej chwili do wsunięcia Henryce mej kartki, gdyż przy witaniu nie mogłem tego jakoś uczynić. Na szczęście porucznika Cugołowskiego wywołał żandarm do drzwi i ja mogłem niespostrzeżenie podać jej kartkę, szepnąwszy: »Przeczytaj sama i spal!«. Henryka zasunęła prędziutko za rękawiczkę zwinięty w kilkoro papier; lecz i tą razą nie obeszło się bez silnego rumieńca i dość znacznego, choć niedługo trwającego zmieszania. Kiedy porucznik Cugołowski odwrócił się, wszystko już było skończone, lecz zdawało mi się z niemałą obawą i biciem serca, iż jak gdyby dziwnie jakoś spojrzał na moją bratowę i takoż lekko się zaczerwienił. Czy co podejrzywał? Czy myślał, żeśmy coś do siebie szepnęli tajemnie, co tam surowo jest wzbronione? Widząc, że nie robi

nam żadnych uwag i zasiada spokojnie przy swym stoliku, odetchnąłem swobodniej. Przy pożegnaniu się szepnąłem znów Henryce: »Przeczytaj sama, sama i spal!« i powróciłem, odprowadzony, jak zwykle, do swego więzienia.

Z gorączkową niespokojnością liczyłem sekundy i minuty, które według mego przypuszczenia potrzebne były dla wydostania się Henryki z komisyi na ulicę i uniknienia niebezpieczeństwa, jakieby ze złapania kartki mej wyniknąć mogło. Pół godziny już minęło od pożegnania się z Henryką i jeżeliby robili koło niej rewizyę, to już od dawna byłbym napastowany przez komisyę, jużby i przy mnie robiono rewizyę przy wielkich krzykach i hałasach na tak niesłychany występek. Henryka dawno już w domu i w tej chwili czyta moją kartkę — szepnąłem sobie, uspokojony temi myślami. Nie przeszło jednak i kilka minut, kiedy usłyszałem głośne stąpania po korytarzu, jakieś głosy przyśpieszone, a wkrótce zabrzęczały zasuwy i zamki i drzwi mej celi otworzyły się z łoskotem.

— *W komisyu!* — zawołał jakimś surowym głosem żandarm, brzęcząc swą długą szablą.

— Co to jest? Czyżby Henrykę złapali? Prawie godzina upływa, jak z nią się rozstałem; nie może być, to coś innego — pocieszałem się w duchu, ale niepokój i ciężkie przeczucia coraz bardziej mnie ogarniały. Żal mi głównie było Henryki, którą na pewno zaaresztują i narażą na wiele ciężkich, szczególniej dla kobiety, przykrości więziennych. A może smutne przeczucia moje zostaną tylko przeczuciami — pomyślałem, biorąc za klamkę drzwi, prowadzących do komisyi. Dość jednak było spojrzeć na nasrożone z teatralną gwałtownością twarze członków komisyi, aby się przekonać, że przeczucia moje, niestety, sprawdziły się jak najkompletniej.

— To Pan tak postępujesz z nami? — zawołał zaraz na wstępie jeden z mych sędziów — My Pana łagodnie traktujemy jako porządnego człowieka, delikatnie obchodzim się z Panem, choć Pan tu jesteś naszym więźniem, pozwalamy widzenie z bratową, a Pan tymczasem oszukujesz nas, podajesz Pan tajemnie kartki, nadużywając naszego zaufania!

— Jaka kartka? — przerwałem wzburzonym głosem, udając nieszczere zadziwienie.

— Jak to, Pan się jeszcze śmiesz zapierać, kiedyśmy przy bratowej Pańskiej znaleźli własnoręczną zapiskę?

Nie podobna było nic mi już na to odpowiedzieć, jak tylko przyznać się.

— Tak jest — rzekłem — pisałem kartkę, ale dlatego tylko, aby odciągnąć od dalszej niepotrzebnej konspiracyi, od zgubnych spisków i ostrzedz tych zapaleńców, którzy do mnie pisali.

— Kto do Pana pisał?

— Nie wiem tego, gdyż nie było podpisu, a pismo zupełnie mi nieznajome.

— O, my dowiemy się, od kogo była ta kartka i czy tak odpisałeś Pan, jak nam tu mówisz.

— Przecież macie Panowie w swych rękach moją kartkę i sami możecie się o prawdzie słów moich przekonać.

— My... to jest... nie mamy w rękach Pańskiej kartki — odpowiedział, jąkając się troszkę zmieszany członek komisyi — bo bratowa Pańska porwała na kawałeczki karteczkę i spaliła ją. — Żandarm nie zdołał jej pochwycić — dodał jakby w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie, spuściwszy jednak oczy.

Nie miałem jednak czasu na domysły, bo znów zaczęto krzyczeć, wypytywać się o pierwszą kartkę; a gdy oświadczyłem, iż ją zaraz po przeczytaniu spaliłem, rozpoczęto ścisłą koło mnie rewizyę. Podczas gdy dwaj żandarmi rozbierali mnie, przetrząsając najszczegółowiej odzienie, członek komisyi, Cugołowski, rozwodził się tymczasem nad mym postępkiem i zawiedzeniem zaufania, grożąc mi:

— Pan bardzo pogorszyłeś sobie już i tak niedobrą swą sprawę; my musimy wpisać do protokółu całą tę aferę i przedstawić namiestnikowi, co go jeszcze gorzej do Pana uprzedzi; a jeżeli Pańska bratowa będzie się upierać i nie powie, od kogo ma kartkę, to nie tylko ją, ale i ojca Pańskiego i braci i całą familię uwięzimy.

— Za cóż mego ojca i braci macie Panowie karać, kiedy ja tylko winien jestem? — zawołałem, przejęty do głębi nad przykrościami, jakie z mego powodu inni mieli ponosić.

— Musi być związek między wszystkimi Pana krewnymi;

a zresztą na ojca są inne podejrzenia — dodał rozirytowany inkwirent.

Rewizya mojej osoby i moich rzeczy zbliżała się do końca i ja z obawą wspomniałem, że w bocznej kieszeni kamizelki mam kilka pojedynczych rubli z owych 10-iu, które mi na wypadek ucieczki przesłała tajemnym, wiadomym sposobem p. Marya C., reszta zaś tych rublówek ukryta była w kołnierzu, za rękawami i w różnych innych miejscach mego tużurka.

Rewizya przerwana została na chwilę wejściem prezesa komisyi, który nad spodziewanie moje w dość spokojny, niewłaściwy mu w takich razach sposób z zwróconemi w ziemię, jak zwykle, oczami wypowiedział mi naganę i nadmieniwszy, jak sobie takiem postępowaniem szkodzę, wyszedł śpiesznie.

Po wyjściu prezesa prowadzona dalej rewizya wynalazła kilka źle ukrytych rublówek. Znowu hałas i nowe pytania, skąd te pieniądze, jakim sposobem, kto mi je przyniósł i t. p. Odpowiedziałem, że miałem je zaszyte w poduszce, ściągając tem burzę na głowę inspektora więzienia za złą rewizyę.

— Czy nie masz Pan więcej pieniędzy ukrytych? — zapytano, przetrząsnąwszy całe odzienie — Daj nam Pan słowo honoru.

— Mam jeszcze — odrzekłem, pragnąc przyznaniem się i mą otwartością choć w części uśmierzyć gniew komisyi i wstrzymać ich zamiary aresztowania ojca i braci, i nie chcąc łamać słowa, zacząłem wyjmować z ukrycia bilety bankowe.

Czyn ten mój tak niezwykłej otwartości wyszedł mi rzeczywiście na dobre, gdyż zawierzono mi już na słowo i obiecano Henrykę i ojca wypuścić, a braci wcale nie aresztować.

— Czemu Pan odrazu otwarcie z nami nie postępujesz? — zawołali udobruchani członkowie komisyi — Gdybyś Pan odrazu otwarcie z nami postąpił i kartkę pokazał, tobyśmy, zwłaszcza jeżeli ona takiej treści, jak Pan mówisz, sami pozwolili ją odnieść.

Niezbyt, co prawda, ufałem tym słowom; ale ucieszyłem się choć nadzieją, że nie będą tej sprawy bardzo na seryo traktować.

Gdy mnie odprowadzono do mej celi, rzuciłem się, zmordowany tylu przejściami, na tapczan, poddając się ciężkim myślom nad tem nowem, mało spodziewanem nieszczęściem. Co tam porabia Henryka? Co ojciec i ci, co kartkę ową przysłali? Jak to się skończy i czemuż na mą głowę coraz to nowe ciosy spadają?

Na drugi dzień raniutko przyzwano mnie do komisyi i oświadczono, iż bratowa moja nie chce powiedzieć, od kogo miała kartkę, a nawet nie przyznaje się, że kartkę tę odemnie dostała. Zaledwie memi żądaniami na piśmie i upewnieniami, że mnie tem pomoże, przyznała się do kartki i do jej treści. Porównawszy moje zeznanie z zeznaniem Henryki, przekonano się nareszcie, że prawdę mówiłem i że kartka moja była napisana tylko w celu wstrzymania nieszczęsnej konspiracyi, jeżeli takowa w rzeczywistości istnieć miała.

Bardzo przykry był dla mnie widok Henryki, gdy ją po nocy przepędzonej w więzieniu przyprowadzono dla naocznej ze mną konfrontacyi. Blada z bezsenności i z oczami we łzach, patrzała na mnie, czy rzeczywiście wyznanie prawdy pomódz mi może. Osobiste dopiero moje żądanie i upewnienie skłoniło ją do przyznania. Komisya wypełniła obietnicę i natychmiast ojca i Henrykę wypuściła z więzienia; z ojcem nawet się nie widziałem.

Przez kilka tygodni wzbronione mi były wszelkie widzenia z Henryką, aż później dopiero gniew ostygł i poczciwa i dobra Henryka co tydzień przybiegała znów do więzienia, pocieszając mnie swym widokiem i rozmową i przynosząc różne łakocie i zapasy dla skrócenia męczącej samotności.

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia całej tej afery, zacząłem rozmyślać, jakim sposobem mogli o tej kartce się dowiedzieć, kiedy Henryka przy mnie ją za rękawiczkę chowała, i jak mogła ją ona spalić na korytarzu podczas rewizyi, kiedy w dzień na korytarzach nigdy ognia nie palono. W parę miesięcy później dopiero, kiedyśmy przy widzeniu wypadkiem na kilka minut sam na sam z Henryką się zostali, dowiedziałem się całej prawdy. Oto, jak się cała ta rzecz miała. Kiedy Henryce po dwumiesięcznych staraniach pozwolono nareszcie widzieć się po raz pierwszy ze mną, spotkała się ona, idąc do komisyi, z siostrą Janczewskiego, z którą znała się z widze-

nia, spotykając często przed więzieniem, gdzie obie panie tak długo napróżno na pozwolenie zobaczenia się z nami czekały. Siostra Janczewskiego, odprowadziwszy Henrykę na stronę, oświadczyła jej pod wielkim sekretem, że ma do mnie karteczkę od mych przyjaciół w Warszawie, którą koniecznie trzeba jakimkolwiek sposobem mnie doręczyć; w tej bowiem kartce ostrzegają mnie, jak się mam tłómaczyć, co mówić na różne zapytania komisyi i t. p., co wszystko jest niezbędne dla wyplątania się mego z różnych oskarżeń. Henryka naturalnie wzięła karteczkę i nie zdołała rzucić nawet na nią okiem, jak zawołali obie panie do widzenia się ze mną. Doręczywszy mi kartkę, o treści której nie mogła nawet wiedzieć, otrzymała później, jak już wiadomo, przy drugiem widzeniu odemnie odpowiedź, którą poleciłem jej samej przeczytać i spalić. Wyszedłszy z komisyi z ukrytą pod rękawiczką kartką, nie była wcale rewidowana ani przez nikogo zatrzymywana. Na ulicy w dość już znacznem oddaleniu od więzienia, przybliżył się jakiś nieznajomy, ukrywając twarz swoją pod kołnierzem płaszcza, i zatrzymawszy się przed obiema paniami, szepnął do siostry Janczewskiego:

— Proszę mi oddać kartkę!

— Ja nie mam kartki; to pani Daniłowska ją odebrała — odrzekła p. Janczewska.

Wówczas ten nieznajomy zwrócił się z temże żądaniem do Henryki. Ale Henryka, pomna słów moich, odpowiedziała, iż kartki nie odda, bo jej nie ma.

— Jakto nie? Wszak Pani otrzymała od brata kartkę, która nam koniecznie jest potrzebną. Proszę o nią! — zawołał natarczywie nieznajomy.

— Ja żadnej kartki od brata nie otrzymałam, a Pana nie znam, coś za jeden — i oddaliwszy się szybko od niego, wskoczyła w dorożkę i pojechała do domu.

Nieznajomy ów szpieg, gdyż cała ta historya z kartką ułożona była przez komisyę, pozostawszy tak zawiedzionym w swych planach, pobiegł do komisyi opowiedzieć o swym zawodzie. Komisya, która wcale nie spodziewała się takiego obrotu rzeczy, nie wiedziała, co z początku robić. Henrykę gonić było już za późno: żeby jednak zrzucić z siebie podejrze-

nie tego podstępu, posłali po mnie, udając wielką zgrozę i napadając na mnie o kartkę, jakoby przy Henryce znalezioną, gdy tymczasem Henryka w owej chwili siedziała jak najspokojniej w domu, rozczytując się w mej odpowiedzi i nie wiedząc, jaka intryga podstępna wisiała nad naszą głową.

Teraz to dopiero zrozumiałem te niepewne odpowiedzi, jakim sposobem złapali Henrykę, jak ona niby upuściła kartkę, i kiedy żandarm spostrzegł, to ona spaliła ją w jego oczach i t. p. kłamstwa, jakiemi się w tym razie posługiwali członkowie komisyi. Obrewidowawszy mnie i nic nie znalazłszy, a nie dowierzając, abym ja w tej kartce to tylko pisał, do czego im się, myśląc, że rzeczywiście kartkę złapali, przyznałem, postanowili aresztować Henrykę, myśląc, że kartkę w domu jej odnajdą.

Drugim też powodem aresztacyi Henryki było zachowanie pozoru, iż niby cała ta historya wcale nie była przez komisyę ułożona dla wyciągnięcia podstępem ze mnie sekretów konspiracyjnych. Dopiero o godzinie 10-ej w nocy posłano oficera z policyą dla zaaresztowania Henryki, a zatem w kilkanaście godzin po zrobionej u mnie rewizyi, chociaż przedemną kłamano, iż Henryka dawno już siedzi, gdyż przy wyjściu z komisyi złapano przy niej kartkę i natychmiast zaaresztowano. Dlaczego zaś ojca aresztowano, to już tego odgadnąć nie mogłem; chyba ze złości, że cała ta podstępna intryga tak wprost przeciwny miała skutek, bo nietylko wiadomości żądanych odemnie w tej kartce nie otrzymali, ale jeszcze dali mi sposobność całą zdradę Zwierzchowskiego ze współudziałem policyi ujawnić.

Muszę jednak przyznać, że od tej chwili komisya, czy to powodowana rozkazem z góry, czy sama z siebie, postępowała ze mną w jak najdelikatniejszy sposób. Widocznem nawet było, w niektórych przynajmniej członkach, chęć przedstawienia komisyi z jak najlepszej strony. Rozwodzono się nad osławieniem komisyi śledczej w gazetach za jej niby nieludzkie postępowanie, za jej niesprawiedliwość, męczenie więźniów i t. p., co wszystko było złośliwym wymysłem nieprzyjaznych rządowi ludzi.

— Sam Pan najlepiej przekonywasz się, o ile te pogłoski

są wymyślone — dodawano — wszak widzisz Pan, jak się łagodnie z Panem obchodzą.

Nie mogłem naturalnie wprost im zaprzeczać, ale też i nie mogłem wstrzymać się od wspomnienia kilku znanych faktów, gdzie nie przyznających się więźniów bito rózgami. Odpowiedziano mi, że to bez wiedzy komisyi się stało, lecz obecnie żadne podobne fakta miejsca już nie mają i t. p.

XXXVI.

Samotność więzienna. — Dwoje oczu w okienku. — Towarzystwo. — Przewiezienie do Cytadeli. — Sąsiedztwo Majewskiego. — Widoki łagodnej kary. — Spotkanie z Zwierzchowskim. — Wywiezienie Majewskiego i Awejdego. — Nowi towarzysze. — Znowu samotność. — Niecierpliwe oczekiwanie. — Wyrok. — Pożegnanie z rodziną. — Podróż przez Petersburg do Moskwy, Nowogrodu i Kazania. — Spotkanie z Ulatowskim i wspólna podróż. — Syberya.

Życie moje więzienne płynęło odtąd jednostajnym swym biegiem, na pozór spokojnie, ale wewnątrz mej duszy huczały burze rozpaczy i zwątpienia, przeplatane trwożną niespokojnością o los mój przyszły. Zapewnieniom, iż wyrok śmierci złagodzony zostanie zesłaniem na Sybir do ciężkich robót, nie bardzo dowierzałem, chociaż w komisyi utrzymywałem z jak największem przekonaniem, że nas nawet pod sąd oddawać nie powinni, a tylko odesłać napowrót za granicę. Najbardziej dokuczała mi samotność: całe dnie, całe miesiące przesiedzieć zamknięty w ciasnej celi, której okno okratowane umieszczono tak wysoko, że prócz kawałka nieba nic więcej widzieć nie można, do nikogo słówka przemówić, nie widzieć przyjaznej twarzy, tylko otwierającego drzwi żandarma, lub milczącego sołdata, który mi obiad przynosił! Jedyną rozmaitością, jedyną prawdziwą przyjemnością było raz na tydzień przyjście Henryki, z którą przez kilkanaście minut mogłem, choć w obecności oficera, porozmawiać. Książek z początku nie miałem żadnych, tak że dzień cały pozostawiony byłem na pastwę myślom, które wcale wesołemi nie były. Później dano mi książki z biblioteki więziennej; ale że ja na nich ponapisywałem o zdradzie Zwierzchowskiego, aby mych współtowarzyszów o niej zawiadomić, wzbroniono mi więc i tej rozrywki. Wzbronienie to jednak nie było długiem, bo prezes komisyi wbrew innym

członkom, którzy z tego chcieli, jak zwykle, zrobić występek stanu, zwłaszcza że książki te przez kilka miesięcy krążyły z mymi napisami między więźniami, pozwolił mi czytać z warunkiem, aby mi książki z miasta Henryka przynosiła, na czem naturalnie wygrałem jeszcze. Mimo próśb moich, aby ze mną kogo drugiego postawiono, gdyż samotność taka ciężyła mi już do nie zniesienia, nie chciano się na to zgodzić, mówiąc, iż to nie od nich, lecz od namiestnika zależy, że jednak zrobią o tem przedstawienie do hr. namiestnika i zapewno pozwolą mię z kim drugim postawić. Obietnice te jednak spełzły na niczem, chociaż była chwila, gdzie już cieszyłem się nadzieją, że pozwolą ze mną zamknąć Karola Majewskiego, mego kolegę akademickiego, którego z Rosyi napowrót do śledztwa powołali.

Dziesiąty[1] miesiąc już upływał, jak mnie w samotnej celi zamknięto; przywykałem już do swego losu o tyle, o ile więzień przywyknąć może. Nie mogłem tylko jeszcze znosić spokojnie tego nieustannego wzroku tych dwóch zwierzęcych oczu, patrzących bez przerwy na mnie przez okienko, we drzwiach uczynione. Te oczy, ścigające mnie ciągle, badające każdy ruch mój, wprawiały mnie często w jakiś nerwowy niepokój, w jakąś irytacyę niewytłómaczoną a przykrą. Odwracałem się tyłem do drzwi, latałem w około pokoju, rzucałem się na tapczan, zmęczony, i zawsze i wiecznie, nawet w nocy czułem na sobie to głupie bez wyrazu spojrzenie, ciążące nademną swoją niezmordowaną uwagą, swoją niewolniczą badawczością. Tylko kiedy przychodziłem do okienka i oko w oko patrząc się temu niewidzialnemu opiekunowi, wtedy zmuszałem go usuwać się na chwilę i znikać, lecz nie na długo. Przechodząc korytarze więzienne, gdy mnie na spacer prowadzono, widziałem, iż nigdzie przy żadnych drzwiach nie było tej oddzielnej straży, jak tylko przy moich. Widać — pomyślałem — ci tylko, co mają być na śmierć skazani, są tak dokuczliwie strzeżeni. Prosiłem komisyi, ażeby, jeżeli można, zabrano tę straż, która mnie do jakiej choroby umysłowej przy moim rozdrażnionym

[1] Mała niedokładność; był to w rzeczywistości ósmy dopiero miesiąc, gdyż Daniłowski został aresztowany w końcu marca 1865 r. (o czem doniosła augsburska »Allgemeine Zeitung« pod dniem 29 marca, a »Czas« d. 5 kwietnia t. r. Nr. 78), przewieziony zaś do Cytadeli w początkach listopada, jak czytamy na str. 483 *(P. w.)*.

charakterze doprowadzić może. Obiecano wypełnić moją prośbę. I rzeczywiście w kilka dni nie widziałem już tych oczu, okienko było zamknięte i tylko od czasu do czasu słychać było lekki szelest za drzwiami. »Zapewne kroki dyżurnego« — pomyślałem. Co mnie jednak dziwiło, to to, że jak tylko odwróciłem się ode drzwi, albo czasem stanąłem przy oknie, okienko w drzwiach uchylało się ostrożnie, zostawiając maleńką szparkę. Co to jest? Czyżby mnie pilnowano znowu, tylko tajemnie, tak, abym widzieć tego nie mógł? Trzeba to sprawdzić — pomyślałem i wziąwszy lusterko, usiadłem przy stoliku, nibyto czesząc się, a tak je nakierowawszy, że się w niem drzwi z okienkiem jak najdokładniej odbijały. Zaledwie odwróciłem się tyłem, ujrzałem w lusterku, jak okienko powoli się odchyla i dwoje oczu patrzy na mnie. Odwróciłem się: okienko szybko zasunięto, jak gdyby nigdy nic nie było. Ja znów do lusterka i patrzę: okienko znowu się odsuwa. Robiłem tę próbę kilka razy i przekonałem się, niestety, że mnie wciąż pilnują. Nie mogąc wytrzymać dłużej, rzuciłem się do drzwi, krzycząc: »Nie chowaj się ty, co tam patrzysz! Ja wiem, że tam jesteś, czuję cię« — i zacząłem bić do drzwi w jakiejś nerwowej irytacyi, wołając, aby otworzyli. Przybiegł dyżurny z zapytaniem, czego żądam.

— Dlaczego tu stoi ten przy drzwiach i ciągle patrzy, kiedy komisya zapewniła mnie, iż wydano rozkaz, aby go tu już nie było?

— Tu nikogo niema; co Panu się zdaje?

— Jakto nie? Przecież widziałem!

— Nie. Pan, niema; nikt nie stoi — gadał łamaną polszczyzną *czasowy*[1].

Trudno go było przekonywać; a gdy się później komisyi skarżyłem, oświadczyli takoż, iż mnie się to chyba zdaje, bo *czasowy* już usunięty. Ja jednak dobrze wiedziałem, iż go wcale nie usuwano, a tylko nakazano ostrożność w patrzeniu. Widząc, iż prośba moja nie będzie wysłuchaną, musiałem pogodzić się z swym losem.

Dziesięć miesięcy siedząc samotnie, zapytywałem siebie: »Kiedyż to wszystko i jak się zakończy?« licząc godziny i dnie, które tak powolnie upływały. Zaszła nareszcie i w moim losie

[1] T. j. żołnierz, stojący na straży. *(P. w.)*

wielka przemiana. W początkach listopada zawezwano mnie bardzo rano do inspektora więzienia i oddawszy rzeczy, pod spisem zostawione, oświadczono, iż nakoniec otrzymam towarzysza więzienia w osobie Oskara Awejdego. Towarzystwo to jednak miało się rozpocząć dopiero w Cytadeli, gdzie nas za parę godzin miano przewieźć. Około 9-ej z rana tegoż dnia wsadzono mnie z Awejdem i dwoma nieznajomymi towarzyszami do zamkniętej ze wszystkich stron powózki i otoczywszy kozakami i wojskiem, powieziono do Cytadeli. Patrzałem ze smutkiem przez okienko naszego ekwipażu na małe i prawie bezludne uliczki miasta, jakiemi nas wieziono, do nowego więzienia.

Cytadela, w której nam honory gospodarza robił znany powszechnie Morok Żuczkowski, wydała mi się nader przyjemnem miejscem, bo miałem już towarzysza, z którym przynajmniej otwarcie przemówić mogłem. Przez kilka dni dzień i noc prawie trawiliśmy na rozmowach, zwłaszcza że on już trzeci rok samotnie był zamknięty. Pokoik nasz w X. pawilonie był maleńki. Dwa łóżka, stolik i stołek składały całe jego umeblowanie, ale za to byliśmy już nie sami, mogłem już mówić i odbierać odpowiedzi. Przy okienku we drzwiach nikt takoż nie stał już oddzielnie, dyżurny tylko od czasu do czasu, jak i do wszystkich, zaglądał. Porządek zaś więzienny był tu jednakowy, bo tamto więzienie zupełnie na wzór Cytadeli urządzono. Obok nas umieszczono Karola Majewskiego, z którym co dzień po kilka godzin rozmawialiśmy przez pukanie, a później wypadkiem odkryliśmy wybitą delikatnie dziurę w ścianie za łóżkiem przy podłodze, przez którą przy pomocy rury z papieru wygodnie można było rozmawiać. Dla ostrożności zawsze podczas rozmowy jeden z nas stawał przy okienku, w drzwiach umieszczonem, aby dyżurny na tej rozmowie nas nie spostrzegł. Bardzo często dyżurny odsuwał okienko podczas samej rozmowy, lecz nic widzieć nie mógł, bo mu głowa jednego z nas okienko zakrywała, a zanim zawezwał żołnierza, bez którego otwierać nie mógł, i wszystkie rygle odsunął, to już u nas wszystko było w porządku i na miejscu. Tak samo urządzaliśmy się, gdyśmy chcieli przez okna matowe na podwórze wyglądać dla zobaczenia którego ze spacerujących więźni. Tylko ostatnie szyby były nie matowe, lecz przezroczyste, ale zato tak sztucznie zakryte wystającymi trójkątami z blachy, że tylko przez

wywiercone dziurki, stojąc na stoliku, można było spacerujących zobaczyć.

Rok cały[1], a nawet dłużej przesiedziałem w Cytadeli, mając za całą rozmaitość naoczne konfrontacye z Janczewskim, który co chwila coś nowego sobie przypominał i do mnie po potwierdzenie się odnosił. Widzenia z Henryką i rozmowy z Majewskim przez ścianę (o Awejdem już nie wspominam) były jedynie jasnymi dniami w tych bolesnych miesiącach mojego życia. Pierwsza jednak wizyta Henryki z bratem bardzo była przykra; postawiono bowiem mnie w pokoju, który na połowę przedzielony był bardzo gęstą kratą, i tak przez kratę musieliśmy z sobą rozmawiać; później jednak zrobiono nam niejaką ulgę. Co dzień prawie dopytywałem się komisyi, kiedy nareszcie zrobią koniec naszej sprawie, bo to dwuletnie już prawie siedzenie[2] zupełnie wyczerpało siły moje i moją cierpliwość. Z całego ich postępowania widziałem, że nie będziemy surowo sądzeni, a nawet że zupełnie pod sąd nas nie oddadzą, ale to przewłóczenie w rozpacz mnie wprawiało.

Wytłómaczenie tej zmiany w postępowaniu komisyi otrzymałem dopiero od Ulatowskiego, z którym się na parochodzie, z Niżnego Nowogrodu do Kazania idącym, spotkałem. Opowiedział on mi, iż ojciec jego, będący plenipotentem jakiegoś jenerała (nazwiska jenerała przypomnieć sobie nie mogę), mającego liczne stosunki, otrzymał od niego upewnienie, iż z nami łagodnie postąpią, ponieważ rzecz cała tej intrygi policyjnej doszła aż do cesarza. Kiedy cesarz przejeżdżał przez Wierzbołowo, udając się na pogrzeb następcy tronu za granicę, wówczas nieprzyjazne namiestnikowi Królestwa osoby miały jakoby opowiedzieć, iż w Polsce dawno byłoby zupełnie spokojnie, gdyby policya sama nie robiła fałszywych spisków i prowokacyi. Cesarz miał się za widzeniem zapytać namiestnika, o ile prawdziwemi są te pogłoski, do uszu jego doszłe; a gdy namiestnik zaprzeczyć ich nie mógł, mówiąc, że to było konieczne dla ukrócenia wybryków emigracyi i ostatecznego wytępienia niespokojnych umysłów, wówczas cesarz miał okazać

[1] Raczej: niespełna rok, t. j. od piewszych dni listopada (str. 483) 1865 do niedzieli 21, października 1866 r. (str. 489—491) (*P. w.*).

[2] Do dwóch lat brakowało jednak blizko 5 miesięcy. Por. przypisek poprzedni i na str. 482. (*P. w.*).

swoje niezadowolenie i nadmienił, iż nie życzy sobie, aby drugi raz podobne fakta miały miejsce, a co do sprowadzonych z za granicy osób nakazał łagodne postąpienie i jak najcichsze zakończenie tej sprawy. Dla tego to nas i nie sądzono i tak niesurowo karano.

Rozmowy moje z Awejdem i Majewskim wyczerpywały się, książki nużyły ciągłem czytaniem i siły opuszczały. Podtrzymywał nas trochę spacer, któryśmy z rozkazu doktora co drugi dzień odbywali. Raz, pamiętam, w południe spacerując po malutkiej alei na podwórcu więziennym pod strażą żołnierzy, usłyszałem otwierające się drzwi wchodowe; odwróciwszy głowę, ujrzałem ze zdziwieniem, które się nagle zamieniło w oburzenie i pogardę, wchodzącego Aleksandra Zwierzchowskiego. Na widok tego zdrajcy zawrzało mi coś w piersiach, dreszcz zgrozy przebiegł mnie, patrząc, jak on, swobodny, z papierami jakimiś w ręce, zapewne z raportami o nowych szpiegostwach, szedł do komisyi.

— Patrz, patrz, Awejde! — zawołałem, pokazując mu ręką — Oto ten zdrajca Zwierzchowski.

Zwierzchowski za daleko był i nie wiem, czy słowa te słyszał; lecz wypadkiem oczy jego pobiegły w moją stronę: zatrzymał się na chwilę i zbladł cały, jak ściana, gdy mnie ujrzał, a po chwili spuściwszy w ziemię swe nikczemne oczy, pobiegł na górę do komisyi. Kiedy w parę minut powracał i zobaczył, że my jeszcze jesteśmy na podwórzu, cofnął się w korytarz i na jego widać prośbę wyprowadzono nas z podwórza, zamknięto na chwilę do jakiegoś pokoju i dopiero wyprowadzono, gdy już ten zdrajca był poza bramą. Lękał się jeszcze raz spotkać ze spojrzeniem swego przyjaciela, którego tak podle zaprzedał. Czyżby jeszcze miał sumienie? — pomyślałem, gdy nas znowu na spacer wyprowadzono.

Druga wiosna, drugie lato i druga jesień już nastała, jak siedziałem w więzieniu, a nic nie zapowiadało, że się to już ku jakiemuś końcowi zabiera. Pierwszym faktem, który jednak zrodził we mnie nadzieję, że moje zamknięcie się skończy, było wywiezienie Majewskiego Karola. Niespodzianie i nagle coś w końcu września zapukał: »Dziś mnie wywożą do Rosyi, bo familia przysłała mi ciepłe rzeczy na drogę«. I rzeczywiście usłyszeliśmy wieczorem hałas w jego celi, a za chwilę ujrzeli

i jego idącego przez dziedziniec z rzeczami, które za nim żandarm dźwigał. Wywieziono go, jak się później dowiedziałem, do Wiatki.

Zazdrościłem mu z całego serca, bo już jego niespokojności się skończyły; opuszczał męczącą Cytadelę i choć jechał na wygnanie, ale przynajmniej pozbył się krat, rygli, straży, i gorączkowego oczekiwania.

— Kiedy to na nas kolej — mówiłem do Awejdego — i gdzie nam naznaczą miejsce pobytu? Wątpię, żeby co do mnie, skończyło się to Rosyą; w najlepszym nawet razie Sybir mnie oczekuje, ale z radościąbym tam pojechał, byle stąd się wyrwać i byle skończył się ten dręczący niepokój: »Co to się ze mną stanie?«

Bezustanne zapytywania komisyi, kiedy nas wywiozą, do niczego nie doprowadziły, bo tam o najmniejszej rzeczy taką zachowują tajemnicę, jak gdyby o sprawy stanu chodziło.

W miesiąc coś po wywiezieniu K. Majewskiego, kiedyśmy, siedząc na łóżku z Awejdem, rozprawiali, iż pewno zimę może przyjdzie nam tu jeszcze przepędzić, wszedł żandarm, wzywający Awejdego do komisyi.

— Po cię wzywali? — zapytałem, gdy powrócił.

— Po dobrą nowinę, bo prezydujący pozwolił nam w dzień po 15 minut spacerować z powodu naszego osłabionego zdrowia; napisał nawet karteczkę do dyżurnego oficera, aby o tem pozwoleniu nie zapomniano — rzekł Awejde, pokazując mi piśmienne pozwolenie.

— Dobra to nowina z jednej strony, ale z drugiej znów widać, że nas nie prędko będą wywozić, kiedy tak o zdrowie nasze się troszczą.

Rozprawiając tak z sobą, oczekiwaliśmy niecierpliwie godziny spacerowej, przygotowując chleb dla gołębi, które co dzień podczas przechadzki obficieśmy karmili. Około 6-ej wieczorem usłyszeliśmy zatrzymujące się kroki koło drzwi naszych, a wkrótce zaczęto rygle odsuwać.

— Ot, będziemy mieli i spacer nareszcie — rzekłem, biorąc się za czapkę.

Z zadziwieniem jednak usłyszeliśmy słowa wchodzącego żandarma, który wzywał Awejdego, aby z wszystkiemi swojemi rzeczami zabierał się do komisyi.

— Na cóż z rzeczami? — zapytał zaniepokojony Awejde.

— Ja nic nie wiem, tak mi kazano.

— Kto tak kazał? Przecież komisya już wyszła z Cytadeli.

— Oficer dyżurny tak kazał.

— Czy mnie będą wywozić?

— Nic nie wiem; niech Pan się prędko pakuje, bo *wieleno* zaraz prowadzić — i rzekłszy to, wyszedł i drzwi zamknął za sobą.

— Co to jest, co się to znaczy? — zapytał, zwracając się do mnie Awejde.

— A cóż ma się znaczyć? Pewno cię wywiozą.

— Ależ byliby mi coś powiedzieli, wszak przed paru godzinami byłem w komisyi i najmniejszej nawet wzmianki nie robiono, abym ja miał dziś być wywieziony, i przecież dali nam pozwolenie na spacer codzienny.

— Widać dlatego, że wiedziano, iż go już nie będziesz potrzebował.

Awejde, robiąc różne przypuszczenia, sądził, że go może do ogólnej sali przeprowadzają, lub może nawet wypuszczają na wolność, bo wywiezienia bez zawiadomienia, bez pieniędzy i ubrania ciepłego ani przypuszczał. Rozmowę naszą przerwał wchodzący znów żandarm, a za chwilę żegnałem się z Awejdem, który zostawił umyślnie parę swych książek u mnie na znak: jeżeli przyszle po nie, to jest do ogólnej sali przeprowadzony; jeżeli zaś nie, to znaczy, że go wywieziono. Patrzałem w okno po wyjściu Awejdego, ale tak było ciemno, iż nic już dojrzeć nie mogłem. Zostałem znowu sam jeden.

Nazajutrz z niecierpliwością oczekiwałem, czy mnie do komisyi nie zawezwą, aby się o losie Awejdego dowiedzieć. Na szczęście zawezwano mnie dla oddania książek.

— Pozbawiliście mnie, Panowie, towarzysza — rzekłem, wchodząc do komisyi — nie wiem tylko, jak daleko go wywieziono.

— Jakto, co Pan mówisz? — zawołał, udając zdziwienie, członek komisyi — Czyż Awejdego niema już z Panem?

— Och, nie żartuj Pan, Panie majorze; przecież lepiej odemnie wiesz, gdzie go wywieziono.

— Ja nic nie wiem; ja myślałem, że on ciągle z Panem.

— A co Pan jeszcze udajesz i robisz tajemnicę? Przecież bez rozkazu Panów nikogo stąd nie ruszą.

— Ja nic nie wiem; może go tak wzięli chwilowo: on jeszcze może powróci — zaczął, uśmiechając się tajemniczo, członek komisyi.

Przestałem już pytać więcej, widząc, że nic się od niego nie dowiem, gdyż wszystko tam, najmniejsze nawet rzeczy okrywają głęboką, znaczącą tajemnicą. W kilka dni dopiero, kiedy miałem widzenie się z bratową i kiedy Henryka przy tymże samym majorze oznajmiła mi, że Awejdego do Wiatki wywieźli, potwierdził jej słowa, nie mogąc już dłużej tej ważnej w ich mniemaniu wiadomości ukrywać.

— A mnie kiedy wywiozą? — zapytałem.

— Alboż ja wiem, czy Pana wywiozą i gdzie?

— Och, od Panów nic się nie dowiesz; ale ja wiem, że niedługo i ciebie wywiozą, i nawet w tych dniach przyszlemy ci ciepłe ubranie — przerwała Henryka.

— Żebyście przynajmniej Panowie uwiadomili mnie choć na dwie godziny przed wywiezieniem, abym mógł rzeczy dobrze spakować i ubrać się ciepło na drogę, bo to już zima za pasem, a to tak, jak z Awejdem będzie: żandarm wpadnie na kwadrans przed podróżą i niema czasu zupełnie się przygotować.

— Jeżeli będę wiedzieć, to Pana uwiadomię; ale my nic nie wiemy, to namiestnik się rozporządza.

Wróciwszy do swej celi, zastałem nowego towarzysza, jakiegoś młodego, 15-letniego chłopca. W kilka dni przyniesiono mi ciepłe ubranie, buty długie i futro. Ot — pomyślałem z radosną miną — i moje więzienie skończy się już niedługo i skończy tak niespodzianie pomyślnie, bo zamiast katorgi tylko wysłanie, choć nie wiedziałem jeszcze, dokąd.

Parę jednak tygodni minęło. W miejsce nowego, młodego towarzysza dostałem innego — i tego w kilka dni wypuścili a przyprowadzili jakiegoś urzędnika, którego takoż mi zabrali, i znów pozostałem samotny, a wiadomości o dniu wyjazdu jak niema, tak niema. Nakoniec 17-go czy 18-go października przyszedł zapytać mię się dyżurny oficer, czy nie potrzebuję ciepłego odzienia kaziennego. Takie zapytania robią zwykle przed wysyłką.

— Czy to dziś mają mnie wysyłać? — zapytałem.

— Ja nic nie wiem, czy Pana będą wysyłać, a tylko kazano mi zapytać o odzienie.

Nie prowadziłem już dalej rozmowy, widząc, że do niczego to mnie nie doprowadzi; ale po jego wyjściu wziąłem się do pakowania rzeczy i włożyłem ciepły kaftanik, oczekując co chwila wejścia żandarma. Lecz wieczór przeszedł i noc nadeszła, a żandarm się nie pokazywał. Nazajutrz cały dzień znów napróżne oczekiwanie, znikąd żadnej wieści; do komisyi mnie nie wzywano, dyżurny oficer milczał jak skała. Usłyszałem tylko niespodzianie głos Rudnickiego, krzyczącego z podwórza, gdzie spacerował:

— Daniłowski czy wywieziony?

— Nie jeszcze! — krzyknąłem z całych sił, wskakując na stolik, stojący przy oknie, nie zważając na krzyki dyżurnego, który właśnie do okienka we drzwiach zaglądał. — Jestem tu! — wołałem, wychylając rękę przez blachy, lufcik zasłaniające.

— Janczewskiego i Ulatowskiego dzisiaj w nocy wywożą; nie mają ciepłego ubrania ani pieniędzy — krzyczał Rudnicki, lecz dalej już mu straż mówić zabraniała, a i ja musiałem ze stolika uciekać, bo drzwi mej celi otwierano z hałasem.

Nie odpowiadając nic dyżurnemu, przekładającemu mi, że oknem wyglądać nie wolno, namyślałem się nad tem, czy i mnie dziś wywiozą. Dzień jednak cały znów przeszedł w gorączkowem oczekiwaniu. Nazajutrz zawezwano mnie do widzenia się z bratową.

— Czy wiesz, Władku? — zawołała zaraz na wstępie Henryka — że wczoraj miano cię wywieźć, już nawet czekaliśmy na ciebie z pożegnaniem w Ordynanshauzie, ale znów odłożono.

— Nie, nie wiedziałem; ale czemuż odłożono?

— Nie wiadomo; pytaliśmy się oficera, z którym masz jechać, gdyż oficer będzie cię odprowadzał z żandarmami aż na miejsce, ale nie chciał powiedzieć, dlaczego.

— To ja mogę powiedzieć, dlaczego — odezwał się członek komisyi — oto przedstawiono namiestnikowi, iż bardzo wielki koszt oficera wysyłać, i odniósł się z tem do Petersburga, czekają więc rezolucyi.

— Więc to jeszcze nie prędko się skończy? — zawołałem, zaniepokojony.

— O, bardzo prędko! Może dziś; może, ja nie wiem. Familia Pana będzie wiedzieć, kiedy, bo zawsze zawiadamiają krewnych dla pożegnania — dodał członek komisyi.

— Zobaczymy, zobaczymy się przed wyjazdem — zawołała poczciwa Henryka, żegnając się przy wyjściu.

Cały dzień znowu przeczekałem napróżno. Nazajutrz, a była to niedziela, nie spodziewałem się już wcale wyjazdu, ponieważ nie wysyłano zwykle w dnie świąteczne. Przemęczywszy się, jak mogłem, dzień cały, postanowiłem sobie bardzo wcześnie się położyć i wypocząć przed spodziewaną długą podróżą. Zaledwie jednak około 7-mej wieczorej zacząłem się rozbierać, kiedy posłyszałem szelest koło drzwi moich, jakieś niezwykłe stukanie, a za chwilę drzwi się otwarły i wszedł żandarm.

— A Pan zabierz się z rzeczami do komisyi.

— Jak to, więc dziś mnie wywożą?

— Ja nie wiem; kazano z rzeczami Pana zabrać, tylko prędko — i powiedziawszy to, wyszedł.

Zacząłem się na gwałt ubierać; rzeczy na szczęście były już spakowane i w kilka minut maszerowałem już z żandarmem do pułkownika Arszeniewskiego, inspektora więzienia. Po zwykłych formalnościach, oddaniu pozostałych pieniędzy i t. p., zapytał mnie:

— Pan wiesz, gdzie Pana wysyłają?

— Mówiono mi, że podobno do Wiatki tak, jak Majewskiego i Awejdego.

— A tak, tak, do Wiatki — odmruknął jakoś dziwnie następca Moroka i pożegnał mnie: »Szczęśliwej drogi Panu!«

Przed bramą czekała już doróżka i niedługo, przejechawszy bramy i mosty zwodzone, wjechałem do tak dawno nie widzianej Warszawy. Zmrok już okrył ulice miasta, ruch się zmniejszył; gdzieniegdzie błyszczały już światła w sklepach, w magazynach stolicy. Doróżka zatrzymała się na Krakowskiem Przedmieściu przed Ordynanshauzem. Dziwnie mi się jakoś wydało miasto po dwuletniem prawie zamknięciu między 4-ma ścianami. I w tych domach — pomyślałem sobie — tyle ludzi żyje spokojnie i szczęśliwie. Wprowadzono mnie na pier-

wsze piętro do dość obszernego salonu, a w kilka chwil zostałem otoczony przez braci, Henrykę, ojca, krewnych i przyjaciół, którzy na to ostatnie pożegnanie się zebrali. Po przywitaniach i pocałunkach dowiedziałem się dopiero, że jadę nie do Wiatki, lecz na Sybir, do jenisejskiej gubernii. Nie zmartwiła mnie ta wiadomość, bo choć mnie z Europy wywożono gdzieś tam na północ, w lody syberyjskie, zawsze to była już stokroć przyjemniejsza perspektywa, niż więzienie w Cytadeli.

Około dwóch godzin pozwolono mi w gronie familii i przyjaciół przepędzić. Pierwszy raz od tylu miesięcy, od dwóch lat prawie, mogłem bez świadków porozmawiać z drogiemi sercu osobami. Przy końcu widzenia wpadły na chwilkę siostry Janczewskiego wraz z matką, aby się ze mną pożegnać; dowiedziałem się od nich, że jego jutro do Wiatki wywożą. Żeby nie wspólny smutek, jaki i ich dotykał, tobym koniecznie starał się dopytać, kto im tę nieszczęsną, podstępną kartkę doręczył; ale wolałem niedługie już chwile, jakie mi pozostawały, mojej rodzinie poświęcić. Rozpytywaliśmy się przybyłego dla dopilnowania mej wysyłki oficera o tę daleką Syberyę i jak długo potrzeba mi będzie podróżować, zanim się do jenisejskiej gubernii dostanę. Ale oficer niewiele coś wiedział, gdyż całą moją drogę aż na 5 lub 6 miesięcy rozliczał. Patrząc na mapę obszerną całej Rosyi, rozwieszoną na ścianie Ordynanshauzu, z przykrem zdziwieniem zobaczyłem ogromną przestrzeń, jaka mnie od Warszawy oddzielać miała.

Te parę godzin przemknęły jak chwilka na serdecznej, choć smutnej rozmowie z braćmi, ojcem, Henryką i przyjaciółmi. Oficer dyżurny przypomniał, iż czas zabierać się w drogę, w drogę daleką i niebezpieczną, w drogę, z której niewielu powracało w rodzinne progi. Nie będę pisał o pożegnaniach, o życzeniach, o nadziejach, jakie zewsząd płynęły z ust żegnających mnie, które były raczej pragnieniami serc poczciwych, a nie płynęły z wewnętrznego przekonania; bo jakże mała liczba wracała dotąd z tych, co dawniej na Sybir zostali wysłani? Jak przez mgłę pamiętam uściski i łzy skrywane przy tem bolesnem pożegnaniu; coś mi jednak zdawało się mówić w sercu, że znów powrócę, znów uścisnę serdeczne dłonie rodziny, że znów ujrzę ziemię ojczystą i swoich — może takie było tylko pragnienie, a nie przeczucie przyszłego szczęścia.

Nie pamiętam już, jak wsiadłem do doróżki i rzuciwszy po raz ostatni jeszcze: »Żegnam was, do widzenia!« ruszyłem w towarzystwie dwóch żandarmów na Pragę do dworca kolei żelaznej petersburskiej. Było już koło 11-ej wieczorem; przebiegłszy Krakowskie Przedmieście, wjechaliśmy na długi nowy most na Wiśle, z którego rzuciłem przeciągłe spojrzenie na ciemniejące mury stolicy. Czy cię znów ujrzę, Warszawo, miejsce mej pierwszej młodości, pierwszego szczęścia i pierwszej rozpaczy? — szepnąłem w duszy, nie spuszczając z oka, dopóki tylko mogłem, tych ciemnych, gdzieniegdzie błyskających światłem gmachów ukochanego miasta. Przyjechawszy na banhof kolei, zaprowadzono mnie do oddzielnego pokoiku, gdzie wraz z żandarmami czekałem na odejście pociągu. Kilku z ciekawszej młodzieży warszawskiej odważyło się zaglądać przez drzwi uchylone, chcąc dowiedzieć się, kogo to na Sybir wywożą; ale żandarmi surowo usuwali natrętniejszych gości. Ja na nic nie zważałem, pogrążony w ciężkiej zadumie, z której dopiero wyrwał mnie dzwonek sygnałowy i głos żandarma, wzywający, abym zajął miejsce w wagonie. Drugi i trzeci dzwonek dał się w krótce słyszeć, a za nimi świst przeciągły, dający znak odjazdu.

Ruszyliśmy szybko jak wiatr wśród ciemnej, pochmurnej nocy. Przez chwilę byłem jak odurzony: wszystko, co przeszedłem w te lata ostatnie, błąkało się po mojej głowie; powstanie, Paryż, Cytadela i tyle smutnych chwil mojego życia, wszystko to odbijało się w mej duszy wzburzonej pożegnaniem i wyjazdem na dalekie syberyjskie wygnanie. Wagon, w którym jechałem, był pusty; nikomu nie pozwolono wsiąść do niego oprócz trzeciego, powracającego na Sybir żandarma. Jak tylko jednak przejechaliśmy granicę Królestwa, nie trzymano się już tak ścisłego rygoru i mimo opozycyi żandarmów mi towarzyszących sadzano i innych podróżnych do tego zakazanego wagonu.

Przelecieliśmy z szybkością wiatru Grodno, Wilno, Dynaburg, Psków i wiele pomniejszych stacyi, z których ledwie ślady w mej pamięci pozostały. Jechałem jak odurzony całą tą moją podróżą i nie opatrzyłem się, jak zatrzymaliśmy się w Petersburgu. Po kilku godzinach oczekiwania na pociąg, które były zbawiennym dla mnie odpoczynkiem, ruszyliśmy znów do serca

Rosyi, do Moskwy. Wszystko tu już było nie nasze, obce; czuć było, że jesteśmy w centrum rusycyzmu. Do Moskwy przyjechaliśmy późno wieczorem i przenocowawszy w poblizkim hotelu, ruszyliśmy, t. j. ja i trzech żandarmów, na drugi banhof, wiodący do Niżnego Nowogrodu. Przybycie moje w towarzystwie trzech żandarmów, do których się jeszcze dwóch miejscowych przyłączyło, wywołało pewne wrażenie na publiczność tamtejszą, zwłaszcza iż nikomu do mnie zbliżyć się nie dano.

Wyjechawszy z Moskwy przed południem, stanęliśmy rano w Niżnim Nowogrodzie, gdzie nadspodziewanie aż do drugiego dnia musieliśmy na statek czekać. Korzystałem z tak dobrej sposobności i wyszedłem z żandarmami dla obejrzenia tego handlowego miasta i zakupienia niektórych potrzebnych w drodze rzeczy. Kilka godzin chodziłem z moją strażą po sklepach i bazarach, dziwiąc się ogromnym składom i ilości sklepów. Nazajutrz z koszar żandarmskich, gdzieśmy nocowali, wyjechaliśmy do przystani. Ostatni już odpływający do Kazania statek w tym roku otoczony był mnóstwem podróżnych. Jakąż przyjemną miałem niespodziankę, ujrzawszy w kilka minut po mem przybyciu wchodzącego na statek Ulatowskiego wraz z dwoma żandarmami!

— Jak się masz i gdzie jedziesz? — było jednobrzmiące zapytanie po serdecznych uściskach.

— Ja do Orenburga.

— A ja na Sybir — odrzekłem.

Usiadłszy razem, zaczęliśmy długą, niewyczerpaną rozmowę o wspólnych losach od czasu rozstania się naszego w Paryżu. Wtedy to od niego dowiedziałem się o szczegółach zdrady Zwierzchowskiego, jak i o powodach naszej niezbyt surowej kary, o których już wyżej wspomniałem. Cały dzień i noc płynęliśmy tak razem, to rozmawiając, to przypatrując się brzegom szerokiej Wołgi. Zimno dobrze już dokuczało, zwłaszcza nam, w trzeciej klasie na pokładzie płynącym. Noc szczególniej nam się dała we znaki, choć statek nocą nie płynął, lecz stał na kotwicy z powodu chmurnego nieba; lecz wiatr przeraźliwie mroził nas dookoła. Z radością przeto wysiedliśmy na ląd w Kazaniu. Zajechawszy na pocztę i posiliwszy się wspólnym obiadem, rozstaliśmy się nareszcie z tym towarzyszem niedoli,

udając się w przeznaczone sobie strony: on na południe, w stepy Orenburskie, a ja na północ, pomiędzy lody Syberyi.

Siedząc na pocztowej kibitce z dwoma żandarmami, wsunąłem się głęboko w ten niewygodny ekwipaż, aby choć trochę od wiatru i śniegu się ochronić. Droga równa i jednostajna jak tylko okiem zasięgnąć mogłem, ciągnęła się bez przerwy, poznaczona słupami wiorstowymi. Dzwonki pocztowe dźwięczały jakąś smutną, dla mnie tylko pojętą nutę pożegnania. Zadumany i smutny, nie zwracałem na nic uwagi, nie licząc stacyi ani miast, jakieśmy przebiegali, i dopiero grzbiety gór Uralskich, do których po 6-ciu czy 7-ciu dobach zbliżyliśmy się, wyrwały mnie na chwilę z tej niemej apatyi.

— Oto granica — pomyślałem w duchu, patrząc na powolnie wznoszące się góry — która wkrótce oddzieli mnie od Europy na długo, może na zawsze.

DODATEK.

Już po wydrukowaniu pamiętników Daniłowskiego otrzymaliśmy za pośrednictwem prof. W. Stroki od byłego członka Komitetu Centralnego, obecnie lekarza kąpielowego w Vichy, dra Aleksandra Biernawskiego pismo, przedstawiające pewne szczegóły pamiętników w nieco odmiennem świetle. Najznaczniejsza różnica w obu podaniach, o zdradzie Zwierzchowskiego, dałaby się wytłómaczyć przypuszczeniem, że Daniłowski nie wiedział, jak to sam przyznaje, kto działał skrycie poza Zwierzchowskim, dr Biernawski zaś, jak i cała emigracya, nie znał narzędzia, którem się posługiwał prawdopodobnie Kurniejew. Nie tykając zresztą wiarogodności obu podań, co może być rzeczą dopiero przyszłego historyka, zamieszczamy poniżej świadectwo dra Biernawskiego jako materyał historyczny, pochodzący (w pierwszej przynajmniej części) od naocznego świadka.

Daniłowskiego znałem bardzo dobrze, ale nie byłem jego zastępcą w Komitecie Centralnym. Daniłowski nie wstąpił razem ze mną do Akademii Medycznej przy jej otwarciu 1857 r. i przeniósł się z uniwersytetu petersburskiego podczas rozruchów warszawskich. Był to mały i szczupły blondynek z małym zarostem; był zwolennikiem Mierosławskiego, którego uważał za proroka sprawy narodowej. On, Janczewski i Szachowski ze Szkoły sztuk pięknych, który był potem profesorem prawa rzymskiego w uniwersytecie lwowskim, stanowili klikę najgorętszych. Charakter słaby i naiwny, mówił mało i nie miał daru wymowy, typ konspiratora, gotów nawet konspirować przeciw sobie. Nie miał on żadnego wpływu na Akademię, jak go mieli Kurzyna i Karol Majewski. Mówi on w swoich pamiętnikach o zmianach październikowych Komitetu Centralnego; ale widocznie pamięć go myli. Ja także grałem rolę w tych zmianach i pamiętam dobrze. W tym czasie Józef Rolski i Gustaw Wasilewski widzieli się spowodowani wystąpić z Komitetu, a w ich miejsce okręgowi miasta Warszawy wybrali Aleksandra Biernawskiego, studenta Akademii Medycznej, i Zygmunta Padlewskiego, oficera artyleryi. Skład Komitetu był następujący: Jarosław Dąbrowski, Agaton Giller, Witold Marczewski, Bronisław Szwarce, Zygmunt Padlewski i Aleksander Biernawski; zastępcami członków byli: Jan Bohdanowicz, Oskar Awejde, Joachim Szyc, Władysław

Daniłowski i Franciszek Godlewski. Na pierwszem posiedzeniu Komitetu wypowiedziałem zdanie, że pobór do wojska nie powinien być hasłem do powstania, ponieważ oznaczenie poboru jest w rękach nieprzyjaciela, ponieważ organizacya w Królestwie potrzebuje być skompletowana, a organizacya na Litwie i Rusi jest ledwie zaczęta, ponieważ organizacya rewolucyjna w Petersburgu prosi nas o odłożenie powstania przynajmniej na kilka miesięcy, ponieważ nie liczę na pomoc francuską, jenerał Wysocki zaklina Komitet, żeby nie gubił kraju. Z tych wszystkich powodów usunąłem się z Komitetu, ponieważ większość nie była za mojem zdaniem. Awejde i Szyc podzielali moje zdanie. Natychmiast zwołałem na posiedzenie młodzież akademicką, aby złożyć sprawozdanie z mego postępowania. Wszyscy pochwalili moje postępowanie i byli zdania, że nie są w stanie zrobić powstania.

Następnie Daniłowski był mianowany przez Rząd Narodowy naczelnikiem straży, która miała przeprowadzić przez granicę Mierosławskiego. To się zupełnie nie udało. Mówiłem, już na emigracyi, z dawnymi moimi kolegami, z Kurzyną i z Ramlowem, którzy byli z Mierosławskim, i oba skarżyli się na niezdolność Daniłowskiego; może być, że nie miał szczęścia. Ale ostatnia ekspedycya Daniłowskiego z Paryża do Warszawy jest szczytem naiwności: dał się brać na kawał szpiegowi rosyjskiemu Kurniejewowi i z nim pojechał do Warszawy i był aresztowany; było to w pierwszej połowie marca 1865 r. Jest to dowód prowokacyi policyi moskiewskiej. Po powieszeniu ostatniego Rządu Narodowego i ostatniego naczelnika miasta Warszawy, Waszkowskiego, namiestnik Berg złagodniał i wszedł w konszachty z Kronenbergiem, żeby zarobić dużo pieniędzy. Nie było to po myśli III Oddziału, który chciał przerazić cara i władze petersburskie istnieniem Rządu Narodowego i drugiego powstania. Siedział w tym czasie zdolny typograf, Tyc, któremu policya kazała przygotować pieczęć Rządu Narodowego i wydrukować odezwy mniemanego Rządu Narodowego w drukarni oberpolicmajstra. Policya przyłożyła pieczęcie i z temi odezwami wysłała Kurniejewa, który dobrze mówił po polsku. Kurniejew był oficerem artyleryi i zarazem ajentem III Oddziału. Miał rozkaz udać się do Paryża z temi odezwami i wejść w stosunki z emigracyą i starać się ich wywabić do Warszawy. Sprytny Kurniejew udał się natychmiast do Daniłowskiego i Janczewskiego i namówił ich, a ci zwerbowali Władysława Rudnickiego, oficera inżynieryi, i dwóch braci Ulatowskich. Wszyscy pojechali z tym szpiegiem z fałszywymi paszportami; w Warszawie wydali kilka odezw, których nikt nie słuchał. Bardzo naturalnie, że policya wiedziała o każdym ich kroku. Nareszcie pierwszy spostrzegł się Rudnicki i uciekł z Warszawy, pomimo że był otoczony policyą. Policya, bojąc się, że się spostrzegli, zaaresztowała ich wszystkich.

Oto wszystko, co wiem o Daniłowskim, bo w powstaniu byłem w województwie kaliskiem.

Aleksander Biernawski.

Wykaz osób i miejscowości.

(*m* = miasto lub miasteczko; *w* = wieś)

Aarau m. 393.
Abramowicz jen. ros. 43, 44.
Alberts, strażnik więzienny 355, 356.
Aleksandrowo, stacya gran. kol. żel. 211, 212, 218, 309, 310, 409.
Arciszewski, właściwie Arcichiewicz Michał 30, 31.
Arendt 386, 388, 392, 444, 454, 456, 459, 465.
Arszeniewski, inspektor więzienia 491.
Asnyk Adam 8, 277, 299, 302, 313, 325.
Augsburg m. 369, 370, 393.
Awejde Oskar, członek R. N. 183, 188, 192, 196, 197, 200, 201, 210, 219, 267, 268, 295, 308, 467, 483—489, 491, 497, 498.

B. w. 256.
B. malarz 213.
Bakunin, rewolucyonista ros. 153, 168, 367.
Bamberg m. 367, 368.
Bauernfeind Feliks 271 (gdzie *T* należy poprawić na *F*).
Bazylea m. 373.
Bärensprung, dyrektor policyi w Poznaniu 338, 340, 342.
Benjamin (Szymański), biskup podlaski 75.
Berg, namiestnik w Kr. Pol. 498.
Berlin m. 170, 212, 213, 218, 322, 323, 331, 335, 338, 342, 347, 351, 355, 360, 362, 363, 365, 368, 372, 375, 377, 379, 403, 407, 409, 424.
— Hausvogtei, więzienie 342, 345—349, 355, 360, 377, 403, 425.
Białobrzeski ks. prałat 89.
— J. 228, 235.
Biernacki 56, 382.
Biernawski Aleksander, emer. lekarz wojskowy francuski, obecnie lekarz kąpielowy w Vichy 173, 175, 177, 497, 498.
Bils (orkiestra B-a w Dolinie Szwajcarskiej) 8.
Bismark 347.
Bobrowski Stefan 148, 183, 187, 188, 190, 196—199, 201, 205, 206, 219, 266, 267, 269, 281, 284, 286—288, 308.
Bohdanowicz Jan 497.
Bończa [Błaszczyński Konrad], wojenny naczelnik woj. płockiego 202.
Bonneaux Aleksander, redaktor L'Opinion Nationale 400.
Bontville, naczelnik biura dla spraw emigracyi w Paryżu 380.
Bosak (Hauke Józef hr.) jen. 324, 328, 381, 382, 390, 396—400.
Brożwicz 302, 303.
Brudkowski Józef 155.
Bruksela m. 396.
Brzozowski 268.
Buski Feliks, major 228, 235.
Busse, urzędnik kolejowy 405, 406—410, 463.
Bydgoszcz m. 212, 218, 251, 309, 322, 323, 401—403, 406, 407, 423, 461, 462, 472.

C. M. p. 346.
C. Marya 386, 388, 420, 436, 447, 448, 464, 476.
Cecuryn, prezydent Akademii medycznej w Warszawie 10.
Celiński major 228, 237.
Ch. Adolf 191, 193.
Chałubiński Tytus dr. 50.
Chłapowski 341.
Chmieleński Ignacy 68, 93, 94, 99, 100,

101, 105, 108—110, 134, 313, 325, 326.
Chmieleński Zygmunt, dowódca oddziału 301, 307, 324, 328.
Chmurzyński L. 295, 308, 311, 312, 314, 316.
Chrulew, jen. ros. 86.
Chrzanowski Leon, redaktor »Czasu« 275.
Cielecki [Leopold] 55, 296.
Cugołowski, porucznik rosyjski 442, 443, 452, 465, 468, 470, 471, 473, 475.
Cytadela warszawska 11, 27, 35, 50, 88—90, 96, 98, 102, 103, 134, 135, 161, 179, 197, 209, 289, 348, 380, 404, 418, 419, 430, 435, 441, 455, 459, 468, 483, 484, 486, 487, 491, 493.
Ćwierciakiewicz, ajent R. N. w Paryżu 148, 153, 163—165.
Czachowski Dyonizy, dowódca oddziału 284, 301, 324.
Czajkowski 230, 251, 255, 289.
Czaplicka Anna 384, 395, 456, 460.
Czar. w. 264.
Czarnecki 346.
Czartoryski ks. 348.
— Adam ks. 61.
— Władysław ks. 164, 276, 325, 329, 375, 376.
Czech. p. 456, 460.
Częstochowa m. 170, 171.

D. pani 97, 120.
Daniłowska Henryka, bratowa Władysława 292, 295, 470, 471, 473, 474, 476—479, 481, 482, 485, 488—492.
Daniłowski Jan 2.
Juliusz 2, 170.
— Władysław 108, 235, 291, 339, 341, 342, 345—347, 378, 379, 391, 420, 427, 430, 433, 434, 438, 455, 456. 497, 498.
Dąbrowski Jarosław 93, 94, 101—111, 146, 148, 169, 497.
Dejean 382.
Dębski 250, 268.
Dobrzyń m. 221, 252.
Drewnowski, (właściwie Jaworski. Por. Przyb. Hist. 1863 r. II, 480), dowódca oddziału 302, 304.
Drezno 154—156, 327—330, 335, 345, 378, 380, 381, 391—394, 402, 460.
— Brülowski taras 155.
— Zwinger 156.
Dulken, muzyk 13.
Dulorano 377.
Dutkiewicz, oficer artyleryi 330, 331, 335, 337, 338, 345, 349, 353, 356, 357, 362, 364, 377.
Düppel, szańce 347.
Dynaburg m. 493.
Działowski Zygmunt 345, 346, 349, 351—353, 356—370, 374, 381.
Działyński Jan hr. 376—378, 380, 381.

E[psteinowie?] państwo 314, 315.
Eisenach m. 367.
Enoch Juliusz 44.
Epstein 337.
Epsteinowie 336.
Eugenia, cesarzowa francuska 179.

F. W., pierwsza miłość Władysława Daniłowskiego, 19, 24—26.
Fajsławice w. 328.
Fijałkowski Antoni Melchior Optat ks. arcybiskup warszawski 61, 70, 71.
Florencya m. 396, 398, 399.
Frankowscy [Jan, Leon i Stanisław] 55, 62.
Frankowski Leon 204.
Frycze [Karol], dowódca oddziału 306.

Gadomski 382.
Garfunkel lub Karfunkel 375.
Garibaldi Józef jen. 148, 235.
Genua m. 147.
Gerstenzweig Aleksander jen. ros. 89, 90.
Ginter 249.
Giwartowski, dom handlowy 375.
Glewic 154.
Giller Agaton, członek R. N., 107, 109, 110, 112, 146, 150, 152, 153, 168, 169, 172, 183, 219, 266—270, 281—284, 287, 497.
Glikseli [Wojciech] 307, 313.
Głowacki T. 68.
Godlewski Franciszek 202, 498.
Gołemberski Władysław 55.
Gołub m. 221, 252.
Gończykowski 237.
Gopło jezioro 239, 245.
Gorczakow Michał ks., namiestnik w Królestwie Polskiem 29, 36, 47, 58.
Gordon (pseudonim) 332, 333, 339, 345.
Gotha m. 367.
Gora w. 247.
Graabe, dowódca ros. 324.
Grabowski, dowódca oddziału 304.
— Adam hr. 274, 275, 281.
— Józef, komisarz Rządu N. 324.
Grochowiska w. 282.

Grodno m. 493.
Gryczyn, członek komisyi śledczej 430.
Guttry Aleksander 325, 326, 381—383, 390, 391, 394—396, 399, 402, 406, 442.

H. student 213.
Halle m. 365.
Hasewicz 401.
Heinrych panny 415.
Hennessy, członek parlam. ang. 61.
Hercen, rewolucyonista ros. 153, 168, 169.
Hornberg bankier 399.
Horodło m. 74.

Ignacewo w. 306.
Igołomia w. 303.
Iłowiecki 345, 346.
Iwancew, oficer rosyjski 230, 231, 244.

J. 108.
Jabłonowski 382.
— Władysław, dowódca oddziału 203.
Janczewski Zdzisław 56, 66, 92, 174, 189, 220, 295, 310, 321—324, 329, 330, 335, 374, 375, 387, 389, 390—393, 395, 396, 400, 401, 403, 406—408, 413, 415, 416, 418, 424, 427, 434, 439, 440, 442, 443, 449, 458, 460, 461, 462, 467—469, 472, 484, 492, 497, 498.
Janczewskiego siostra 470, 473, 477, 478.
— siostry 336.
Janowski Józef, członek R. N. 183, 188, 196, 197, 200, 201, 206, 210, 219, 268, 269, 272, 274, 281—285.
Janowski Władysław 196, 201, 207, 209, 214—216, 235, 236, 239, 278.
Jaroszyński Ludwik 134.
Jastrow, kaznodzieja żydowski 43.
Jastrzębski (pseudonim) 378.
Jaśniewski 8, 12.
Jeske Władysław 214, 277—279, 288, 302.
Jeziorański Antoni, jenerał 202, 206, 283—285, 306.
Jeziorki w. 324.
Jordan Zygmunt, dowódca oddziału 296.
Josefstadt m. 314
Józef, brat cioteczny Wł. Daniłowskiego 154, 155, 157, 159, 163.
Jurgens Edward 55.

K. 198.
K. państwo 118, 129, 134.
K(ronenberg Leopold?) 29.
K. L. oficer rosyjski 184.
Kajty (pseudonim) 323.
Kamiński 331, 345.
— [Ignacy?] 393.
— Wincenty 66, 92, 189.
Kampinowskie lasy 186, 188.
Karczewski 31.
Karolina, właściwie Zofia, druga miłość Wł. Daniłowskiego, 113—115, 118, 120—125, 128—130, 137, 138, 142, 144, 145, 179, 219, 253, 256—260, 264—266, 270, 292—296, 316—320.
Katowice m. 170.
Kazań m. 90, 485, 494.
Kazimierz w Kujawach m. 247, 248.
Kazimierz nad Wisłą m. 204.
Keller (Köhler?) ajent rewol. 407.
Kenig Józef 29.
Kielce m. 204.
Kijów m. 12.
Kiliński Jan 15.
Klukowski 234.
Kobylanka w. 306.
Kobylański Piotr, członek R. N. 312, 325.
Kokosiński [Edward] 313, 320.
Kolonia m. 159, 162, 213, 216, 322, 323, 392.
Komar T., poeta 13.
Konstancya m. 372.
Konstanty w. książę, namiestnik w Kr. Polskiem 90, 134, 197, 207.
Konstantynopol m. 90.
Korolec 382, 383, 385, 390.
Korzeniowski Apollo 55, 63, 64
Koskowski Władysław 107, 109, 122, 125, 133, 146—149.
Kościuszko Tadeusz 15, 75, 148.
Kotkowski Kacper ks. 378, 381—383, 386, 389, 390, 394—396, 398, 399, 442.
Kow. 108.
Kr. 108.
Kraków m. 269, 271, 272, 274, 275, 279, 280, 281, 283, 287, 289, 290, 295, 296, 300—304, 306, 309, 323, 340.
Kramsztyk Izaak, kaznodzieja żydowski 43.
Kraszewski J. I. 5, 6.
Kronenberg Leopold 29, 498.
Kraskowski kapitan 228, 235, 237.
Królikowski Leon, dyrektor żeglugi parowej 68, 177, 269, 270, 330, 335, 338, 343, 351, 354—356, 396.

Kruk (Heidenstein Michał) jen. 324, 328, 378, 382.
Krüger, Kammergerichtsrat pruski 345.
Krzywosądz w. 226—230, 232, 236, 237, 266, 268, 278, 285.
ś. Krzyż, klasztor 206.
Kulczycki szambelan, ajent R. N. 399.
Kurniejew, szpieg ros. 498.
Kurowski [Apolinary], dowódca oddziału 204.
Kurów w. 204.
Kurzyna Jan 8, 12, 42, 43, 147—151, 153, 164. 168, 214, 228, 234, 236, 238, 241, 243, 245, 248, 249, 275, 277, 284, 288, 324—330, 380—383, 388, 391, 395, 396, 398, 497, 498.
Kuszkowski H. 39.
Kutno m. 197, 200, 207—210, 219.

L. 198.
Labbé, redaktor L'Opinion Nationale 399.
Laknicki, a raczej Łakniński (Por. Pamiętnik Jana Majkowskiego, k. 7) 204.
Lambert hr., namiestnik Król. Pol. 68, 70, 78, 89, 90.
Landowscy Edward i Paweł 295.
Landowska, matka Pawła 329.
Landowski Edward 393.
Landowski Paweł 189, 220, 295, 312—316, 318, 320, 330, 331, 434, 449.
Langiewicz Maryan, dyktator 204, 206, 209, 219, 220, 271—275, 277—284, 287, 289, 290, 291, 293, 314.
Lasocki Gustaw 271, 279, 288, 289, 295, 302.
Lelewel (Borelowski Marcin) 306.
Lempke [Włodzimierz] 308, 309, 311—314, 316, 321, 384.
Lewandowskiego orkiestra 8.
Liège m. 216, 324—327, 399.
Lindau m. 371, 372, 393.
Lipowski 372, 373.
Lipowski (pseudonim) 323, 324, 331, 333, 338—340, 342, 343, 345, 355.
Lipsk m. 155—157.
Lipno m. 253—255.
Lisikiewicz 313.
Londyn m. 61, 168.
Lublin m. 2, 6, 12, 16, 18, 20, 23, 26, 27, 97, 195.
Lwów m. 324.

Łomża m. 90.
Łowickie księstwo 72.
Łowicz m. 74.
Łódź m. 204.
Łuków m. 203.

M. 192.
M. student szkoły przygotowawczej 178.
M. A. 400.
Maciejowski Ignacy (Sewer) komisarz wojew. krakowskiego 277, 279.
Majewski Karol, członek R. N. 8, 12, 13, 16, 40—43, 55, 95, 107, 109, 147, 148, 166, 311—313, 325, 326, 482, 484—487, 491, 497.
Majkowski Jan, członek R. N. 183, 188, 196, 197, 200, 210, 219, 268, 295, 297—299.
Malczewski 302, 303.
Maleszewski [Stanisław] 66.
Małogoszcz w. 206.
Marchwiński J. 288—292, 308.
Marczewski Witold, członek R. N. 68, 93, 94, 100, 101, 106—110, 112, 146, 150, 153, 172, 183, 198—201, 206, 219, 266, 497.
Marymont w. 34.
Matuszewicz Stanisław 93, 94, 100, 101, 105, 122, 125, 128, 268, 290.
Mielęcki Kazimierz, dowódca oddziału 204, 226, 228, 230—237, 239, 242, 243, 246—250, 273.
Mierosławski Ludwik jen. 12, 42, 43, 61, 147—153, 163—170, 172—174, 176, 196, 201, 207, 209, 214—216, 220—222, 225—250, 253, 264, 266—291, 294, 295, 297—306, 309, 311—313, 316, 324—327, 330, 339, 375, 390, 391, 437, 443, 456, 497, 498.
Mikoszewski Karol (Sykstus) ks. członek R. N. 183, 188, 196, 197, 200, 206, 210, 219, 268, 272, 274, 378, 382.
Milewski 189, 393.
Milowicz Włodzimierz 168, 169.
Miniewski (wedle Przyborowskiego, Hist. 1863 r. II, 478 Mniewski), dodowódca oddziału 301, 302, 304.
Minkwitz jen. ros. 348.
Mława m. 256.
Mochnacki Maurycy 13, 404.
Modlin m. 102—104.
Modrz. 122.
Moguncya m. 155, 157, 159.
Mokobody w. 203.
Monachium m. 372.
Moskwa m. 47, 493.
Mszczonów m. 290.
Mucha, dowódca oddziału, 203.
Mystkowski Ignacy, dowódca oddziału 301, 306.

Napoleon III. 61, 214, 300, 301.
Napoleon ks. 13, 275.
Narbut Ludwik, dowódca oddziału 301.
Narzymski Jozef 148, 163, 313.
Nelidow, major ros. 324.
Neuding 218, 219, 295, 386, 388, 392, 444, 452—456. 458, 459, 465.
Neuman 413, 468.
Nieszawa m. 222, 224.
Niszczewskie lasy 224.
Niżni Nowogród m. 485, 493, 494.
Norymberga m. 369.
Nowa Wieś m. 242, 243, 245—247, 266, 324.

O. 198.
Okęcki 108.
Orenburg m. 494.
Orłowski [Franciszek] 220, 295.
Otłoczyn, stacya kol. żel. 211.

Padlewski Zygmunt, dowódca oddziału 146, 148, 168, 169, 172, 182, 183—185, 187—189, 192, 198, 220, 253, 264, 301, 306, 497.
Paryż m. 43, 61, 146, 147, 148, 153, 154, 157, 163, 169, 170, 171, 183, 186, 196, 209, 214—216, 273, 275, 304, 330, 340, 351, 373, 374, 375, 378—381, 383, 384, 393, 395, 396, 399, 402, 404, 407, 408, 411, 415, 416, 420—423, 427, 428, 433, 437, 442, 448, 453, 455—459, 461, 463—467, 469—471, 493, 497, 498.
Passy pod Paryżem 290.
Paszkiewicz [Julian] 107.
Paulucci jen. policmajster warszawski 33.
Paupuch Wiktor (pseudonim) 345.
Pawłowski Adam 384.
Petersburg m. 6, 89, 300, 490, 493. 498.
Pétyon 228.
Piotrków m. 170.
Plater biskup 61.
Płock m. 197, 200—202, 209, 306.
Płowce w. 237, 238.
Pobiednik w. 303.
Poczdam m. 378.
Potjebnia [Andrzej], oficer rosyjski 184, 187.
Potocki [Adam hr.] 326.
Powązki (obóz) 104.
Poznań m. 335—338, 341.
— Winiary, kazamata 341.
Praga pod Warszawą m. 492.
Przasnysz m. 202.
Psków m. 493.
Puławy m. 195.
Pułtusk m. 143.
Przybylski Wacław, członek R. N. 312.

R. pani 264, 265.
R. J. (Mierosławczyk) 149.
Raczkowski kapitan 227, 228, 235, 236, 245.
Radom m. 2.
Radoński (kasztelanic) 401, 416, 463.
Radziejów m. 237.
Radziwiłł ks. (pruski) 348.
Radziwiłł Mikołaj ks. (z Litwy) 342—346, 348, 349, 355, 356.
Radziwiłłów m. 307.
Radzyński 410.
Ramlow Saladyn 228, 241, 245, 248, 275, 498.
Rawa m. 202.
Redych 346.
Rochebrun, dowódca Zuawów 283, 285, 302.
Rogiński Roman, dowódca oddziału 434, 449.
Rolski [Józef] 172, 202, 497.
Romanowski Mieczysław 306.
Romanshorn m. 372, 393.
Rościszewski [Zygmunt czy Józef?] 227, 228, 302.
Rozen Matyasz 35.
Rozengart, komisarz ros. 403.
Różycki Edmund, dowódca oddziału, 301, 306, 378, 382.
Rudnicki Władysław (Sawa), dowódca oddziału 382, 383, 389, 390, 393, 398, 400—402, 404—408, 413—416, 424, 427, 432, 433, 439, 447, 462, 463, 490, 498.
Rumocki, dowódca oddziału 301.
Ruprecht Karol 55 205.
Rutkowski 31.
Ryll Ludwik 135.
Rypin m. 253—255.
Rzońca Jan 135.

S. 86.
S. M. 44.
Sabowski Władysław 396.
Sajańskie góry 1.
Samarzewski ks. 346, 352, 353.
Sandomierz m. 2.
Sapieha Adam ks. 376, 381, 398.
Sawa, zob. Rudnicki.
Sawiery, urzędnik kol. żel. 455.
Sejdewitz baron 242.
Selig (pseudonim) 332, 345.

Serockie lasy 186, 188.
Sędzia, przydomek Wł. Daniłowskiego 343.
Siedlce m. 203.
Siemiatycze m. 204.
Sierakowski Zygmunt, dowódca oddziału 306.
Skierniewice m. 73, 310, 410.
Skorupka Leon 275.
Sochaczewski 62, 159—161.
Sokołowski 202.
Sokulski 192, 194.
Sosnowice m. 204.
Starosolski 346.
Stawiński Wł. 222, 226, 269, 272, 273, 282.
Stobnicki Ksawery 48.
Strasburg m. 392.
Strzałkowo m. 251.
Strzelno m. 251.
Suchozanet Michał, namiestnik w Kr. Polskiem 58, 68.
Sulerzycki Natalis 346.
Syberya (Sybir) 1, 35, 46, 90, 429, 440, 481, 487, 491—494.
Sypniewski 56.
Śmiechowski Józef jen. 283.
Świętorzecki 378, 382.
Sz. J. 252.
Szachowski [Stanisław] 55, 497.
Szczakowa w. 272.
Szopen, muzyk 72.
Szuman Henryk 345.
Szumański Józef, zecer 62.
Szwarc (pseudonim) 406.
Szwarce Bronisław, członek R. N. 110, 112, 146, 150, 152, 153, 172—175, 178, 179, 497.
Szyc Joachim 497, 498.
Szymański Benjamin, biskup podlaski 75.

T. B. (Mierosławczyk) 149.
T. K., narzeczony Karoliny (Zofii) 261, 262, 264, 265.
T. K. jeden z wydziałowych 173.
Taczanowski Edmund jen. 301, 306, 324.
Tarnowski Juliusz 296.
Tarnów m. 282, 283.
Tekeli 367.
Terlica 403.
Thiers Adolf, dyplomata i statysta francuski 137.
Tomczyński [Walery] 378, 382, 383, 390, 396, 398, 399, 402.
Tomisławice m. 242, 243.
Topór (Zwierzdowski Ludwik), dowódca oddziału, 328.
Toruń m. 211, 212, 309, 321, 322.
Traugut Romuald, naczelnik R. N. 325, 326.
Trepow, oberpolicmajster warszawski 22, 454, 455, 459, 461.
Trojaczek w. 238, 239.
Tyc, typograf, 498.

U. T. 19, 23, 26.
Ujejski Kornel, poeta 15.
Unszlicht [Maksymilian] 56, 59, 75.
Ulatowscy 498.
Ulatowski 393, 396, 400, 401, 427, 440, 458, 461, 462, 468, 469, 485, 494.

W. naczelnik powiatu 384.
Wacław, syn w. ks. Konstantego 136.
Warszawa m. 2, 7, 9, 11, 13, 15, 19—22, 24—27, 29—33, 36, 37, 40, 41, 45, 48, 50, 51, 55, 56, 59, 70—72, 74, 77, 81, 88—91, 96, 102—104, 110, 111, 126—129, 131, 134—136, 140, 143, 146, 148, 149, 159, 160, 163, 169—171, 182—188, 192, 197, 199, 201, 205—207, 209, 210, 215—219, 221, 222, 228, 240, 241, 248—250, 253, 257, 265, 266, 270, 271, 279—281, 286—292, 306, 309, 310, 311, 313, 316, 320, 321, 323, 325, 326, 328—332, 333, 338, 340, 342, 347, 352, 373, 378, 380, 383, 386—389, 392—396, 399—413, 416, 419, 421, 422, 431, 437, 442, 447, 448, 454, 455, 457—464, 469, 478, 491, 492, 498.
— Aleja Jerozolimska 178.
— Aleje Ujazdowskie 135.
— Aleksandra plac 178.
— Arkadya Nowa 8.
— Augustyanów (raczej Paulinów) kościół w Warszawie 22.
— Bernardyni OO. 28, 32.
— Bernardynów kościół 82.
— Bracka ul. 178.
— Chmielna ulica 159, 160.
— Długa ulica 418.
— Dolina Szwajcarska 7, 8.
— Europejski hotel 28, 29, 72, 91.
— ś. Jana kościół 75.
— Kapucynów kościół 69.
— Karmelici na Lesznie 14.
— Kontego cukiernia 59.
— Krakowski hotel 266.
— Krakowskie Przedmieście 28, 32, 47, 48, 51, 413, 491, 492.

Warszawa, Krochmalna ul. 314.
— ś. Krzyża kościół 33.
— Książęca ul. 178.
— Leszno 418.
— Łazienkowski pałac 7.
— Marszałkowska ulica 178.
— Miodowa ulica 48, 51, 69.
— Nowolipie 415.
— Nowy Świat 47, 270.
— Ordynanshaus 11, 490—492.
— Orgelbranda dom 28, 47—49.
— Paca pałac 135.
— Pawia ulica 456.
— Piekarska ulica 413.
— Pijarów kościół 78.
— Podwal ulica 50.
— Resursa kupiecka 33—35, 38, 39.
— Saski hotel 416.
— Saski ogród 11, 138.
— Senatorska ulica 418.
— Stare Miasto 22, 47, 60, 80, 84, 413, 469.
— Świętojańska ulica 80, 86.
— Szpitalna ulica 112.
— Widok ulica 178.
— Zamojskich pałac 45, 46, 413.
— Zapiecek ulica 413.
— Zygmuntowski plac 32, 47, 49, 413.
Waryłkiewicz 216, 217.
Waryński (pseudonim) 378.
Wasilewski Gustaw 101, 306, 497.
Waszkowski Aleksander 307, 384, 386, 389, 498.
Wąchock m. 204.
Wereszczyński Julian 68.
Wernicki [Jan] 219.
Węgrów m. 203, 204.
Wiatka m. 486, 489, 491, 492.
Wiedeń m. 275.
Wielopolski Aleksander margrabia 39, 45, 50, 52, 58, 127, 135—137, 187, 276, 280.
Wierzbołowo, stacya kol. żel. 485.
Wiesbaden m. 157, 159.
Wilkoński 346.
Wilno m. 493.
Włocławek m. 310.
Wojnarowski Alfons (pseudonim) 408, 411, 417, 419, 420, 424, 426, 427, 429.
Wolski 382.
Wolski Włodzimierz 13 (gdzie należy Władzio poprawić na Włodzio), 396.
Wrębowski 249, 295, 386, 388.
Wrocław m. 56, 154, 170, 273, 323, 324, 329, 330, 332, 339, 343, 375.
Wróblewski [Walery?] 382.
Wrzeszcz 228.
Wysocki Józef jen. 61, 147, 214, 307, 498.

Young de Blankenheim Leon, dowódca oddziału 301.

Z. pani 121.
Z(amojski Andrzej?) 29.
Zabołocki, jen. ros. 28, 38.
Zajączkowski, podinspektor Ak. med. w Warszawie 11.
Zamojski Andrzej hr. 29, 45, 46, 55, 64.
Zdanowicz [Antoni], dowódca oddziału 204.
Zegrzda [Wojciech], naczelnik Płocka 202.
Zejfryd [Alonzo] 225, 228, 235.
Ziemski 309.
Zofia, druga miłość Daniłowskiego przezwana przezeń Karolcią, 96, 97
Zurych m. 393.
Zwierzchowski Aleksander 384—389, 391—398, 400, 401, 403—408, 411—416, 418, 421, 422, 424, 427, 428, 439, 440, 442, 444, 453—470, 472, 479, 481, 496.

Żegliński budowniczy 209, 210, 211, 226.
Zórawski 330—336, 338, 340, 342, 345, 353, 356, 357, 360, 362, 364, 477.
Żuczkowski z przydomkiem Morok, dozorca więźniów polit. w Cytadeli 484, 491.
Zyżyn w. 328.

TREŚĆ.

Str.

ROZDZIAŁ I. Dzieciństwo. — Śmierć matki. — Na ławie szkolnej. — Poetyczna gorączka. — Kraszewski. — »Beduin«. — Ukończenie gimnazyum. — Całoroczne wakacye. 1

ROZDZIAŁ II. W Warszawie. — Wojna włoska. — Początki tajemnych kółek i stowarzyszeń. — Przyśpieszenie egzaminów; pierwszy występ towarzystw tajnych. — Listopadowa rocznica w 1859 roku. — Zjazd Monarchów w Warszawie. — Pierwsza manifestacya. — Pierwsza myśl powstania zbrojnego. 7

ROZDZIAŁ III. W Lublinie. — Choroba. — Pierwsza miłość. — Echa dnia 25 lutego 1861 w Lublinie — Wyjazd do Warszawy. . . . 17

ROZDZIAŁ IV. Pięć ofiar. — Wybór Delegacyi. — Arcichiewicz. — Wygląd miasta. — Delegacya. — Nastrój Warszawy. — Sąd autora o Delegacyi. — Pogrzeb pięciu poległych. 27

ROZDZIAŁ V. Wzmocniona Delegacya. — Konstable narodowi. — Młodzież akademicka. — Karol Majewski. — Kocie muzyki. — Święcone dla rzemieślników. 39

ROZDZIAŁ VI. Zniesienie Towarzystwa rolniczego. — Manifestacya przed zamkiem (7 kwietnia). — Pogrzeb Stobnickiego. Krwawe sceny przed zamkiem (8 kwietnia). — Wielopolski. — Widok miasta wieczorem. — Nastrój umysłów w dniach następnych. . . . 45

ROZDZIAŁ VII. Stronnictwo Białych i Czerwonych. — Stan umysłów na prowincyi. — Nowy Komitet akademicki. — Sprzysiężenie, dążące do zbrojnego powstania. 53

ROZDZIAŁ VIII. Nowy namiestnik. Wielopolski naczelnikiem cywilnego rządu. — Obchód rocznicy unii Litwy z Koroną. — Imieniny Napoleona. — Dziękczynna manifestacya przed angielskim konsulatem. — Śmierć ks. A. Czartoryskiego. — Arcybiskup Fijałkowski. — Szał manifestacyjny. — Kocie muzyki. — »Strażnica«. — Walka Białych z Czerwonymi. — Wybory do rad miejskich i prowincyonalnych. — Zwycięstwo Białych. 58

ROZDZIAŁ IX. Czerwony komitet akademicki. — Jego organizacya i działanie. — Stosunki z Komitetem miejskim. — Doraźne sądy na szpiegów. — Wojsko ulega naciskowi tłumu. — Śmierć i pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego. — Przyjęcie i częstowanie chłopów. 65

Str.

ROZDZIAŁ X. Obchód pamiątkowy w Horodle. — Ogłoszenie stanu wojennego w Warszawie. — Dzień 15 października 1861 r. w kościele św. Jana. — Aresztowania. — W Cytadeli. — Samobójstwo Gerstenzweiga. — Uwolnienie. 74

ROZDZIAŁ XI. Warszawa w stanie wojennym. — Połączenie się Komitetu akademickiego z Komitetem miejskim. — Nowy skład i stosunki wewnętrzne Komitetu miejskiego. — Młodzież Czerwona i Biała. — Miłość i stosunki towarzyskie autora. 91

ROZDZIAŁ XII. Stanowisko autora w Komitecie miejskim. — Plan Dąbrowskiego. — Naznaczenie wybuchu na 26 czerwca 1862. — Wątpliwości. — Obalenie Komitetu. — Nowy Komitet Czerwono-biały, wkrótce obalony. — Komitet Centralny Narodowy i jego działanie. 99

ROZDZIAŁ XIII. Sprawy sercowe. 113

ROZDZIAŁ XIV. Atmosfera spiskowa w Warszawie r. 1862. — Wielopolski sprzymierzeńcem Komitetu Centralnego. — Sprawy sercowe. — Zamach na w. ks. Konstantego. — Dwa zamachy na Wielopolskiego. — Sąd i egzekucya. — Sprawy sercowe i romantyczna wyprawa pod Pułtusk. 127

ROZDZIAŁ XV. Komitet Centralny i jego stosunki z Mierosławskim. — Powstanie Komitetu Rewolucyjnego i stosunek do niego autora. — Wyjazd i podróż do Paryża przez Wrocław, Drezno, Moguncyę, Wycieczka do Wiesbaden. — Kolonia. Wiadomość o aresztowaniach na ulicy Chmielnej. 146

ROZDZIAŁ XVI. Paryż. — Bezskuteczne rokowania z Mierosławskim. — Nieporozumienie z Gillerem. — Powrót do Warszawy. 163

ROZDZIAŁ XVII. Stan umysłów w Warszawie. — Pominięcie autora przy składaniu nowego Komitetu. — Stosunek Daniłowskiego do Komitetu. — Redagowanie »Słowa«. — Aresztowanie Szwarcego. — Sprawy sercowe. 172

ROZDZIAŁ XVIII. Wezwanie Daniłowskiego ze strony Komitetu. — Dyslokacya. — Nowy Komitet uchwala wybuch na styczeń. — Spotkanie z Padlewskim. — Ucieczka poborowych w lasy. — Ciężkie położenie Komitetu. — Autor chwilowym członkiem Komitetu. — Narady akademików i delegowanych Szkoły głównej. — Schadzka deputatów akad. z Awejdem. — Ogólne zgromadzenie Szkoły głównej przeciw powstaniu. — Zebranie reprezentacyi Szkoły głównej i Akademii. — Sokulski. 181

ROZDZIAŁ XIX. Rozpaczliwe położenie Komitetu Centralnego przed wybuchem. — Wystąpienie autora z Komitetu. — Dyktatura Mierosławskiego. — Plan pochwycenia w. ks. Konstantego. — Tryumwirat zastępczy w Warszawie. — Zajęcia autora i chwilowa osłoda. — Noc z d. 22/23 stycznia 1863. — Pierwszy dzień po wybuchu i pierwsze wiadomości z placu boju. — Nawał czynności w Komisyi warszawskiej. — Pierwsze dni i wpływ ich na losy powstania. — Niepewna postawa ludu wiejskiego. — Opinia prze-

Str.

chyla się na stronę partyi Czerwonej. — Langiewicz jenerałem. — Misya autora do Kutna i Paryża. 195

ROZDZIAŁ XX. W Kutnie. — Przejazd przez granicę. — Rozmyślania w drodze. — Spotkanie z Kurzyną w Kolonii. — W Paryżu. Układ z Mierosławskim. — Wrażenia paryskie. — Powrót. Przygoda w Kolonii. — W Warszawie. Przewaga partyi Czerwonej. — Czynności zwiększonej Komisyi. — Tworzenie eskorty dyktatora. — Pożegnanie z bogdanką i wyjazd do obozu. 209

ROZDZIAŁ XXI. Zniechęcenie w obozie. — Mierosławski w Prusach Zachodnich i w Poznańskiem. — Obóz pod Krzywosądzem. — Wycieczka autora na posiedzenie okręgowych i nocny powrót z bronią. — Potyczka pod Krzywosądzem i odwrót przez Radziejów ku Płowcom. — Połączenie z Mielęckim. 224

ROZDZIAŁ XXII. Niesnaski w obozie, w końcu załagodzone. Napływ wieśniaków. — Pochód przez Tomisławice ku Nowej Wsi. — Klęska. — Nocna przygoda w odwrocie. — Nowe niesnaski w obozie, zamach na Mierosławskiego. — Wyjazd do Warszawy. 239

ROZDZIAŁ XXIII. Na stacyi pocztowej. — W Bydgoszczy. — Powrót do Królestwa. — W Lipnie. — Sprawy sercowe. 251

ROZDZIAŁ XXIV. W Warszawie. — Obalenie dyktatury Mierosławskiego. — Sprawy sercowe. — Wyjazd do Krakowa. — Dyktatura Langiewicza. — Protestacya Mierosławskiego. — Upadek Langiewicza. — Daremne rokowania z Mierosławskim. — Wyjazd do Warszawy. 266

ROZDZIAŁ XXV. Podróż. — W Warszawie. — Miłość i polityka. — Odjazd do Krakowa. — Klęska Jordana. — Walka komitetu krakoskiego z Mierosławskim. — Ponowne bezskuteczne rokowania z Mierosławskim. — Nota trzech mocarstw. Plotka o Napoleonie. — »Uciekinierzy«. — Nieudana wyprawa Mierosławskiego. . 289

ROZDZIAŁ XXVI. Ogólny rzut oka na powstanie. — Obalenie Rządu Narodowego. — Wezwanie autora do Warszawy. — Nowy rząd i opozycya. — Życie towarzyskie. Sprawy sercowe. 306

ROZDZIAŁ XXVII. Wyjazd z Warszawy. — Szukanie Janczewskiego w Niemczech. — Stan powstania w tym czasie. — Wyjazd do Liège. — Mierosławski Jeneralnym organizatorem za granicą. — Jego dymisya. — Koniec roku 1863. Upadające powstanie. — »Towarzystwo patryotów« w Dreźnie. — Uwięzienie w Wrocławiu. . 321

ROZDZIAŁ XXVIII. Przewiezienie do Poznania. W kazamatach winiarskich. — W berlińskiej *Hausvogtei*. — Plany ucieczki. — Nieudana próba. — Wolny. 336

ROZDZIAŁ XXIX. Wyjazd z Berlina. — Noc w Halli. — W Augsburgu. — Przez Szwajcaryę do Paryża. 360

ROZDZIAŁ XXX. Napływ emigracyi do Paryża. — Mierosławski. — Ks. Adam Sapieha i hr. Jan Działyński. — Polityczne rozbicie emigracyi. — Policyjna wizyta. — Zjazd w Dreźnie. — Kurzyna repre-

Str.
zentantem Rządu Narodowego poza granicami kraju. — Zawiązanie tajemnego stowarzyszenia i jego cele. — Zwierzchowski. . . 374
ROZDZIAŁ XXXI. Wiadomości od Zwierzchowskiego z Warszawy. — »Komitet Reprezentacyjny«. — Wysłanie Janczewskiego do Warszawy. — Mierosławski. — Kurzyna. — Zjazd Daniłowskiego z Zwierzchowskim i Janczewskim w Dreźnie. — Powrót przez Szwajcaryę do Paryża. — Niepokojące pogłoski. — Układ z redaktorem »Wytrwałości«. — Bosak i Komitet Reprezentacyjny. — Stosunki z dziennikami francuskimi. — Listy z Warszawy. — Wyjazd. 388
ROZDZIAŁ XXXII. Spotkanie w Bydgoszczy z Zwierzchowskim. — Tajne stowarzyszenie w Poznańskiem. — Wezwanie do Warszawy. — Złe przeczucia. — Przyjazd do Warszawy. — Judasz. — W pułapce. — Pierwsze chwile na Pawiaku. — Badania. — Sąsiad o ścianę. — Dalsze badania. — Wyznanie. 403
ROZDZIAŁ XXXIII. Myśli w samotności. — Marya C. — Protokół zeznań. — Promyk nadziei. — Spowiedź Janczewskiego. — Ostrożności więzienne. — Męczące myśli. — Odwiedziny duchownego. — Korespondencya z Maryą C. — Wiadomości od rodziny. — Uspokojenie. 435
ROZDZIAŁ XXXIV. Zmiana metody zeznawania wobec komisyi śledczej. — Zdrada Zwierzchowskiego. — Szatańska intryga Trepowa. — Historya zdrady. 451
ROZDZIAŁ XXXV. Śmiałe i otwarte przemówienie w sądzie 464. Ze, znania Janczewskiego. — Aresztowanie Janczewskiego i Ulatowskiego. — Zamiar ujawnienia intrygi policyjnej i pierwsze widzenie się z bratową. — Zagadkowa karteczka i odpowiedź na nią. — Powtórne odwiedziny bratowej. 464
ROZDZIAŁ XXXVI. Samotność więzienna. — Dwoje oczu w okienku. — Towarzystwo. — Przewiezienie do Cytadeli. — Sąsiedztwo Majewskiego. — Widoki łagodnej kary. — Spotkanie z Zwierzchowskim. — Wywiezienie Majewskiego i Awejdego. — Nowi towarzysze. — Znowu samotność. — Niecierpliwe oczekiwania. — Wyrok. — Pożegnanie z rodziną. — Podróż przez Petersburg do Moskwy, Nowogrodu i Kazania. — Spotkanie z Ulatowskim i wspólna podróż. — Syberya. 481
Dodatek 497
Wykaz osób i miejscowości 499

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
29220/I/2